

DOROTHY  
ALLISON

Jaskinie  
serca

# 1

Śmierć wszystko zmienia.

Zdarzyło się to tuż po pierwszym brzasku dwudziestego pierwszego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, kiedy prowadzonego przez Randalla Pritcharda triumpha bonneville'a obróciło na wielopoziomowym bezkolizyjnym skrzyżowaniu numer sto jeden na południowy wschód od Silverlake. Siedząca za kierownicą siedemnastolatka przeraźliwie zawyła, po czym wyrzucona z siedzenia, dwukrotnie przekoziołkowała w powietrzu, gruchnęła twarzą w chodnik, złamała sobie rękę w nadgarstkach, wybiła cztery przednie zęby i na szczęście straciła przytomność. Randall nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku. Po prostu frunął za motocyklem, szybował za nim ku wschodzącemu słońcu. Z włosami błyszczącymi w różowozłocistej poświacie rozpostarł ramiona i pędził na spotkanie z zardzewiałą konstrukcją, spinającą podstawę betonowych słupów wiaduktu. Niedaleko stamtąd przykucnął pewien dziobaty nastolatek z Inglewood, żeby przyszukać skradziony plecak. Widział, jak Randall uderza w metalową barierkę, wzbijając w powietrze chmurę pyłu i kamieni. Widział, jak jego niebieska bawełniana koszula nasiąka krwią.

— „Delia” — powiedział potem chłopak reporterom. — Ten facet wyszeptał „Delia” i umarł.

Delia Byrd nie spała już od godziny. Chodziła tam i z powrotem po maleńkim ogródku na tyłach domu w Venice Beach, myśląc o pobliskim samie, gdzie alkohol — choć po

nazbyt wyśrubowanej cenie — można było kupić w ciągu całej doby. Ze wzrokiem wbitym we wschodzące słońce, z dłońmi zwiniętymi w pięści i przyciśniętymi do brzucha, śpiewała pod nosem jedną piosenkę po drugiej. Przypominała sobie refreny utworów, których nie wykonywała na scenie od pięciu lat i przerabiała je na koślawe wersje rockowe i folkowe. Powiedziała swojej przyjaciółce Rosemary, że w niektórych z nich, zwłaszcza w utworach grup mniej znanych, na przykład takich jak Peter, Paul and Mary czy Kingston Trio, jest prawdziwa magia. Rosemary ją wyśmiała — banalna piosenka miałaby mieć moc czarodziejskiej mantry? — Delia odkryła jednak, że po kilkudziesięciu powtórzeniach „The MTA” potrafi swobodnie poruszać oczami i kichać na alkohol.

„Ooch, i już nigdy nie wrócił” - nuciła pod nosem, gdy Randallowi opadła głowa i po raz ostatni bluznęła zeń fala ciemnej krwi. Delia umilkła. Kto wie, może w rześkim powietrzu poranka coś się o nią otarło, lecz ona tego nie poczuła. Skoncentrowana na obolałych, wiecznie dokuczających mięśniach karku i grzbietu, objęła się wπόł i uczepiwszy się dłońmi barków, ścisnęła je tak mocno, że aż zadrżała z wysiłku. Potem gwałtownie rozluźniła dłonie. Ulga miała smak długo wyczekiwanego luksusu. Ubyło Delii trochę tego ciężaru, przygniatającego ją ponad dwa bite lata, kiedy to wciąż zmagala się z tym, na co miała nieustannie ochotę, ubyło ciężaru walki z przemożną chęcią wypicia takiej ilości whisky, by świat stał się złocisty, cichy i bezpieczny, by Dede i Amanda, córki, które porzuciła, przestały wreszcie skomleć i szeptać jej do ucha. Nie piła od listopada, a wysiłek, jaki w to włożyła, już się stał widoczny.

Jestem zmęczona — pomyślała w chwili, gdy Randall umierał. W wąskiej uliczce za domem zahurkotała śmieciara. Donośnie miauknął szary kot łachmyta, zeskakując z parkanu. A kiedy promienie słońca przedarły się przez wystrzępione liście palmy rosnącej po drugiej stronie ogrodzenia, Delia poczuła, że sztywnieje jej kark.

— Chcę wrócić do domu — powiedziała głośno, a dwie bytujące w pamięci dziewczynki podniosły niewyraźnie zarysowane głowy i spojrzały na nią gorejącym wzrokiem.

W małym domku za plecami Delii dziesięcioletnia Cissy

poruszyła się przez sen i głębiej zakopała w pościel. Jej tatuś wjeżdżał motocyklem w koło czerwonożłotego ognia. Śmiał się i wysoko unosząc ramiona, wyciągał je do jasno płonącego światła. Był tak uszczęśliwiony, że Cissy omal się nie obudziła. Już dawno nie miał tak radosnej twarzy.

— Tatusiu... - szepnęła, a potem znów zanurzyła się w ocean snu. Jego słodka woda smakowała jak rum z coca-cola, którego pozwalała jej próbować Delia, ilekroć była zbyt pijana na to, by tego zabronić.

Rosemary zadzwoniła o dziewiątej, ale Delia dowiedziała się już o wszystkim z radia, które grało cicho w wychodzącej na ogród kuchni. Gdy tylko usłyszała o wypadku, zaciągnęła żaluzje, a drzwi wejściowe zabarykadowała stosem uschłych roślin oraz starych gazet z nadzieją, że dzięki temu dom wyda się opuszczony.

Kiedy Cissy wstała, Delia dała jej miseczkę truskawek i opieczoną maślaną bułkę. Chwilę obserwowała, jak dziewczynka je, potem usiadła obok, żeby powiedzieć jej o śmierci Randalla.

Cissy odłożyła łyżkę i spojrzała na matkę.

— Nie wierzę ci - oznajmiła. - Kłamiesz. Wymyśliłabyś wszystko, byle tylko rozdzielić mnie z tatą.

— Och, kochanie moje, wiesz, że to nieprawda — odrzekła Delia.

— Nie! - Cissy strąciła z ramienia rękę matki i odepchnęła ją. — To twoja wina! — krzyczała przenikliwie. — To twoja wina! Powinien był mieszkać z nami. Nienawidzę cię!

Delia milczała. Straciła już rachubę, ile razy Cissy użyła tych słów w ciągu ostatnich dwóch lat, od czasu kiedy wyprowadziły się od Randalla. Puszczanie ich mimo uszu i pozwalanie córce na krzyk stało się jej drugą naturą.

Cissy gwałtownie odsunęła się od stołu.

— Zabiłaś go - powiedziała. — Zabiłaś mojego tatę.

— Cissy, proszę cię - zaprotestowała Delia. — Teraz będziemy sobie bardzo potrzebne. - Usiłowała zapanować nad sobą. Skrzyżowała ramiona na piersiach. — I nie powinnaś tak do mnie mówić.

— A niby jak mam do ciebie mówić? Proszę cię, mam, nie

zwalaj się pijana na podłogę? — spytała ze wzgardliwą przymilnością. — Mamo, proszę, nie zasypiaj przy śniadaniu na stole? A może: proszę cię, mamo, nie zapomnij, jaki dzisiaj dzień, i nie wyślij mnie do szkoły, kiedy nikogo tam nie ma?

Delia cofnęła się jak przed ciosem.

Cissy nie odrywała rozjuszonego wzroku od zaróżowionej twarzy matki.

— Nienawidzę cię — powtórzyła. — Nienawidzę cię bardziej niż szatana i wszystkich diabłów. — Odwróciła się, by ukryć łzy, których nie mogła już dłużej powstrzymać.

Delia chciała uciec wzrokiem w bok, ale się pohamowała, choć wiele ją to kosztowało. Patrzyła na córkę i wydawało jej się, że profil Cissy się zmienia.

— Przecież nie wierzysz w diabła — powiedziała cicho.

— A właśnie, że wierzę - chlipnęła dziewczynka. - Właśnie, że wierzę. To *on* ciebie stworzył.

Delia poczuła, że kręgi karku twardnieją jej niczym beton. Chciało jej się płakać, gdy patrzyła na Cissy. Twarz dziecka wydłużała się i zamykała przed nią. Lewa powieka dziewczynki leciutko opadała od czasu wypadku, lecz jej oczy były oczami Amandy Louise, a usta miały ten sam kształt, co usta utraconej maleńkiej Dede.

Cissy, córka, o której Delia z całym przekonaniem mawiała, że w stu procentach przypomina wyłącznie swojego ojca, zaczynała powoli, lecz coraz wyraźniej upodabniać się do swoich sióstr. Z każdym dniem spędzonym przez Delię w trzeźwości Cissy stawała się coraz bledsza, coraz chłodniejsza, coraz bardziej gniewna i urażona. W snach Delia widziała wszystkie trzy dziewczynki w jednej postaci — tworzyły jedno źródło dojmującej udreki, jedno potworne dziecko przeklinające jej imię.

„Nienawidzę cię” — powiedziała Cissy, a zabrzmiało to jak trójgłos. „Nienawidzę cię” stało się refrenem, który zwolnił puls Delii do tego stopnia, że wydało jej się, iż płynie w rzece błota, a gęsty muł winy zatyka komory jej serca. Przez całe dwa lata odszlamowywała swe wnętrze, próbując być kimś innym, niż naprawdę była — kobietą znenawidzoną i na nienawiść zasługującą. Porzuciła dzieci i większość czasu z ostatnich dziesięciu lat spędziła pogrążona w pijaństwie. Gardziła nią nawet córka, którą próbowała chronić.

Ilekcroć Delia sięgała po butelkę, czyniła to w takt tej samej piosenki. Nazywała ją pieśnią nienawiści, pieśnią zasługujących na śmierć. Zamiast słów słychać w niej było złorzeczenia Cissy, zamiast melodii — jej własny puls. Pieśń przeklętych i skazanych na wieczne potępienie. Delia śpiewała ją tak, jak śpiewała w Mud Dog, całą duszą i każdą kroplą krwi. Powiadano, że słuchanie Delii Byrd na koncercie było jak słuchanie głosu rozdartego serca, dźwięczącego w całkiem nowej tonacji. Swoim głosem sprawiała, że słuchacze zaczynali się pocić, chcieli się ruszyć, wyciągnąć przed siebie ręce i wycisnąć z powietrza sprawiedliwość. Lecz ta piosenka Delii śpiewana tylko dla niej, bezgłośnie, straszniejsza była od wszystkich tych, które kiedykolwiek można by usłyszeć na scenie. Ta piosenka była tak potworna, że sama Delia ledwie mogła ją znieść.

Kiedy tamtego popołudnia przyszła Rosemary, Delia siedziała na podnóżku przy wielkiej skórzanej kanapie, bez końca oglądając te same sześć fotografii i nucąc pod nosem *Puff the Magic Dragon*. Trzy z sześciu zdjęć były kolorowe. Na pierwszym z nich wsparta o leniwie spoglądającego Randalla Delia trzymała w ramionach małą Cissy. Na drugim pięcioletnia Cissy siedziała Randallowi na barana, szeroko się uśmiechając i patrząc przed siebie jeszcze szerzej rozwartymi oczami. Ostatnia z kolorowych fotografii, zrobiona dwa lata później, ukazywała Cissy i Randalla dokładnie w tym samym ujęciu, tylko tym razem on był wyraźnie szczuplejszy, miał zszarzałą i zrytą zmarszczkami twarz, a jej lewe oko skrywał źle zawiązany bandaż.

Pozostałe trzy fotografie miały załamane brzegi. Delia muskała je delikatnie palcami. Na pierwszej z wierzchu trzymała w ramionach niemowlę dokładnie tak samo, jak na kolorowym zdjęciu obejmowała Cissy. Obok niej stało dwuletnie dziecko o poważnej twarzy, a znad jej ramienia wзираł mężczyzna o rozmytych rysach, patrzący przed siebie oszołomionym, lecz gniewnym wzrokiem. Delia przykryła jego twarz kciukiem i przestała śpiewać.

- Żeby cię szlag trafił! - mruknęła i spostrzegła, że Rosemary ją obserwuje.

Rosemary bez słowa podniosła dwa pozostałe zdjęcia. Na jednym mężczyzna — Clint Windsor — brał na ręce dwuletnią Amandę przed małym drewnianym domkiem. Stał na nagiej, ubitej ziemi, odwrócony plecami do ganku na wpół ocienionego kapą z madrasu. Na ostatniej fotografii zaś oprócz Amandy, której na głowie sterczał ciasny pędzelek wiotkich włosów, widać było małą Dede o kosmykach równie jasnych i równie cieniutkich jak włosy siostry i na spłowiałym zdjęciu już prawie niewidocznych. Rozdzielała je starsza ciemnowłosa kobieta, która spletała ręce jak do niechlujnie odmawianej modlitwy. Kobieta przyglądała się swym złożonym dłoniom, natomiast dziewczynki wpatrywały się w obiektyw ogromnymi, nieruchomymi oczyma.

— I co teraz zrobisz, kochanie? — zapytała Rosemary, oddając Delii zdjęcia.

— Pojadę do domu. Pojadę do domu i odzyskam swoje maleństwo.

Z głębi domu dochodziło je rozpaczliwe łkanie Cissy.

— Och, Delio... - Rosemary potrząsnęła głową. — Boże, dziewczyno, przecież ty nie masz na to najmniejszej ochoty. Te maleństwa są już prawie dorosłe. Nie widziały cię od ponad dziesięciu lat. Nikt nie przyjmie cię tam z otwartymi ramionami.

— Nie wiadomo. Mam tam krewnych. Mam przyjaciół. — Delia podniosła się nagle, omal nie przewracając podnóżka. — A one nie przestały być moimi córkami. Tak samo jak ja wciąż jestem ich matką. To się nie zmieniło. Będą się na mnie wściekać, na pewno, ale zniosę wszystko. Tutaj też znosiłam.

— A Cissy? O niej też musisz pomyśleć. — Rosemary zerknęła przez ramię. - Tylko posłuchaj, jak płacze. Właśnie straciła ojca, a dobrze wiesz, kim on dla niej był. Cissy uważa, że to wszystko przez nią, a Randall w życiu nie zbłądził. Nie spiesz się, Delio. Nie spiesz się i spokojnie to sobie przemyśl.

— Ależ ja myślę o Cissy. Myślę o wszystkich moich córkach. — Zadrżały jej ramiona. Mocno przyciskając łokcie do brzucha, niechcący zmieła zdjęcia, które trzymała w ręku. — Rosemary, zrobię to, co zrobić muszę. Powinna być wrócić do domu już kilka lat temu. Los Angeles to nie miejsce dla mnie. Nigdy nim nie było. To, co kochałam w muzyce, nie ma nic wspólnego z życiem w Kalifornii. Nie cierpię Los Angeles, tego przekłętego zewnętrznego kręgu piekła.

Rosemary zagryzła wargę. Delia miała czerwoną i spoconą twarz, lecz nie czuć jej było alkoholem. Pachniała gorączką, smutkiem i pełnym goryczy gniewem.

— Kochanie... — szepnęła Rosemary, kładąc dłoń na twardym, naprężonym ramieniu przyjaciółki. — Chcę tylko powiedzieć, że nie musisz się z niczym spieszyć. Daj Cissy szansę, żeby mogła dobrze zrozumieć to, co się stało.

Ale Delia jej nie słuchała. Ona wyjedzie - pomyślała Rosemary. — Wróci do Cayro, żeby walczyć o swoje córeczki z bandą pomyleńców. Niechętną dłonią koiła przyjaciółkę, głaszcząc ją po ramieniu. Spojrzała na zgniecione zdjęcia, na dwie dziewczęce buzie, równie mało przystępne co twarz jej przyjaciółki.

— Och, Delio — powtórzyła raz jeszcze — proszę cię, nie działaj pochopnie.

O pogrzebie rozpisywały się wszystkie gazety i w gruncie rzeczy była to naprawdę bardzo wystawna impreza. Dyrektor Columbia Records, który zadzwonił do Delii z propozycją, że przyśle po nią samochód, ze zdumieniem usłyszał, iż Delia wcale się na pogrzeb nie wybiera.

— Nie będziecie patrzeć, jak płaczę - oświadczyła. — Niech robią zdjęcia dziewczynie, której Randall o mało co nie zabił. Niech pokażą ją bez zębów.

W końcu jednak uległa, chociaż zarzekała się przed Rosemary, że prędzej zje garść ziemi, niż włoży czarną sukienkę i pojedzie do kościoła w Glendale — nie mogła tego zrobić rozpaczającej Cissy. Wykupiono stosowną parcelę na cmentarzu Forest Lawn, ale i tak nikt nie miał pewności, czy Randall istotnie tam trafi. Booger, nieprzytomnie trzeźwy i dwukrotnie masywniejszy niż za czasów swojej współpracy z zespołem, przyjechał aż z Oregonu, żeby zająć się organizacją pogrzebu, lecz uporczywie odmawiał odpowiedzi na pytanie, co stanie się z ciałem Randalla.

— Zostawcie to mnie — powtarzał. — Po prostu zostawcie to mnie.

— Idę o zakład, że zaciągnie zwłoki na pustynię Mojave i spali je na stosie uschłych krzaków i juki — prorokowała Rosemary.



— I tak by było dobrze - odparła Delia cicho, żeby Cissy nie usłyszała.

Cissy przepłakała wymamrotaną przez Boogera mowę pogrzebową i całe, obce jej, nabożeństwo. Delia milczała, nie roniąc ani jednej łzy. Głos zabrało kilku członków zespołu, na szczęście jednak nie rozwodzili się zbyt. Delia czekała, aż wreszcie ktoś powie to, o czym wszyscy wówczas myśleli: że śmierć Randalla nie różniła się zbyt od samobójstwa, że połowa ludzi z zespołu nie odzywała się do niego już od pół roku i że pozostali dzwonili doń wyłącznie wtedy, gdy potrzebowali pieniędzy. Najwyraźniej wszakże na widok łkającego osieroconego dziecka zabierający głos przerabiali w myślach swoje wystąpienie, dlatego więcej było „Niech mu Bóg błogosławi” niż „Niech go diabli wezmą!”, po czym wszyscy mówcy z niekłamanym wzruszeniem dołączali do chóru śpiewającego wzniosłe hymny. Było to nabożeństwo najbardziej przypominające nabożeństwa zielonoświątkowców, jakie można zorganizować w kościele episkopalnym w Los Angeles.

— Było całkiem niezłe — podsumowała Delia, kiedy wyszli na schody przed świątynią.

Booger skinał głową. Oboje wiedzieli, że to Rosemary i kilkoro z dawnych członków zespołu postarali się o muzykę, głównie bluesa, a także o kwiaty — wielkie kępy gladioli i absurdalnie pogodnych, gigantycznych słoneczników sprowadzonych z Brazylii.

— To ostatnie koszty, jakimi możemy obciążyć firmę - skwitowała Rosemary z szerokim uśmiechem.

Udało się także powstrzymać pastora od wygłoszenia przygotowanego kazania.

— Randall nie należał do ludzi szczególnie religijnych — powiedział mu ktoś z sekcji instrumentów dętych, wywołując tym salwę śmiechu wśród kolegów.

Wychodząc z kościoła, wszyscy mówili to samo:

— Było niezłe.

— Tak, nie najgorzej.

Stypa też była nietypowa. Rosemary nazwała ją pogardliwie karnawałem. Obowiązywało hasło „Rock and roll nie żyje”,

a przyjęcie obsługiwała firma dająca upust na alkohol. Większość gości przyjechała nieźle wstawiona lub na haju. Mieli obwisłe twarze, oczy ukrywali za ciemnymi okularami.

— To błąd, że bankiet zorganizowano w domu Randalla — powiedział jeden z facetów z Columbii.

Rosemary przyznała mu rację. Dawni członkowie zespołu wynieśli się z przyjęcia już po kilku pierwszych godzinach, ale otwarty dom przyciągał świeże tłumy: kapele jeżdżące po kraju, sezonowych muzyków, dilerów i ich klientów, wiecznie otaczających Randalla, oraz wszystkie kobiety, które przemaszerowały przez jego sypialnię od czasu wyprowadzki Delii.

— Rock and roll nie żyje! — wykrzykiwali zebrani cały wieczór.

2 godziny na godzinę pijaków ogarniał coraz większy gniew. Ludzie płałali się po domu, zbierali pamiątki i zostawiali po sobie inne. Gdzieś koło północy ktoś upuścił kryształową gitarę, którą Randall otrzymał, gdy po nagraniu *Diamonds and Dust*, Mud Dog sprzedał półmilionową płytę. Ten incydent zainicjował ogólną demolkę i ludzie zaczęli rozbijać rozmaite rzeczy dla samej przyjemności oglądania latającego w powietrzu szkła.

— Gdzie Delia? — zapytał jeden z biesiadników.

— Jest załamana — odpowiedział ktoś inny.

— Cholera, ja też!

Nie zważając na szlochające\* dziewczyny i przeklinających mężczyzn, Rosemary poszła na górę przejrzeć szafy Randalla. Siedemnastolatka, która podczas wypadku siedziała za nim na motorze, rozbitymi ustami bełkotliwie obrzuciła ją mięsem, lecz nie mogła jej przed niczym powstrzymać, gdyż miała obie ręce w gipsie. Dlatego Rosemary bez przeszkód zabrała to, po co przyszła: zdjęcia Delii i Cissy oraz kilka sztuk biżuterii z dużej szkatułki z tekowego drewna, stojącej na małym stoliku; Randall zawsze wrzucał tam swoje drobiazgi.

W wieczornym dzienniku pokazano migawkę z pogrzebu Randalla, a potem wyemitowano powtórkę przemówienia Reagana. Na widok cienkich, poruszających się bezgłośnie ust prezydenta muzycy z kapel objazdowych zaczęli obrzucać go wyzwiskami i wlewać piwo w bebechy wielkiego telewizora. Kiedy odbiornik w końcu eksplodował i na dywanik spadł pióropusz iskier, wszyscy roześmiali się bezradnie. Dywanik

wciąż dymił, więc Rosemary zwinęła go, wychodząc. Niewykluczone, że właśnie od niego tuż przed świtem *zapalił* się dom. Od dywanika i od trzydziestu, może nawet czterdziestu świec rozstawionych po całym pokoju przy cienkich firankach. Biesiadnicy przysięgali, że pożar wywołał sam Randall. Twierdzili, że przed wschodem słońca zobaczyli ducha ciągnącego za sobą warkocz płomieni.

— Zabrał ze sobą dom — powiedział dziennikarzowi z „Rolling Stone” jeden z podróżujących muzyków. — Zabrał go do piekła.

Randall i tak obrósł już legendą, a po tym incydencie przeobraził się w postać, jaką nigdy nie był: w Potępionego Księcia Rock and Rolla. To jego duch spalił dom, duch w wysokich butach z wężowej skóry, w zamszowej marynarce i w ciemnych okularach, błyszczący bielą zębów. Wyciągnął okaleczoną dziewczynę na trawnik, a potem wypalił się w dymie i w smrodzie poranka. Wytwórnia płyt nie przegapiła takiej okazji i czym prędzej wypuściła pamiątkowy album *Diamonds and Dust*, który sprzedał się znacznie lepiej niż oryginalna płyta. Na nowej koszulce albumu królował wyłącznie Randall: wężowa skóra, zęby i mrok nocy. Delia i reszta zespołu zniknęli bez śladu, ponieważ wycięto ich z tła.

— Randall byłby zachwycony - skomentowała Delia, kiedy Rosemary złożyła jej sprawozdanie z przebiegu stypy. Segregowała ubrania Cissy i piła czarną kawę. Twarz miała opuchniętą od łez i z niewyspania. Od śmierci Randalla przestała śpiewać swoje zaczarowane piosenki. Mruczała je tylko bądź szeptała, nuciła ludowe kawałki, kawałki Laury Nyro i hiszpańskie kołysanki, których nauczył ją Randall, gdy na świat przyszła ich córka. Przez cały ten czas nadal jednak nie sięgnęła po alkohol, choć nie miała poczucia, że jest to liczące się osiągnięcie. Wydawało się jej natomiast, że jeśli nie ruszy w drogę, alkoholowa zmora dopadnie ją i zaciągnie na plażę z butelką. Powrót do domu był dla niej jedynym rozwiązaniem. Poprawa, odzyskanie dziewczynek stanowiły jedyne wyjście. Tylko o tym potrafiła myśleć, tylko na takie myślenie sobie pozwalała.

— Cayro - powiedziała. - Kiedy dojadę do Cayro, wszystko będzie dobrze.

Rosemary skinęła głową, nie chcąc wdawać się w dyskusję z desperatką. Wiedziała, że ból się w Delii przyczaił, że tylko czeka, a kiedy w końcu zdecyduje się uderzyć, przyjaciółka zwiędnie jak kwiat w dusznym kościele. Ktoś powinien ją wtedy wesprzeć, ale czy w Cayro Delia kogoś takiego znajdzie? Rosemary zadrżała. Nie, nie pojedzie do Georgii nawet dla niej. To, co się stać musi, stanie się, i kropka.

— Do licha, dziewczyno — rzuciła, z przesadą naśladowując charakterystyczny akcent Doliny. — Obie dobrze wiemy, że najbardziej cieszyłby się z tego, gdyby całe Venice Beach poszło z dymem. — Wskazała zdjęcie w „The Timesie” pokazujące szkielet domu Randalla. — Ten facet zawsze lubował się w wizjach zwęglonej ziemi. Gdyby spłonął budynek Columbii, pewnie wstałby z grobu, żeby nasikać na zgliszcza.

Delia roześmiała się i z poczuciem winy zerknęła na córkę. Dziewczynka siedziała na kanapie i zupełnie rozkojarzona,ssała brudny kosmyk rudych włosów, tuląc do siebie oprawione w srebrną ramkę zdjęcie ojca, które Rosemary wyniosła dla niej ze stypy. Cissy przysięgła sobie, że nie będzie już płakać, choć tylko na to ciągle miała ochotę. Postanowiła także ignorować Delię, ale to okazało się jeszcze trudniejsze. Matka pakowała się jak szalona. Ściągała z półek książki, zdejmowała ze ścian reprodukcje, natomiast wszystko to, co nie mieściło się w samochodzie, z miejsca oddawała Rosemary. Mówiła tylko o jednym: o powrocie do domu, tak jakby pomysł ten miał Cissy uszczęśliwić. Teraz znowu podeszła do kanapy i zaczęła swą litanię od początku.

— Nie martw się, kochanie — mówiła. — W Cayro wszystko będzie inaczej. Zupełnie inaczej niż tutaj. Tamtejsi ludzie są lepsi. Troszczą się o innych, mają czas, żeby porozmawiać z sąsiadem. Nie kłamią, nie oszukują, nie chcą nikomu zaszkodzić. Nie boją się, bo nie muszą cały czas się pilnować. Wiedzą, kim są i co jest w życiu ważne. A ty nareszcie zamieszkaś ze swoimi siostrami. Nie będziesz sama, kochanie. Jeszcze nie wiesz, jak to jest, kiedy się kogoś ma. Mogę ci to dać, Cissy.

— Nie pojedę — oświadczyła mała, używając tych samych pustych słów, które rzuciła jej w twarz, gdy przenosiły się do Venice Beach.

— Tam będziesz szczęśliwsza. — Oczy Delii lśniły niczym skały na brzegu oceanu. - Wszystko ułoży się tak, jak zawsze tego pragnęłam. Ty, ja, Amanda i Dede zamieszkamy razem. Twei jedyni krewni na świecie są właśnie w Cayro, twoi i moi: twoje siostry, twój dziadek.

Cissy mocniej przytuliła fotografię Randalla i spojrzała na Rosemary jak zaszczute zwierzę.

— Twoje siostry — dodała Delia z mocą — twoje siostry nie będą się mogły nadziwić, jak bardzo je przypominasz. Sama w to z trudem uwierzysz. — W kąciку jej lewego oka zalśniła łza, która na chwilę zawisła na powiece i ześlizgnęła się w dół.

Cissy nie odrywała wzroku od mokrego śladu na policzku matki. Siostry. Amanda i Dede. Dede i Amanda. Od chwili gdy przyszła na świat, bez przerwy słyszała ich imiona i widziała, jak strasznie Delia je oplakuje. Utracone dziewczynki. Najcenniejsze. Delia wciąż powtarzała, że orzechowe oczy Cissy są lustrzanym odbiciem oczu Amandy, a jej rudawe włosy mają dokładnie ten sam odcień co włosy Dede z okresu jej niemowlęctwa. Prezenty urodzinowe, bożonarodzeniowe, koszyczki wielkanocne, upominki z okazji powrotu do szkoły składały się na jeden i ten sam mit. „Od twoich sióstr”. „Od Amandy”. „Od Dede”. „Do zobaczenia”. „Do rychłego”.

W co Cissy miała uwierzyć? Że siostry, których nigdy nie widziała, marzyły o niej, pakując prezenty i wypisując kartki z pozdrowieniami? Nie. Takie same paczki i dowody pamięci matka wysyłała także w jej imieniu, a przecież Cissy zupełnie na tamtych dziewczynkach nie zależało. Podpisywała tylko to, co trzeba; starannie, drukowanymi literami kaligrafowała dyktowane zdania, precyzyjne i bezosobowe. Łzy i gwałtowne uczucia stanowiły domenę Delii, która, o dziwo, nigdy nie zauważyła, jak Cissy odwraca głowę na dźwięk imion swych sióstr: Amandy i Dede.

— Och, Cissy... - Głos Delii aż ochrypnął ze wzruszenia. - W domu będzie nam dobrze. Zobaczysz. Sama zobaczysz.

Cissy przytknęła usta i czubek języka do ramki zdjęcia, rozkoszując się słodkim smakiem metalu. Uwielbiała wdrapywać się Randallowi na plecy i wtulać twarz w jego szyć. Skóra ojca miała słodkawy, jakby przydymiony smak, nikt na całym świecie nie smakował tak jak on. Gdy podczas pogrzebu Delia

przytuliła Cissy, jej szyja miała smak zwietrzałego piwa. Mogła już nigdy nie brać alkoholu do ust, ale co z tego? Nic. Cissy czuła w niej tylko złość i gorycz. Spojrzawszy na matkę, jeszcze mocniej przywarła ustami do metalowej ramki.

- Kiedy dojedziemy do Cayro, zadzwonię do ciebie od dziadka Byrda — mówiła Delia do Rosemary, która wpatrywała się w twarz dziewczynki, równie pustą jak naga ściana za jej plecami.

Cissy słyszała o Cayro. Cayro było miejscem, w którym na świat przyszła jej stuknięta matka, miejscem zapomnianym przez Boga i ludzi. Było także ostatnim miejscem na ziemi, gdzie córka Randalla Pritcharda pragnęłaby się znaleźć.

- Nie pojedę — wymruczała po raz kolejny.

Delia objęła Rosemary za szyję.

- O Boże — jęknęła. — Tym razem zrobię wszystko, jak trzeba.

Na dobrą sprawę dla Delii rock and roll umarł już w siedemdziesiątym szóstym, kiedy Mud Dog przestał jeździć w trasę. Właśnie w tamtym roku Randall z hukiem opuścił biuro swojego agenta i przez parę tygodni trzeźwiwał w sanatorium w Palm Springs. W siedemdziesiątym ósmym, kiedy to Stonesi wypuścili swój dyskotekowy kawałek, Randall już nie pił i przedstawiał się na, jak to nazywał, rozwiązanie Keitha Richardsa, szprycując się heroiną na tyle, by nie stracić całej energii i czaru. Nakłonił też Columbię, żeby odnowiła kontrakt z Delią i sfinansowała wynajęcie studia nagrań, ale wiosną tego samego roku wywinął T-birdem koziołka w Topanga Canyon, omal nie oślepiając Cissy i pozbawiając się resztek uczucia Delii.

Delia postanowiła odejść i oświadczyła mu to prosto w nos. Początkowo chciała do niego napisać, ale to, co zamierzała mu powiedzieć, na papierze wyglądałoby absurdalnie. Drogi Randallu, niewiele brakowało, żebyś nas zabił. Drogi Randallu, od dzisiaj troszcz się o siebie sam. Drogi Randallu, złamałeś mi serce. Dlatego zamiast pisać pojechała prosto do studia. W pawilonie studia siedziała jedna z jego dziewczyn, niespełna dwudziestoletnia smarkuła na totalnym hajju.

— Masz jakieś imię? — spytała Delia, stając w drzwiach.

Dziewczyna tylko zamruwała.

— Idź po Randalla.

Przyszedł kilka minut później. Żrenice miał rozszerzone i szkliste. Stał w słońcu i uśmiechał się, jak to on.

— Co jest, cukiereczku?

— Wyprowadzam się.

— Wyprowadzasz się?

— Nie możemy już z tobą mieszkać.

— Cholera jasna, Delio! — Pogrzebał po wewnętrznych kieszeniach rozpiętej dżinsowej marynarki. — Nie dbam o was? Żle was traktuję, ciebie i Cissy?

Patrzyła na niego. Zacerwienił się, mimo to nie przestał się uśmiechać.

— W Venice Beach jest pewien dom — powiedział wreszcie. — Kupiliśmy go z Boogerem. Bałagan tam, ale chałupa jest pusta. Boogerowi nie odpowiadało sąsiedztwo. Moglibyśmy posprzątać... Jak chcesz, możesz tam zamieszkać.

Zawahała się i odwróciła wzrok. Dziewczyna obserwowała ich z pawilonu.

— Dobrze — zgodziła się Delia. — Dobrze.

— Czegoś ci potrzeba? - zapytał, sięgając po pieniądze.

Potrząsnęła głową.

— Och, Delio — wybełkotał. — Kochanie... — Nawet tego słowa nie potrafił wypowiedzieć wyraźnie.

Przez chwilę czuła do niego nienawiść. W końcu nie wziął jej z ulicy. Była matką jego dziecka, kobietą, która wszystko dla niego odrzuciła. Nie miał prawa wymawiać jej imienia z sennym uśmiechem na ustach. Stała więc przed nim i nie przeszkadzała mu sycić się pogardą, z jaką na niego patrzyła.

Podał jej rachunki. Chlasnęła go na odlew, potem wspięła się na palce, żeby go pocałować w policzek. Zaskoczył ją zapach jego skóry.

— Przepraszam — bąknął.

Kiedy Delia pakowała rzeczy, Cissy cały czas szlochała w swoim pokoju. Delia raz po raz ocierała twarz i wspominała zapach i smak skóry Randalla tamtego dnia. Zdumiewało ją, że przeżyła jego śmierć prawie bezboleśnie. Z drugiej strony tak dawno uznawała go za martwego, że z trudem opłakiwałaby go na nowo, pamiętając, iż szedł na spotkanie ze śmiercią już

wtedy, gdy się jeszcze z sobą kontaktowali. Tak, bo choć wszyscy wokół Randalla żyli sobie w najlepsze, on postanowił wycofać się z tego świata i zaczął powoli umierać. Nie mogła jednak zapomnieć, że omal nie zabrał ze sobą także jej i Cissy. Zostało po nim wspomnienie zbitego, parzącego skórę szkła i trącający goryczą zapach ukochanego mężczyzny. Nie spodziewał się, że Delia wytrzeźwieje albo że go zostawi. Nie spodziewał się, że cokolwiek się między nimi zmieni.

Zamknięte pudło okleiła taśmą i mocno je kopnęła. Pokochała Randalla od pierwszej chwili, od chwili gdy w jaskrawym świetle reflektorów błysnął anielskim uśmiechem. To, że wciągnął ją do swego objazdowego autobusu — na jego kremowej koszuli zostawiła ślady krwi z pościeranych rąk — wydało jej się cudem.

— Dziewczyno — powiedział wtedy. — Boże, jak ty wyglądasz!

Wspomnienia związane z tamtą chwilą były złociste i dymne niczym dwucalowej grubości warstwa whisky w naczyniu z grubego szkła. Jim beam w barowej szklance, stos kruszonego lodu w małym ręczniku, przenikliwa woń marihuany i olejku patchouli. Od momentu gdy Randall pomógł jej wejść do autobusu, czuła się odrętwiała i krucha. Whisky, którą ją poczęstował, rozgrzała jej żołądek, a lodowata szklaneczka ochłodziła skronie. Ale to jego czuły uścisk odmienił cały jej świat, otwartość i swoboda, z jaką ją otulił. Nie powinna mu być zaufać ani też zbyt gorliwie pozwalać na to, by ją dotykał, mimo że na granicy jej twarzy i szyi coraz bardziej ciemniał ślad furii Clint'a. Może to wszystko przez whisky? Może przez koła autobusu, które, obracając się sprawnie i pewnie, uwoziły ją od koszmaru, jaki za sobą zostawiała? A może przez to od dawna hołubione pragnienie, żeby po prostu uciec? Ale niewykluczone, że przez samego Randalla i jego sposób bycia.

Chciało jej się krzyczeć na tę postać ze wspomnień, na ciało Randalla już od dawna martwe, niszczone jeszcze za życia. Był taki piękny, kiedy ją brał w ramiona, taki silny i czuły, gdy tak bardzo cierpiała. Wydawało się jej wówczas, że jest jedynym mężczyzną na świecie, do którego może przyłgnąć i czuć się bezpieczna. Jakże mogła go nie pokochać? Kochała go ponad życie.

Po wypadku w Topanga Canyon, kiedy wciąż na nowo



usiłowała trzeźwieć, w ogóle przestała do niego zaglądać. Nawet wówczas, gdy znów popadła w ciąg, nie dała się skusić żadnej z wytwórni, które posyłały po nią limuzyny i nakłaniały do podpisania kontraktu na występy solowe. Przestała lubić przyjęcia, a rozmowy o interesach nigdy nie sprawiały jej przyjemności. Trzeźwa czy pijana, mieszkała w małym miasteczku wewnątrz swego serca, nie zważając na świat, w którym miłość kończyła się cierpieniem.

Jak tylko zamieszkały w Venice Beach, próbowała zachowywać się tak, jakby znalazła się w kolejnym miasteczku podobnym do Cayro. Nie miało znaczenia, że za jej domem rosły tysiące innych domów, pudełka wielkości znaczka pocztowego, rozrzucone po całym okręgu Los Angeles, na północ od Santa Monica i na południe do Long Beach, dominujące we wszystkich osiedlach przedmiejskich aż po San Diego. Delia rzadko opuszczała najbliższą okolicę i póki trzymała się z dala od autostrad, mogła udawać, że odcięty się z Cissy od świata zewnętrznego. Ale kiedy wiozła córkę do domu Randalla w West Hollywood lub też gdy zaglądała do pawilonu studyjnego w Santa Monica, widok wielkiego Los Angeles wprost ją szokował. Szklane budowle przy Wilshire, groteskowe posesje w Beverly Hills, płatnina autostrad, po których tak chętnie grasował Randall, nie należały do jej świata. Jej świat ograniczał się do małego domu ze spłachetkiem ogródka, dużego samu kilka ulic dalej, do szkoły Cissy, mieszczącej się dwie przecznice za samem, oraz domu Rosemary w Marina Del Rey, który czasami odwiedzała.

— To dziwne — skonstatowała niedługo po odejściu od Randalla. — Ile razy sięgam po alkohol, cofam się w czasie. Wyobrażam sobie, że znowu jadę z nimi autobusem. Tak bez żadnego celu, przed siebie. Z zespołem.

— Mhm... — Rosemary wypuściła dym nosem. — I że znów pędzisz do toalety, żeby pojechać do rygi i przy każdym skurczu żołądka przeklinać Randalla, co? Pamiętam, jak byłeś w ciąży i rzygałeś jak kot. Pamiętam tamte podróże autobusem.

Delia odgarnęła z oczu niesforny kosmyk włosów i wzruszyła ramionami.

— W mojej wyobraźni zawsze jest rok siedemdziesiąty pierwszy, wszyscy są młodzi i szczęśliwi. Jak we śnie, jak w dobrym śnie.

Rosemary potrząsnęła głową.

— Nie ma to jak wyśnione życie, co?

Delia jako jedyna członkini zespołu Mud Dog uwielbiała wyjazdy w trasę. Podczas gdy inni bledli i męczyli się na objazdówkach, ona wręcz kwitła. Za dnia drzemała w autobusie, z łatwością zapadała w sen za kulisami. Dużo piła, mało jadła, głównie owoce i ryż. Wystrzegała się pigułek i wszelkiego proszku, po których nakręceniu do najwyższych obrotów członkowie zespołu nie mogli zasnąć i wymiotowali równo. W tym całym objazdowym chaosie ona zachowywała pogodny spokój. Płynęła środkiem przeładowanego autobusu z uśmiechem na ustach i z butelką w dłoni, a przechodząc obok zatłuszczonych laminatowych szafek, muskała je leciutko niczym kwiaty lub słodko pachnące pnącza. Czasem po prostu stawała w przejściu, podparła się dla równowagi ręką, przymykała oczy i gdy autobus podskakiwał, chwiało się na boki, balansowała ciałem i odnosiła wrażenie, że tańczy. Śmiała się, myśląc, że choć stoi w miejscu, to przecież i tak pędzi przed siebie.

Nie lubiła moteli, bankietów, usługowych handlarzy, sprzedających narkotyki za furgonetkami z bagażem, ani fanów, przed którymi nigdy nie potrafiła uciec. Zawsze ktoś wyskakiwał jej niespodziewanie zza pleców, chcąc z nią porozmawiać lub jej dotknąć, zawsze ktoś łąził za nią tak namolnie, że wreszcie zaczęła stronić od Randalla, Rosemary, Boogera, a nawet od Małego Jimmy'ego perkusisty, który lubił nieśmiało trącać ją łokciem. Jej odporność osłabła do tego stopnia, że nieraz Delia zastanawiała się, czy w ogóle wyjść z zespołem na scenę. Po pewnym czasie życie w trasie wyczerpywało tak bardzo, że traciło się satysfakcję z wykonywania utworów, których inni przychodzili posłuchać, i Delia zrozumiała, iż bez najmniejszych zastrzeżeń kocha jedynie muzykę w swojej głowie. Za samą drogą — za dwupasmowymi asfaltówkami i sześciopasmowymi autostradami, za zajazdami dla kierowców ciężarówek, gdzie tak naprawdę można było liczyć jedynie na jajka i butelkowane piwo — nie przepadał nikt. Droga potrafiła niepostrzeżenie zawładnąć człowiekiem nieoczekiwaną poezją znaków: uspokajającymi mrugnięciami odblaskowych słupków, odmierzających kolejne mile, rytmem kół obracających się z szumem po asfalcie i piosenką budzącą się w głowie Delii. Upijała się

drogą tak samo, jak upijała się whisky: stawała się łagodna, nieco psotna, uśmiechnięta, wyluzowana i obojętna na troski świata niczym dwunożna śmierć.

W autobusie śniła jak w żadnym innym miejscu. Nuciła w takt szumu kół i z powiekami przymkniętymi na tyle, że przepuszczały tylko blask świateł drogowych, odpływała w niebyt. W tym stanie, w stanie ni to snu, ni pełnego czuwania, rozmyślała o domu, o Cayro, Amandzie i Dede. Czasami marzyła o córkach, wyobrażając sobie, jak pod jej czujną opieką rosną i wyrastają na duże dziewczynki. Śniąc ten sen, płakała z ulgi, gdyż to, co zdarzyło się w jej życiu po narodzinach Dede, zostało z niego wymazane. Nie pojawiał się tam ani Mud Dog, ani dom w Venice Beach, ani Cissy, trzecie dziecko o leniwych ustach Randalla i jej rudych włosach. W tym śnie Delia była dobrą matką. Klęczała na gliniastej ścieżce przy starym domu w Cayro, obejmowała ułożonymi w kielich palcami maleńką buzię Dede, a jej policzki spływały palącymi łzami.

Bywało, że czas w marzeniach płynął inaczej. Wtedy spływała w nich między dzieci niczym anielica już w tydzień po ucieczce z Cayro autobusem Randalla. Chwytała córki w objęcia, przyciskała je do piersi, a gdy już oplotły ją ramionkami i do niej przywarły, z jej barków wyrastały skrzydła, które unosiły je wszystkie wysoko i daleko niczym wiatr Santa Ana wiejący nad południową Kalifornią.

„Mamo — mówiły dziewczynki jednogłośnie - mamo”, a serce Delii ścisnęło się w odpowiedzi. Dzieci ze snu wołały ją i przytulając się do niej, powtarzały: „Wiedziałyśmy, że po nas wrócisz, mamo”. Miały zaróżowione, rozpalone buzie i włosy pachnące ziemią równie słodko jak jej dłonie, gdy pracowała w ogrodzie. Wdychała woń córek i drżała w środku, sycąc się ich zapachem. Ale wyciągające się do niej ramionka były tylko ułudą, a ożywione w wyobraźni dziewczynki jedynie duchami. Droga Delii wiodła w najróżniejsze miejsca, lecz nigdy do Cayro. Słodki zapach ziemi rozmywał się gdzieś w dali, ona zaś budziła się gwałtownie z policzkami mokrymi od łez i z mięśniami napiętymi od trzymania czegoś, czego wcale nie było.

Trzeźwa i w pełni przytomna, wiedziała, że jej sny są tylko uspokajającym kłamstwem. Gdyby to córki o niej śniły, nie

pojawiłaby się w ich snach w aureoli miłości. Amanda i Dede śniłyby gniewne sny koszmary, sny buchające wściekłością. A jednak w pierwszych tygodniach po śmierci Randalla znowu wróciły do niej sny z autobusu, sny o małych córeczkach, o ich mamie, o winie i nadziei.

Opróżniając szafy niewielkiego domku, raz po raz jątrzyła żywą ranę sumienia. Upłynęło dziesięć lat. Dede i Amanda wyrosły z niemowlęstwa. Jedna miała lat jedenaście, druga trzynaście, były prawie dorosłe, może jednak wcale nie czuły do niej nienawiści? Może myślały o niej z taką samą nadzieją, z jaką ona o nich? „Może” przeradzało się powoli w „możliwe”, potem w „całkiem prawdopodobne”, wreszcie w „Boże, tak, bez wątpienia!” Tak właśnie rozumowała Delia pijąca, Delia najbardziej oddalona od rzeczywistości. A wszystko przez ten głos, który zapewniał cichym szeptem, że przecież jeden kieliszek jej nie zabije, a i następny nie może zaszkodzić. Szatan czy desperacja? Głos bezustannie coś naszeptował i namawiał ją, ciągle namawiał. Delia poprzysięgła sobie, że już nigdy nie weźmie alkoholu do ust, lecz jej córki nie były pijacką ułudą. Jej córki były prawdziwe. Tak samo jak Cayro. Jak jej dom. Ponoć nie można sobie zapracować na przebaczenie, jednak słuchając tego głosu, Delia Byrd spakowała cały swój dobytek i postanowiła spróbować.

## 2

Cissy nigdy nie opuściło wrażenie, że z maleńkiego domu, o oknach obrosniętych jaskraworóżowym kwieciami, w jednej chwili przeniesiono je na autostradę, po której pędziły starym, załadowanym po sufit datsunem.

Z Los Angeles wyjechały tuż przed świtem, w piętnaście dni po śmierci Randalla. Delia zamknęła frontowe drzwi, wepchnęła klucz przez szparę na listy, spojrzała z uśmiechem na Cissy i powiedziała:

— No dobra, już nas tu nie ma.

Urażona i smutna Cissy nie chciała wsiąść do samochodu.

— Nie pojedę - powtarzała z uporem.

Nie zdążyła zamknąć ust, gdy Delia wzięła ją na ręce z taką samą łatwością, z jaką dźwigała paczki i pudła, wrzuciła ją do wozu na miejsce obok kierowcy, zatrzasnęła drzwi i postała jej gniewne spojrzenie przez okno.

Zszokowana Cissy zwinęła się na siedzeniu. Delia nigdy jej nie uderzyła, nigdy nie dała nawet jednego klapsa. Nawet wówczas gdy piła, z nabożeństwem i bardzo powoli wyjaśniała Cissy, na czym polega jej niewłaściwe zachowanie. Rozsądek przede wszystkim — mawiała. Zawsze trzeba odwoływać się do rozsądku. Lecz to, co wydarzyło się teraz, przekroczyło granice rozsądku. To było czyste szaleństwo. Cissy bezradnie patrzyła na mały budynek. Przez dwa lata był jej domem i jedynym miejscem, w którym się czuła bezpieczna. Nie pojmowała, dlaczego Delia ją stąd zabiera. Nieobliczalne decyzje matki i śmierć ojca zlewały się w jedno, jej dziecięcy świat nagle runął, by przetrwać w sposób, którego nie pojmowała. Kiedy Delia skręciła z Venice Boulevard i wjechała na rampę autostrady numer dziesięć, Cissy zaczęła szlochać w zaciśnięte pięści.

— Na litość boską — odezwała się Delia jedwabistym, zmęczonym głosem. - Nie ma powodu do łez.

Cztery miesiące trzeźwości odcisnęły piętno na jej twarzy. Obrzmienie zniknęło bez śladu, lecz oczy wciąż miała mroczne, a w kącikach ust pokazały się nowe zmarszczki. Znowu zaczęła palić, a wieczorem w przededniu wyjazdu kazała ściąć na krótko swe długie rudoblond włosy. Powiedziała sobie, że jak tylko wjadą na autostradę, wszystko zmieni się na lepsze, że nim dotrą do Cayro, będzie wiedziała, co dalej robić.

Cissy płakała, silnik postukiwał znajomo, Delia nie zważała na nic. Nuciała coś pod nosem i nie odrywała wzroku od drogi. Stukot silnika ucichł, lecz ilekroć prędkość, z jaką jechali, spadała poniżej trzydziestu pięciu mil na godzinę, maska samochodu zaczynała tańczyć shimmy.

— Jak się rozgrzeje, będzie lepiej — zapewniła pogodnie Delia. A gdy straciła cierpliwość do Cissy i do wozu, jęła walić dłońmi o kierownicę w skórzaną plecionkę, ponieważ zaś pudłowała często, z impetem i z satysfakcją biła dłońmi w uda. —

Jedziemy do domu. Cholera jasna, zamilczcie wreszcie. Wracamy do domu! - Tłukła pięściami w kierownicę, wciskała gaz i cały czas spoglądała w stronę Georgii. - Włóż okulary — powiedziała, zmieniając biegi.

Cissy otarła oczy.

- Nie potrzebuję.

- Włóż okulary!

Cissy rzuciła jej gniewne spojrzenie, mimo to pochyliła się i grzebała w torbie na podłodze tak długo, dopóki nie znalazła okularów. Choć ich nie cierpiała, stłumiły rażący blask i złągodziły pieczenie w oczach.

Delia zaciągała się ze złością i wydmuchała dym przez okno.

- Słowo daję, Cissy, zrobiłabyś wszystko, byle tylko mi dopiec. Dobrze wiesz, że w takim słońcu musisz nakładać okulary. Jak się rozłożysz z migreną, obie będziemy miały kłopot.

Cissy kopnęła stojącą na podłodze torbę. Już teraz bolała ją głowa od patrzenia na uykającą spod kół drogę i wyłaniające się znad widnokregu drogowaskazy, które znikwały za plecami przy zjazdach z autostrady.

Międzystanówka numer dziesięć była najpierw autostradą Santa Monica, potem autostradą Bernardino, wreszcie znów stała się międzystanówka numer dziesięć.

- Będziemy nią jechały spory kawał - oznajmiła Delia. — Aż do Tempe.

Bardzo długi odcinek drogi zbudowano na wysokim nasypie, dzięki czemu Cissy mogła zaglądać na podwórka, do małych zielonych ogródków, ukrytych za rozgałęzionymi konarami drzew, oglądać garaże, sznurki ze schnącą bielizną i meble ogrodowe. Przypominało jej to marzenie, w którym łapała okazję i uciekała z domu, a potem patrzyła z góry na świat codzienności, podczas gdy na dole ludzie podnosili wzrok, by na nią spojrzeć i zobaczyć, jak odjeżdża w dal. Jej fantazje kipiały podnieceniem, radością i tryskały pogardą dla tych, którzy znaleźli się niżej, teraz jednak chciała zatrzymać samochód, uchwycić się słupka odmierzającego kolejną milę podróży i spaść z powrotem na ziemię.

Za oknem mignął drogowszak zapowiadający zjazd na San Diego, a Cissy wspomniała te nieliczne okazje, gdy pozwolono jej wyjechać w trasę z Randallem, Delią i zespołem. Najczęściej jednak zostawała z Sonnym i Patch, by zdrowo jeść i spać na składanym łóżku razem z ich synkiem Wrenem. Traktowała to jako wygnanie, choć Randall przysięgał, że to dla jej dobra, a Delia stanowczo twierdziła, iż autobus nie jest odpowiednim miejscem dla dziecka. Przez wiele lat Cissy marzyła o podróżach, o podsmażanych kanapkach z serem, które Booger przygotowywał na propanowej kuchence, o postojach w środku nocy w przydrożnych restauracjach, o rozdziawionych ze zdziwienia gębach patrzących na wielki niebieski autobus, które oglądała z perspektywy ojcowskich kolan. Autobus był inną planetą, planetą, na której Delia uśmiechała się, sączyła whisky, czesała Randallowi włosy, a kosmyki Cissy splatała w cienki, lśniący warkoczek. Spokój. W autobusie panował spokój. Paliły się przygaszone światła, z trzech różnych taśm słychać było cichą muzykę. Raj dla dziecka. Cissy nigdy nie darowała Randallowi ani Delii tego, że przepędzali ją z autobusu. Jej marzenia o ucieczce zawsze wiązały się z podróżowaniem. Siedziała w nich w szerokiej limuzynie o przyciemnionych szybach i ledwie dotykając stopami pedałów, słuchała bez końca starych piosenek tatusia, które leciały w radiu. Gdzieś z daleka przywoływała ją pogrążona w smutku Delia, a Randall pisał piosenkę o utracie tego, bez czego, jak się przekonał, nie potrafił już żyć. Tymczasem uciekająca Cissy układała swoją własną piosenkę, jadąc gładkim, lśniącym warkoczem autostrady, oblizując palce z tłuszczu i kołysząc włosami w takt muzyki swego przyszłego zespołu.

Kiedy autostrada opadła niżej, wjechały w rejon centrów handlowych meksykańskich knajpek, sklepów z przecenionymi butami, stacji paliwowych i niedużych marketów z jaskrawymi kształtami latawców w oknach. Z czasem jednak zieleń wyparła sklepy, a drzewa w dalszej części doliny stały się gęściejsze. Godzinę później proces ten zaczął się odwracać i drzew robiło się coraz mniej i mniej, wreszcie rozmyły się zupełnie w pustynnym krajobrazie.

Kiedy dotarły do Palm Springs, zieleń powróciła, mimo to Cissy wciąż bolały oczy, dlatego co chwila podsuwała zjeź-

dżające po spoconym nosie okulary. Delia zatankowała dopiero wtedy, gdy wskazówka ilości benzyny doszła do końca skali. Cissy dostała coca-colę i torbę Doritos. Gdyby Delia zatrzymała się przy jakiejś restauracji, Cissy nie odważyłaby się zamówić grillowanego sera. Nie o takiej wyprawie marzyła.

— Mamy dobry czas — oświadczyła Delia, gdy córka wróciła do auta. Pomachała w stronę jasnego nieba. — I popatrz! Ani jednej chmurki aż po horyzont. Kwiecień to najlepsza pora na taką podróż. Ani śniegu, ani upału. Pogoda powinna się utrzymać aż do końca trasy.

Cissy najpierw zlizwała pomarańczowy puder z Dorito, potem odgryzła kolejno każdy wierzchołek trójkąta, na koniec zjadła resztę, popiła coca-colą, by po chwili zacząć wszystko od początku.

Delia wzruszyła ramionami, włączyła radio i zaczęła szukać po całej skali czegoś pogodnego. Dwie stacje nadawały *Sailing Christophera Crossa*.

— Nie ma to jak przebój - mruknęła. Nie znosiła takiej muzyki. Słowa piosenki mogły znaczyć wszystko, dlatego nie znaczyły nic. Nawałnica dźwięków zagłuszająca słabe zawołanie Crossa przeszkadzałyby też Randallowi, podobnie jak mętna sekcja blaszana grająca tak głośno, że nie można było rozróżnić poszczególnych dźwięków. Swego czasu Randall kopnął wieżę stereo, kiedy Rosemary nastawiła płytę Roda Stewarta. — Ten sukinsyn powinien wzmocnić basy — wymruczała i spojrzała na Cissy przeżuwającą kawałek kolejnego Dorito. Delia westchnęła i kręciła gałką radia dopóty, dopóki nie złapała całodziennej audycji w hołdzie Johnowi Lennonowi. — No, w porządku. - Uspokoiła się, lecz już po kilku milach stwierdziła, że disc jockey puszcza tylko *Double Fantasy* i wygłasza obowiązkowe grubiańskie uwagi na temat Yoko Ono. — Drań. Człowiek nie żyje ledwie od kilku miesięcy, a oni znowu się na niej wyżywają. Wdowa po rockandrollowcu. Wszyscy uważają, że skoro nie chce zostać kapłanką zmarłego, równie dobrze sama może pójść do piachu.

Nigdy Lennona nie poznała, ale raz obserwowała Yoko cierpliwie siedzącą podczas jednego z tych wprawiających w odrętwienie wywiadów, jakich sama nigdy nie potrafiła wytrzymać. Znowu pokręciła gałką i złapała stację dla surfingowców, która



emitując przeboje, urządzała festiwal Beach Boysom oraz Jan i Deanowi, *Little Deuce Coupe* rozbrzmiewała dźwięcznym falsetem.

Od Palm Springs gwałtownie rozpleniły się indiańskie nazwy. Za Indian Wells i Indio pojawiły się tablice informujące o kolejnych rezerwach. Billboardy obiecywały naszyjniki i autentyczną ludową ceramikę, prezentowały gigantyczne, bujne wizerunki tancerek z Las Vegas w imitacjach diamentów i w niczym więcej. Tablica zapowiadająca rezerwat Indian z plemienia Cabazon leżała przewrócona obok innej, informującej o akwedukcie na rzece Colorado. Cissy zastanawiała się, czy w akwedukcie naprawdę jest woda. Skąd się tu brała pod tą płaską, białą i kamienistą ziemią? Gdy w powietrze wzbił się tuman żółtego pyłu, zapiekły ją oczy. Spojrzała na ciemniejszą nieckę, w której z piasku wystawała rura. Ludzie mieszkali na ulicach. Niektórzy spali w przepustach odprowadzających wodę. Czy i ona tak skończy? Będzie razem z Delią sypiała po rowach i kraśla resztki hamburgerów ze śmietników na tyłach McDonalda?

- Taka pustynia... — powiedziała. Widziała się w bocznym lusterku. Białka oczu miała tak pocięte czerwonymi żyłkami, że wyglądały jak mapa leżąca na siedzeniu obok.

- Och, to nie jest prawdziwa pustynia. - Delia otarła pot spod oczu wskazującym palcem lewej dłoni. - Zaczekaj tylko, aż wjedziemy do Nowego Meksyku. Wtedy zobaczysz prawdziwą pustynię. Kaktusy saguaros i pędziwiatry. Ilekroć oglądam tę kreskówkę o Kojocie i Strusiu, myślę o Nowym Meksyku.

- Muszę zrobić siusiu. — Cissy nie odrywała wzroku od lusterka.

- Na litość boską! Przecież nie dalej jak godzinę temu miałyśmy postój!

Cissy obróciła głowę, żeby na nią spojrzeć.

Delia wcisnęła pedał gazu.

- Wysikasz się w Arizonie. Nie zatrzymam się, póki nie wyjedziemy z Kalifornii.

Arizona bardzo przypominała Kalifornię, stanowiła po prostu dalszą część otwartej, spieczonej pustyni. Ale zaraz za Quartz-

site, tuż po zjeździe z głównej szosy, był ogromny parking i wielka aluminiowa tablica reklamująca rock market. Na parkingu panował ścisk i samochody stały nawet wzdłuż autostrady. Delia zwolniła i zjechała na stację Chevronu. Wysiadając z auta, rozcierała kark.

— Teraz możesz się wysuszać — oznajmiła. - Tylko nigdzie nie odchodź. — Pokuśtykała do budynku stacji z portmonetką w rękę.

Cissy ruszyła w stronę szaletu o kruszącymi się ścianach w szarokawym kolorze, na całej powierzchni porośniętych drobnymi źdźbłami trawy. Kilka stóp nad wejściem do przybytku sterczały zakurzone belki; do niektórych z nich na żółtych plastikowych linkach podczepiono spłowiałe już i luźno zwisające pomarańczowe proporce. Chłodziarka na coca-colę stała tuż przy drzwiach, otwarta i pusta. Cissy wstrzymała oddech i weszła do środka.

Zaskoczyła ją czystość ubikacji. Umywalka lśniła srebrem i bielą, jednorazowe ręczniki miały zielone lamówki. W ciemnobordowym plastikowym wazonie stała garść papierowych liści w jesiennych barwach pomarańczy i brązu. Jedną ze ścian przykrywał kolorowy plakat, reklamujący wystawę masek przedstawiających duchy przodków Indian Hoopi, organizowaną przez uniwersytet stanowy w Arizonie. Cissy szybko załatwiła swoją potrzebę i umyła ręce. Na brzegu umywalki leżało pachnące eukaliptusem mydło, lecz tylko je powąchała. Wyszedłszy na dwór, zobaczyła, że przy otwartej masce datsuna stoi Delia z mechanikiem. Mężczyzna mierzył bagnetkiem poziom oleju w silniku i potrząsał głową.

Rozległ się huk przypominający wystrzał korka z butelki i Cissy odwróciła się, by ujrzeć pęk czerwonych i niebieskich balonów uwiązanych do znaku Rockhound Camping. Balony podskakiwały w ciepłych podmuchach wiatru goniącego śmieci po ulicy. Były już spłowiałe, jednak nie tak jak koce i plandeki ocieniające furgonetki mieszkańców kempingu. Pustynia była miejscem pełnym barw, barw w zupełnie innych odcieniach niż te, które znała Cissy, gdyż wszystkie jaskrawe kolory wyblakły do przydymionych pasteli. Za furgonetkami stały liczne szeregi straganów pchlego targu. Cissy patrzyła na ludzi poruszających się w chmurze pyłu. Kilka płaskich, pokrytych

bliznami twarzy zwróciło się w jej stronę. Nie namyślając się wiele, ruszyła do nich, do ludzi w nieokreślonym wieku, mocno ogorzałych, o włosach czarnych, białych lub stalowych, ludzi krępych i dobrze umięśnionych. Wielu siedziało na ogrodowych krzesłach. Za plecami mieli swoje domy na kółkach, przed sobą stoliki do kart, na których wystawiali talerze i sznurki podszlifowanych kamieni. Cissy zatrzymała się pod niebieską plandeką, przed stolikiem założonym błyszczącymi kamieniami. Dotknęła sznurka ciemnoczerwonych.

- Czerwony turmalin. — Oddech kobiety pachniał anyżkiem i cytryną. Uśmiechnęła się do Cissy, ukazując duże, nieskazitelne zęby.

- Skąd je bierzecie? - Cissy nie mogła sobie wyobrazić, skąd pochodzi to surowe piękno. Piętrzyły się przed nią setki sznurków pogrupowanych wedle wszelkich odcieni czerwieni i czerni, po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kamyków w jednym naszyjniku, te zaś leżały związane w pęczki po dwadzieścia, czterdzieści, a wszystkie ułożone w taki sposób, by przywodziły na myśl zmysłowe zwoje pokrytych klejnotami węży olbrzymów.

Kobieta uniosła ramiona i podrzuciła głowę. Zatrzepotała różowa apaszka, wetknięta pod daszek osłaniający oczy przed słońcem. Jej ciało zdawało się drżeć i podskakiwać na sprężystych udach.

- Jeździmy, gdzie się da. Handlujemy. Kupujemy okazjnie, sprzedajemy niewiele drożej. — Ruchem głowy wskazała swój furgon. — Czasami trafia się coś naprawdę cudnego, wtedy zatrzymujemy to dla siebie. - Uniosła dłoń do podłużnego szlifowanego nefrytu. W zieleni kamienia uwięzło żółte światło. Cissy nachyliła się, by obejrzeć go z bliska.

- Podoba ci się? - spytała kobieta. Uśmiechnęła się znowu i podniosła dłoń, żeby głębiej podepchnąć zęby. - Masz dobre oko. Co byś chciała?

Cissy spojrzała na stół. Leżały tam naszyjniki koralików wyciętych w dziwaczne kształty, w gwiazdki, księżyce, kulki szlifowane w fasety. Czubkami palców dotknęła czarnych gwiazdek. Wydały jej się ciepłe.

- Tak, dobre oko. To lawa włoskiego wulkanu i krwawy kamień z Tennessee. Ładne i niedrogie. - Kobieta energicznie

skinęła głową, po czym chwyciła Cissy za ramię i przyciągnęła ją do siebie. Trzy razy szybko i mocno pociągnęła nosem, a potem w jednym długim wydechu wypuściła powietrze. — Aaaa... — Uśmiechnęła się i uwolniła dziewczynkę. - Czarny diament jest dobrym kamieniem na serce - oznajmiła po chwili. Wzięła postrzępiony kawałek hematytu i przeciągnęła nim po białej kartce papieru leżącej na stoliku. Na kartce powstały dwie czerwone linie.

— Och! — Cissy chciała uciec, ale się powstrzymała.

— Jak nim podrapiesz, zostawia czerwony ślad. Jak zmielesz, masz krwisty atrament. Znak serca. - Wypuściła kamień z ręki. Jej uniesiona i rozczapierzona dłoń zawisła nad stosami naszyjników. Uniosła wzrok i bystrym wzrokiem spojrzała na Cissy. Miała zielone oczy. Cissy zauważyła, że zieleń ta już nieco wyblakła, że jest jak trawa przy trzpieniach mocujących brezentową osłonę. Kobieta uśmiechnęła się, jakby słyszała jej myśli. — Co ci się podoba? Księżycy czy gwiazdy? — Jej ręka zawisła niezdecydowanie.

— Gwiazdy. — Randall miał kapelusz ze wstążką nabijaną gwiazdami. Hematyt płonął w słońcu srebrzystą czernią.

- Aha. - Kobieta huknęła dłonią w stolik i kamienie za tańczyły. - Hematyt jest niezwykły. Egipskim mumiom robiono z niego podgłówki. Wiedziałaś o tym? Tak, jest niezwykły. Wysysa z człowieka nienawiść. — Zgarnęła w dłoń naszyjnik z wyciętych gwiazdek, podniosła go i wyciągnęła przed siebie rękę.

Cissy spojrzała w jej zielone oczy.

- Wylecz sobie serce, dziewczyno.

Cissy wróciła do samochodu ze sznurkiem gwiazdek dwukrotnie okręconym na szyi.

- Gdzieś ty, u diabła, była? I skąd to wytrzasnęłaś? - Delia wyrzucała z siebie słowa jak karabin maszynowy, uspokoiła się dopiero wtedy, gdy zauważyła, że Cissy bardzo posmutniała. — Ładne. Pospolite jak przydrożny kurz, ale ładne.

Moje - pomyślała Cissy i zarumieniła się. Oparła się o drzwi, zwinęła się w kłębek i muskała palcami kamienie. Naszyjnik nadal sprawiał wrażenie ciepłego i miękkiego, lecz

gdy spróbowała wbić paznokieć w lśniącą powierzchnię jednego z koralu, na kamieniu nie został najmniejszy ślad.

Delia przekręciła kluczyk, głośno zawarczał silnik. Może się rozpadnie — pomyślała Cissy. — Może się zatnie i będziemy musiały tu zostać. Jej oczy widoczne ponad ramkami okularów przypominały obsydian. Może się rozwalimy — dumiała. — Może wyniesie ją z szosy i będziemy dachować? Pogłaskała pas bezpieczeństwa w miejscu, gdzie wpijał się jej w brzuch. Nie zapięty pas Delii leżał obok na złożonej mapie. A może matka wypadnie przez przednią szybę, skręci sobie kark i rozetnie gardło? Gdyby tak umarła, mogłabym... Co? Żołądek ścisnął się jej tak gwałtownie, że omal nie zwymiotowała.

Odwróciła się za siebie i patrzyła, jak parking i furgonetki sprzedawców z wolna nikną w oddali. Zza horyzontu wyłoniła się tablica informacyjna zapowiadająca parking Big Horn, przeznaczony dla samochodów z przyczepami. Cissy zastanawiała się, czy nazwali go na cześć Little Bighorn, gdzie zginął Custer. Kowboje i Indianie — przemknęło jej przez głowę. Potarła oczy.

- Musimy się przebić do Flagstaff — powiedziała Delia. — Będziemy długo jechać przez rezerwat Navajo. Mają tam Dolinę Pomników, Malowaną Pustynię i Kamienny Las. Z czterdziestej zobaczymy też niektóre wzgórza. Wielkie skały na tle nieba, jeśli zaświeci księżyc, z wrażenia rozdziawisz usta.

Cissy cały czas wyglądała przez okno.

- Kiedyś odwiedziliśmy z Randallem Dolinę Pomników — dodała ostrożnie Delia. — Jest zdumiewająca. Jak otwarta katedra. Naprawdę warto zobaczyć.

Cissy wypatrywała drogowskazu na Buckeye po lewej stronie szosy. Katedra — pomyślała. Spojrzała na odległe czerwone skały, na ciemnofioletowe i szare góry rysujące się na horyzoncie. Tu wszystko było katedrą. Wszystko było otwarte, nieskażone, szerokie.

Delia skręciła na autostradę numer siedemnaście prowadzącą przez Phoenix, by niedługo potem wjechać na kolejną, oznaczoną numerem czterdziestym. Rozłożyła mapę, pokazując trasę Cissy.

- Czterdziątą pojedziemy prawie całą drogę. Podobnie jak dziesiąta ciągnie się w nieskończoność. A w każdym razie aż do Nashville.

Cissy wciąż milczała, zatem Delia ponownie włączyła radio. Dwukrotnie trafiła na stacje nadające piosenki Mud Dog i jak najszybciej przesunęła wskazówkę skali. Mud Dog. Nie chciała ich słuchać. Znalazła pewną upartą stację rockową w Tempe, nadającą kawałki Captaina Beefhearta i Steelya Dana zupełnie tak, jakby się nic nie stało, jakby nikt na świecie nie umarł. Delia uczepliła się tej stacji, postanawiając słuchać jej do chwili, aż zniknie w eterze.

Późnym popołudniem opuścili Arizonę i wjechały do Nowego Meksyku. Cissy ujrzała jeszcze więcej indiańskich nazw. Kiedy minęły Gallup, przy drodze pojawiły się znaki zapowiadające Laguna Pueblo i małe, ręcznie malowane plakaty, reklamujące prawdziwą biżuterię z turkusów i tradycyjne indiańskie koce. Czy Albuquerque to też indiańska nazwa? A może hiszpańska? Wszystko jedno. Delia kazała jej zamknąć oczy i zasnąć. Nie zamierzała urządzić postoju tylko po to, żeby się przespać.

Cissy śniła o przepustach i dużych betonowych kanałach, o gwiazdach i księżycach lśniących w czarnej wodzie, o ciemnowłosych kobietach schylających się, by zebrać korale łez. Obudziła się pod Tucumcari ze zlepionymi i opuchniętymi powiekami. Pogoda dopisywała, miały doskonałą średnią przejazdu, ale obie były zmęczone i lepkie od zaschłego potu. A gdy znalazłszy się w ciągu powietrza za wyprzedzającą je półciężarówką, datsun zarzucił tyłem, Delia stwierdziła, że zaczynają jej drętwieć ręce i nogi, że są jak z gumy. Nagle uświadomiła sobie, że od wyjazdu z Los Angeles nie miały w ustach nic prócz chipsów i coca-coli. W Nowym Meksyku przydrożnych barów było co niemiara, podobnie jak jadłodajni mieszczących się w burych gipsowych domkach, chlubnie zwanych rodzinnymi restauracjami. Delia postanowiła stanąć na postoju dla wielkich tirów. Zaparkowała za półciężarówkami.

Sałatka z lodowej sałaty, ćwiartek pomidora, kilku kostek jaskrawo żółtego sera, do tego kurczak w sosie chili i teksańska grzanka. Cissy całą uwagę skupiła na jedzeniu i wypła trzy szklanki mrożonej herbaty. Delia niemrawo dziobała jajecznicę i z tęsknotą spoglądała na mężczyzn pijących piwo przy barze.

- O północy będziemy w Amarillo — powiedziała.  
- Dlaczego tak się spieszysz? — We fluorescencyjnym blasku światła czarne korale na szyi Cissy jarzyły się czerwienią.  
Delia starła kilka kropelek herbaty z brzegu szklanki.  
- Twój dziadek na nas czeka. - Zajrzała do szklanki.  
Cissy odłożyła widelec.  
- Dzwoniłaś do niego?  
- On na nas czeka — powtórzyła Delia. — Daj spokój, Cissy. Zawsze zależało mi tylko na tym, abyś wiedziała, że nie jesteś na świecie sama.

Stół był ciemny i tak grubo polakierowany, że Delia mogła się w nim przejrzeć. Jej nieco rozmazana twarz sprawiała -wrażenie zanurzonej w wodzie, tworzyła mroczny wizerunek kobiety, która nigdy nie potrafi powiedzieć tego, co myśli. Pamiętała spojrzenie dziadka Byrda, kiedy brał ją do siebie do domu, i jego ponurą wściekłość kipiącą pod wiecznym smutkiem. Pamiętała, jak zaczynała śpiewać, żeby wypełnić czymś świat. Przesunęła ręką po blacie, jakby ścierała z niego swój obraz.

- Że masz rodzinę — dodała. — Ot, nawet siostry, których nigdy nie widziałas. To błogosławieństwo, Cissy. Jesteś częścią czegoś większego. Kiedy dorastałam, nie miałam nikogo oprócz dziadka Byrda. — Potrząsnęła głową. — Ale on zachowywał się tak, że czasami wolałam być sama. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto by bardziej od niego przypominał kamień.

- Kamień? Świetnie. Nie mogę się już doczekać, kiedy go zobaczę - odrzekła Cissy.

- On wcale nie chciał taki być. — Delia poruszyła się na krześle. — Był zbyt zraniony, żeby znaleźć pocieszenie dla siebie czy dla mnie. I stary. Za stary, żeby wychowywać dziecko.

- To po co to robił?

Przez chwilę Cissy miała wrażenie, że Delia uderzy ją w twarz.

- Musiał - odparła wreszcie. — Nie było nikogo innego. — Przetarła stół serwetką. Nie mogła zetrzeć swojego odbicia.

Cissy poruszyła miseczką z sosem. Sądziła, że kurczak w chili będzie wyjątkowym daniem, tymczasem wcale nie był. Okazał się włóknisty i twardy, pomidory miały gorzki smak, a od

ostrej papryki jej język stał się gąbczasty. Ze wszystkiego, co stało na stole, najlepsza była sałata. Ale cóż to takiego sałata? Sama woda.

Delia wstała, żeby zapłacić za jedzenie. Cissy potarła koraliki naszyjnika i mocno przycisnęła łokcie do boków. W koszmar-nych snach dziesięcioletniej dziewczynki Amanda zjawiała się pod postacią czarnoskrzydłej wrony o ostrym dziobie, kraczącej głośno nad jej zgiętą szyją. Dede występowała w roli szczeci-niastego odyńca o ostrych niczym brzytwa racicach, tańczącego tuż przy jej nagich różowych stopach. Cayro w Georgii było głęboką jamą w czerwonej ziemi i w glinie, jamą o brzegach tak stromych, że Cissy nie mogła się z niej wygrzebać. A dia-dek Byrd był kamieniem. Zakryła oczy i mocno przycisnęła je dłońmi. W ciemności wykwitły gwiazdy. Tyłek zapadłej dziury, odbył wszechświata — to Cayro w Georgii i do tego rodzina, którą Delia kochała mocniej, niż kiedykolwiek mogłaby poko-chać Cissy.

Tylna szyba datsuna była wybita. Bagażnik otwarty na oścież. Nie zostało w nim nic prócz pudła wciśniętego między zapa-sowe koło i lewarek oraz na wpół opróżnionej butelki w pęk-niętym styropianowym termosie.

Cissy stała w otwartych drzwiach i nachyliwszy się nad tylnym siedzeniem, grzebała w resztkach dobytku. Złodzieje wyrzucili ubrania z torby na podłogę.

— Torba pewnie była im potrzebna na taśmy — domyśliła się Delia. Patrzyła na przedni fotel, gdzie została jedna jedyna rozbita kaseta z największymi przebojami Jefferson Airplane.

— Zabrali wszystko! — wykrzyknęła Cissy. — Wszystko, co miałyśmy.

— Nie. Nie wszystko. — Delia przycisnęła torebkę do biodra. - Będziemy miały więcej. Może im było to potrzebne bardziej niż nam? Są jak kojoty uganiające się za choćby i najmniejszą zwierzyną. — Stała przy samochodzie, trzymając pod brodą dłonie zwinięte w pięści. Jej przystrzyżone włosy zwiisały smęt-nie ciemne od potu.

Cissy gapiła się na nią z otwartymi ustami. A kto by się przejmował tym, czego potrzebują złodzieje? Zniknęły jej



ubrania, jej książki, małe puzderko ze spinkami i lśniącymi koralikami, które dostała od taty na ostatnie urodziny.

— Chcę wrócić do domu. Mogłabyś zadzwonić do Rosemary. Mogłybyśmy zatrzymać się u niej. — Wytarła nos w podniesiony z podłogi papier i żałośnie spojrzała na Delię.

- Przecież jedziemy do domu - odparła Delia. Bez tego całego majdanu czuła się lepiej, lżej i spoglądała na świat absurdalnie filozoficznie. Wyciągnęła apaszkę i odgarnęła nią kawałki szkła, potem ją strzepnęła i zawiązała sobie na głowie. Grzebała w ubraniach, dopóki nie znalazła koszuli dostatecznie dużej, by można było przewiązać ją w poprzek wybitego okna, od wieszaka na ubrania do rozprutej tapicerki na tylnym siedzeniu.

— Będzie nam dobrze — oświadczyła stanowczo. — Sama zobaczysz, jak dojedziemy do Cayro. Będzie nam dobrze.

— Nieprawda! W ogóle cię nie obchodzi! Ty mnie kradniesz! — krzyczała Cissy. — Ty mnie porywasz!

Dziesięć stóp dalej z otwartej kabiny ciężarówki przyglądał się im kierowca. Jadł kanapkę i pociągał gazowany napój z butelki. Delia spojrzała na niego i wzruszyła ramionami.

- Trafili panią - powiedziała, nie przerywając jedzenia. - Tutaj *to* normalka. — Popił, sięgnął za fotel, wyjął butelkę i szybko ją otworzył. — Proszę. Niech pani da małej. Jest zmordowana. Trzeba wlać w nią dużo płynu i niech śpi. Tu można się wykończyć od samego upału, a co dopiero, gdy człowieka okradną. Mam jeszcze kilka kanapek. Z mięsem. Chcecie?

Delia podeszła do niego po butelkę.

- Nie, dziękuję. Przed chwilą jadłyśmy. Ale z tym pić to dobry pomysł.

Mężczyzna ruchem głowy wskazał Cissy, która przestała krzyczeć i osunęła się na zderzak.

— Sam mam taką. Potrafią człowieka doprowadzić do szału. — Nie odrywając oczu od Delii, odgryzł kawałek kanapki. — Czy ja pani aby skądś nie znam? — Choć właśnie przeżuwał, jego słowa zabrzmiały dość wyraźnie.

Spojrzała mu w twarz. Koncentrował się tak bardzo, że aż się krzywił z wysiłku. Nie — pomyślała. — O nie!

- Nie sądzę.

Przełknął bułkę i skinał głową.

— Wie pani, kogo mi pani przypomina?

Czekała.

— Taką jedną piosenkarke... Tę, taką z długimi rudymi włosami. — Zmarszczył czoło. — No tę, która umarła... — ciągnął. — Janis! Janis Joplin! Pani pewnie ciągle to słyszy, co nie?

— Tak, tak — odrzekła z uśmiechem i kiwnęła głową. Nikt nigdy nie pomylił jej z Janis Joplin, ale nie chciała wdawać się w tę rozmowę. Pragnęła jak najszybciej wrócić na autostradę. — Dziękuję - powtórzyła.

— Wiedział, kim jesteś. - Po twarzy Cissy płynęły pot i łzy.

Delia potrząsnęła głową i podała córce butelkę z napojem.

— Kochanie, on w życiu nie słyszał o Mud Dog. Mogę się założyć, o co tylko zechcesz, że radio ma nastawione na stację nadającą country. Przypominam mu Janis Joplin.

— Janis Joplin nie żyje. - Cissy otarła nos. - Nie żyje od stu lat.

Delia otworzyła drzwi od strony pasażera i z nieprzeniknioną twarzą zaprosiła córkę do środka.

Cissy ją zignorowała.

— Mamy teraz mnóstwo wolnego miejsca — powiedziała i usiadła z tyłu.

Kiedy się położyła, pod łydkami i gołymi ramionami poczuła ostre grudki. Mogły to być okruchy skał lub rozbita w drobny mak szyba. Delia podłożyła jej pod głowę złożone dzinsy, lecz Cissy odsunęła je na bok. Ukryła twarz w zgięciu łokcia i jak tylko znalazły się na autostradzie, zaczęła cicho płakać. W rozpiętej na oknie koszuli gwizdał wiatr i wiedziała, że matka jej nie usłyszy.

— Będzie nam dobrze - powtarzała Delia. - Będzie nam dobrze.

Cissy wiedziała, że Delia mówi do siebie. Jak wariatka. Mówiła tylko po to, żeby usłyszeć, jak zabrmi to czy tamto słowo. Dziewczynka zatkała sobie uszy palcami.

Tył wozu stał otworem dla wiatru, kurzu i każdego złodzieja, jaki by się po drodze napatoczył. Cissy dostrzegała w tym znak, ale gdy koszula zanadto się oblużowała, Delia wzięła taśmę i przylepiła do okna kawałek tektury.

— I tak z większości ubrań już powyrastałaś — przypomniała. - Jak będziemy dojeżdżać, kupimy ci ładne ciuszki. Jakieś szorty i letnie sukienki. Takie, jakie ci się spodobają.

Jakby to o sukienki chodziło — pomyślała Cissy. - Jakby to nie one same zostały rozbite, jakby to nie one rozpekły się na milion kawałków. Gniew warczał między nimi głośny jak silnik datsuna.

Cissy przepała całą enklawę Teksasu wciśniętą między Arizonę i Oklahomę.

— Nic nie straciłaś - oznajmiła Delia.

— Chcę się zatrzymać.

— Żadnych postojów. Mamy świetny czas. Mamy świetny czas.

Cissy włożyła naszyjnik do ust. Hematyt był słonawy i mroczny. Słońce wisiało tuż nad horyzontem. Ziemia miała niebieskawoszary odcień i była płaska jak stolnica. Oklahoma wyglądała podobnie jak Nowy Meksyk. Tu i ówdzie — gęsto porozgradzane rozległymi połączeniami skał i pustyni — pojawiały się spłachetki uprawnej ziemi, porośnięte niską, nierozróżnialną dla oka roślinnością, a wszystko to przesuwało się na tle widocznych w oddali gór. Zieleni, Cissy pragnęła zieleni: bujnej przyrody, jaskrawych tropikalnych kwiatów, Venice Beach oraz ukrytych ogrodów. Kiedy wjechały do Oklahoma City i zobaczyła strojne w obfitą zieleń drzewa, omal nie rozpłakała się z ulgi. Wystawiła głowę za okno i wciągała w płuca wielkie hausty chłodnego powietrza. Pachniało tak, jakby zanosilo się na deszcz albo jakby niedawno padało. Wilgotno, soczyście, przyroda tworzyła tu całkiem inną świątynię.

Na wschodnich przedmieściach miasta Cissy zagroziła, że zatrzyma po drodze policyjny patrol. Delia tylko poklepała torebkę.

— Mam tu twoje świadectwo urodzenia. - Wypuściła dym przez otwarte okno i parsknęła śmiechem. — Poza tym spójrz tylko do lusterka. Myślisz, że któryś z szeryfów wątpiłby, że jesteś moją córką?

Cissy ponownie wychyliła się przez okno. Wiedziała, że jest miniaturową kopia matki. Rude włosy, orzechowe oczy, mięs-

nie ułożone na twarzy wedle tego samego wzoru — w każdym calu przypominała Delię. Pamiętała święto Dziękczynienia, kiedy Randall spóźnił się na kolację. Ucisnął ją wówczas i powiedział, że jest bardzo podobna do mamy.

- Jedyne, co masz po mnie, to imię mojej matki i zęby — oświadczył. - Moje miękkie mleczne zęby. Zębów musisz pilnować, moja mała Cecilio. — Pochylił talerz i wylizał go językiem.

- Gdybyś zmienił nawyki, mógłbyś zachować tę resztkę, która ci jeszcze została — odrzekła Delia.

Tamtego dnia mijały dwa tygodnie jej abstynencji. Wiedzieli, że wieczorem sięgnie po alkohol. Uśmiechnął się do niej pobłażliwie i pozwolił Cissy pociągnąć łyczek whisky.

Delia zerwała się z krzesła.

- Jak możesz! Mało złego już narobiłeś?! - krzyknęła i Randall wyszedł z domu.

- Zraniłaś jego uczucia — powiedziała z pretensją Cissy, kiedy matka kładła ją do łóżka.

- Chciałabym zranić go jeszcze bardziej — odparła z nienawiścią Delia.

Twierdziła, że wyprowadziła się od niego, żeby zerwać z nałogiem i być dla niej dobrą matką, ale przez prawie dwa lata, jakie spędziły w Venice Beach, dotrzymywała mu kroku w pić. Ilekroć do nich zaglądał, zaczynała pić od początku.

Cissy otworzyła oczy i obserwowała jaskrawe neony mrugające w szybie. Gdyby Delia się upiła, wzięłaby pokój w jakimś motelu i mogłyby tę podróż odespać. Pijana, nie stanowiła problemu. Pijana Delia śpiewała przy radiu, robiła ogromne sałatki owocowe i chichotała do siebie. Kłopotliwa stawała się dopiero po trzeźwemu. Była wtedy zła i nieszczęśliwa, czepiała się Cissy i wiecznie rozcierała sobie kark. Trzeźwa, miewała migreny. Pijana, nie czuła bólu. Obok trzepoczącej na wietrze tektury przepłynęła smuga dymu.

- Chce mi się pić — odezwała się Cissy. - Wysycham tu na wiór.

Delia milczała.

Cissy usiadła i nachyliła się nad przednim siedzeniem. Oparła brodę na lepkiej tapicerce i westchnęła.

- Nie potrzebujesz czasem papierosów?

Delia lekko odwróciła głowę i wzruszyła ramionami.

— Mogłabym coś ci kupić. Dla siebie też. Coca-colę albo sok pomarańczowy z mnóstwem lodu. — Cissy oblizała wargi. — Mam wielką ochotę na sok pomarańczowy z mnóstwem lodu, a może nawet z plasterkami pomarańczy w szklance.

Delia płynnie zmieniła pas ruchu. Na szosie panował ścisk, ludzie się spieszyli.

— Sok - powtórzyła Cissy. — Mogłybyśmy zatrzymać się gdzieś tutaj.

— Może przy jednym z tych barków? - Delia wyrzuciła papierosa przez okno. W stronę tylnego zderzaka poleciały iskry. — Kupić ci sok? Sobie też coś kupię, co?

Delia schyliła się, wyciągnęła spod siedzenia brązową torbę i rozdarła ją. Na siedzenie obok spadły ciężko dwa kartony marlboro. Delia spojrzała na starego oldsmobile'a wciskającego się na jej pas i dodała gazu, żeby go wyminąć.

— Kupię ci sok, kiedy staniemy, żeby zatankować — oznajmiła. - Z lodem. Sok, może nawet nowy styropianowy termos, ale zatrzymam się dopiero wtedy, gdy będę musiała. Chcę dojechać do Cayro najszybciej, jak się da.

Około północy zatrzymała się przy Quick Mart, zatankowała, a potem pod okiem nerwowo mrugającego sprzedawcy obiegała półki z artykułami spożywczymi. Kupiła styropianowy pojemnik, karton soku, małe opakowanie mielonki wieprzowej, dwa pudełka słonych krakersów, sześć batonów czekoladowych, wielką torbę fistaszków w łupinkach i małą torebkę lodu.

— Środki przetrwania - powiedziała, kładąc sok na podłodze przed tylnym siedzeniem. Nie zareagowała, kiedy Cissy przeszła ją gniewnym spojrzeniem. Po prostu rozerwała opakowanie batonu i uruchomiła silnik.

Gdy pokonywały pozostałą część drogi przez Oklahomę, Cissy pogryzała fistaszki. Kilka razy przesiadała się na przód, żeby uciec od wiatru na tylnym siedzeniu, ale nic nie mówiła. Delia włączyła radio. Cissy je zgasiła. Pędziły przez wiosenny krajobraz w zupełnym milczeniu. Ale gdy znalazły się w Arkansas, poziom adrenaliny u Delii wreszcie opadł i zjechały na pobocze. Kilka godzin obie mocno spały. Delia ścisnęła kluczyki w rękę, jakby w obawie, że ktoś ukradnie im samochód.

Od Tennessee pędziła tak szybko, jakby od tego zależało jej

zdrowie psychiczne. Na zderzaku robiła dla Cissy kanapki z masłem orzechowym, opłukiwała owoce pod węzłem w przydrożnych stacjach obsługi, przesypywała fistaszki do dużej butelki po RC coli, a jadąc, ciągle posapywała. Posuwały się naprzód, najwyraźniej jednak dla Delii nie dość szybko — wciąż rozcierała sobie kark i zaciskała zęby.

Na stacji benzynowej pod Chattanooga po raz pierwszy od wyjazdu z Nowego Meksyku zdjęta z głowy apaszkę. Musiała też zdławić w sobie mdłości, które ogarnęły ją od zapachu benzyny. Jakiś kierowca zostawił po sobie kałużę paliwa przy dystrybutorze. Powinni to sprzątnąć — pomyślała, zerkając we wsteczne lustro. Pompierz gapił się na nią. Nic dziwnego. Wyglądała potwornie. Jej czoło przecinał blady pasek po apaszcze. Popękały jej usta, łuszczył się różowy od słońca nos. Kołnierzyk bluzki sterczał sztywny od potu, a kark raził czerwienią skóry zaognionej od ciągłego pocierania. Przymknęła oczy i cały świat zawirował. Cissy oparła pięty o tablicę rozdzielczą. Delia spojrzała na córkę. Mała wyglądała równie źle jak i ona sama, była spalona słońcem, brudna i nieszczęśliwa. Lewe oko miała czerwone i spuchnięte.

— Chryste — jęknęła zaszokowana. — Gdzie twoje okulary? - Przeszukała cały śmietnik na siedzeniu, w końcu znalazła grube ciemne szkła. - Wkładaj, natychmiast. — Po raz pierwszy zauważyła straszny żal na twarzy dziecka. Poklepała córkę po ramieniu.

Cissy odsunęła się gwałtownie.

— Nie dotykaj mnie. — Otworzyła drzwi i przesiadła się do tyłu.

Delia zacisnęła zęby i zatankowała. Potem zerknęła na Cissy w lustro, włączyła bieg i ruszyła.

Kiedy znalazły się na autostradzie, Cissy zastanawiała się, czy nie wyrzucić okularów przez rozbite okno, wiedziała jednak, że Delia wróci po nie, żeby miała przejechać nawet całą milę.

Do Cayro dotarły późnym wieczorem. Cissy spała głęboko na tylnym siedzeniu. Delia zaparkowała za Motelem 6, od strony Marietty, i zwinęła się w kłębek pod kierownicą.

- Pośpię tylko chwilkę, tylko krótką chwilkę — szepnęła i natychmiast zapadła w sen.

Cissy obudziła się tuż przed świtem. Na dworze pojaśniało, zrobiło się głośniejsze od większego ruchu na ulicach. Delia wciąż spała, a spod jej prawego biodra sterczała podarta i pognieciona mapa. Cissy leżała nieruchomo do chwili, gdy potworny zgrzyt zmusił ją do podniesienia głowy. Wyrzała przez okno. Datsuna powoli mijał osiemnastokółowiec z wielką żółto-czerwoną plakietką Dixie General na burcie. Cissy zastanawiała się chwilę, co też General przewozi, potem przeciągnęła się i otworzyła drzwi. Na jej brudnej twarzy odcisnęły się szwy plastikowego pokrowca. Potarła lewe oko i rozejrzała się. Tablica po drugiej stronie autostrady informowała o restauracji „Maryland Fried Chicken”, usytuowanej zaledwie dwa zjazdy dalej. Na innej tablicy, biało-zielonej, widniała ostra strzała wskazująca drogę do Atlanty. Zesztywniała Cissy pokuśtykała do motelu.

— Dzień dobry, skarbie.

Kobieta. Mocno skręcone włosy, biały fartuch. Pokojówka - pomyślała Cissy. Potem zobaczyła, że kobieta znika w małej restauracji przy motelu. Nie, kelnerka.

Skarbie — powtórzyła bezgłośnie Cissy, naśladowując tutejszy akcent. Georgia. Pewnie są już w Cayro. Znalazła się tu, bo tatuś umarł, a mama była stuknięta. Jak to jest być dorosłym i stukniętym? Omiotła spojrzeniem parking. Pewnie dużo tu takich wariatów.

Skarbie. Cissy przeciągnęła sylaby, jak robiła to pijana Delia. Południowy akcent, najpijane gadanie przez nos. Randall to uwielbiał, ona nie cierpiała.

Ruszyła do restauracji. Nikt jej nie zatrzymał, więc weszła do łazienki i umyła ręce i twarz. Zrobiło jej się tak dobrze, że urwała garść papierowych ręczników, nasączyła je mydłem i wodą i potarła nimi ciało pod koszulką i szortami. Miała ochotę zdjąć z siebie wszystko i oblać się wodą, lecz bała się, że ktoś ją nakryje. Dlatego urwała jeszcze więcej ręczników i wyszorowała się nimi tak mocno, że aż zapiekła ją skóra. Próbowwała przeczesać się palcami, ale włosy miała ciemne

i zlepięone potem, włożyła więc głowę pod kran i trzymała ją tam dopóty, dopóki kark nie zdrętwiał jej z zimna. Potem wysuszyła włosy pozostałymi ręcznikami. W zamglonym lustrze nad umywalką wyglądała inaczej, doroślej, prawie jak nastolatka, jak brunetka o ogromnych brązowych oczach, z paroma piegami na twarzy.

— Skarbie — rzuciła nastolatce, a potem zaskakując samą siebie, parsknęła śmiechem. W śmiechu przypominała Randalla.

Kiedy wyszła z łazienki, kelnerka stała przy otwartych drzwiach obok telefonu i paliła. Otaksowała Cissy uważnym spojrzeniem, lecz nic nie powiedziała. Cissy wołała obok niej nie przechodzić, tak na wszelki wypadek, skrzyła więc w lewo, wyszła frontowymi drzwiami i obeszła motel dokoła. Przy końcu zadaszzonego przejścia prowadzącego na podwórko natknęła się na maszynę do lodu. Wyjęła z niej dwie garści kostek, wróciła do datsuna i usiadła na zderzaku. Ssała lód i przyglądała się, jak wstaje dzień, coraz jaśniejszy i gorętszy. Nim Delia poruszyła się przez sen, chodziła po lód jeszcze dwukrotnie.

Skarbie. Cissy znowu przeciągnęła sylaby, wymawiając to słowo z ustami pełnymi lodu. Celowo odwróciła głowę od spalonej słońcem i opuchniętej twarzy matki. Nie zamierzała się do niej odzywać. Nie dzisiaj. Może już nigdy. Ludzie wchodzili i wychodzili z restauracji. Otwierali drzwi motelowych pokoi, wynosili bagaże. Obrzucali Cissy szybkim spojrzeniem i szli dalej. Włosy schły jej swobodnie i potargane, słońce coraz bezczelniej zaglądało jej w oczy. Nie miała siły, żeby odwzajemnić mu się tym samym. Była tak głodna, że aż zapadł jej się brzuch.

Nienawidziła trzeciej klasy, prawie codziennie błagała Delię, żeby pozwoliła jej zostać w domu. Teraz jednak, rozejrzawszy się po okolicy, miała ochotę obiecać, że nie opuści już ani jednego dnia szkoły, jeśli tylko Delia zawiezie je z powrotem do Kalifornii. Jak mogła jej coś takiego zrobić? Cissy przetarła ramieniem suche oczy. Nikt nie słuchał dzieci. Dorośli mogli robić, co się im żywnie podobało. Delia mogła wstać i wyjść, dokąd tylko chciała. Za to Cissy mogłaby się położyć na gołym betonie i zapłakać się na nim na śmierć, a i tak nikt nie zwróciłby na nią uwagi.



Lód w ustach stopił się bez śladu. Popatrzyła na Delię — ta, Z trudem wygramoliwszy się z wozu, stała w słońcu i mrugała niczym ptak, który właśnie zderzył się z szybą.

Przetarła oczy i spojrzała na córkę.

— Chodź, zamówimy coś do jedzenia. Pewnie umierasz z głodu, skarbie.

Cissy aż się skurczyła.

Delia posadziła ją przy barze, zamówiła jej kanapkę z jajecznicą i szklankę mleka, po czym poszła do łazienki, żeby się ogarnąć. Musiała poprosić o papierowe ręczniki i nie zauważyła, jak kelnerka spojrzała na Cissy.

Cissy zamierzała nie tknąć żadnego jedzenia, matce na złość, lecz nie mogła się powstrzymać od pochłonięcia wszystkiego, co się przed nią znalazło, z małym marynowanym jabłkiem na brzegu talerza włącznie. Zjadłaby jeszcze więcej, ale za nic nie chciała prosić. Popatrzyła na ludzi jedzących śniadanie, zajętych czytaniem gazety. Pod nasuniętymi na czoło czapkami z poplamionym daszkiem widziała zmęczone twarze mężczyzn. Wydawało jej się, że wszystkie kobiety noszą włosy zebrane do góry i spięte małymi kolorowymi zapinkami.

Delia wróciła uczesana i w świeżej bluzce, która rozjaśniała jej twarz. Skinęła na kelnerkę. Zamówiła pączka i filiżankę kawy, odliczyła ćwierćdolarówki i dziesięciocentówki na suty napiwek.

— Z daleka jedzicie? — zapytała kelnerka, podchodząc z zamówieniem.

Delia uśmiechnęła się.

— Z nazbyt daleka. — Pączek był posypany cynamonem, takie lubiła najbardziej. Zjadła go szybko, zanim jeszcze sięgnęła po kawę.

— Ma dobry apetyt - powiedziała kelnerka, sprząając talerz Cissy.

— To dobra dziewczynka — rzekła Delia.

Cissy łypnęła na nią spode łba.

— Dzieciaki, co? — Kelnerka uśmiechnęła się, jak kobieta obeznana z problemami macierzyństwa.

— Uhm. — Delia wypijała kawę do samego dna. W Kalifornii nigdy nie lubiła kawy. Była dla niej za mocna. Tutejszą mogłaby pić cały dzień. Była taka jak należy, podobnie jak woń powie-

trza, wilgoci kojącej spierzchniętą skórę. Omal się nie roześmiała. Wróciła do domu. Wszystko pachniało tu domem, tutaj czuła się jak u siebie.

- Ja ciebie znam. — Przez okienko za kontuarem barku wyglądała kucharka. Jej białe miękkie ramiona wylewały się za parapet. — Znam ciebie — powtórzyła.

Delia poczuła, że przesywa ją nagły dreszcz. Nie pomyślała o tym, nie pomyślała, że tu, w Cayro, ktoś może ją rozpoznać. Przez chwilę się wahała, wreszcie przez jej twarz przemknął krótki uśmiech. Randall ją tego nauczył. Wytrenował ją, żeby się uśmiechała, dziękowała i szła dalej, ilekroć ludzie zatrzymywali ją, żeby się nad nią unosić. „Daj im jak najmniej — mówił - ale daj cokolwiek. To dzięki nim żyjemy”. Odruchowo pomacała się po kieszeniach. Nie miała przy sobie nic. Nic, czym mogłaby się podpisać. Spojrzała na kelnerkę i zakłopotana, wzruszyła ramionami.

- To ty jesteś tą dziwką, która uciekła, zostawiając dzieci. - Głos kucharki brzmiał głośno i dobitnie.

Oczy kelnerki zrobiły się jak spodki. Delia poczuła, że uginają się pod nią kolana. Cissy jak zahipnotyzowana nie odrywała wzroku od kucharki, na wpół oburzona, na wpół pełna nadziei, że kobieta ponownie nazwie Delię dziwką.

- Nawiałaś z tymi rockendrollowcami. I nieźle się urządziłaś, co? Dobrze się bawiłaś? Ha! Nie myśl sobie, żeśmy już, zapomnieli. Pamiętamy, a jakże. Takie jak ty zawsze pamiętamy.

Siedzący obok Delii mężczyzna odwrócił się na stołku. Zaszaleściło wykrochmalone ubranie. Długie, leżące na kołnierzyku włosy związał gumką recepturką.

- Delia? Delia Windsor? - Otaksował ją spojrzeniem i uniośł kącik ust w krzywym uśmiechu. — A niech mnie! — powiedział. — A niech mnie! - Zgromił kucharkę spojrzeniem. — Nie zważaj na tę starą krowę — zwrócił się do Delii.

Delia odsunęła się od baru. Kelnerka pobladła, na jej twarzy malował się gniew. Wszyscy w restauracji gapili się na Delię. Ktoś spytał: „Kto to?”, ktoś inny odpowiedział mu szeptem. Goście wyglądali z boksów, żeby lepiej widzieć.

Kelnerka uniosła prawą rękę. Ścisnęła w niej napiwek od Delii. Čwierćdolarówki zabrzęczały, zderzając się z dziesięcio-

centówkami, potem dłoń się rozwarła i pieniądze spadły na linoleum dźwięcznym deszczem.

Delia poczuła, że ślina napływa jej do ust. Chwyliła Cissy za rękę, ściągnęła ją ze stołka i powlokła za sobą do wyjścia.

Wszyscy się im przyglądali. Wszyscy obserwowali, jak Delia idzie przez restaurację upartym, mechanicznym krokiem. Nigdy w życiu nie schodziła ze sceny na słabszych nogach, nigdy w życiu nie oparła się potrzebie wypicia z bardziej ponurą determinacją niż teraz.

Boże, pomóż mi — modliła się w myślach, ciągnąc za sobą Cissy. — Pomóż mi.

Cissy wyszarpnęła się, jak tylko wyszły na ulicę. Delia spojrzała na nią pustym wzrokiem i ruszyła do samochodu. Cissy obróciła się i w oknach restauracji ujrzała twarze ciekawskich. Tłumek gapiów stał również w drzwiach. Oto Cayro. Oto dom.

Do końca życia rozpacz miała jej smakować potem i kostkami lodu. Strach miał nosić zsuniętą na oczy czapkę z poplamionym daszkiem, a zaciskający usta wstyd jaskrawe zapinki. Słowo „skarbie” zaś miało brzmieć w jej uszach jak przekleństwo.

### 3

Pokochasz Cayro. Tamtejsi ludzie są inni — szydziła Cissy, gdy znalazły się bezpiecznie w samochodzie.

Delia wbiła wzrok w przednią szybę. Twarz jej nabiegła krwią. Opadły kąciki ust. Mocno chwyciła kierownicę i spojrzała na restaurację. W oknach wisiały dwa plakaty. Jeden zachęcał do smażenia ryb, sponsorowanego przez miejscowy oddział straży pożarnej, drugi zapowiadał dzień otwartych drzwi w Holiness Redeemer i zapraszał na kazanie kaznodziei z Gaithersburga. Znad kościelnego plakatu przyglądała im się kelnerka.

„Wystarczyłaby kulka w łeb — powiedziała Randall. - Jedna kulka w łeb, kilka ścieżek koki, szklaneczka tequili”. Delia z trudem przełknęła ślinę.

Co ona sobie właściwie wyobrażała?

Po tylu latach wciąż czuła na języku smak oleścice rozlewającej się tequili. Gwizdała na cytrynę. Nie potrzebowała soli. Lubiła, jak czysta tequila rozchodziła się po podniebieniu, wypalając chlupiące tam bagno. Randall ssałby limony i wciągał nosem prochy. Zerznąłby pół tuzina dziewczuch i ścigałby się autem po krętych nadmorskich autostradach. Natomiast Delia potrzebowała tylko jednego: drinka. Butelki piwa, szklaneczki czegokolwiek, co zabiłoby słodycz u nasady języka.

Siedząca z przodu Cissy poruszyła się w fotelu. Delia niechętnie obróciła głowę, by na nią spojrzeć. Pod opalenizną Cissy była blada, a jej oczy pociemniały tak mocno, że nabrały czerwonawoczarnego odcienia hematytowych gwiazdek, które nosiła na szyi.

Co ja zrobiłam?

Delia przymknęła powieki. Randall ją ostrzegął. „Cayro nigdy cię nie pokocha — mówił. — Jeśli chcesz odebrać swoje dziewczynki, będziemy musieli je ukraść”. Nigdy go nie słuchała. Nigdy mu nie wierzyła. Ale te twarze w restauracji, takie nienawistne, takie zacięte... Ci ludzie patrzyli na nią jak na potwora.

Nie powinnam była wracać.

— Jedziemy? - spytała Cissy słabym, schrypniętym głosem. Lewe oko miała spuchnięte i zażawione.

Nie jestem dla niej dobra. Nie jestem dobra dla żadnej z nich. Po prostu nie jestem dobra.

Czuła w karku dudniące pulsowanie krwi. W tym samym pulsującym rytmie drżąco lśniły samochody na parkingu. Znowu odezwała się wiadoma piosenka, znowu rozbrzmiał znajomy refren: „Nie zasługuję na to, żeby żyć”.

Delia gwałtownie kiwnęła głową i podchwyciła melodię. Boże, Boże, Boże. Niech to szlag trafi. Umrzeć. Chcę umrzeć!

— Jedziemy?

Połowę podróży Cissy przeszłochała, raz po raz wybuchając gniewem, teraz natomiast w jej głosie brzmiało co innego: z każdej sylaby sączyła się histeria. Dziecko było zmordowane do kresu wytrzymałości.

— Jedziemy — odparła Delia najspokojniej, jak tylko potrafiła. Szklanka tequili czy kula w łeb. Jeśli dobrze się nad tym

zastanowić, przecież to wszystko jedno. Nie. Ciągnęła Cissy taki szmat drogi, a jeszcze nie widziała ani Dede, ani Amandy. Uruchomiła silnik i potrząsnęła głową, odrzucając z twarzy brudne włosy. Najpierw urządzi Cissy i sprawdzi, czy dziewczynom niczego nie brakuje. Dopiero potem rozważy, co wybrać: błękitną metalową kulkę czy szklaneczkę czystej tequili. To nie Kalifornia, to Georgia. W samym tutejszym okręgu znała co najmniej kilkanaście miejsc, gdzie mogła kupić broń równie łatwo jak butelkę *cuervo gold*.

Jazda przez Cayro do domu dziadka Byrda trwała dłużej, niż Cissy oczekiwała. Dwukrotnie Delia przystawała na światłach tak długo, że kierowcy zaczynali trąbić. Pobiełały jej kostki zaciśniętych na kierownicy rąk, rozdziawiała usta, jakby brakowało jej powietrza. Jakby to nie powietrza pragnęła.

- Coś ci jest? - spytała wreszcie Cissy, gdy ponownie utknęły na światłach. Po części rozkoszowała się nieszczęściem matki, po części się bała.

- Nie - odparła Delia. - Wszystko w porządku.

Czując się nieswojo, Cissy wzruszyła ramionami i przeniósłszy uwagę na krajobraz, zaczęła wydłubywać kawałek grzanki, który utkwiał jej w szparze między przednimi zębami. Myślała o ludziach z restauracji. Na spotkanie z nimi nie przygotowało jej nic, co przeżyła podczas tej długiej podróży. Byli dokładnie tacy, jak opisywał ich Randall: zacięci i nieczuli. To z nich wyrosła Delia, to oni ją ukształtowali. Pasowali do siebie jak ulał. Cissy zerknęła na matkę i czym prędzej przeniosła wzrok na krajobraz za oknem.

Cayro w Georgii było jedną z wielu szerokich zasiedlonych skrawków ziemi przy autostradzie numer siedemdziesiąt pięć. Większość jadących z Atlanty na północ nawet go nie widziała. Centrum miasta było trójkątnym skrzyżowaniem, nie większym od przywoitych wymiarów boiska do koszykówki. Po jego jednej stronie mieściła się tablica witająca przyjezdnych, po drugiej tablica z napisem zachęcającym do rychłego powrotu. Odchodzące od wierzchołków skrzyżowania drogi oznaczono małymi tablicami ze strzałkami wskazującymi kierunek. Na tych tablicach ktoś dorysował uśmiechnięte buzie. Droga na

północ wiodła z powrotem do siedemdziesiątej piątej i do szosy na Nashville, lecz inna tabliczka, także opatrzona uśmiechniętą buzią, informowała, że jest to również droga do okręgowego szpitala. Na drogowskazie przy trakcie na południe wypisano tylko jedno słowo: „Marietta”, za to odnoga prowadząca na zachód stanowiła zagadkę, ponieważ obok bużki na tablicy widniała jedynie sylwetka kurczaka.

— A ta dokąd prowadzi? — zapytała Cissy.

— Nad rzekę — odparła Delia. - Na farmy. Do gospodarstwa twojego dziadka Byrda i do innych furgonówek.

— Co to są furgonówki?

Delia wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Farmy. Ludzie zawsze tak je nazywali. Może dlatego, że farmerzy jeżdżą na targ furgonami. — Potarła kark. — Przemysłu tu prawie nie ma. Nic, tylko mleczarnie, kurze fermy i pola orzeszków ziemnych.

— A co uprawia dziadek Byrd?

— Kurz. — Delia skrzywiła się cierpko. - Nie prowadzi gospodarstwa od trzydziestu lat. Przez jakiś czas hodował psy. Podobno dobre, myśliwskie. Ale taka hodowla pochłania wiele energii. No i trzeba rozmawiać z ludźmi. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy z nim zamieszkałam, odechciało mu się jednego i drugiego. Kiedy kończyłam szkołę, żył już z oszczędności i ze sprzedawanej po kawałku ziemi. Pewnie niewiele mu z tej farmy zostało.

Delia jechała powoli i co kilka minut rozcierała sobie kark. Po drodze pokazała córce budynek swojej dawnej szkoły, gimnazjum i liceum w Cayro. Za szkołą mieścił się nowy szpital; stary się spalił. Cissy przyglądała się temu posępnie. Delia zniecierpliwiona zawróciła i pojechała z powrotem, mijając gmach sądu i kościół metodystów. Rozglądając się z natężeniem, objechała kościelny parking, potem zawróciła do centrum.

— Nie jedziemy do dziadka Byrda?

Zatrzymały się przed maleńkim zakładem z brudnym panoramicznym oknem i jaskraworóżowym szyldem „Bee's Bonnet Beauty Salon”.

— Dojedziemy — odparła Delia. Wychyliła się z samochodu, by przez witrynę zastawioną uschłymi roślinami zajrzeć do wnętrza salonu piękności. - Pracowałam tu, zanim urodziłam

twoje siostry. Właścicielką zakładu jest pani Pearlman. Zawsze była dla mnie dobra.

Kiedy wreszcie zajechały przed mały farmerski domek, zbliżało się południe. Zakurzony ganek stał nagi, w oknach wisiały spłowiałe niebieskie zasłony. Delia siedziała w wozie, ściskając torebkę, i rozglądała się wokół wielkimi, pociemniałymi oczyma.

— Nie wygląda na to, żeby ktoś tu był — powiedziała Cissy. Delia potrząsnęła głową.

— Jest. On zawsze tu jest.

Powoli otworzyły się siatkowe drzwi. W słońcu stanął stary mężczyzna i obrzucił przyjezdne gniewnym wzrokiem. Nieco pochylony, z wystającym podbródkiem, miał na sobie rozpiętą koszulę, a na głowie burzę siwych włosów. Po schodach zszedł chwiejnie, zupełnie tak, jakby musiał wydawać rozkazy każdemu mięśniowi, ale kiedy znalazł się na ziemi, ruszył do samochodu pewnym krokiem. Delia wysiadła i przystanąła obok zderzaka.

On wcale na nas nie czekał — pomyślała Cissy.

Starzec posłał jej przeciągłe spojrzenie, po czym z wolna obszedł kredowozielonego datsuna.

— To żałosna namiastka samochodu, Delia. — Otarł twarz rękawem.

Uśmiechnęła się niepewnie, wyciągnęła do niego ręce, nagle opuściła je, jakby uszła z niej cała energia, i rozpłakała się, stojąc w upale południa. Starzec drgnął, gdy wsparłszy się o niego, zaczęła szlochać mu na ramieniu. Przerażona Cissy obserwowała to z siedzenia samochodu. Nigdy nie widziała płaczącej matki.

— Uspokój się, Delia — powiedział dziadek Byrd. Poklepał ją po plecach, stukając kłykciami w kręgosłup, niczym komiwojażer pukający do obcych drzwi. Z niemym zniecierpliwieniem spojrzał na Cissy, jakby spodziewał się, że do nich podejdzie i weźmie matkę w garść. Cissy nie zamierzała wysiadać. Podciągnęła nogi i oparła brodę na kolanach.

— No, Delia... - powtórzył starzec, a ona przywarła do niego jeszcze mocniej. Po chwili odsunęła się i otarła oczy.

— Przepraszam - rzekła. — Przejechałyśmy kawał drogi. Mam uczucie, że od wyjazdu z Los Angeles nie zmrzyżyłam oka. - Spojrzała na samochód. - Cissy, chodź tutaj.

Cissy westchnęła i wysiadła z auta. Bolesnie zdawała sobie sprawę ze swojego wyglądu. Wiatr przysłonił jej spaloną twarz włosami, zmięte ubranie było zakurzone.

— Dzień dobry — powiedziała ostrożnie.

Stary odwrócił się od Delii, żeby spojrzeć na Cissy. Minę miał powściągliwą i surową, taką, z jaką patrzy się na obcego.

— Jak się masz. — Krótko skinął głową, a potem zrobił coś dziwnego ustami: opuścił dolną wargę, rozciągnął ją płasko i głośno chrumknął: — Chrrrum.

Odgłos ten przypominał chrząknięcie. Może to jakiś południowy zwyczaj, jakiś zwrot powitalny? — rozmyślała bez przekonania Cissy.

— Nie byłam pewna, czy nam się uda. — Niemal pijana z ulgi Delia odgarnęła włosy z twarzy. - Przysięgam, dziadku. Miałam wrażenie, że ścigam się z losem. Że jeśli nie przyjadę do domu, najszybciej jak się tylko da, ziemia mnie pochłonie. Że nie będzie tu Ciebie. - Popatrzyła na puste, biało-niebieskie niebo.

— A gdzie miałbym być? — spytał cicho poirytowanym głosem, jakby odwykł od rozmów z ludźmi. — Ja nie biegam po mieście, zawsze tutaj jestem.

— Wiem, wiem. - Delia ponownie przeczesła włosy dłońmi i chwyciła się za kark. — To przecież nie miałoby sensu. To tak, jakby Cayro nagle zniknęło. Jak w tych programach telewizyjnych, gdzie ludzie czy miejsca znikają z powierzchni ziemi, a widz myśli, że zwariował. — Opuściła ręce. — Ale nikt jakoś nigdy nie wspomina, jak długo trwa podróż przez cały kraj.

— Nie mam telewizora — odparł dziadek Byrd. - Nie wiem, o czym mówisz.

— Nie, oczywiście. Nie szkodzi. Wszystko w porządku. Jestem tylko zmęczona. — Odwróciła się w stronę domu. — I po prostu brudna. Wezmę prysznic, a potem zrobię nam wszystkim herbatę. Spojrzała na swoje zakurzone sandały. — Chcesz herbaty, dziadku?

Stary pokręcił głową.

— Niczego mi nie trzeba — odparł. — Idź się obmyć. Tylko uważaj z prysznicem. Kurki są założone odwrotnie. Ten od gorącej puszcza zimną.

Posłała mu uśmiech.



— Jeszcze ich nie zreperowałeś? Przez tyle lat?

Wzruszył ramionami.

— A co tu reperować? Działają.

Delia ostrożnie otworzyła siatkowe drzwi i weszła do domu, jakby lękała się, że zawali się pod nią podłoga.

Cissy zagryzła wargę. Dziadek Byrd usiadł na schodkach ganku i wyciągnął z kieszeni koszuli złożoną plastikową torebkę tytoniu Sharpe'a. Nie fatygował się, żeby przejść do cienia. Cissy usiadła obok. Chciała się jak najmocniej skulić, zająć jak najmniej miejsca, jednocześnie chciała na niego patrzeć.

Dziadek Byrd spojrział na nią z ukosa. Cissy zwiesiła głowę, nie odrywając wzroku od rąk starego i od jego tytoniu. Wydawało jej się, że do tego gada o nieprzystępnej twarzy nie przystaje nic, co łączy się ze słowem „dziadek”. Miał długie, chude palce o mocno zgrubiałych kostkach oraz czarnych, postrzępionych paznokciach. Obserwując, jak zwija bibułkę, zauważyła, że jego lewa dłoń lekko drży równomiernym drżeniem porażonej kończyny, że prawa nie zadrżała ani razu i nie uroniła nawet jednego płątka pokruszonego czerwonego tytoniu. Starzec zagiął bibułkę zdrową dłonią i przeturlał skręta palcami dłoni chorej. Zrobił to powoli, z wielką uwagą, a luźno wypełniony tytoniem papieros łatwo zajął się ogniem.

— Nieźle - powiedziała z podziwem.

— Chrrrum — mruknął w swoim języku. Papierosa trzymał w lewej ręce i Cissy zastanawiała się chwilę, dlaczego nie w prawej.

Z domu dobiegł ich głos Delii.

— Cissy, chcesz czegoś?

— Nie! - odkrzyknęła. Przekrzywiła głowę i przyjrzała się prawej dłoni starego, w której nadal trzymał torebkę z tytoniem. Dostrzegła coś dziwnego. Jego długie, chude palce o opuchniętych stawach leżały dokładnie jeden przy drugim, tworząc równą linię. Cissy rozpląszczyła swoją rękę na udzie i natychmiast zauważyła różnicę. Jej środkowy palec był dłuższy ponad ćwierć cala od tych leżących po obu jego stronach, natomiast wszystkie palce prawej dłoni dziadka Byrda miały tę samą długość: trzy środkowe kończyły się na wysokości paznokcia najmniejszego. W każdym z nich brakowało co najmniej jednego stawu.

Cissy spojrzała na starca. Patrzył na nią. Zaczerwieniła się ze wstydu. On tych palców nie stracił, bo wszystkie miały normalne paznokcie. Nie, dziadek Byrd przyszedł na świat bez brakujących stawów, a ona gapiła się na jego ręce. Spuściła oczy. Nie chciała go urazić. Po prostu nie wiedziała.

Zwinęła palce, zacisnęła pięści, potem wbiła wzrok w karykaturę indiańskiej twarzy wyrysowaną na torebce tytoniu.

— Podobny do ciebie — zauważyła, myśląc o Indianinie. — Bardzo podobny do ciebie.

— Chrrum! — Jednym ze swych krótszych palców dziadek Byrd strzepnął drobinę tytoniu z dolnej wargi. — Nie bądź głupia — rzucił bezbarwnym głosem i spojrzał na nią bez zainteresowania.

Cissy przypomniała sobie, co mówiła o nim Delia, że był stary już wtedy, kiedy z nim zamieszkała. W takim razie ile lat miał teraz?

Kiedy ze skręta pozostał jedynie malutki niedopałek, dziadek Byrd zaczął niespiesznie zwijać następnego. Cissy patrzyła na jego ręce. Nie mogła się powstrzymać, nie potrafiła odwrócić wzroku. Wciąż porównywała go z Indianinem na torebce tytoniu. Pióra w pióropuszu na jego głowie były pełne i spiczaste, niczym nie obcięte cygara, rysy twarzy zaś ostre, kanciaste i wycieniowane w taki sposób, żeby przyciągnąć uwagę. Indianin był przystojny, miał wyraziście zarysowane kości policzkowe i bladoniebieskie oczy. Dziadek Byrd nie grzeszył urodą. Jego policzki i oczy zapadły się jak u mumii, które Cissy oglądała na zdjęciach przywiezionych przez Randalla z podróży do Meksyku.

— Tam jest tak sucho — wyjaśniał wtedy - tak cholernie sucho i taki tam pył, że zmarli wysychają na wiór i mogą tak przetrwać wieki. Zamieniają się w posągi, a posągi te opiera się o ściany w jaskiniach niedaleko misji. Warto to zobaczyć. Stoją w szeregu z otwartymi ustami i z takim samym tragicznym wyrazem twarzy. Ten widok pobudza do refleksji. Każę myśleć o tym, jak cenne jest życie.

Dziadek Byrd nie wyglądał na kogoś, kto ceni sobie życie. Wyglądał na człowieka, który nie może się doczekać, kiedy nareszcie będzie miał je z głowy. Był żywym trupem.

Cissy przyglądała się małym zaskórnikom ukrytym w bruzdach i zmarszczkach na jego szyi. Wzdrygnęła się. Brzydki. Brzydki - pomyślała — i starszy niż świat. Miała nadzieję, że się do niej odezwie, ale on wciąż milczał. Obserwował. Obserwował w taki sposób, jakby w jego głowie mieściły się oczy świata. Świata nieskończenie okrutnego. Wiem, kim jesteś, zdawały się mówić, tymczasem jego usta pozostawały zaciśnięte, płaskie i wąskie. Wiem o rzeczach, o których ty nie masz pojęcia. Wiem, jaki zimny i wredny jest nasz świat.

Cissy poczuła, że żołądek wywraca się jej do góry nogami. W podbrzusze załaskotał ją strach. Wstyd, jaki przed chwilą odczuwała, i cienka nić litości dla starca stopniowo się wypaliły i zamieniły w gniew. Nazwał ją głupią! Odepchnął Delię jak śmierdzącego psa! A teraz? Pogarda biła od niego niczym gorąco z wciąż rozgrzanej maski datsuna, patrzył przed siebie, jakby nikt przy nim nie siedział.

Koszmarly staruch — pomyślała, mimo to gniew nie stłumił strachu do końca. Nadal zwieszała głowę, nie chcąc, żeby na nią patrzył, nie chcąc słyszeć jego kaśliwego języka. Delia mówiła, że jest surowy, ale sprawiedliwy. Nie, on był wredny. Po prostu wredny.

— Miał ciężkie życie — powiedziała Delia.

Tak, wyglądał na człowieka twardego. Twardego jak spieczona czerwona ziemia na jego pustym podwórku przed domem. Taka twardość zbiera się w człowieku całe życie. Cissy nie dostrzegała w nim żadnej szczeliny. Ten starzec był monolitem, kawałkiem krzemienia.

Ręce dziadka Byrda to mięły, to rozprostowywały torebkę z tytoniem. Jego oczy powędrowały aż na daleki horyzont, potem wróciły do datsuna Delii. Jak dotąd bardziej interesował się samochodem niż Delią czy Cissy. W kuchni stuknęły szklanki, zaszumiła woda, trzasnęły otwierane i zamykane drzwiczki. Lekki wiaterek poderwał pył z ziemi i posypał nim schody ganku. Z ust dziadka Byrda wysunął się węzowaty język, żeby oblizać spierzchnięte wargi.

Jaszczur - pomyślała znowu Cissy. Starzec gapił się na datsuna, jakby nagle zatęsknił za ciszą i spokojem, które tak chronił przed ich przyjazdem, i zastanawiał się, jak wepchnąć je z powrotem do samochodu. Cissy z ponurą miną dźwignęła

się ze schodków i przeszła przez podwórko. Usłyszała stukot butów Delii, która wyszła z kuchni i usiadła obok dziadka Byrda. Stary odsunął się o kilka cali.

— Na pewno niczego nie chcesz? — spytała matka nieco czulej. Jej skóra lśniła, włosy miała gładko zaczesane do tyłu, kołnierzyk bluzki był wilgotny i rozpięty. Znowu wyglądała prawie jak dziewczyna.

Dziadek Byrd patrzył na nią chwilę, potem odchrząknął, odkaszlnął i splunął.

— Po co wróciłaś? — zapytał.

Delia głęboko zaczerpnęła powietrza.

— Dziewczynki... — wyszeptała. — Chcę zobaczyć dziewczynki.

Cissy uświadomiła sobie nagle, że matka jest bardzo chuda. Sama skóra i kości. Miała sterczące łokcie i kolana. Siedząc obok dziadka, wyglądała jak postać z kreskówki, jak szkielet z Halloween w krótkiej spódniczce i podkoszulku.

— Rozmawiałaś już z Clintem?

Cissy podeszła bliżej i stanęła przy datsunie. Słyszała metaliczne postękiwania stygnącego silnika i dźwięczne stuknięcie, kiedy Delia odstawiła szklankę na schodek.

— Nie... — To powiew wiatru rozciągnął to słowo, nie Delia. Radosny, świeży błysk nadziei zniknął.

Dziadek Byrd zakaszał gniewnie. Delia gwałtownie zbladła. Wyglądała teraz gorzej niż rano w restauracji.

— Nie — powtórzyła. Przeniosła wzrok na córkę. Jej oczy były odrobinę jaśniejsze niż oczy dziadka, lecz i one potrafiły zhardzieć. Teraz błysnęły niczym połyskliwy krzemień pod skalną półką starej góry. Dołek na szyi Delii perlił się potem i pulsował gorącem. Napięła mięśnie, przełykając ślinę, lecz nie powiedziała nic więcej.

— Nie możesz tego uniknąć, Delia. Zwłaszcza jeśli chcesz zobaczyć dziewczynki.

Dziadek Byrd chyba nie widział, jaki efekt wywierają na niej te słowa, nie widział, jak Delia zapada się w sobie. Mówi jak kaznodzieja — pomyślała Cissy. Randall zawsze ostrzegał ją przed nawiedzonymi, przed ludźmi mówiącymi tak, jakby nosili Biblię na piersi. Boża prawda na ich językach cięła niczym ostrze brzytwy. Do takich ludzi należał jego ojciec.

— To był stary, zimny drań - powiedział kiedyś. - Umarł, obciążając winą za swoje grzechy dzieci i żonę, moją mamę, najśłodsza kobietę na ziemi, której już nie poznasz. To on ją wpędził do grobu. Zapamiętaj, co mówię: nigdy nie ufaj kaznodziejom. Nie daj się im dopaść. Trzymaj się z daleka od ich ostrych języków.

— Będiesz musiała się z nim rozmówić - wychrypiał dziadek Byrd, patrząc prosto przed siebie, jakby Delia stała gdzieś na podwórku.

— Sama nie wiem... — Delia sięgnęła po szklankę i leciutko stuknęła jej dnem o schodek. — Nie sądzę, żeby Clint chciał mnie oglądać. - Spuściła głowę. Nawiany wiatrem pył osiadł na jej włosach, spódnicy, nagich ramionach i łydkach.

Dziadek spojrzął jej w oczy.

— On wciąż jest twoim mężem. Nie chciał się z tobą rozwieść, prawda? Nie, on czekał. Czekał tyle czasu. A ciebie nie było. On też słyszał, co zrobiłaś, wszyscy słyszeli. - Machnął kaleką dłonią w stronę Cissy. - Jak dowie się, że wróciłaś, pewnie pomyśli, że do niego zajrzysz.

— Nie jestem tego pewna.

— Delia.

Patrzyli na siebie. Napinając mięśnie, zwarli się spojrzeniami. Cissy ujrzała, jak Delia powoli cofa się przed starym, dostrzegła, że ramiona matki pochylają się do przodu i opadają. Z każdą sekundą coraz bardziej się kurczyła, mimo to nie odwróciła głowy, nie spuściła oczu. Mogła pęknąć, ale nie ustąpić. Nigdy. Długą postać dziadka Byrda przeszło lekkie drżenie, od skórzastej szyi po kościste kolana. Złożył przed sobą dłonie i niczym pochylona w modlitwie modliszka przyciągnął do boków łokcie. Nie chciał jej niczego ułatwić.

— Musisz porozmawiać z Clintem. - Znów ten ton kaznodziei.

Cissy odwróciła się i kucnęła na szorstkim asfalcie. Obserwowała szereg mrówek, omijających rozgrzany słońcem kawałek zbitego szkła. Za plecami słyszała zdławiony głos Delii.

— Nie, dziadku, nie przekonuj mnie. Dobrze wiesz, że Clint nie pozwoli mi zobaczyć dzieci.

— Hm, w takim razie jak zamierzasz się z nimi spotkać, skoro nie chcesz widzieć się z Clintem?

Delia zaczęła kiwać się w tył i w przód.

- Miałam nadzieję, że ty mi pomożesz — odparła. - Pomyślałam, że ty mógłbyś z nim porozmawiać.

- A co ja mam mu do powiedzenia? - Znowu splunął.

Cissy spojrzała w miejsce, gdzie wylądowała ślina. Zniknęła prawie bez śladu. Ziemia przypominała proszek, szary i miazgi, lecz nieustępliwy.

- Delia, nigdy mnie nie słuchałaś. Wiem, że i teraz nie zaczniesz. Choć powinnaś. Powinnaś. - Dziadek Byrd toczył w dłoniach torebkę z tytoniem. — Wyszłaś za niego. Może i był sukinsynem, ale pełno tu takich. Ty wyszłaś akurat za tego. Miałaś z nim dzieci. A potem nagle uciekłaś i zostawiłaś go tak, jakbyś nigdy nie zamierzała wracać.

Delia przykryła dłonią usta. Drugą nadal zaciskała na nogach.

Dziadek Byrd spojrzał groźnie na Cissy.

- Do diabła, nie możesz tak po prostu wparadować do miasta i jakby nigdy nic przywłaszczyc sobie to, na co masz ochotę. Nie znajdziesz tu żywej duszy, która przyzna ci prawo do małych. Żywej duszy.

Podniósł się i wyprostowywał powoli, jakby wstawanie sprawiało mu ból. Kiedy już wreszcie stanął, znowu chrząknął.

- Nie pomożesz mi? - zapytała Delia tak cicho, że mógłby udać, iż jej nie usłyszał.

- Nie. - Przystanął. - Jedź porozmawiać z Windsorami - dodał, nie oglądając się za siebie. - To ich powinnaś odwiedzić, nie mnie. Padnij na kolana i powiedz swoim małym, coś przez te wszystkie lata robiła. Mnie nie opowiadaj.

Cissy zazgrzytała zębami i wzięła do ręki kamień. Delia siedziała na schodach, znów kiwając się w tył i w przód, a dziadek Byrd przeszedł przez ganek i zniknął w domu. Gdyby Cissy nie była tak wściekła na matkę, może i pobiegłaby za nim, może rzuciłaby się na niego i wykrzyczała cały ból, który narastał w Delii.

- Cissy. Musimy jechać. — Delia wstała gwałtownie i ruszyła do auta.

Cissy rozduśiła drużynę mrówek, wgniatając ją w asfalt starego podjazdu, odrzuciła kamień i poszła za matką.

# 4

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Delia opuszczała dom dziadka Byrda, Marjolene Thomasina Jackson wjeżdżała na podjazd domu Paula, do niedawna swojego męża. Wystarczyło sześć kursów samochodem i jej cały dobytek znalazł się w jej nowym domu opodal liceum. Na starych śmieciach zostało tylko kilka talerzy i zastony, wróciła jednak nie po nie, tylko po sadzonki ostróżek oraz po stojące obok nich pudło z ogrodowymi narzędziami.

— Zastony i talerze łatwo zastąpić innymi - powiedziała swojej siostrze Sally — ale prędzej mnie szlag trafi, niż zostawię moje rośliny Paulowi i tej, która z nim zamieszka.

A więc siódma wyprawa przez miasto. Tym razem bez Sally. M.T. zostawiła ją z pudłami i z bliźniaczkami Ruby i Pearl, które urządzały swoją nową sypialnię. Nie chciała, żeby Sally zobaczyła, co stanie się z rabatką obok kuchni, która wedle prawa należała teraz już tylko do Paula.

M.T. była kobietą dużą i muskularną mimo miękkich poduszek tłuszczu. Uśmiechnęła się szeroko, biorąc szpadel. Przyłożyła go do wysokich włócznie ostróżek i zamieniła je w szarozieloną masę.

— Ten człowiek zerował na mnie przez dwanaście lat. Myśli, że mnie załatwił. Głupi sukinsyn! - Tłukła i darła rośliny, wyładowując na ukochanych kiełkach gniew, którego nigdy nie wyładowała na Paulu. — Sukinsyn! — przeklinała. — Głupiec. Już ja pokażę temu dupkowi! - Kiedy skończyła, oczy miała pełne łez, mimo to była zadowolona.

— Coś może odbije - mruknęła, wracając do auta — ale ładnie tu już nie będzie. - Właśnie ocierała brudny policzek i wyginała w łuk obolałe plecy, gdy na podjeździe zatrzymał się zielony datsun.

Później M.T. twierdziła, że od razu je rozpoznała: swoją dawno utraconą przyjaciółkę z córką u boku. Ale zapuchnięta, nieszczęśliwa, wychudła i zrozpaczona Delia nie przypominała dziewczyny, którą M.T. niegdyś kochała. Przez jedną krótką chwilę, do której nigdy się nie przyznała, M.T. sądziła, że

kobieta w samochodzie jest kolejną zdziwą Paula, a siedzące przy niej dziecko - jego kolejnym bękartem. Sam Pan Bóg najlepiej wiedział, że człowiek ten oszukiwał ją od lat. Być może obca kobieta przyjechała tu, by zażądać przyzwoitego traktowania od M.T., bo u Paula nie mogła na to liczyć. Skoro potrafił tak potraktować swoją ślubną żonę, to jak musiał potraktować kochankę? W tym momencie Delia obróciła się do niej i popatrzyły sobie w oczy.

— Do licha! — M.T. upuściła szpadel. — Delia! — wrzasnęła i pobiegła do samochodu.

Delia otworzyła drzwi i padły sobie w ramiona. Tymczasem Cissy otarła spocone czoło, marząc, żeby zaproponowano jej coś zimnego do picia.

— Do licha! Delia! Do licha! - M.T. potrząsnęła Delią i wybuchnęła płaczem. — Do licha! — powtarzała, a słowo to brzmiało w jej ustach miękko i nabożnie, niby dziękczynna modlitwa.

Delia odezwała się tylko raz. Bezdźwięcznie wymówiła imię przyjaciółki, potem zaczęła łkać.

— Jeszcze chwila — opowiadała potem M.T. — jeszcze chwila i by mnie tam nie zastała. Przyjechała w tak paskudnym stanie, że trudno to sobie nawet wyobrazić. Już jej prawie nie było, niemal przestała być sobą.

M.T. nie zmyślała. Gdyby nie zatrzymała się wówczas u Paula, żeby zniszczyć swój dawny ogród, na pewno by się minęły, to zaś miałyby straszliwe następstwa. Mało, że Delii „już prawie nie było”: Delia jako Delia po prostu przestała istnieć. Gdzieś po drodze, na tym krótkim odcinku szosy między domem dziadka Byrda i dawnym domem Paula i M.T., zgubiła część siebie, dzięki której umiała odpowiedzieć ciosem na cios, poprowadzić interes, zrobić to, co należało. Delia, która padła M. T. w ramiona, była załamany dzieckiem.

— Przytul mnie - wyszeptała, a przyjaciółka spełniła tę prośbę, tuląc ją do siebie niczym szmacianą lalkę, całując po twarzy i płacząc przy jej policzku.

Przez długą chwilę M.T. nie wypuszczała Delii z objęć. Nawet wtedy, gdy jedną ręką musnęła policzek Cissy, drugą trzymała na ramieniu przyjaciółki.

— No proszę - powiedziała. - Córka Delii.

Cissy łypnęła na nią spode łba i potrząsnęła głową, żeby



zakryć włosami oczy, ale M.T. tylko się roześmiała i postanowiła zabrać je do swojego nowego domu. Było to zadanie trudniejsze, niż się z pozoru zdawało, gdyż nagle okazało się, że Delia straciła umiejętność prowadzenia samochodu.

— Nie szkodzi — orzekła M.T. Wpakowała je do starego buicka, umieściła brudne pudło z sadzonkami na kolanach Cissy i przytuliła siedzącą z przodu Delię.

Zgłębienie tego, co leżało u podstaw przyjaźni M.T. z jej matką, zabrało Cissy kilka lat. Była to rywalizacja, urazy, ale też i ratowanie z opresji oraz niewzruszona lojalność. Tamtego dnia dowiedziała się, że wynajawszy domek na miesiąc miodowy, M.T. ukrywała w nim Delię, usłyszała też o pewnej strasznej nocy siedemdziesiątego ósmego roku, kiedy to dzięki jednemu telefonowi do Delii, bez zbędnych pytań, otrzymała od Randalla czek. Ale ze wszystkich wydarzeń pierwszego dnia pobytu w Georgii najbardziej utkwiło jej w pamięci serdeczne powitanie, jakie zgotowała im M.T, radość na jej twarzy, gdy rozpoznała Delię, i to, że tak po prostu wzięła je pod swe skrzydła. Kiedy dotarły do domu, jej głos dźwięczał niby dzwon. Wyciągnęła gości z buicka i zademonstrowała ich siostrze niczym rodowodowe szczeniaki.

— Patrz! Patrz! — krzyczała. — Popatrz tylko, kto przyjechał! Moja przyjaciółka. Moja najlepsza przyjaciółka! Moja Delia wróciła!

M.T. wysłała Sally po datsuna, po czym zapakowała Delię do własnego łóżka.

— Musisz odpocząć — stwierdziła stanowczo i zaprowadziła Cissy do na wpół urządzonej kuchni.

Tam nakarmiła dziewczynkę kurczakiem na zimno i marynowaną kukurydzą, ułożonymi na kromkach białego chleba, no i wypytała ją o długą podróż z Kalifornii.

— Przykro mi, że twój tatuś nie żyje - powiedziała, gdy Cissy wspomniała ojca. - Nigdy go nie spotkałam, ale wiem, co znaczy stracić kogoś, kogo się kocha.

Cissy spojrzała w jej szeroką łagodną twarz i nagle zapragnęła się rozpłakać. Jej tatuś nie żył. Jej tatuś umarł, a ona utknęła w zapadłej dziurze na końcu świata.

— Dobrze, już dobrze. — M.T. obeszła stół i przyciągnęła głowę Cissy do swojego brzucha. Dziewczynka gwałtownie

szlochała, a ona uspokajała ją kojącym szeptem. Kiedy mała dostała czkawki, M.T. wzięła mokrą ściereczkę i kucnęła, żeby otrzeć jej zapłakaną twarz. - Wszystko się ułoży, zobaczysz. Zajmiemy się tobą, kochanie. Dobrze się tobą zajmiemy.

Cissy wstrzymała oddech — musiała wyglądać paskudnie, a czkawka dodatkowo ją upokarzała — i za wielkim tułowiem M.T. dostrzegła dwie dziewczynki obserwujące ją z progu.

— Przepraszam — rzekła.

— Nie ma za co. - M.T. okazywała spokój i naturalną swobodę. Lekko wstała i rzuciła ściereczkę na stos bielizny do prania przy zlewie. — Straciłaś ojca, dopiero co przyjechałaś z drugiego krańca kraju. I to w jakim tempie! Normalny człowiek nie przejechałby w tym czasie przez nasz stan. W tej sytuacji możesz spokojnie uronić kilka łez. Ba! Nawet więcej niż kilka. Możesz sobie płakać, ile dusza zapagnie. Ja też mam czułe serce, podobnie jak moje dziewczynki. Cissy, chcę, żebyś poznała moje skarby: Ruby i Pearl.

M.T. przygarnęła do siebie dwie pannice. Były równie szczupłe jak ona rozłożysta. Miały wąskie, zakończone ostrym podbródkiem twarze i ciemnobrązowe włosy półokrągło przyszytych tuż nad uszami. Nie były identycznymi bliźniaczkami, choć upodabniał je do siebie i wzrost, i koloryt. W niczym nie przypominały dobrodusznej M.T. i mogły liczyć sobie co najmniej cztery lata więcej od Cissy. Ruby była groźniejsza niż Pearl. Jej oczy przypominały dwie gotowe do odpalenia rakiety. Przeszyła Cissy wzrokiem i spytała:

— Twój tata był gitarzystą, prawda? Podobno sławnym, co nie?

— Podobno sławnym, co nie? — zawtórowała jej Pearl.

Cissy już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, gdy nagle się zawahała. Delia twierdziła, że Randall nie był w połowie tak sławny, jak by tego pragnął, i że rozgłos Mud Dog zapewniał im ledwie przetrwanie. Jednakże Cissy dostrzegła w spojrzeniu Ruby coś, co kazało jej te fakty przemilczeć.

— Trochę — odparła. - Mój tata nie żyje.

Ruby szturchnęła siostrę w ramię.

— Jaka szkoda.

— Szkoda — zgodziła się z nią Pearl.

Ruby otaksowała Cissy spojrzeniem i rozciągnęła usta w uśmiechu.

— Hm, nie to. Witaj w Georgii, Cissy Byrd — rzekła. — To, czego nie powie ci mama, powiemy ci my. Wszystko, cokolwiek zechcesz wiedzieć o Cayro.

— Wszystko - powtórzyła za nią Pearl.

— Ach, wy! — M.T. roześmiała się serdecznie. — Pokażcie Cissy swój pokój.

Cissy poczuła, że przenika ją lekki dreszcz. Te dziewczyny w niczym jej nie pomogą.

— Prawdziwi przyjaciele troszczą się o siebie — powiedziała tego wieczoru M.T., zaglądając do wyczerpanej Delii kolejny, pewnie już nasty raz. — Ani nigdy o sobie nie zapominają. Twoja mama i ja zwróciła się do Cissy — jesteśmy prawdziwymi przyjaciółkami.

Cissy patrzyła przed siebie otępiałym wzrokiem. Męczyło ją i przerażało, że jest taka ważna dla kogoś, kogo prawie nie zna.

— O Boże, dziewczyno, dlaczego ty jeszcze nie jesteś w łóżku? — zapytała nagle M.T. Zaprowadziła Cissy do sypialni, zapakowała do wąskiego łóżka o czterech filarach i cmoknęła ją w czoło. Cissy z ulgą zamknęła oczy, modląc się o sen.

— Mieszkałaś w Hollywood? — spytała szeptem Ruby z drugiego łóżka.

— Jak tam jest w tym Hollywood? Ludzie są naprawdę tacy bogaci? — odezwała się Pearl.

Cissy omal nie jęknęła.

— Znałaś jakichś sławnych ludzi, gwiazdorów albo kogoś takiego? — Ruby podparła się łokciem. Siostry leżały w jednym łóżku na waleta, kiedy więc sekundę później podniosła się Pearl, Cissy odniosła wrażenie, że trafiła do sali sądowej.

— Nie — odpowiedziała. — Nie znam żadnych gwiazdorów.

— Słyszałam, że twój tata miał taki, wielki, stary jajarski autobus, na który załapała się twoja mama, i że tak się właśnie z twoim tatą poznali. Tata zabierał cię w trasę?

Cissy zamknęła oczy. Jechała autobusem ledwie kilka razy, ale nie zamierzała im tego mówić. Usiłowała wymyślić coś, co zaspokoiłoby ich ciekawość, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Dotychczas zależało jej tylko na ojcu i na tym, żeby pobyć z nim w jego domu. Jednakże przez kilka ostatnich miesięcy Delia nie pozwalała jej często go odwiedzać.

Cissy milczała i nastolatki szybko straciły cierpliwość. I tak czuły już niechęć do dziewczyny, przez którą musiały spać na waleta. Jakim prawem przyjechały z Delią do ich nowego domu, postawiły wszystko na głowie i rozgorączkowały matkę?

— Jak to jest, że sławni ludzie zawsze mają takie głupie dzieci? — zapytała Ruby z podniesioną głową, nie adresując tych słów do nikogo w szczególności.

— No — dopowiedziała Pearl — i ciekawe, dlaczego tylu ich się zabija.

— Tak, o tym też słyszałam.

Cissy przesunęła językiem po zębach. Ostre brzegi trzonowców dodały jej odwagi. Przetoczyła się na bok i spojrzała na Ruby.

— Jak wasza mama naprawdę ma na imię? — spytała. — Nie ma prawdziwego imienia? I dlaczego tak idiotycznie was nazwała?

— Z daleka od mojej mamy! - syknęła Ruby.

— Właśnie - powtórzyła głośniej jej siostra. - Z daleka od naszej mamy.

— Och, bardzo ją lubię - odparła Cissy. Przytknęła kciuk do dolnej wargi i potarła ją w zamyśleniu. — Słowo. Ale ta Rubineczka i Perełeczka, dwa skarbeńki kochanej mamusi, to chyba lekka przesada, co nie?

— Ale z ciebie suka! — sapnęła Ruby.

— Jeszcze gorsza niż twoja matka — dodała Pearl.

— Zadzierasz nosa. — Ruby opadła na łóżko.

— Jesteś nadęta jak balon - dorzuciła Pearl. Położyła się koło siostry. Przez chwilę patrzyły wilkiem na Cissy, potem odwróciły się do niej plecami.

Chcę do domu — pomyślała Cissy. Ale domu nie miała. Z determinacją wbiła zęby w bawełnianą powłoczkę poduszki. Nie, nie zamierzała płakać. Słyszała, jak Ruby i Pearl szepczą po cichu, tak żeby nie wiedziała, o czym mówią. Kiedy ucichły, opadła na plecy, zasłaniając się przed nimi tarczą z poduszki.

Być może, gdyby nie M.T., Delia nie rozkleiłaby się tak gruntownie. Bo M.T. wyręczała ją prawie we wszystkim: to ona smażyła wiejskie steki, to ona zapisała Cissy do szkoły,

zabrała ją do miasta i nakupowała jej nowych ubrań, to ona znalazła dla nich ten domek nad brzegiem rzeki. Domek należał do Richiego, który wraz z M.T. pracował w dziale mięsnym w A&P. Nie powiedziała Delii, jak długo musiała go namawiać, żeby wreszcie ustąpił.

- Sam nie wiem — mówił bez przekonania. — To ta, która uciekła, zostawiając dzieciaki?

- To moja najdroższa i najdawniejsza przyjaciółka — zaklinała się M.T. — Richie, przecież mnie znasz. Skoro mówię, że możesz jej wynająć, to znaczy, że możesz.

- M.T., z ciebie też nieźle ziółko, to wiem na pewno. I nie namówisz mnie, żebym powierzył mój stary dom kobiecie, której nie można powierzyć jej własnego dziecka.

- Och, Richie, chyba nie mówisz tego poważnie. - M.T. trzepotała rękami, uśmiechała się i przymilała do niego, że omal twarz jej nie pękła. W końcu Richie wynajął dom, z tym że M.T., nie Delii, i kazał jej przysiąc, że nigdy nie będzie musiał oglądać swojej lokatorki ani czegokolwiek jej w domu naprawiać.

- Żona mnie oskalpuje - jęczał.

- Ucieszy się z pieniędzy - uspokajała go M. T. z nadzieją, że Delia ma więcej oszczędności, niż się do tego przyznała.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat, czyli od chwili wyjazdu Delii, M.T. dwukrotnie zwracała się do niej z prośbą o pieniądze. Dostawała je bez pytań i bez wzmianki na temat spłaty długu. Lecz teraz, ilekroć napomykała o pieniądzach, Delia zaczynała płakać, jakby nie miała nic oprócz chudego zwitka banknotów, który M. T. widziała w jej torebce. To niemożliwe - mówiła sobie M.T. — Na pewno wcześniej czy później nadejdą prawdziwe pieniądze. Niemożliwe, żeby po tylu latach pobytu w Kalifornii Delia przyjechała tu tylko z garścią drobnych.

Wioząc Delię i Cissy na oględziny ich nowego mieszkania, M.T. tłumaczyła im, że uporządkowanie domu nad rzeką musi zająć parę tygodni, zapewniała jednak, że będzie w nim bardzo miło. Podczas gdy ona otwierała okna i odkurzała, Delia siedziała w kuchni. Kilkakrotnie wstawała, jakby chciała w czymś pomóc, lecz nim zdążyła cokolwiek zrobić, opadała z powrotem na krzesło. Po pewnym czasie przestała w ogóle wstawać - siedziała i patrzyła, jak trajkocząca M.T. ogarnia dom.

— Ściągniemy tu do pomocy moją siostrę — obiecywała. — Ona migiem doprowadzi wszystko do porządku.

Ale Sally była zbyt zajęta, żeby przyjechać, i miał parę tygodni porządkować dom cały miesiąc.

Ileć M.T. zastawała w pokoju płaczącą w łóżku Delię, pocieszała przyjaciółkę i okazywała jej współczucie. Czuła się bardzo podobnie, kiedy Paul zaczął kręcić z tancerką z Augusty. Wtedy to ona leżała w łóżku i nikt tego nie rozumiał.

— Kobiecie trzeba dać czas — tłumaczyła dziesięcioletniej Cissy.

— Chrrrum — odpowiedziała dziewczynka.

Patrzyła, jak Delia naciąga na głowę poduszkę i niczym dziecko zwinięte w kołysce przyciska do piersi podkurczone kolana. „Chrrrum” — postanowiła nauczyć się rodzinnego języka, języka pogardy i szyderstwa. Delia mogła sobie płakać. Cissy nie śmiała. Przebrnęła przez pierwsze dni w podstawówce w Cayro tylko dlatego, że z zaciętym uporem nie zważała na szept i wyciągnięte w jej stronę palce.

Nie, Cissy nie pozwalała sobie na chwilę odprężenia, nie śmiała otworzyć mocno zaciśniętych pięści ani zasznurowanych ust. Zaczęła obgryzać paznokcie i postrzępione skórki. Chodziła do szkoły, gdyż nie potrafiła wymyślić sposobu, żeby się od tego wykręcić, zresztą szkoła i tak była lepsza od siedzenia w domu i patrzenia na płaczącą Delię, od Ruby i Pearl, które naigrawały się z niej okrutnie przy każdej możliwej okazji, i od M.T. z chustką do nosa czy szklanką wody w garści, poklepującej ją niedbale po głowie w drodze do pokoju Delii. Cissy wydawało się, że jej nerwy rozerwały skórę i wpełzły na powierzchnię ciała. Od czasu, gdy w środku nocy dziewczyny oblały ją wodą, spała zwinięta w ciasny kłębek pod łóżkiem, chodziła, zasłaniając się skrzyżowanymi na piersi ramionami, i odpychała od siebie nawet tych, którzy okazywali jej serdeczność: dwie nowe dziewczynki w klasie i nauczycielkę, która nazywała ją Cece. Skoro Delia zamierzała płakać, ona, Cissy, postanowiła zniknąć.

W szkole z rąk do rąk podawano sobie koszulki longplaya *Diamonds and Dust*, ze wzgórzami Hollywood w tle, oraz oryginalnej płyty *Mud Dog* w wykonaniu zespołu, ze zdjęciem autobusu obwieszzonego flagami i kwiatami. Na każdym kroku

Cissy widziała zespół ojca, wszędzie spotykała chłopców, którzy pytali ją, czy brała narkotyki, i dziewczęta podśpiewujące nie znane jej melodie i używające słów, jakich matka zabroniła jej słuchać. Wszyscy znali imiona jej i mamy, wiedzieli wszystko o Randallu i zespole, o Kalifornii, a nawet o Clincie Windsorze i siostrach Cissy, których ona nigdy nie spotkała. Zaczęła stałe nosić ciemne okulary, nie po to, żeby chronić wzrok przed słońcem, ale po to, żeby zniechęcić ciekawskich do zadawania pytań, na które nie potrafiła udzielić wymijającej odpowiedzi.

Wrzucona do czwartej klasy na ostatni miesiąc roku szkolnego, pierwszego dnia siedziała nieruchomo z tyłu sali, schowana za grubymi soczewkami okularów. Kiedy nauczycielka poprosiła ją, żeby opowiedziała klasie o Kalifornii, Cissy stanęła sztywno pod tablicą, a wszyscy uczniowie wbili wzrok w jej poważną, ściągniętą twarz.

— Kalifornia jest trzydziestym pierwszym stanem Ameryki. Jej stolicą jest Sacramento — powiedziała Cissy i wróciła na miejsce.

Kiedy rozległ się dzwonek, nad jej ławką pochylił się Marty Parish.

— Chcesz nam kmiotkom pokazać, co? — zagadnął, zerkając na otarty zeszyt pod jej ręką. Pośrodku strony widniał wyraz „Cayro” wypisany z góry w dół. — Masz talent swojej starej? — zapytał. — Śpiewasz świńskie piosenki, kręcąc przy tym tyłkiem?

— Odczep się.

— Musisz znać niezłe numery, czuję to przez skórę. Mogłabyś mnie kilku nauczyć, co nie?

Między nią a nauczycielką, która grzebała w biurku po drugiej stronie sali, zebrał się tłumek uczniów. Uśmiechnięci chłopcy i jedna nerwowa dziewczynka o szerokiej twarzy patrzyli na Cissy wyczekująco, jakby mieli nadzieję, że się rozpłacze lub chociaż wybiegnie z klasy.

— Podobno kobiety z twojej rodziny dobre są w te klocki — dodał Marty z lubieżnym uśmieszkiem. — Naprawdę dobre. Słyszałem, że z twojej siostry Dede też niezgorsze ziółko.

Cissy dźwignęła się z ławki. Ani na chwilę nie odrywając oczu od Marty'ego, powoli włożyła zeszyt pod pachę.

— Zejdź mi z drogi.

— Marty? — rzuciła nauczycielka donośnym głosem. Zamknęła szufladę biurka i weszła między ławki. — Jakiś problem?

— Żadnego. Żadnego. — Marty potrząsnął ciemną głową i cofnął się od znieruchomiołej Cissy. — Rozmawialiśmy o Kalifornii. — Uśmiechnął się do Cissy i w wystudiowany sposób wzruszył ramionami.

Nauczycielka popatrzyła na nową uczennicę, lecz twarz dziewczynki nie wyrażała żadnych emocji. Wszyscy ruszyli do drzwi. Cissy podeszła do Marty'ego.

— Hmm, znam parę numerków — szepnęła mu do ucha. — Jeździłam z zespołem, jeździłam autobusem, byłam w takich miejscach, w jakich ty nie będziesz nigdy w życiu.

Od tamtego przedpołudnia u dziadka Byrda Delia przestała mówić o Amandzie i Dede. Nie wymawiała nawet ich imion. Za to Ruby i Pearl postarały się, żeby Cissy poznała całą prawdę o siostrach.

— Szukają cię — ostrzegła ją z zadowoleniem Ruby. — Wszyscy o tym wiedzą. Pewnie cały czas ci się śnią. We snach widzisz, jak przedzierają się przez krzaki i wchodzą przez okna z kamieniami i brzytwami, na których wypisały twoje imię. Masz szczęście, że Dede jest już w siódmej klasie. Gdyby dalej chodziła do naszej podstawówki, już dawno skopałyby ci tyłek, i to ze trzy razy.

— Nawet cztery — zaryzykowała Pearl. — Cała twoja rodzina jest stuknięta, ale te twoje siostry są naprawdę chore na umyśle.

— I to jeszcze jak! — Ruby posłała Pearl pełen uznania uśmiech. — Amanda zachowuje się tak, jakby była jedyną w tym stuleciu zakonnica zielonoświątkowych baptystów. W największe upały paraduje w zapiętym kołnierzyku, w białych skarpetkach i w półbucikach na pasek. Jak jakaś pierwszoklasistka albo co.

— Nic, tylko się modli i powtarza ludziom, że pójdą do piekła — dodała Pearl.

— A Dede jest taka, że aż trudno w to uwierzyć.

— O Boże! — Pearl zakryła dłonią usta i zachichotała.

Ruby mądrze pokiwała głową. Popatrzyły na siebie, a potem



uśmiechnęły się do Cissy leniwym, pełnym zadowolenia uśmiechem.

— Wszyscy mówią, że ona już to robiła.

— Uhm, wszyscy.

Cissy zmarszczyła czoło.

— Co robiła?

— To. No to. Seks.

Pearl zaczęła podskakiwać na łóżku siostry.

— Dede nie jest dziewicą, tego możesz być pewna — oświadczyła Ruby. — I taka chodzi co niedziela do Holy Redeemer z siostrą i babcią! Pan Bóg powinien uderzyć w nią piorunem. Ile ona ma lat? Dwanaście?

— Nie wierzę wam.

— Wymyka się z domu babki i jeździ z chłopakami. Każdy o tym wie — mówiła wojowniczo Ruby, uśmiechając się od ucha do ucha.

Cissy skrzyżowała na materacu wyciągnięte nogi i podłożyła ręce pod głowę.

— Nic mnie to nie obchodzi. — Zamknęła oczy. — Nigdy ich nie spotkałam i nigdy nie spotkam.

— O, spotkasz, spotkasz. — Ruby kopnęła bok łóżka i rozejrzała się po sypialni, jakby chciała kopnąć coś jeszcze. — Już ci mówiłam: na pewno cię szukają.

Cissy nie otwierała oczu. Nie chciała dać Ruby satysfakcji i okazać po sobie, że słowa te wywarły na niej wrażenie. Bo rzeczywiście Amanda i Dede nawiedzały ją w snach i rzeczywiście ich wypatrywała. A tak naprawdę to raz już wpadła na Dede, co zawdzięczała nie komu innemu jak właśnie obu bliźniaczkom.

Przez ostatni miesiąc w każde sobotnie popołudnie Cissy jeździła do centrum miasta, do antykwiariatu Crane'a, gdzie sprzedawała książki, które systematycznie podbierała swoim współmieszkankom. Książki były jedyną rzeczą, jakiej im zazdrościła. Większość swoich zostawiła w Venice Beach, a tych parę, które Delia pozwoliła jej zabrać, skradziono podczas włamania na postoj. Co jakiś czas wodziła palcem po grzbietach starannie ułożonych książek, wyciągała tę czy tamtą, wypychała ją do papierowej torebki i chowała w bagażniku datsuna. Księgarnia państwa Crane'ów przejawiała wprost niezaspoko-

jony głód na pozycje kolekcjonowane przez bliźniaczki, na książki, którymi Cissy pogardzała.

M.T. i jej córki łączyła wspólna pasja do powieści rozgrywających się w czasach regencji, do czytań, w których roiło się od ściśniętych gorsetami ciał, do średniowiecznych opowieści o świętych i kurtyzanach, historycznych melodramatów o rzymskich żołnierzach opętanych przez kobiety, które prócz sztyletów o potrójnym ostrzu miały również skłonność do przyzywania swych bogiń, by ocaliły im życie. Lubiły także sagi o klanach brytyjskich arystokratów, źle lokujących uczucia, lub o służących, które dobrze wychodząc za mąż, zapewniały swym dzieciom bogactwo. Pudła z tego rodzaju książkami, z najróżniejszego rodzaju romansami stały pod każdym łóżkiem. Pearl i Ruby należały do innego świata, co wyraźnie potwierdzał ich literacki gust. Natomiast współczesne opowieści o miłości — ich bohaterami byli lekarze i pielęgniarki, dżentelmeni i sekretarki — Cissy znajdowała wyłącznie pod łóżkiem M.T. Tych nie tykała, lecz wynagrodziła to sobie, podkradając jedną z ulubionych książek Pearl, gotycką powieść rozgrywającą się w szesnastym wieku, i czytała z kolekcjonowanej przez Ruby serii, której akcja toczyła się w osiemnastym stuleciu w Court of St. James. Wymieniła je na *Czarnoksiężnika Z Archipelagu Ciemności* z cyklu fantastycznych opowieści Ursuli Le Guin. Świat, w którym podłych można obłożyć potworną kłatwą, miał dla Cissy nieodparty urok.

Pewnej soboty Cissy krążyła po księgarni, przebierając między thrillerami i pozycjami *science fiction*, gdy nagle trafiła jej się gratka: egzemplarz *Dreamsnake* Vondy McIntyre. Już miała wyjąć go z pojemnika, gdy na grzbiecie książki zamknęła się czyjaś ręka. Cissy podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą chudą jasnowłosą dziewczynę. Dziewczyna patrzyła na nią. Stały tak nieruchomo, dopóki pani Crane nie upuściła stosu książek. Wtedy obie odwróciły głowy. Nie odrywając wzroku od dziewcząt, zaczerwieniona i drżąca pani Crane schyliła się, żeby pozbierać rozsypane książki. Cissy i Dede zmarszczyły czoło w identycznym grymasie twarzy, popatrzyły na siebie i cofnęły ręce.

Dlaczego Cissy nic nie powiedziała? Tylko co miałyby powiedzieć? Dede wyglądała jak przeciętna, nieopierzona

nastolatka. Miała jasne, zebrane do tyłu włosy i niebieskie oczy, chłodne i przenikliwe. Dopiero później Cissy zdała sobie sprawę z tego, co wprawiło ją w takie zmieszanie: jej przyrodni siostra była całkiem zwyczajną dziewczyną. Nie raziła prądem przy dotyku i nie otaczała jej aura tajemniczości. We wszystkich zbieranych przez bliźniaczki książkach natychmiast byłyby mowa o złowieszczym zapachu, który wypełnił pomieszczenie, o błysku siostrzanej intuicji. Tymczasem Cissy tylko stała i zastanawiała się, co robić. Może powinny być porozmawiać? Dede wzięła książkę i dołączyła ją do tej, którą już trzymała w ręku, do zaczytanego egzemplarza *The Optimist's Daughter* pióra Eudory Welty. Przeniosła wzrok na panią Crane, potem znowu spojrzała na pojemnik z książkami, w końcu ruszyła przejściem, nie patrząc na Cissy. Cissy odłożyła wybrane książki i bez słowa wyszła z antykwariatu. Po powrocie do domu stanęła przed lustrem, przy którym M.T. robiła sobie makijaż. Chciała sprawdzić, czy rzeczywiście są z Dede do siebie podobne, czy ktoś obcy od razu pozna, że są spokrewnione. Choć miała ciemnorude włosy i jasnopiwe oczy, zobaczyła w lustrze to, co zauważyłby każdy postronny obserwator: i ona, i Dede wyglądały jak Delia. Miały jej nos, jej podbródek i takie same cienkie, wygięte w łuk brwi nad przejrzytymi oczami.

Różniło je tylko jedno, coś, co od razu rzucało się w oczy: Dede była ładna. Po raz pierwszy Cissy pomyślała o tym, jak będzie wyglądała, kiedy już dorośnie. Pewnego razu, gdy jeszcze mieszkała w Venice Beach, Rosemary pokazała jej, jak się maluje, zwracając uwagę, że obie mają twarze w kształcie serduszka.

- Jesteśmy ładniejsze niż te brzydactwa o kwadratowych gębach - rzuciła ze śmiechem. - Makijażem wszystkiego nie załatwisz. Ale tylko zaczekaj. Pewnego dnia będziesz równie piękna jak twoja mama.

Wtedy Cissy nie zwróciła na to uwagi. Teraz jednak, wciąż widząc na swojej twarzy zarys oblicza Dede, zrozumiała, co znaczy uroda. Nie potrafiła wszakże znaleźć wytłumaczenia dla czegoś, co dostrzegła w siostrze: Dede nie patrzyła na nią z nienawiścią, tylko z zaciekawieniem. Dede była obojętna, chłodna i powściągliwa, ale nie wroga. Tak zdecydowanie

przypominając Cissy, była niemal równie jak ona sama nieprzenikniona.

Dom nad rzeką zbudowano z żuźlowych bloków. Miał dwie sypialnie i salonik niewiele większy od kuchni, do której się z niego wchodziło. Łazienka, mała niczym mysia norka, wciskała się między sypialnie. Ciemna, cuchnąca, z tanim plastikowym prysznicem pokrytym plamami pleśni, miała pomalowane na pomarańczowo okno.

Pewnego czerwcowego weekendu M.T. i Sally rzuciły się w wir pracy i w krótkim czasie doprowadziły pokoje do względnego porządku. Tempo prac zwolniła łazienka. W każdym jej zakamarku i kąciku rozpyliły środek owadobójczy, kilka dni później dwukrotnie wyszorowały i wychlorowały podłogi oraz ściany, wietrząc pomieszczenie między jednym a drugim czyszczeniem, mimo to w łazience nadal śmierdziało.

W następną sobotę Sally weszła tam, głęboko odetchnęła i rzuciła: „Cholera!” Stanęła na muszli klozetowej, wzięła zamach nogą, po czym dwoma dobrze wymierzonymi kopniakami wypchnęła pomarańczowe okno z futryny. Do łazienki wpadło światło i świeże powietrze, co zmusiło do odwrotu małą armię prusaków. Sally skinęła głową i wezwała ekipę z „Dust Bunnies”, agencji sprzątaczek, którą prowadziła. Kobiety wyrzuciły dywan z saloniku, spaliły go na tyłach domu i uszczelniwszy plastikiem wszystkie okna, odpaliły w domku bomby na robactwo, jakich używa się w halach fabrycznych. Dwa dni później wyniosły na dwór wszystkie meble i wyczyściły wszystkie pomieszczenia. W tym samym czasie mąż Sally wprawiał do łazienki nowe okno. Wykorzystując resztki farb pozostałych z innych robót, Sally wraz z ekipą odmalowała łazienkę oraz kuchnię, a także odświeżyła sypialnie. Skończywszy z malowaniem, wstawiły meble, a w saloniku położyły dywan od M.T.

Nazajutrz M.T. zapakowała do samochodu Delię i Cissy i wraz z ich skromnym dobytkiem oraz nowymi, jaskrawożółtymi zasłonkami do łazienki, zawiozła je do domu nad rzeką. Podczas gdy opowiadała im, jak to Sally wykopała z futryny okno w łazience, nieszczęśliwa Cissy chodziła po kuchni i czując

siadające pod stopami purchle linoleum, załowała, iż Sally nie wypchnęła kopniakami z futryn wszystkich okien w domu. Wolałaby spać choćby pod gołym niebem niż mieszkać w tym strasznym budynku, tak potwornie brzydkim w porównaniu z tym, który został w Kalifornii. Tymczasem Delia siedziała przy stole w kuchni i łkała, że tak tu teraz czysto i pogodnie.

Sally zaproponowała jej pracę w „Dust Bunnies” i Delia z wdzięcznością ją przyjęła. Robiła na nocnej zmianie i nie musiała z nikim rozmawiać. W tym samym bawełnianym podkoszulku i w dżinsach szła co wieczór sprzątać pomieszczenia biurowe fabryczki, pretendującej do miana największego zakładu przemysłowego w Cayro, i wracała nad ranem z włosami wymykającymi się spod gumowej opaski. Z pozbawioną wrazu twarzą siadała przy kuchennym stole i czekała, aż wstanie Cissy, potem przygotowywała śniadanie — jedyne, jakie obie mogły przełknąć: chleb z musem z duszonych jabłek. Kiedy Cissy szła poczytać do swojego pokoju, Delia opierała głowę na stole i przez godzinę płakała. Później kładła się do łóżka i spała do popołudnia.

Gdy M.T. zapytała, jak im się wiedzie, Cissy odparła:

— Nadeszła pora płaczu.

Bywały takie dni, gdy Cissy zazdrościła matce gładko płynących łez. Bywały i inne, kiedy nienawidziła jej za nie. Po tym jednym, jedynym wybuchu emocji u M.T. Cissy nie miała już czym płakać.

Swoje jedenaste urodziny spędziła nad rzeką, pogrążona w biografii Elżbiety I, którą z dużą niechęcią ofiarowała jej Pearl. Kiedy się przeprowadzały, M.T. poprosiła córki, żeby podarowały Cissy kilka książek na nowe mieszkanie. Dziewczęta wzięły się do przeglądania swoich cennych zbiorów i głośno stwierdziły, że z kolekcji zniknęły ich najbardziej ulubione pozycje. Dostrzegłszy na twarzy Cissy cień uśmiechu, M.T. czym prędzej oświadczyła, że pożyczyła je znajomym z kościoła.

- Przepraszam cię, kochanie — zwróciła się do Ruby. - Ale może uda nam się zastąpić je nowymi?

Ponieważ nalegała, Pearl i Ruby wybrały dla Cissy najbardziej zniszczone egzemplarze i najnudniejsze tytuły, jakie znalazły w swych pudłach. M.T. wyżebrała też od znajomych parę kartonów używanych książek.

- Mała Delii dużo czyta - mówiła - a dobrze wiecie, że Delia groszem nie śmierdzi.

Nikt jej nie wierzył - całe Cayro uważało, że Delia jest bogata, jak wszystkie słynne gwiazdy rocka — mimo to ludzie chętnie rozstawali się ze zniszczonymi tanimi książkami w miękkich okładkach, z Bibliami w tłumaczeniu z czasów króla Jakuba i ze skróconymi powieściami wydawanymi przez „Reader's Digest”; tych ostatnich było tyle, że zajęłyby chyba całą półkę. Cissy ten chłam nie przeszkadzał. Taylor Caldwell i A.J. Cronin nie byli wcale najgorsi, jeśli zaś chodzi o resztę, oddała ją na wagę za Kate Wilhelm i wszystkie książki Jamesa Tiptree. Nigdy by się nie przyznała, że zanim przehandlowała te pozycje w antykwaracie pani Crane, większość z nich przeczytała i że niemal całą porę płaczu przemieszkała w świecie wyobraźni, przemawiając dworską francuszczyzną z czasów regencji króla Jerzego IV lub francuskim dialektem Kreolów, szeleszcząc długimi spódnicami i wodząc palcem po ostrzu noża.

Pewnego niedzielnego popołudnia, kiedy M.T. pomagała Cissy w urządzaniu dziewczęcego pokoju, do domu nad rzeką zawitała Stephanie Pruitt. Przyniosła duży kosz jarzyn ze swojego ogrodu.

— Nie widziałam cię od ukończenia szkoły, a zaraz potem wysłaś za męż! — wykrzyknęła i ucisnęła Delię, jakby od tamtego dnia minęło dziesięć tygodni, a nie dziesięć lat.

Steph poprosiła Cissy o coś do picia - „Herbatkę, jeśli masz, kochanie” — po czym rozsiadła się przy kuchennym stole, by nie zważając na ostrzegawcze spojrzenia M.T., przekazać Delii wszystkie miejscowe plotki. Pierwszą osobą, która znalazła się na jej plotkarskiej liście, był Clint Windsor.

- Od czasu, gdy wyjechałaś, wygląda coraz paskudniej — powiedziała z uśmiechem, jakby stwierdzenie to sprawiło jej przyjemność. — Nie ma wątpliwości, że to swego rodzaju kara. Wielu ludzi winiło go, że musiałaś od niego uciec. Wszyscy wiedzieli, że jest taki sam jak jego ojciec, tyle że bardziej narwany.

M.T. pochyliła się i dotknęła ramienia Delii.

— Tylko nie zacznij się teraz zamartwiać - przestrzegła. — Nikt by temu nie zaradził, ani ty, ani nikt inny.

— Ta rodzinka zawsze była sztywna i wredna - ciągnęła Stephanie. — Stary Windsor i świętoszkowata Louisa dobrze wiedzieli, co w trawie piszczy. I co zrobili? Nic.

M.T. ścisnęła ramię Delii.

— Steph ma rację, kochanie. Pamiętasz, jaki był Clint. Nic się nie zmienił. Kiedy wyjechałaś, nikt z nas nie mógł się z nim dogadać. Wszyscy wiedzieli, że pije. Pracował w Firestone i pił na umór.

— Uhm — mruknęła Steph. — Poszarzał na twarzy, wysechł na wiór i zrobił się żyłasty jak starzec. No i był wiecznie pijany. Słyszałam, że spał na ganku w waszym starym domu, mył się na podwórzu i że w ogóle nie wchodził do środka. Pewnie miejsca tam nie było, bo wszędzie stały puste butelki po whisky — dodała, uśmiechając się do Cissy. — Pijacy lubią mieszkać sami. Leniwi, niechlujni... Ich serca są pełne zapiekłej złości. Nienawidzą wszystkiego, co nie jest pijane lub martwe.

M.T. spróbowała się uśmiechnąć.

— Boże, rzeczywiście, pijacy są rąbnięci. Pod jednym względem Clint postępował mądrze: pił w domu. I dobrze się stało, że dziewczynki zamieszkały z babcią Windsor. Zająta się nimi lepiej, niż on by to zrobił.

Delia wyprostowała się i spojrzała na M.T. tak, jakby wyrwano ją z transu.

— Myślałam, że babcia Windsor przeprowadziła się do Clinta — powiedziała.

Randall wynajął w Atlancie prawnika. Było dochodzenie, były sprawozdania, Delia otrzymała oficjalną notatkę o porzuceniu domu i dzieci oraz kilka grubiańskich listów od okręgowych pracowników społecznych. Stary Windsor miał sędziego w kieszeni i słuszność po swojej stronie. Delia i Randall robili, co mogli — na próżno. Podczas tych prawnych rozgrywek Delia wyobrażała sobie, że córeczki mieszkają w ich domu, w starym, podobnym do setek innych domów na splechetku pola przy Terrill Road, domu, który urządziła wspólnie z Windsorem. Choć nie znosiła teściowej, pocieszenie czerpała z tego, że dziewczynki jedzą posiłki w swojej własnej kuchni, na karnawałowo barwnych talerzach, które kupiła zaraz po ślubie z Clintem. Jak się okazało, wierzyła w mrzonki. W ułudę, jaką stworzyła, żeby złagodzić strach. Przez cały czas dziew-

czynki mieszkały z babcią Windsor na farmie, gdzie nawet ziemia, jak z przekonaniem mawiał Clint, jest sucha i smutna. Delia zakryła dłońmi oczy.

- Biorąc pod uwagę to, co robił Clint, stara Louise prawdopodobnie uratowała ci dzieci, kochanie — ciągnęła pogodnie Stephanie. — Dobrze sobie radzą. Śliczne są jak ty, bystre i jasnowłose. Dede jest kropla w kroplę podobna do ciebie. Prawda, M.T.?

Delia spojrzała na przyjaciółkę. Kilkakrotnie otworzyła i zamknęła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Steph nawet tego nie zauważyła.

- No cóż, muszę już wracać. Słyszeliście, że dostałam odszkodowanie za pożar? Dopiero teraz jesteśmy naprawdę urzędzeni. Mamy dwie przyczepy, jedną obok drugiej, i wielki, stary, oszklony ganek. Musicie kiedyś przyjść i zobaczyć to wszystko na własne oczy. — Dopiła herbatę, odstawiła filiżankę i otarła górną wargę.

Delia bez słowa wstała od stołu i wyszła do sypialni. M.T. odprowadziła przyjaciółkę wzrokiem. Zmarszczka na jej czole była równie wymowna co ściągnięta bólem twarz Delii.

- O Boże! - Stephanie patrzyła to na M.T., to na Cissy. Nic z tego nie rozumiała. — Czy powiedziałam coś nie tak? No, mówcie, dziewczyny. Przecież minęło tyle czasu, już dawno powinna to przeboleć. Ile to będzie lat? Boże, co najmniej z dziesięć.

Przez całą porę płaczu Delii M.T. czerpała ze swego ciężko zapracowanego kapitału. Zrozumienie i współczucie, z jakim się zetknęła, gdy odkryła, że Paul ją oszukuje, i gdy postanowiła przeciwko niemu wystąpić, przelała teraz na swą najdawniejszą i najukochańszą przyjaciółkę.

Większość mieszkańców Cayro uważała, że stan, w jakim Delia wróciła do domu, do cna wypalający jej twarz smutek oraz miesiące, jakie w charakterze sprzątaczkki spędziła w agencji Sally, stanowią właściwą karę dla kobiety, która porzuciła swoje córki. Opinia publiczna w Cayro nie ulegała dostatecznie szybkim zmianom, by zrozumieć czy wybaczyć jej grzech albo też wziąć pod uwagę to, że porzuciła swe dzieci dlatego, iż



musiała ratować się ucieczką, i gdyby nie zdążyła wsiąść do autobusu w Parlour's Creek, mąż pewnie by ją zadusił. Nie, ludzie w Cayro nadal widzieli w niej grzesznicę, a pora płaczu stanowiła zrozumiałe dla nich zadośćuczynienie. Z przyjemnością obserwowali oznaki skruchy. Lubili patrzeć na miękkie usta Delii i zaczerwienione kąciki jej oczu.

Najmądrzejszym posunięciem M.T. było to, że tydzień w tydzień ciągnęła Delię do kościoła Baptist Tabernacle. W każdą niedzielę zgaszona i blada grzesznica siadała na twardej drewnianej ławce z pustymi oczyma i z dłońmi spierzchniętymi i opuchniętymi od szorowania podłóg oraz skrobania klozetów.

- Bóg wszystko widzi, prawda? - zagadnął M.T. pastor Myles pierwszej niedzieli.

M.T. wzięła Delię pod rękę i ostrożnie skinęła głową. Wiedziała, co robi.

Już w dziesiątą niedzielę z trudem drepcząca przez kościół pani Pearlman w swej bolesnej wędrowce wsparła się na ramieniu Delii. Miała artretyzm, endoprotezę stawu biodrowego i w ogóle cierpiąca potworne męki, jednak żeby nie wiadomo co, nigdy w życiu nie wsparłaby się na ramieniu nie okazującego skruchy grzesznika. Jeśli nawet jej gest nie stanowił pełnego wybaczenia, to w każdym razie je zapowiadał. W gruncie rzeczy kobiety błądziły tak samo jak mężczyźni, z tym że okupywały swe grzechy dziećmi i przyjaciółkami. Zaciągnięty dług miał gotową i wymierną wielkość. Ta, która porzuciła dom i żyła wygodnie, nie mogła liczyć na wybaczenie, lecz ta, która wracała zraniona i zrujnowana, męczenniczo-trzeźwa i uparcie wytrwała, cierpiąca głęboko i publicznie, ta miała jeszcze szansę i mogła mieć nadzieję, że kobiety przyjmą ją do swego kręgu.

Pocierp jeszcze trochę, dziecko — mówiła dłoń Marcii Pearlman - my cię rozumiemy. Na szczęście do Delii nic nie docierało. Jej duma by tego nie zniosła. Delia z Mud Dog też by tego nie przeżyła. Ani Delia z Mud Dog, ani Delia, która walczyła z Clintem, by wreszcie od niego uciec. Znieść mogła to jedynie Delia z pory płaczu, tylko ona mogła siedzieć spokojnie ze zwieszoną głową i nawet nie zauważyć, że Pan Bóg, wyciąga ku niej rękę. Nie darowali jej, ale ją rozumieli. Nie wybaczyli jej, lecz się radowali. Oglądać Delię w takim stanie — och, ileż w tym zwykłej przyjemności! Nie wspomniała o tym

żadna z odwiedzających kościoł kobiet, ale wszystkie wiedziały swoje. Spójrz na nią! Boże! Spójrz tylko! Dłoń Marcii Pearlman na ramieniu Delii zdziałała więcej niż szeptana propaganda, jaką M.T. uprawiała na schodach świątyni.

Przez pierwsze miesiące pobytu Delii w Cayro M.T. trwała przy niej niewzruszenie jak skała, dowodząc swej przyjaźni setkami dobrych uczynków. Zdarzało się, że Delia nie chciała z nią rozmawiać, lecz M.T. się nie obrażała. Wtedy co kilka dni pytała Cissy:

— Co tam u was? Wszystko w porządku?

— W porządku — odpowiadała Cissy tym samym kodem i M.T. już wiedziała, że nie ma żadnej poprawy.

— To dobrze, kochanie — mówiła. — Daj jej trochę czasu. To musi trochę potrwać.

Każdy dzień w Cayro zwracał Delię w czas jej dorastania. Zatapiała się w sobie i znów stawała się tamtą dziką dziewczyną, do której nikt nie ważył się zbliżyć. Nie zdawała sobie sprawy z niemiłego, zjełczałego zapachu swego ciała. Pełne litości spojrzenia, jakie rzucały jej sprzątaczk, w ogóle jej nie dotykały. Energii starczało jej tylko na myślenie o jednym: o stawianiu jednej stopy przed drugą. Dzień w dzień nosiła ten sam podkoszulek i te same obcięte dżinsy. Zdejmowała je z siebie i wkładała dopóty, dopóki Cissy nie wymieniła ich na czyste. Gdyby tylko mogła — myślała Cissy — nie rozbierając się, wchodziłaby pod prysznic, a potem w mokrym kładłaby się do łóżka.

Bezpiecznie. Musiała czuć się bezpiecznie. Kto by jej dotknął w tym ubraniu? Kto dotknąłby tego chudego, zgarbionego ciała w znoszonej, wyciągniętej bluzce i w spranych dżinsowych spodniach? Kto by ją zagadnął, kto spojrząłby na nią, gdy chodziła z włosami ściągniętymi gumką i z nie zrobioną twarzą? Kim była? Na pewno nie Delią Byrd. Jej wygląd mówił: zostawcie tę kobietę w spokoju.

W bibliotece okręgowej Cissy znalazła książkę o męczennikach. Wyczytała w niej, że byli święci, którzy w jednej szacie przeżyli dwadzieścia lat. W jednym ubraniu. Nikt nie wspominał, jak ani kiedy je prali. Może nigdy albo gdy Bóg zdarzył? Może gdy stali z twarzą pod deszcz lub gdy latem pobieżnie opłukiwali ciało w strumieniu? Suknia się przecierała, gniła i odpadała od żylastego, trawionego świętą gorączką ciała, by

ustąpić miejsca innej, takiej samej jak poprzednia. Żadnej próżności, zastanawiania się. Żadnego lęku i pragnienia. Ubranie służyło ukrywaniu ciała, nie jego ozdobie.

Może święci roznosili jakąś zakaźną chorobę i Delia się nią zaraziła?

Przesypiając całe dnie w małym domku nad rzeką, Delia znowu zaczęła śnić o córkach. Śniło jej się, że Amanda, Dede i Cissy wróciły do okresu niemowlęctwa i otwierając głodne usteczka, drapały się do jej piersi. Wszystkie były tej samej wielkości, a ilekroć usiłowała całą trójkę podnieść i przytulić, gwałtownie machały ramionkami. Za każdym razem jedno z maleństw wyslizgiwało się z uścisku. Jedno z maleństw wypadało jej z rąk. Krzycząc przenikliwie, usiłowała je przytrzymać, lecz wtedy wypadało jej z rąk kolejne, a to trzecie z trudem łapało oddech, dusząc się w jej ciasnych objęciach. Szamotała się i walczyła, ale nigdy nie potrafiła zapewnić im bezpieczeństwa. Budziła się z policzkami mokrymi od łez i z obolałymi ramionami. Została jej tylko potrzeba zajmowania się córkami i zapewnienia im opieki niezależnie od tego, że były już prawie dorosłe. Przez całą drogę do Georgii odczuwała ich głód i nieustępliwe pragnienie. One wciąż są moimi maleństwami - mówiła sobie.

Czasami sny Delii z koszmarów przeradzały się we wspomnienia tego, co było. Widziała w nich te najukochańsze ciała, w chwili gdy brała je do rąk po raz pierwszy. Kiedy położna podała ją Delii, uwalana krwią i wydzieliną Amanda była szokująco drobniutka i zaciekła. Gdy zaś pielęgniarka przekazała tę drobinę Clintowi, jego oczy rozszerzyły się w panice.

— Mój Boże... - sapnął, nie mogąc uwierzyć, że z otępiałej i bezwolnej istoty, jaką stała się Delia pod koniec ciąży, wyszło coś tak silnego i wibrującego energią. Natychmiast oddał dziecko Delii, a potem nic nie rozumiejącym wzrokiem przyglądał się matce i opornemu niemowlęciu. Amanda nie chciała ssać nabrzmiałej mlekiem brodawki. Darła się, kopała i żałośnie jęczała, tymczasem Delia opadła na zbyt mocno wypchane poduszki i zalewając się łzami, rozpaczliwie szlochała. Ich dramat przyciągnął Clintę z powrotem do łóżka. Zaczął nie-

wprawnie poklepywać i pocieszać spracowaną dłonią najpierw Delię, potem nowo narodzoną dziewczynkę.

Ta chwila należała do najstraszniejszych i zarazem najczulszych doznań w życiu Delii. Nie potrafiła tych sprzeczności pogodzić, nie potrafiła pogodzić obrazu potwornego, okrutnego, miotającego się po domu, dziwnego i niebezpiecznego Clint'a i obrazu Clint'a, który tak bardzo lękał się, by nie wyrządzić małej krzywdy, że lękał na widok swych szorstkich palców przy jej aksamitnym policzku.

Może spowodował to zapach krwi i mleka? Ta krótka jak okamgnienie chwila czułości wystąpiła przy obu porodach. Gdy zaraz po przyjściu na świat Dede przypięła się do piersi, gdy jej małe piąstki zaróżowiły się na tle kremowego biustu matki, a policzki zaczęły pracować jak miechy, zadziwiony Clint nachylił się nad Delią i oparł dłoń na jej biodrze. Syknęła z bólu i poruszywszy się gwałtownie, mimo woli wyszarpaneła pierś, tak że zgłodniałe i spragnione dziecko zostało z pustą, otwartą buzią i łapczywie wysuniętym języczkiem. Gwałtownie drgnęła, gdy chłodne powietrze owiało rozpaloną, popękaną brodawkę, natomiast Clint odskoczył nerwowo i spojrzał na żonę zaczerwienionymi oczami. I gdy tak na siebie patrzyli, słyszała, z jakim uporem i nadzieją łomocze jej serce.

Gdy tylko Clint pochwycił jej spojrzenie, natychmiast zapomniał o dwóch nowych ciastowatych ciepłych ciałkach. Oddychał tylko Delią, Delią, którą ranił, Delią, o której śnił, że leży wiotka w jego ramionach. Przyzywało go jej mokre, wymęczone ciało, a dzieci, które razem zrobili, odwracały tylko uwagę, niczym widma. Wiedziała, że w całym domu tylko ona jedna była dla niego kimś prawdziwym i namacalnym. Dziewczynki zauważyły dopiero wtedy, gdy odeszła, i tylko dlatego, że mu ją przypominały. Trzymał się ich, ponieważ stanowiły dojście do jej serca.

- On ich wcale nie chce - powiedziała później Randallowi, gdy sędzia z Atlanty przyznał Clintowi prawo do opieki nad córkami. Ścisnęła w garści tych kilka zdjęć i perorowała jak wariatka: — On chce mnie tylko zranić, chce, żebym krwawiła z każdego pora. Bóg osądzi go za ten grzech, osądzi go za tę zbrodnię. Ten człowiek mógłby nawet stworzyć sobie żyły

przed niebiańskim tronem, a i tak żadna matka nie wybaczyłaby mu tego, co zrobił. Jest przeklęty, przeklęty przez Boga na wieki.

W małym domku nad rzeką Delia śniła o Randallu, Clincie, Dede, Amandzie, o swoich maleństwach i swojej wściekłości, po czym budziła się i zaciskając pięści, leżała w łóżku z płonącymi oczami. Jakże to wszystko wytłumaczyć? Dziewczynki na pewno zadadzą jej mnóstwo pytań. A ona? Jakże stawi im czoło? Kołysała się na łóżku. Piersi miała wezbrane i obolałe jak w dniu, gdy zostawiła dziesięciomiesięczną Dede, śniącą w kołysce w domu przy Terrill Road.

— Boże — prosiła — niechaj mi wybaczą. Daj mi szansę, bym mogła sprawić, żeby mi wybaczyły.

Pora płaczu zakończyła się nagle, ostatecznie i bez wyraźnego powodu. Pewnego dnia Delia wróciła z pracy, wyciągnęła ze spodni połę bawełnianego podkoszulka, powąchała ją i zmarszczyła nos.

— Cholera — powiedziała do Cissy. - To cuchnie. — Zdjęła podkoszulek, zmięła go w dłoniach i wytarła nagi tors.

Jej drobne piersi zaskoczyły Cissy. Zdawały się za małe, by mogły wykarmić dzieci.

Delia dostrzegła minę córki i parsknęła śmiechem.-

— Nie ma tu niczego takiego, czego za chwilę sama nie będziesz miała. - Wyrzuciła podkoszulek do kosza i poszła wziąć długi, gorący prysznic.

Nieco później tego samego dnia przyszła M.T. Nie zadawała żadnych pytań. Wchodząc po schodkach, zobaczyła Cissy, skinięta głową i oznajmiła:

— Przyniosę kurczaka. Zrobimy sobie specjalną kolację.

Cissy zastanawiała się, co będzie dalej. Dawna Delia nigdy nie płakała ani nie wspierała się na niczym ramieniu. Ta nowa też nie zamierzała tego robić. Po prostu cmoknęła przyjaciółkę w policzek i cofnęła się, a cała niespodzianka polegała na tym, że nic się nie zmieniło. To, że Delia przestała zalewać się łzami i nie czekała w bezruchu na pociechę, zupełnie M.T. nie trapiło. Ot, płakała, śmiała się i przygotowywała kurczaka równie zadowolona jak wówczas, gdy Delia była tragiczną heroiną.

Nie miała też jej za złe tego, że Delia nie chciała pójść z nią do kościoła pierwszej niedzieli, jak wróciła do siebie.

— Mam co robić — usłyszała Cissy, kiedy matka rozmawiała z M.T. przez telefon.

— Jak myślisz, jaki to będzie dzień? — zapytała uśmiechnięta Delia, stawiając przed córką talerz z jajkami i szynką.

- Dobry na wyjazd — odparła Cissy.

Delia roześmiała się.

- Boże, dziewczyno! Ledwieśmy przyjechały.

## 5

Przez trzy kolejne niedziele Delia jeździła do Holiness Redeemer sama. Tylko tam mogła zobaczyć je na pewno: Amandę, Dede i babcię Windsor, która je przed sobą popychała. Gdy tylko kończyło się nabożeństwo i otwierały się drzwi kościoła, szukała oczyma córek. Ale pamiętała, że babcia Windsor zawsze wychodzi ostatnia. Stara siedziała w ławce do chwili, gdy kościół pustoszał. Ze spuszczoną głową poruszała ustami w bezgłośnej modlitwie, podczas gdy inni wiercili się i przestępując z nogi na nogę, zadawali sobie w duchu pytanie, czy, nie powinni czasem usiąść i zamyślić się nad swoimi grzechami. Kiedy na tydzień przed ślubem Clint i Delia wybrali się z nią do kościoła, wstawszy z ławki, Delia natychmiast zrozumiała, że jej przyszła teściowa tylko czekała na podobne potknięcie. Stara popatrzyła na nią z radosną pogardą i lekko wywijając wargi, zerknęła czarnymi oczami na Clintę, żeby się upewnić, czy zauważył, co jego narzeczona zrobiła. Nigdy dotąd Delia nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo matka Clintę jej nienawidzi. Potem nie było już wątpliwości, że Louise Windsor prowadzi z nią wojnę na pogardę, gotowa prędzej zobaczyć swego syna w grobie niż patrzeć na to, jak zadaje się z dziewczyną Byrdów, która nawet nie potrafi usiedzieć w kościelnej ławce, dopóki lepsi od niej nie dadzą jej znaku, że już można wstać.

Delia obserwowała wychodzących z kościoła. Ludzie szli

dwójkami, trójkami i gdy zdawało się, że wewnątrz nie pozostał nikt, pojawiła się babcia Windsor z dziewczynkami. Ściskając w rękę wielką torebkę, krótko skinęła głową pastorowi Johnowi Hillmanowi, którego podobiznę Delia widziała na plakacie z napisem: „Żałuj za grzechy! Żałuj za grzechy! To woła krew baranka”. Amanda i Dede szły ze spuszczoneymi głowami i we wszystkim naśladowały babkę. Delia oddychała tak głęboko, jakby całe powietrze świata nie mogło wypełnić dręczącej jej pustki. Wiodła za córeczkami zогromniałymi oczyma, a na jej twarzy zastygła maska bólu. Były dokładnie takie, jak je sobie wyobrażała, i ani trochę takie, jakie miała nadzieję zobaczyć. Amanda okazała się wyższą, surowszą wersją babci Windsor, za to Dede tak szalenie przypominała swą nie żyjącą już drugą babkę, że Delii omal serce nie pękło. Pochyliła się i przycisnęła brodę do kierownicy, by nie wysiąść z auta i nie pochwycić córek w ramiona. Dziewczynki robiły wrażenie nieszczęśliwych. Wyglądały tak, jakby nie umiały być szczęśliwe nawet wówczas, gdyby ktoś za to im płacił.

Dede miała opuchnięte i odęte usta. Szła trop w trop za babką i siostrą, lecz cały czas się od nich odsuwała i nerwowo podrzucała biodrami, przypominając mechaniczną zabawkę ciągniętą na sznurku. Obok niej dreptała przygarbiona i przyklejona do nogi babki Amanda, choć stara nie odwróciła się ani razu, żeby na nią spojrzeć. Zdawało się, że Amanda postanowiła wzorować się na babce. Włosy wiązała w koczek starszej pani, z wyćwiczoną dezaprobatą wykrzywiała mocno zaciśnięte wargi, nogi zaś stawiała sztywno, jakby biodra miała zwapniałe i artretyczne. Łzy odebrały Delii ostrość widzenia. Myślała o tym, jak bardzo córki przypominają ją samą, gdy miała tyle lat co one. Ona też była gniewna i samotna, ona też walczyła ze wszystkich sił, by nie okazać tego, co czuje.

Bóg chce, żeby mnie bolało - pomyślała, gdy po ramionach przemknęło jej dokuczliwe mrowienie. Niemal czuła miękkie ramiona Dede pod swoimi palcami, wyrazistą woń umytych mydłem lnianych włosów Amandy. Chciała wyskoczyć z datusuna, podbiec do nich i wstrząsnąć miłość w ich zranione serca. Objęła wzrokiem resztę owczarni pastora Hillmana: kobiety, które ostatni raz widziała na swoim ślubie, mężczyzn, których pamiętała z kieliszkiem whisky na ganku dziadka Wind-

sora. Nie wszyscy jej wtedy nienawidzili. Niektórzy patrzyli na nią z litością. Ale dziś nie pożałowałaby jej nikt. Była kobietą upadłą, babilońską dziwką, suką, która porzuciła młode. Nikt z przechodzących przez trawnik przed kościołem nie pozwoliłby jej zbliżyć się do dziewczynek. Jednomyślnie by ją przepędzono.

Drugiej niedzieli ścisnęło ją w dołku: tuż przed nabożeństwem białą, zardzewiałą furgonetką przyjechał Clint i wychyliwszy się przez okno, podał babci Windsor kopertę. Był chudszy i wyglądał starzej, niż się spodziewała. Jego szaroblond włosy opadały na kołnierzyk jednej z tych białych koszul od fabrycznego uniformu, które swego czasu tak często prasowała. Kiedy odwrócił głowę w jej stronę, zakryła usta wierzchem dłoni i mocno zacisnęła zęby. Zobaczyła go wówczas wyraźnie. Nie, nie Clinta — zobaczyła jakiegoś niebieskookiego mężczyznę mniej więcej w tym samym wieku co Clint. Zdała sobie sprawę, że cała się trzęsie. Przypomniała sobie szare oczy Clinta, które ciemniały, kiedy wpadał w gniew — przez ostatnie dwa lata jej pobytu w Cayro były już niemal czarne. Mężczyzna podniósł dłoń, żeby pomachać pastorowi, a Delia uruchomiła silnik, zbyt zdenerwowana, żeby czekać na dziewczynki.

Trzeciej niedzieli wysiadła z auta i weszła po schodach do kościoła. Stanęła za ostatnim szeregiem wiernych w chwili, gdy chór zaintonował *All Blessings* i gdy nad głowami zebranych potoczyły się dźwięki organów. Z ostatniej ławki widziała siedzące z przodu córki, ich opuszczone głowy tuż obok siwego, ciasno związanego koczka babci Windsor. Delia nie odrywała od nich wzroku. Postanowiła, że kiedy pastor Hillman zakończy nabożeństwo, całą siłą woli zmusi się do pozostania w ławce. Chciała siedzieć, gdy Amanda i Dede będą przechodzić koło niej. Chciała wyciągnąć rękę, dotknąć ich, patrzeć na nie, widzieć ich twarze, kiedy zorientują się, kogo mają przed sobą.

Po jej policzkach spłynęły łzy. Nie słyszała kazania. Śpiew chóru ledwie do niej docierał. Dopiero w połowie nabożeństwa uświadomiła sobie, że przypatruje się jej rodzina siedząca w ławce po drugiej stronie przejścia. Ojciec patrzył na nią ze złością, matka krytycznie i sztymno. Dwaj mali chłopcy spoglądali na nich i wierzili się niespokojnie. Mieli najwyżej osiem, dziewięć lat i nie mogli wiedzieć, kim Delia jest, mimo to doskonale



wyczuwali oburzenie rodziców. Duże, zaciekawione oczy chłopców popatrywały to na Delię, to znów na ojca.

Na jej policzkach wykwitły rumieńce, na czoło i ciało pod sukienką wystąpiły krople potu. Oczy Delii błędziły po sąsiednich ławkach. Ludzie oglądali się na nią, wykręcali szyje. Ich spojrzenia paliły ją, ścignięte usta dotykały obnażonych nerwów. Szum narastał, patrzyło na nią coraz więcej osób. Delia złączyła dłonie i zacisnęła je w pięść i do końca nabożeństwa mierzyła się z gapiami wzrokiem. Powiedziała sobie, że wytrzyma, że zniesie gniew, potępienie i to, że babcia Windsor najpewniej spoliczkuje ją i przeklnie — ścierpi wszystko, byle tylko stanąć obok dziewczynek i głośno wymówić ich imiona. Ale podczas błogosławieństwa wstała i nie odwracając się za siebie, wyszła z kościoła. Myliła się. Nie była jeszcze gotowa. Skoro obcy ludzie patrzyli na nią z nienawiścią, cóż mogła zobaczyć w oczach córek?

Ale gdy odjeżdżała spod Holiness Redeemer, w Baptist Tabernacle Pan Bóg ponownie wyciągnął do niej rękę. Tego ranka szukała tam Delii pani Pearlman. Nigdzie jej nie widząc, zaczepiła na schodach M.T. i wyłuszczyła jej rzecz bez ogródek. Artretyzm w nadgarstkach i łokciach dokuczał jej tak bardzo, że mogła prowadzić zakład tylko dzięki wytrwałej determinacji i dużej wytrzymałości na ból. Jej upór był bezgraniczny, jednakże palce niemal zupełnie już sztywne. Nie ufała sobie, biorąc do ręki ostre nożyczki, przestały jej ufać klientki. Nawet te, które przychodziły do niej od lat, zaczęły jeździć do Marietty, dlatego jej dochody zależały od przypadkowych obcych osób, nieświadomych tego, co robią.

- M.T., powiedz Delii, żeby do mnie przyszła. Jeśli dojdziemy do porozumienia, może dam jej pracę. - Upudrowane policzki pani Pearlman drżały, prawa ręka zacisnęła się mocniej na lasce, mimo to stara mówiła głośno i wyraźnie, tak że usłyszały ją stojące opodal kobiety.

M.T. skinęła głową.

— Marcia, co ty robisz? — zdumiała się Nadine Reitower, szefowa fundacji „Pomoc Matce”. — Chcesz przyjąć do zakładu taką latawicę?

Ruby i Pearl parsknęły szyderym śmiechem, zasłaniając usta Bibliami, ale M.T. tego nie słyszała.

Oczy pani Pearlman sypnęły skrami.

— Ten zakład już prawie nie istnieje. Jakoś nie widziałam cię w tym miesiącu. Prawda, Nadine?

Pani Reitower zarumieniła się. Już unosiła dłoń do kapelusika utrzymującego na miejscu jej kasztanowe loki, lecz się powstrzymała.

— Ta kobieta wywołała skandal — rzekła. — Jeśli ją zatrudnisz, nikt nie zajrzy do twojego zakładu.

Marcia Pearlman popatrzyła na stojące na schodach niewiasty.

— Dobre chrześcijanki przyjdą — odparła. — Myślę, że dobre chrześcijanki, te, które wiedzą, co znaczy grzech i przebaczenie, przyjdą na pewno. Pokuta, ciężka praca czy płacenie rachunków to już żaden skandal. Poza tym był taki czas, kiedy Delia Byrd u mnie pracowała. Wiem, co potrafi. Była jedną z najlepszych fryzjerek, jakie zatrudniałam. Talentu na pewno nie straciła. Przypuszczam, że dałaby sobie radę nawet z tym twoim wicherkiem, Nadine. Oszczędziłabyś sporo na kapeluszach i spinkach.

Nadine łypnęła na nią spode łba. M.T. zatrąbiła klaksonem. Zagnała bliźniaczki do buicka i natychmiast pojechała do Delii, żeby zawieźć jej dobrą nowinę.

— Dziewczyno! — krzyknęła rozradowana, kiedy Delia wyszła do niej na podjazd. - Nawet nie wiesz, co straciłaś dzisiaj w kościele!

Delia złożyła u Sally dwutygodniowe wypowiedzenie i zaczęła pracować w „Bonnet” w środy i soboty. W pozostałe dni tygodnia pracowała w domu towarowym Beckmana w Marietcie, w maleńkim salonie kosmetycznym za działem sukienek i damskich zimowych płaszczy. Pierwsze klientki, które weszły do zakładu pani Pearlman i ujrzały w nim Delię, patrzyły na nią tak, jakby miała dwie głowy, a na każdej z nich piętno szatana, ale Delia odzyskała już dystans do świata. Po prostu kłaniała się chłodno oburzonym kobietom, a gdy zaczynały utyskiwać, odchodziła. Swoją pracę potrafiła wykonywać z zamkniętymi oczami, błędząc myślami gdzie indziej. Gdy kładła ręce na głowie klientki, czuła się niemal równie wszechwładna jak wtedy, gdy stawała na scenie razem z Mud Dog. Znała się

na tej robocie. Była w niej dobra. A dobrze wykonana praca do pewnego stopnia koiła jej duszę, nawet wówczas, kiedy ledwo ją tolerowano, a sama robota przynosiła zdecydowanie za małe pieniądze.

Zajmowała się tym, co do niej należało. Robiła trwałą o miękkich falach kobietom, z którymi chodziła do liceum, i przefarbowywała ich siwiznę na dawny kasztan. Z obojętną miną układała fryzury „na punka”, czego domagały się nastoletnie córki tych, które nie chciały z nią rozmawiać, i ignorowała ich nieśmiałe pytania o Randalla i zespół. Kiedy Marcia zaczęła ją wychwalać, a kierowniczka u Beckmana podniosła jej pensję, nie wywarło to na niej żadnego wrażenia. Czowała się tak, jakby przeładowała sobie mózg, jakby w zbyt krótkim czasie musiała rozpracować zbyt wiele spraw. Nosiła używane dzinsowe kopertowe spódnice i bawełniane bluzeczki, które kupowała z sklepach „Goodwill”. Dla Cissy zamawiała w Sears Roebuck dzinsy i białe podkoszulki w plastikowych torebkach.

Zdarzyło się kilka razy, że wróciwszy do domu, Cissy zastała Delię przy stole ze ściągniętą i pustą twarzą, lecz gdy tylko stawała w progu, matka natychmiast zrywała się z miejsca i zaczynała kręcić się po kuchni.

- Co byś chciała, maleńka? Może coś przegryziesz? — pytała pogodnym głosem.

Cissy potrząsała głową i biegła do swojego pokoju. W domu nad rzeką pojawiła się nowa wersja matki. Zniknęła i matka dobrze jej znana, objijająca się o meble Delia z Venice Beach, i wariatka pędząca na złamanie karku przez cały kontynent. Bywały dni, kiedy Cissy tęskniła za płaczącą Delią w szarym śmierdzącym podkoszulku. Tamta Delia przynajmniej dawała jej spokój.

John Hillman, pastor kościoła Holy Redeemer, mieszkał przy Poinsette Road w południowo-zachodniej części miasta. Delia już raz do niego zajrzała — któreś soboty po pracy — lecz jego żona powiedziała jej wówczas, że mąż wyjechał za miasto do chorych. Kobieta patrzyła na nią obojętnie, lecz oczy miała palące i czujne, a widok jej ust przypominał Delii kucharkę,

która przeklęła ją, gdy tylko wjechały do Cayro. Pewnie ma nadzieję, że będę smażyć się w piekle — pomyślała z twarzą równie obojętną jak twarz pani Hillman.

Gdy przyjechała do pastora ponownie, właśnie szedł do samochodu. Zawołała go z ulgą. Uznała, że potrafiłaby stawić czoło jego żonie jeszcze raz, najwyżej dwa razy, potem jednak straciłaby pewność siebie.

- Pastorze — zaczęła — nazywam się Delia Byrd. — Zastanawiała się, czy nie podać nazwiska „Windsor”, ale nie przeszłoby jej przez gardło. Zresztą - pomyślała - on na pewno wie, kim jestem, podobnie jak jego żona.

Wielebny Hillman wyciągnął do niej rękę.

- Pani Byrd. Spodziewałem się pani.

To ją zaskoczyło.

- Naprawdę?

- Żona mówiła mi, że pani już do nas zaglądała. — Uśmiechnął się łagodnie. — Poza tym znalazłem pani rodzinę. Pani matkę.

Delia poczuła, że uchodzi z niej powietrze. Głęboko osadzone oczy pastora były smutne i pełne współczucia. Patrząc na nią, jakby była małą dziewczynką, która upadła i czeka, aż ktoś pomoże jej wstać. I przez chwilę tą dziewczynką była, lecz nagle ogarnęła ją fala mdłości.

- Nie wiedziałam - odparła, z trudem przełykając ślinę - że znał pan moją mamę. Nie wiedziałam.

- Nie jestem już taki młody. - Pastor strzepnął proch ze spodni na brzuchu. - I mieszkam w Cayro prawie całe życie. Niestety, nie było mnie, gdy wychodziła pani za Clintę Windsorę. Wróciłem, żeby objąć parafię, kiedy pani już wyjechała.

„Wyjechała” - pomyślała Delia. - Nie „uciekła”, tylko „wyjechała”.

- Nie pamiętam pana — odrzekła.

- Ale ja pamiętam panią. — Złożył ręce jak do modlitwy. — Pamiętam tę Wielkanoc, kiedy pani rodzina zginęła. I wyraz pani twarzy, gdy przyszła posłuchać chóru. Stała pani samotnie z tyłu kościoła — mała dziewczynka, dziewczynka tak okrutnie skrzywdzona, że modliłem się za nią z całego serca. Byłem młody, brakowało mi pewności siebie i kiedy pani do nas nie wróciła, nie poszedłem jej szukać. Żałowałem tego długie lata.

- Jakoś sobie poradziłam — odparła.

Nachylił się ku niej.

— Czyżby?

Czyżby? — zapytała samą siebie Delia. — Chyba nie.

— A teraz? Radzi pani sobie?

— Chyba nie - odparła, uśmiechając się jak idiotka. Tego się nie spodziewała.

On też się uśmiechnął.

— Cóż, może teraz będę mógł w czymś dopomóc.

— Chcę się spotkać z moimi córkami — wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Dlatego przyszłam do pana, pastorze. Mieszkają z babcią Windsor.

— Tak, z Louise Windsor. — Skinął głową i spojrzał na swój samochód. — Chyba ciężko to wszystko zniosła. Ale Deirdre i Amanda są dobrymi dziećmi. Tak, dobrymi. Pani chce się z nimi zobaczyć, to oczywiste. Któż lepiej od pani wie, jak okropnie jest stracić matkę? - Przeniósł wzrok na Delię. - Widziałem panią w kościele kilka tygodni temu — dodał po chwili. — Ale wyszła pani przed końcem nabożeństwa. Rozmawiała już pani z Louise Windsor?

— Nie. Chybaby się do mnie nie odezwała.

Przyglądał się czubkom swoich czarnych, lśniących butów.

— Chyba nie. Dużo jest w niej gniewu. Bardzo dużo. — Westchnął. - Chce pani, żebym z nią porozmawiał?

Poczuła, że brzuch jej mięknie i zmienia się w galaretę. Nie potrafiła się zachować, gdy nie musiała zbroić się do kłótni, szukać argumentów czy ciosem odpowiadać na cios. Czyżby naprawdę zamierzał jej pomóc?

— O, tak — tchnęła.

Wielebny Hillman oblizał wargi i znowu zerknął na swój samochód.

— Muszę panią o coś zapytać, pani Byrd. Czy dołączy pani do wspólnoty Holy Redeemer?

Delia poczuła, że sztywnieją jej nogi.

— Nie myślałam o tym jeszcze — odparła. — Chodziłam do Cayro Baptist z moją przyjaciółką M.T. i na razie nie jestem pewna, co zrobię. Poza jednym. Na pewno zostanę w Cayro. Co do tego nie mam wątpliwości.

Przez chwilę wyobrażała sobie, jak chodzi do Holy Redeemer pod okiem pani Hillman, babci Windsor oraz wszystkich sta-

rych dziadków, którzy załatwiali interesy z Clintem i jego tatą. Pastor zaskoczył ją, wspominając o jej rodzinie, o matce. Ale nie, nie zamierzała dołączyć do jego owczarni.

Pastor Hillman nie odrywał od niej spojrzenia. Oczywiście miał smutne i mądre.

- No cóż - powiedział po chwili - niech się pani dobrze zastanowi, co robić, ale cieszę się, że zostanie pani w mieście. Są tu ludzie dobrzy, są twardzi, są i bardzo znużeni. Ale wszyscy mają dobre serce i będą patrzeć pani na ręce. Jest ich tu bardzo dużo.

Delia miała ściśnięte gardło. A więc nie, jednak jej nie pomoże. Przyciągnęła ręce do brzucha i mocno przycisnęła je pod sercem.

— Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać. Bardzo to doceniam.

- Och, podziękuj mi pani później — odrzekł wielebny Hillman. — Jak już porozmawiam z Louise. Może mnie wysłucha. Jeśli tak, zobaczymy, czy nie uda się wyznaczyć pani trochę czasu na widywanie córek.

Patrzyła na niego z rozdziawionymi ustami. Wielebny Hillman przesunął dłonią po niemal łysej głowie i podszedł do swojego auta.

— Jeszcze porozmawiamy — obiecał. — Louise nie ucieszy się na mój widok, więc sprawa może trochę potrwać. Porozmawiamy, kiedy będę miał pani coś do powiedzenia.

Delia odprowadzała go wzrokiem, póki nie odjechał, a wtedy odwróciła się, żeby spojrzeć na jego dom. W oknie stała pani pastorowa. Jej twarz przypominała gradową chmurę, a usta wąski szew. Delia spuściła głowę i uśmiechnęła się. Są dni, gdy dostaje się mało. Są takie, kiedy los daje dużo.

W sobotnie popołudnie, trzy miesiące od dnia, w którym Delia podjęła pracę w „Bonnet”, Marcia Pearlman, zamykając zakład, dostała udaru. Obsunęła się na bok i zakrakęła jak wrona, w chwili gdy Delia podchodziła do auta. Kiedy Delia do niej podbiegła, pani Pearlman wierzgnęła dwa razy nogą i nieprzytomna przetoczyła się na plecy.

Przez kilka tygodni „Bonnet” był zamknięty, a Marcia leżała

zwinęta na szpitalnym łóżku. Delia odwiedzała ją co drugi dzień, obserwując, jak chora powoli odzyskuje zdolność mówienia i poruszania się. Staruszka gniewała się na lekarzy i na Pana Boga. Pierwszy raz w życiu zakłęta, a po policzkach ściekały jej łzy. Chciała usiąść, powiedzieć, co ma do powiedzenia, i zacząć się sobą zajmować, lecz przy każdej próbie ugiwała się jej lewa noga, bezwładnie zwiślało lewe ramię, podwijał się nadgarstek i siniały palce.

Lekarz pochwalił ją za postępy. Udar jest nieprzewidywalny. Mogła skończyć o wiele gorzej, do końca życia kaleka i niema.

- Cholera! - zakłęta pani Pearlman. - Cholera, cholera! - I przepędziła go od łóżka.

- Jestem sama - wyjąkała bełkotliwie do Delii. - Mam nieduże ubezpieczenie. Trochę oszczędności. To mało. — Poruszyła lewym ramieniem. - Cholerna ręka. Boli. Cholera!

- Ma pani przyjaciół - zauważyła Delia. - Dobrych przyjaciół.

- Przyjaciół... - westchnęła pani Pearlman. — Potrzebuję pieniędzy. - Jej brązowe oczy patrzyły twardo i żywo. — Masz talent. Dam ci poprowadzić zakład. Zarobisz dla mnie parę dolarów.

Delia zmarszczyła czoło.

Zakład i cały budynek należały do niej - z trudem tłumaczyła Delii pani Pearlman.

- Ale nie sprzedam go. Wydzierzawię. Wynajmę ci go, a ty zarobisz dla mnie trochę grosza. Poza tym... — Urwała i zmusiła usta do uśmiechu. - Będziesz mi układała włosy. Raz w tygodniu będziesz musiała ułożyć mi włosy.

- Jeśli przejmę prowadzenie zakładu, ludzie mogą przestać przychodzić.

- A teraz to niby przychodzą? - Pani Pearlman lekko wzruszyła ramionami. - Jesteś dobra. Czas mija. Przyjdą. Potrzebne mi pieniądze. Ty je zarobisz. — Zamknęła oczy, otworzyła je i spojrzała na Delię. — Za wszystkie zmiany w zakładzie zapłacisz sama. Nie dołożę ci ani centa.

Delia powoli skinęła głową.

- To dobrze. - Pani Pearlman znowu potrząsnęła ramieniem. - Cholera, cholera, cholera! - burczała ze zmarszczką na czołe. — Cholera!

Agent ubezpieczeniowy Marcii sporządził umowę leasingową, a Delia zadzwoniła do Rosemary w Kalifornii z prośbą o pożyczkę. Jeśli miała samodzielnie kierować zakładem, zamierzała wyreperować to, co zniszczyły w nim lata zaniedbania.

— Zawsze tego pragnęłam! — krzyknęła Rosemary do słuchawki telefonu. — Zostać współwłaścicielką salonu piękności dla białych kobiet!

— Ten salon nie będzie moją własnością, ja go tylko dzierżawię. Ale, owszem, jak przyjedziesz z wizytą, zrobię ci włosy. — Po jej głosie Rosemary poznała, że Delia się uśmiecha. — Do-czytam sobie o zaplataniu i ułożę je, jak tylko zechcesz.

„Bonnet” istniał jako zakład kosmetyczny i salon piękności od czterdziestu lat, a przedtem znajdował się tam warsztat samochodowy. Zakład miał betonową podłogę i stanowił do-budówkę do nie istniejącego już hotelu „Cayro”. Nie był przybytkiem szczególnie eleganckim — składał się z dużej sali przegrodzonej nisko wiszącym łukiem, za którym zamontowa-no rząd umywalek — ale to właśnie tu Delia dostała swoją pierwszą pensję, to właśnie to miejsce, jak się zaklinała, było niemyim świadkiem aż nazbyt wielu początków oraz końców w jej życiu. Z okna wychodzącego na zaplecze widziała, jak policja zabiera do aresztu jej wujka Luke’a i jak dziadek Byrd grozi szeryfowi. Przez okno od ulicy, częściowo zasłonięte parawanem usychających roślin, oglądała zachód słońca w dniu, kiedy doszła do wniosku, że jest gotowa poślubić Clinta. To właśnie tutaj, w drzwiach, potknęła się, poczuła mokry strumień między nogami i po słono-słodkim zapachu i ostrym bólu poznała, że wkrótce urodzi się Amanda.

Kiedy zdecydowała się objąć „Bonnet”, M.T. zrezygnowała z pracy w A&P.

— Damy sobie radę — oświadczyła, gdy Delia próbowała protestować. — Kto jak kto, ale my na pewno sobie poradzimy. Otworzymy zakład i szybko go rozkręcimy. Tylko poczekaj, sama zobaczysz.

M.T. przeczytała wszystko, co tylko mogła znaleźć na temat księgowania i podatków, zapisała się na kurs w szkole poma-turalnej i wedle wskazówek Delii opracowała nowy system księgowania dostosowany do potrzeb zakładu.



- Jesteśmy prawdziwymi przyjaciółkami — powiedziała któregoś dnia do Cissy. — Twoja mama i ja. I wiemy, jak wzajemnie o siebie zadbać.

- Mam nadzieję - dodała Delia ze śmiechem. - Albo się nam uda, albo wywozą nas taczka do piekła. Ale nawet tam wzajemnie o siebie zadbamy.

- Jak myślisz, dlaczego Marcia Pearlman tak się uparła, żebyś to ty poprowadziła zakład? — zapytała Steph, która zgodziła się pracować w „Bonnet” na zlecenie, tak samo jak M.T.

- Może dlatego, że ona i ja dobrze wiemy, że ten zakład do mnie pasuje?

— Tak? — M.T. odwróciła kartkę książki rozrachunkowej. - Myślisz, że ten budynek jest ci pisany?

— W pewnym sensie — odparła Delia. - To ciężar. Miejsce, które się na sobie dźwiga. Bóg mi świadkiem, że wiem, jak go unieść i docenić. Marcia nie mogłaby inaczej zarobić na życie, ale wiem również, co chce przez to osiągnąć. Jak na baptystkę, jest prawie katoliczką. Oczekuje ekspiacji, publicznej i gruntownej. Uważa, że to najlepszy sposób. Że ta praca jest ceną, jaką powinnam zapłacić za swoje grzechy, że powinnam układać włosy aż do śmierci i przy każdym rachunku za wodę przeklinać imię swojej dobrodziejki. Przypuszczam nawet, że robi to z dobroci serca. Jest pewnie przekonana, że dzięki niej odzyskuję szansę na zbawienie. Pewnie wszystko jej jedno, czy lubię to zajęcie, czy nie. W ogólnym rozrachunku osobiste szczęście nie odgrywa dla baptystów nazbyt wielkiej roli.

— A myślisz, że dla hippisów odgrywa? — M.T. pociągnęła nosem. Ilekroć Delia zaczynała krytykować baptystów, M.T. stawała się zadziorna. Choć sama z nich często żartowała, uważała się za dobrą baptystkę.

— Nie — odrzekła Delia. - Ale z drugiej strony, czy są tu jacyś hippisi?

Delia, M.T. i Stephanie były zajęte odnawianiem zakładu, kiedy pewnego popołudnia przed „Bonnet” zajechał błękitny oldsmobile i wysiadł z niego dziadek Byrd. Delia nigdy przed-

tem nie widziała ani tego samochodu, ani siedzącej za kierownicą kobiety.

— Znalazł pan sobie dziewczynę? — spytała M.T., kiedy stary Byrd wszedł do środka.

— Charrum! — odparł, oblewając się rumieńcem.

Delia stała przy umywalce i patrzyła na zmierzającego ku niej starca. Nie rozmawiali ze sobą od jej powrotu do Cayro i nie miała zielonego pojęcia, co też mogło go do niej sprowadzać.

— Mam dla ciebie kilka rzeczy. — Dziadek Byrd wysunął język i zwilżył nim dolną wargę. — Jakieś zaślony i takie tam różności, które trzymałaś w pudłach. Pomyślałem, że mogą ci się przydać. — Poczzerwieniał jeszcze bardziej.

M.T. machnęła ręką na Stephanie.

— Chodź, kupimy sobie coś — powiedziała. — Ten kurz mnie zadusi.

Przeszły obok starca, uśmiechając się z zaciekawieniem do Delii.

— Dziękuję za zaślony — odrzekła Delia. — I za to, że je przywiozłeś. — Spojrzała w okno.

Siedząca w samochodzie tęga kobieta o kwadratowej twarzy nie wyglądała na jego dziewczynę.

— To pani Stone — wyjaśnił szybko stary. — Czasami mi pomaga, bo zastępca szeryfa zabronił mi prowadzić.

— Miałeś wypadek?

— Nie, nie. Ot, stuknąłem lekko stary kosz na śmieci przy poczcie. Nikomu nic się nie stało. - Znowu oblizał wargi. - Mam też trochę doniczek. W samochodzie. Pomyślałem, że może zechcesz zrobić porządek z witryną i wystawić tam lepsze doniczki.

— To naprawdę miło z twojej strony, dziadku.

— Z Clintem jeszcze nie rozmawiałaś, co? - zapytał nieoczekiwanie.

Delia sięgnęła po mopa, którego M.T. przed wyjściem oparła o umywalkę.

— Nie — odrzekła.

— Jest chory. Niektórzy mówią, że to poważna sprawa. Ktoś powiedział, że może od tego umrzeć.

Delia zacisnęła dłonie na kiju od mopa. Chory? Na co?

— Nic o tym nie słyszałam.

Dziadek Byrd skinął głową.

— Tak myślałem. Ale chyba powinnaś. — Rozejrzał się po zakładzie. — Ciężko pracujecie.

— Dlaczego? — zapytała. — Dlaczego sądzisz, że powinienam wiedzieć.

Popatrzył jej w oczy.

— Byłaś u wielebnego Hillmana, prawda? Chodziłaś do kościoła? Chodzi o to, że Clint tam nie bywa, a Louise Windsor z nikim o swoich sprawach nie rozmawia. Uznałem, że powinnaś wiedzieć, co się dzieje. — Zaszurał nogami. — Jak chcesz odzyskać córki, musisz wiedzieć.

Patrzyli na siebie: zarumieniony starzec o wyblakłych oczach i Delia wsparta na mopie, jakby nie mogła bez niego ustać.

— Dziękuję — powiedziała.

Dziadek Byrd spuścił głowę.

— Jak chcesz te rzeczy z samochodu, to musisz mi pomóc.

Kiedy M.T. i Stephanie wróciły, Delia wносиła do zakładu ostatnie pudło.

— Wszystko w porządku? — zapytała M.T.

Delia postawiła pudło.

— Powiedział mi, że Clint jest chory. Wiecie coś na ten temat?

— Chory, stuknięty, nikt tego nie wie na pewno. — Stephanie opadła na krzesło, odgarnęła szarobure włosy i przejrzała się w lustrze. Od jakiegoś czasu chciała się przefarbować na rudo, na kolor Delii.

— Ktoś wspominał, że chorował zeszłego lata — przyznała M.T. ze zmarszczonym czołem. — Ale od dawna nigdzie się nie pokazuje. Nie było o czym mówić.

— Już nie pracuje w zakładach Firestone'a? — zapytała Delia.

— Przestał w zeszłym roku. Pracował tam wiele lat. — Steph odwróciła się z krzesłem w stronę Delii. — Może to rak? Ludzie mówili, że ma raka, ale sądziłam, że to tylko plotki.

— Windsorowie są bardzo skryci, przecież wiesz — rzekła M.T. — Clint od lat nie wygląda najlepiej. Pił na umór. Nie pamiętam, żeby widziała go od śmierci jego ojca, kiedy stara Louise zamówiła to wielkie nabożeństwo. Wtedy widziałam też twoje dziewczynki. Pisałam ci o tym.

Delia skinęła głową.

- Potem Clint mieszkał parę lat z matką i trochę do siebie doszedł. Ale zatrzymał wasz stary dom i wykupił go za pieniądze z polisy ojca. Ponoć jego matka chciała, żeby z nią zamieszkał, ale tego nie zrobił.

Steph zawirowała na krześle jak bąk.

- Mój Lyle zaklina się, że Clint nie cierpi Louise, dlatego wykupił swój dom. Żeby nie wylądować tam, gdzie nie może wytrzymać.

- To trudna kobieta.

- Uhm.

- Fakt.

- Myślicie, że jest poważnie chory? - Delia wstała i znowu chwyciła za mopa.

- Nie wiem - odparła M.T. - Po prostu nie wiem.

- Dowiem się — obiecała Steph. — Dajcie mi kilka dni, a dowiem się wszystkiego.

Planowały, że otworzą salon w lutym, a przedtem musiały pokonać tylko dwie istotne trudności. Jedną z nich był wysiłek, jaki należało włożyć w przygotowanie zakładu do otwarcia, ale w tej kwestii ogromnie pomógł czek od Rosemary, poza tym ani Delia, ani M.T. nie bały się ciężkiej pracy. Steph dużo narzekała, ale w końcu też wzięła się do roboty i podczas gdy ona skrobała i szorowała pomieszczenie, Delia i M.T. malowały ściany. Większość farby tym razem też pochodziła od Sally, która miała w garażu niewyczerpane zapasy przeróżnych rzeczy, w tym stopy czyścików, papierowych ręczników kupowanych po okazyjnej cenie i wielkie kosze przedmiotów, które inni uznali za bezużyteczne. Dlatego podarowana przez nią farba była po części stara i w różnych kolorach. Delia i M.T. musiały eksperymentować do czasu, aż wielokolorowa mieszanka nabrała niebanalnego odcienia brzoskwini.

- Podoba mi się - oświadczyła Steph, a one przyjęły to jak słowa z Biblii.

Dobrze, że kolor przypadł im do gustu, ponieważ tłuste, zaplamione ściany wymagały aż trzykrotnego malowania. Na szczęście Delia znalazła pieniądze na zakup białej farby na sufit.

— Co za dużo, to niezdrowo — powiedziała Steph. — Żółć by mnie załała, gdybym wszędzie widziała brzoskwinie.

Zasłony od dziadka Byrda okazały się spłowiełe i poprzecierane, za to Delia z powodzeniem wykorzystała doniczki, ratując kilka roślin pani Pearlman, a kilka dokupując, dzięki czemu stworzyła w witrynie fantastyczną dżunglę, która miała przyciągnąć klientki.

Gdy prace remontowe nabrały tempa, ważny stał się problem drugi. Pewnego popołudnia Nadine Reitower zaszła M.T. drogę i bez ogródek spytała, co też one sobie właściwie wyobrażają, oddając „Bee's Bonnet” w ręce osoby takiej jak Delia Byrd. Ponieważ w jej rozmowach z Marcia Pearlman nie nastąpił żaden przełom, postanowiła sama chwycić byka za rogi.

— Ja tam nic jej nie oddawałam - ucięła M.T. - choć zrobiłabym to z całą pewnością. Pani doskonale wie, dlaczego Marcia wynajęła zakład Delii: sama nie może go już prowadzić.

Nadine skubała cienki koronkowy kołnierzyk wystający spod różowego sweterka zapiętego pod samą szyję.

— Mówiłam Marcii, że nigdy w życiu nie pozwolę się tej Byrd dotknąć. A teraz ta ladacznica przejmuje jedyny zakład, do jakiego kiedykolwiek chodziłam się czesać!

~ Nic się tam do pani nie przyklei - odparła M.T. - Nawet jeśli Delia pani dotknie, nie zostawi na pani swego grzechu.

— Marcia nie powinna była oddawać zakładu tej kobiecie. - Nadine podrzuciła głowę i jej rudobrazowy koczek zachybotał niebezpiecznie. Widać było, że od dawna nie odwiedzała fryzjera.

— Wcale go nie oddała — sprostowała zniecierpliwiona M.T. - Ona go wydzierżawiła, i to za niemały czynsz. Marcia tych pieniędzy potrzebuje. Wydaje mi się, że powinno pani bardziej zależeć na tym, żeby dzięki pracy upadłej kobiety pani Pearlman miała z czego żyć, niż na tym, żeby powstrzymać upadłą kobietę od wykonywania przyzwoitej pracy. Jeśli się jej nie powiedzie, to jak pani myśli, co Delia wtedy zrobi? Nie będzie miała wyboru. Zmuszona utrzymać siebie i dziecko, zacznie kupczyć grzechem i występkiem.

— Jest pani grubiańską i wulgarną kobietą. - Na czole Nadine załśniły krople potu.

- To prawda, i jestem też spóźniona. — M.T. ominęła Nadine i pomaszerowała do salonu.

Tego wieczoru M.T. i Steph omawiały ten problem w restauracji Goobera nad talerzem frytek i smażonych krewetek.

- Myślisz, że w ogóle ktoś do nas przyjdzie? - gryzła się Steph.

- Kilka osób na pewno, choćby tylko dlatego, że Delia wywołała taki skandal. Inni nie przyjdą nigdy, nawet wówczas, gdy nad nieskazitelnie czystą duszą Delii zajaśnieje święta aureola. - Zanurzyła frytkę w ketchupie i wrzuciła ją sobie do ust. - Rany, gdyby nie uciekła, żeby zostać bogatą i sławną, miałyby już „Bonnet” na własność.

- Zna się na swoim fachu - zgodziła się z nią Steph.

M.T. żuła z zadowoleniem.

- Musimy o tym przypomnieć wszystkim, zanim Nadine im naopowiada, jaka to z niej grzesznica.

- Dobrze by było, gdyby Delia pogodziła się z Clintem. - Steph skubnęła krewetkę. Były żałosne, za to nikt w całej Georgii nie robił lepszych frytek niż Goober. — Zasięgnęłam języka i wygląda na to, że stary Byrd ma rację. Z tego, co słyszałam, Clint rzeczywiście może umrzeć.

- Zaraz, zaraz, nie wszystko jednocześnie — odparła M.T. - Zajmijmy się najpierw jednym. Jak ściagniemy te idiotki do zakładu? - Odgryzła kawałek frytki. - Hmm? Może rozpisac jakiś konkurs? Albo zaproponować kurs z zakresu fryzjerstwa i kosmetyki dla nauczycielek zajęć technicznych?

- Eee tam. - Steph unurzała frytkę w ketchupie. — Raczej zniżki dla dzieci i młodzieży. Moim zdaniem wystarczy, jak dziewczęta zaczną mówić, jak to ich matki nie chcą chodzić do Delii. Trzeba zrobić z niej straszną i niebezpieczną skandalistkę, wtedy do nas przyjdą. A gdy matki zobaczą, jakie fryzury Delia wyczarowała dla ich córek, natychmiast do nas przybiegną. A ceny ustawimy niżej niż u Beckmana.

M.T. parsknęła śmiechem.

- Spryciara z ciebie, oj, spryciara - powiedziała i zamówiła jeszcze jedną porcję frytek.

Wielebny Hillman zaglądał do domu Louise Windsor aż trzykrotnie w ciągu miesiąca, próbując nakłonić ją, by pozwoliła wnuczkom spotkać się z matką. Od razu wiedział, że ma przed sobą niełatwe zadanie. Louise Windsor była osobą trudną, jak wszyscy w jej rodzinie. Stary Windsor odmawiał chodzenia do kościoła częściej niż dwa razy w roku, na tydzień przed Bożym Narodzeniem i na tydzień przed Wielkanocą — w dni świąteczne siedział w domu — natomiast Louise zjawiała się tam regularnie i zasiadała w trzecim rzędzie ławek od ołtarza. Przeprowadzała ze sobą dwie poważne dziewczynki, ubrane w tanie kretonowe sukienki, które sądząc po kroju, sama im wybierała. Starsza z dziewcząt, Amanda, uczęszczała do wakacyjnej szkółki biblijnej i na cotygodniowe spotkania przy modlitwie. Młodsza, Dede, przychodziła do Holiness Redeemer wyłącznie dlatego, że ciągnęła ją tam babka, a podczas rozmowy z pastorem nigdy nie patrzyła mu w oczy. Wielebny Hillman z radością witał dni, gdy Dede w kościele nie było, gdyż boleśnie przypominała mu matkę Delii i czuł się przy dziewczynce nieswojo.

— Jej widok zawsze mnie szokuje — oświadczyła pewnego dnia jego żona, zaskakując go tym, że wyraziła dokładnie to, o czym myślał wielokrotnie. — Ona jest dokładną kopią Deirde Byrd, prawda?

— Tak to z dziećmi bywa — odrzekł. — Raz na jakiś czas na świat przychodzi replika kogoś z krewnych. Zupełnie tak, jakby Pan Bóg ponownie próbował stworzyć właściwy model człowieka.

— W ich przypadku powinien przemodelować całą rodzinę — prychnęła pani Hillman. — Nikt z nich nie żył wystarczająco długo, żeby zrobić coś więcej niż kilkoro dzieci i wyruszyć w świat.

W ciągu dziesięciu lat wielebny Hillman ojca dziewczynek spotkał tylko raz, a było to przy okazji pochówku starego Windsora. Clint pozdrowił pastora sztywnym skinieniem głowy, po czym odwrócił się, zanim nabożeństwo zdażyło się

rozpocząć. Składanie ciała do grobu obserwował, trzymając się na uboczu, z rękami wspartymi na biodrach i wzrokiem wbitym w trumnę. Podczas całej ceremonii ani razu nie spojrzął na córki, choć one często na niego popatrywały. Głód, jaki wielebny Hillman dostrzegł w ich oczach, pchnął go do wygłoszenia ognistego kazania o potrzebie miłości i przebaczenia. Później chwalono go za te natchnione słowa, lecz ani Clint, ani Louise Windsor nie skomentowali jego wystąpienia. Clint skwitował je krótkim skinieniem i kopertą z dokładnie odliczonymi trzydziestoma pięcioma jednodolarowymi banknotami.

Żona pastora pokręciła głową.

— Jeśli jakikolwiek pochówek powinien kosztować pięćdziesiąt dolarów, to właśnie ten, ale czy Windsorowie dostrzeźliby jakąś różnicę? Założę się, że gdyby mu tylko na to pozwolić, ten chłopak zakopałby ojca na polu orzeszków, przy okazji oszczędzając i na trumnie.

Zajeżdżając przed dom Louise Windsor po raz trzeci, wielebny Hillman z ciężkim sercem wspominał słowa żony. Zganił ją wówczas za ton, w jakim je wypowiedziała, lecz nie mógł odmówić jej racji. Clint Windsor prawdopodobnie z najwyższą radością orałby co wiosnę kości ojca, a jego matka wychodziłaby w pole, żeby się tym widokiem napawać. Ciekawe, jak by wyglądała z uśmiechem na ustach — zastanawiał się pastor. Przez wszystkie lata pracy w Holy Redeemer pastor Hillman nigdy nie widział jej uśmiechniętej. Ale też w gruncie rzeczy dlaczego miałyby się uśmiechać? Jej mąż był brutalnym opojem, a z tego, co pastor słyszał, syn poszedł dokładnie w jego ślady. Wielebny Hillman otarł pot z czoła i przypominał sobie, ileż to razy ta stara zjawiała się w kościele z siniakami na szyi lub z podpuchniętymi oczami. Nigdy też nie zdołał nakłonić jej do wyznania, że stało się coś złego. Skąd biorą się niewiasty przekonane, że muszą znosić w pokorze swój los? — zapytywał się w duchu po raz tysięczny. — I jakie kobiety kształtowała z powierzonych jej opiece dziewczynek?

— Staje się pan regularnym gościem, pastorze — powiedziała Louise, kiedy wszedł na ganek. Za jej plecami dostrzegł Amandę. Była w chustce i w ciasno zawiązanym fartuchu. — Ale dzisiaj jest dzień gotowalny i nie mam czasu na kłótnie.



— Dzień gotowalny? — Wciągnął w nozdrza dochodzącą z ganku parę i woń bielidła.

— No tak, pan oczywiście nie wie, co to znaczy. Pańska żona, pastorze, jest na to za młoda, ale niektórzy z nas nauczono, że kiedy mija zima, należy zmienić pościel i bieliznę. Piętnastego lutego, tak powtarzała mi mama. Zanim ten dzień nadejdzie, należy wygotować białą bieliznę i myśleć już o wiosnie. Jednego roku robię to trochę wcześniej, innego trochę później. — Zerknęła w głąb domu i roztarła sobie okolicę krzyża. — W tym roku moja forsycja wcześniej wypuściła pączki, dlatego nieco przyspieszyłam porządki. Zima była wilgotna i brzydka. Może chciałabym, żeby przyszła już wiosna?

— Chyba wszyscy tego chcemy — odparł z uśmiechem wielebny Hillman.

Louise spojrzała na niego podejrzliwie.

— Znowu przyjechał pan mnie namawiać?

— Nie, żeby porozmawiać. I owszem, chcę pomówić o dziewczynkach i ich matce.

— Matce! — Louisa wykrzywiła usta. — Byłam im matką bardziej, niż ona nią kiedykolwiek będzie. — Potrząsnęła głową. — Traci pan czas, pastorze. Z Delii żadna matka. Przyjedzie tu i tylko zdenerwuje dziewczynki. A jak tylko wpadnie w kłopoty, znowu się stąd zabierze. I wtedy co, he? Wyjedzie na kilka lat, potem wróci, a pan, pastorze, znów przyjdzie tutaj, żeby się za nią wstawiać?

— Jest zdecydowana zostać w Cayro na stałe — odrzekł pastor. - Nie przypuszczam, żeby chciała zrobić córkom krzywdę. A to, że poczują, jak jej na nich zależy, może im tylko wyjść na dobre.

— Na dobre! - prychnęła Louise. - W tej kobiecie nie ma nic dobrego!

— Dobro jest w każdym z nas - zauważył ostrożnie pastor.

— To pan tak twierdzi. Ja tam nie jestem kaznodzieją, tylko pracującą kobietą, która wychowuje dwie uparte, porzucone przez matkę dziewczyny, co to lada dzień staną się kobietami. Nie życzę sobie, żeby ta osoba nabijała im głowę różnymi bzdurami. I bez tego mam dosyć kłopotów. - Znów spojrzała w głąb domu, najwyraźniej nie chcąc, żeby dziewczęta słyszały rozmowę.

Wielebny Hillman spojrział ponad jej ramieniem i stwierdził, że Amanda zniknęła; pewnie wróciła do kuchni i do kotłów z bielizną.

Odchrząknął i postanowił zmienić taktykę.

— Kłopoty... — zaczął i niespiesznie potoczył wzrokiem po podwórku. — Wiem, że nie chce pani żadnych kłopotów. To samo powiedziałem diakonowi Haymanowi, kiedy mówił, że martwi go, co może z tego wszystkiego wyniknąć. Nikt z nas nie chce patrzeć na kłócaącą się w sądzie rodzinę, na prawników, którzy decydują, kto co ma robić, ani na pracowników okręgowej opieki społecznej, którzy się natychmiast pojawiają.

— Nic by mi nie mogli zarzucić. - Louisa aż poczerwieniała na myśl o prawnikach i pracownikach opieki. — Dobrze te dziewczyny wychowuję.

— Osobiście bym o tym zaświadczył, zawsze i wszędzie. - Wielebny Hillman energicznie skinął głową. - Gdyby pewnego dnia miała pani wystąpić w sądzie, opowiedziałbym wszystkim, jak usilnie pani nad dziewczynkami pracuje.

— Nigdzie nie będę musiała występować. — Stara Louise stawała się coraz bardziej zaniepokojona.

— Hmm, ja też żywię taką nadzieję. Ale dobrze pani wie, jacy są biurokraci. Pamiętam, jak mocno zaszli pani za skórę ci z towarzystwa obrony praw dziecka.

— To przez tego hipisa, z którym się zadała. Przez niego, jego pieniądze i jego adwokata — sapnęła gniewnie Louise.

— Cóż, prawnicy rzeczywiście umieją przysporzyć kłopotów. — Wielebny Hillman uważnie obserwował jej twarz.

— Delia ma teraz prawników? — spytała niepewnie po chwili zastanowienia.

— Nie wiem — odparł. - Ale kiedy ze mną rozmawiała, sprawiała wrażenie osoby bardzo zdeterminowanej. A ja liczyłem na to, że uda nam się uniknąć kłopotów... Powiedziała, że chce tylko zobaczyć się z dziewczynkami.

— Nie odbierze mi ich — rzekła szybko.

— Jakim sposobem? — Pastor odczekał chwilę, widząc, że Louise ogarnia coraz większe zdenerwowanie. - Sąd przyznał opiekę nad nimi pani, nie jej.

— Przyznali ją Clintowi. O mnie w postanowieniu nie wspominają. Tylko że tak naprawdę to ja się nimi zajmuję, nie on.

— No cóż, Clint... - Pastor wzruszył ramionami. — Clint chyba nie będzie stwarzał problemów, prawda?

Louise otaksowała go badawczym spojrzeniem.

— Dużo pan z nią rozmawiał, co?

— Nie - odparł. — Tylko raz.

— Hmm... — Louise spojrzała przez podwórko. — Może moglibyśmy zastanowić się nad tym, czyby nie przyszła tu ze dwa razy... Ale tylko nad tym, niczym innym.

Wytrzymując jej spojrzenie, pastor skłonił głowę na znak zgody.

— Absolutnie - zgodził się ze starą. — Ona chce się tylko z nimi zobaczyć.

Louise znowu wykrzywiła usta, jej wargi ułożyły się w grymas. Gdy wprowadzała pastora do domu, zorientował się, że stara się boi. Pewnie uważała, że każdy człowiek stanowi dla niej zagrożenie. Sęk w tym, że po części miała rację.

Dede i Amanda nie okazały po sobie żadnych uczuć na wieść o powrocie matki. Pastorowi powiedziały po prostu, że zrobią to, czego zażąda od nich babka. Co powiedziały Louise, tego wiedzieć nie mógł. Ale wyrosły na ubitej ziemi tego podwórka, karmione rozgotowaną kaszą i duszonymi pomidorami, przełykały cierpkie uwagi babki i z nieufnością spoglądały na wszystko to, czego nie mogła wybielić, wyszorować czy potraktować ługiem. Miały jej wyraz twarzy i ukrywały swe myśli tak skutecznie, że być może same już nawet nie wiedziały, czego naprawdę chcą. Ich dni wypełniały ulubione przez babcię Windsor wersety zaczerpnięte z Biblii, objawienie świętego Jana Apostoła i wszetecznic z Babilonii, i to nie przypowieści, lecz sama upadła kobieta. Delia była przekleństwem i smrodem ich życia. Paczki, które im przysyłała, albo odsyłała, albo stały nie odpieczętowane. Kartki z życzeniami kończyły w piecu na odpadki. Za plecami dziewczynek opowiadano gorzkie dowcipy, po czym z premedytacją je powtarzano, żeby dać małym nauczkę. Za córkami Delii ciągnął się zapach gotowanego w domu mydła, a koleżanki wyśmiewały sukienki, które kazała im nosić babka. Amanda i Dede wdychały gniew, jak inni wdychają parę znad gorącej zupy. Matka od dawna ich nie kochała. Cóż je obchodziło, że chciała je teraz odwiedzić?

Delia postanowiła, że do walentynek wyszykuje i otworzy zakład. Razem ze Steph, M.T. i niechętną Cissy powiesiły w witrynie wielkie plakaty, każdy słup w mieście okleiły ogłoszeniami, M.T. zniosła do kościoła ulotki, a Steph pojechała z nimi do Beckmana w Marietcie. M.T. nie zarabiała strzyżeniem ani układaniem włosów od narodzin bliźniaczek, ale liczyła na to, że poradzi sobie nie gorzej od Steph, która nie pracowała zarobkowo od ukończenia szkoły.

— Moja rodzina i znajomi na pewno do mnie przyjdą — powtarzała M.T.

Delia przyjmowała te zapewnienia z uśmiechem na ustach, choć nadal nie wierzyła, że ktokolwiek się do nich wybierze. Miasteczko było małe, a salon Beckmana z dwoma fotelami fryzjerskimi nie mieścił się znów tak daleko.

Przez pierwszych kilka dni wszystkie trzy dbały o to, żeby na wystawie stały świeże kwiaty, a przez ich fotele przewinęły się znajome i rodzina, korzystając z darmowych strzyżeń i zabiegów upiększających. Wczesnym sobotnim rankiem, w dniu oficjalnego otwarcia salonu, przed wpuszczeniem klientek do środka Delia podała kawę i kukurydziane bułeczki z podpieczonymi paseczkami bekonu.

— Musiałaś wcześniej wstać, żeby z tym wszystkim zdążyć — droczyła się z nią M.T.

— Owszem — przyznała Delia. — I tak nie mogłam spać. Są trochę za ciężkie, bo nie mam drygu do pieczenia bułeczek. Nigdy go nie miałam.

— Powinnaś była zajrzeć do cukierni „Biscuit World”. Stary Reitower, ten to ma dryg - odrzekła Stephanie z ustami pełnymi bułeczki. — Robi najlepsze kruche ciasteczka, jakie w życiu jadłam. Zwłaszcza te długie. Przy nich kawa od razu lepiej smakuje.

— Reitowerowie - mruknęła M.T. - Dobrze, że chociaż tyle są warci. — Upiła łyk kawy ze śmietanką i wygładzała spódnicę, która kończyła się sporo przed jej zdobnymi w dołki kolanami. Bez względu na to, jak bardzo tyła w biodrach, nogi wciąż miała gładkie i kształtne. Idąc do „Bee's Bonnet”, wstąpiła do „Biscuit World”, a kiedy stamtąd wychodziła, zauważyła, że i właściciel, i jego syn gapią się na jej nogi. Ciekawe, co by powiedziała na to ta stara, zasuszona i zarozumiała szkapo Nadine?

— Jak tylko rozkręcimy interes, zacznę kupować ciasteczka — oznajmiła Delia. — Na razie ledwie mnie stać na wołową mielonkę.

— A ja myślałam, że wrócisz bogata — odparła Steph, wymachując bułeczką i rozsypując okruszki na spódnicę. — Sądziłam, że wszyscy z branży muzycznej są bogaci. Chodzą w klawych ciuchach, jeżdżą klawymi autobusami... — Uśmiechnęła się i wycelowała w nią z palca. - I biorą narkotyki.

— Tak, narkotyki. - Delia potrząsnęła głową. - Mnóstwo narkotyków. Poza tym marlboro, camele, southern comfort i jim beam, nie rozcieńczony whiskacz w ciepłej szklance.

- Zdaje się, że od czasu do czasu było to słycać - stwierdziła Steph. — Przy niektórych kawałkach tak chrypiałaś, jakbyś czasem pociągała.

- To za mało powiedziane — odparła szorstko Delia. - W Kalifornii prawie cały czas chodziłam na bani. — Poczesnowała je bułeczkami i zauważyła, że przysłuchuje im się Cissy. - Nie ma sensu kłamać. To było potworne, ale długi czas nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Na pewno nie wszystko było potworne - rzekła zakłopotana M.T. Odwróciła się na krześle, tak żeby nie widzieć ani Cissy, ani Stephanie. — Musiało być w tym choć trochę dobrego.

— Tak, tak, ten twój Randall był całkiem do rzeczy. Widziałam go, to kawał przystojniaka. — Stephanie zarumieniła się lekko. — A sława mężczyźnie wcale nie przeszkadza. Ani bogactwo, ani sława. Na tych swoich płytach musiał zbić niezły grosz.

- Nie, Randall nigdy nie miał pieniędzy. On tylko robił wrażenie. — *Diamonds and Dirt* to jedyny album, na którym udało się trochę zarobić. — Delia podmuchała na kawę i zdawało się, że na chwilę zapomniła, gdzie jest. — Randall miał jedno: prezencję. Wyglądał jak gwiazdor i tak się zachowywał. Ludzie myśleli, że jest naprawdę kimś.

Randall tak gruntownie oczarował facetów z firmy płytowej, że dawali mu gotówkę na finansowanie gwiazdorskiego stylu życia. Włóczący się za nim reporterzy i fotografowie, eleganckie pokoje hotelowe, które tonęły w śmieciach, szkliste oczy - wszystko to dla efektu. Rachunki podsuwane zdenerwowanym księgowym, narkotyki na stolikach do kawy z czerwonego

drewna, wypolerowanych do lustrzanego połysku. Życie gwiazdora, kreowany wizerunek. Pusto w kieszeni, a tyle zadęcia.

- Nigdy nie mieliśmy pieniędzy - dodała po chwili.

Stephanie z niedowierzaniem uniosła brwi.

- Żadnych?

- Nawet dziesięciu centów. — Delia odchyliła się na krześle. — Przez większość czasu nie miałam nawet telefonu. Mogłam zadzwonić tylko z czyjegoś gabinetu albo od Randalla.

M.T. i Stephanie patrzyły na nią bez słowa. To, co opowiadała, przechodziło ich wyobrażenie. Życie w luksusie, ale bez pieniędzy. Jak się to wszystko kręciło?

- To niewiarygodne, że świecąc pustką w kieszeni, można udawać bogacza. Człowiek uczył się obciążać wszystkim wytwórną i pożyczać na nazwisko. — Stare ubranie oddawało się do pralni hotelowej, a nowe kupowało na kredyt. — Najgorzej było z bielizną. - Delia odgarnęła włosy. — Mogłam dostać wystrzałową sukienkę z drogiego sklepu przy Wilshire, ale nie mogłam kupić sobie majtek, staników czy skarpetek. Jeśli nie udało się wpuścić czegoś w koszty reprezentacyjne wytwórni, nie można było tego zdobyć.

W ciągu siedmiu lat miała w rękę najwyżej czterysta dolarów gotówką. Powiedziała im, że czuje się tak, jakby żyła w strefie brzasku. Gdy tylko z niej wychodziła, wszystko wyparowywało jej z rąk.

- Czy mogę dostać pensję? - spytała Randalla, kiedy album wszedł do produkcji.

- Pensję? Dziewczyno, będziesz bogata!

- No tak, ale chciałabym mieć coś, na co mogę liczyć.

- Możesz liczyć na mnie.

- Randall.

- Dziewczyno, dziewczyno...

W geście dobrej woli Randall wymógł na wytwórni Columbia, żeby wypłacała Delii tysiąc dolarów miesięcznie.

- To niezbyt wiele — skarżyła się w jej imieniu Rosemary. Dostawała procent za komponowanie niektórych kawałków muzycznych, choć wszyscy dobrze wiedzieli, że pracuje z nią Delia.

- Delia nie potrzebuje pieniędzy. Wszystko ma opłacone. Nie dostaje rachunków ze spożywczaka, nie płaci za czynsz ani

za samochód. Wystarczy, że wystawi rachunek na kapelę — warknął półgębkiem Randall. - Delia jest moją kobietą! Nie potrzebuje niczego! Gównno! Gównno! Gównno!

Cały dowcip polegał na tym — powiedziała Delia M.T. i Stephanie — że Randall wiecznie „pożyczał” od niej pieniądze, a konkretnie na tym, że kiedy go zostawiała, jej jedynym majątkiem był samochód i sześć tysięcy dolarów w banku.

- Sześć tysięcy po ilu latach? Ośmiu? Dziewięciu? — Stephanie popadła w zadumę. — To już lepiej powodzi się mnie i Lyle'owi.

~ Ja po prostu nie myślałam o pieniądzach - wyjaśniła Delia. - Ufałam Randallowi. Nawet wtedy, kiedy powinnam była wreszcie nabrać rozumu, wciąż mu wierzyłam. Może to przez alkohol? Nie, chodziło o to, że Randall miał w sobie coś magicznego. Nie potrafił tego dobrze wykorzystać i nigdy mu na tym specjalnie nie zależało, ale jak spojrział na kogoś tymi swoimi wielkimi ciemnymi ślepiami, każdy nabierał do niego zaufania. Nie sposób było uwierzyć, że jest zwykłym śmiertelnikiem, głupim jak my wszyscy. Człowiek myślał, że ma przed sobą kogoś szczególnego wyłącznie z tego powodu, iż Randall potrafił śpiewać tak słodko, że ludziom pękało serce.

- Powinnyśmy przemianować ten salon na „Rock Star Shop”. - Stephanie spojrzała przez okno na zerkających na nią przechodniów. Nadeszła pora otwarcia zakładu.

Te słowa zaskoczyły je wszystkie. Dopóki Steph się nie odezwała, nerwowa paplanina przesłaniała fakt, że Delia robi coś, czego poprzysięgła sobie nigdy w życiu nie zrobić: że opowiada o latach spędzonych z Randallem.

Cissy siedziała koło nich, nadstawiając uszu, kołysząc się na krześle, oglądając matkę zza ciemnych okularów i myśląc o swoim tatusiu. Delia nie miała prawa mówić o nim zwyczajnym, pełnym nagany tonem. Stephanie nie miała prawa sugerować kupczenia jego sławą.

- Podoba mi się nazwa „Bee's Bonnet” - powiedziała głośno. — Ma swoją historię. Jest tu od lat. - Machnęła ręką, wskazując brzoskwińowe ściany i białe wykończenia. Poranek był szary, lecz teraz przez witrynę do zakładu wlewało się słońce, a z czajnika stojącego we wnęce przy drzwiach ulatywała aromatyczna para, zabijając zapach świeżej farby i amoniaku.

Gdyby Delia zmieniła nazwę salonu, Cissy znalazłaby sposób, żeby puścić go z dymem.

Delia spojrzała na córkę oczami jasnymi z wdzięczności.

— To dobrze — oznajmiła — bo nie zamierzam marnować pieniędzy na przemalowywanie szyldu. — Wetknęła grzebień o cienkim, spiczastym uchwycie do słoika z niebieskim płynem dezynfekującym.

Roześmiały się. Chwila, kiedy wszystko mogło się zmienić, minęła. Cissy uderzyła dłonią w łukowate przepierzenie i zagryzła wargę.

Pierwszą płacącą klientką salonu „Bonnet” okazała się Gillian Wynchester, dość żałosna wersja miejscowej kobiety wyzwolonej. Gillian wstawiała się tym, że pewnego dnia oświadczyła paniom z kółka bingo, iż potrafi zrozumieć pragnienie spalenia stanika, że wolałaby już chodzić bez niczego niż wbi-jać się w te drapiące, obszywane koronką paskudztwa, które mąż przywoził jej z Nowego Orleanu, dokąd jeździł dwa razy do roku.

— Ten facet chodzi tam po tych barach z cyckami — opowiadała swoim przyjaciółkom. — Potem wraca do domu z ciuchami, których naoglądał się na różnych dziwkach, i chce, żebym je dla niego nosiła. A są to najbezbożniejsze biustodźwigi, jakie w życiu oglądałyście. Poza tym spójrzcie. Tu, na górze, nie mam nic, o czym warto by mówić. Czy jest sens próbować przemieniać dwie filiżanki do herbaty w pięcioletrowe dzbany?

Widząc ich przerażone i zszokowane miny, Gillian uśmiechnęła się szyderczo. Od tego czasu uważała za swój punkt honoru informować wszystkich dokoła, że potrafi myśleć niepokornie.

— Nikt mi nie będzie mówił, co mam robić - zaklinała się głośno, choć tak naprawdę od dnia ślubu niczego mężowi nie odmówiła. Nie protestowała nawet, gdy żądał, by przychodziła do łóżka w zielonym satynowym gorsiecie, podpychającym w górę jej mikroskopijny biust, i w króciutkiej, niemalże lalczynej koszuli, tuż przedtem jednak zawsze upewniała się, czy jej córeczka, Mary Martha, już śpi. M.T. prze-



widziała, że Gillian przyjdzie do salonu pierwsza, nie sądziła wszakże, iż będzie czekała przed drzwiami.

- Chcę mieć nową, podniecającą fryzurę - oświadczyła z głową nad umywalką. — Przyszło mi też na myśl, że skoro już tu jestem, mogłabym trochę podfarbować włosy, najlepiej w takie miodowe pasemka, jakie ma ta dziewczyna od pogody w porannych wiadomościach.

- Hmm... — Delia przeczesła palcami jej skąpe kasztanowe loczki. - Tak, można by panią rozjaśnić. Zmienimy płyn do układania włosów, a kiedy zrobią się bardziej puszyste, wymyślimy coś, żeby wyglądała pani inaczej.

- Tak, inaczej - westchnęła Gillian, gdy silne palce Delii zaczęły rozmasowywać jej czaszkę.

Przez następną godzinę Gillian chichotała, poszeptywała i opowiadając Delii skandaliczne historyjki o swoim mężu, poddawała się magii jej rąk. Ale kiedy Delia ułożyła i uczesała jej włosy, gdy odwróciła ją twarzą do lustra, Gillian odebrała mowę.

- O Boże... — powiedziała w końcu, poklepując włosy odślaniające jej twarz.

- Jest pani urodziwą kobietą - rzekła Delia i spiczasto zakończoną rączką grzebienia poprawiła włosy na czubku jej głowy. Gillian czesała się tak od dnia ślubu, lecz pierwszy raz przycięto jej włosy w taki sposób, że współgrały z wąską zuchwą i łagodziły wyraz jej przebiegłych oczu.

- No właśnie, prawda? - zgodziła się z nią Gillian.

Delia zobaczyła w lustrze, jak Steph kiwa głową do M.T.

Nim Gillian zdążyła zrobić zakupy, odebrać bieliznę z pralni i nadać paczkę na pocztę, w „Bonnet” rozdzwonił się telefon. Pod koniec tygodnia cienka strużka łaknących przygody klientek zmieniła się w wartki górski potoczek. Pod koniec miesiąca potoczek wezbrał i stał się rzeką.

Kiedy spłnione i rozmarzone kobiety wchodziły do salonu, przebąkując o gruntownej zmianie wyglądu, Delia kładła im na kark zimny wilgotny ręcznik i wręczała specjalnie wybrane numery czasopism: grube wiosenne wydanie „Vogue”, z podwójnym działem dla panien młodych, oraz jesienny numer „Mademoiselle”, pełny dziewczęcych fryzurek.

— Proszę wybrać coś, co się pani spodoba, i zobaczymy, co się da zrobić — mawiała. Nawet kiedy między zdjęciem a namacalną rzeczywistością istniała ogromna przepaść, zawsze potrafiła ją maksymalnie zmniejszyć.

— Ona ma trochę więcej włosów — mówiła do niewiasty w średnim wieku, wpatrzonej w zdjęcie szesnastolatki z włosami do pupy - ale możemy te kudełki troszkę pani wydłużyć. Potraktujemy je dobrą płukanką rozjaśniającą i będzie wyglądało, że jest ich znacznie więcej.

I rzeczywiście, włosów przybywało, a może po prostu umiała to klientce wmówić.

— Są ślepe, głupie i opętane żądzą — komentowała Steph, kiedy kobiety wychodziły z zakładu; Steph nigdy nie mówiła o miłości, tylko o żądzy. - Wiosenna gorączka — powtarzała. — Wszystkie popadają w szaleństwo. Widać to po ich skórze. Poważnie.

— Ty też powinnaś go zakosztować, Steph, to cię trochę rozrusza — droczyła się z nią M.T. — Odrobina wiosennej gorączki nie zaszkodzi. Skóra nabiera rumieńców, oko blasku. Lepsze to od szklaneczki whisky czy popołudniowej drzemki. Prawdę mówiąc, lepiej się nią zaraż, i to szybko, inaczej nie będziesz wiedziała, o czym tu mówimy.

— Możesz sobie gadać.

— Owszem, mogę — odpowiadała jej z uśmiechem M.T., a Steph piekła raka. Wszyscy znali reputację M.T.

— Lepiej powiedz to wszystko Delii. To ona powinna zachorować.

— Mnie w to nie wciągajcie — mówiła Delia ze śmiechem, opędzając się od nich ręką. — Nic mi nie potrzeba, bardzo wam dziękuję.

I o to właśnie w salonach piękności chodziło. O marzenia, pragnienia, o urzeczywistnienie wyśniewanej fantazji. Mimo wszelkich kpin — kobiety z „Bee's Bonnet” uwielbiały tę grę.

— Jesteś zakochana po uszy — mówiły młodej dziewczynie, która, przekraczając próg zakładu, nie wiedziała, jakie miotają nią uczucia.

— Jest aż taki świetny? — pytała M.T. — Pocisz się na myśl o nim? — Mrugała do Delii czy Steph, jednocześnie kojąc swoją ofiarę.

— Mmm... Może trochę - odpowiadała dziewczyna. — W każdym razie czasem o nim myślę.

Czując palce M.T. na skroniach i widząc w lustrze uśmiech Delii, hipotetyczne zakochanie wydawało się pannicom nie tyle krępujące, ile podniecające. Salon piękności należał do miejsc, gdzie do tego rodzaju gwałtownych odczuć można się było bezkarnie przyznawać.

— Jest bardzo fajny - dodawały. - Fajny i w ogóle bardzo, bardzo. - Tu wybuchały śmiechem, rozbawione własnym dowcipem.

Kobiety wiedziały, dokąd pójść, gdy dopadała je miłość. Delia i jej koleżanki stawały się kapłankami zrozumienia i zachęty.

— Chodźże, dziewczyno, zaraz cię podszykujemy.

— No, panno, teraz masz szansę!

— Żeby zdobyć mężczyznę wartego odrobiny trudu, musisz trochę zaryzykować. Chodź, chodź.

Włosy można było lekko zabarwić, przyprószyć, podfarbować, podtapirować albo skrócić w trwałą. M.T. mogła pomalować paznokcie na każdy kolor pod słońcem, wydłużyć je, wyokrąglić lśniącem manikiurem, a nawet dokleić tipsy, natomiast Steph podsuwała nowy podkład bądź krem nawilżający czy choćby sposób na makijaż powiększający oczy w przydymionym świetle. Delia z uśmiechem wręczała klientkom swoje czasopisma, kiwała głową, radziła, uspokajała. A gdy następnej soboty któraś z kobiet przychodziła do nich ponownie z opuchniętymi oczami i skórą w czerwonych plamach rozczarowania, potrafiła wykrzesać dla niej nową iskierkę nadziei.

— Chodź, dziewczyno, zaraz to wszystko naprawimy. Mam pomysł, który na pewno ci się spodoba.

Cissy zastanawiała się niekiedy, czy te popołudnia chichotów i marzeń nie są czasem najlepszą częścią wyśnionego związku z mężczyzną. Lśniący, pachnący perfumami początek miłości był pewnie atrakcyjniejszy od zapoconej rzeczywistości i paru godzin zapasów na tylnym siedzeniu starego forda. Na widok tych jaśniejących oddaniem kobiet można było sądzić, że nawet miłosny zawód jest romantycznym przeżyciem.

Po „Bonnet” krążył żart, że jeśli kobieta zmienia fryzurę, to pewnie zmienia też pościel.

— Obleka komplet z różowej satyny zamiast z białej bawełny — mówiła M.T. - Madrigal Whiteman chce mieć uczesanie pasujące do satynowych powłoczek i kopert.

— Ona? - Delia roześmiała się. - Od świętej niepamięci nosi tego przydługiego pazia.

— Tymczasem dziś rano była w kapeluszu z piórkiem, jak ta aktorka, której zdjęcie trzymałaś na ladzie.

— Uhm. Znowu chce wyglądać jak dziewczyna.

— Mówiła, że marzy o fryzurze nie wymagającej układania.

— Łatwej do mycia, żeby mogła obyć się bez płynu do układania czy butelki jakiegoś innego specyfiku w ciężkiej torbie. Bez torby nie będzie rzucała się w oczy. Styl motelowy. Dobrze kryje grzech. Nie przyszłoby mi do głowy, że Madrigal na coś takiego pójdzie. W jej wieku...

— Słyszałam, że dużo ostatnio rozmawia z zastępcą kierownika nowego Wal-Marta. Jak on się nazywa?

— Ten wylizany lalusz?

— Rany, Delia, ale ty mówisz!

Delia nigdy jednak niczego nie zmieniała. Ani wyglądu, ani pościeli. Za dnia swoje rudoblond włosy nosiła podpięte na karku i rozpuszczała je tylko wieczorami. Gdy po zmroku siadała na stopniach ganku, długie i swobodne, sięgały jej ramion.

— Lubię potrząsnąć głową i poczuć, że mam włosy — odparła, gdy M.T. próbowała nakłonić ją, żeby je ścięła.

— Krótkie łatwiej nosić. Długie dobre są dla młodych dziewczyn.

— Nosiłam krótkie jako dziewczynka. Dziadek Byrd twierdził, że utrzymanie długich jest zbyt kłopotliwe, dlatego kiedy w gimnazjum zachorowałam, kazał pani Pearlman ściąć je przy końcu szyi. Zobaczył u niej na plakacie taką bąbelkową fryzurkę i chciał, żebym miała taką samą. Doszedł do wniosku, że będzie mi w niej dobrze, stary drań. Wolałam mieć długie włosy, ale mnie nie słuchał. Powiedział, że długie wyciągają z człowieka siły.

— Starzy tak właśnie sądzą. Mówią, że jeśli dziecko przez dwie doby gorączkuje, należy mu obciąć włosy. Ich zdaniem włosy wysysają energię, której organizm potrzebuje, żeby zwalczyć gorączkę. Dziewczynki nosiły długie warkocze do czasu,

gdy zachorowały lub stały się pannicami. Starzy uważali, że obcięcie włosów poskramia ich temperament. Durne przesady.

— Ale dziadek Byrd w nie wierzył. I niewątpliwie chciał mnie poskromić. - Delia chwyciła kilka zabłąkanych na szyi kosmyków i wetknęła je do zwiniętego ogonka. - Myślę, że chciał zostawić na mnie swoje piętno, udowodnić, że potrafi postawić na swoim. Kazał mi ściąć włosy, choć płakałam i przeklinałam go za to. Nie czułam się sobą, dopóki mi nie odrosły.

— Był taki czas, kiedy dziewczyny ścinały włosy, żeby pokazać światu, że już są dorosłe. Albo nieposkromione.

— Ja nie musiałam.

— Nie, ty nie. Z tobą sprawa była oczywista i bez tego.

Wielebny Hillman był wytracony z równowagi. Louise Windsor wyraziła zgodę na spotkanie Delii z córkami, wciąż jednak twierdziła, że musi mieć więcej czasu, żeby się do tego wewnątrznie przygotować. Może więc pastor zechciałby przyjeżdżać do niej w sobotnie popołudnia na wspólne czytanie Biblii, żeby mogła dowiedzieć się czegoś więcej o wybaczeniu? Początkowo przyjmował jej sugestie z ogromną radością, wszak było to znacznie więcej, niż mógłby po tej nieustępliwej i dumnej staruszce oczekiwać. Zajrzał do „Bonnet”, prosząc Delię o jeszcze trochę cierpliwości. Po kilku tygodniach prób skupienia uwagi Louise na siódmym wersecie ósmego rozdziału ewangelii według świętego Jana zrozumiał, że starej się nie spieszy. Cokolwiek by powiedział, na wszystko miała gotową odpowiedź. „Tak, ale...” albo „A weźmy na przykład...” Bombardowała go ogniem i siarką, wersetami o cudzołóstwie, o kobietach swobodnych obyczajów, o wszetecznicy z Babilonii i ladacznicy kroczącej przed antychrystem.

— Sądzę, że jest nieszczerą, mówiąc, że zgadza się na spotkanie Delii z córkami - powiedział wielebny Hillman do żony.

— Dopiero teraz na to wpadłeś? - zapytała i zaczerwieńiła się, widząc jego urażoną minę. — Nie pozwól się jej zadrećcać. Jeszcze raz napomknij o adwokacie. Ona nie cierpi prawników.

Pastor posłuchał rady żony, posunął się nawet o krok dalej, niż sugerowała, i wyszukał w Biblii wszelkie możliwe fragmenty dotyczące prawników. Znalazł ich nadspodziewanie dużo,

a wszystkie były mocno zniechęcające. Nowa taktyka poskutkowała i już po dziesięciu minutach rozmowy Louise Windsor patrzyła nań jak na węża.

— Kwadrans — oznajmiła, podnosząc się, żeby ustawić Biblię na swoim miejscu na górnej półce. — W najbliższą niedzielę dostanie kwadrans i ani minuty więcej.

Gillian Wynchester zabierała się właśnie do opowiedzenia najpiękniejszych fragmentów historii ostatniej wyprawy swego męża do Nowego Orleanu, gdy do „Bonnet” wszedł wielbny Hillman. Na dźwięk jego głosu Delia odwróciła głowę, a Gillian zakryła usta dłonią.

— Pastorze! — pisnęła Gillian. — Jak miło pana widzieć. Bardzo przepraszam — zwróciła się do Delii i wybiegła do łazienki z uszami różowymi jak ręcznik na szyi.

Delia zamarła z nożyczkami w powietrzu, tymczasem duchowny powiedział coś, ale tak cicho, że nikt poza nią tego nie usłyszał. Kiedy skończył, Delia krzyknęła radośnie i zarzuciła mu ręce na szyję, o mały włos nie wbijając nożyczek w Steph, która podeszła bliżej, chcąc ich podsłuchać.

— Dziękuję! Och, bardzo dziękuję! — powtarzała Delia, gdy wielbny Hillman wycofywał się tyłem do drzwi.

— Cieszę się, że mogłem pomóc — powiedział i krótko skinął głową najpierw M.T., potem nie do poznania zmienionej kobiecie siedzącej przed nią na krześle. Rumieniec na jego szyi szybko nabierał barwy zbliżonej do koloru ścian.

Do końca tygodnia Delia żyła jak we śnie. Cały wolny czas spędzała u Beckmana, wyszukując prezenty, którymi mogłaby ucieszyć dziewczynki. Nabyła koronkowe serwetki dla Amandy, spinki do włosów dla Dede, kupiła dla nich po bluzce i po pachnącej świecy.

— Nie wiem, co im dać — zwierzyła się M.T. — Amanda wolałaby pewnie tę ze stójką, a Dede tę z koronką. Ze świec się chyba cieszą, ale sama nie wiem... Wszystko wydaje mi się takie bezosobowe. — Przesunęła palcami po koronkowej serwetce, niepewnie ją oglądając.

M.T. przykryła dłoń Delii swoją dłonią.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała. — Przecież wiesz, że nie na tym im zależy. Będą patrzeć wyłącznie na ciebie.

— Dede jest niezdrowa — oznajmiła babcia Windsor, kiedy

Delia stanęła u drzwi. - W nocy rozchorowała się na żołądek. Amanda też nie czuje się najlepiej. Myślę, że zaraziła się od Dede. Może przyjdiesz kiedy indziej? - dodała z uśmiechem. Przemawiały przez nią lata zadawnionych emocji i smutku, lata dzielnie powstrzymywanych łez i nocnych szlochów, minionego cierpienia i bólu, który ją jeszcze czekał. Niewielki to rewanz, ale syciła się nim pełną piersią.

Delia przycisnęła do siebie torbę z prezentami.

— Wiem, że jesteś rozczarowana — dodała babka Windsor, wycierając dłonie o fartuch. — Ale po tylu latach cóż znaczy ta drobna zwłoka?

Delia spuściła oczy. Na opakowaniach upominków w torbie igrały promienie słońca.

— Chore? - zaczęła, lecz babcia Windsor nie pozwoliła jej dokończyć.

— W przyszłym tygodniu — rzekła z wyrazem nie ukrywanej satysfakcji na twarzy. - Być może.

W samochodzie Delia poruszyła ustami, lecz nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Zadrżały jej ręce zaciśnięte na kierownicy. Babka Windsor obserwowała ją z ganku, tymczasem ona siedziała nieruchomo, a słońce na błękitnym niebie wznosiło się coraz wyżej i wyżej. Wreszcie rozluźniła dłonie i uruchomiła silnik.

— Kiedy indziej - powiedziała, spoglądając przez okno na Louise Windsor. Potarła kark, wciągnęła haust powietrza i wróciła do „Bonnet”.

— Nie pozwoliła ci się z nimi widzieć! - M.T. nie mogła w to uwierzyć.

— Och, to zimna kobieta — skomentowała Steph.

— Tak, zimna. — Delia zostawiła paczkę z prezentami w samochodzie. Mogła zostawić ją babce Windsor, ale było całkiem prawdopodobne, że stara nie przekaze jej dziewczynkom.

— Wydaje mi się, że powinnyśmy tam pojechać. — M.T. wytarła wilgotne ręce w fartuch. - Pojechać tam i nagadać babie do słuchu.

— Może lepiej trochę z tym zaczekajmy. — Steph spojrzała na Delię. — Clint przestał chodzić do pracy. Jest chory, poważnie chory. Już nawet nie zagłada do doktora Campbella. Była tu Marvella, pielęgniarka doktora. Powiedziała, że Clint zmienił się nie do poznania. Zresztą i tak nikt go już nie ogląda.

— Ona ma rację. — Twarz M.T. była zaczerwieniona i niepewna. - Wielebny Myles mówił Sally, że Clint umrze przed Bożym Narodzeniem. Podobno to rak kręgosłupa, w każdym razie rak kości. Straszne. Powiadają, że Clint już prawie nie chodzi i że Louise nosi mu posiłki i rozgląda się za jakąś kolorową kobietą, która zechciałaby mu pomagać, ale jak na razie wszystkie odmawiają. Louise nie ma pieniędzy, poza tym zawsze sknerzyła. Zresztą Bóg jeden wie, jak ten Clint teraz wygląda.

Delia oparła się o umywalkę. Otworzyła usta, oczy jej zogromniały.

— Boże...

— Uhm - potaknęła Steph. - To najlepszy dowód, co? Na istnienie Boga.

Delia potrząsnęła głową.

— Rak? Sądziłam, że ktoś go zabije. Że któregoś dnia sam się zabije. Ale że zachoruje na raka? To mi nigdy nie przyszło do głowy.

— Delio — zaczęła ostrożnie M.T. — To, co się stało, już się nie odstanie. Nic na to nie poradzisz. Ale musisz to sobie przemyśleć, kochanie. Jeśli Clint umrze, kiedy dziewczynki będą u starej, odzyskasz je dopiero w przyszłym życiu.

— Wiem — wyszeptała Delia. — Wiem.

— Dlatego musisz coś zrobić, skarbie.

— Wiem.

— Kiedy indziej.

Za każdym razem, kiedy Delia jechała na spotkanie z córkami, słyszała te same słowa. Oczy babki Windsor błyskały ciemno niczym dumny, twardy, lśniący w słońcu krzemień. Patrzyły na nią co tydzień, kiedy Delia zajeżdżała przed jej dom. Dziewczynki lekko gorączkują, zaraz będą gorączkowały, mają dziwne dreszcze, obie chorują, och, jakże mi przykro, ale właśnie wyszły — słyszała to, ilekroć wysiadała z samochodu. Bywało, że widziała, jak w oknie lekko poruszyły się zasłonki, jak za siatkowymi drzwiami przemknął jakiś cień. Raz miała nawet pewność, że Amanda obserwuje ją przez okno. Ale i tak nigdy nie weszła dalej niż na ganek, a one nigdy nie wyszły jej na spotkanie.



Za każdym razem słyszała inną historyjkę, inną wymówkę, puste przeprosiny okraszone chłodnym uśmiechem.

— Dede źle się czuje, nie wyjdzie w taki upał. Musimy przełożyć spotkanie na inny dzień.

— Skoro leży, mogłabym się z nią tylko przywitać. — Delia zastanawiała się, czy nie wejść do domu siłą, lecz bała się przestraszyć dziewczynki.

— Nie, nic z tego.

Puste oczy. Czarne serce. Amanda się przeziębila. Dede ma miesiączkę, „a ona je ciężko przechodzi”. Rozstrojone żołądki, zakatarzone nosy, migreny, zwichnięte kostki. Nie, jedna nie wyjdzie bez drugiej, są bardzo żyte. Tylko skąd miałybyś o tym wiedzieć? — mówiły oczy starej.

— Gdybyś je znała, na pewno byś to zrozumiała.

Ilekoć zaczynała mówić, Delii sztywniał kark i prostowała się jej głowa. Babka Windsor była uparta jak każda starucha.

— Dziewczynki są mi potrzebne do pomocy w ogrodzie. Innym razem.

Są mi potrzebne. Dziewczynki czegoś potrzebują. Tego. Tamtego. Byle czego. Tylko nie własnej matki.

Piątej soboty Delia aż zadrżała. Wróciła do samochodu, z całej siły chwyciła kierownicę, potem ją puściła i przekreśliła klucz w stacyjce.

— Posunęłaś się za daleko, starucho — powiedziała.

Słowa te były równie twarde i beznamienne jak jej źrenice. Starucho.

Zawirowały koła. Wzbił się kurz i samochód ruszył. Delia rozmawiała o córkach z dziadkiem Byrdem, z M.T., ze Stephanie i z pastorem Hillmanem. Teraz postanowiła omówić plan działania z własną duszą.

## 7

Prosto od babki Windsor Delia pojechała na Terrill Road, gdzie stał mały, żółty, pudełkowaty domek, który wiele lat temu dzieliła z Clintem. Zaparkowała na podjeździe

i przez chwilę siedziała w samochodzie, przytłoczona falą wspomnień. Kiedyś był tu jej dom, a teraz zaniedbany budynek obłaził z żółtej farby, podwórko pokrywały liszaje nagości. Dwa stojące przed domem brzoskwińowe drzewa powoli umierały, a uschły żywopłot zbrązowieł i szerniał. W balustradzie ganku brakowało desek, połatane kawałkami sklejki i spięte klamrami schody tworzyły dziwacznie stromą rampę. Wszystko było brudne i zniszczone.

Delia pomyślała o zaniedbanym, zapleśniałym domku nad rzeką. Zdażyła już odskrobać kawałek ziemi na nieduży ogródek, który chciała założyć, jak tylko poprawi się pogoda. Zamierzała posadzić pomidory, dynie oraz obficie kwitnące kwiaty: słoneczniki, dale i oblepione zielonymi liśćmi cynie. Zawsze uwielbiała pracę w ogrodzie. Co stało się z tymi wszystkimi roślinami, które tu posadziła? Zadarła głowę. Nad szczytem dachu dostrzegła miękkie cienie leszczyny i drzew orzechów włoskich, które ostatniego spędzonego tu wspólnie lata chroniły ją wraz z dziećmi przed słońcem.

Otworzyły się drzwi. Staął w nich wysoki, kościsty mężczyzna o zmierzwionych włosach. Uczepiwszy się oburącz klamki, zachwiał się lekko i znieruchomiał.

- Mój Boże. — Twarz Delii pod wpływem szoku stała się surowa. Na jej spociętych policzkach wystąpiły czerwone plamy wielkości dziesięciocentówek. Powoli pokręciła głowę w niemym proteście przeciwko temu, co zobaczyła, przeciwko widokowi ciała tak dobrze jej znanego i tak zmienionego.

Przyglądali się sobie nawzajem, Delia nieruchomo, Clint lekko się chwiejąc. Jego oczy wpijały się w nią niczym reflektory w bezksiężycową noc. Rozdziawił usta i musnął dolną wargę szarym, opuchniętym językiem.

- Delia... — powiedział. — Zastanawiałem się, czy przyjdiesz.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - zapytała M.T., zawiązując w papier talerze i szklanki. Pomagała Delii w przeprowadzce do domu przy Terrill Road.

- Nie pamiętasz już, co sama mówiłaś? Jeśli Clint umrze, kiedy babka Windsor ma dziewczynki u siebie, nigdy ich nie odzyskam.

M.T. nie mogła temu zaprzeczyć, co bynajmniej jej nie uspokoiło.

— Może mu się polepszy - rzekła. — Nie wiemy, w jak ciężkim jest stanie.

— Ja wiem. Ja go widziałam. Możliwe, że pożyje dłużej, niż sądzisz, ale na pewno wkrótce umrze. I nikomu już nie zagrozi.

— Nawet konający może strzelić człowiekowi w głowę.

— Clint nikogo nie zastrzeli. — Na twarzy Delii widać było zmęczenie. — Wygląda tak, jakby się nawrócił albo co. Jest inny. Odmieniony.

— Mam nadzieję — mruknęła M.T. — Ten drań trafiłby prosto do piekła, gdyby się nie zmienił. Myślisz, że rak napełnił go strachem przed Bogiem?

— Nie wiem. I nic mnie to nie obchodzi. Wiem tylko, że doszliśmy do porozumienia. Zawarliśmy układ. — Delia wrzuciła garść ściereczek do plastikowej torby. — Świetny układ. On mi pomoże odzyskać Amandę i Dede, a ja będę się nim opiekować aż do jego śmierci.

— Mieszkałaś tutaj?

Cissy siedziała na przednim siedzeniu datsuna, wpatrując się w matkę. Nie mogła uwierzyć własnym uszom, kiedy Delia oznajmiła, że przeprowadzają się do Clinta, i nalegała, żeby Cissy przyjechała go poznać. Teraz z kolei nie wierzyła własnym oczom. Ten żółty, pudełkowaty budynek pod żadnym względem nie wyglądał na coś, co Delia mogłaby kiedykolwiek nazwać domem.

— Tutaj mieszkaliśmy, gdy na świat przyszły twoje siostry — odparła matka. — Kiedy się wprowadzaliśmy, był ślicznym domeczkiem.

— Kiedy to było?

Delia poruszyła się niespokojnie. Z pudełka za siedzeniem wyciągnęła chusteczkę higieniczną i otarła nią sobie kark.

— Urodziłaś się, kiedy Dede skończyła dwa latka. Jest spod znaku byka, przyszła na świat czwartego maja. Ty jesteś panną z dwudziestego ósmego sierpnia. — Złożyła chusteczkę i lekkimi, krótkimi dotknięciami otarła oczy. — Amanda urodziła się piętnastego marca jako ryba. Jest od ciebie ponad cztery lata starsza.

Cissy czuła, że Delia robi wszystko, by w jej głosie nie było słyhać wstydu, iż zwyczajnym tonem próbuje mówić o tym, o czym nigdy dotąd nie mówiła.

— Ile miała Dede, kiedy stąd wyjechałaś? — zapytała, dobrze wiedząc, że pytanie matkę zabolí. Chciała, żeby ją zaboláło.

Delia spojrzała na dom, jakby niczego poza nim nie dostrzegała.

— Dziesięć miesięcy. Miała dziesięć miesięcy.

- Mała była - powiedziała Cissy. - Bardzo mała. Zupełny dzidzius.

Chwila się przeciągała. Cissy słyszała, jak Delia zgrzyta zębami. Zastanawiała się, czy matka w ogóle kiedyś przemówi, gdy na ganek wyszedł Clint. Stał tam i patrzył na samochód. Cissy natychmiast na niego spojrzała. Przez chwilę przypominał jej dziadka Byrda, ponieważ był wysoki, szczupły i podobnie jak on cierpliwy w swoim bezruchu. Lecz oczy miał wstrząsające: ciemne, miękkie, rozjarzone, pełne bólu i młode, zbyt młode na to, żeby tkwić w tej steranej, bladej twarzy.

Wyglądał zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażała. M.T. mówiła, że był masywnym, paskudnym chłopakiem, który wyrósł na ogromnego, paskudnego mężczyznę. Człowiek na ganku nie był wcale ogromny, choć niewykluczone, że dawniej wyglądał inaczej. Przywodził Cissy na myśl pierwszą książeczkę, którą czytał jej Randall, książeczkę o patykowatym świerszczu, o chodzącym kijaszku. Taki właśnie był. Długi i dziwaczny, przypominał jej samobieżny kij, który z trudem dźwiga własny ciężar.

W Cissy wezbrał bezgłośny ryk - odezwały się echa zasłyszanych "opowieści o człowieku, którego Randall nazywał złym, upartym wieśniakiem i skończonym draniem. Swego czasu Delia też wypowiadała imię Clint'a niczym najgorsze przekleństwo. Podczas rozmowy z adwokatami Randalla tłukła pięściami w ścianę przy telefonie i wrzeszczała:

- Co za sukinsyn! Co za cholerny sukinsyn!

Tyle gniewu i mocy. Tyle wspomnień. A wszystkie zawęziły się teraz do wychudłej, przypominającej kij postaci, która zastygła bez ruchu przed drzwiami.

Cissy podciągnęła nogi i objęła się za kolana. Zastanawiała się, czy Clint jest dość silny na to, by zrobić matce krzywdę. Możliwe, że nie, ale by sprawić Delii ból, wcale nie musiał jej

dotykać. Rozdzierał ją całe lata. Cissy przeniosła wzrok na szczyt dachu i rosnące za domem czubki drzew. To tutaj mieszkali, gdy się to wszystko zdarzyło, gdy przyszły na świat jej siostry i gdy Clint omal nie zabił Delii. To stąd uciekła, kiedy znalazł ją Randall i kiedy zaczęła nowe życie w Kalifornii. To tu wzięła początek ich zespół i gdy dobrze się nad tym zastanowić, to tu początek wzięła także ona, Cissy. To miejsce Delię ukształtowało. Wszystko, co nastąpiło później, było rezultatem tego, co zdarzyło się w tym domu.

— Chodź, Cissy. — Głos matki zabrzmiał bardzo donośnie.

Cissy przełknęła ślinę i wysiadła z auta. Podeszły do ganku.

— Cecilia — powiedział Clint zachrypniętym głosem. — Zastanawiałem się, jak wyglądasz. - Przeniósł wzrok na Delię, potem znowu popatrzył na Cissy. - Jesteś podobna do mamy.

— A ty do konika polnego — odparła.

Uśmiechnął się szeroko.

— Taaa... Tyle tylko, że nie bardzo już mogę skakać. — Jego przygaszone cieniem oczy znów odnalazły Delię. — To twoja córka. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

W drodze powrotnej do domu nad rzeką Delia wyciągnęła z pudełka kolejną chusteczkę i wydmuchała nos.

— Będzie ciężko, Cissy — zaczęła, uważnie patrząc córce w oczy. - Będzie bardzo ciężko, ale i dobrze. Dobrze będzie mieszkać z Clintem i twoimi siostrami.

„Twoje siostry”. Kiedy Delia mówiła tak o nich w Kalifornii, były dla Cissy tylko postaciami z prześwietlonego zdjęcia. Kimś obcym, kto się wcale nie liczył, niby rodzina, ale nieprawdziwa. Nieważne i odległe, były rodziną, o której nie trzeba myśleć, której nie trzeba oglądać. Ostatecznie zostały w Georgii, z Clintem. Cissy nie wiedziała dokładnie, co zaszło między nim a Delią, lecz wcale jej na tym nie zależało. Jej świat stanowili Delia i Randall, z kolei ich świat ograniczał się do nich trojga oraz do przyjaciół, którzy przychodzili, ściskali córeczkę Delii, mówili, jaka jest śliczna, jak bardzo przypomina swojego słynnego tatę oraz piękną mamę. Nieważne, że Delia niemal przez cały czas chodziła po domu pijana, a Randall rzadko u nich gościł, Cissy i tak innego życia nie знаła.

Od dnia, gdy zakończyła się pora płaczu, świat Cissy zupełnie się odmienił. Niepodzielnie zapanowały w nim „twoje siostry”. Amanda i Dede wypełniły dosłownie wszystko. Cayro okazało się pełne ludzi spoglądających na nią jak na psa, który zaraz ugryzie, lub jak na jakąś nieważną dziewczynkę. Pojawili się dziadek Byrd, M.T., Pearl, Ruby, Stephanie i kobiety odwiedzające salon piękności „Bee's Bonnet”. Nowy świat zaroił się nagle od ludzi, którzy Cissy nie kochali. Od pierwszych chwil pobytu w Cayro miasteczko przytłaczało ją i ścisnęło jej serce niczym kleszcze. Od pierwszych chwil przytłaczał ją ciężar i namacalność dwóch dziewczynek, które znała jedynie ze snów.

- Twoje córki — poprawiała Delię. - Twoje córki, nie moje siostry.

Umowa była jasna, a Clint nie wycofowywał się z danego słowa. Jeszcze zanim Delia i Cissy wprowadziły się do jego domu, poczynił odpowiednie przygotowania. Trochę to potrwa — powiedział — ale Delia odzyska swoje córki. Był ojcem. Babcia Windsor nie mogła nic zrobić.

W dniu przeprowadzki Clint nie mógł już wstać z łóżka o własnych siłach.

- Za mało już z niego zostało, żeby kobietę zmusić do czegokolwiek — szepnęła M.T. do Cissy. — Tak schudł, a dawniej wielki był z niego chłop.

Cissy nie wierzyła w jej uspokajające zapewnienia. Kiedy patrzyła na Clintę wspartego na stosie poduszek, myślała jedynie o tym, że przy pierwszej możliwej okazji na pewno strzeli Delii w głowę, niewykluczone, że z jednego z tych cennych sztucerów wiszących na wypolerowanej sosnowej półce nad łóżkiem.

W małym żółtym domku były trzy sypialnie. Ta duża, od kuchennego podwórka, stała się umieralnią Clintę. Najmniejszą dostała Delia. Ta zaś po drugiej stronie pokoju Clintę przypadła dziewczynkom. Od pierwszego dnia Delia zaczęła szykować ją dla Dede i Amandy. Wcisnęła trzy wąskie łóżka przy jednej ścianie, a po obu stronach szafy ustawiła toaletkę i regał.

- Będziecie musiały korzystać z tego wspólnie - powiedziała. —

Trochę tu ciasno, ale dacie sobie radę. - Wszystko ładnie urządzimy i będzie dobrze.

Cissy milczała. Pokój był za mały dla trzech dużych dziewcząt, wiedziała jednak, o czym Delia myśli. Niebawem zwolni się następny. Kiedy Clint umrze, dom otworzy się nagle jak magiczne pudełko. Cissy wepchnęła swoje rzeczy w kąć i pozwoliła matce radować się urządzeniem sypialni na przyjęcie Amandy i Dede.

— Amandzie się spodobają. — Delia wytrzasnęła skądś małe gliniane lampki z bladezielonymi abażurami. - A Dede potrzebuje dobrego światła do czytania. M.T. mówi, że twoja siostra zawsze chodzi po książki do małego antykwariatu w centrum miasta.

Uhm. Tak, pszę pani.

Mając na względzie obolałe usta i wrażliwy brzuch Clint, Delia gotowała mu zupowate, nie przyprawiane posiłki, a przede wszystkim bezbarwne, papkowate ziemniaki i ryż. Wyszorowała do czysta cały dom, w tym także pokój chorego. Sally odmówiła ponownego wypożyczenia sprzątaczek z agencji, twierdząc, że dla tej rodziny zrobiła aż za dużo. M.T. do niczego jej nie przymuszała. Wciąż nie mogła pogodzić się z decyzją Delii o przeprowadzce na Terrill Road.

— M.T. uważa, że rak jest zaraźliwy — powiedziała Steph. — Że przenosi się jak opryszczka, choroby weneryczne albo coś w tym rodzaju.

— Nieprawda! — M.T. z hukiem zatrzęsnęła szufladę. — Po prostu nie lubię przebywać z chorymi. Nigdy nie lubiłam.

— Kiedy Billy Trencher złamał sobie nogę, odwiedzałaś go codziennie przez tydzień — wytknęła jej Steph. — Prawie co wieczór prałaś mu i gotowałaś.

— Bill jest moim starym przyjacielem i wcale nie był chory. On tylko złamał nogę, to pewna różnica. - M.T. przeszyła Steph rozwścieczonym spojrzeniem. - Ty też nie rwiesz się do pomocy przy Clincie.

— Nigdy go nie znosiłam, nawet w czasach, gdy nic mu nie dolegało. Dla mnie mógł się utopić choćby we własnych szczochach.

— Przecież nic nie musicie robić - wtrąciła zakłopotana Delia. - Dom jest wysprzątnany, został tylko ogród, a tym zajmę się sama.

Z okna na tyłach domu Clint obserwował każdy jej ruch, gdy kopała i siała. Obiecał jej pomoc. Delia wywiązywała się ze swojej części umowy. Dostanie swoje córki. Jeśli trzeba będzie do tego prawnika, sędziego i oficjalnego wyroku, postara się i o to. Obiecał i słowa dotrzyma.

Cissy bardzo się starała, żeby unikać widoku wrzecionowatego ciała przygwożdżonego do dużego, jasnego metalowego łóżka na sprężynach w sypialni od podwórka. Tuż obok pokoju Clinta mieściła się duża łazienka, Cissy jednak używała tej małej, przy kuchni. Wolałaby już wejść choćby pod strumień wody z ogrodowego węża niż pokazać się Clintowi. Przez trzy dni obmywała się w tej malutkiej łazience, wreszcie Delia straciła cierpliwość i pogoniła ją do dużej, starej wanny na wygiętych nogach. Cissy weszła do niej najostrożniej jak mogła, robiła wszystko, żeby za nic nie rozchlapać wody, a podczas mycia wyobrażała sobie leżącego za ścianą Clinta, który zerka na sztucery nad głową, nasłuchuje najcichszego dźwięku i cały czas zgrzyta zębami pełen cierpliwej, potwornej nienawiści.

Cissy miała już prawie dwanaście lat i rozsadzała ją wiedza, której się domyślała, a o którą nikt jej nie posadzał. Wiedziała, że Delia rzuciła Clinta dla Randalla, co złamało Clintowi serce, i że połowa mieszkańców Cayro nienawidzi jej za ten krok. Jednakże wiedziała i to, że druga połowa cayrowian przeczuwała taki koniec tamtego małżeństwa, a ponadto wiedziała również, że Clinta przeklinało co najmniej tyle samo ludzi co Delię. Od Stephanie i M.T. nieraz słyszała, że Clint poszedł w ślady swojego ojca, człowieka, który dobrych kilka razy wysłał swoją żonę do szpitala, i że każda kobieta przy zdrowych zmysłach odeszłaby od niego znacznie wcześniej niż Delia.

Cissy uznała, że sprawa jest jasna. Delia była głupią kobietą, a Clint złym człowiekiem. Wymyśliła też sobie, że Clint przypomina dziadka Byrda. Że ilekroć na nią patrzy, widzi w jej twarzy rysy twarzy Randalla, co przypomina mu, że Delia go nie kochała, że złamał jej serce, że przez niego uciekła z domu. Było to nieco mniej skomplikowane niż fabuła romansideł



Pearl i Ruby, za to zdecydowanie paskudniejsze. Tak czy owak, Cissy głęboko wierzyła, że Clint musi nienawidzić Delii. Po prostu musi.

Przez tydzień trzymała się od niego z daleka, ale pewnego niedzielnego popołudnia, kiedy Delia wywieszała prześcieradła za domem, usłyszała stłumiony hałas dochodzący z jego sypialni. Odniosła wrażenie, jakby Clint się dławił. Podeszła na palcach do drzwi i ujrzała, jak chory zwisa z łóżka i z bolesnym wysiłkiem spluwa do stojącej na podłodze miski. Po chwili podciągnął się, opadł na poduszki, obrócił zaczerwioną twarz ku jej bladej twarzy i spojrzął w jej wielkie oczy swymi zmrużonymi oczyma. Cissy przypomniała sobie zdjęcia, które pokazywała jej M.T. Delia i Clint tuż po ślubie, oboje silni, zdrowi, szeroko uśmiechnięci. Clint był swego czasu mężczyzną okazałej postury, krzepkim i dobrze zbudowanym. Teraz miał sterzące kości i wyciągniętą, łuskowatą szyję. W jego twarzy nie było nienawiści — patrzył na Cissy beznamiętnie, spojrzeniem zmęczonego starca.

— Może przynieść ci wody? — wyszeptwała.

— Dobrze. — Ledwie skinął głową.

Musiała przytrzymać mu szklanekę przy ustach. Patrzyła na jego zmierzwione, leżące na poduszce włosy, czując falę gorąca na twarzy. Tyle okropieństw się o nim nasłuchiwała, tyle złych snów o nim śniła. W tych opowieściach i snach był nieokiełznany, pijany, niebezpieczny, łamał Delii kości, przeklinał jej duszę. Wypędzał ją z Cayro w ramiona innego mężczyzny, wygrywając przeciw niej córki i nigdy jej tak naprawdę nie uwalniając.

— Chcesz coś jeszcze? — zapytała.

Otarł usta ręką i potrząsnął głową.

— Nie, nie.

Następnego popołudnia, kiedy Cissy wróciła ze szkoły, Delia wciąż jeszcze pracowała w zakładzie i dom tonął w ciszy. Cissy podeszła pod drzwi sypialni Clinty, żeby na niego popatrzeć. Spał niespokojnie, z trudem oddychając w dusznym pokoju. Otworzyła okno i opierając się o parapet, odwróciła się do chorego. Widziała, jak unosi powieki, jak otaksowuje ją spojrzeniem z góry na dół i z dołu do góry, jak rozchyła usta.

— Tak jest dobrze - powiedział.

Nie wiedziała, czy miał na myśli lekki podmuch wiatru, który poruszył mu włosy, czy coś innego, lecz po wyrazie jego twarzy poznała, że sprawiła mu przyjemność, że ból zelżał. W spojrzeniu, jakie jej posłał, widziała, że modli się o coś, co pozwoliłoby mu choćby na chwilę opuścić chore ciało. To spojrzenie osadziło ją w miejscu. W tym momencie dostrzegła w Clincie człowieka w potrzebie, człowieka kruchego, kogoś, kogo mogła pokrzepić samą obecnością. Stęsknił się za towarzystwem, nawet za towarzystwem małej Cissy. Nie znał jej, była dzieckiem innego mężczyzny, ale była też i częścią Delii. Co więcej, zauważyła w nim kogoś, kto potrafi ją wesprzeć — wystarczyło, że patrzył na nią z tą wygodniałą tęsknotą i cierpliwą akceptacją. Za każdym razem, gdy wchodziła do jego sypialni, chciwie chłonał ją wzrokiem, jednakże patrzył na nią bez nienawiści, ze swego rodzaju Jezusową miłością okupioną cierpieniem i długo ćwiczoną cierpliwością. Znów przypomniało się jej wszystko to, co o nim słyszała, i zrozumiała, że człowiek, jakim był przy Delii, już nie istnieje. Stał się kimś, o kim Cissy nic nie wiedziała. Nic prócz jednego: potrafiła go uszczęśliwić, stając przed nim, nie pałając do niego nienawiścią ani przed nim nie uciekając.

Babcia Windsor grała na zwłokę najdłużej, jak tylko się dało, lecz wreszcie nadszedł dzień, kiedy M.T. i Delia wynajęły pomarańczową furgonetkę, zajęchały przed jej dom i weszły do środka. Cissy obserwowała, jak jej siostry wychodzą na dwór z pospiesznie spakowanymi pudłami i pałającym wrogością wzrokiem, mimo woli pełna podziwu dla nieskończonej cierpliwości i niezłomności, jakie Delia z siebie wykrzesала, żeby przetrzymać upartą staruchę.

Był taki moment, kiedy Cissy omal babki Windsor nie pożałowała. Delia ciągnęła za sobą wielki, czarny wór pełen ubrań, M.T. zaś ugiwała się pod ciężarem pudła o przemoczo-nym rogu. Żadna z nich nie patrzyła na boki, żadna nie zważała na szloch Amandy ani na pomruki Dede. Cissy siedziała w furgonetce, dlatego tylko ona widziała babkę Windsor, która wyszła na boczny ganek, opadła na schodki i opuściła głowę na kolana. Po chwili wyprostowała się i poruszyła dłońmi,

jakby chciała się spoliczkować. Rozciągnęła usta, potem je ściagnęła, jak gdyby chciała zawyć, lecz nie wydała z siebie ani dźwięku. Kołysząc się na ganku z pięściami wciśniętymi w zapadnięte oczodoły, tworzyła idealne uosobienie żalu.

Clint dotrzymał słowa, ale Clint w ogóle się tu nie liczył — to była wojna kobiet. Bez ustępstw. Bez litości. Na tyle furgonetki głucho załaskotało ostatnie pudło.

— Cissy! — krzyknęła stanowczo Delia. Nie patrzyła na córkę. Omijając ją wzrokiem, spoglądała w stronę bocznego ganku. — Chodźże, dziewczyno.

Babka Windsor wstała i przeszła Delię wzrokiem. Cissy odwróciła głowę. Nie chciała tego oglądać, nie chciała widzieć, jak te dwie kobiety wzajemnie się niszczą. Usłyszała trzask siatkowych drzwi. Babka Windsor weszła do domu. Jęknęły otwierane drzwiczki furgonetki.

— Wysiadaj, Cissy - powiedziała Delia. — Pojedziesz razem z M.T. Ja zabiorę Dede i Amandę.

Trzask. Trzask. Huknęły drzwi. W oknie zafalowała firanka. Z ziemi wzbił się pył.

— Boże, wołałabym raczej jeść tłuczone szkło niż wejść w drogę twojej mamusce. - M.T. otarła twarz i uruchomiła silnik.

— Miałabyś większą szansę wyjść z tego cało - odrzekła Cissy, obserwując, jak babcia Windsor gwałtownym ruchem zaciąga zasłonki w kuchennym oknie.

Przez całą drogę do domu Clinta Amanda i Dede nie odezwały się słowem. Kiedy dotarły na miejsce, Delia musiała wepchnąć je do sypialni, w której leżał Clint, bezwładny i prawie już nic nie mówiący. Cissy weszła za nimi, wdychając zapach wody kwiatowej Dede i Amandy, rozsiewającej wokół intensywną woń krochmalu. Dziewczęta wpatrywały się w ojca. Gdy Amanda nachyliła się, żeby cmoknąć go w szczeciniasty policzek, Dede poruszyła się niecierpliwie.

— Dziewczynki... Miło was widzieć — wyszeptał Clint z niezręcznym wdziękiem, szukając wzrokiem Delii i Cissy. Interesowały go bardziej niż własne córki, które tak długo trzymał w Cayro.

Dede wyszła z pokoju dumnym krokiem, natomiast Amanda stała przy łóżku chorego dopóty, dopóki na nią nie spojrział.

— Źle wyglądasz, tato. — Zabrzmiało to jak posępne przekleństwo.

Drgnął nerwowo, zamrugał i popatrzył w szare, przenikliwe oczy Amandy.

Gdy nadeszła pora kolacji, Delia posadziła je wszystkie przy stole. Twarz miała poważną, lecz otwartą, ich twarze zaś były zamknięte i puste. Powietrze aż iskrzyło od podejrzliwości.

— Musicie wiedzieć, że nigdy nie chciałam, żeby coś nas rozdzieliło — oświadczyła Delia.

Jej słowa padały jak kamienie z dużej wysokości. Amanda splotła palce na blacie stołu. Dede otarła palcem kąciki ust. Cissy skubała skórki przy paznokciach.

— Zawsze chciałam was mieć przy sobie. Zagubiłam się w Kalifornii, bo nie mogłam znieść tego, co nas rozdzieliło. I nie wiedziałam, jak was odzyskać. — Popatrzyła na Amandę, potem na Dede, wreszcie na Cissy. Starła się mówić jak najbardziej precyzyjnie i wkładała w to tak dużo wysiłku, że aż ściemniały jej usta.

Zaczerpnęła tchu i spojrzała na Amandę.

— Pogodziliśmy się, wasz tato i ja. Będziemy się nawzajem o siebie troszczyć. Wszyscy. - Milczała chwilę. - Wiedzie, że wasz tato umiera. Na pewien czas pochłonie całą moją uwagę. Spodziewam się, że będzie mi potrzebna wasza pomoc. Sądzę, że wszystkie będziecie musiały mi pomóc. Jeśli teraz nie poświęcicie mu trochę czasu, później będziecie tego bardzo żałować. — Nerwowo strzelała oczyma to na Amandę, to na Dede. — Wiem, że nie chcecie tu być. Kiedy osiągniecie pełnoletność, będziecie mogły odejść. Skończycie osiemnaście lat i pójdziecie sobie, dokąd tylko zechcecie. To już niedługo, Amando. Parę lat przeleci jak krótka chwila. I przyjdzie czas, gdy zrozumiecie, że bardzo was kocham.

Amanda patrzyła jej prosto w oczy.

— Ja cię nie kocham — oznajmiła. — Nic mnie nie obchodzi. — Dede prawie niedostrzegalnie skinęła głową. — Jesteś dla mnie niczym.

Delię oblała fala gorąca, lecz ani na moment nie uciekła wzrokiem w bok.

— A wy dla mnie wszystkim. Wszystkim. Wy dwie. - Popatrzyła na Cissy. — Trzy. Jesteście wszystkim, czego w życiu pragnę. Nie kochacie mnie? Wcale się wam nie dziwię. Nie-nawidzicie mnie? Zniosę i to. Ale jesteście moje, wszystkie

trzy. Jesteście wszystkim, czym ja jestem. I bez względu na to, co się stanie, będę się o was troszczyć.

Cissy poruszyła się na krześle. Dede nawijała na palec kosmyk włosów. Miała otwarte usta i mocno zarumienione policzki. Amanda jeszcze mocniej zacisnęła splecione palce. Jakby się modliła.

— Pan Bóg nas wszystkich strzeże — powiedziała. — Myślisz, że nie wie, co robisz? Myślisz, że my tego nie wiemy? W oczach Boga kilka lat to tyle co nic.

Tamtego wieczoru Dede szybko zniknęła w sypialni — w tej samej sypialni, którą Delia z takim pietyzmem urządzała. Naciągnęła na uszy słuchawki, położyła się na łóżku, zakryła oczy ramieniem, dając światu do zrozumienia, że zostanie w tej pozycji do dnia, gdy skończy osiemnaście lat, że potem wstanie i wyjdzie stąd jako wolna kobieta. Amanda obozowała na kanapie w bawialni tuż obok miejsca, gdzie Delia lubiła przesiadywać z lekturą. Tymczasem Cissy na chwilę przystanęła w progu, niezdecydowana, czy usiąść tam gdzie zwykle, czyli na kanapie, czy też może poczytać na łóżku, ledwie kilka stóp od wyciągniętej obok Dede. Clint mocno kaszłał w swoim pokoju. Delia zajmowała się czymś w kuchni.

Nie zaszczycając Cissy spojrzeniem, Amanda wstała, włączyła telewizor i nastawiła wiadomości. Później wróciła na kanapę, lecz zaraz zsunęła się z niej na podłogę i usiadła za stolikiem do kawy. Sprawiała wrażenie prawie zupełnie rozluźnionej.

Cissy przysiadła na przeciwległym końcu kanapy. Nie wiedziała, czego oczekiwać. Nie, nie spodziewała się prawdziwej rozmowy, liczyła jednak choćby na kilka uwag na temat dziennika, pogody czy miejscowych wydarzeń sportowych.

— Ten facet — zaczęła, wskazując prowadzącego wiadomości — jest chyba najbardziej przerażającym człowiekiem w całej telewizji. Widziałam, jak raz przekrzywiła mu się peruka. Poprawiał ją sobie do końca programu. Ktoś w studiu ciągle chichotał i chrząkał, ale on jakby tego nie zauważał. Nawijał dalej. Z tą zwisającą peruką.

Amanda nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Bardzo ostrożnie otworzyła chlebak, wyciągnęła zeń ogromną paczkę waniliowych wafli i równie duży słój masła orzechowego, po czym powoli zaczęła smarować nim wafle. Telewizja i ciasteczka zaprzętały ją całkowicie. Gdy posmarowała pedantycznie wszystkie wafle, gdy rozłożyła je szeroko na blacie stolika, zaczęła łączyć je w pary, kładąc jeden wafel na drugim, ściskając je i starannie wyrównując brzegi. Wyciśnięty nadmiar masła zgarniała palcem, po czym szybkim ruchem wkładała go sobie do małych, wąskich usteczek. Cissy przyglądała się temu jak zahipnotyzowana, dopóki złączone wafle nie przykryły całego blatu, dopóki pokoju nie wypełnił zapach wanilii i orzechowego masła.

Amanda spojrzała na nią bez wyrazu, po czym wróciła do swego zajęcia. Wyjęła z chlebaka plastikową torbę, włożyła do niej wafle i zostawiwszy na stoliku jedno ciasteczko oraz garść rozsypanych białych okruszków, z uwagą zamknęła torebkę i schowała ją w czeluściach chlebaka.

Cissy uświadomiła sobie, że obserwuje ją z otwartą buzią. Potrząsnęła głową, zamknęła usta, po czym przeniosła wzrok na prowadzącego dziennik. Kiedy znowu spojrzała na Amandę, ta patrzyła na nią, przeżuując nie spakowane ciastko.

- Gardzę tobą - syknęła, tchnąc oddechem silnie pachnącym orzeszkami ziemnymi.- I nią! - Wskazała kuchnię. Mówiąc, ledwie poruszała ustami. — Nawet gdybym miała za to pójść do piekła - dodała, z ponurą miną zaciągając suwak chlebaka. — Bóg to zrozumie. — Przycisnęła plecak do piersi. — Ty też tam będziesz. Ty na pewno pójdziesz do piekła.

- Ale teraz pójde do łóżka - oznajmiła Cissy.

Dede pogasiła wszystkie światła i naciągnęła prześcieradło pod szyję. Cissy nerwowo włożyła nocną koszulę i weszła do łóżka. Dede była tak blisko, że z łatwością mogłaby jej dotknąć.

- Co ci jest w oko? - Dede podparła się łokciem i spojrzała w stronę Cissy.

- Nic.

- Płaczesz?

- Nie. Od czasu do czasu oczy mi łzawią.

- Tylko jedno.

- No i co z tego?

Dede wzruszyła ramionami i umilkła, gdy do sypialni weszła Amanda, by uklęknąć i zmówić pacierze.

Przez cztery dni Amanda jadła wyłącznie waniliowe wafelki, odmawiając wszystkiego, co proponowała jej Delia. Wafelki na śniadanie, wafelki na kolację. Lunch kupowała w szkole, a kanapkę od Delii wyrzucała do kosza. Nie chciała mieć nic wspólnego z czymś, *co należało* do matki i jej kalifornijskiej córki. Kiedy kładła się spać, leżała sztywno, jakby nie chciała pozwolić sobie na odpoczynek w pościeli wypranej przez Delię.

- Trafisz do piekła - mówiła do Cissy co rano.

— Do piekła - powtarzała, gdy mijały się w łazience.

Cissy milczała. Nie mogła powiedzieć tego, co czuje. Największe wrażenie robił na niej wyraz twarzy Amandy. I jej żywe, uparte oczy. Jej głos brzmiał szczerze, do tego te słowa, ten zapach... Cissy mimowolnie poddała się jej czarowi. Amanda była dziewczyną nie znającą kompromisu. Wydawała się jej wspaniała, poza tym w ich żyłach płynęła ta sama krew. Jako córka Delii i przyrodnia siostra Cissy, była kimś, z kogo można być dumnym, nawet jeśli żałowało się, że ten ktoś w ogóle przyszedł na świat.

Cissy nie mogła sobie wyobrazić, żeby ludzie różnili się od siebie bardziej niż Amanda od Dede, zwłaszcza gdy wzięło się pod uwagę, że przyszły na świat jako dzieci tego samego ojca. Tyle tylko że dzieląca je różnica nie od razu rzucała się w oczy. Śpiąc obok siebie, wyglądały niemal identycznie, gdyż obie były równie smukłe i gibkie. Obie miały takie same srebrzysto-białe włosy, bez cienia rudości włosów ich matki, tylko Amanda nosiła je przycięte nad ramionami, tymczasem u Dede swobodnie spływały na plecy. Nie to, żeby Dede wyrastała na piękność, Amanda zaś na brzydulę. Nie, Amanda też powinna być bardzo piękna. Miała ku temu wszelkie dane. Babcia Windsor nazywała swe wnuczki różami Szaronu, ale to Dede była kwiatem, Amanda zaś tylko dzikim pnączem.

Dopiero gdy spędziło się z nimi nieco czasu, dzielące je różnice stawały się zauważalne. Ludzie, którzy dziewczynki znali, zapominali o łączących je podobieństwach. Choć odziedziczyły podobną posturę, były inaczej zbudowane: Dede miała

nieskazitelnie rzeźbione kości, Amanda zaś kościec ciężki i bez wdzięku. Amanda, zaledwie pół kilograma cięższa od siostry, wyglądała przy niej jak kolczasta pustynna roślina o kanciastych, wystrzępionych kształtach. Miała też zaskakująco szare oczy, ostre niczym lód na przemrożonym mięsie, podczas gdy oczy Dede były zwodniczo pogodne i choć dziewczyna uśmiechała się cokolwiek krzywo, wyglądała przy tymomalże łagodnie. Uśmiech Amandy natomiast, surowy i srogi, wywoływał niepokój. Na widok jej uśmiechu ludzie czym prędzej spoglądali w dół i nerwowo sprawdzali, co się im odpięło lub też którą część garderoby włożyli na lewą stronę.

- Chuda - mawiali o niej. - Chuda jak tyczka.

Lecz gdy patrzyli na Dede, zaczynały im błyszczeć oczy.

- Spójrzcie na tę dziewczynę! — mówili. — Widzicie, jaka ładniutka?

Amanda rosła, a z wiekiem jej rysy nabierały ostrości. Twarz wydłużyła jej się i spłaszczyła niczym odwrotna strona szpadla. Wystający z niej nos opadał nisko, tworząc jedną linię z kącikami ust. Była to twarz smutna jak grób, a ponieważ Amanda chodziła ze spuszczoną głową, zawsze spoglądała na świat spode łba. Dede miała twarz otwartą i choć natura obdarzyła ją nieustraszenie sterczącym podbródkiem, wystającym nosem oraz wydatnymi kośćmi policzkowymi, robiła wrażenie pogodnej.

- Ależ ona jest ładniejsza od swej matki! — mawiali mężczyźni.

Dede patrzyła przed siebie z nadzieją i ciekawością i chociaż często zaciskała usta, nie było w niej ani krzty siłą narzuconej powściągliwości, tak typowej dla siostry. Gnębiący ją smutek był bardziej przytłumiony, nie tak przerażający. Przez ten smutek stawała się nawet bardziej interesująca.

Odziedziczyły go chyba po Clincie. Smutek, podejrzliwość, załknienie duszy i głębokie przekonanie o fatalizmie życia. Obie oczekiwały kłopotów, Amanda, uparcie wbijając wzrok w ziemię, i Dede, która spoglądając światu w oczy, odrzucała głowę do tyłu, jakby chciała rzec: „No i co?”

Inaczej też milczały, w każdym razie inaczej niż Delia, która nigdy zupełnie nie milkła, tylko ciągle nuciła, podśpiewywała fragmenty piosenek, mruzczała pod nosem różne melodie. U Dede momenty ciszy wibrowały tak głośno jak głos jej matki na



wczesnych płytach. Amanda Louise zaś potrafiła jednym niemym spojrzeniem wyrazić więcej niż inni długą wiązką przekleństw. Cisza w jej wydaniu była sadzawką potępienia, po której od czasu do czasu przemyka modlitwa lub klątwa. Cissy zastanawiała się też i nad sobą. Uważała się za osobę cichą, za widza, nie wiedziała jednak na pewno, czy tak postrzegają ją inni. M.T. nazywała ją przecież zawziętą, upartą złośnicą, a M.T. myliła się rzadko. Ale Cissy miała obiekt, na którym mogła wyładować całą złość: Delię. Delia skupiała jej gniew niczym soczewka. Delia była tego gniewu podpora.

— Twoje siostry są zbyt dziwaczne jak na ten świat — powiedziała M.T., odkrywszy, że Dede pomalowała sufit sypialni na czarno i srebrno, po czym poprzyklejała doń kawałki potłuczonego lustra. — Ilekroć je widzę, uświadamiam sobie, jaka jestem szczęśliwa, że mam Pearl i Ruby.

Do pewnego stopnia Cissy przyznawała jej rację. Istotnie, z Dede i Amandą żyło się trudno. Delia pewnie nie posiadała się z radości, że je odzyskała, lecz za triumf ten płaciła każdym nerwem ciała. Siostry nie tyle zamieszkały w domu przy Terrill Road, ile wzięły ten dom w posiadanie i przerobiły go po swojemu, mimo to Cissy ani przez chwilę nie wątpiła, że woli je od tych wrednych lizusek M.T.

Nie dość, że Dede wymalowała sufit sypialni, to jeszcze chowała papierosy w szufladzie z bielizną Cissy. Co więcej, bardzo surowym wzrokiem ostrzegała ją, że byłaby ogromnie niezadowolona, gdyby Cissy zdecydowała się poinformować o tym Delię. Nie zważając na opinię swoich koleżanek, Amanda, uczennica gimnazjum w Cayro, szybko zorganizowała w szkole kółko modlitewne, którego wyłącznym celem było zwrócenie szczególnej uwagi Boga na jej pogańską rodzinę. Cissy natomiast wiele czasu spędzała w pokoju Clinty, czytając tam lub chowając się przed innymi domownikami.

Kiedy siostry, które dotychczas widywała tylko z daleka bądź na fotografii, pierwszy raz przekroczyły próg domu Clinty, wnosząc ze sobą zapach dzikiej koniczyny porastającej podwórko babki Windsor, Cissy uświadomiła sobie nagle, że oprócz rzucającego się w oczy potępienia i złości jest w nich także coś, o czym nie ma zielonego pojęcia. W białych policzkach Dede kipiał życiem świat usprawiedliwionego gniewu,

a w zaciśniętych ustach Amandy świat prostej, żelaznej siły. Były rodziną, dzieliła je stosunkowo nieduża różnica wieku - Dede miała tylko dwa lata więcej niż Cissy, Amanda ponad cztery - mimo to zupełnie nie przypominały ani jej, ani Delii. Ilekroć patrzyła na swe odzyskane po tylu latach siostry, przeżywał ją dreszcz. Nienawidziła ich całe życie, lecz z chwilą gdy przekroczyły próg domu Clinty, straciła pewność co do swoich uczuć. Delia zawsze mówiła, że Dede i Amanda są częścią Cissy, do której po raz pierwszy zaczynało docierać, że może to być prawda.

## 8

Nadine Reitower nie posiadała się z oburzenia.

— Ta ladacznica, ta bezwstydnica jedna! — opowiadała swojej nowej fryzjerce u Beckmana. — Nie dość, że dom przy Terrill Road był dla nas solą w oku przez tyle lat, że przez tyle lat obijał się po nim ten pijany nicpoń, to jeszcze wprowadziła się tam ona, ona i jej nieszczęsne córki. Bóg jeden wie, co się tam teraz dzieje. A ta najmłodsza, to diabelskie nasienie w ciemnych okularach, wciąż napastuje mojego Nolana.

Nolan Reitower był pierwszym prawdziwym przyjacielem Cissy.

— Jest chyba jedynym dzieckiem w okolicy — powiedziała M.T., kiedy Delia i Cissy przeprowadziły się do Clinty. - Mama trzyma go na krótkiej smyczy. Troszkę trudna jest ta Nadine Reitower.

Codziennie po południu Nolan siadywał na ganku przed domem z inną książką w ręku i Cissy widziała go tam kilka razy. To właśnie książki ją do niego przyciągnęły. Niezadowolona Nadine głośno prychnęła, gdy córka Delii podeszła do jej syna i zapytała go, co czyta. Nolan podepchnął tylko okulary na spoconym nosie i podsunął jej książkę, stary egzemplarz *Kawalerii Kosmosu* Roberta Heinleina.

— Czytałeś *Obcego na obcej ziemi*? — zapytała Cissy.

— Czytałem wszystkie. Ale *Podkayne z Marsa* czytałem tylko raz. Zdenerwowała mnie.

— Jakby napisał ją na haju, prawda? Najbardziej niesamowita dziewczyna w *science fiction*. Osobiście wolę Telzey. Znasz ją?

Nolan skinął głową.

— Schwartz — odparł, rozpoznając autora.

Nadine, która siedziała obok, wyciągając nitki z zakładu spódnicy, zakaszła z dezaprobatą.

— A więc lubisz *science fiction*? — spytał Nolan.

— Tak.

Nolan odłożył książkę ze wstążeczką w miejscu, gdzie skończył czytać.

— Chodź — powiedział i zaprowadził ją do piwnicy.

Wzdłuż jednej ze ścian warsztatu, z którego jego ojciec prawie nie korzystał, stały cztery wysokie regały na książki w miękkich oprawkach. Wszystkie były szczelnie wypełnione paperbackami ułożonymi alfabetycznie według nazwisk autorów i przegrodzonymi małymi kartonowymi rozdzielaczami.

— Mój księgozbiór — oznajmił głosem pogrubiałym z dumy.

— O Boże...

Cissy przesunęła palcami po grzbietach książek stojących w środkowej części jednej z półek. Harry Harrison, Robert Heinlein, Frank Herbert, Tanya Huff, Fritz Leiber, Ursula Le Guin, parę kompletów Juliana Maya... Dwie dolne półki każdego regału mieściły czasopisma: „Analog”, „Fantasy and Science Fiction”, „Isaac Asimov's Science Fiction”. Wszystkie były ułożone rocznikami i stały w tekturowych, starannie oznaczonych pudłach, choć wielu z nich brakowało okładek, a na najstarszych widniały plamy oraz pleśń.

— Poważna sprawa — rzekła Cissy przyciszonym głosem i spojrzała na uśmiechniętego chłopca.

— Jeśli chcesz, mogę ci kilka pożyczyć.

Zaproponował jej to *ot* tak, od niechcenia, lecz dobrze wiedziała, że nie jest to propozycja, którą można potraktować lekko. Ktoś, kto tak pedantycznie segregował i przechowywał swoje książki, ktoś, kto musiał wynieść je potem do piwnicy, na pewno niechętnie się nimi dzielił. Patrząc na ten księgo-

zbiór, Cissy dowiedziała się o Nolanie więcej, niż jego własna matka zdołała dowiedzieć się o nim przez wiele lat.

- Dziękuję, że jesteś gotów mi zaufać - odrzekła. - Będę się z nimi obchodzić bardzo, bardzo ostrożnie.

W tym momencie zostali przyjaciółmi. Cissy nie przeszkadzało nawet to, że Nolan był zakochany w Dede. Chłopak, który czytywał w wakacje Tolkienu i Heinleina, musiał być romantykiem, co potwierdziło jego pierwsze spotkanie z Dede.

- O rany! - Właśnie wchodził na ganek z książkami dla Cissy, gdy zderzył się z wybiegającą z domu Dede. — Aleś ty piękna... — wybełkotał.

Dede parsknęła śmiechem.

— A ty? Pieszczoszek mamuni, co nie? — Spojrzała na niego z pogardą nastolatki i odeszła.

— Co powiedziała? - spytała Cissy, podchodząc do drzwi.

Nolan potrząsnął głową. Na szczęście prawie nie pamiętał słów Dede, pamiętał tylko, jak wyglądała i jakie zrobiła na nim wrażenie, przeszywając go spojrzeniem swoich przenikliwych niebieskich oczu. Wspaniała — myślał, czerwieniąc się, ilekroć spotykał ją na ulicy. Nie miało dla niego znaczenia, że jest od niej o dwa lata młodszy i że ona w ogóle go nie zauważa. Zakochał się, został ugodzony w serce i naznaczony. Dede mogłaby go zmieszać z błotem, a on i stałby przed nią, i czekałby na więcej.

Dede ścieła z nóg nie tylko Nolana. Choć bardzo młoda, wpadała w oko jak cenny kamień o brylantowym szlifie. Chłopcy oglądali się za nią wbrew swojej woli, przyciągała ich i urabiała jak ciasto, wystarczyło, żeby koło niej stanęli. Miało to coś wspólnego z jej zapachem. Nawet dobrzy chłopcy, pobożni i grzeczni, gdy tylko poczuli woń Dede, w ciągu jednego dnia zaczynali zaciągać się marlboro, spluwać, używać brzydkich słów i liczyć na więcej, niż mogli oczekiwać.

Jeśli nawet Pearl i Ruby myliły się co do faktu, że Dede już „to” robiła, z całą pewnością miały rację, twierdząc, że wymykała się dokądś z chłopakami. Przez większą część roku u babki Windsor wyślizgiwała się z domu z braćmi Petrie, podczas gdy Amanda chodziła na kółko modlitewne. Delii powiedziała, że bracia uczą ją jeździć chevroletem swojego tatusia. Kiedy pewnego dnia w progu domu Clinta stanęli dwaj szesnastoletni

chudzielcy, Delia obrzuciła ich spojrzeniem i po zaczerwienionych policzkach i uciekającym wzrokiem od razu poznała, że bliźniacy uczą jej córkę nie tylko zmiany biegów.

— Jesteś za młoda. — Delia nie spuszczała oczu ze zdenerwowanych chłopców.

— Moje siostry zaczęły jeździć, jak skończyły czternaście lat. — Leroy Petrie usiłował patrzeć Delii w oczy. Wiedział, że właśnie tym może przekonać Delię o swoich nieszkodliwych zamiarach, lecz gdy tylko podnosił na nią wzrok, zdawało się, że górną część jego uda przeszywa skurcz wędrujący aż do pępka. Leroy zerknął na brata, lecz pomoc nie nadeszła. Craig był przerażony tak samo jak on i obydwaj próbowali ukryć wrażenie, jakie robiła na nich Dede, oraz strach, że Delia nie pozwoli im się z nią spotykać.

— Jestem dobrym nauczycielem — mówił Leroy. — Naprawdę, pszę pani. Jestem ostrożny.

— Nie wątpię.

Delia popatrzyła na Dede, która siedziała na kanapie z czasopismem w rękę i półuśmiechem na ustach. Jej córka nie próbowała nawet włączyć się do rozmowy.

Dede straciła zainteresowanie Leroyem i jego bratem, choć przez wiele miesięcy biła się z babką Windsor o każdą chwilę, jaką tylko mogła wykraść, żeby spędzić ją między bliźniakami w szoferce furgonetki. Nauczyła się prowadzić, choć miało to mniej wspólnego z chłopakami niż z zaspokojeniem apetytu na samodzielną jazdę. Kiedy myślała o tych miesiącach ćwiczeń, wciąż czuła lekcje, jakie odebrała jej ciało: kolana czerwone, poobijane o dźwignię biegów i o udo Craiga, biodro przyciśnięte do biodra Leroya, chłopiące dłonie sunące po jej skórze niczym małe zwierzątka, zgłodniałe i nierozważne. Tak naprawdę to nigdy nie pozwolili prowadzić jej dłużej niż przez kilka ulic. Jej największym osiągnięciem było obracanie kierownicą i przyciskanie pedału gazu, podczas gdy siedzący po jej obu stronach bracia obmacywali jej piersi przez cienki materiał bluzki. Obydwom tak bardzo kręciło się w głowie od zapachu jej włosów i skóry, że kiedy prowadziła, wpadali w panikę — bali się nie tego, że mogła się rozbić, ale tego, że mogą przestać nad sobą panować.

- Dede jest w tym dobra - zdołał wydusić z siebie Craig. — Ma do jazdy talent. Prawdziwy talent.

Dede uśmiechnęła się do niego. To właśnie Craig powiedział jej, że pojeździ sama dopiero wtedy, gdy zdejmie z siebie te wszystkie warstwy bawełny i nylonu, które utrudniały im dostęp do jej ciała. W tym tkwił problem. Chociaż Dede naprawdę chciała nauczyć się jeździć, miała wszak dość rozumu, żeby nie dać bliźniakom nic ponad to, co już im dała, ponad krótkie chwile fizycznego przyzwolenia, surowo ograniczone i starannie wyliczone, podobnie jak jej dostęp do kierownicy. Jednakże im dłużej jeździła, tym bardziej im ulegała, dlatego prędzej czy później sytuacja musiała wymknąć się spod kontroli.

- Dziękuję, że tyle dla niej zrobiliście, chłopcy. Naprawdę bardzo wam dziękuję, ale sama mogę nauczyć ją prowadzić.

Delia widziała, z jaką tęsknotą spoglądają na Dede. Widziała też uśmiech, jaki posłała im córka. Z jakąż łatwością nimi sterowała, jak bardzo nimi gardziła.

- Chcesz, żebym cię uczyła, Dede? - zapytała.

Dede uśmiechnęła się przebiegle i spojrzała na matkę.

- Tym starym zajeżdżonym datsunem?

Delia próbowała nie okazać po sobie zawodu.

- Chciałabym nauczyć się zmieniać biegi — dorzuciła Dede z rozpromienioną twarzą. — To by było fajowsko.

Delia zwróciła się do zrozpaczonych chłopców:

- Leroy, Craig, dziękuję, żeście do nas zajrzeli.

Z wdziękiem wyprosiła ich z domu, nie zważając na smutne spojrzenia, jakimi obrzucali Dede.

Delia zawsze powtarzała, że jej najgenialniejszym posunięciem w stosunku do Dede było to, że zaczęła uczyć ją jeździć. Ta decyzja przełamała pierwsze lody. Mówiła też, że nigdy w życiu nie bała się bardziej niż podczas tych sześciu miesięcy, gdy jeździła z Dede. Craig miał rację: jej córka była utalentowanym kierowcą. Miała zadziwiający instynkt, niezwykle oko i refleks. Brakowało jej tylko hamulców, nie wiedziała, kiedy trzeba powiedzieć sobie „nie”, nie znała strachu. Największym wyzwaniem okazało się dla Delii przekonanie Dede, że jazda samochodem nie polega na ściganiu się czy sprawdzaniu możliwości wozu.

- Samochód jest po to, żeby nas gdzieś dowiózł, po nic

więcej. Nie jest odbiciem ludzkiej duszy ani przedmiotem, dzięki któremu udowadniamy, kim jesteśmy. Wygłupiając się w samochodzie, igrasz z życiem innych — mówiła, obserwując twarz nieobecnej i nie przejętej jej wywodem córki.

— Rozumiesz mnie, Dede? Rozumiesz?

— Tak, tak. Zastanawiałam się tylko, ile to pudło wyciągnie?

Amanda natomiast pozostawała niewzruszenie wroga. Nie próbowała nawet namawiać Delii czy Cissy, żeby chodziły do kościoła, choć Dede upominała w tej kwestii bez litości. Dede natomiast była zafascynowana konceptem, że w niedzielę rano można zdecydować, czy idzie się do kościoła, czy nie.

— Jeśli chcę, mogę zostać w domu, tak? - pytała Delię co tydzień.

— Tak, możesz — odpowiadała Delia, na co Dede uśmiechała się szeroko i wracała do swego pokoju. Potem mogła do nich wrócić ubrana i gotowa do wyjścia, ale nie było sposobu, żeby to przewidzieć.

— Cissy powiedziała, że jesteś buddystką - zagadnęła kiedyś matkę. — Czy buddyści nie wierzą w piekło?

— Nie nazwałabym siebie buddystką — odparła Delia. — Poza tym buddyści wyobrażają sobie niebo i piekło zupełnie inaczej niż nasi kaznodzieje. Uważają, że to życie jest ciężkie. Ich celem nie jest trafienie do nieba, tylko wyjście z kręgu życia.

— O rany! — wykrzyknęła rozpromieniona Dede. - Myślisz, że byłabym dobrą buddystką?

— Myślę, że powinnaś to sobie głębiej przemyśleć, zanim zaczniesz zmieniać wyznania tylko po to, żeby uniknąć porannego wstawania w niedzielę.

Za to, że Dede zostawała w domu, Amanda obarczała winą Delię.

— Tobie jest wszystko jedno, czy pójdziemy do piekła, ale mnie nie - mówiła. — Ty nie wierzysz nawet w nieśmiertelność swej duszy, ale Bóg w nią wierzy.

Mogła długo cytować wielebnego Hillmana, babcię Windsor i fragmenty rozmaitych rozprawek. Delia potakiwała jej niemo, wzruszała ramionami i uparcie odmawiając podjęcia dyskusji,

przypominała Amandzie, że jeśli się nie pospieszy, nie zdąży na nabożeństwo. Wtedy Amanda po raz ostatni usiłowała nakłonić Dede do wyjścia, po czym z miną męczennicy zniknęła za drzwiami.

Szcześniejszej miny nie miała nawet wówczas, gdy Dede postanawiała jej towarzyszyć.

— Proszę, proszę — mruzczała na widok wystrojonej Dede. — A to się Pan Bóg zdziwi!

Chociaż z domu przy Terrill Road niełatwo było dostać się do Holy Redeemer, Amanda nie chciała, żeby Delia podrzucała ją do kościoła samochodem, i uparcie jeździła autobusem. Pierwszej niedzieli po przeprowadzce pastor Hillman aż skrzywił się, widząc, jak Amanda podbiega przed nabożeństwem do babki Windsor, żeby ją uściskać, i jak stara odwraca się od wnuczki. Louise Windsor odtrącała ją co niedziela, jakby to Amanda zawiniła, że mieszka z wszeteczną, która wykorzystując słabego, bezwartościowego i umierającego Clintę, zawróciła mu w głowie i zmusiła go do zabrania dziewczynek. Kiedy pastor Hillman chciał się wraz nią pomodlić, stara spojrzała na niego szklistymi oczami i odparła, że dosyć już narobił.

Chłód babci Windsor złamał Amandzie serce i w końcu dziewczyna zaczęła chodzić do Cayro Baptist Tabernacle. Wiernych było tam tylu, że bez kłopotu mogła uniknąć M.T., a pastora Mylesa nawet lubiła. Nauczyła się nieco krytycznie patrzeć na wielebnego Hillmana, który przyczynił się do jej wygnania na Terrill Road, natomiast wielebny Myles przypominał jej Callę, pastora prowadzącego Holiness przed powrotem Hillmana. Obaj mieli podobny styl przemawiania z kazalnicy, obaj mówili donośnie i wzruszająco. Babcia Windsor zawsze powtarzała, że Redeemer był prawdziwym kościołem Słowa tylko za czasów wielebnego Callę.

— To był dopiero kaznodzieja! — mawiała. — Prawdziwy człowiek Biblii.

Amanda pamiętała grzmiący głos pastora Callę i czerwone plamy, które wykwitwały na jego policzkach, ilekroć się czymś ekscytował. A ekscytował się często, tak często, że jako mała dziewczynka Amanda po prostu się go bała. Wielebny Call



uwielbiał mówić o groźbie, jakimi są dla świata komunizm i perfidia waszyngtońskich liberałów. Często zapraszano go do gimnazjum na lekcje w ramach „Amerykanizmu przeciwko komunizmowi” i pastor nigdy nie przeboleał decyzji rady pedagogicznej, która mniej więcej w początkach prezydentury Jimmy'ego Cartera przemianowała ów przedmiot na „Zagadnienia wolnościowe”.

— Zagadnienia wolnościowe! — krzyczał z kazalnicy wielebny Call. — Pomówmy raczej o okowach, jakie Bóg nałożył na nasze nieśmiertelne dusze!

Uważał, że wojna w Wietnamie bynajmniej się nie skończyła i był w Marietcie głównym filarem ruchu społecznego na rzecz odnalezienia żołnierzy zaginionych w akcji. Miejscowe gazety publikowały jego listy do Departamentu Stanu — wielebny Call ogniście przekonywał w nich władze, że w podziemnych więzieniach w Hanoi przetrzymuje się tysiące amerykańskich żołnierzy.

— A gdzie jest Hanoi? — zapytał jeden z chłopców na lekcji religii w Holiness.

Pastor Call poczerwieniał jak burak, oczy wyszły z orbit, szyja nabrzmiała, po czym opadł na składane metalowe krzesło.

Trafiła go apopleksja. Nie był to prawdziwy udar, raczej cios z ręki Pana, jak opowiadał później swoim diakonom.

— Dzieci rosną w niewiedzy. Diabeł sieje swe ziarno w ich sercach. — Z jego przekrwionych oczu spływały łzy.

— Jesteś zmęczony - powiedział któryś z diakonów. - Musisz odpocząć.

— Diabeł nigdy nie śpi — oświadczył wielebny Call. Usta miał zwiotczałe i mokre. — Bóg też nie drzemie.

— Tylko kilka tygodni - namawiali.

Pastor zamknął oczy i zakrył twarz dłońmi.

Urlop się nie udał. Zastępujący go kapłan odkrył, że dużo pieniędzy parafian szło na prenumeratę czasopism, które przychodziły do Calla w szczelnych brązowych kopertach, natomiast członkinie koła samopomocy pań plotkowały, że pastorowa dużo czasu spędza u swojej matki.

Wielebnego Calla zmuszono do przejścia na emeryturę, gdy jego żona wyznała, że to właśnie on wydzwaniał późną nocą do nowej nauczycielki angielskiego w liceum. Call zaklinał

się, że to nieprawda. Tłumaczył diakonom, że nauczycielka należy do międzynarodowego spisku komunistów, co stało się dlań oczywiste, od chwili kiedy wystawiła przedstawienie *Jesus Christ Superstar*.

— To bluźnierstwo - powiedział Call zastępcy szeryfa Emmetowi Tylerowi, pikietując w szkolnym audytorium. — Kolejny gwóźdź do naszej narodowej trumny.

— Och, nie jest aż tak źle — oponował Tyler. — Niektóre piosenki gładko wpadają w ucho.

— Straciliście zdrowy osąd — stwierdził ze smutkiem pastor.

Tyler bez słowa skinął głową. Nikt nie chciał spierać się z walebnym Callem.

Diakoni w Holiness wystosowali do pastora Hillmana zaproszenie, które sprowadziło go z powrotem do Cayro. Ludzie powiadali, że Call wyjechał do Arizony i tam głąchą nocą wygłasza kazania przez radio, odbiera telefony od słuchaczy i kontynuuje krucjatę przeciw komunizmowi. Słuchając pastora Mylesa, Amanda marzyła o walebnym Callu. Lubił ją. Dał jej srebrną bransoletkę z wygrawerowanym nazwiskiem zaginionego żołnierza i mocno ją uściskał, gdy wyznała, jak bardzo kocha Boga.

— Bądź silna — rzekł, wygłosiwszy swe ostatnie kazanie w Holiness.

Babcia Windsor upiekła maślane ciasto i kazała Amandzie dać, je pastorowi. Odbierając ciasto, stary kaznodzieja przytknął wargi do czoła dziewczynki.

— Jesteś amerykańskim dzieckiem błogosławionym przez Pana — wyszeptał uroczyście.

Skinęła głową, powstrzymując się od otarcia czoła, które zaswędziało ją w miejscu, gdzie pastor dotknął go szorstkim, wilgotnym językiem.

— Będę silna — obiecała Bogu. W jej wyobraźni Bóg wyglądał jak walebny Call, oczy miał babci Windsor, a na pagonach białej koszuli ze stójką — naszywki sierżanta amerykańskiej armii.

Amanda nie próbowała nawet wciągać Dede do swych ewangelicznych poczynań. W liceum postanowiła założyć Koalicję

Katolickich Dziewcząt. Jej członkinie spotykały się w bufecie, gdzie planowały krucjatę przeciwko aborcji i życiu na kocią łapę. Amanda powiedziała siostrze, że ich szkoła jest głównym frontem walki o upowszechnianie Bożej miłości i kompletnie zignorowała postulat Dede, że każdy powinien móc decydować o sobie.

— Tu toczy się walka na życie i śmierć, Dede — tłumaczyła. — Mówimy o słowie Bożym, a nie o programie religioznawczym w telewizji edukacyjnej. Możesz sobie gadać o buddyzmie i mahometanizmie, o uwielbieniu dla nieba i poezji, ale tu idzie o nasze nieśmiertelne dusze. Chcesz, żebym milczała tylko po to, żebyś mogła zdobyć popularność i opowiadać te swoje bzdury? Proszę bardzo! Bądź sobie taka jak wszyscy. Jak ci, którzy zmiierzają do piekła!

Kiedy dyrektor szkoły odrzucił jej prośbę o rozprawienie ulotek w salach apelowych, Amanda odczekała tylko jeden dzień i po prostu przekonała kilka dziewcząt z kościoła, żeby same kolportowały ulotki. Gdy zabroniono jej prowadzenia zebrań w szkolnym bufecie, zorganizowała zebranie na parkingu za „Bonnet”, obiecując odwiedzić do domu każdą koleżankę, która spóźni się przez to na autobus. Umyśliła sobie, że skrzyknie wojującą grupę antyaborcyjną, której członkinie wezmą się za ręce przed kliniką dla kobiet w Marietcie, gdzie we wtorki i czwartki przyjmowano pacjentki pragnące skorzystać z pomocy Towarzystwa Świadomego Macierzyństwa.

- Jesteście nieletnie, nie pójdziecie siedzieć — uspokajała dziewczęta, które przyszły na to zaimprovizowane spotkanie. — Pomyślcie tylko, jaki wpływ możemy wyrzucić na miasto. Staniemy tam niczym żołnierze Boga. Nie minie miesiąc, jak zamkną tę klinikę na dobre!

Sęk w tym, że większość uczennic liceum w Cayro pod tylną okładką swych pamiętników trzymała karteczkę z numerem kliniki. Klinika udzielała poufnych porad oraz informacji o środkach antykoncepcyjnych, poza tym miała istotne powiązania z klinikami w Atlancie, gdzie wykonywano zabiegi przerywania ciąży. Choć dziewczęta żywiły nadzieję, że tego rodzaju pomoc nigdy nie będzie im potrzebna, nie chciały bynajmniej, żeby klinikę zamknięto. Jeden drobny błąd w chwili uniesienia i każda z nich mogła trafić tam w któreś czwartkowe czy

wtorkowe popołudnie. Przez dwadzieścia sześć z dwudziestu ośmiu dni żadna z nich nie zaprzętała sobie głowy kliniką, co pewien czas jednak te dwa dni ostatnie spadały na nie niczym rozpalone żelazo na lód. Dwa dni panicznego strachu i świat od razu wyglądał inaczej. Dwa dni błagań: „O Boże, proszę, nie!” Dwa dni przeżyte pod hasłem: „Jeśli będę musiała, zrobię to, Panie”. Dwa dni modlitwy o to, żeby nie trzeba było robić tego, co sugerowały podejrzenia. A potem krew i przerażenie — interwencja litościwej medycznej rutyny — i można było odetchnąć, spojrzeć na świat jak zdrowa na umyśle kobieta. Nie, klinika była co prawda przybytkiem potwornym, ale niezbędnym, przybytkiem, do którego każda kobieta musiała czasami pójść, choćby nawet najbardziej tego nie chciała.

Dziewczęta przychodzące na zebrania Amandy nie były na randkach ani też nie miały umawiających się z chłopcami koleżanek. Na pierwsze spotkanie stawiło się pięć, ale dwie z nich zrezygnowały po kilku przyciszonych rozmowach w damskiej toalecie. Trzy, które pozostały, tak strasznie bały się wziąć za ręce i zaprotestować przeciwko czemukolwiek, że Amanda doszła do wniosku, iż na jej drodze stanął sam szatan.

Nadszedł dzień, kiedy na parkingu za salonem „Bonnet” nie stawił się nikt prócz Amandy. Tej nocy śniło się jej ukrzyżowanie. Ramiona miała rozpostarte, ręce przekłute. Spoglądała w dół na tych, którzy ją zdradzili. Babcia Windsor kryła twarz w dłoniach, Dede łkała na kolanach. Obok nich stał potulny, ozdrowiały Clint, a Delia w spodniach dzwonach, czerwonym poncho i w koralikach na szyi wykrzykiwała: „Mój Boże! Mój Boże, wybacz mi!” Przyglądał się jej z podziwem tłum nastoletnich żołnierzy, dla niepoznaki przebranych w piżamy, oraz liczna grupa brązowoskórych zakonnic w czarnych habitach. Wspierając się plecami o słup, jakby leżała na łożu wyścielonym lnem i jedwabiem, patrzyła na nich ze zmęczonym współczuciem. Na jej ciele wykwitły czerwono-fioletowe siniaki, z lewej skroni leniwie spływała strużka krwi. Przyszła do nich jako pielęgniarka i nauczycielka, a oni ją pobili i ukrzyżowali. Przez całą swą mękę wzywała Jezusa, nie chcąc przekląć Boga i odzyskać wolności. Jej odwaga

miała się stać legendarna, jej postać przykładem dla następnych pokoleń.

Nie wiedziała, skąd ludzie się przy niej wzięli, by świadczyć o jej męce, ale cieszyła się, że przyszli i zobaczyli, kim była naprawdę. A była błogosławioną córką żywego Boga, wiarę zaś miała tak wielką, że mogła wznieść się ponad trywialne podziały na katolików czy baptystów, na narody bądź rasy. Wiedziała, że po tym dniu nastąpi fala nawróceń. Że sataniści wyrzekną się diabła, a kraje, które o niej usłyszą, zapragną przyłączyć się do Stanów. Wielebny Hillman będzie piał peany o jej oddaniu dla Boga. Wielebny Call wróci z Arizony. Nauczyciel geografii z liceum w Cayro poprosi ją o wybaczenie za to, że wyśmiał ją, gdy oświadczyła, że chce poprowadzić misję w Kambodży, nie wiedząc, gdzie ten kraj leży.

Amanda głośno jęknęła, a stojąca pod krzyżem babcia Windsor wykrzyknęła jej imię. Delia upuściła poncho i wyciągnęła do niej ramiona, zapewniając ją o swej miłości. Dede patrzyła na Amandę, potrząsając głową, jakby budziła się z marzeń.

— Na litość boską! — Siostra zachichotała i zakryła ręką usta.

Amanda rozpaczliwie wykręciła ciało i zwróciła twarz ku niebu.

— Nie - powiedziała, czując, że krew krąży w niej coraz szybciej. Tłum zafalował, żołnierze uśmiechali się i poszturczywali jak chłopcy na szkolnym podwórku.

— Nie, nie — skomlała Amanda. Zakonnice uniosły habity i szybko się rozpierzchnęły.

Dede kiwała się na kolanach, nie mogąc powstrzymać chichotu.

— Na litość boską, Amando, posunęłaś się za daleko. Nawet jak na ciebie.

Delia podniosła i strzepnęła poncho.

— Może tak będzie lepiej - oznajmiła. — Wiem, że nie chciałaś ze mną mieszkać. — Spojrzała na kłębiący się tłum i odstąpiła od krzyża. - Widzisz stamtąd Cissy? Bo ja jej nigdzie nie widzę.

— Natychmiast schodź! - odezwała się babcia Windsor, nie zważając na coraz gwałtowniejszą szamotaninę Amandy. Otrzeptała spódnice z kurzu i surowo zmarszczyła czoło. Jeden z żołnierzy przypalił papierosa zapóźnionej zakonnicy, która zsunęła

czepiec na tył głowy i z roztargnieniem podrapała się pod uchem w miejscu, gdzie ugryzł ją komar.

- Mój, Boże, mój Boże! - wykrzyknęła Amanda. - Dlaczegoś mnie opuścił?

- Przekłęta hipisówka - usłyszała Cissy przed szkołą, gdy szła do przystanku, czytając *Lewą rękę ciemności*, pożyczoną od Nolana.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Martym Parishem oraz dwoma chłopakami o włosach przystrzyżonych tak krótko, że zdawało się, iż ktoś odrapał im głowy.

- Już my cię znamy — mówił Marty. — Wszystko o tobie wiemy.

- Na przykład? - zapytała.

Serce waliło jej jak młotem, ale nie zamierzała ustąpić pola. Jej tata stawiał czoło ludziom takim jak oni. Słyszała różne opowieści o przewracanych talerzach, fruujących w powietrzu butelkach, o szyderczych, gniewnych twarzach, o niegrzecznych mężczyznach wystrzyżonych na rekrutów. Skąd się tacy brali? Dlaczego strzygli się tak krótko, że sterczały im uszy, że widać było śmieszny kształt czaszki? Włosy Randalla spływały miękką rzeką na ramiona, lśniące, słodko pachnące i okalające mu twarz, niczym te z obrazków przedstawiających Jezusa w *Ilustrowanej biblii dla dzieci*.

- Twoja matka jest komuszką, jedną z tych zdirowatych liberałek, przez które kraj schodzi na psy. A twój ojciec, ten hipisowski drań, ukradł żonę innemu mężczyźnie. — Marty postąpił krok naprzód. - A ty jesteś bękartem.

Cissy zamknęła książkę i mocno ścisnęła ją w dłoni. Nie ruchome powietrze zdawało się ugniatać jej skórę. Chłopcy otoczyli ją z uśmiechem.

- A ty, Marty, jesteś jeszcze głupszy niż twój durny ojciec i walnięty dziadek — odrzekła.

Nagle tuż obok nich znalazła się Dede z zeszytem w ręku. Szła do przystanku i przy każdym kroku sprężyście podskakiwały jej włosy.

- Ale przynajmniej nie jesteś tak głupi jak brzydki — rzuciła z uśmiechem, zadowolona ze swego dowcipu.

Marty zacisnął pięści.

— Zejdź ze mnie, dobra?! — warknął.

Dede zatrzymała się przy Cissy i spojrzała na pozostałych chłopców.

— Ale was bym brzydkimi nie nazwała. Dać wam trochę czasu, trochę was dokarmić i wyroslibyście na całkiem ładnych chłopaków.

Chudy Charlie Jones zaczerwienił się i spuścił wzrok. Junior Hessman cofnął się o krok.

— Nie odchodź, Junior. — Dede objęła Cissy za ramię. — Chcę cię przedstawić mojej młodszej siostrze i wszystko jej o tobie opowiedzieć. Zwłaszcza o tym, jak wylądowałeś w gabinecie u dyra za to, że bawiłeś się sobą w sali apelowej.

— Ja? W życiu! — Junior poczerwieniał, Charlie też.

— Tak, tak, Junior. Dalej to robisz, kiedy myślisz, że nikt cię nie widzi. Jesteś naszą najlepszą rozrywką. — Dede uśmiechnęła się leniwie do Cissy, lecz nie spojrzała jej w oczy.

— Lepiej uważaj, co mówisz, Dede Windsor — odparł Marty, unosząc pięści.

Dede popatrzyła na jego podbrzusze i uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Uderzysz mnie, Marty? Uderzysz?

Marty pobladł.

— A idź do diabła! - krzyknął i odwrócił się gwałtownie, wpadając na Charliego.

Junior ruszył za nim. Charlie wahał się chwilę. Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania, potem podziwu, znowu zakłopotania i Charlie poszedł w ślady kolegów.

Dede roześmiała się niskim, leniwym śmiechem i zabrała rękę z ramienia Cissy.

— W porządku? - spytała.

Cissy miała wrażenie, że świat obraca się w zwolnionym tempie.

— Dziękuję — wydukała.

Dede spojrzała na nią jaskrawobłękitnymi oczami.

— Nie ustępuj tym gnojkom na krok. Ani na jeden krok odrzekła. — Postawisz nas w złym świetle. — Uderzyła zeszytem o udo i zadarła podbródek. — Ale czy musisz wiecznie chodzić w ciemnych okularach? Wyglądają kretyńsko.

Cissy zacisnęła usta.

- Muszę. Mam wrażliwe oczy. Dostaję zapalenia spojówek, jak ich nie noszę.

- No to, na litość boską, niech ci Delia kupi takie, które nie wyglądają tak głupio. W tych wielkich, starych brelach wyglądasz jak Ray Charles. — Zmarszczyła czoło, patrząc na skamieniałą twarz Cissy. — Zgoda?

- Zgoda. Ale to ty musisz ją o to poprosić.

- Boisz się jej?

- Nie - obruszyła się Cissy. - Po prostu nie lubię jej o nic prosić.

- Naprawdę? — Dede przyjrzała się jej uważnie. - Zabawne, mnie to w ogóle nie rusza.

Z lewej strony źrenicy lewego oka Cissy widniała maleńka skaza, niczym smuga na fotografii lub rysa na przedniej szybie samochodu. Niemal niedostrzegalna, była jedynym widocznym dowodem dawnego okaleczenia, który Cissy usilnie próbowała ukryć. Pragnęła widzieć świat takim, jakim widzieli go wszyscy inni, świat cieni i światła, odległości i głębi. Tymczasem zamiast oka miała ciemną kulę, która nie zapewniała jej pełnej ostrości widzenia, która łączyła w jaskrawym świetle i wywoływała potworne bóle głowy, jeśli nie chroniły jej ciemne okulary. Swoją sposobność postrzegania zrozumiała dopiero wtedy, gdy przeczytała o El Greco. Między jej światem, światem płaskim, pozbawionym głębi, przypominającym fotografię bez perspektywy, a światem zakończonym łukowatym horyzontem, który widzieli inni, istniała wielka różnica. Ona potrafiła wyobrazić sobie świat Dede i Nolana, oni jej świata zobaczyć nie mogli. Przynajmniej taką żywiła nadzieję. Wystarczyło, że była dzieckiem miłości Delii i rockandrolowca, po co dodawać do tego ciężar litości i wzdury. Przez pierwszą część życia przeklinała swoje okulary, lecz od dnia przyjazdu do Cayro nosiła je nieustannie, ciesząc się, że ich przydymione szkła ukrywają oczy.

Chociaż była na punkcie szkieł przeczulona, znamieną na lewym oku zauważyła dopiero na urodzinowym przyjęciu z noclegiem u Mary Marthy Wynchester, która pierwsza spośród dzieciaków



dojeżdżających do szkoły zachodnią linią autobusową skończyła trzynaste lat. Jej matka postanowiła urządzić z tej okazji przyjęcie. Cissy podejrzewała, że Mary Martha wcale nie chciała jej zaprosić, lecz Gillian Wynchester od dłuższego czasu czesała się u Delii, tak więc kwestię rozstrzygnęły ploteczki, nożyce do cieniowania i woda utleniona.

— Naturalnie, że zaprosisz córkę Delii — oświadczyła.

Na przyjęciu, gdy tylko matka wyszła z pokoju, Mary Martha wyjęła skądś butelkę ojcowego burbona i puściła ją w obieg. Jej najlepsze koleżanki, Jennifer i Dawn, szybko upiły po łyku i oświadczyły, że im smakuje. Cissy umoczyła w alkoholu usta i skinęła głową, choć burbon wcale nie przypadł jej do gustu. Lizzie Jones, młodsza siostra Charliego, upiła trochę i się skrzywiła.

Kiedy opróżniły połowę butelki, Mary Martha wpadła na pomysł, żeby pooglądać teleton, telefoniczny maraton, którego organizatorzy gromadzili pieniądze na jakiś cel, i podbijać stawkę, zgłaszając fałszywe numery kart kredytowych. Ale przyjmujący zgłoszenia musieli być obdarzeni bezbłędnym instynktem albo mieli doskonałe komputery, gdyż dziewczęta nie zdołały ich przechytrzyć. Wreszcie, tuż po północy, Mary Martha usadowiła je wszystkie w kółku.

— Od dawna to planowałam - oznajmiła. Pogasiła światła i postawiła niebieską świeczkę przed trójskrzydłym lustrem na toalecie, które matka kupiła jej na wyprzedaży. Przy jednym skrzydle lustra umieściła niebieską metalową miseczkę na wysokim trójnogu. Miseczka zawierała high John the conqueror, które Martha zamówiła w Atlancie w prawdziwej winiarni. Dostała rabat, gdyż w tym samym sklepie kupiła również świece. Zapaliła kadzidło i pomieszczenie wypełniła nieprzyjemna woń.

— No dobra, każda z nas spojrzysz w lustro. — Mary Martha zakaszłała. — Patrzycie na świecę, wdychacie kadzidło i modlicie się o to, żeby zobaczyć przyszłość. Tak, można ją zobaczyć, wiem to od mojej kuzynki Barbary. Przysięgała, że w jej przypadku ten sposób zadziałał. Ale pamiętajcie, że trzeba to zrobić we właściwym czasie, na przykład przed pierwszą miesiączką albo... W każdym razie przed... no wiecie przed czym.

— Przed pierwszym razem? — Twarz Lizzie aż pojaśniała z ciekawości. — Trzeba być dziewczycą?

Mary Martha skinęła głową.

— Trzyma się kupy — oświadczyła Jennifer, jakby ukuła na ten temat własną teorię.

Zdanie, jakie miała w tej kwestii Cissy, musiało być wypisane na jej twarzy.

— Naprawdę — dodała Jennifer.

— Czytałam o świątyniach w Grecji i w Egipcie, gdzie kazano dziewczętom siadać w dymie i przepowiadać przyszłość. To były dziewice. Westalskie dziewice. Tak to wtedy robili.

— Tak, ja też o tym czytałam.

Chłopcy, mężowie, dzieci, życie zawodowe — w cieniach igrających w lustrze miało się ukazać wszystko. Dosłownie wszystko. Ale przyszłość tylko w nim mignie — ostrzegła Mary Martha i pierwsza usiadła przed toaletką. Lewą ręką zapaliła niebieską świecę. Cissy odgryzła wierzch babeczki, spód odłożyła na talerzyk. Dostała lekkich mdłości.

Ogromne bogactwo, dwaj mężowie i dwaj synowie - Cissy była cokolwiek zaskoczona. Nie przyszło jej do głowy, że Mary Martha mogłaby mieć dwóch mężów. Nadeszła kolej na Jennifer: kariera w filmie i statuetka w ramionach! Cissy zagryzła kciuk, ciesząc się, że w półmroku nie musi zasłaniać twarzy. Przed lustrem usiadła Lizzie, ale siedziała za długo, twierdząc, że prawie coś tam zobaczyła, tyle tylko że nieostro.

— To był chyba dom. Duży dom.

Dawn nie mogła dobrze usiąść. Powiedziała, że lustro stoi pod złym kątem, zatem musiały je przesunąć. Po wielu dramatycznych spojrzeniach w szklaną taflę, połączonych z niskimi skłonami, gwałtownie zachłysnęła się powietrzem i odrzuciła do tyłu włosy.

— Samochód wyścigowy. Przysięgam, że widziałam się w samochodzie wyścigowym z numerem na boku, i w ogóle.

— Boże! Nie wiedziałam, że umiesz prowadzić.

— Uczę się.

Mary Martha upiła łyk burbona i puściła butelkę w obieg, wznosząc toast za Dawn.

— Może będziesz pierwszą kobietą, która wygra Darlington?

Cissy nie zdążyła się powstrzymać i zachichotała. Zachichotała cichutko, mimo to Mary Martha zmarszczyła czoło.

- A może ty spróbujesz, Cissy? — zaproponowała surowo.

Cissy, która postanowiła za wszelką cenę nie rzucać się w oczy, uśmiechała się z bolesną akceptacją do chwili, gdy ją to zmęczyło. Skinęła głową i przesunęła się po dywanie, żeby zająć miejsce w żałośnie małym kręgu światła. Usiadła po turecku i posłusznie wpatrzyła się w płomień. Postanowiła, że odczeka minutę i powie dziewczynom, że nic nie widzi. Spoglądając poprzez jasny krąg, wbiła wzrok w lustro. Świeca była w nim większa, światło jaśniejsze, mimo to migotały tam tylko cienie, ciemne jądro mrocznego pokoju i jego rozmazane zarysy po bokach. Poruszyła się lekko i w lustrze ukazała się jej twarz wytrawiona ogniem w szklanej tafli.

Małeńki płomień drgnął i Cissy przeniosła uwagę na błękitny koralik w jego centrum. Zaskoczył ją swoją jaskrawością. Patrzyła nań z bliska i był teraz znacznie większy. Żółtobiały, tańczył w leciutkim podmuchu, którego Cissy w ogóle nie czuła. Jego blask raził w oczy, każde drgnienie rozszczepiało i rozdzierało brzeg źrenicy lewego oka. I właśnie wtedy zobaczyła tę skazę, pęknięcie na gładkiej powierzchni. Skaza była malutka, lecz wyraziście obwiedziona ruchem płomienia. Cissy pochyliła się. Oczy w lustrze zогromniały.

Siedząca obok Dawn poruszyła się niespokojnie i szturchnęła ją w bok.

- Cissy?

Cissy nie zwracała na nią uwagi. Nigdy dotąd nie widziała swojej rany. Nachyliła się jak najbliżej ognia.

- Widzisz coś? — szepnęła Mary Martha głosem zachrypłym z napięcia.

Cissy obserwowała ruch oka. Lewe zazwyczaj szło w ślady prawego, chyba że była bardzo zmęczona, ale nawet i wtedy niewiele się spóźniało. Nie uciekało w bok jak oko Martina Nouvelle. Cissy widywała Martina na stacji benzynowej, ilekroć zajeżdżała tam z Delią. Przyglądał się jej z uśmiechem, podczas gdy jego lewe oko spoglądało w stronę maszyny do lodu. Cissy musiała powstrzymywać się od tego, żeby się nie odwrócić i nie sprawdzić, co też przykuło jego uwagę tak dalece, że patrzył na nią tylko jednym okiem. Jej przypadłość nie była aż tak zauważalna, niemniej istniała.

- Cholera — wyszeptała Cissy.

— Co? No co! — Mary Martha zaczynała się denerwować.

Delia nigdy nie wspominała o wypadku, o katastrofie, w której złamała sobie nogę w stopie, Randall zmiażdżył sobie lewy bok, a siedzącą między nimi Cissy skapały odłamki szkła. Wracała do tego bardzo rzadko, ostatni raz, gdy tylko Cissy zaczęła chodzić do szkoły w Cayro. Zaintrygowana okiem Cissy, nauczycielka wezwała ją na rozmowę. Delia wybuchła.

— To był wypadek — mówiła do M.T. — Cissy była wtedy taka mała. To nie ma znaczenia. Ma mocno ograniczoną zdolność widzenia w lewym oku, ale to żaden problem. — Waliła pięściami w kuchenny stół i klęła: — Do diabła! Co ją to obchodzi? To nie powinno obchodzić nikogo oprócz nas!

Gniew matki zaszokował Cissy nie mniej niż wzmianka o wypadku. Wypadek. Cissy nie pamiętała żadnego wypadku.

— Randall nie powinien był prowadzić - powiedziała Delia. - Już nigdy potem nie pozwoliłam mu usiąść za kółkiem, kiedy z nami jechałaś. — Jej zawstydzona, pełna poczucia winy twarz nabrała surowego wyrazu.

— Cholera! — powtórzyła Cissy, patrząc na swoje chmurne oblicze w lustrze. Zamknęła oczy. Pamiętała kłótnie Delii z Randallem, jego bełkotliwy upór. Kiedy się wyprowadzili, Randall czasami przytykał twarz do twarzy Cissy i płakał. Uwielbiała, kiedy to robił, uwielbiała jego dotyk nawet wówczas, gdy niósł z sobą gorzyc smutku. To przecież Delia się na niego gniewała. A teraz, po raz pierwszy w życiu, Cissy rozumiała to, co widziała w twarzy matki: odcisnęło się na niej przerażenie i wyrzuty sumienia. Randall prowadził, a ona za to obwiniała siebie.

— Pamiętam - tchnęła Cissy. - Pamiętam...

— Co pamiętasz? Powiedz nam, Cissy. — Mary Martha ledwie nad sobą panowała.

Randall omal ich wtedy nie zabił. Pijany i nieostrożny, omal ich nie pozabijał. Taki drobiazg. Tyle bólu. Jeden moment nieuwagi i wszystko się rozpadło. Jeden odłamek szkła, maleńka szklana drzazga, świetlista strzała, która zabłysła w jej oku, by spłynąć po policzku strużką krwi. Delia przenikliwie krzyknęła i chwyciła Cissy w ramiona. Musiało ją boleć. Niemal słyszała krzyk matki, niemal czuła na sobie deszcz spadającego szkła. Śniła tamten krzyk. Śniła o tamtej szklanej drzazdze,

o tamtym świetlistym łuku. Sen był straszny, lecz śniąc, nic nie czuła. Nie czuła bólu, gdy świetlista strzała wbijała się jej w oko, a przecież nie mogło go nie być. Czy oczy nie mają uczucia? Nie miała też blizn. Deszcz szkła nie zostawił na niej najmniejszego śladu.

Zawsze uważała się za osobę bez skazy na ciele. Dopiero teraz zobaczyła tę szramę. Zobaczyła dowód.

Wciąż wpatrywała się w lustro. Błask świecy wyciskał łzy i powierzchnia lewego oka coraz bardziej błyszcząca, stawała się przezroczysta, perłowobiała. Skaza jaśniała głębiej, jaskrawiej. Jak brylant. Przywodziła na myśl lśnienie krawędzi klejnotu, jej wysadzanego klejnotami wnętrza. Była piękna niczym rżnięte szkło. Cissy zamrugowała i na rzęsach poczuła ciepłe łzy. Spojrzała jeszcze raz na malutkie, wcięte zagłębienie na źrenicy i przeniosła wzrok na Marthę.

— Co tam zobaczyłaś?

- Pęknięcie - odrzekła Cissy. - Zobaczyłam pęknięcie w świecie.

## 9

Delia usiadła. Serce waliło jej jak młotem. Zasnęła na kanapie i na chwilę przeniosła się do Kalifornii. Była pijana, siedziała w ogródku w Venice Beach. Mięśniami targał znajomy ból, potrzeba wzięcia dzieci w ramiona, a ponieważ nie mogła tego zrobić, serce omal nie pękło jej ze smutku. Ale to tylko sen. Dziewczynki śpiące w sypialni były tak blisko, że wyczuwała ich zapach. Oparła się plecami o kanapę i rozmasowała ramiona. W ustach czuła kwaśny smak. Zdała sobie sprawę, że ma ochotę się napić, ochotę tak wielką, że czuła ją w brzuchu niczym twardy węzeł.

— Jezu Chryste — szepnęła w ciemności. — Kiedy to się skończy? - Ostatni raz upiła się przed dwoma laty, w Święto Dziękczynienia, jeszcze w Kalifornii, mimo to nadal wywracał jej się żołądek, w ustach nadal czuła smak waty i dawnego

pragnienia. Szklaneczka whisky zmyłaby ów smak, wypłukałaby gorycz, nastroiłaby ją do śpiewu. Delia skuliła się na kanapie i objęła się wpił. Jej największym błędem było to, że łączyła picie ze śpiewaniem. Teraz opłakiwała je pospołu, nie śmiać spróbować jednego w obawie, że wróci drugie.

Słyszała, jak Clint mruczy do siebie, kręcąc się w łóżku. Jego pokój coraz bardziej cuchnął. Będzie musiała wyciągnąć go na słońce, jeszcze raz wyszorować podłogę, a ściany zmyć octem. Mogłaby zmienić mu przy okazji pościel i rozpylić po kątach lizol, lecz odór wróciłby już po kilku dniach. Czy to rak tak cuchnął? A może sam Clint, jego dusza?

Najgorzej było, gdy dotknęła go pierwszy raz — spęczniał jej język, ściągnęły się mięśnie krzyża. Musiała bardzo się skupić, żeby dotknąć go ponownie i nie odskoczyć ze wstrętem. Jednakże po pewnym czasie potrafiła już bez mrugnięcia okiem wesprzeć Clint'a ramieniem w drodze do łazienki. Zaciskał wówczas zęby i wbijał wzrok przed siebie. Ona patrzyła na swoje dłonie, na podłogę, na cokolwiek, byle tylko nie patrzeć na niego.

- Przepraszam — powiedział, gdy kąpała go tego popołudnia. Mógł przeproszać za to, że jest taki niezręczny, powolny i ciężki, lecz ona wiedziała, że chodziło mu o coś więcej. Mruknięta tylko i pociągnęła go korytarzem trochę szybciej niż zwykle, co było niewygodne i dla niego, i dla niej.

Drżały mu ręce, trzęsły się nogi. Z zaczerwienioną twarzą wyznał jej, że częściej sika do wanny niżli do klozetu.

— Czasami - wyszeptał — siadam i nie mogę wstać.

Obojętnie kiwnęła głową. W korytarzu i w łazience były już poręczce. Jeden z robotników od Firestone'a zrobił je z kątownika o wymiarach dwa na cztery cale i co kilka stóp spiął je klamrami. Zapłaciła mu za to sto dolarów, ale wiedziała, że przydadzą się na bardzo krótko. Clint ledwo powłóczył nogami nawet wtedy, gdy go podtrzymywała.

- Byłoby ci lepiej w szpitalu — zauważyła, jakoś go wpakowała do wanny.

— Nie ma mowy. Obiecałaś. — Na jego twarzy odmalowała się przerażenie.

Nie odpowiedziała. Zdjęła z niego piżamę. Drżąc na całym ciele, próbował jej pomóc. Stał w wannie, odwrócony plecami

do Delii, przytrzymując się poręczy wyciągniętymi rękami. Podtrzymała go i zaciągnęła plastikową zasłonkę.

— Dom przejdzie na dziewczynki — powiedział. — Dom i poli-  
sa ubezpieczeniowa. Furgonetkę sprzedałem, ale u mamy jest  
jeszcze łódka, trochę mebli i stare monety. — Zwiesił głowę,  
oczy miał półprzymknięte. Usiłował na nią nie patrzeć. W jego  
zmierzwionej czuprynie było więcej włosów siwych niż jasnych.  
Skórę miał tak suchą, że łuszczyła się na biodrach i barkach. -  
Przygotowałem dokumenty, są w banku. Dadzą ci je. Jak  
umrę, dadzą ci wszystko.

Odkręciła kurek. Kiedy stwierdziła, że woda jest wystar-  
czająco ciepła, przestawiła dźwignię na prysznic. Clint podniósł  
głowę. Wokół ust i pod oczami zwiótzczały mu mięśnie, skóra  
zwisła luźnymi fałdami. Czując na swym drżącym ciele strugi  
cieplej wody, z ulgą puścił mocz. Gdy się lekko rozluźnił, po  
nogach spłynął mu ciekły kał.

Odwróciła wzrok. Pan Bóg ma cholerne poczucie humoru —  
pomyślała. Pamiętała, jak leżąc tu na podłodze z rosnącą w jej  
brzuchu Dede, sikała pod siebie, bo była zbyt obolała, żeby  
wstać. Clint rozcierał sobie najbardziej sterczący fragment le-  
wego biodra. Nie widziała jego członka, lecz pamiętała, jak  
wyglądał. Dawno temu był czas, gdy tego mężczyznę kochała,  
nim go znienawidziła. Był wtedy innym człowiekiem, ona też.  
Pewnego dnia wiele lat temu kupiła broń na pchlim targu przy  
autostradzie do Atlanty. Myślała wówczas, że będzie musiała  
go zabić. Wróciła do domu, usiadła przy stole w jadalni i po-  
łożyła broń na stole. Tak zastał ją Clint. Stanął przed nią  
i patrzył to na nią, to na tę broń.

Facet, który sprzedał jej ten rewolwer, był Tekszańczykiem  
o kręconych włosach. Załatwił sprawę spod zielonego koca.  
Żadnych pytań, forsa do ręki, i cześć. Był to chyba największy  
z rewolwerów: trzydziestka ósemka, błękitnoczarna i gorąca,  
gdy przywarła z młaśnięciem do jej ręki. Tekszańczyk roześmiał  
się, gdy omal jej nie upuściła.

- Uważaj, mała, obchodź się z tym ostrożnie. To nie zabawa,  
to prawdziwa broń.

Miała ochotę go zastrzelić, ale zapłaciła i wsiadła do fur-  
gonetki. Wróciwszy do domu, zajęła miejsce za stołem, położyła  
przed sobą nabity rewolwer i czekała.

Clint nie uwierzył, gdy zapowiedziała, że jeśli jeszcze raz podniesie na nią rękę, zastrzeli go. Nie miało to dla niej znaczenia, że sama też będzie musiała się potem zabić. A gdyby zechciał jej ten rewolwer odebrać, kupi sobie inny.

— Nie ma już niewolnic na Południu — rzekła. — Próbowaleś zrobić ze mnie niewolnicę.

A on tylko na nią patrzył. Popielatoblond włosy opadły mu kosmykami na twarz. Poruszał szczęką, nienawiść biła mu z oczu niczym czarne światło. Nagle zaśmiał się chropawo, odwrócił na pięcie i wyszedł. Chciała za nim pobiec, chciała go zastrzelić. Zamiast tego złożyła głowę na stole i załkała w otwarte dłonie.

Kiedy pytano ją, dlaczego uciekła, dlaczego zostawiła Clintą i córki, nie wiedziała, jak to wytłumaczyć. Myślała wówczas o wielkim rewolwerze, o chłodnym dotyku orzechowego blatu pod policzkiem. Wspominała rozpacz, która ją ogarnęła, gdy mała Amanda rozpłakała się, a ona nie miała siły, żeby do niej podejść. Opuściła swe dzieci o wiele wcześniej, nim fizycznie od nich odeszła. Na długo przed tym, jak wsiadła do autobusu Randalla.

Clint zachwiał się pod prysznicem i jęknął. Robił bokami jak zgoniony koń. Delia otarła twarz grzbietem dłoni, sięgnęła po butelkę z płynnym mydłem, wycisnęła żel na jego ramiona i plecy i mocno wyszorowała go gąbką. Oddychała przez usta, świszcząco sapała. Na niczym nie skupiała wzroku, myła go jak automat. Nie zabiłam go wtedy — myślała, nie muszę zabijać go teraz. Muszę tylko jeszcze trochę wytrzymać. Jeszcze kilka dni, kilka tygodni, może kilka miesięcy. Po tym, co przeszłam, tyle mogę znieść.

Gdy jęknął po raz drugi, niecierpliwie obróciła go do siebie i przeciągnęła gąbką po jego ciele. Mydło zapieniło się, pokryło bąbelkami zwiotczałe uda i skurczony członek. Rzadkie włoski na jego piersi sterczały zbite w mokre kępki. Odchylił głowę do tyłu i woda spłynęła mu po podbródku. Tak mocno koncentrował uwagę na tym, by nie upaść, że nie widział, jak Delia na niego patrzy. Kiedy zakręciła wodę i owinęła go ręcznikiem, padł jej w ramiona jak wyczerpane dziecko. Zachwiała się, lecz podtrzymawała go do chwili, gdy zebrał w sobie dość sił, by wyjść z nią na korytarz.



Następnym razem nie dam rady — pomyślała, gdy wreszcie opadł na łóżko. Otarła pot z czoła i zobaczyła, że z korytarza przygląda jej się Amanda. Minę miała bardziej ponurą niż Clint zawstydzoną. Boże, wiecznie ją obserwowały. Jedna lub druga, zawsze patrzyły na nią z miną, której Delia nie umiała rozgryźć.

Clint uniósł trzęsące się dłonie i odgarnął wilgotne włosy z wychudzonej twarzy.

— Dziękuję — wydyszał. — Sam nie dałbym rady ustać.

Skinęła głową i przycisnęła ręcznik do piersi. Może wytrząśnie skądś wózek inwalidzki, rozejrzy się za pielęgniarką środowiskową? Już w progu usłyszała za sobą stłumiony szloch. Postanowiła, że się nie obejrzy. Niech się sam przykryje. Niech zasika się w łóżku na śmierć.

Było już po północy, kiedy znowu położyła się na kanapie. Od samego rana czekała ją praca w salonie. Wybiegając z „Bonnet”, zostawiła po sobie straszliwy bałagan. M.T. i Steph ciągle po niej sprzątały, z każdym dniem coraz bardziej nie mogła z niczym zdażyć. Gdyby mogła umieścić Clinta w szpitalu, wzięłaby sobie dwa dni urlopu i na okrągło by spała. Miałaby czas na rozmowę z dziewczynkami, na zagrabienie rozwianych po całym podwórku śmieci, na przejrzenie rachunków, może nawet na list do Rosemary. Ukryła twarz w dłoniach. Ale gdyby odwiozła Clinta do szpitala, babka Windsor znalazłaby się przy nim w ciągu godziny. Przyciągnęłaby ze sobą adwokata, a przy okazji pastora Hillmana. Od wyprowadzki dziewczynek stara nie odwiedziła ich ani razu, ale Delia czuła, że bacznie je obserwuje. Wielebny Hillman był na pewno niezadowolony, że Amanda przeniosła się do Tabernacle Baptist. Bez wątpienia on także nie spuszczał z nich oka. Delia czuła, że wszyscy im się przyglądają, że wszyscy czekają. Czuła na sobie oczy w supermarkecie, słyszała swoje imię wymawiane przez rozjazgotane języki, widziała uśmiechy, jakie wymieniali między sobą nastoletni chłopcy mijający jej zakład. Gdyby oddała Clinta do szpitala, nigdy nie dostałaby dokumentów z banku.

— Umowa stoi — zapewnił, a ona pomyślała, że gotowa jest zrobić wszystko, co będzie trzeba, że zanieśe go na rękach na cmentarz i zakopie w ziemi gołymi dłońmi i choćby łyżeczką

do herbaty. Ale opiekować się nim tydzień po tygodniu, patrzeć, jak córki obserwują go z progu, widzieć przesiadującą przy nim Cissy, która wpatruje się mu w oczy... Czuła na palcach zapach spirytusu do nacierania, a pod nim słodkawą stęchłą woń skóry Clinty. Zadrżała z wyczerpania.

Gdzieś w ciemności zaszczekał pies, a potem zawył przeciągle, tak jak wyją myśliwskie psy. Było w tym wyciu więcej melancholii niż w starych piosenkach Delii. W Kalifornii dochodziła trzecia nad ranem, Rosemary mogła jeszcze nie spać. Zawsze mówiła, że należy do nocnych marków. Mogła siedzieć na leżaku, obserwując swoje ukochane kaktusy skąpane w blasku księżyca.

- Jestem jak taka kaktusiana róża - powiedziała pewnego razu. — Mam kolce, słodko pachnę i bywam niebezpieczna dla nieostrożnych. — Delia jeszcze teraz słyszała jej stłumiony śmiech, głęboki pomruk zadowolenia. — Jestem też podobna do ciebie. Potrafię przeżyć o niczym. A nic to wystarczająco dużo, kiedy się wie, kim człowiek jest.

- Potrzebuję pomocy — wyszeptwała Delia w ciemność.

Otarła twarz wnętrzem dłoni. Usłyszała trzask zamykanych drzwi. Któraś z dziewcząt poszła do łazienki — pomyślała. Dźwignęła się i usiadła. Przed pójściem spać napełni czajnik wodą, to zaoszczędzi jej trochę czasu rano. W korytarzu ujrzała zarys postaci w progu uchylonych drzwi sypialni Clinty. Pochylona postać przypominała Dede, ale było tak ciemno, że nie miała co do tego pewności.

- Dede? - wyszeptwała.

Postać nie odwróciła się. Zrobiła trzy kroki i zniknęła w pokój obok. Amanda.

Dlaczego stała tam i patrzyła na pogrążonego w niespokojnym śnie ojca? Delia znieruchomiała, nasłuchując nierównego oddechu z sypialni chorego i ciszy z pokoju dziewczynek. Jak to odbierały? Jak to jest, gdy człowiek patrzy na coś, co dzieje się na jego oczach, i nie może ani uciec, ani niczego zmienić? Nie spodziewała się, że Dede i Amanda będą tak na Clinty zagniewane, że będą mijały jego pokój z taką niechęcią na twarzy. Bywały dni, gdy odnosiła wrażenie, że nienawidzą go bardziej niż ona. Bywały i takie, gdy zdawało się, że tylko Cissy współczuje człowiekowi, który leżał tam i patrzył na nie płonąącym, pełnym rozpaczyny wzrokiem.

Och tak, wiedziała, że Clint bardzo cierpi. Płacił za swoje grzechy. M.T. nazwała to czyścem, czyścem za życia. Ale nie istniał taki czyściec, który wypaliłby gniew, jaki Delia czuła wobec Clinty. Wiedziała, że Cissy uważa ją za osobę okrutną. Najmłodsza córka patrzyła na nią tak, jakby to Delia wobec niego zgrzeszyła. Czasami miała ochotę nią potrząsnąć, żeby wreszcie zrozumiała to, czego zrozumieć tak naprawdę nie mogła: że gdy kobieta znienawidzi mężczyznę tak jak ona znienawidziła Clintę, do końca życia nie spojrzy nań jak na ludzką istotę. Nie może mu po prostu darować i zawrzeć z nim pokoju dzięki jakiemś cudownemu przeobrażeniu duszy. To, co im wszystkim zrobił, było grzechem, którego nie potrafiła mu odpuścić. Mógł mu odpuścić Pan Bóg, ale ona nie.

Stała pod drzwiami sypialni dziewczynek i wsłuchiwała się w ich oddechy, równe i silne. Potem spojrzała na drzwi pokoju Clinty. Były jak zawsze uchylone, ale za nimi panowała cisza.

Podeszła bliżej i pchnęła je łagodnie. Otworzyły się bezgłośnie i korytarz zalało światło małej lampki stojącej na podłodze przy łóżku. Radio grało tak cicho, że słyszeć było jedynie pomruk głosów z jakiejś odległej stacji. Delia nachyliła się i spojrzała na Clintę. Głowę miał odrzuconą w tył, usta otwarte. Szczecina na jego podbródku przypominała duże, rozsypane ziarna czarnego pieprzu. Wyglądał jak trup. Delia zacisnęła zęby, widząc jego unoszącą się i opadającą pierś. Nie, tylko spał, spał bardzo mocno, co zdarzało się na tyle rzadko, żeby ją przerazić. Czyżby komórki rakowe w jego ciele przeszły jedną z owych cudownych przemian? Może zwinęły się niczym hibernujące żaby i zapadły w sen, by żeglować z prądem krwiobiegu? Może rak cofał się tak, jak podczas odpływu cofa się morze? Może kurczył się i obumierał? Cuda się zdarzają, nawet w przypadku najstraszliwszych drani, którzy zasłużyli na to, żeby smażyć się w piekle.

— Nie — szepnęła. — Nie, nie w jego przypadku. Poruszył ustami, z trudem łapiąc oddech. Przesunął się na łóżku i znowu zaczął chwytać powietrze powolnym bolesnym rytmem, wedle którego Delia odliczała kolejne tygodnie. Na chwilę ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Czyżby właśnie zaczynał się cud, a ona go powstrzymała?

Objęła się wpeł. Kiedyś zażartowała, że ją *to* pewnie wy-

chowały niedźwiedzie. Skąd miała wiedzieć, jak robią to normalni ludzie? Skąd miała wiedzieć, jak kochają swe dzieci, jak nimi kierują, jak je cywilizują? Jeśli jednak ona chowała się pośród niedźwiedzi, Clint zapewne wyrastał wśród wilków. Nawet matka trzymała go twardą ręką. Kiedy Delia poznała Clinta, ujął ją właśnie tym chłopięcym głodem czułości. Żle go odczytała. Sądziła, że potrafią się nawzajem uleczyć. Teraz patrzyła, jak on umiera, i nie czuła nic.

Bóg mnie osądzi - pomyślała, mimo to nie potrafiła odmienić swych uczuć. Potarła zeszywniałe w twarde gruzły mięśnie lewego ramienia. Wykręcał jej ręce, tłukł jej głową o podłogę. Pamiętała to tak wyraźnie jak zapach ciałek nowo narodzonych dzieci. Zostawił ją potem na podłodze i wyszedł, podczas gdy w sąsiednim pokoju ryczała przerażona Amanda. Musiała się do niej doczołgać. Musiała zdławić swój krzyk, żeby pocieszyć małą.

Rozbolały ją zęby. Zaciskała je tak mocno, że drżała jej szczeka. Otworzyła usta, spróbowała rozluźnić kark. Napięcie osiadało zawsze w tych samych miejscach: w szczęce, w szyi, w naderwanych mięśniach barku. Boże, tak bardzo chciała się napić. Napić się whisky i posłuchać starych płyt. Zapragnęła znaleźć się w ramionach Randalla i mieć w nosie to, kiedy przyjdzie im umrzeć. Potrząsnęła głową i znów spojrzała na Clinta. Dbała o niego dobrze, zgodnie z obietnicą. Swojej części umowy dotrzymała. Doktor Campbell nie mógł się nadszywić, że Clint tak dobrze się trzyma.

Rozejrzała się po sypialni. Ściany były oszpecone łatami i plamami od wiecznego szorowania. Z podłogi bił kwaśny zapach choroby i potu. Cały pokój trzeba będzie wyczyścić i odmalować. A podłogę to chyba nawet wycyklinować. Palcem u nogi przesunęła wzdłuż deski przy progu. Kupi dywan, taki z ładnym pogodnym wzorem. Jak on już umrze - pomyślała — tak ten pokój wypucuję, że nikt nie będzie pamiętał, jak wyglądał, gdy leżał tu Clint. A potem przeniosę tu Amandę. Amanda musi mieć własny pokój. Spojrzała na drzwi po drugiej stronie korytarza. Co też tej Amandzie chodziło po głowie, kiedy stała tu i patrzyła?

Clint jęknął i poruszył się. Zły sen — przemknęło jej przez myśl, gdy zobaczyła, jak chory toczy głową po poduszce.

Lekko podciągnął nogi. Poruszał nimi z coraz większym trudem. Już z tego łóżka nie wstanie.

— Boże — wyszeptwała. Może uda jej się znaleźć kogoś do pomocy? Na pewno nie będzie to M.T., która dławiała się, ilekroć tu przychodziła, ani Steph ze swoimi dowcipami o gnijących ciałach i o tym, jak kończą pijacy. Może zdobędzie pieniądze i kogoś najmie?

Było coś przerażającego w widoku Amandy w progu sypialni Clinty, coś strasznego w pochyleniu jej ramion. Delia zrobiła kilka kroków i położyła dłoń na drzwiach, za którymi leżały dziewczynki. W ustach miała kwaśny smak, pod powiekami palił ją gorący piasek. Całe ciało pragnęło alkoholu, tequili, tej ostrogi dla nerwów, burbonu, balsamu dla duszy. O zęby zagrzechotałyby kostki lodu, masywna szklanka w dłoni dodałaby pewności siebie. Delia przytknęła kłykcie do warg i zagryzła fałdkę skóry. Puls rozsadzał jej uszy, na języku poczuła gorycz i smak krwi.

— Nie możesz robić wszystkiego sama — powiedziała jej kiedyś M.T. — Pozwól pomóc sobie przyjaciółom. Pozwól, żebym zrobiła dla ciebie to, co ty zrobiłabyś dla mnie.

Rosemary powiedziała dokładnie to samo. Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej przyjaciółka wpadła w złość.

— Nie mówisz mi o wszystkim, Delio. Powiedz, co się dzieje. Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić. Będę u ciebie za pięć dni. Nawet za trzy, jeśli dasz mi powód. — I roześmiała się w głos do telefonu.

Właśnie tego Delia potrzebowała. Nie whisky, lecz śmiechu Rosemary. Poszła do saloniku i z pamięci wykręciła numer przyjaciółki.

Pierwsze chwile, które Amanda i Dede spędziły z Rosemary Depau, przysłoniła mgiełka zakłopotania. Delia uprzedziła dziewczynki, że z Los Angeles przyjedzie jej przyjaciółka, która pomoże jej przy Clincie, gdyż w salonie jest teraz bardzo dużo pracy. Ani słowem nie wspomniała, że Rosemary jest najpiękniejszą ciemnoskórą kobietą, jaką kiedykolwiek przyjdzie im oglądać.

Przyjechała w różowej bluzce z krepdeszyny, w szerokim

złotym naszyjniku, przykrywającym szramę na szyi — cieniutką niebieskoczarłą linię biegnącą nieco poniżej podbródka aż pod lewe ucho. Pominąwszy tę szramę, twarz miała bez skazy, czystą i promienną. Jej skóra o barwie ciemnego mahoniu miejscami czerwono jaśniała. Rosemary miała bosko wykrojone usta, ciemnoczerwone i stulone niczym pączek róży. Jej krótkie brązowe włosy lśniły od słodkiego olejku i uwydatniały delikatnie zarysowaną czaszkę. Kiedy wysiadła z wynajętego samochodu, jej uroda Dede oczarowała, natomiast Amandę zaskoczyła i onieśmieliła.

Oczy Rosemary, ogromne i czarne, lśniły jak jej kolczyki, małe złote muszelki idealnie umiejscowione w płatkach uszu. Do tego złota biżuteria, wspaniałe proporcje ciała, pełne biodra, podkreślone wąską talią piersi, makijaż, który sprawiał, że oczy zdawały się jeszcze większe, a usta świeże i jakby zroszone nawet wówczas, gdy zwisał z nich papieros. Gdyby nie delikatne rysy w kącikach oczu i smutek w oczach, Rosemary wyglądałaby jak modelka z błyszczącej reklamy w czasopiśmie „Jet”. Była postacią nie z tego świata, zjawą z *noir classic*, była niczym Dorothy Dandridge w niebieskich dżinsach i różowej bluzce z krepdeszynu — taka właśnie była Rosemary.

- Przyjaźniłyście się w Kalifornii? — zapytała Dede. Rosemary ustawiała swój bagaż w pokoju Delii. — Byłyście prawdziwymi przyjaciółkami, jak ty i M.T?

Delia skinęła głową.

- Jak ja i M.T. Jak rodzina. Rosemary utrzymywała mnie przy życiu. Ilekroć myślałam, że umrę, zawsze była przy mnie. Jeśli dopisze ci szczęście, pewnego dnia i ty będziesz miała taką przyjaciółkę, kobietę, której można powierzyć własny los. Mnie szczęście dopisało dwukrotnie, bo mam ich dwie. Kobieta czuje się bezpieczna tylko wtedy, gdy ktoś taki jest w pobliżu. Tylko wtedy nie jest samotna.

— Potrzeba nam Boga - wtrąciła kwaśno Amanda.

— Oczywiście - rzekła Delia z poważnym wyrazem twarzy. - Ale Rosemary i M.T. zawsze były bliżej niż Bóg.

Rosemary wciąż spowijał obłok dymu z papierosa, choć ze względu na chorego w pokoju na tyłach domu wychodziła palić na podwórko. Cissy nie mogła się nadziwić, że zadaje sobie tyle trudu. Pierwszego dnia, kiedy Delia zaprowadziła

ją do sypialni Clinta, chcąc ich sobie przedstawić, Rosemary ledwie skinęła mu głową. Ani ona się do niego nie odezwała, ani on do niej. Mówiła tylko Delia, paplając nerwowo, że jest wdzięczna przyjaciółce za przyjazd i pomoc. Rosemary milczała. Jej długie, eleganckie palce tarty o siebie niczym owadzie nogi.

Ale gdy tylko znalazły się w kuchni, Rosemary stanęła przed Delią i wypaliła:

- Nie dotknę tego człowieka. Zrobię wszystko prócz tego. Mogę gotować dla dziewczynek, sprzątać, pożyczyć ci pieniądze i bić się z każdą bestią, którą tylko wskażesz, ale tego sukinsyna dotknę dopiero wtedy, jak zdechnie.

Delia oparła się o stół. Twarz jej pobraźła, usta miała jak z gumy. W ułożeniu ramion, w błękitnych cieniach przy skrzydełkach nosa widać było wyczerpanie.

- Nie musisz tu zostawać — powiedziała. — Cieszę się, że przyjechałaś, ale nie musisz zostawać.

Rosemary objęła ją za ramiona.

- Cii, cii... - szepnęła, przytulając Delię i rozcierając jej kark. — Zostanę. Dobrze wiesz, że zostanę. Przecież za chwilę się przewrócisz. Myślisz, że tego nie widzę? Myślisz, że zostawię cię z tymi jęczącymi nastolatkami i tym potwornym dziadygą? Poza tym mnie też przyda się trochę ciszy i spokoju, kilka chwil, kiedy można nic nie robić i słuchać brzęczenia komarów. To będą moje wakacje.

Delia odprężyła się nieco i oparła głowę na jedwabnej bluzce przyjaciółki.

- Och, Rosemary — westchnęła.

- Tak, kochanie. Tak. — Rosemary delikatnie gładziła ją po plecach. — Będzie dobrze. Ale nigdy dotąd sobie nie kłamałyśmy i nie zamierzam robić tego teraz. Nienawidzę go i nie będę się nim zajmować. Skończyłoby się na tym, że zaczęłabym mu podawać mleko ze środkiem moczopędnym.

Delia zachichotała i zasłoniła ręką usta.

Rosemary uśmiechnęła się.

- Bądź święta — szepnęła jej do ucha. - Zrób to, czego ja zrobić nie mogę, a resztę zostaw mnie. Damy sobie radę, damy radę. — Przytuliła ją jeszcze mocniej i uśmiechnęła się szerzej. — A jak facet umrze, upiję się za nas obie.

- Ta Rosemary to całkiem niebrzydka kobieta - powiedziała M.T., gdy w pierwszą niedzielę po przyjeździe gościa z Kalifornii wpadła do domu przy Terrill Road z koszem dużych, soczystych pomidorów. Tego dnia panował straszny upał i Rosemary z Delią wybrały się na przejażdżkę, co było wyraźnym pretekstem do tego, żeby porozmawiać bez świadków. M.T. wypita szklankę coli i chwilę siedziała przy kuchennym stole, wachlując się, żeby osuszyć pot na karku. Amanda wzięła swoje notatki z lektury Biblii i wyszła na kuchenny ganek, a Dede, jeszcze w bieliźnie, prasowała przy oknie. Przed przyjazdem M.T. Cissy czytała w pokoju Clinta, lecz słysząc jej głos, przysłała do kuchni.

- Znałaś ją w Los Angeles? - spytała ją M.T. - Czym się tam zajmowała?

- Nie wiem. — Cissy osuszyła serwetką krople potu na czole.

- Jakże ty możesz prasować w taki skwar? — M.T. zwróciła się do Dede.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i skropiła bluzkę wodą ze spryskiwacza. Część wody trafiła na żelazko, które zaskwierczało i buchnęło parą.

- Samo się nie robi - odparła. - I tak mi jest gorąco, więc co to za różnica. — Obróciła rozpryskiwacz i skropiła sobie brzuch i ramiona. — Chcesz? — zapytała z uśmiechem, celując w M.T.

- Jestem już wystarczająco mokra, dziękuję. — M.T. spojrzała na Cissy. — Rosemary pracowała z zespołem, prawda?

- Tak, chyba tak.

M.T. zmarszczyła czoło.

- Powiedziała, jak długo tu zostanie?

- Dopóki będzie potrzebna Delii. — Cissy zerknęła na Dede. - Delia mówiła, że parę tygodni, może miesiąc.

- Hmm, nie wiem, co to za kobieta, że może tak po prostu spakować się i wyjechać. — M.T. wymownie westchnęła i rozejrzała się po kuchni. Stos pachnącej świeżością bawełnianej pościeli wspierał się o schludnie złożone splotwiałe dzinsy i podkoszulki piętrzące się na półce obok pralki. Na suszarce stały cztery szklanki i miseczka. Zniknęły garnki do połowy wypełnione rozgotowanymi ziemniakami, które stanowiły główne danie Clinta. Miast wszechobecnego zapachu krwi i choroby



wszędzie panował pachnący chlorem ład. Po raz pierwszy od wielu miesięcy kuchnia wyglądała czysto.

— Przynajmniej widać, że póki tu jest, rzeczywiście pomaga — stwierdziła M.T.

— Robota pali jej się w rękach — odrzekła Dede. — Włącza radio i od samego rana zabiera się do pracy. W ogóle nie odpoczywa. Myślę sobie, zaraz usiądzie i odsapnie, a ona zaczyna spisywać listę rzeczy do zrobienia. Delia mówi, że nie wie, jak da sobie radę, kiedy Rosemary wyjedzie.

M.T. popatrzyła na spódnicę ciasno opinającą jej uda.

— Naprawdę? - Dopięła cokolwiek i wstała. — Pozdrówcie ją ode mnie i powiedzcie, że bardzo się z jej przyjazdu cieszę.

Cissy i Dede patrzyły za nią, gdy szła do samochodu.

— Gryzie się tym, że Rosemary zajęła się Delią — zauważyła Cissy.

— Och, nic jej nie będzie. - Dede wróciła do deski. — M.T. jest twarda jak stal. — Obróciła spryskiwacz do góry i psiknęła wodą w powietrze. Na jej odchyloną twarz spadł deszcz kropel.

Przyjazd Rosemary wywołał w Cayro skandal. Nadine Reitower oznajmiła mężowi, że jest przekonana, iż w domu Windsora dojdzie do tragedii. Uważała, że jeśli to nie Delia Byrd zadusi Clinta w jego własnym łóżku, na pewno zrobi to za nią ta czarnoskóra kobieta.

— Tylko się jej przyjrzyj — powtarzała.

Mąż kręcił głową, mimo to owszem, uważnie się Rosemary przyglądał. Każdy mężczyzna w Cayro na nią zerkał. W piątkowe wieczory zebrani u Goobera mężczyźni dowcipkowali na jej temat.

— Widzieliście, kto zamieszkał z Delią Byrd?

Określenie „drogi towar” zyskało sobie powszechną aprobatę.

— Czarna jankeska zdzira - skomentował Harold Parish, starszy brat Marty'ego. — Trzeba by wziąć ją za tyłek i pogonić do Nowego Jorku.

— Ona jest z Los Angeles - rzekł Richard Biron, przeciągając sylaby.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Ale i tak jest jankeską zdziłą — skwitował któryś.
  - Daj spokój, synu — zwróciła się do Richiego Lyle Pruitt. — Ona tylko pomaga naszej Delii i Clintowi.
  - Ta cała Delia to też niezłe ziółko.
  - Delia Byrd przyszła na świat tutaj, w okręgu Bartow — wtrącił barman. - Znałem jej ojca.
  - Może on się tu urodził, ale jego dziecko ma jankeską duszę.
  - Nie wiem. Słuchałeś kiedyś tego Mud Dog? Dziewucha umiała śpiewać jak Maybelle Carter.
  - Gdzie tam, ma niższy głos. Przypominała mi Rosanne Cash.
  - Chrissie Hynde — wtrąciła kelnerka Pat.
  - Kogo?
  - Tę z Pretendersów. Znasz ten kawałek *Got Brass in pocket*? Śpiewa ją takim głębokim, trochę gniewnym głosem. — Pat uderzyła boczkiem do zamówień o biodro i spróbowała zaśpiewać jak Chrissie Hynde. Mężczyźni szyderczo prychnęli. - Zawsze przypomina mi Delię z albumu *Mud Dog* — upierała się Pat — w piosence *Lost Girls*.
  - Zwariowałaś.
  - Nigdy tej piosenki nie lubiłem.
  - I tak to tylko kolejna czarna zdziła.
  - Delia?
  - Nie, do cholery! Mówię o tej kolorowej, która u niej mieszka.
  - Harold, do licha, dajże jej święty spokój.
- Rasistowskie poglądy Harolda Parisha nie przeszkodziły mu podrywać Rosemary. Pewnego niedzielnego popołudnia, gdy robiła zakupy w markecie „Piggly Wiggly”, podszedł do niej i spytał:
- Jak leci?
- Z wystudiowaną obojętnością spojrzała na jego spoconą twarz i małe czarne oczka.
- Przyjechałam po zieleninę, łopatkę wieprzową i czerwone ziemniaki. — Przyjrzała się badawczo potąrdzikowym bliznom na jego twarzy. — Nie potrzebuję ani kłopotów, ani barczystych mężczyzn — oświadczyła i spokojnie go wyminęła.
- Harold poczerwieniał. Coś w jej spojrzeniu powiedziało mu, że nie dość, iż Rosemary uważa go za mężczyznę bar-

czystego, docenia również jego męską urodę. Miał wrażenie, że nareszcie ktoś zobaczył w nim coś więcej niż nerwowe ciało i brzydką cerę. Od tego czasu ucinał ordynarne dowcipy na temat Rosemary.

— Nie to, żebym się chciał umawiać z czarną - zwierzył się swemu przyjacielowi Beansowi. — Ale gdybym miał taki zamiar, uderzyłbym właśnie do niej.

W drugim tygodniu pobytu Rosemary w Cayro Steph kupiła sobie elegancką obrożę, która stylem bardzo przypominała złoty naszyjnik czarnoskórej przyjaciółki Delii.

— W Los Angeles wszystkie takie noszą — zapewniała klientki, które przychodziły do „Bonnet” i chwaliły jej zakup.

M.T. ostentacyjnie milczała. Na widok obroży Dede spiekła raka - sama planowała kupić sobie podobną.

Względem Rosemary M.T. zachowywała się uprzejmie, lecz trzymała się od Terrill Road z daleka, a nawet wzięła kilka dni wolnego, żeby odwiedzić kuzynkę w Tallahassee.

— Nisza ekologiczna - żartowała Rosemary. - Pewnie polubiłabym M.T., gdybym poznała ją wcześniej, niewykluczone, że ona polubiłaby mnie. Ale widzę, co ją gryzie: martwi się, że spróbuję nakłonić Delię do powrotu do Los Angeles.

— A spróbujesz? - zapytała z nadzieją Dede.

— Boże, a skąd! — wykrzyknęła z uśmiechem Rosemary. — M.T. dopadłaby mnie i wyrwałaby mi serce.

I nie chodziło tylko o to, że Rosemary wyglądała jak wspańska modelka z jakiegoś czasopisma, że miała wielkie oczy i śliczną szyję. Rosemary wywoływała skandale. Nie zważając na zwyczaje czy przesady, chodziła w cienkiej jak pajęczyna spódnicy. Czasami zakrywała szramę naszyjnikiem ze złota, czasami kremową apaszką. Pewnego razu, gdy zmywając naczynia dostrzegła wpatrzoną w nią Amandę, zwierzyła się jej, że zamierza podkreślić szramę pastelami do oczu i brokatem.

— Dzięki skazie drogocenny klejnot nabiera charakteru — dodała, a gdy Amanda spiesznie wybiegła na podwórko, Rosemary wychyliła się za nią i krzyknęła: — Nie uważasz, że mam charakter?

Bez przerwy się z sobą ścierały. Amanda skarżyła się, że dom jest za mały, żeby przyjmować koleżankę Delii, natomiast

Rosemary głośno mówiła o tym, że niektórzy powinni nieco ograniczyć modły i wziąć się do likwidowania bałaganu.

— Ja po sobie sprzątam — obruszyła się Amanda.

— Rosemary jest naszym gościem i pomaga nam w potrzebie — zwróciła jej uwagę Delia. — Nie bądź dla niej niegrzeczna.

— Nie jestem niegrzeczna! - wrzasnęła Amanda.

— Może ona boi się, że cię stąd wykradnę? - spekulowała Rosemary, gdy Amanda sztywnym krokiem wymaszerowała z domu, oświadczając, że idzie na kolejne spotkanie przy modlitwie.

— Nie — odparła Delia. — Nie sędzę, żeby płakała po moim odejściu. Chodzi o to, że burzysz jej proste wyobrażenia o tym, jaki powinien być świat.

— Jestem więc złem, które wyjdzie im na dobre, gdyż z mojego punktu widzenia twoje dziewczynki aż za dobrze wiedzą, co gdzie zaszukadkować. — Rosemary przecierała dla Clint'a ziemniaki przez sito. Nie karmiła go, ale gotowała dla wszystkich.

— Nie, nie na tym polega problem. One nie są pewne niczego, zupełnie niczego. — Delia, która już zaczynała trochę odpoczywać, znowu mówiła zmęczonym głosem. — Pomyśl tylko, jak one dorastały. Amanda i Dede nie mają na tym świecie nikogo, komu by mogły zaufać. Na nikogo nie mogą liczyć tak, jak ja liczę na ciebie.

Rosemary zmarszczyła czoło i wróciła do przecierania ziemniaków.

Amanda nie mogła przeżyć, że Rosemary używa płynu do opalania.

— Moja skóra spieka się tak samo jak twoja - wyjaśniła jej Rosemary. — A nawet jeszcze szybciej. Bo moja jest cieńsza.

— Rzeczywiście - stwierdziła Dede, kiedy Amanda z niesmakiem opuściła podwórko.

— Dzięki Bogu, że nie jestem specjalnie drażliwa. - Rosemary uśmiechnęła się do Dede, gdy Amanda wyszła z pokoju. — Ona zawsze dokądś idzie, co?

Dede też się uśmiechnęła. Zawarły z Rosemary swoisty pakt i obie droczyły się z Amanda. Potem odkryły, że łączy je

również namiętność do mody i stylu. Rosemary pokazała jej, jak podkreślać oczy czarno-niebieską kredką i nadawać brwiom kształt zgodny z wykresem oka. Godzinami zajmowały łazienkę, a na jednej z kuchennych szafek ustawiły nawet lustro, żeby Dede mogła sprawdzać makijaż w dziennym świetle.

— Tylko nie noś tego rózu przed zachodem słońca — ostrzegła ją Rosemary. - Jest doskonały na wieczór. W pełnym słońcu będziesz wyglądała jak pajac.

— Będziesz wyglądała jak pajac o każdej porze nocy i dnia — mruknęła Amanda. — Przepraszam, czy mogłabym dostać się do zlewu?

Im dłużej Dede chodziła za Rosemary, tym bardziej się Amanda wściekała. W jej maleńkim świecie dobre chrześcijańskie dziewczęta nie malowały się, dopóki nie wyszły za mąż. To, że Dede chodziła w makijażu, stanowiło kolejny dowód, że zamierza grzeszyć.

— Ona ma czternaście lat, a nie czterdzieści — protestowała. Delia nie widziała w tym problemu.

— W tym, że wypróbujecie różne rzeczy w domu, nie ma niczego złego — odrzekła. - Wolę, żeby nauczyła się makijażu od Rosemary niż od niektórych dziewcząt odwiedzających „Bonnet”.

— Nie powinna się tym w ogóle zajmować.

— Amando, twoja siostra ma swoje upodobania. Nie jest taka jak ty i wcale nie musi. — Delia nie chciała się kłócić, odkryła jednak, że w razie konfliktu z Amandą lepiej jest twardo stawiać sprawę niż unikać sprzeczek.

— Upodobania? Jakie upodobania? Chyba diabelskie! — Amanda wycelowała w nią palec. - Zobaczymy, co powiesz, jak się zacznie włóczyć po ulicach. Zobaczymy, co powiesz, kiedy przyjdzie do domu z brzuchem, nie wiedząc nawet, kto jest ojcem dziecka.

Założyła ręce pod biustem. O, na tym to ona się znała. Przecież uczęszczała z Grahamami na specjalne spotkania rodzinne w Tabernacle Baptist. Siedziała z Lucy Graham i jej bratem Michaeliem, młodym chłopakiem, w którym wszyscy widzieli następcę wielbnego Mylesa, gdy stary pastor przejdzie na emeryturę. Wspólnie zastanawiali się nad wskazówkami do religijnych rozważań, nad mocą modlitwy i wielce realnym

niebezpieczeństwem, jakim był dla nastolatków diabeł. Michael chciał, żeby Amanda została jego partnerką w młodzieżowych zajęciach na temat cudów w życiu codziennym, no i wyznał jej, jak bardzo podoba mu się jej jasna, wypucowana twarz i jej pogarda dla marności tego świata, czyli dla szminki, pudru i perfum. Wiedziała, że nie może powiedzieć o nim ani Dede, ani Delii, że nie może im zdradzić, jak z uśmiechem zaglądała jej w oczy i jakie budził w niej uczucia. Kiedy jej dotykał, w pewnym sensie pierwszy raz w życiu zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa czyhającego na Dede.

— Dede popadnie w tarapaty, zobaczysz — oznajmiła.

— Nie jestem głucha! - wydarła się z sypialni Dede. — I nie zajdę w ciążę! Nie jestem głupia!

— Twoja siostra nie włóczy się po ulicach — odparła Delia, starając się nie podnosić głosu.

— Tylko poczekaj, sama zobaczysz. Ja swoje wiem.

Dede śmiała się z Amandy i jej wiecznego gadania o grzechu, ale Delię zachowanie najstarszej córki niepokoiło. Amanda zaglądała do Clinta codziennie i czytała mu ustępy z Biblii. Zaczęła od księgi Hioba i brnęła przez księgę Psalmów. Tego wieczoru, gdy doszła do Psalmu 107 — „Siedzące w ciemnościach i w cieniu śmierci, więźnie w niedostatku i w żelazie” — w progu sypialni stanęła Cissy i zobaczyła, że Clint wbija wzrok w sufit, mocno zaciskając zęby. Wyglądał tak, jakby każde padające z ust Amandy słowo szorowało mu kości.

— Jeśli ona nie przestanie, to w końcu go zabije.

Cissy aż podskoczyła. Tuż za nią stała Dede.

— Co nie byłoby takie złe, prawda? - Dede skinęła głową w stronę Clinta. Chory kołysał się leciutko w takt monotonnej recytacji.

— Aż tak go nienawidzisz?

— O, tak — odrzekła Dede z olśniewającym uśmiechem. — Babcia Windsor zawsze powtarzała, że płynie w nas ta sama krew, swój swego zawsze pozna. Moja krew już go zna i nienawidzi każdej kropli płynącej w jego żyłach. — Uśmiech zgasł i na jej twarzy zastygła maska chłodnego osądu. — Ale ty nie czujesz do niego nienawiści, co?

Cissy spojrzała na wąskie łóżko i skurczone pod prześcieradłem ciało. Clint patrzył w stronę drzwi. Wargi miał cofnięte, jego oczy szukały oczu Cissy.

- Nie - odparła. - Nie czuję.

- Boś głupia. - Dede parsknęła śmiechem. - Boś głupia.

- Skąd pochodzisz? - spytała Dede Rosemary, która spoglądając w lustro ponad ramieniem siedzącej, zbierała nadmiar podkładu z jej policzka.

Rosemary uśmiechnęła się, widząc jej zadowoloną minę.

- Urodziłam się w szpitalu w New Bedford w Massachusetts, a dorastałam w Los Angeles, Rio de Janeiro i na Cejlonie. Mój ojciec był inżynierem i pracował w przemyśle rafineryjnym. Wynałazł sposób na oczyszczanie olejów, których *nazw* nie potrafiłabyś nawet wymówić. — Przesunęła palcem najpierw po prawej brwi, potem po lewej i wygładziła delikatne włoski. - Jestem zmorą z najgorszych koszmarów twego dziadka, moje dziecko: czarną jankeską, wychowaną na bogatą i władczą kobietę.

Wybuchnęła niepohamowanym radosnym śmiechem, który Cissy usłyszała w sąsiednim pokoju. Cissy znała ten śmiech. Przez chwilę znowu widziała Rosemary w Kalifornii, w bikini w tygrysie pasy i w wielkich okularach przeciwsłonecznych w kształcie serc. Podeszła do drzwi łazienki. Rosemary i Dede wciąż chichotały.

- Byłaś z Boogerem - powiedziała Cissy, nie zastanawiając się, skąd o tym wie.

- Z tym głupkiem? — Rosemary machnęła ręką, a Dede przekrzywiła głowę i czujnie nastawiła uszu. — Nigdy z nim nie byłam. Przez jakiś czas pozwalałam mu za sobą łązić, żeby go ze mną widywano, nic więcej. Booger miał talent, ale brakowało mu stylu. Moi mężczyźni mają styl, zawsze mają styl.

- Amen — podsumowała Delia, idąc korytarzem z naręczem pościeli.

Kimżona jest? — zastanawiała się Amanda. — prostytutką? Do świata jej pojęć pasowała tylko jako prostytutka. W przeciwnym razie skąd by się to wszystko w niej wzięło? Ta arogancja, biżuteria, te ubrania, ta lśniąca skóra? Z grzechu. Tak, tylko z grzechu.

— Czy ona nie musi wracać do pracy? — spytała Delię, zastanawiając się nad tym samym co M.T.

— Rosemary jest właścicielką tego i owego, poza tym zawsze umiała zarabiać pieniądze.

— To znaczy właścicielką czego? — dociekała zafascynowana Dede.

— Głównie sklepów — odparła Rosemary słodkim jak miód głosem. — Ale zajmuję się również handlem. Lubię, jak moje pieniądze pracują na następne. Ojciec mnie tego nauczył: pieniądze są po to, żeby pracowały, albo po to, żeby je rozdawać.

— Dużo ich rozdałaś? — zapytała Dede.

— O, kochanie! Większość ludzi nie zarobiłaby tyle przez całe życie. — Objęła Dede i zaśmiała się śmiechem wysokim i dźwięcznym jak śpiew ptaka. — Delio, powiedz, że to prawda. Prawda, że oddałam ludziom więcej, niż mogłybyśmy zliczyć?

Delia skinęła głową, Amanda zaś obrzuciła je wściekłym spojrzeniem. Dede wtuliła się głębiej w ramiona Rosemary. Delia poprawiła stertę prześcieradeł i posłała przyjaciółce przeciągłe spojrzenie. Cissy chciała wypytać je o te pieniądze, o te lata spędzone w Kalifornii, o wszystko to, co jak się jej zdawało, pamiętała z wczesnego dzieciństwa, ale powstrzymał ją wzrok matki. Błysk w jej oczach, który mówił, że za opowieścią Rosemary coś się kryje. Ukochana córka, staranne wykształcenie, kochający tatuś, kalifornijskie słońce... Tak, było w tym wszystkim coś więcej, zupełnie inna historia i sądząc z wyrazu oczu Delii, historia bynajmniej nieprosta.

Rosemary uniosła szklankę i upiła duży łyk.

— Ja też mogę? — spytała Dede.

— Ty tego nie potrzebujesz — ucięła Rosemary.

— Ona dużo pije, prawda? — zagadnęła Cissy kilka dni później. Rosemary pojechała na zakupy do „Piggly Wiggly”, a one sprzątały kuchnię po śniadaniu. — My kładziemy się spać, a ona siedzi do późna i pije jak ryba.

— Nigdy nie rozumiałam tego powiedzonka. — Delia strzepnęła ścierkę do kubła, machnęła nią jeszcze raz i złożyła na pół. — Nic dziwniejszego nie można wymyślić. Uważasz, że ryby wchłaniają wodę jak my powietrze?



— Może pije tyle, ile wyparłaby z basenu, gdyby ją tam wrzucić?

Delia podstawiła czajnik pod kran i puściła zimną wodę.

— No więc co, pije nocą, prawda?

— Ty tego nie wiesz.

W drzwiach stanęła Amanda.

— Pije, pije - potwierdziła. - Śledziłam ją. Przez pierwsze dwa tygodnie wypijała jedną piątą butelki, a od ostatniej soboty aż połowę. Pięknie gadać to ona potrafi, ale popatrzcie tylko, co robi. My idziemy spać, a ta kobieta zalewa się w pestkę, i to noc w noc.

Delia z hukiem odstawiła czajnik na palnik kuchenki i obróciła się do córek.

— Rosemary jest moją przyjaciółką — rzekła dobitnie. — Może jeszcze nie zauważyłyście, ale nasz dom nie jest miejscem, które osoba taka jak ona odwiedza dla przyjemności. Rosemary jest tu tylko po to, żeby mi pomóc. Gdybyście zechciały się jej przyjrzeć, zobaczyłybyście, co to za kobieta. — Zamilkła. Twarz jej pobladła, oczy pociemniały. - Boże! — powiedziała wreszcie i nie zabrzmiało to jak wołanie o pomstę do nieba. - Mogłybyście przyjrzeć się światu wnikliwiej, mogłybyście od czasu do czasu popatrzeć na siebie. Dopóki Rosemary tu jest, będziecie traktować ją z szacunkiem i powstrzymacie się od niegrzecznych komentarzy na temat czegoś, czego nie możecie pojąć.

Cissy spuściła oczy. Nawet Amanda miała strapioną minę, gdy Delia odwróciła się do nich plecami. Cissy przez chwilę siedziała przy stole, usiłując zrozumieć, dlaczego Delia tak szybko wpadła w złość. Przecież Amanda wygadywała gorsze, znacznie gorsze rzeczy. Najwyraźniej jednak uwaga o picciu była kroplą przepełniającą czarę.

Cissy wciąż myślała o gniewnym wybuchu Delii, gdy siedząc wieczorem u Clinta, czytała pożyczoną od Nolana książkę, *Going after Cacciato* Tima O'Briena. Wyjrzała przez okno na zacienione podwórko od strony kuchni. Nad gankiem snuła się strużka dymu.

Na trzecim stopniu siedziała Rosemary; w jej wielkich oczach odbijały się światła domu. Cissy przysiadła się do niej. Odechnęła i w wieczornym powietrzu wyczuła zapach alkoholu.

— Masz jeszcze to bikini w tygrysie paski i te czerwono-fioletowe okulary przeciwsłoneczne? - zapytała.

Rosemary roześmiała się.

— Pamiętasz je? W końcu dlaczego miałabyś nie pamiętać. Każda kobieta w Los Angeles ma taki kostium, a przez pewien czas wszystkie nosiłyśmy czerwono-fioletowe okulary. — Rosemary zdusiła papierosa i wytrząsnęła następnego z leżącej obok paczki. Postukała nim o grzbiet dłoni.

— Twoje miały kształt serc — powiedziała Cissy. Minał kolejny upalny dzień. Drewniany stopień pod jej udami zaczynał się ochładzać dopiero z nadejściem wieczoru.

— Uhm. — Rosemary wetknęła papierosa między wargi i wdzięcznym ruchem dłoni pstryknęła srebrną zapalniczką.

Cissy patrzyła, jak Rosemary się zaciąga. Przypomniała sobie, że dostała tę zapalniczkę od Delii. Tak, na jednym z przyjęć w Venice Beach — na spodzie powinien być wygrawerowany napis, coś o przyjaźni i śmiechu.

— Dlaczego tu przyjechałaś? — zapytała.

— Przecież Clint umiera, prawda? — Rosemary wypuściła z ust błękitną smużkę dymu, potem pochyliła się i sięgnęła po butelkę burbona stojącą między jej nogami. Pociągnęła łyk. — To wystarczający powód, żeby urządzić bal. Poza tym prosiła mnie o to twoja mama, a ona nieczęsto zwraca się o pomoc.

— Znałaś Clinta?

Rosemary spojrzała na nią błyszczącymi oczami. Po chwili odwróciła głowę i popatrzyła na podwórko.

— Wiedziałam o nim to i owo. Myślę, że więcej od innych. Kiedy wystąpił do sądu o przyznanie praw do dzieci, twoja mama omal nie popełniła samobójstwa. Tak, uciekła od niego i zostawiła córeczki, ale przez długie lata starała się dojść z nim do porozumienia. Nie pozwalał jej nawet wysyłać im prezentów, co zresztą i tak robiła. Nie chciał przysłać ich zdjęć ani nawet powiedzieć jej, co u nich słychać. Ten człowiek żądał, żeby wróciła do niego na klęczkach i błagała o wybaczenie, a on dalej by nią pomiatał i nastawiał przeciwko niej córki. To chyba dość powodów, żeby nie znosić człowieka, którego nigdy się nie widziało.

— Nie jest taki najgorszy. — Na policzki Cissy wystąpił rumieniec.

— Nie? Jesteś tego pewna?

— W każdym razie na pewno jest mu przykro.

Twarz Rosemary nie złagodniała.

— Być może. Duchowni twierdzą, że człowiek potrafi się zmienić, ale ja nie jestem co do tego przekonana.

— Ludzie się zmieniają - oświadczyła Cissy z większym przekonaniem w głosie niż w sercu. Przypomniała sobie słowa M.T: „Jesteś kluczem do jej serca. Nie może zdobyć Delii z pomocą Dede czy Amandy, bo za bardzo go nienawidzą. Z tobą to co innego. Ty jesteś jego szansą. Zdobędzie ciebie, zdobędzie i ją. Myślisz, że on nie wie, co robi?”

— Być może - powtórzyła Rosemary głosem równie smutnym jak jej oczy i jedwabistym jak włosy. - Myślę jednak, że ludzie zaczynają wszystko od nowa dopiero po śmierci. Że dopiero wtedy dostają kolejną szansę.

— W nowym wcieleniu? - Cissy omal nie parsknęła śmiechem. Do Cayro trafiła jeszcze jedna buddystka! Chciała coś powiedzieć, lecz Rosemary machnęła papierosem i ten gest ją powstrzymał. Brązowy policzek lśnił od wilgoci.

— Idź do domu — powiedziała. — Noce w Georgii są za gorące, żeby spędzać je na trzeźwo. — A nie mogę porządnie się napić, kiedy siedzisz tu i patrzysz.

Przypomniała sobie pełne gniewu słowa Delii: „Mogłybyście przyjrzeć się światu wnikliwiej”. Przyjrzała się. Zobaczyła ból i upór. Kim ta Rosemary jest?

— Nie jest tak źle - zaoponowała. — Zrobiło się prawie chłodno. Szkoda, że nie przyjechałaś w sierpniu, myślałam, że się rozpuszczę z gorąca.

Rosemary wzruszyła ramionami i wypita łyk burbona.

Cissy podciągnęła kolana i wsparła na nich brodę. Przysłuchiwała się świerszczom i samochodom wjeżdżającym na zwirowy parking przy niewielkim samie za posesją Reitowerów. Nadine Reitower tak zażarcie utyskiwała na tych, którzy robiąc zakupy, korzystali z jej prywatnego podjazdu, że właściciele samu postanowili wybudować parking. Nikt jednak nie wjeżdżał na podjazd Clinta Windsora. Nikt oprócz Tylera, zastępcy szeryfa, który siadywał w samochodzie i patrzył, kto kupuje piwo. Delia uważała, że pewnego dnia ktoś się z pewnością zabije, wjeżdżając po pijaku na autostradę. Tyler najwyraźniej podzielał jej zdanie.

Rosemary przyciskała butelkę do biodra i chyba też nasłuchiwała. Lekko poruszała głową, jakby liczyła takty muzyki, którą tylko ona słyszała. Jej naszyjnik rozsiewał złociste refleksy.

— Skąd masz tę szramę? — spytała nagle Cissy.

Rosemary zamarła z uniesioną butelką.

— Dlaczego pytasz?

— Z ciekawości.

— Opowiadasz innym, co się stało z twoim okiem?

Cissy zaczerwieniła się.

— Nikt mnie o to nie pyta.

— Tutejsi ludzie są aż tak grzeczni? — Rosemary pociągnęła z butelki.

— Przepraszam.

— Uhm. — Rosemary zakręciła burbonem w butelce.

— Naprawdę przepraszam. Nie powinnam była pytać.

— Tak. — Rosemary odpaliła papierosa od niedopałka. — Było jak z twoim okiem — odezwała się po długiej chwili milczenia. — Miałam głupi wypadek. Wpadłam na drut kołczasty w Rio. Byłam wtedy małą dziewczynką. Mało co gardła sobie nie poderżnęłam. — Delikatnie przeciągnęła palcem po bliźnie. — Większość ludzi myśli, że ktoś mi to zrobił. — Palec sunął po ciemnej kresce pod naszyjnikiem. — Nie znosiłam przyznawać się publicznie, że sama się tak urządziłam. Dlatego wymyślałam różne kłamstwa, mówiłam co ślina na język przyniesie, byle tylko nie powiedzieć, że zrobiłam coś, przed czym sto razy przestrzegała mnie matka: biegałam po ciemku. Po prostu biegałam po ciemku.

— Musiałaś najeść się strachu.

Rosemary objęła szyję długimi palcami.

— Nie bawiłam się wtedy najlepiej.

— To takie dramatyczne. — Cissy chciała ją jakoś pocieszyć, oddać Rosemary to, co — jak sądziła — jej odebrała. — Dede mówi, że ta twoja blizna jest kapitalna, że jest nawet seksowna.

— Twoja siostra ma głowę nabitą romantycznymi pomysłami. — Rosemary strzepnęła popiół na trawę. Jej głos nie zdradzał najmniejszych emocji.

— Lubi cię.

— A ja ją.

— Mówi, że twój przyjazd to najlepsza rzecz, jaka się mogła wydarzyć pod słońcem, że Cayro potrzebuje kogoś takiego jak ty. Powiedziała jej, że nie rozumiem, dlaczego się tu zjawiłaś. Przecież mówiłaś Delii, że nigdy do Georgii nie przyjedziesz.

— To też pamiętasz? Nie przypuszczałam, że słuchasz. — Czubek papierosa Rosemary zarzył się jaśniej niż robaczek świętojański. - Ale tak, Delia ostrzegała mnie, że nigdy niczego nie zapominasz. Możesz być pewna, mówiła, że ona zapamięta wszystko to, o czym ty chciałybyś zapomnieć.

— Dlaczego nie masz dzieci?

Papieros opadł. Rosemary wyjęła go z ust i wypuściła dym.

— Po prostu nie mam — odparła. — A teraz już ich mieć nie będę. Delia ci o tym mówiła? — Zgasiała papierosa, rozcierając żar na stopniu i rzuciła niedopałek w trawę.

— Nie. Powiedziała, że masz powody, dla których przyjechałaś.

Ze zraszacza ukrytego w trawie przy domu trysnęła woda. Delia lub Dede przez całe lato co drugi wieczór podlewały trawnik. Rosemary i Cissy poczuły powiew chłodniejszego powietrza. Rosemary machnęła ręką jak przedtem.

— Niesamowite. Ty i te twoje małe, twarde oczka jak łebki od szpilek, a do tego facet, który przez cały czas wysysa z niej soki, Amanda z wiecznie ściągniętymi usteczkami, rzucająca wrogie spojrzenia, i Dede, która niczym stary, wytrawny wąż łyka powietrze wielkimi haustami, gdzie tylko się obróci... A Delia jest tu szczęśliwa. - Wolno pokręciła głową. - Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej.

Cissy podniosła głowę. Oczka jak łebki od szpilek? Nie miała takich oczu.

— W tym, co ludzie mówią o posiadaniu dzieci, pewnie coś jest. Wygląda na to, że macierzyństwo przysłoniło w niej wszystko to, czego pragnęła, zanim się urodziłyście. Pewnie sama już nie pamięta, kim była, nim przyszłyście na świat.

— Nie znasz nas — prychnęła Cissy.

— A ty nie znasz swojej matki. — Rosemary objęła dłońmi szyjkę butelki i potoczyła po stopniach krawędzią jej dna.

— Niby ty ją znasz.

Rosemary znów przetoczyła butelkę.

— Może i nie. Najgorsze jest to, że niczego już nie jestem pewna. Patrzę na to, co się tutaj dzieje, i nie widzę w tym najmniejszego sensu. Tego, co robi Delia, nie podjęłabym się za żadne pieniądze świata.

— Robi tylko to, co powinna.

Rosemary parsknęła śmiechem.

— Właśnie. Jest matką, a Pan Bóg najlepiej wie, że nie mam do tego powołania. A jakże, ja też miałam dziecko. Tak, tak, właśnie to nas z twoją mamą łączyło. Ona swoje dzieci zostawiła, ja swoje oddałam. Ona wiecznie opowiadała o tym, że pewnego dnia je odzyska, a ja bardzo się cieszyłam, że ktoś wychowuje moje. Choć niby tak do siebie podobne, w niczym siebie nie przypominałyśmy.

Cissy nie wiedziała, co o tym myśleć.

— Straciłaś dziecko?

— Nie, nie. — Rosemary przechyliła butelkę i ułała trochę alkoholu. Cissy zmarszczyła nos. — Nie straciłam dziecka, tylko życie. To, którego i tak nie zamierzałam prowadzić. — Ciemny płyn koloru herbaty spłynął po stopniach wąskim strumyczkiem. — Cholera! — rzuciła pod nosem Rosemary. — Niech to szlag. Kiedy powtarzałam, że nie chcę mieć dzieci, cały czas myślałam, że pewnego dnia będę mogła je mieć. Jak już będę gotowa. Jak już wszystko sobie dobrze poukładam. No i proszę: ani dzieci, ani męża, ani rodziny. Nie mam nic. Tylko to przekleństwo w brzuchu i pieśń płynącą w powietrzu. Dla wnuczka, którego babcia nigdy nie będzie miała.

W domu trzasnęły drzwi i usłyszały duet podniesionych głosów.

— Ja przez ciebie zwariuję! — krzyczała Dede.

— Ty już zwariowałaś! — odwrzasnęła Amanda.

Włączył się w to kontralt Delii, spokojny i kojący, lecz zbyt cichy na to, żeby mogły zrozumieć poszczególne słowa.

— Życie rodzinne... — szepnęła Rosemary. — To jest właśnie życie rodzinne. — Wypiła alkohol do dna, wytrząsnęła na trawę ostatnie krople i wyciągnęła butelkę do Cissy. — Chcesz oddać ją siostrze? Żeby wpisała to na swoją listę?

— Nie.

Rosemary odstawiła butelkę na stopień. Na dworze robiło się coraz ciemniej i chłodniej, a one wsłuchiwały się w mokry

świst zraszacza. W pewnym momencie Cissy przerwała milczenie, czym zaskoczyła i siebie, i swoją towarzyszkę.

— Delia mówi, że jesteś jej najlepszą przyjaciółką.

Rosemary tylko chrząknęła.

— Mówi, że jesteś jedyną osobą w Kalifornii, której mogła zaufać.

— Jedyną, której powinna była ufać. Chyba tylko ja nie próbowałam ani żyć jej kosztem, ani niczego z niej wyciągnąć.

— Należałaś do zespołu.

— Boże, a skąd! — Zapaliła papierosa. — Nie umiem śpiewać. Może tego nie wiesz, ale nie wszyscy to potrafią. Owszem, umiem tańczyć, tylko po co miałabym tańczyć? Nie, nie byłam w zespole. Ale dałam jej tę żółtą limuzynę z otwieranym dachem.

— I z czerwonymi siedzeniami.

— Tak, z siedzeniami z czerwonej skóry.

— Pamiętam.

Cissy zamknęła oczy i zobaczyła samochód, o którym rozmawiały. Skóra błyszczała w słońcu, a na tylnym siedzeniu piętrzyły się pudełka i torby w bożonarodzeniowych opakowaniach.

Rosemary spojrzała na nią.

— Nie możesz. Byłaś maleńkim dzieckiem. A szkoda, bo jest co pamiętać. Cholera, to był najlepszy samochód, jaki miałam w życiu.

— Pamiętam — upierała się Cissy.

Rosemary puściła to mimo uszu.

— Pierwszy samochód Randalla. Podarował go mnie, a ja ofiarowałam go Delii. Randalla mało szlag nie trafił.

Cissy zaczynała się w tym gubić.

— Randall podarował go tobie?

— Powiedzmy. Przehandlował go za coś, co miałam, a czego on potrzebował. Tylko nie pytaj, za co, bo i tak się nie dowiesz.

— Za narkotyki.

Rosemary roześmiała się.

— Wiedziałam, że tak pomyślisz, ale nie, nie za narkotyki. Działo się wtedy znacznie więcej. Spytaj Delię.

Cissy wzruszyła ramionami.

— Nic mi nie powie.

Rosemary zaciągnęła się dymem i wolną ręką w zamyśleniu potarła czoło.

- *Diamonds and Dirt*, drugi album Mud Dug. Znasz go?

— Ten, na którym Delia śpiewa *Lost Girls*? Ten, na którym zarobili tyle szmalu?

— Nie tyle, ale trochę. Kilkoro z nas awansowało na pseudo-bogaczy.

Przeczesała dłonią krótkie, mocno skręcone w wilgotnym powietrzu włosy. I kiedy Cissy pomyślała, że pierwszy raz w życiu widzi Rosemary mniej opanowaną niż zwykle, poczuła na swym policzku jej dłoń.

— *Lost Girls* - powtórzyła Rosemary. — *Minor Chords of Grief, Walking the Razor, Tall Boys and Mean Dogs*. To wszystko moje piosenki. Dopisałam fragmenty, których nie ułożyła Delia. Na tym też jej nie zależało. Tylko Randall wiecznie odgrywał rolę człowieka legendy. Wystarczyło, że trochę wypiliśmy, i Delia zaczynała. Wypływało to z niej jak rzeka, a ja wszystko spisywałam. Potem nic z tego nie pamiętała, choć czasami zaczynała płakać, słysząc jeden czy drugi kawałek. Wszystko brało się z tego, co mówiła. Tak mnie poruszała, że siadałam i pisałam własną wersję jej tekstów. Chciałam, żeby się pod tym podpisała, ale Randall i ci z wytwórni omal mnie nie zadziobali. Nie, nie, to musiał być on, Randall! Następny Jim Morrison, chłopaczkowaty poeta o oczach węża, który potrafił chwycić kobiety za serce. Szlag by to.

Uniosła obie ręce i opuściła je niczym dyrygent dyktujący tempo. Tak, było w tym geście coś z muzyki.

- Delia miała to gdzieś. Randallowi zależało. Mnie chyba trochę też. Połowa piosenek jest autorstwa Randalla Pritcharda i R.D. Nikt nie powiedział, że R.D. to ja, ale miałam dobrego adwokata i dostałam swoją działkę. Delia nie dostała nic. Więc kiedy cię tu przywiozła, ucieszyłam się, że mogę pomóc jej przy tym zasranym salonie. I tak spłaciłam ją tylko częściowo. To właśnie my. To my byliśmy „poetkami z wycuciem kobiecego smutku”.

Westchnęła.

- Ale to dzięki Randallowi wytwórnia zarabiała pieniądze. Był cholernie przystojny i doskonale potrafił odstawiać gwiazdora. Reszta z nas była całkiem zielona, mieliśmy to gdzieś.



Właśnie dlatego Delia jest teraz tutaj, a nie w Los Angeles. W odróżnieniu od Randalla nigdy nie przywiązywała do tego wszystkiego wagi.

— Los Angeles to ona ma w nosie.

— Czyżby? — Rosemary uniosła klasycznie zarysowaną brew. — Już ci mówiłam: nie masz zielonego pojęcia, kim jest twoja matka.

Cissy aż się zachnęła.

— A ty nigdy nie rozumiałaś mojego taty. Był niezwykły. Rozumiał mowę serca. Wiele rzeczy rozumiał.

— Diabła tam! — Rosemary objęła się za kolana i podciągnęła nogi. — Chyba dobrze się stało, że nie mogę mieć dzieci. Nawet nie potrafię z tobą rozmawiać.

— Delia jest szczęśliwa, sama to powiedziałaś. — Cissy odepchnęła się dłońmi od stopnia. Od długiego siedzenia zdrętwiały jej nogi. Stała przed Rosemary i spojrzała na nią wilkiem.

— Szczęśliwsza niż w Los Angeles, to fakt. — Rosemary skinęła głową. — Robi to, czego zawsze pragnęła. W każdej chwili mogła odejść od Randalla, nagrywać własną muzykę i zdobyć większą sławę niż on u szczytu kariery. Ale twojej mamie na tym nie zależało.

— Chciała wrócić do domu - rzekła Cissy. — Bardziej chciała być tutaj niż mieć to, o czym mówisz.

— Tak. Masz rację, cukiereczku. Chciała przywlec się z powrotem do Georgii, żeby usługiwać do śmierci tobie i twoim siostrom.

— Nie znasz jej — syknęła Cissy. — I wcale jej nie rozumiesz.

— Być może. — Rosemary mocniej ścisnęła kolana. — Być może nie rozumiem wielu rzeczy. Popatrz: rozmawiam tu z tobą jak z dorosłą, a przecież jesteś tylko dzieckiem i nic z tego nie chwytasz.

— Chwytam, chwytam, i to bardzo dużo. - Cissy miała ochotę się rozpłakać, ale była zbyt rozzłoszczona, żeby to po sobie okazać.

— Słowo daję, jesteś dokładnie taka sama jak twój ojciec. Myślisz, że Delia nie wie, co odrzuciła? A może myślisz, że nie odrzuciła? Uważasz, że stać ją tylko na to, żeby być tym, kim chcecie, żeby dla was była? — pytała Rosemary zachrypniętym głosem. — Brylanty i kurz drogi, chłopcy legendy i chłop-

cy bez manier, poeci, co nie są poetami, i dzieci, te nie narodzone i te, które nam przepadają, choć nie z naszej winy. Życie porywa cię jak rzeka moczu. A najsmutniejsze w tym wszystkim jest to, że nikt nie wie, kim ta Delia jest. Nikt, nawet jej własne córki. Smutne jest również, że trwa przy tym złym człowieku i daje się tu pogrzebać za życia, żeby ocalić ciebie i twoje siostry, a żadna, ani jedna z was nie wie, co ona naprawdę robi. Nikt nie wie, kim ta moja Delia jest.

Rosemary wstała.

— Nikt — powtórzyła. Weszła na ganek i zniknęła za drzwiami domu.

Cissy siedziała nieporuszona. Słyszała, jak Dede wykrzykuje wesoło: „Jak się masz, Rosemary!”, potem dobiegł ją odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

— Dokąd ona idzie? — spytała nieśmiało Dede.

— Daj jej spokój — odparła Delia.

Cissy odchyliła głowę do tyłu i spojrzała w nocne niebo. Coraz bardziej ciemniało, a gwiazdy coraz bardziej jaśniały. W Kalifornii nie były ani tak wyraźne, ani tak duże jak tutaj. Noce też nie bywały tak ciche. Kalifornijskie niebo wciąż zasnuwała łuna świateł, a wieczór wypełniała wrzawa i ruch. Cissy siadywała za domem w Venice Beach, wpatrywała się w roziskrzone niebo i słuchała dobiegającego zza ściany nucenia Delii, która pijana czy trzeźwa, zawsze coś podśpiewywała. Słowa piosenki były rozmazane i pełne bólu, a dźwięczny, mocny głos przywodził na myśl roztopioną czekoladę. Ludzie przychodzili do domu i proponowali Delii pracę, namawiali ją, żeby przystała do innych zespołów lub nagrywała sama. Cissy pamiętała, z jaką żarliwością, jakim tonem zwracano się do matki. Pamiętała też jej krótką, rzeczową odmowę. Mogła robić co innego. Mogła inaczej ułożyć sobie życie.

Może Rosemary ma rację? Może Delia jest bardziej zagadkowa, niż to sobie Cissy wyobrażała?

Zaczęła liczyć gwiazdy. Liczyła od wschodniego horyzontu nad leszczyną. Liczyła te jasne i te zamglone, nie zważała na konstelacje. Zliczała je w ćwiartkach. Szesnaście, siedemnaście, osiemnaście gwiazd w Kalifornii, gwiazdy w Georgii, potem wszystkie pośrodku. Dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden.

Kiedy dorosnę — pomyślała - nigdy nie będę miała dzieci. A jeśli będę, to je komuś oddam.

## 10

Delię przerażało, jak wiele czasu Cissy spędza z Clintem. Zaglądała do niego codziennie, nie dopuszczając tam Amandy.

— Wyjdz stąd - powiedziała jej pewnej niedzieli w połowie sierpnia. Wyjęła z rąk Amandy Biblię, zamknęła ją i oddała siostrze z tak nieugiętym spojrzeniem, że Amanda nawet nie wszczęła sprzeczki. Takiej Cissy nie znała, lecz ujrzała w jej oczach determinację nie mniejszą niż własna.

Kiedy Amanda wychodziła do kościoła, Cissy siedziała już u Clinta. Delia też tam zajrzała.

— Dlaczego nie wyjdiesz na dwór? - zapytała. — Jest tak pięknie, a tutaj straszna duchota. On i tak śpi.

— Dobrze mi tu — rzekła Cissy.

Delia zmarszczyła czoło.

— Idź, ja z nim posiedzę.

— Właśnie zaczęłam czytać. Idź. Kiepsko wyglądasz, świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Delia głęboko odetchnęła i widać było, że liczy do dziesięciu.

— Cissy, nie chcę, żebyś całymi dniami przesiadywała w domu.

— Nie możesz mi tego zabronić. Dom należy do Clinta, nie przeszkadza mu, że tutaj siedzę. Wcale.

— Nie — przyznała z rezygnacją Delia. — Na pewno nie.

Czasami Cissy wydawało się, że Clint jest jedynym człowiekiem, który naprawdę wszystko w końcu zrozumiał. Wszak tylko on miał czas potrzebny do rozważań, tylko jego nic nie rozpraszało. Zdarzały się takie dni, kiedy myślenie było lepsze od lekarstw. Zastanawiał się wtedy, kim naprawdę jest, jacy naprawdę są ludzie.

— To jest jak muzyka — zwierzył się Cissy pewnego popoł-

dnia, kiedy przyszła po jego tace. Jadał już tylko kilka łyżek naraz, chociaż Rosemary zawsze podsyłała mu kopiaiste miseczki ziemniaczanego puree. - Jak ta muzyka Delii, którą ciągle słyszę z tyłu głowy, jej śpiew.

Oczy zogromniały mu jeszcze bardziej. Miał za sobą zły dzień, zły tydzień, lekarstwa przestawały działać. Albo zmieniał się w sztywną lalkę o pustych oczach, albo stawał się krzakiem gorejącym, i bywało, że przeobrażał się z sekundy na sekundę.

Jego prawa, leżąca bezwładnie na kordonkowej narzucie, ręka uniosła się leciutko, jakby taktował. Ten gest sprawił, że wyglądała jak odarta z ciała dłoń Rosemary.

— Boże, jak ona śpiewała. - Teraz taktował palcami. — Bóg i miłość, miłość i Bóg... - Ni to szeptał, ni ochryple zawodził. - Słyszałaś, jak ona to śpiewa? Tę piosenkę w stylu gospel?

— Delia już tego nie śpiewa — odparła Cissy. — Ta piosenka jest na jednej z płyt, ale ona już takich nie śpiewa.

— Tak, zauważyłem. Szkoda... — Uśmiechnął się, jakby wiedział o czymś, o czym ona nie wiedziała.

Cissy postawiła tacę. Myślała o tej długiej jeździe przez cały kraj, o reflektorach datsuna dobywających znaki drogowe z mroku nocy, o ledwie słyszalnej muzyce z radia, zagłuszanej rykiem wiatru wpadającego przez wybitą szybę w tylnym oknie. W Kalifornii głos Delii był jedyną stałą i niezmienną wartością, znajomą, dźwięczną kołysanką, ale podczas tej piekielnej podróży słowa zaczęły powoli zanikać. Gdy dojechały do Cayro, matka przestała śpiewać i zaczęła płakać. Do nucenia i melodyjnego pomrukiwania wróciła dopiero wtedy, gdy przejechała „Bonnet”, lecz nigdy już nie robiła tego co przedtem: nie zamykała oczu, nie odrzucała do tyłu głowy i nie śpiewała tak, jakby w piosence zamykał się cały świat.

— Szkoda - powtórzył bełkotliwie Clint.

Zaczął działać popołudniowy zastrzyk, muzyka morfiny zagłuszająca pulsujący ból. Clint otwierał i zamykał usta, jego oczy poruszały się pod powiekami jak szklane kulki do gry. Słysząc było cichutkie nucenie i Cissy zdała sobie sprawę, że to on wydaje te dźwięki, jakby porzucone przez Delię słowa wciąż wibrowały w jego ciele. Otworzył oczy i podniósł odpływający w dal wzrok. Przed domem Dede chichotała z Rosemary.

— Włącz radio... — tchnął szeptem. — Włącz radio, chcę tego posłuchać.

Twarz mu zwiotczała. Wciąż nucił. Podmuchał wiatru poruszył zasłonkami i Cissy usłyszała, że na podwórzu też ktoś nuci. Delia. Wywieszała pościel na sznurku i podśpiewywała cicho, nie wiedząc, że ktoś jej słucha. Cissy spojrzała na Clintę, na szklane kulki oczu toczące się pod przeźroczystymi powiekami i ogarnęła ją fala tak intensywnej litości przemieszanej z gniewem, że zadrżała na całym ciele. Nie patrząc, wyciągnęła rękę i włączyła radio. Rozległ się głośny pisk i dłonie Clintę nerwowo drgnęły, by znieruchomieć, gdy z radioodbiornika popłynął głos Emmylou Harris, cichy, głęboki i namaszczony whisky. Prosiła, żeby ukołysać jej duszę na łonie Abrahama, a dłonie Clintę kołysały się wraz z nią.

Cissy popatrzyła przez okno na Delię. Zwariowali - myślała. - Oboje. I to dawno temu. Przyłożyła dłonie do mokrych policzków. Nawet nie wiedziała, że płacze. Emmy Lou wzięła jęklivą nutę i Clintę drgnął.

Zwariował, ale był taki sam jak ona. A może to ona była taka sama jak on? Przypominała go bardziej niż jego własne córki. Może to przez tę ciszę, którą oboje nosili niczym długą bawełnianą koszulę. Delia, Amanda i, Dede ciągle o czymś mówiły, coś wykrzykiwały, trzaskały drzwiami, kipiały oburzeniem i tryskały energią. Tylko Clintę nie miał już nic więcej do powiedzenia. Cissy odzywała się wyłącznie wtedy, gdy musiała, natomiast on uwiązał w swym wnętrzu, w jądrze wielkiej ciszy, dokąd zagnały go ból i choroba. Podczas krótkich okresów przytomności zaczął dużo z Cissy rozmawiać, ale nawet wówczas przede wszystkim dostrzegała w nim ciszę i gwałtowną mowę ciała. Powykręcane nogi i ramiona zdradzały wielkie cierpienie, mocno zaciśnięte szczęki świadczyły o sile, z jaką wytrzymywał ból. Całą energię zużywał na to, żeby utrzymać się w ciele. Nie marnował ani krztyny.

Możliwe, że swego czasu kipiał gniewem i nienawiścią. Możliwe, że się wstydział. Ale gdzieś po drodze, podczas tego długiego umierania, znalazł się w innym miejscu. Już nie musiał być nikim innym niż sobą i zdawało się, że bez przerwy zagłębia w głąb duszy, by sprawdzić, kim jest. Zupełnie tak, jakby się tworzył od początku, jakby lepił nagiego Clintę,

wersję podstawową, bez watowania, bez ocieplacza, bez udawania. Spoglądając na niego, Cissy zauważyła coś, czego nie wyczytała dotąd w żadnych książkach. Zauważyła, jak wiele wysiłku kosztuje umieranie. Wyciągnęła przed siebie rękę i ujęła jego zimne palce. Odetchnął cicho i jakby się odprężył. Cissy otarła rękawem mokry policzek i mocno ścisnęła dłoń chorego.

Nawet jeśli Clint wiedział, ile gniewu wprowadza w stosunki Cissy z Delią, niczym tego po sobie nie okazywał. Ledwie otwierał oczy i już opowiadał jej o matce. Cissy nigdy nie przyszło do głowy, że robi to obsesyjnie.

— Opowiadała ci o mnie? — pytał raz po raz, jakby nie potrafił zapamiętać, że wielokrotnie to potwierdzała.

Jego żuchwę porastała szczecina. Rosła powoli, była rzadka i upstrzona siwymi włoskami, co stanowiło wyraźny dowód, że organizm jest wycieńczony. Clint kilkakrotnie postanawiał, że zapuści brodę, ale za każdym razem wyrastała mu gorsza niż poprzednio. Przeciągał wtedy ręką po policzku, wdychał i prosił Delię, żeby go ogoliła. Sam nie dawał już rady. Zbyt mocno drżały mu ręce, nie potrafił utrzymać nawet elektrycznej golarki. Między innymi właśnie dlatego próbował zapuścić brodę: chciał oszczędzić im kłopotu. Bo golenie Clinta było przedsięwzięciem bardzo kłopotliwym.

~ Wygląda potwornie - skarżyła się Cissy. - Powiedz mu, że nie może zapuszczać brody.

— Niespecjalnie ma co zapuszczać — odparła Delia. — Uczy się tylko nie zwracać na nią uwagi. Niech robi to własnym tempem.

Cissy zawrzała gniewem. Ona też nie chciała powiedzieć Clintowi, jak fatalnie wygląda nie ogolony. Sęk w tym, że choć Clint narzekał, iż go swędzi skóra, rzadko kiedy zaglądał do lusterka, nie wiedział więc, ile stracił ciała i jak bardzo poszarzał na twarzy, z której coraz bardziej sterczały kościsty nos i wyostrzony podbródek. Zapadnięte policzki wychudły tak mocno, że widać przez nie było ruch języka. W sumie dobrze, że nieczęsto widzi się w lustrze — mówiła sobie Cissy. Leżąc przy grającym radiu i otwartych oknach, mógł przed sobą udawać,

że odpoczywa i wraca do zdrowia. Rzut oka w lustro oznaczałby, że musi zmierzyć się ze śmiercią wypisaną na twarzy. Może nadejdzie taki czas, gdy przestanie zważać na swój wygląd. Może nadejdzie taki czas, gdy umieranie mu zobojętnieje.

- Opowiadała ci o mnie? Powiedziała ci, czemu mnie zostawiła?

Cissy wygładziła jeden z ręczników, które składała w nogach łóżka.

- No, nie daj się prosić, powiedz. Mówiła ci. Widzę to po tobie.

Podniosła wzrok. Patrzył na nią oczami obwiedzionymi czerwoną lamówką powiek.

- Mówiła ci, że ją biłem, co?

- Mówiła różne rzeczy.

- Uhm.

Trzymał ręce na pościeli. Zdawało się, że jego wychudłe i kruche nadgarstki nie utrzymają dłoni. Spuchły mu palce, skóra dziwnie się odbarwiła. Zdawało się, że przestały mu rosnać włosy, za to paznokcie robiły się coraz dłuższe. Ciało pod nimi nabrało niebieskoszarej barwy.

- Dobrze zrobiła, że odeszła - powiedział trzeźwo. - Nie miała wielkiego wyboru. Tamtego wieczoru zupełnie mi odbiło. Bałem się sam siebie.

Cissy spojrzała na niego, prosto w te ogromne, uparte i nieruchome oczy.

- Są sprawy, o których ciężko jest myśleć, ale ostatnio niewiele mam do roboty, więc myślę. Co zrobiłem, czego nie zrobiłem, co gotów byłem zrobić. Wiesz, gdybyśmy pobyli ze sobą dłużej, mogłem ją nawet zabić. Tak, do tego zmierzałem. Kipiał we mnie tak wielki gniew, że nawet sobie nie wyobrażasz. Teraz nie mogę się nadziwić, jak mogłem się tak nabuzować. Szaleństwo. Czyste szaleństwo. Równie dobrze mogłem poderżnąć gardło sobie jak i jej. Ilekroć patrzyła na mnie tym swoim smutnym, urażonym i upartym wzrokiem, popadałem w jeszcze większy obłąd. To było jak staczanie się ze stromego zbocza. Jeśli się nie zatrzymasz, grzmotniesz o ziemię. Ja prawie grzmotnąłem.

Rozczapierzył palce i lekko unióśł dłonie. Przypominały skrzydła ptaka chcącego się wzbić w powietrze, z tym że były

bezióre i smutne. Miał jeden z tych swoich dni, dni przyływu energii. Chciał mówić, chciał, żeby Cissy go słuchała.

- Boże, jak to dobrze, że ona uciekła.

Cissy zdrząła, uświadamiając sobie znaczenie tego, co powiedział: szczerze wyznał, że był złym człowiekiem, że był dokładnie taki, za jakiego wszyscy go uważali. Zastanawiała się, czy rzeczywiście potrafi zajrzeć w nią tak głęboko, jak się jej zdawało, przeświecić wzrokiem kości, zapamiętać bicie serca.

- Dlaczego? — Nie chciała się odzywać. Pytanie padło mimowolnie.

- Dlaczego? - Skinął głową. - Właśnie. W tym rzecz. Dlaczego? Dlaczego ktoś miałby aż tak wariować? Kochałem ją. Zawsze ją kochałem. Ona jest inna. Ma w sobie coś. Coś twardego, mocnego i pięknego. Wie o tym każdy mężczyzna, który się do niej zbliżył.

Zamilkł i odwrócił wzrok. Gdy odezwał się ponownie, mówił ciszej, ostrożniej.

- Większość ludzi, a w każdym razie większość dziewcząt tak młodych jak w owym czasie Delia, jest w środku miękka. Zbliżasz się do nich i wyczuwasz, że ta miękkość się do ciebie zwraca. Właśnie tego pragnie wielu mężczyzn. Jakbyś miała do czynienia z glinianym wnętrzem, które możesz przerobić, na co tylko zechcesz, a potem wypalić je i utwardzić. Myślisz, że potrafisz ukształtować je tak, żeby tobie odpowiadało. Oczekiwałem, że każda kobieta się dla mnie tak przetworzy, bo gliniane wnętrza wszystkich tych, które znałem przed Delią, natychmiast się ku mnie obracało, wyczekiwało mnie, pragnęło. Nie mogłem uwierzyć, że Delia jest inna. Źle to odebrałem.

Cissy splotła ukryte pod ręcznikiem ręce. Trzasnęły kłykie. Clint urwał i spojrzął na nią z płonąca twarzą.

- Cholera, sam już nie wiem. Może większość mężczyzn myśli tak samo. Byłem bardzo młody, nieopierzony. Właściwie to byłem jeszcze chłopcem, ale ponieważ ciężko pracowałem, zdawało mi się, że jestem już bardzo dorosły i twardy. Może bałem się, że to Delia zobaczy we mnie miękki środek, że to ona wyczuje, jak się ku niej zwracam. Tak, to ja się ku niej naginałem. Ona była po prostu sobą, była autentyczna jak taśma mierniczego. Piękna, wspaniała, jedyna w swoim rodzaju.



Faceci stawali się przy niej nerwowi nawet wtedy, gdy bardzo jej pragnęli. Do diabła, zwłaszcza wtedy. — Uśmiechnął się, wciąż dumny z tego, co widział oczyma duszy.

Cissy go rozumiała. Już przed laty spostrzegła, że ludzie się przy matce denerwiają. Delia przyciągała ich jak magnes. Kiedy przyjechały do Cayro, przez długi czas zdawało się, że uszło z niej powietrze, że straciła całą tę dźwięczną, rozbuchaną energię. Cissy nie wiedziała, czy stało się tak z winy Randalla, czy też przez to, że wyjechały z Los Angeles. Równie dobrze mogła zareagować w ten sposób na przyjazd do Cayro albo na coś zupełnie innego, w każdym razie załamana Delia przestała być sobą, przestała być dziewczyną z opisów Clinta. Może to jednak przez Randalla? Może do niego się nagięła? Ale jeśli tak, już odzyskała swoją dawną siłę i znowu stała się kobietą, przy której mężczyźni czuli się nieswojo.

- Świącie wierzyłem, że Delia się zmieni - ciągnął Clint. - Wyobrażałem sobie chyba, że zmięknie, kiedy już będę miał ją na dobre, dlatego wciąż próbowałem ją nagiąć. Jakbym próbował naginać światło. Nie mogłem jej uchwycić. Sięgałem i sięgałem, ale na próżno. Teraz widzę to wszystko jak na dłoni i od samych wspomnień palę się ze wstydu.

Oczy zaszczyły mu łzami.

— A prawda jest taka, że próbując złamać kobietę, którą kochałem, zniszczyłem sam siebie. Złamałem siebie, czego ona nigdy nie rozumiała.

Z piersi wyrwał mu się krótki szloch, lecz był tak mocno zdławiony, że zabrzmiał jak przekleństwo. Cissy wbiła wzrok w ręcniki leżące w koszu z czystym praniem.

Clint odchrząknął, jęknął, zaklął jeszcze raz.

- Szlag by to. Boże, niech to wszystko szlag trafi.

Cissy podniosła kosz i ruszyła do drzwi.

— Muszę to odstawić — oznajmiła. — Krzyknij, jak będziesz czegoś potrzebował.

Poszła do kuchni i postawiła kosz na krzesło. Zdarzały się takie dni, gdy odnosiła wrażenie, że zaczyna blaknąć. Od przyjazdu do Cayro pojaśniały jej włosy, gdyż słońce wywabiło z nich czerwień, zastępując ją miedzią. Oczy też jej pojaśniały, upodabniając się barwą do perłowej szarości oczu Clinta. Za-

czyniała przypominać zjawę, widmo z powieści, ducha młodej dziewczyny zamordowanej we śnie.

Z podwórka przysłała Delia z sekatorem w rękę.

— Czy wyjdiesz wreszcie na dwór? Bardzo cię proszę - powiedziała na widok jej wymizerowanej twarzy.

— On powinien leżeć w szpitalu - odrzekła Cissy.

Delia westchnęła.

— Już to przerabialiśmy. On chce być tutaj.

Nie cierpiała tych sprzeczek. Czuła, że przed gniewem Cissy stoi niczym przed tronem Bożym, tyle że Pan Bóg nie wywoływałby w niej takiego poczucia winy.

— Zresztą w szpitalu nie zrobiliby nic więcej ponad to, co my robimy tutaj — dodała.

— My nic nie robimy! - wybuchnęła Cissy. — On umiera. On tam umiera!

— Tak — odparła Delia. Głos miała stanowczy, twarz spokojną. - Taką śmierć wybrał. To jego prawo.

Cissy chciała ją uderzyć, chciała się na nią rzucić. Uratuj mnie — krzyczała bezgłośnie. — Powoli niszczyć swoją duszę, uratuj mnie. Rozpłakała się.

— Mówiłaś, że go nienawidzisz! Mówiłaś, że to potwór! Mówiłaś, że gdybyś mogła, to byś go wtedy zabiła. A teraz myjesz go, karmisz i trzymasz go w nocy za rękę! Nie rozumiem. Nie rozumiem!

Delia chciała ją przytulić, lecz Cissy się odsunęła.

— Kochanie, to już nie potrwa długo.

— To i tak za długo. - Cissy otarła policzki, zhardziały jej oczy. — On tam leży przez ciebie — rzuciła oskarżenie. — To przez ciebie zmarnował sobie życie.

— Cissy. — Delia zbladła jak ściana.

— Tylko na niego popatrz. On ma to gdzieś, że umiera. Na niczym mu nie zależy, zależy mu tylko na tobie. Gdybyś tam teraz weszła i powiedziała, że go kochasz, pewnie wstałby z łóżka.

To prawda — pomyślała Delia. — Tego pragnął najbardziej na świecie. Nie musiałyby go to uleczyć, ale kto wie? Kto wie? Podobno miłość czyni cuda.

Cissy obserwowała jej twarz. Zagościły na niej zaskoczenie i smutek.

— Obiecałaś, tak? Zawarłaś z nim umowę, co? On ci odda Amandę i Dede, a ty dopilnujesz, żeby bezpiecznie trafił do grobu. Oko za oko. Dwie dziewczynki za kąpienie i pogrzebanie mężczyzny, którego nie kochasz.

Delia opadła na krzesło. Zacisnęła dłonie i oparła je na udach. Czas stanął w miejscu.

— Nie jesteś dorosła, Cissy — powiedziała w końcu. — Myślisz, że to rozumiesz. Myślisz, że wszystko układa się wedle jakiegoś schematu, że jest dokładnie tak, jak mówisz. Ale to nieprawda. Żałuję, że jest inaczej. Chciałabym umieć kochać na zawołanie.

Clint zakaszłał sucho, czemu zawtórowało głucho echo. Cissy otarła ręką oczy i odgarnęła włosy. Delia wygładziła bawełnianą spódnicę. Spojrzały w stronę sypialni.

— Przykro mi — rzuciła Delia.

— Tak - burknęła szyderczo Cissy. - Na pewno.

Cissy przestała się do niej odzywać. Unikała Rosemary, a z Dede i Amandą rozmawiała tylko wówczas, kiedy nie miała innego wyjścia. Wieczory spędzała w sypialni Clinta, skulona w fotelu. Albo czytała książki, albo słuchała chorego, pozwalając mu się wygadać, gdy miał na to ochotę. Kiedy w progu pojawiała się Delia czy Amanda, patrzyła na nie gniewnie, gotowa walczyć o prawo do przebywania z umierającym. Dede schodziła jej z drogi. Amanda się za nią modliła. Rosemary obserwowała ją obojętnie swymi czarnymi oczyma.

Kiedy Delia przynosiła wodę lub przychodziła po stojące przy łóżku wiadro, Cissy opuszczała pokój.

Zmieniając pościel, Delia zawsze obmywała Clinta gąbką.

— Powiedz coś - szeptał wówczas Clint.

— Nie mam co.

— Opowiedz, co robisz. O czym myślisz. Nie musimy rozmawiać o nas - szeptał bezdźwięcznie, chłonąc spojrzeniem jej twarz.

— Nie ma żadnego „nas” — odparła, nie odrywając wzroku od obmywanego ciała. Starannie wypłukała myjkę w roztworze wody i alkoholu, dokładnie ją wyzęła i przeciągnęła nią po wychudłych udach Clinta.

— A jak dziewczynki? — Aż ochrypł z rozpaczy.

— W porządku. — Przykryła go prześcieradłem i spojrzała w stronę drzwi. W progu sypialni stała Cissy. — U dziewczynek wszystko w porządku.

Clint trzymał się Cissy jak liny ratunkowej. Mówił do niej, gdy tylko mógł swobodniej oddychać, wpatrywał się w nią, gdy czytała. I ciągle pytał:

— Nie zapomnisz mnie, prawda?

— Nie — odpowiadała. — Nie zapomnę.

Gdy przy nim siadywała, uśmiechał się do niej nieskończenie łagodnym, pełnym zadowolenia uśmiechem. Był pogodzony z sobą, zdawało się, że niczego nie brakuje mu do szczęścia. Potem zaczynał mówić i twarz mu się zmieniała, i znowu błądził wzrokiem po sypialni, szukając czegoś, czego nie mógł znaleźć.

— Najgorsze — mówił — najgorsze jest to, że wciąż zdarzają się takie dni, kiedy — gdybym tylko mógł, gdybym mógł podnieść się z łóżka — zrobiłbym coś strasznego. Nachodzi mnie ciemność, a wtedy leżę i zgrzytam zębami, jakbym chciał zmiażdżyć komuś kości. Delii, tobie, sobie. Chyba urodziłem się szurnięty i od tamtej pory próbuję wydobrzeć. Bywają takie dni, kiedy czuję się jak wariat, jak szaleniec.

Zakaszła soczycie, jakby przetykając tchawicę, i opadł na poduszki. Białka jego oczu przybrały barwę ciemnego różu.

— Niech to szlag — wychrypiał i zadrżał z wysiłku, próbując normalnie oddychać.

— Delia powiedziała, że Pan Jezus przemówił ci do serca — odezwała się Cissy, żeby odwrócić jego uwagę.

— Naprawdę? — Oddychał trochę lżej. — Albo Jezus, albo ktoś inny. A może i Jezus? Czasem myślę, że to jednak bożek w ciele krowy. — Uśmiechnął się głupkowato. — Na szkoleniu wojskowym dowiedziałem się różnych rzeczy o ludziach z innych kontynentów. Niektórzy z nich uważają, że krowy są święte. Nieźle. Nawet mi się to spodobało. Ale bardziej odpowiadałby mi byk. No bo można wziąć byka za rogi, można z niego spaść, można zaprawić kogoś bykiem... Co za bzdura.

Zagulgotało mu w gardle, najwyraźniej znowu próbował je oczyścić. Odprężył się nieco, kiedy potrzeba odkaslnięcia minęła.

— Nic o tych krowach nie wiedziałem, widziałem je tylko na

filmie, na szkoleniu. Były tam takie wielkie byki z mosiądzu i wszyscy się z nich naśmiewali. Byczy kutas, kutas po byku. Jezus czy byk, nie robiło mi to różnicy. Ale pewnego dnia tak się porobiło, że nie mogłem już siebie znieść, nie mogłem znieść własnego smrodu.

Zamilkł, zerknął na Cissy, zastygł bez ruchu, po czym prawie niedostrzegalnie skinął swoją trupią głową.

— Ty nie wiesz, dziewczyno. Nawet sobie tego nie wyobrażasz. Straszny jest ten smród. Człowiek chodzi wiecznie pijany albo wściekły. Jak dłuższy czas jesteś zły, pot zmienia zapach, starzeje się, wrednieje, kwaśniej. Nie mogłem tego smrodu znieść. Prawie cały dzień przesiedziałem w wannie u matki. W sztok pijany, ryczałem, puszczałem gorącą wodę i wachałem się, nienawidząc własnego ciała. Kiedy woda stygła, dolewałem gorącej. Mama co jakiś czas waliła do drzwi i darła się, żebym wziął dupę w garść i wreszcie stamtąd wylazł. To było zaraz po śmierci taty. Za jego życia nigdy by tak nie powiedziała. Nie zwracałem na nią uwagi. Zatkaną sobie usta kawałkiem szmaty i ryczałem dalej. Aż dziurę w tej szmacie wygryzłem, żeby nikt mnie nie słyszał.

Cissy przyglądała mu się badawczo. Odnosiła wrażenie, że złe wspomnienia dodają mu sił. Oddychał bez wysiłku, jego skóra przybrała prawie normalną barwę.

— Myślałem już, że będę musiał się zabić. Postanowiłem, że wyjdę z wanny i palnę sobie w łeb. Że włożę lufę do ust i odstrzelę czerep. Chciałem to zrobić, jak trzeba. Dla większej wymowy postanowiłem skorzystać ze strzelby taty. Zacząłem się szykować. Wyciągnąłem korek, wypuściłem wodę. Osuszyłem twarz i byłem gotów jak jasny gwint. I nagle poczułem, że w powietrzu coś się odmieniło. Zobaczyłem, do czego to wszystko doprowadzi. Zobaczyłem, jak siedzę nago na zimnej terakocie: podciągnięte kolana, pomarszczona skóra, zapadnięty brzuch. — Roześmiał się i potrząsnął głową. — Do diabła, zobaczyłem, jak to będzie. Zrozumiałem, że Amandę i Dede też musiałbym zastrzelić, no i mamę, rzecz jasna. Przecież nie mogłem zostawić ich z tym wszystkim samych. A gdyby ktoś się akurat napatoczył, jego też musiałbym sprzątnąć. A potem spalić dom. Co tam dom, dlaczego nie całe

Cayro? — Urwał i spojrzął na swoje dłonie. — To śmieszne, że są takie chwile, kiedy człowiek patrzy na świat z taką jasnością. Widzi rzeczy szalone, mordercze i czarne, ale wszystkie układają mu się w głowie jak nigdy dotąd. Wszystkie się o siebie zazębiają, tworząc coś, co miały utworzyć. No i zobaczyłem, czym skończyłoby się moje samobójstwo. — Złożył dłonie i spłótł palce jak do modlitwy.

— Może tylko raz w życiu Bóg obdarza człowieka zdolnością tak wyrazistego widzenia — ciągnął po chwili. — W każdym razie mnie wtedy obdarzył, bo ujrzałem całą potworność swojego życia, smutek, jakiego przysporzyłem innym. Może Bóg czeka, aż człowiek zabrnije tak daleko, że gotów jest znieść prawdę o sobie, a potem łup, wali go nią po łbie. Ja oberwałem kwintesencją zła. Pośród wielu innych ta historia z Delią była najłżejszego kalibru. Ojciec, matka, bracia, córki, ci, z którymi się kiedykolwiek zetknąłem, zawsze patrzyli na mnie ze strachem lub z gniewem. Nie widziałem wówczas nikogo, kto spojrząłby na mnie z miłością. Wszystko przeze mnie. To ja zmieniłem swoje życie w koszmar.

Rozerwał splecione ręce i spojrzął na Cissy rozjaśnionym wzrokiem.

— Ujrzałem to tak wyraźnie. Zobaczyłem, że mógłbym umrzeć, a nikt by po mnie nie zapłakał. Ludzie odetchnęliby z ulgą, nawet ci, którzy mnie dawniej kochali. Po prostu wytrzymałoby mnie z pamięci i poszli dalej.

Żrenice miał rozszerzone, jakby wylewał przez oczy własną duszę.

— Może dotknął mnie Bóg? — wyszeptał. — Może Jezus położył rękę na moim sercu? Może spojrzął na mnie łaskawie ten byk z niebiesiech innych ludzi? Nigdy przedtem w nic nie wierzyłem, a i teraz nie jestem pewny, w co wierzę. Tyle że zdarzają mi się krótkie chwile, kiedy czuję to samo co wtedy. Popadłem w obłąd. Potem w jeszcze większy. A potem ocknałem się w pustej wannie prawie całkiem zdrowy na umyśle, chcąc, żeby tamto już nie wróciło.

Miał świszczący oddech, odpędzął kolejny atak kaszlu.

— Gdyby ktoś cię kiedy pytał, to powiedz, że tak się właśnie zmieniamy. Albo nagle, albo wcale. Głupio, szaleńczo albo po prostu rozpaczliwie nie chcąc być kimś, kim byliśmy

dotychczas. Potem oczywiście musimy z tym żyć, musimy zmienić się na co dzień i dopiero wtedy zaczyna się prawdziwe piekło.

Podniósł prawą rękę i otarł usta kościstymi, jakby tylko z grubsza ociosanymi palcami.

— Dzień po dniu. To odmienianie życia było najgorszą męką, jaką potrafisz sobie wyobrazić. I jak już mówiłem, wciąż zdarzają się dni, kiedy mi to nie wychodzi.

Zamknął oczy. Spod jego powiek wypłynęły łzy, a gdy odezwał się ponownie, jego głos brzmiał tak cicho, że Cissy ledwie go słyszała.

— Są takie dni, kiedy staję się podły jak dawniej. Wtedy myślę sobie: to dobrze, że umieram, bo Bóg na pewno nie chciałby utrzymać mnie przy życiu po to, żebym spełnił swoje koszmarne zachcianki.

— Ale przecież cię dotknął — powiedziała Cissy, wiedząc, że próbuje pocieszyć samą siebie.

— Taaa... - mruknął Clint, nie otwierając oczu. Skinął wychudzoną brodą. Twarz miał nieruchomą, jakby spał.

Cissy cofnęła się w stronę drzwi.

— Czasem mam wrażenie, że coś mnie dotyka, a wtedy przechodzi mi i strach, i gniew. Na jedną małą chwilkę, ale tak właśnie jest. Może to ten byk? Nie wiem, ale coś mnie na pewno dotyka. — Z zamkniętymi oczami, wciąż roniąc łzy, niezdarnie uderzył dłońmi w materac. - To coś na pewno jest.

— Tak — szepnęła Cissy i otworzyła drzwi.

W progu zatrzymał ją słaby, lecz natarczywy głos Clinta:

— Nie zapomnisz mnie?

— Boże, nie.

— Boże, nie...

Słyszał je: swoją kobietę i dziewczynki. Rozmawiały, sprzeczały się, chodziły po domu. Przez chwilę odczuwał złość, ale pod wpływem morfiny złość wyprawiała różne figle. Nie potrafił już odróżnić, czy to gniew przyprawia go o zawrót głowy i wprawia w stan dezorientacji, czy morfina. Wszystko przepływało mu przed oczami i zmieniało postać. Dede do złudzenia przypominała Delię, Amanda mówiła jak jego matka,

a w Cissy widział odbicie siebie samego. Bez względu na to, kim był przedtem, teraz stał się kimś zupełnie innym. Człowiek może się zmienić. Człowiek naprawdę może się zmienić. Z trudem oddychał. Powietrze smakowało jak whisky, pot zamieniał się w krew. Bóg weźmie go do siebie, oczyści jego kości i rzuci na pożarcie bykom.

— Boże, zabierz mnie — szepnął i przypomniał sobie, jak to było.

Delię poznał dopiero w ogólniaku. Ślepy los rzucił ich sobie w ramiona, ponieważ byli zbyt nieśmiali i zbyt uparci, żeby bawić się w podrywanie szkolnych kolegów czy koleżanek.

Zanim ją poznał, umawiał się z innymi dziewczynami, ale robił to bez szczególnego przekonania. Zawsze coś ich dzieliło. Był całkiem przystojny, lecz nieśmiały i niezręczny, poza tym, że względu na strzaskane kolano, leciutko utykał i nie mógł brać udziału w meczach ani w wyścigach. Przez to kolano nie wzięli go do wojska, co nie wydawało mu się szczególnie korzystne do chwili, gdy wybuchła wojna w Wietnamie, napawająca lękiem tych, którzy mogli grać w piłkę. W miejscowym ogólniaku, podobnie jak w całej rolniczej części Georgii, sport ceniono najbardziej. Nawet chłopcy z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi, nawet ci, którzy rozbijali się samochodami, walczyli o tę najważniejszą z nagród: o miejsce w drużynie. Clint nie mógł o tym nawet marzyć.

Chętnie się uśmiechał, czym zjednywał ludzi, lecz poza uśmiechem nie potrafił wydobyć z siebie nic więcej.

— Chłopak jest miły, ale wszelkie próby nakłonienia go do rozmowy przypominają pływanie w majonezie.

Dziewczęta patrzyły nań wyczekująco. Spoglądał im w oczy, potem spuszczał głowę i wbijał wzrok w podłogę. Bo niby co miał zrobić? Opowiedzieć im o swoim ojcu, człowieku, który nigdy się nie odzywał? A może o matce, która budziła się z pacierzem na ustach i mówiła niewiele więcej, niż że śniadanie, obiad i poczta przysłała? W domu Windsorów tylko pomrukiwano i mówiono utartymi zwrotami. Zwroty niewyraźnie mamrotano, prośby wypowiadano szeptem, zdziwienie okazywano głośnym posapywaniem.

— Nie, mężu, nie!

— Tak, kobieto, tak.



Zaciskał wtedy zęby, podczas gdy w głowie rozbrzmiewały mu atonalne hymny, drażniące jego dumę. Lepiej się nie odzywać. Lepiej uśmiechnąć się i odwrócić wzrok. Wolał nie widzieć czegoś, czego nie mógł zrozumieć: smutnego gniewu ojca, ofiarnej cierpliwości sznurującej usta matki.

Tamtego popołudnia jego uwagę zwrócił śpiew Delii dochodzący spoza sali gimnastycznej. Kropił zimny, drobny kapuśniaczek i Clint postanowił wrócić do domu późniejszym autobusem. Zawsze mógł powiedzieć ojcu, że się poślizgnął i nie zdążył na ten wcześniejszy. Dzięki pogodzie miał wreszcie trochę czasu dla siebie. Był to jeden z nielicznych i krótkotrwałych okresów wyzwolenia od farmy i nie kończących się żądań ojca. Wymknął się cichcem, żeby wypalić za salą papierosa i popatrzeć na piłkarzy biegających wokół boiska. Nie chciał, żeby ktokolwiek go na tym przyłapał i pomyślał, że zazdrości kolegom czy patrzy na nich z zawiścią, dlatego kuśtykając przy ścianie budynku, starał się nie rzucać nikomu w oczy. Jednakże ledwie się ulokował pod daszkiem przy bocznym wejściu do sali, kiedy zza rogu wyłoniła się Delia. Poprzedzały ją miękkie wibracje powietrza, układające się w melodię czułą jak modlitwa.

Zdziwienie otworzyło mu usta. Zdziwienie kazało mu przemówić.

— Samotny.

Przystanąła, odwróciła głowę, spojrzała mu w oczy. W piersi zapłonęła mu iskra. Na jej policzki, natychmiast wystąpił rumieniec. Wyglądali jak fotografia i jej negatyw: Clint o twarzy mrocznej i znieruchomiałej i Delia o lśniących rudoblond włosach i wyrazistych rysach.

— Tak bardzo, że prawie umieram - kazało mu dopowiedzieć zakłopotanie. Zrobiło mu się gorąco, oblał go pot. - Jestem taki samotny, że prawie umieram. Hank Williams. Znam tę piosenkę.

Po słodkim głosie Delii jego głos zabrzmiał chropawo.

— Lubię stare nagrania. — Jej głos, pełny i soczysty jak wtedy, gdy śpiewała, przywodził na myśl przypalony karmel. Clint nigdy takiego głosu nie słyszał. Zakołysała się na piętach z rękami w kieszeniach kurtki. — Ale zawsze sobie wyobrażam, że śpiewa to kobieta. Na przykład Joan Baez. Gdyby zechciała.

Zobaczył, że materiał kurtki się wybrzuszył i zrozumiał, że dziewczyna zacisnęła pięści. Boi się - pomyślał. Ale właśnie wtedy podniosła głowę i przeszła go wzrokiem upartym i nieustraszonym.

- Powinna - wybełkotał. — Joan Baez. Powinna. Dobrze by to zaśpiewała.

Zadziwiająco. Przemówił! Trochę ochłonał i zaryzykował jeszcze jeden rzut oka na kieszenie Delii. Przechyliła głowę na bok, jakby miejsce, z którego się mu przyglądała, było rzadkie i szczególne, ale dłoni już nie zaciskała. Uśmiechną się. Odpowiedziała mu uśmiechem równie swobodnym i pełnym światła, jak piosenka, którą przed chwilą śpiewała.

- Poczęstujesz mnie? - zapytała, wskazując wilgotny, zapomniany niedopałek, który wciąż ścisnął między kciukiem i palcem wskazującym.

Spojrzał nań, potem popatrzył na Delię. Dziewczyna, która pali i która wcale tego przed nim nie ukrywa. Jego rodzicom bardzo by się to nie podobało. Sam palił na okrągło, gdy tylko zdołał od nich uciec, a oni wciąż mu powtarzali, że palenie jest wstrętnym nałogiem, że zdradza słaby i chwiejny charakter.

- Zniszczysz sobie zdrowie, chłopcze.

Zniszczysz sobie zdrowie — ledwie się powstrzymał, żeby tego nie powiedzieć. Włożył rękę do kieszeni i wymacał paczkę winstonów. Delia podeszła bliżej i zrozumiał, że czeka na ogień. Opadły mu ręce. Przypalając sobie papierosa, zużył ostatnią zapałkę, a przecież nie każe jej odpalić od peta. Cholera jasna! — zaklął w duchu.

Za sprawą jakiegoś cudu Delia nie zauważyła jego rozpaczy. Niedbałym gestem sięgnęła po dłoń Clinta, bladymi palcami przyciągnęła ją do siebie i przytknęła papierosa do żaru wilgotnego niedopałka. Jej policzki wybrzuszały się i zapadały, wybrzuszały się i zapadały, wreszcie puściła jego rękę i z przyjemnością zaciągnęła się dymem.

- Jak dobrze... - westchnęła z ulgą, opierając się przy nim o ścianę i nie zważając na to, że aż sapnął z wrażenia. Wydmuchała cienką strużkę dymu pod dach sali gimnastycznej. - Jak dobrze... Pod koniec dnia o niczym innym nie marzę.

Celowo uciekając wzrokiem w bok, spojrzał na boisko. To, że tak gładko i łatwo wyciągnęła od niego fajkę, wytworzyło

między nimi seksualne napięcie, jakiego nigdy w swym siedemnastoletnim życiu nie zaznał, to zaś, że odpaliła papierosa od żaru niedopałka, sprawiło, iż z pożądania zakręciło mu się w głowie. Zaczęły mu dygotać przesłonięte dzinsami kolana, krocze pulsowało gorącem. Mógł myśleć tylko o tym, jak wspaniała jest ta pałaca obok niego dziewczyna. Jej papieros znowu się rozżarzył i w niebo powędrowała kolejna strużka dymu. Uniósł drżącą dłoń i zaciągnął się ostatni raz, wciągając nikotynę głęboko do płuc. Dym smakował jakoś inaczej, był naładowany elektrycznością i słodki. Delia sekundowała mu w nieskrępowanej ciszy. W pewnym momencie westchnęła, a on wyraźnie poczuł, że lekko uderzyła głową w ceglana ścianę budynku.

— Spójrz tylko, jak biegają — powiedziała tak cicho, jakby śpiewała mruczankę.

Chłopcy rozpoczęli ostatnie okrążenia. Niektórzy potykali się z wyczerpania, stawiając stopy ciężko i płasko.

— Biedni skurkowańcy — rzucił Clint zachęcony lekceważącym tonem jej głosu.

— Racja.

Przekrzywiła głowę w lewo i w prawo, przesuwając ramionami po ścianie. Usłyszała szelest materiału kurtki trącej o cegły. Nagle wyostrzyły mu się zmysły: wyraźnie odróżniał zapach dymu swego papierosa od zapachu dymu papierosa, którego paliła ona, niemal słyszał, jak poruszała mięśniami.

— Jakby szykowali się do wojska. Boże, jakby nic nie wiedzieli. — Potrząsnęła głową.

W tym momencie wyostrzył mu się też wzrok i patrząc na biegnących chłopców, Clint po raz pierwszy zobaczył, że biegną ku przeznaczeniu, którego on nie będzie z nimi dzielił. Uświadomił sobie, że nie wie, co czeka go w przyszłości, że nie wie, co chce robić w życiu. Wiedział, że lotnością umysłu nie grzeszy; ojciec powtarzał mu to aż za często. Nie był wystarczająco zdolny, żeby dostać stypendium, nie miał żadnych atutów. Lecz nagle uświadomił sobie jedno: nie chciał uprawiać orzeszków ziemnych ani harować na farmie. Tylko *co* mógł robić, skoro nie zamierzał pracować z ojcem?

Boże, pomóż mi - pomyślał, zapominając o ścianie za plecami

i o Delii. Zbici w ciasną gromadkę chłopcy weszli w ostatni zakręt, pochylili ramiona i ruszyli do mety, ocierając się o siebie biodrami i wyrzucając stopami bryły wilgotnej czerwonej ziemi. Żałośni i dzielni, pędzili chwiejnie do trenera, który klepiąc się po udach podkładką z notatkami, groźnym spojrzeniem oceniał ich bieg. Clint poczuł, że ściska go w gardle.

— Smutne — szepnęła Delia.

— Szybciej, sukinsyny! — ryknął trener.

Pogarda w jego głosie zalała Clintowi serce wyraźnie wyczuwalną falą.

— Jasna cholera! — Sparzył się zarem papierosa i potrząsnął ręką.

— Taaa... — zawtórowała mu Delia i wyrzuciła na wpół wypalonego papierosa. Spadł na ziemię, dołączając do leżących tam petów. — Widzisz coś takiego i zaczynasz zastanawiać się nad światem, no nie?

Obróciła się do niego, przyciskając do brzucha poły kurtki. Czy miała cieplejsze niż uśmiech. Jesteś w porządku — mówiły. — Oboje wiemy swoje, prawda? Clint nie potrafił oderwać od niej wzroku. Jestem w porządku - pomyślał. — Nic mi nie dolega. Delia skinęła mu głową i odeszła, podśpiewując tę samą piosenkę.

Popatrzył na biegaczy. Dwaj z nich upadli. Schował ręce do kieszeni.

— Jestem w porządku — powiedział i odepchnął się od ściany.

W rozgrzanej gorączką pościeli próbował przewrócić się na bok. Biodro uwięzło mu w potrzasku przykrótkich ścięgien biegnących do kolana i opary morfiny rozproszył ostry ból. Delia namówiła doktora Campbella, żeby zwiększył dawkę narkotyku, żeby dał mu możliwość wychnienia i oderwanego od rzeczywistości snu. On zaś cały czas śnił o spędzonych z nią chwilach, które z rzadka przeplatały migawki z czasów, zanim ją poznał, oraz poszatkowane wizje tego, co dopiero nastąpi. Świat chciał go wyswobodzić, tak, już się do tego szykował. Unosił go hen, wysoko, skąd widział swoje dziewczynki, dorosłe już i pełne nienawiści, potem przenosił go w dół, wstecz, do okresu niemowlęctwa, gdy ssał matczyną pierś, w co nie mógł

uwierzyć. Delia miała trwać wiecznie, on nie. I tak było dobrze. Wreszcie to zrozumiał. Tak było w porządku.

— Cholera — mruknął. Język miał suchy i sztywny. Nie miał siły mówić, mimo to zaklął raz jeszcze. Cholera. Powiedział to w myślach i poczuł, że znowu rozpoczyna swą podróż, że tym razem wznosi się jeszcze wyżej i dalej. Usłyszał szelest kurtki trącej o ceglana ścianę, poczuł dym z papierosów i mokrą woń ziemi, zobaczył stojącą obok dziewczynę i czekające ich lata, a potem jej krew na swoich rękach i swoją mokrą od łez twarz. Krocze zalała mu fala gorąca, którego nie odczuwał od tak dawna, że początkowo nie wiedział, co to znaczy.

— Cholera — powiedział głośno i wleciał wysoko, tam gdzie jeszcze nigdy dotąd nie był.

I już nie wrócił.

## 11

Pogrzeb prowadził pastor Hillman. Ludzi przyszło niewielu, choć i tak było ich więcej, niż przepowiadała M.T. Wraz z babką Windsor na pogrzebie pojawiło się kilka kobiet z Holiness Redeemer. Stawili się też niektórzy koledzy Clinta z fabryki Firestone'a oraz przynajmniej dziesięć stałych klientek z „Bee's Bonnet”, których nikt się nie spodziewał.

— Niektórzy przyszli tylko po to, żeby upewnić się, czy on naprawdę umarł — szepnęła M.T.

Stała z Rosemary pod baldachimem rozpostartym przy grobie. Rosemary uśmiechnęła się i zasłoniła ręką usta. Od telefonu z wiadomością, że Windsor nie żyje, M.T. stała się znowu pogodna i przyjacielska. Ale cieszyła się nie tylko dlatego, że Clint umarł. Rosemary wiedziała, że M.T. cieszy się z jej rychłego wyjazdu, ale też i ona sama nie była z tego powodu wcale nieszczęśliwa. Zdążyła się już nasycić tym małym miasteczkiem i od tygodni siedziała na walizkach. Poprzysięgła sobie, że straci butem ziemię na trumnę Clinta, czekała więc, aż tłumek żałobników odejdzie od grobu.

- Kiedy wrócę do Los Angeles — szepnęła do M.T. — zapiszę się do jednego z tych dziennych ośrodków rehabilitacyjnych, żeby mnie naoliwili, wymasowali i postawili na nogi. Odwiedź mnie, zafunduję ci podróż. Nie uwierzysz, jak człowiek po takich zabiegach odżywa.

- Och, chyba nie mogłabym tego zrobić! - Pomysł wyraził nie ją kusił. Spojrzała z ukosa na Steph, która, trzymając Lyle'a za rękę, bez powodzenia usiłowała przybrać smutny wyraz twarzy.

- Powinnaś. Los Angeles to wspaniałe miasto dla kobiet w naszym wieku. Pełno tam młodych mężczyzn gotowych docenić starsze zamożne panie. — Rosemary uśmiechnęła się i otoczyła M.T. ramieniem.

- Takich... żigolaków?

- Uhm. Jurnych, silnych, przystojnych i młodych żigolaków. Są doskonałą receptą na zmęczoną krew i złe samopoczucie. Nie wiem jak z twoim, ale po tych ostatnich paru miesiącach z moim samopoczuciem bynajmniej nie jest najlepiej. - Ścisnęła jej ramię i odchyliła się do tyłu przed gniewnym wzrokiem babki Windsor. Stara spoglądała na nią nienawistnie, od chwili gdy wyszły z kościoła.

- Ty to masz niewyparzony język! — M.T. zacisnęła usta, żeby nie zachichotać. Szkoda, że Rosemary nie zapałała sympatią do Cayro. Mogłaby ją kiedyś polubić.

- Taki sam jak ty. Mówię tak samo jak ty. Jak myślisz, dlaczego Delia się z nami przyjaźni? Bo mamy z sobą wiele wspólnego, droga pani Marjolene Thomasina. Łączy nas więcej niż przyjaźń z Delią Byrd. - Odwróciła głowę i posłała babce Windsor szeroki uśmiech. Stara odpowiedziała jej wrogim spojrzeniem i odeszła od grobu syna.

Cissy ledwie słyszała, co mówi pastor Hillman. Myślała o swoim tatusiu. Wspominała dzień, w którym wszyscy razem poszli na pogrzeb jego kolegi. Weszli do kaplicy, gdzie stały kosze pełne kwiatów, przewiązane kolorowymi szarfami. Delia miała na sobie aksamitną kamizelkę z rozpryskującą się jaskrawopomarańczową gwiazdą wyhaftowaną na plecach. Randall obszedł kościół z Cissy na biodrze, wymieniając z ludźmi uściski dłoni i wspomnienia. W pewnej chwili podniósł ją wysoko i posadził wśród kwiatów, wśród żółtych stokrotek,

różowych i białych chryzantem, które sięgały tak wysoko, że Cissyomalże w nich nie utonąła.

— Śmierć to tylko zmiana okoliczności — powiedział jakiś mężczyzna w nierówno ufarbowanym podkoszulku, z warkoczykami związanymi kawałkami rzemyka. Pociągnął z termosu i zachwiał się.

Randall wyjął Cissy z kwiatów. Była oblepiona pyłkiem i płatkami.

— Śmierć to śmierć — odparł ze złością. Mocno przytulił Cissy i łypnął gniewnie na tego z warkoczykami. — Pogrzeby nie mają nic wspólnego ze śmiercią. Pogrzeby są dla nas. Żebyśmy wiedzieli, jakie to szczęście, że jeszcze żyjemy.

Przy grobie Clinta Cissy bardzo wyraźnie przypomniała sobie tamtą wymianę zdań, a przecież nie myślała o niej od lat. Potem Randall zabrał ją na spacer między nagrobkami. Szli, a on żartował z cementowych aniołków i betonowych cherubinków.

— Ja tam każę się skremować — oznajmił, gdy usiedli w cieńnię przysadzistego kalifornijskiego dębu. - A kupkę popiołu i kości, która po mnie zostanie, każę rozrzucić jako nawóz pod jakimś dużym starym drzewem. Potem zamienię się w kwiaty i lśniące zielone liście. - Zabrzmiało to bardzo pogodnie, zwłaszcza w zestawieniu z posępnymi twarzami jego znajomych.

Nie rozumiała, dlaczego wszyscy są tacy smutni. Przecież Randall powiedział, że jego przyjacielowi jest teraz lepiej, że dobrze jest karmić drzewa. Gdy doszli do długiej kawalkady aut czekających u bram cementarza, jeden z kierowców bąknął coś o hipisach. Randall roześmiał mu się w twarz.

— Tak - odrzekł - jesteśmy bogatymi hipisami. - Potem odwrócił się i wziął Cissy na barana. Pamiętała ten śmiech i to, jak mówił o przemianie w lśniące zielone liście. Właśnie tym zajmują się hipisi — myślała tamtego dnia — wydają przyjęcia na cześć zmarłych przyjaciół, a potem zamieniają się w nawóz ogrodniczy.

Byłoby dobrze, gdyby Clint miał w sobie odrobinę z hipisa. W ostatnim tygodniu przed śmiercią wiecznie się czegoś bał. Prosił Delię, żeby sprowadziła wielebnego Hillmana, a potem, kiedy pastor już przy nim usiadł, cały czas płakał. Ilekroć Cissy

wchodziła do pokoju, chwycił jej ręce swoimi sękatymi dłońmi i trzymał tak mocno, że miała wrażenie, iż zaraz zmiażdży jej kości. Pod sam koniec nie był już w stanie ani rozmawić, ani spać, tylko miotał się po łóżku i jęczał, dopóki Delia nie nakłoniła doktora, żeby zwiększył mu dawkę morfiny. A kiedy umarł, wyprosiła dziewczynki z pokoju i z pomocą Rosemary umyła go i przebrała w garnitur z ciemnej wełny. Po raz pierwszy wyglądał jak Clint ze starych fotografii Delii, poważny i ubrany w garnitur zdecydowanie za duży jak na swoje wymizerowane ciało.

— Powinno się go pochować gołego — stwierdziła Dede skrzeczącym głosem.

— Powinno się go spalić — szepnęła Cissy. Dede spojrzała na nią przeciągle. - Obrócić go w kupkę kości i popiołu. Podsypać nim drzewa i kwiaty.

Dede aż zadrżała.

— Może raczej skały. Tak, powinno się wysypać go na skały, żeby ptaki mogły wybierać jego kości na budowę gniazda.

Dede nie chciała iść na pogrzeb, ale Delia kazała im wszystkim przyjść i stanąć w szeregu przy niej.

Kiedy wrócili do domu, Rosemary przytknęła rękę do policzka Cissy, uśmiechnęła się łagodnie i spytała:

— Dobrze się czujesz, kochanie?

Cissy miała zmartwioną i wymizerowaną buzię. Przypominała jej siebie sprzed lat, dziewczynkę, która nie cieszyła się zbytym poważaniem w domu pełnym rozkazujących, władczych głosów.

— Tak. — Cissy odtrąciła jej rękę.

— Babcia Windsor wyglądała okropnie - stwierdziła Amanda. — Włosy sterczały jej w każdą stronę, a szyja przypominała szyję kurczaka.

— Twoja babcia się starzeje — zauważyła spokojnie Delia. — Poza tym ciężko jest stracić syna.

— Zastanawiałam się właśnie, czy nie powinnyśmy jej odwiedzić — rzuciła niepewnie Amanda.

— Jeśli chcecie - odparła Delia.

Wyglądała źle, chociaż nie tak fatalnie jak babka Windsor. Cienie pod oczami przybrały barwę winogron, które tego ranka podrzucono im w koszyku na ganek. Stojąc przy stole



zastawionym rondlami, zawiniętymi folią talerzami z wędliną, owocami i maleńkimi doniczkami ze zwieńczonymi białymi kwiatkami, dotknęła jednej z nakrytych miseczek i opuściła rękę.

— Chyba położę się na chwilę — oznajmiła. — Tak, muszę się położyć.

Rosemary objęła ją. Z drugiej strony podeszła do niej M.T. i przeprowadziły Delię przez korytarz. Z każdym krokiem opadała z sił, aż wreszcie zdawało się, że przyjaciółki ją niosą.

— O co się zakładasz, że wstanie dopiero jutro wieczorem? — spytała Dede.

— Pojutrze — odparła Cissy. — Albo za dwa dni. Na cmentarzu myślałam, że wpadnie do grobu.

— A ja, że to Rosemary tam wleci. Widziałas, jak blisko podeszła, kiedy opuścili trumnę?

— Tak. — Cissy uchyliła jedną z foliowych pokrywek. Czegoś potrzebowała, ale na pewno nie jedzenia. W głowie ją łupało, oczy piekły.

— To uczulenie — orzekła Rosemary. — Masz zapuchnięte oczy.

Nikt nie chciał przyjąć do wiadomości, że płakała. Amanda kilka razy ocierała oczy, lecz ani Dede, ani Delia nie uroniły łzy. Tylko Cissy wyglądała i czuła się jak babcia Windsor. Wciąż myślała o Randalle i o jego pogrzebie, który odbył się tuż przed ich wyjazdem z Los Angeles.

— Wiesz, na co mam ochotę? — spytała Dede z plasterkiem szynki w jednej i kawałkiem jasnego ciasta w drugiej ręce. — Na drinka, na prawdziwego drinka. Na taki koktajl, jaki zawsze zamawiają sobie w telewizji. Dżin z tonikiem albo whisky z sokiem z cytryny, odrobiną cukru i wodą sodową. — Ugryzła kawałek szynki i poważnie skinęła głową.

— Tak? — Cissy uniosła okulary i wytarła lewe oko. Jeden z kącików był tak podrażniony, że zapiekł pod dotykiem. Miała tak żałosną minę, że Dede omal nie wybuchnęła śmiechem.

— Co pija Rosemary? Burbona czy szkoocką? — spytała.

— Nie wiem — odrzekła Cissy.

— Nieważne. Z coca-colą wszystko nam posmakuje. Zróbmy sobie po drinku i urządzmy mały piknik za domem.

— Myślisz, że powinniśmy? — Cissy spojrzała w głąb kory-

tarza. Nie chciała rozmawiać z M.T. ani z Rosemary. A zwłaszcza z Amandą.

— Myślę, że z całą pewnością tak — odparła z mocą Dede. — Zrobimy to dla Clint'a. Pewnie tylko on jeden by temu przyklasnął.

W kuchni stała butelka szkockiej i butelka burbona, lecz ani w jednej, ani w drugiej nie zostało zbyt wiele trunku. Dede przyrządziła drinki i podała Cissy szklaneczkę szkockiej, twierdząc, że pija ją Rosemary, więc musi to być coś dobrego. Ale już po pierwszym łyku Cissy odkryła, że szkocka musi być tym jedynym napojem w świecie, który z całą pewnością nie smakuje. Po drugim łyku doszła jednak do wniosku, że koktajl nie jest wcale najgorszy i że kanapka z szynką nabierała przy nim smaku. Tymczasem Dede oznajmiła, że jej ulubionym drinkiem będzie odtąd burbon. Siedziały przy garażu pod leszczyną i niebawem Cissy zauważyła, że czuje się znacznie lepiej niż w ciągu ostatniego tygodnia. Kto wie, może Randall miał rację? Może śmierć wcale nie jest taka straszna? Nieżywy Clint wyglądał prawie zupełnie spokojnie.

— Jaki był twój tata? - spytała niepewnie Dede, pokonując wewnętrzne wahanie. - Widziałam jego zdjęcie. No i czytałam o nim to i owo. Musiał być niezłe walnięty.

Dede siedziała przy ścianie za garażem z niedopałkiem między palcami. Cissy myślała, że tylko udaje, że pali, ale odkąd tam zasiadły, zdążyła wykopcić dwa pety, które przechowywała w metalowym pudełku.

— Palę od lat — przechwalała się i sądząc po sposobie zaciągania się, mogło to być prawdą.

— Nie walnięty, tylko taki jak inni. — Cissy obruszyła się. Zaciśnęła usta, wzrok miała skupiony. - Lubił za szybko jeździć. Za często się upijał. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Ciągle załatwiał jakieś sprawy. „Mam coś do załatwienia, małeńka — mówił. — A ty w tym czasie nie mocz”. — Niepewnie zerknęła na Dede. — Nigdy nie wiedziałam, co to znaczy.

Dede wzruszyła ramionami.

— Często go widywałeś?

— Jak byłam mała, tak. Tak jakby. — Myślała chwilę. Czy w ogóle go znała?

— Tak jakby? — powtórzyła cierpko Dede, wyczuwając kłamstwo.

— No wiesz, trudno było. — Cissy zmarszczyła czoło, wracając do wspomnień. — Ciągłe dokądś jeździli, ciągle siedzieli w studio, ciągle gdzieś chodzili i załatwiali jakieś sprawy. Kiedy jeszcze byliśmy wszyscy razem, mieszkali z nami Sonny i Patch. Pracowali u Randalla. Zajmowali się domem i w ogóle wszystkim. Opiekowali się mną, kiedy zespół wyjeżdżał w trasę.

— Nie jeździłaś tym ich autobusem? — spytała Dede z nutką rozczarowania w głosie.

— Nie, póki nie podrosłam. Rosemary opowiadała mi, że kiedy byłam mała, pewnego razu Randall i Delia zabrali mnie w trasę. Spałam za kulisami i na siedzeniach w autobusie. Pokazywała mi nawet zdjęcia. Jedno z nich było dosyć znane. Razem z innymi dziećmiakami stoję przy perkusji i wszyscy jesteśmy na golasa. W ogóle tego nie pamiętam.

— Niewiele pamiętasz, co?

— Na pewno nie tyle, ile chcieliby inni. - Skrzywiła się. - Ale trochę pamiętam. Na przykład to, jak w hotelach przynosili nam śniadanie do łóżka. Leżałam między Delią i Randallem. I to, jak bawiłam się w windach. Bardzo lubiłam windy. Lubiłam też być z Delią i Randallem, ale nie wiem, chyba uważałam, że to normalne. Że takie jest życie. Nie wyobrażałam sobie, że może być inaczej. A kiedy zostawałam w domu, wcale z tego powodu nie cierpiałam. Lubiłam Sonny'ego i Patch. Dobrze mnie traktowali. Ich synek Wren miał tyle samo lat co ja, ale nie mówił.

— Upośledzony?

— Nie, był normalny, tylko nie mówił.

Pamiętała jego szeroki uśmiech i nieśmiałe oczy. Był uroczym chłopczykiem. Sonny wciąż nosił go na barana. Kiedy Delia i Randall wyjeżdżali z domu na dłużej, Cissy udawała, że Sonny jest jej ojcem, a Wren bratem i że cudownym zrządzeniem losu tylko oni ocalili, gdy wielkie trzęsienie ziemi zniszczyło całe miasto. Kiedy Delia i Randall wracali, wstydziła się tego i dokuczała Wrenowi, dopóki Delia jej nie skrzyczała. Gdy wyprowadzili się z domu Randalla, Cissy już nigdy więcej ich nie widziała.

— Babci Windsor pomagała Blanche. — Dede wyczuła, że Cissy nie chce już mówić o Wrenie. — Blanche była naszą kuzynką z drugiej linii, kimś w tym rodzaju. Kiedy z nami zamieszkała, mogła mieć najwyżej czternaście lat. Zresztą nie wiem. Byłam wtedy mała. Amanda jej nie lubiła, ale mnie Blanche zawsze traktowała bardzo dobrze. — Dede zakręciła szklanką, dopiła resztkę zwietrzałej coca-coli, postawiła szklankę między stopami i wyjęła paczkę papierosów. — Amanda powiedziała mi, że Blanche urodziła dziecko, za co wylano ją ze szkoły. Dziecko pewnie zmarło, a może jej ojciec komuś je oddał. Blanche nigdy o tym nie wspomniała. Nie była całkiem głupia, ale i nie za bystra. Miała duże, okrągłe oczy, takie jasnoniebieskie, szeroko osadzone, ładne, choć puste, do tego ciemne włosy i oliwkową cerę. Była na tyle ładna, że mogła popaść w kłopoty. I na tyle głupia, że w nie popadła.

— Była dla was miła? — Cissy spróbowała wyobrazić sobie czternastoletnią Blanche, która pod twardą ręką babki Windsor sprzątała po dwóch małych bachorach, ani razu nie wspominając o straconym dziecku. Na jej miejscu dałaby Dede i Amandzie do wiwatu. Kiedy nikt by nie patrzył, szczypałaby je w pupę i ciągnęła za włosy.

— Ujdzie. Dużo się z nami bawiła. Gdyby była bardziej rozgarnięta, toby nas olała, nie? Przynudzałyśmy potwornie, ale jej to nie przeszkadzało. Wypełniała polecenia babci: pilnowała nas, zbierała po nas ubrania i zabawki, sprzątała. Lubiłam ją tak samo jak innych. — Uśmiechnęła się. — Nie, w sumie to o wiele bardziej niż innych.

— Więc dlaczego Amanda jej nie lubiła?

— Nie wiem — odrzekła Dede i polakierowanym paznokciem zdjęła z zęba żdźbło tytoniu. — Nigdy nie udało mi się jej rozgryźć. Kiedy Blanche umarła, zachowywała się tak, jakby to przewidziała.

— Blanche umarła? - spytała zaszokowana Cissy.

— Wypadek. Szybkowar wybuchnął. — Dede stuknęła kantem dłoni w lewą stronę szyi. — Przeciął jej gardło. - Przeciagnęła palcami od brody aż po ucho.

— Mój Boże.

— Pokrywką - wyjaśniła Dede. — Dziura była tak wielka, że filiżanka by w nią weszła. — Chwilę głaskała się po szyi, wreszcie

opuściła rękę. — Babcia Windsor była bardzo zdenerwowana, ale powiedziała, że tak musiało być. Blanche nigdy nie zadała sobie trudu, by zrozumieć, jak ten szybkowar działa. Wiecznie przypalała garnki, zapominała o lejącej się do wanny wodzie, brązowała żelazkiem pościel. Po prostu nie uważała. Z *tym* szybkowarem było tak, że nie dokręciła porządnie pokrywki i ciśnienie ją wysadziło. Pech, że Blanche stała akurat tam, gdzie stała.

— To straszne. — Cissy zrobiło się niedobrze. Czarnowłosa dziewczyna, którą sobie wyobraziła, patrzyła na nią z szerokim uśmiechem i ziejącą dziurą w szyi.

— Babcia powiedziała, że to prawdziwy cud, że Blanche nie puściła domu z dymem. Zawsze patrzyła przed siebie nieobecny wzrokiem, zawsze chodziła zamyślona, jakby przeżywała w duchu przygody ciekawsze niż jej prawdziwe życie. Które musiało być nudne jak wszyscy diabli, bo czy życie pomocnicy i piastunki może być ciekawe?

— Byłaś tam, kiedy to się stało?

— W łazience - odparła obojętnie Dede. - Słyszałam wybuch. Wybiegłam ze spódnicą w majtkach. Blanche siedziała na podłodze. Ręce przyciskała do gardła, a po podłodze płynęła ciemnoczerwona rzeka. Wszystko było ciemnoczerwone. Blanche nawet na mnie nie spojrzała, tylko ciężko upadła na plecy. Babcia mówi, że już nie żyła. Jak ktoś straci tyle krwi, to umiera w try miga.

— Boże drogi.

Dede postukała papierosem o kolano.

— Do licha, lepiej umrzeć tak niż konać jak Clint. - Umilkła. - Równie dobrze mogło to przydarzyć się mnie. Kilka minut wcześniej stałam w tym samym miejscu co ona. Babcia Windsor kazała mi się zastanowić, dlaczego akurat w tamtym momencie musiałam iść się wysuszać i co to wszystko oznacza. Ale ja nie mogę tak myśleć. Kto wie, co komu pisane?

— Strach pomyśleć — powiedziała Cissy, obserwując rękę Dede.

— Tak, przez pewien czas na okrągło o tym śniłam. Śniło mi się, że wchodzę do kuchni, sprawdzam szybkowar, dokręcam pokrywkę i Blanche nie umiera. Śniło mi się, że Blanche woła mnie do kuchni w chwili wybuchu. Albo że przychodzi do mnie, siada na łóżku i zaczynamy rozmawiać.

Cissy zadrżała. Jej śnił się Randall. On też przychodził do niej, żeby porozmawiać. W ciągu ostatnich kilku miesięcy ten sen się często powtarzał. Randall siadał na brzegu łóżka i mówił „Maleńka”. Czochrał sobie wąsy i rozglądał się po pokoju. „Wiem, że nie zachowywałem się jak przyzwoity ojciec — powiedział. — Chciałem być dobrym tatą, ale nie miałem czasu. Zresztą mnie też nikt nie wychowywał, a zobacz, na kogo wyrosłem”. Potem uśmiechał się, jakby zdawał sobie sprawę, że to, co przed chwilą powiedział, nie zabrzmiało zbyt uspokajająco. „Żartuję, maleńka — dodawał. - Będę cię pilnował”.

— Babcia mówiła, że to niebezpieczne, kiedy w snach pojawia się czyjś duch. Dlatego wokół nóg łóżka usypywała kółka z soli. Twierdziła, że sól powstrzyma te sny. I rzeczywiście, niedługo potem ustały, ale może ustałyby i bez tego, ot tak, same z siebie?

Cissy zastanawiała się, czy chciałyby, żeby Randall przestał ją odwiedzać. Czy podsypałaby łóżko solą? A może teraz zacznie śnić o Clincie?

— Opowiedz mi o swoich najwcześniejszych i najszcześniejszych wspomnieniach.

— O najszcześniejszych wspomnieniach? - Cissy zamknęła oczy i w skupieniu zacisnęła usta. Po chwili na jej wargach zagościł wolno rozkwitający uśmiech. Otworzyła oczy. — To było pożarowisko, które urządził Randall, kiedy miałam pięć lat.

— Pożarowisko? - Dede nie posiadała się z ciekawości.

— To jego pomysł. — Cissy uśmiechnęła się szeroko do wspomnień. — Przy basenie stała statuetka ptaka. Była brzydka, taka z czarnego metalu o poszarpanych krawędziach. Delia jej nie znosiła. Randall wieszał na niej różne różności, zwłaszcza przed przyjęciami: metalowe ozdoby grające na wietrze, wstążki, balony. Tamtego wieczoru zawiesił na niej wszystkie stare torby na śmieci, które zebrała Delia. Ona nigdy niczego nie wyrzucała i powiedział, że najwyższa pora zrobić z nich użytek. Kiedy słońce zaszło, zaczął te torby podpalać, jedną po drugiej.

— Spalił kilka starych toreb? I co w tym fajnego?

— Paliły się kolorowo. Te kolory... Niektóre nie chciały się zająć i tylko dymiły, ale inne płonęły lśniąca czerwienią przemieszana z szafirem, zielenią i złotem, jak w wodzie, do której

dolano oleju. Ogień sięgał coraz wyżej i barwy się zmieniały. Randall chwycił garść toreb, powiązał je z sobą w długą wstęgę, a kiedy tę wstęgę podpalił, kiedy ogień zaczął wędrować od torby do torby, kolory zmieniły się znowu.

Cissy zakołysała się leciutko.

- To było zadziwiające, inne i cudowne. Kiedy na dworze pociemniało, zrobiło się jeszcze fajniej. Randall wpadł do domu, zebrał wszystkie plastikowe przedmioty, jakie tylko znalazł, i spalił je. Spalił nawet zasłonki z przebieralni przy basenie.

- Dziwaczne. - Dede otworzyła pudełko, wyjęła niedopałek i zapaliła.

- Tak, Delia dostała szału, kiedy wróciła do domu. Na całym trawniku leżały płaty sadzy, a metalowy ptak i kamienie wokół basenu były pokryte stopionym plastikiem. Oparzyłam się w stopę, a Randall przypalił sobie rękawy marynarki. Naprawdę się wtedy wkurzyła.

- No myślę.

- Ale mnie się podobało.

- Miałaś wtedy pięć lat. Musiało ci się podobać.

- Ale to naprawdę było piękne - upierała się Cissy.

Dede zaciągnęła się dymem.

- Lubię ogień — powiedziała. — Zawsze lubiłam. Babcia Windsor nie pozwalała mi niczego palić. Kazała mi zagrabić liście i śmieci, ale zabraniała mi je palić. Amandzie pozwalała, a przecież ona nienawidzi ognia.

Cissy zamyśliła się. Tak, Amanda wyglądała na taką, co nie znosi ognia.

- A twoje?

- Co moje?

- Najfajniejsze wspomnienie z dzieciństwa.

Dede wzruszyła ramionami i dmuchnęła na żar.

- Bo ja wiem? Lubiłam krowy. Dziadek Windsor miał dwie naprawdę dobre mleczne krowy, takie wielgaśne krowie matrony, którym zwiślały napuchnięte wymiona. Trzymał je dla mleka, w świetnie urządzonej oborze. Słodko pachnąca słoma, wyszorowane, pobielone wapnem ściany... W oborze było czyściej niż w domu i lubiłam się tam ukrywać. Zimą podkładałam ciepłe mleko z wiadra. Wchodziłam na wyżki i powoli piłam.

— Było dobre? - Cissy próbowała wyobrazić sobie smak mleka prosto od krowy.

— Gdzie tam, wcale. Było pienne i dziwnie smakowało. Jeśli krowy się czegoś wystraszyły albo zjadły coś, czego nie powinny, lekko kwaśniało albo nabierało szczególnego posmaku. Ale mnie to nie przeszkadzało. Wkładałam do mleka kawałki chleba, żeby naciągnęły, i jadłam je na kolację, kiedy babcia się gniewała. Jak wpadała w złość, lepiej było nie siedzieć z nią przy stole.

— Wygląda na taką, co łatwo się złości.

— Tak, ale częściej bywała zmęczona. Amanda mówi, że babcia już się wypaliła, że chce tylko dociągnąć do śmierci. Że jest szczęśliwa tylko w samotności. Jak któraś z nas zaszała ją cichcem w ogrodzie czy w innym miejscu, gdzie nas nie widziała, była spokojna i uśmiechnięta od ucha do ucha. Ale jak tylko nas zobaczyła, od razu ściągała twarz i robiła się smutna. Chyba nie miała zbyt wielu szczęśliwych wspomnień.

Cissy przypomniała sobie minę babki Windsor na pogrzebie Clinta. Pomyślała o Amandzie i Dede dorastających w tamtym domu. Stały ledwie kilka kroków od swojej babci, a ona ani razu na nie nie spojrzała.

— A twoje najgorsze wspomnienie? - zapytała.

Dede nie wahała się ani chwili.

— Clint — odrzekła. — Wszystkie wspomnienia związane z Clintem.

Cissy aż drgnęła. Poczzerwieniała jej twarz, na skórze pod oczami wystąpiły kropelki potu. Przypomniała sobie, jaki przerażający i rozpaczliwy był ubiegły tydzień.

— Co on takiego robił?

— Co robił? — Głos Dede zabrzmiał gniewnie. — Nie musiał nic robić. Wystarczyło, że zajął do dziadków i od razu wszystko się psuło. Dziadek Windsor zaczynał przeklinać i źle traktować babcię, babcia się garbiła i odgrywała się na nas. — Potrząsnęła głową. — Nie, na ogół nic nie robił. Przychodził pijany albo na kacu. Mówił do babci coś, czego nie rozumialiśmy, a na nas patrzył jak na bezdomne psy. Zawsze zapowiadał coś złego. Zawsze.

Żar doszedł do filtra i Dede rozgniotła niedopałek na kamieniu między stopami.



— Babcia ciągle zmuszała nas do tego, żebyśmy go odwiedzali. Ubierałyśmy się ładnie, szłyśmy z wizytą, siadałyśmy u niego przy stole, a on patrzył na nas z tą swoją głupkowatą miną, jakby potrąciła go ciężarówka. Wiecznie zalatywało od niego skisłym mlekiem. I zawsze wyglądał tak, jakby golił się na sucho. Nie miałyśmy tam nic do roboty, o niczym nie rozmawialiśmy. Jadłyśmy to, co podesłała mu babcia, i próbowaliśmy go zagadywać, ale bez skutku. Siedząc przy stole i wyczekując chwili, kiedy wreszcie będziemy mogły wstać i pójść do domu, czułyśmy się jak w czyścucu. A najgorsze było to, że wszyscy wiedzieli, że Clint jest naszym ojcem, i patrzyli na nas tak, jakbyśmy miały pójść w jego ślady. Jakbyśmy były dziećmi kryminalisty czy co. Boże!

Cissy oblizała wargi.

— Na mnie też się tak gapili. Przez Randalla, Delię i w ogóle przez to wszystko.

— Dlatego, że oni byli sławni. — Dede splunęła na ziemię. — To nie to samo.

— Może i nie, ale czasami robiło się nieprzyjemnie. — Wspominając swoje zażenowanie, Cissy potarła skronie. Raz, kiedy policja aresztowała Randalla za szybką jazdę, przed domem zjawili się reporterzy i robili przez okno zdjęcia jej i Delii.

— No dobra, teraz twoja kolej — odezwała się Dede. — Najgorsze wspomnienia.

— Awantury — odpowiedziała natychmiast Cissy. — Awantury między Delią i Randallem. Wrzeszczeli, tłukli rozmaite rzeczy, wyzywali się. Delia płakała i głośno krzyczała. Przed naszą wypowiedzką często się tak kłócili.

Dede uniosła brwi.

— Bił ją?

— Nie. Randall nigdy nikogo nie uderzył. — Cissy poruszyła się nerwowo. — Ale niszczył, co tylko wpadło mu w ręce. Kiedyś tak się wściekł, że poprzewracał kopniakami wszystkie meble w salonie. Połamał stoliki do kawy, roztrzaskał lampy, zerwał z okien zasłony, powrzucał do kominka popielniczki, talerze, i w ogóle.

— Byłaś tam wtedy?

— Byłam na górze, na schodach. Nawet nie wiedzieli, że ich obserwuję.

— Aha — bąknęła nieco rozczarowana Dede.

— Randall krzyczał i przewracał meble. Kiedy Delia powiedziała mu, że jest żalostną karykaturą mężczyzny czy nawet psa, przykopa! w mały stolik przed sofą. Wtedy ona wrzasnęła: „Ty stuknięty skurwysynu!”, ale to go nie powstrzymało. Złamał sobie nogę w stopie.

— Złamał sobie nogę? - Dede parsknęła śmiechem.

— Tak. Dwa miesiące chodził w gipsie. Powiedział mi, że to dobra nauczka dla nas wszystkich, bo gniew nie może brać góry nad zdrowym rozsądkiem.

Cissy oparła się o ścianę garażu i obserwowała kłębiące się chmury. Randall szybko wpadał w gniew, lecz złość przechodziła mu równie szybko jak te obłoki pędzące po niebie. Podobnie rzecz się miała z jego poczuciem humoru. Było cierpkie, odzywało się nagle i błyskawicznie ustępowało smutkowi. Zmienny. Jej tata był zmienny. Wciąż nie mogła uwierzyć, że odszedł, że już nigdy nie wejdzie do domu, nie uśmiechnie się do niej tym swoim leniwym uśmiechem, że nigdy jej nie przytuli. Nie, to niemożliwe, że on nie żyje. Nie potrafiła tego sobie uzmysłwić. Niektóre rzeczy po prostu do niej nie docierały.

— Złamał sobie nogę! — Dede bujnęła się do przodu i stanęła na piętach. — Szkoda, że tego nie widziałam. Szkoda, że któregoś dnia Clint nie poharatał sobie tego żalostnego tyłka. Chciałabym to zobaczyć. - Wetknęła pudełko z niedopałkami do tylnej kieszeni i posłała Cissy uśmiech. — Fajne historie opowiadasz, siostrzyczko. Naprawdę fajne. — Ruszyła w stronę domu, kopiąc liście na ścieżce. Wzbijały się w powietrze i opadały jej pod nogi.

Cissy spojrzała na gruby kubek między stopami. Był już pusty, na dnie osiadł lepki kożuch z coca-coli i szkockiej. Clint powiedział jej kiedyś, że lubi whisky. Wilda turkeya albo jima beama. Opowiadał o tych trunkach jak o najwspanialszych łakociach pod słońcem. Usiłowała sobie przypomnieć, co pił Randall, ale pamiętała tylko czerwono-brązową butelkę bez etykiety na łóżku. Jej oczy znów wypełniły się łzami. Tym razem nie wiedziała, kogo opłakuje: Randalla, Clinta czy może samą siebie.

Amanda poszła odwiedzić babcię Windsor dopiero kilka tygodni po przeprowadzce do domu Clinta. Spotkała ją na drodze. Staruszka niosła papierowe torby. Spostrzegłszy wnuczkę, kazała jej wziąć się do pożytecznej roboty i pozbierać śmieci naniesione wiatrem. Amanda posłusznie ruszyła za babką, podnosząc z ziemi puszki, butelki, gazety i kartony po mleku.

- Nie wkładaj wszystkiego razem! - wrzasnęła na nią stara. - Trzeba to posegregować!

Kiedy Amanda chciała jej opowiedzieć o Delii, babka wysłała ją na drugą stronę drogi.

- Jak chcesz mi pomagać, to pomagaj — oznajmiła, dając wnuczce do zrozumienia, że nie chce rozmawiać ani o synowej, ani o przeprowadzce, ani o Clincie, ani o niczym, co dzieje się w jego domu.

Wreszcie Amanda cmoknęła babkę w policzek i upchnąwszy torby do śmietnika, powędrowała na przystanek autobusowy. Nie poszła już więcej do babci Windsor i nikomu nie chciała wyjaśnić, dlaczego.

Jednakże trzy dni po pogrzebie Clinta postanowiła spróbować jeszcze raz.

- Przyniosłam ci trochę orzechów - powiedziała, stawiając papierową torbę na kuchennym stole.

Stara ściągnęła usta.

- Z tych rachitycznych drzew przy Terrill Road?

Amanda skinęła głową.

- Od Clinta.

- Są tak małe, że nadają się tylko dla świń — prychnęła babcia Windsor.

Amanda spłonęła rumieńcem. Bynajmniej nie oczekiwała pochwał, ale czy babka musiała ją obrażać? Bolało ją również, że staruszka odwraca od niej wzrok. Policzki i dłonie miała czerwone i spierzchnięte, szyję jeszcze bardziej pomarszczoną niż na pogrzebie. Nadeszła jesień i drzewa zrzucały liście, które zalegały na podwórzu i w przydrożnych rowach. Babka zaprowadziła Amandę do doniczek. Wysypywała z nich starą ziemię i ustawiając wszystkie w szeregu, przepłukiwała je ogrodowym węzłem. W fartuchu miała sekator i wyciągała go co chwila, żeby coś przyciąć: a to gałązkę jeżyn wypętlającą

zza płotu, a to chwast na grządce z warzywami, a to parę pędów na krzakach przy schodach.

— Babciu, chciałam ci coś powiedzieć.

— Chciałaś mi coś powiedzieć? — Babka Windsor przerwała robotę na tyle, żeby dostrzec jej rozpłomienione policzki, i niechętnie usiadła na ławce przy pojemnikach z kompostem obok stosu gałęzi jabłoni; Amanda pamiętała, że babka co jesień każe przycinać wszystkie drzewa. Stara wyciągnęła ze stosu kilka dłuższych gałęzi, zaczęła ciąć je na kawałki i wrzucać do taczki. Lubiła wędzić na drewnie z jabłoni. Amanda popatrzyła na jej surową twarz i po raz kolejny zauważyła, jak bardzo babka się posunęła. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Minęło tyle czasu, a ona ani razu jej nie odwiedziła.

— No i co mi chciałaś powiedzieć? — spytała stara, nie odrywając wzroku od gałęzi, którą cięła. Możliwe, że chciała być miła, że nie miała zamiaru jej ponaglać, mimo to dziewczyna usłyszała w pytaniu wyraźną nutkę zniecierpliwienia, zniecierpliwienia takiego samego jak jej własne. Jakby po przeprowadzce wnuczek do domu matki babka wymazała je z pamięci i niechętnie teraz Amandę oglądała.

Nie, nie będę tak o niej myślała - skarciła się w duchu Amanda. — Będę samą miłością. Wzięła kilka głębokich oddechów.

— Chciałam porozmawiać o tacie — powiedziała w końcu. — Przez tyle miesięcy siedziałam przy nim i modliłam się, jak mnie uczyłaś. No wiesz, bądź wola Twoja, Panie, nie moja. Tylko że nie wiedziałam, czego tak naprawdę pragnę, czego naprawdę chcę.

Babcia Windsor dalej strzygła gałęzie i odciętymi kawałkami powoli wypełniała tawkę.

— Nie kochałam go. — Amanda powiedziała to cichutko, lecz stara ją usłyszała i sekator przestał szczekać. - Przepraszam - dodała szybko dziewczyna i ukryła twarz w dłoniach.

Babka milczała.

— Bałam się go — ciągnęła Amanda. — Zawsze musiałam stoczyć ze sobą walkę, żeby przestać go nienawidzić. Pamiętam, jak cię uderzył. — Sekator znowu zaszczekał, ciął jeszcze szybciej niż przedtem. — Wiem, że był pijany. Tak, pamiętam, mówiłaś, że nie chciał podnieść na ciebie ręki, ale za każdym razem, gdy

tutaj przychodził, od razu robiło się strasznie. Był albo pijany, albo wściekły, kłócił się z dziadkiem, wiecznie ci dogadywał. Nigdy nie myślałam o nim jak o swoim ojcu.

— On był twoim ojcem. Uczyłam cię, że powinnaś go czcić. - Słowa babki brzmiały cicho, lecz wyraźnie.

— Tak, tak. I starałam się to robić. Udawałam, że w jego sercu jest Jezus, który wszystko widzi i na niego czeka. Ale kiedy musiałyśmy z nim zamieszkać, z nim i z nią, po prostu nie mogłam tego znieść. Zrozumiałam, że nic nie jest w stanie odmienić moich uczuć, mojej nienawiści. — Drżały jej ramiona. - Było mi wstyd, bardzo wstyd.

Babka Windsor spojrzała na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Miała zmęczone oczy i zaczerwienione brzegi powiek.

— Był twoim ojcem i moim synem - odrzekła. — Nie nam go sądzić, tylko Bogu.

Amanda rozplakała się.

— Nie ma co płakać, dziewczyno. — Babka złożyła ręce na kolanach, przykrywając dłonią sekator. — Pan Bóg potrafi czytać w twoim sercu. Trudno oczekiwać, żebyś była lepsza, niż jesteś. Tyle samo dziedziczysz po matce co po Clincie czy po mnie. — Podwinęła wargi. — Wątpię, czy ona nauczyła cię dobroci. Nienawidziła go tak bardzo, że nie mogła przekazać ci nic prócz nienawiści.

— To nie tak — zaprotestowała Amanda. — Bardzo o niego dbała. Nigdy nie powiedziała nam złego słowa na jego temat.

— Nienawidziła go — mruknęła stara.

Amanda pochyliła się do przodu.

— On umierał. Nie widziałam taty prawie od dwóch lat, ale jak tylko weszłam do jego sypialni, od razu zrozumiałam, że długo nie pociągnie. Złe wyglądał, bardzo brzydko pachniał. Jakby w sypialni rozmnażały się myszy, jakby na woń zleżałej trawy nakładał się odór starej krwi. Wchodziłam tam, zaczynałam czytać mu Biblię i od razu się dławiałam. - Otarła oczy. - A ona do niego przychodziła, ona i Cissy. Delia go pielęgnowała, a Cissy karmiła go albo siedziała przy nim i rozmawiali. Zza ściany naszej sypialni słyszałam ich głosy.

— O czym rozmawiali?

— Nie wiem. Nie mogłam rozróżnić słów.

— Pewnie opowiadali sobie same kłamstwa. — W głosie babki znowu zabrzmiało zniecierpliwienie.

Amanda wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy. Zamierzała coś powiedzieć i wolała nie widzieć jej twarzy, gdy już to z siebie wyrzuci. Nie chciała widzieć na niej wyrazu litości, pogardy czy niedowierzania.

— Zdaje mi się, że widziałam Ducha Świętego.

— Ducha Świętego? — spytała ostrożnie stara.

— Tak.

Babka potarła sobie kark. Przeniosła wzrok z zastygłej twarzy wnuczki na ogród. Tyle tu pracy - mówiły jej oczy. - Tyle tu pracy, a ja siedzę sobie w najlepszej.

— Babciu, myślałam, że on jest przeklęty — mówiła szybko Amanda. — Byłam pewna, że pójdzie do piekła. Nie chciał księdza. Twierdził, że to nie z Bogiem musi się pojednać. Prosił nas o wybaczenie. Pewnego wieczoru zawołał mnie z Dede do pokoju i poprosił, żebyśmy powiedziały mu wprost, czy przebaczymy mu, czy nie. Oczywiście powiedziałam, że tak, ale wiedziałam, że mówię nieszczerze. On chyba też.

— A co powiedziała Dede?

— Że jest głupcem i żeby nie wciągał jej w to bagno.

Babka tylko się uśmiechnęła.

— Potem bałam się tam w ogóle wchodzić. Ucieszyłam się, kiedy Cissy kazała mi zostawić go w spokoju. Nie chciałam z nim rozmawiać. Ale wciąż podchodziłam pod drzwi i zaglądałam do środka. Uznałam, że w ten czy w inny sposób muszę się z nim pogodzić. Wiedziałam, że to Bóg do mnie przemawia. Pewnego wieczoru podeszłam do drzwi i stanęłam w progu, kiedy Delia go obmywała.

— Ona go obmywała? - spytała sceptycznie stara.

— Spirytusem. Obmywała go mokrą ściereczką, a potem wycierała ręcznikiem. „Boże, pobłogosław — powtarzał — Boże, pobłogosław”, i pomyślałam, że w jego ustach bardzo dziwnie to brzmi. Miał na sobie tylko workowate majtki i leżał w prześcieradłach, które jakby go spowijały. Wyglądał jak postać ze średniowiecznego malowidła, jak Jezus w grobie, nim zabrali go aniołowie. — Urwała, roztrzęsiona wspomnieniem.

— Ona go obmywała — rzuciła w ciszy babka Windsor.

— Tak. Wiem, to wszystko było bardzo dziwne, jak jakiś

sen. W tym małym, ciemnym pokoju rozświetlonym jedną lampką wyglądali jak w grocie. On miał taki głuchy, dudniący głos, „Boże, pobłogosław” - powtarzał, a ona mówiła tylko: „Ciiicho, ciiicho”.

- Nie mogę sobie wyobrazić, że go obmywała. Po tylu latach, po tym wszystkim, co zrobiła. Nie mogę w to uwierzyć. — Stara wpatrywała się w gałęzie jabłoni.

Amanda poczuła, że znowu ogarnia ją fala niechęci.

- Nie powiedziała ci jeszcze, co zobaczyłam.

Babka spojrzała na nią.

- No to mów.

- Stałam w drzwiach, przyglądałam się Clintowi i Delii. Znajdowali się w małym kręgu światła z lampki. Nagle stało się coś dziwnego, nagle wszystko się odwróciło. Zamiast dalej tkwić w plamie światła otoczonej ciemnością, raptem znaleźli się w mroku, a resztę pokoju zalała jaskrawa poświata. Spojrzałam na ściany - ściany pojaśniały. Popatrzyłam na sufit - sufit stanął w ogniu. Najpierw skrzył się jak brylant, potem pożółkł jak masło i nagle spłynął na nich, a wówczas znowu znaleźli się w kręgu złocistego i ciepłego światła. To światło przenikało przez skórę, było tak jaskrawe, że widziałam kości w ich ciele. Kości taty poruszały się, drżały i wówczas zdałam sobie sprawę, że kiedy powtarzał: „Boże, pobłogosław”, za nic nikomu nie dziękował ani nie chciał przez to powiedzieć, że tak mu przyjemnie. Nie, on błagał, mówił: „Proszę Cię, proszę”. I Bóg go wysłuchał.

Babka Windsor zmarszczyła czoło, lecz Amanda z uporem kiwnęła głową. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Właśnie o tym chciała babce opowiedzieć. Właśnie o tym.

- Trwało to tylko krótką chwilę - ciągnęła — ale była to chwila wypełniona światłością. Wiedziałam, co się dzieje. Widziałam jego duszę pośród drżących kości. I czułam w tej żółtej poświacie miłość Boga.

- Och, Amando. — Stara podrapała się po czole.

- Nie, babciu, nic nie mów. Ja to naprawdę widziałam. — Wargi drżały jej z napięcia. — Światło stało się jaśniejsze, potem jeszcze jaśniejsze, zapłonął od niego sufit i ściany, a wówczas na nich opadło i poruszało się między nimi niczym żywe

stworzenie. Przesuwało się od niej do niego, wniknęło w ich ciała, a potem się uniosło. Widziałam, jak przeszło sufit i niebo, jak dotarło do Królestwa Niebieskiego, do ręki Boga.

- Widziałas rękę Boga.

- Nie, ale ją czułam. Czułam Jego rękę i bijącą z niej światłość. To był Duch Święty, babciu, to Duch Święty owiał tatę swoim oddechem. Czułam to. Wiedziałam. Od razu wiedziałam, że nie muszę tacie przebaczać, bo zrobił to już sam Pan Bóg.

- O Boże... - W głosie babki Windsor zabrzmiało zmęczenie. Stara przeniosła wzrok na wnuczkę i ujrzała jej gasnącą twarz.

- Ja wiem, babciu, On we mnie przemówił. To był szept samego Boga.

- Samego Boga. — Stara spojrzała w niebo. — Hmm — mruknęła. — Hmm... — Ścisnęła oburącz sekator. — Mówiła coś o mnie? — spytała zniecka.

Amanda ocierała oczy.

- Słucham?

- Delia. Mówiła coś o mnie?

Amanda spojrzała na nią.

- Kazała nam ciebie odwiedzać. Mówiła, że powinniśmy. Chciała podrzucić nas samochodem.

- Hmm.

- Ona o tobie nie mówi, babciu.

- I dobrze. - Stara znów wzięła się do cięcia gałęzi.

Amanda patrzyła na nią nic nie rozumiejącym wzrokiem.

- Nic mi nie powiesz?

- O czym?

- O tym, co widziałam. O Duchu Świętym i o tej jasności. Babcia Windsor westchnęła.

- Zdaje się, że za dużo myślisz, Amando. Zdecydowanie za dużo. I za dużo myślisz o sobie. Może byś tak poszła do domu i zajęła się czymś pożytecznym zamiast opowiadać mi te bzdury?

Amanda rozdziawiła usta. Oczy wezbrały jej łzami. Babka wstała i pchnęła taczkę w stronę szopy.

Do domu - pomyślała Amanda. - Miejsce, gdzie mieszkam z Delią, babcia zaczyna nazywać domem. Rozejrzała się po podwórku, gdzie spędziła ponad dziesięć lat życia. To tu miał być jej dom. Stłumiła szloch, wspominając ciepłe, maślane



światło i ręce Delii sunące po wychudłym ciele Clinta. Obmywała go z taką czułością, niczym matka kąpiąca niemowlę.

W pokoju chorego gościła miłość, wybaczenie i akceptacja. Amanda nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Bóg zesłał swą miłość i sprawił, że tych dwoje, którzy mieli powody, by się nienawidzić, poczuli się w sypialni bezpiecznie. Zadrżała na to wspomnienie, porównując panujące tam ciepło z chłodem bijącym od babki. Chyba całe życie była zimna. I całe życie samotna. Tymczasem dzięki boskiej interwencji pokój Clinta stał się bezpieczny i ciepły. Bóg potrafi rozgrzać nawet żelazo. Nawet najzimniejsze z serc.

— Boże - westchnęła w chłodne jesienne powietrze. — Boże pobłogosław moje ciemne, zgorzkniałe serce, a ja będę Cię czcić jako swego ojca. Będę pracować na chwałę Twojego imienia i rozprzestrzeniać Twoją światłość. Pobłogosław mnie, Boże, a stanę się Twoim dzieckiem. — Podniosła z ziemi uschłą ciernistą gałązkę, zamknęła ją w dłoni i mocno ścisnęła. Lekko się zachwiała, czując, jak skóra pęka, i wyobrażając sobie krew zbierającą się we wnętrzu dłoni.

- Będę Twoim dzieckiem - postanowiła.

Nie miała najmniejszej wątpliwości, że Bóg jej sprzyja, czuła to całym sercem. Urodziła się w grzechu. Miała trudne dzieciństwo, ale Bóg miał na nią oko. Wiedziała, że musi poświęcić się pracy nad niesieniem światłości, którą zechciał jej osobiście pokazać. Chodziła do kościoła, jak niektórzy chodzą do łóżka, z wdzięcznością, pełna szczęścia, z absolutnym spokojem w sercu. Pozwoliła, żeby Michael Graham ujął jej dłoń, a gdy na niego spojrzała, poczuła tchnienie Boga zmieszane z własnym oddechem. Bała się tylko jednego: że nie jest godna światłości, którą ujrziała, że nikt na świecie nie zechciałby dotknąć jej konającego ciała, obmyć go z czułością i bezgranicznie pokochać. I ciągle słyszała głos babki, niecierpliwie wymawiającej jej imię: „Do domu, Amando”.

Przyglądała się sobie długo i trzeźwo, patrzyła na swoją nieładną twarz, zaglądała w puste serce. Boże, naucz mnie kochać — błagała. — Uczyń mnie godną. Była córką Delii Byrd i Clinta Windsora, dzieckiem, którego żadne z nich nie kochało dostatecznie mocno, by je przy sobie zatrzymać. Należała do ludzi, którzy muszą ciężko pracować, by zasłużyć na światłość,

lecz życie pełne jest trudnych zadań i bynajmniej nie przypadł jej w udziale najcięższy z losów.

Zacisnęła zęby i ruszyła przed siebie w poszukiwaniu miłości, o której miała bardzo mgliste wyobrażenie.

## 12

Cztery miesiące po śmierci Clinta do salonu „Bonnet” wszedł Emmet Tyler z wielką torbą z szarego papieru pod pachą. Na jego twarzy malowała się bezgraniczna rozpacz.

— To mojej żony. Jest chora. - Ostrożnie podsunął torbę Delii. - Mam nadzieję, że zdoła pani coś z tym zrobić.

W torbie tkwiła peruka Amy Tyler. Nie była to jej peruka najlepsza. Ta najlepsza ucierpiała podczas czegoś, co dochodząca pielęgniarka domowa nazwała niefortunnym zbiegiem okoliczności. Oczywiście pielęgniarka nie chciała przyznać się do tego, że zostawiła Amy samą, i to wystarczająco długo, żeby jej podopieczna zdążyła zasnąć z papierosem w ustach. Papieros się przekrzywił i wypalił w peruce czarną dziurę. Amy nie powinna zostawać sama, a już na pewno nie powinna palić.

- Cóż, przypadki chodzą po ludziach — oznajmiła pielęgniarka.

— Ano, owszem, chodzą — przyznał Emmet. Drżały mu ręce. Chciał ją uderzyć, chociaż nigdy w życiu nie uderzył kobiety.

Peruka, którą Emmet przyniósł do zakładu, była wszystkim, co Amy zostało, Amy jednak wciąż z rozmarzeniem wspominała tę zniszczoną, tę, którą podarowały jej koleżanki z biura ubezpieczeń. Zrobiona z ludzkich włosów, została sprowadzona ze specjalnego sklepu na Florydzie.

— Gdzie ona jest? — dopytywała się bez końca. Podejrzewała chyba, że Emmet ją ukrył lub ofiarował jednej z zatrudnionych w sądzie kobiet.

Ostatnio coraz częściej traciła kontakt z rzeczywistością. Między narkotyczną mgiełką otulającą jej mózg i powolnym

obumieraniem pamięci wiele rzeczy jej umykało. Czasami przypominała sobie, że tę perukę podpaliła, że powinna być wdzięczna, iż w ogóle jeszcze żyje. Czasami peruka, rak, a nawet twarz Emmeta odpływały do świata, którego nie umiała już zrozumieć. Czyżby naprawdę była dorosłą kobietą z dwójką martwych dzieci i mężem, który zbyt wiele nocy spędzał za kółkiem samochodu, jeżdżąc bocznymi drogami i sącząc czarną kawę? A może wciąż była dziewczyną, której Emmet Tyler, ten chłopiec o słodkiej twarzy, nie zdecydował się jeszcze poślubić? Czy nadal pragnęła wyjechać do Nashville i zdobyć dyplom pielęgniarki? Jak to się stało, że skończyła na wystukiwaniu formularzy polis ubezpieczeniowych i dwukrotnie poroniła martwe płody, co napełniło ją przekonaniem, że została przeklęta przez Boga? Jak to się stało, że zachorowała tak szybko i tak poważnie? Może to tylko jakiś zły sen? Emmet nigdy nie wiedział, do której z dwóch Amy mówi. Pewien był tylko jednego: jego żona straciła rozeznanie w rzeczywistości, poza tym boi się i cierpi.

— Umieranie jest trudne — powiedział mu duchowny kościoła baptystów.

Emmet wiedział, że pastor chciał go pocieszyć, ale jego słowa zabrzmiały szorstko.

— Umieranie to praca — odparł. — Cięższa, niż mi się zdawało.

Przyszedł do „Bonnet”, chcąc oddać perukę do prania i czesania, nie żywił jednak nadziei na dobre rezultaty. Przyniósł przecież tylko tanią, zastępczą perukę, którą dali jej w klinice, żeby miała co włożyć na głowę, nim sprawi sobie inną, porządną. Pielęgniarka powiedziała, że wystarczy jej frotowy turban z „Kmart”, lecz Emmet wiedział, że na widok turbanu Amy by się rozpłakała. Przyszedł prosić fryzjerki, żeby jakoś tę perukę przemodelowały, żeby wyglądała jak włosy Amy, nim zaczęła brać leki i nim długie leżenie w łóżku przemieniło je w cienką, rzadką słomę. Nie chciał jej ranić ani zakłócać chwil, kiedy wyobrażała sobie, że jej choroba to tylko zły sen, kiedy uważała się za dziewczynę, która chichotała, gdy z nią flirtował. Pragnął, żeby trwała w tym śnie przez cały czas tego, co doktor nazwał długotrwałym i strasznym postępem choroby. Ale gdyby pewnego dnia miała się ocknąć, chciał, by poczuła, że on dba o nią, jak umie najlepiej. Chciał być przygotowany

na wypadek, gdyby odzyskała świadomość; pragnął, żeby mogła wtedy włożyć perukę i bez wstydu i skrępowania przyjąć koleżanki. I żeby umierając, nie musiała pokazywać niemal łysej głowy nikomu oprócz niego.

Kiedy wręczał Delii papierową torbę, na jego twarzy malowała się i nadzieja, i smutek. A gdy wydukał swą prośbę, Delia usłyszała w jego głosie echo ostatnich miesięcy spędzonych przy Clincie. Patrzyła na Emmeta stalowym spojrzeniem kobiety, która jeszcze nie całkiem doszła do siebie po pochowaniu dwóch mężów. W lot zrozumiała zmęczoną miłość, która kierowała stojącym przed nią mężczyzną. „Nie mogę zrobić wiele, ale przynajmniej tyle”. Znała to uczucie. Patrząc na Emmeta Tylera, widziała nieco wcześniejszą wersję samej siebie.

Gdy pomaga się komuś umierać, nadchodzi taki moment, kiedy wszystko, co nie jest niezbędne, przestaje się liczyć. Zadawniona złość i niechęć najpierw się wyostrowiają, a potem tępieją. Wszelkie gwałtowne uczucia mijają. Żeby wciąż przeć naprzód i przebrnąć przez chorobę Clinta, Delia musiała zmobilizować wszystkie swoje siły. Połowę tego czasu parła naprzód tylko po to, żeby uciec od nieuchronnego: od poczucia wstydlivej ulgi, która musiała nadejść, kiedy zadanie zostanie spełnione, ciało złożone do grobu i kiedy nastanie czas prawdziwej żałoby. Kilka miesięcy po śmierci Clinta zaczęła wspominać go wreszcie takim, jakim był, gdy za niego wychodziła. Jakim go sobie wtedy wyobrażała. Zdarzały się nawet dni, gdy wypatrując dawnych blizn, uświadamiała sobie rzeczy, których wcześniej pojąć nie mogła, gdyż wtedy niosły ze sobą nazbyt wiele bólu.

— Co to jest?

Nie miała wątpliwości, że Emmet ją zrozumie. „To” mogło oznaczać raka. Albo rozedmę płuc. Albo każdą inną chorobę, która każe umierać powoli, wycieńczając zdrowych do tego stopnia, że zaczynali chodzić jak Emmet i wyglądać jak Emmet albo tak jak ona, gdy umierał Clint. Gdzieś poza granicą zmęczenia jest takie miejsce, które nie tylko nie ulega całkowitemu otępieniu, ale wręcz zachowuje zdolność przewidywania wydarzeń. Właśnie do tego miejsca odwołała się Delia, zadając pytanie Emmetowi.

- Rak wątroby.

Jego oczy wciągały ją niczym wir. Wyjęła z torby perukę i potrząsnęła nią. M.T. Odkasznęła i powiedziała, że idzie zamiatać pod umywalkami.

- Na kiedy jest potrzebna? — spytała rzeczowo Delia. Nie odrywała wzroku od peruki, przeczesując palcami zmierzwiene, rdzawe kędziory. Zastanawiała się, czy ci z grupy samopomocy działającej przy klinice wybrali ją ze względu na kolor dawnych włosów jego żony, czy też dali jej taką, jaką akurat mieli. Widywała kobiety w zdumiewająco fatalnie dobranych perukach i co ciekawe, wszystkie charakteryzował ten sam władczy i szorstki sposób bycia. Nigdy nie wiedziała, czy na nią warkną czy też się rozpłaczą. Czasem robiły i jedno, i drugie, ale najgorsze były te, które usiłowały udawać, że wcale nie są chore.

Delia spojrzała na Emmeta. Patrzył na perukę zbolały jak te, które pod dotykiem jej chłodnych palców wybuchały płaczem.

- Szybko pan jej potrzebuje? - ponagliła łagodnie.

Podniósł ręce i odgarnął sobie włosy z twarzy.

- Tak. Jak najszybciej. Gdyby pani mogła.

Nie chciał okazać po sobie, jak bardzo cierpi, i głos aż pogrubiał mu z wysiłku. Ponownie odgarnął włosy z czoła, choć nie sterczał mu ani jeden kosmyk. Nie wiedział, co zrobić z rękami. Opuścił je, potem schował do tylnych kieszeni spodni.

- Cena nie gra roli. Chcę... chcę tylko, żeby dostała ją najszybciej, jak się da.

Wszystkie mięśnie miał napięte jak postronki. Tylko głowa lekko mu się chwiała, wskazując, że w tym motku pełnym zaciśniętych supłów jeden węzeł jest poluzowany. Delia poczuła, że ogarnia ją fala gorąca - fala gniewu, nie żądy. Bóg powinien bardziej uważać - pomyślała i mocno zagryzła wargę. Nie, nie chciała znowu tak myśleć.

- Może zdążę wyprać ją i nakręcić na wałki dziś wieczorem. Potem ją uczeszę i jutro będzie do odebrania. Ma pan na myśli jakąś konkretną fryzurę?

- Nie. Chciałbym tylko, żeby włosy spływały luźno i były trochę pofalowane. Amy nigdy nie nosiła loków. Nie cierpiała trwałych. Mówiła, że nie rozumie kobiet, które zadają sobie

tyle trudu, żeby mieć na głowie coś, w czym i tak nie jest im do twarzy. — Uśmiechnął się. Pierwszy raz.

Delia zastanawiała się, czy Emmet zdaje sobie sprawę, że mówi o żonie w czasie przeszłym.

— Dziwny gość — powiedziała M.T., gdy wyszedł. — Jak na zastępcę szeryfa trochę zbyt miękki. Tak mówią.

— Jak na zastępcę szeryfa?

— Nie zauważyłaś jego koszuli? Od munduru. Nie nosi służbowej kurtki, ale koszulę od razu poznałam. Nie znam go osobiście, ale to klasyczny typ. Facet jest taki święty, że nie wie, co to grzech.

Delia się skrzywiła. Zastępca szeryfa, przedstawiciel prawa. Nie bardzo takich lubiła. Ale spodobało się jej to, co ujrzała w twarzy Emmeta. Robił, co mógł w sytuacji bez wyjścia. Prawy, nieprawy, serce miał na pewno.

Tego wieczoru została w zakładzie dłużej, żeby uprać perukę i nakręcić nylonowe włosy. Zająła się tym tak, jakby przygotowywała ją dla siebie. Dwa razy natarła perukę szamponem, a po umyciu potraktowała specyfikiem, który odkryła w katalogu dla salonów kosmetycznych. Potem nakręciła włosy na duże plastikowe wałki i ułożyła perukę na wysokiej półce, żeby przez noc wyschła. Następnego ranka zjawiła się w „Bonnet” wcześniej niż zwykle. Lekko naperfumowała perukę, żeby zabić przenikliwy szpitalny zapach, i uczesała w miękkie fale. W porze lunchu przyszedł Emmet. Wyglądał tak, jakby całą noc nie spał z obawy, że kiedy przyjdzie, peruka okaże się taka sama jak przedtem. Delia czuła się dziwnie, wiedząc, że pracowała dla kobiety, której nie ujrzy wśród żywych.

Emmet był zadziwiony.

— Jest idealna — wyszeptał. — Dziękuję.

Amy zmarła tydzień później i Delia poszła na katolicką mszę żałobną. Skinęła Tylerowi głową, a przed wyjściem z kościoła zapaliła świeczkę.

Kilka miesięcy później, gdy zamykała zakład, pojawił się przed nią Emmet. Poruszał się chwiejnie, jak małe dziecko albo jak stary, bardzo stary człowiek. Włosy zwisały mu w strąkach i opadały na czoło, oczy miał zażawione i otoczone obwódka zaczerwienionych powiek. Jest pijany — pomyślała Delia, patrząc na jego spoconą twarz.

- Pani Delio - wybełkotał.

Nie, nawalony jak stodoła — poprawiła się w duchu, zauważając, że Emmet jest bez skarpetek.

- Pani Delio...

- Byrd. Nazywam się Delia Byrd. Co pan tu robi?

- Pomyślałem sobie, że może zechce się pani ze mną napić albo coś przekąsić. — Oklapł i zachwiał się.

Potrząsnęła głową.

- Chce pan okryć ją hańbą w grobie? - zapytała.

Popatrzył jej w oczy. Myślał o niej całymi dniami. O tym, jak wyglądała w kościele. O tym, jak pochyliła się nad świecą, której blask rozświetlił fragment jej szyi. Z taką samą łagodnością pochyliła się, oddając mu perukę Amy. Wyobrażał sobie, że do niej podchodzi, wspiera się na niej, że ona bierze go w ramiona. Słyszał, że jest sama. Straciła męża, tak samo jak on stracił żonę. Wyobrażał sobie, że go zrozumie, że obejmie go i utuli, że dotyk jej ust jest wszystkim, czego potrzebuje. Nie przewidział, że zobaczy przed sobą zaciętą twarz, ramiona skrzyżowane na brzuchu. Jakby wiedziała, po co przyszedł, i nienawidziła go za to.

- Pójdzie pani ze mną na drinka?

- Nie — odrzekła. — Wypiję z panem kawę, ale nie tym razem. Przyjdzie pan do mnie trzeźwy, a ja spróbuję sobie przypomnieć, jakim prawym człowiekiem był pan swego czasu. A potem pójdę z panem na kawę. Tylko raz.

Zawstydzony, przeczesał palcami włosy.

- Dobrze — powiedział. - Rozumiem. W porządku. — Udało mu się zawrócić i w miarę prosto dojść do drzwi.

Dwa dni później przyszedł znowu. Świeżo ogolony, ze zwieszoną głową, jak chłopiec potrzebujący matki, która klepnęłaby go w pupę i kazała mu się wyprostować. Delia obserwowała go, jak ku niej idzie, jak swobodnie porusza tułowiem osadzonym na mocnych biodrach. Randall też tak chodził. I Clint. Zawsze to zauważała - chód mężczyzny spragnionego kobiety. Nie włożył munduru. Naprawdę się postarał. Miał przystryżone włosy, wyprasowaną koszulę, spodnie w kant, wyglansowane buty.

Westchnęła. Twarz Emmeta znieruchomiała i pojawił się na niej wyraz uporu.

Zobaczmy - pomyślała.

- No dobrze, jedna kawa.

Pewnej letniej nocy na moście na rzece Bowle Dede wreszcie sprawdziła możliwości datsuna. Od czasu do czasu mogła siadać za kółkiem, ale tylko wówczas, gdy obok siedziała Delia. Matka nie pozwalała jej jeździć samotnie po nocy, lecz Dede miała jazdę we krwi, Delia zaś najwyraźniej nie dostrzegała żadnego ryzyka w tym, że kluczyki samochodowe zostawiała na haczyku przy kuchennych drzwiach. Podczas pierwszych potajemnych wypraw Dede odczuwała wyrzuty sumienia, które jednak błyskawicznie mijały. Chciała pojeździć po nocy sama, chciała przycisnąć gaz do dechy na niemal pustej drodze i poczuć na twarzy podmuch chłodnego, wilgotnego powietrza. Miała piętnaście lat, była ostrożna i wiedziała, co robi.

Czekała, aż Delia mocno zaśnie, potem ostrożnie sypchała datsuna po podejździe do miejsca, gdzie mogła bezpiecznie uruchomić silnik. Te eskapady wprost ją upajały. Noc była najlepszą porą na jazdę, tak, zdecydowanie najlepszą. Grały świerszcze, w oknach szumiał wiatr, a ona otwierała usta i zaczynała śpiewać. Udawała, że uciekła z domu, że gdzieś na trasie czeka ją ukochany, mężczyzna bogaty, silny i marzący o tym, żeby położyła się przy nim i zamruczała mu w szyję.

- Ooo, grzeszniku — śpiewała pełnym głosem.

W jej wykonaniu ulubiony hymn babci Windsor nabierał cech rock and rolla, stawał się najlepszym bluźnierstwem, nawoływaniem i pochwałą grzesznika czekającego na pocałunek. Zawsze jeździła z kasetami, albo z tymi, które kupiła z drugiej ręki, albo z tymi, które przysłała jej Rosemary. Najbardziej lubiła Patti Smith Group i Todda Rundgrena. Te piosenki śpiewała z namiętną ekspresją.

- Gloria!

- W radiu nigdy nie puszczają najlepszych kawałków Patti — skarżyła się Delia. — Nadają tylko ten, który śpiewa z Bruce'em Springsteenem, a gdzie te, w których daje czadu? Pewnie się jej boją. - Próbowała wmówić Amandzie, że Patti Smith śpiewa gospel, że trzeba się tylko dobrze wsłuchać.



— To jest o Bogu, posłuchaj słów.

Możliwe, że zdołałaby ją przekonać, gdyby nie lubiła podśpiewywać wydłużonych kadencji wstępu do *Glorii*, w którym Patti głosiła: „Jezus umarł za grzechy, ale nie za moje!”

— Jesteś obłąkana — oświadczyła Amanda. — Naprawdę obłąkana.

— „Jezus umarł za grzechy” - zaśpiewała Dede. — Pewnie za twoje.

Tamtej nocy, kiedy do datsuna wsiadła Cissy, Dede miała kasetę z nagraniami Wave, którą zamierzała puścić, gdy tylko odjedzie nieco dalej od domu. Kłóciły się gniewnym szeptem.

— Chcę jechać.

— Nie zamierzam cię zabierać, ani mi się śni.

— Albo mnie zabierzesz, albo powiem Delii.

— Ty obrzydliwa paplo. Lepiej trzymaj język za zębami.

Pozwoliła jej wsiąść do samochodu, ale przedtem wymogła na niej święte przyrzeczenie.

— Przysięgasz? Przysięgasz, że nigdy mnie nie wydasz?

— Przysięgam. — Cissy położyła jedną rękę na brzuchu, a drugą na sercu.

Dede parsknęła śmiechem, lecz zapewnienie przyjęła. Przy pomocy Cissy szybciej wypchnęła samochód na ulicę, choć z drugiej strony jazda z pasażerem nie była przeżyciem równie wspaniałym jak samotna przejażdżka. Chwilę trwało, nim przyzwyczaiła się do nowej sytuacji. Cissy początkowo milczała, lecz umiejętności Dede musiały wyrzucić na niej duże wrażenie, bo już wkrótce zaczęła prosić siostrę, żeby nauczyła ją prowadzić.

— Za chińskiego boga - zarzekła się Dede. — W życiu nie zrobisz prawka. Odpadniesz na badaniu wzroku.

— Nie odpadnę, nie odpadnę. - Cissy uśmiechnęła się chytrze. — Znam na pamięć układ planszy.

Dede wybuchnęła śmiechem.

— Przygotowałeś się, co? No to jak już zrobisz prawko, od razu daj mi znać. Nie chciałabym płać się po drogach naszego okręgu, kiedy usiądziesz za kółkiem.

Dede jeździła po całym Cayro, czujnie unikając Tylera. Potrafiła nabrać Delię, ale nie tego starego wygę. Kilka razy były z Cissy aż nad rzeką Bowle. Parkowały poniżej grani wzgórza,

naprzeciwko oświetlonego mostu. Dede paliła, a Cissy po prostu siedziała. Czasami rozmawiały. Cissy nie chciała nauczyć się palić, co bardzo Dede bawiło. Kiedy była w jej wieku, podkradała papierosy z marynarki Clinta i paliła je na polu za domem babci Windsor.

— Nie lubię tego zapachu - powiedziała Cissy. - Założę się, że już go nie czujesz. Delia zawsze śmierdzi dymem, ty też. Myślisz, że ona tego nie wyczuwa?

— Nic mi nie mówiła.

— Ona w ogóle nic wam nie mówi. Ani tobie, ani Amandzie. Wciąż się stara, żebyście ją pokochały.

Dede wzruszyła ramionami.

— Ja tam odnoszę wrażenie, że to ona stara się nas pokochać. Przygląda się nam, jakbyśmy byli dziwadłami z głębokiego lasu.

— Szukała was, odkąd tylko pamiętam. - Cissy położyła nogi na desce rozdzielczej.

— O Chryste, zapal jednego. — Dede rzuciła w nią paczką papierosów. — Zaczynasz działać mi na nerwy.

— Nie chcę.

— Bo co? Boisz się, że dostaniesz raka? - Dede dmuchnęła na nią dymem. - A może cykorzysz przed Delią?

Cissy zaczerwieniła się. Najbardziej bała się tego, że Dede pomyśli, iż ją naśladuje. Wyciągnęła z paczki papierosa, zapaliła i zaciągnęła się. Dym parzył w gardle, paskudnie smakował, ale za nic nie ośmieszyłaby się, kaszląc czy pry-chając.

— Nie bardzo mi smakuje. — Zdołała powiedzieć tylko tyle. Dede skwitowała to uśmiechem.

— Z papierosami jest pewnie tak jak z piwem czy whisky. Smak nabyty, jak mówili bliźniacy. - Zaciągnęła się i pomyślała o Craigu.

Kiedy się tak nie napalał, był całkiem zabawny. Chciałaby, żeby się upił albo zasnął. Żeby był bezradny. Wtedy byłoby sympatycznie. Podotykałaby go sobie, jak by tylko chciała, pogłaskałaby go i wprawiła w stan takiego samego niepokoju, w jaki bliźniacy wprawiali ją. Zastanawiała się, czy można uprawiać seks, tak żeby nie zająć w ciążę i żeby chłopak nie wygadał się potem przed wszystkimi kolegami i kuzynami.

Może dałoby się to zrobić, gdyby był nieprzytomny. Czy można uprawiać seks z nieprzytomnym facetem? Zachichotała.

— Z czego się tak cieszysz? - zapytała Cissy.

— Z tego, że prowadzę — odparła Dede. - Z mocy tej maszyny.

Przez most przejeżdżały zazwyczaj dwukrotnie. Za pierwszym razem strzałka prędkościomierza starego datsuna pokazała prawie sześćdziesiąt mil na godzinę. Dede zerknęła na wskaźnik paliwa. Wiedziała, że musi dolać benzyny do baku, inaczej Delia zauważy różnicę. Dwukrotnie podebrała nieco paliwa z parkującego na ulicy samochodu pana Reitowera. Tym razem musiała pożyczyć od kogoś innego albo namówić Cissy, żeby w drodze powrotnej kupiła benzyny za dwa dolary. Cissy miewała pieniądze, przynajmniej od czasu do czasu. Dede pogłaskała kierownicę. Dobre auto, kochane auto. Na pewno potrafi jechać szybciej.

— Założę się, że gdybyśmy jeszcze raz wjechały na wzgórze i rozpędziły się od przejazdu kolejowego, mogłybyśmy wycisnąć z niego jeszcze więcej.

— Tak sądzisz? — spytała z ożywieniem Cissy.

— Tak.

Zjeżdżając z mostu, datsun pruł z prędkością prawie siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę. Trzęsa się karoseria, lecz silnik pracował jak trzeba. Kiedy wskazówka prędkościomierza przekroczyła wymarzoną linię, Dede wykrzyknęła: „O kurczę!”, a Cissy jej zawtórowała. Cissy wskazówki nie widziała, lecz poczuła, że samochód unosi się lekko, mijając grań wzgórza, i nabiera ogromnego pędu. Wyciągnęła ramiona, rozpląszczyła dłonie na dachu i zagwizdała z radosnego zdumienia. Zadziwiło ją, że tak to przeżywa, zadziwiło ją cudowne uderzenie powietrza wlewającego się przez okna, migające światła mostu. Nigdy w życiu nie jechała tak prędko. Nigdy w życiu tak bardzo się nie bała i nigdy nie była tak nieustraszona. Włosy Dede trzepotały na wietrze. Cissy poczuła w ustach chłodną, słodką wilgoć znad rzeki.

— O kurczę! O kurczę! — wrzeszczała, uśmiechając się do Dede w uniesieniu i chwale. Dziwnie łaskotało ją w żołądku. To przez tego papierosa - pomyślała, łykając drapiący kwas, który podszedł jej do gardła.

Wtem pękła opona prawego przedniego koła i samochód przeraźliwie zapiszczał. Przód wozu gwałtownie zarzucił, śmignęły przed nimi drzewa i słupy. Dede miotła przekleństwa i walczyła z kierownicą. Najpierw ścięły jeden przydrożny słupek, potem drugi, po każdym następnym coraz bardziej zwalniając. Cissy uświadomiła sobie, że Dede najeżdża na nie specjalnie, chcąc zatrzymać samochód.

— Boże! Boże! Boże! - wrzeszczała Cissy w nagłym przy-  
pływie adrenaliny.

— Właśnie, Boże! — odwrzasnęła Dede, gdy auto grzmotnęło w pień młodego derenia i raptownie zatrzymało się w błocie i zaroślach płtyckiego rowu.

— Boże — tchnęła Cissy.

— Wszystko w porządku, siostrzyczko, już wszystko w po-  
rządku. - Dede trzęsa się, z całej mocy ściskając kierownicę. —  
Nic ci nie jest?

— Nie, nic.

— O Boże! — Dede oparła głowę na kierownicy. — Cholera  
jasna! Teraz Delia na pewno o wszystkim się dowie.

Cissy poczuła, że żołądek wywraca jej się do góry nogami.

— Niech to szlag — jęknęła i zwymiotowała przez okno. —  
Zawsze nienawidziłam tego samochodu - mruknęła i zwymio-  
towała raz jeszcze.

Jakimś cudem datsun przeżył. Zniszczenia dotknęły tylko  
karoserię.

Mimo oskarżeń i krzyków Delii Cissy nie zdradziła jej, jak  
szybko jechały.

— Poprosiłam Dede, żeby mnie przewiozła — wyjaśniła. — To  
był zwykły wypadek, a ona uratowała nam życie. — Spojrzała  
z nadzieją w surową twarz matki.

Delia popatrzyła na Dede.

— Mogłaś zabić swoją siostrę.

Przestraszona i pobladła Dede zerknęła na Cissy.

— Wiem — odrzekła. - Wiem. — I pierwszy raz w życiu  
rozszochała się jak dziecko.

Delia patrzyła na nią, myśląc, ileż razy powtarzała to samo  
Randallowi. „Mogłaś ją zabić”.

— Ale jej nie zabiłaś — dodała i wzięła córkę w ramiona.

Amanda zastanawiała się nie dłużej niż półtorej minuty, nim przyjęła propozycję małżeństwa, jaką złożył jej Michael Graham. A zrobił to w pierwsze święta Bożego Narodzenia po skończeniu szkoły. Tego dnia Amanda przystrajała z jego matką tabernakulum, dźwigając wielkie donice z gwiazdą betlejemską i stopy białych goździków.

— Pozwól, że ci pomogę — powiedział Michael i podbiegł do Amandy, mocno zderzając się z nią czołem.

Jego matka roześmiała się i poszła po kwiaty. Amanda najpierw ujrzała świece w oczach, a zaraz potem jaskrawy rumieniec zakłopotania, który oblał już i tak rumiane policzki Michaela. On jest cudowny - pomyślała i zgodziła się zostać jego żoną, zanim zdążył dopowiedzieć swą prośbę do końca.

— Bóg mnie do ciebie przywiódł, Amando — powtarzał i mówił szczerze, od serca.

Jego ojciec zaaprobował matrymonialne plany syna. Matka promieniała radością. W końcu Amanda była dobrą chrześcijanką, może nieco za poważną i od czasu do czasu niepewną siebie, ale w sumie dobrą dziewczyną. Ludzie różnie mówili o jej matce, lecz Amanda nie miała pstro w głowie. Należała do wiernych członków kościoła i rodzice Michaela wierzyli, że będzie odpowiednią żoną dla pastora.

Początkowo Amanda zadawała sobie tylko jedno pytanie: czy na Michaela zasłużyła, czy jest wystarczająco pobożna, żeby zostać jego żoną. Wątpliwości z tym związane sprawiły, że Dede schodziła jej z drogi, że Delia uciekała do ogrodu, że Cissy zaszywała się w okręgowej bibliotece, by długo kontemplować jej ukryte zasoby. Lecz kiedy Amanda doszła wreszcie do wniosku, że prawdopodobnie zdoła być godną żoną Michaela, ogarnęły ją złe przeczucia. Wyobrażała sobie, jakie to przeciwności losu staną jej na drodze przed ślubem. Całymi tygodniami snuła się po domu absolutnie pewna, że Michael nagle umrze lub niebo zawali się im na głowę, nim zdążą się pobrać. Zaczęła wręcz fanatycznie uczęszczać do kościoła, chciała, żeby pozostali domownicy brali z niej przykład, lecz nie zdołała nakłonić do tego ani Dede, ani Cissy. Delia kilka razy się poddała i poszła z nią do Cayro Baptist Tabernacle, gdzie nie zawitała od końca pory płaczu. Wchodziła, siadała i z wy studiowanym wyrazem dobroduszości na twarzy kręciła się

nieswojo w ławce obok wujka narzeczonego córki. Wyraz dobrodusznosci zniknął z jej twarzy zaraz po nabożeństwie, gdy stała przed kościołem z M.T., by śmiać się z nią i rozmawiać. Raz wykrzyknęła nawet: „Panie Boże, odpuść!”, czym zniweczyła dobre wrażenie, jakie wypracowywała przez dwa tygodnie pokornego słuchania kazań.

— Byłam zażenowana! - zawodziła Amanda, kiedy znalazły się w domu.

— Dlaczego ona po prostu nie wyjdzie za mąż i nie wyłączy mnie z tego interesu? - rzuciła Delia do Cissy, gdy Amanda pobiegła do sypialni.

Nadzieje Amandy na zbawienie matki były nagłe i uporczywe. Wyglądało na to, że dziewczyna za wszelką cenę pragnie zaprowadzić Delię przed oblicze Boga — a konkretnie do Baptist Tabernacle, do kościoła, do którego uczęszczała rodzina Michaela — jakby miało to stanowić dowód jej wartości i wykazać, że zdoła sprostać przeznaczeniu, czyli wywiązać się z roli żony kaznodziei. Cissy wątpiła, czy skrucha Delii rozwiązałyby problem siostry, która, jej zdaniem, i tak nigdy nie uwierzy, że została członkinią bogobojnej rodziny, która wydała na świat Michaela.

— Pewnie musiałybyś się mnie wyrzec — zauważyła Cissy z krzywym uśmiechem. - Potem, jak już na dobre przystąpiłabyś do kościoła i tak dalej.

Delia posłała jej długie, wymowne spojrzenie, lecz nie odezwała się słowem.

Amanda wyszła za mąż w drugą niedzielę marca, w tydzień po swoich osiemnastych urodzinach. Tego ranka nikogo nie wpuszczała do łazienki, w której było lustro do makijażu, a Dede wyjątkowo często uciekała na papierosa za dom.

W Święto Dziękczynienia znowu pojawił się Craig Petrie z pełnym determinacji uśmiechem na twarzy i z małą torebką panamskiej trawki w ręku. Wychodząc, uśmiechał się jeszcze szerzej — trawkę i bibułki schowali w pudłach ze starymi książkami, które Dede przechowywała w garażu.

— Nie wierz w to, co ludzie o tym gadają - powiedziała Dede, proponując Cissy skręta. — Efekt jest taki sam jak po butelce piwa, z tym że cię tak nie rozdyma. Za to większa apetyt, dlatego trzeba uważać.

Znalazła chłopaka, który sprzedał jej torebkę z dużym rabatem. Nie zamierzała uzależniać się od Petriego, zwłaszcza że chodziło o coś, co tak bardzo przypadło jej do gustu.

Właśnie naśmiewały się z sukienek, które musiały włożyć jako druhny, gdy nadszedł kolejny kryzys wiary.

— Nie byłoby źle — rzekła Dede, przeciągając sylaby — gdybyśmy je przefarbowały, obcięły dół, pogłębiły dekolt i zerwały z nich te głupie falbanki.

Cissy wybuchnęła spazmatycznym śmiechem i dopiero wówczas zauważyła, że Dede już skróciła sukienkę, obciawszy cały zakład.

— Najlepiej by było, gdybyśmy szły za Amandą na golasa. Pokręciłybyśmy tyłkiem i przypomniałybyśmy wszystkim, do czego tak naprawdę sprowadza się małżeństwo.

Wtedy to z łazienki wypadła Amanda. Na szyi miała ręcznik, na twarzy nie dokończony makijaż.

— Słyszałam! Wszystko słyszałam! — Wielkie, druciane wałki zatrzęsły się niebezpiecznie i na jej skronie opadło kilka smętnych pasemek.

Te loki w życiu nie wytrzymają do końca ślubu — pomyślała Cissy.

— Och, na litość boską, Amando! — Wiedziała, że nie powinna nic mówić, lecz nie potrafiła się powstrzymać. — Nie składasz ślubów czystości, tylko wychodzisz za męża. Pan Bóg nie prowadzi rejestru każdej minuty twojego życia, jestem pewna, że ma na głowie inne sprawy.

— Ty nic o Bogu nie wiesz! — krzyknęła Amanda. — Bóg osądza całe nasze życie. Przekonasz się o tym dopiero wtedy, gdy będziesz smażyła się w piekle, a języki ognia bożego sądu zaczną lizać twoją zepsutą duszę.

Nadeszła Delia.

— Co tu się dzieje?

— Żartowałyśmy z sukienek - odparła Cissy.

— Ona pouczała mnie na temat Boga! — Zaczynał jej się rozmyślać czarny tusz do rzęs.

— No i? Co ci powiedziała? — Twarz Delii była rumiana jak płátky herbacianych róż wpiętych w welon, który trzymała w ręce. Właśnie prasowała go dla Amandy, gdy rozpętała się burza w szklance wody.

Cissy sięgnęła po chusteczkę i zastygła bez ruchu.

— Nic jej nie powiedziałam, ale teraz powiem, że dobrze by było, gdyby zaczęła prosić Boga o nieco miłszy charakter. Niech wreszcie przestanie kierować życiem innych!

- Gdybym miała kierować twoim życiem, od razu wypędziłabym cię z tego domu. Wypędziłabym cię z Cayro! A nawet z Georgii! Nie wiesz, że zmierzasz prosto do piekła?

Cissy przeniosła wzrok z rozgniewanej Amandy na Dede, która obserwowała tę kłótnię ze szczerym rozbawieniem. Potem spojrzała na kremowożółtą sukienkę w kształcie dzwonu, którą miała włożyć na prośbę siostry. Była tylko o rozmiar mniejsza od sukienki Dede, lecz Amanda nie zauważyła, jak bardzo siostra skróciła swoją. Spozstrzegła również, że Dede porobiła dodatkowe zaszewki, tak że sukienka sugestywnie podkreśliła jej biust i biodra. Widząc, że Cissy na nią patrzy, Dede uśmiechnęła się głupkowato. To nie jest uśmiech trzeźwej dziewczyny — pomyślała Cissy. — Czy Amanda tego nie widzi?

— O tak, jeśli ktoś tu pójdzie do piekła, to na pewno Cissy — odrzekła Dede. — Bez dwóch zdań.

Dede nie przejmowała się zbyt chrześcijańskimi dogmatami. Przyciśnięta do muru, twierdziła nawet, że jest buddystką, lecz mimo to od czasu do czasu popadała w religijne uniesienie. Była wtedy fanatyczną dewotką, co nie przeszkadzało jej przesytać niedzielnej mszy czy pić z chłopakami piwo podczas popołudniowego meczu. Boże Narodzenie i Wielkanoc czciła z najwyższym uwielbieniem, ale przez większą część lata miała religię gdzieś. W ostatnie Boże Narodzenie, zaraz po zaręczynach Amandy, Cissy nakryła ją kompletnie zaćpaną pod świerkiem, gdzie zawodziła nad losem Dzieciątka Jezus. Krzyż — tłumaczyła — jest jak to drzewo. Ukołysał Bożego syna. Ręce pokryte mnóstwem zadrapań trzymała między gałęziami i Cissy ani przez chwilę nie wątpiła w prawdziwość jej smutku. Choć wywołane chemicznie, uniesienie siostry płynęło ze szczerego serca, nie przeszkodziło to, że dwa tygodnie później, kiedy Amanda zaproponowała jej udział w przykościelnym spotkaniu, zbyła zaproszenie wzruszeniem ramion, skubiąc ledwo widoczne blizny na rękach.

- Nieprawda! - zaprotestowała, gdy Amanda zarzuciła jej



brak wiary. — Ja wierzę, tylko nie zawsze biję przy tym w bębny.

W gruncie rzeczy dwie pierwsze córki Delii były wierzące. Amanda zamartwiała się co prawda, czy jest cokolwiek warta jako chrześcijanka, lecz nie wątpiła w istnienie nazaretańczyka, który pewnego dnia ją osądzi. Religijne uczucia Dede cechował charakter dosyć okresowy, lecz przecież nie bluźnierczy. Za to Cissy patrzyła na Boga jak na cierń raniący jej duszę. I to właśnie ona — wszystkie się co do tego zgadzały — miała serce poganki.

Delia niecierpliwie potrząsnęła welonem.

— Chryste, czy nie mogłybyśmy odpuścić sobie choć na jeden dzień?

W nagłym przypływie złości Cissy zerwała z siebie absurdalną sukienkę matrony i rzuciła nią w Delię. Wymaszerowała na korytarz tylko w figach i nylonowych pończochach i zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni.

— Cissy, na litość boską. Cissy. Proszę cię — błagała Delia.

Cissy wciągnęła na siebie stare dżinsy i bluzkę, nie zwracając uwagi ani na matkę, ani na siostry. Amanda się rozryczała, a Dede zaczęła chichotać. Delia dwukrotnie stawała pod drzwiami, żeby pertraktować z najmłodszą córką, lecz ta nie chciała z nią rozmawiać. Kiedy w domu zapanowała cisza, Cissy wyszła z pokoju i na kanapie w salonie ujrzała Nolana.

— Podrzucić cię? — Miał na sobie czarny garnitur, ale było widać, że jest gotów zrobić, co Cissy zechce.

— Wyglądasz koszmarnie — oświadczyła.

Spojrzał na swoje wypastowane buty i przykrótkie nogawki zbyt obcisłych spodni.

— Rzeczywiście - odrzekł. — Chcesz tam jechać?

— Mogę.

Wiedziała, że spóźni się na ślub, mimo to postanowiła wziąć w nim udział, w przeciwnym razie Amanda wytykałaby jej to do końca życia. Gdy wraz z Nolanem wślizgnęła się do kościoła i zaszyła przy drzwiach, natychmiast stwierdziła, że na jej miejsce zwerbowano jedną z kuzynek Michaela. Dziewczyna miała na sobie tę brzydką sukienkę i wyglądała jak ostatnie nieszczęście, ale tuż przy niej stała Amanda, która prezentowała się całkiem, całkiem. Skutki ataku złości i gniewu skrywała

gruba warstwa fluidu i siostra jakby wypiękniała, a chwilami robiła nawet wrażenie szczęśliwej. Po jej drugiej stronie stała Dede, pogodna mimo absurdalnego wyglądu. Podczas krótkiej jazdy do kościoła powiększyła kolekcję swoich grzechów, obrywając wszystkie falbanki i jeszcze bardziej uodparniając się na świat chemicznie. Wyglądała jak Magdalena w spłaszczonym i odwróconym tulipanie i najwyraźniej zdążyła już zapomnieć, że powinna być wściekła. Uśmiechnęła się szeroko i pomachała do Cissy, przywołując ją bliżej.

— Chodź tutaj! - krzyknęła teatralnym szeptem na cały kościół. — Chodź się pożegnać. Od jutra będziesz miała własny pokój!

Cissy potrząsnęła głową, lecz dostrzegając zboląłą minę Delii i przygiętą postać Amandy, w końcu uległa. Przeszła przez kościół i stanęła przy nich. Gorąco przed ołtarzem było nie do zniesienia. Odurzyła ją woń perfum, zapach ślubnego bukietu, wyraźna nuta płynu po goleniu Michaela, odór papierosowego dymu bijący od Dede i zapach płynu do układania włosów Delii. Pragnęła, żeby ceremonia jak najszybciej dobiegła końca, żeby można było stamtąd uciec, pragnęła tego tak bardzo, że aż zrobiło jej się słabo. Makijaż Amandy był poślubiony bruzdami po łzach. Dede odrywała ostatnie skrawki żółtych falbanek z sukienki. A potem Michael spojrzał na Cissy i przyjacielsko się uśmiechnął.

Rodzina — mówił jego uśmiech. Miłość Pana — obiecywały jego oczy. To dlatego Amanda go kocha — pomyślała Cissy.

Wielebny Myles ogłosił ich mężem i żoną, Amanda uczciła to obfitymi łzami, potem odwróciła się do siostry i jęknęła:

— Och, Cissy. Co ja z tobą pocznę?

— Ja tam miłość mam już za sobą — powtarzała Delia po ślubie Amandy. — I to od tak dawna, że nie pamiętam nawet, jak się człowiek wtedy czuje. Ale czasem — dodawała - kiedy patrzę na swoje córki, wyobrażam sobie, jaka powinna być. Bóg dobrze wie, że one mają więcej szans na miłość, niż miałam ja.

Jak tylko Amanda się wyprowadziła, Dede zaczęła namawiać Delię, żeby odnowiła dom. Nie wystarczało jej, że przeniosła

się do pokoju Amandy, tego, w którym umarł Clint, o czym żadna z nich nigdy nie wspominała. Chciała, żeby Delia powiększyła ganek od strony kuchni, żeby go oszkląda, wystawiła skrzynki z kwiatami za kuchenne okna, żeby kazała wycyklinować podłogi i od nowa pociągnąć je pokostem. A tak naprawdę chodziło jej o to, żeby po wyprowadzce Amandy mieć nowy i zupełnie inny dom.

— Za drogo — tłumaczyła jej Delia. — Nie stać nas na to.

Ale Dede nie ustąpiła. Zwerbowała do pomocy Cissy i Nolana i razem ściągnęli wszystkie dywany. Za minimalną dobową opłatą wypożyczyła z „B & B Hardware” cykliniarkę i we troje cyklinowali podłogę, zamiatali ją, ścierali na mokro, by cyklinować od nowa. Podczas pracy ryczało stereo, Patti Smith i Kate Bush. Delia wyszła z domu, między innymi po to, żeby nie słyszeć tego ryku. Jak na ironię, Dede uwielbiała agresywnego rock and rolla. Nie interesowała jej ani lista przebojów, ani muzyka taneczna. Uważała, że Madonna to nieporozumienie, choć kiedyś powiedziała Cissy, że Cyndi Lauper nie jest wcale taka najgorsza. Cissy lubiła Prince'a i Revolution. Nocami puszczała jego kasety pod kocem.

— Brzmi jak Mud Dog - przekonywała Delię.

— Nie - mówiła Delia. - Ani trochę.

Nolan harował jak szaleniec, ale Dede nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Nie spojrzała na biedaka nawet wówczas, gdy opadł na czworaki, żeby rozprowadzić pokost bawełnianą szmatką. Okazało się też, że umie wymienić krążek z papierem ściernym na wkładkę do froterowania, którą Sally, siostra M.T., zachowała po jednym ze zleceń. Cykliniarkę mieli zwrócić dopiero za kilka godzin i spędzili je, na zmianę froterując podłogi, aż załśniły jak na zdjęciach z pism zbieranych przez M.T., poświęconych wystrojowi wnętrz.

— Mój Boże! — wykrzyknęła Delia, gdy w końcu wpuścili ją do domu. - Jest piękna! — Uścisnęła Dede, uśmiechnęła się promiennie do Cissy i Nolana. — Moglibyście robić to zawodowo, zarobilibyście kupę pieniędzy.

— O nie! — zaprotestowała Dede. — Nie będę tak harowała dla nikogo innego.

Cissy i Nolan parsknęli śmiechem, ale Delia poważnie skinęła głową.

— Coś ci powiem, Dede. Wybierz materiał, a ja uszyję nowe zasłonki. Może nawet nowy pokrowiec na kanapę?

— Bomba! Potem wystarczy tylko kupić nowe meble i nowy telewizor.

— Nowe meble? Te ci się nie podobają?

— Delia! — Dede kopnęła jeden ze zniszczonych drewnianych stolików. — Te graty są starsze ode mnie!

— To znaczy, że mamy w domu antyki, a nie graty. — Mimo to powiodła wzrokiem po pokoju. Kanapa się zapadała, stół do kawy zrobiony był z drewnianej szpuli na kabel, którą Clint dostał od kolegi z przedsiębiorstwa telefonicznego. Będąc w ciąży — nosiła wówczas Amandę - wyszlifowała go papierem ściernym i pomalowała. Może uda się jej znaleźć coś lepszego? Gdy była dziewczynką, lubiła rzeczy rozmontowywać i składać je z powrotem. Mogłaby kupić stare meble i trochę je podrasować. — Pomyśl o tym — dodała.

— Skoro już o myśleniu mowa, to pomyśl też o nowej pościeli. To żenujące, kiedy wywieszasz w ogrodzie te wszystkie powłoczki i prześcieradła.

— Przestań czepiać się moich powłoczek i prześcieradeł.

— Jakich prześcieradeł? — spytał szeptem Nolan, gdy wychodzili.

— Z żabą Kermitem, Snoopym, panną Piggy, z raketami i pociągami — wyjaśniła Cissy. — Delia kupiła je na wyprzedazy w dziale pościelowym u „Searsa” i Dede wiecznie jej przygaduje.

— Tak? - Nolan spojrział na Delię i Dede stojące na podłodze, przy której tak się naharował. - Kapitalnie.

Delia kupiła nowe stoliki na wyprzedazy podwórkowej i wspaniały wygięty fotel w „Saint Vincent de Paul”. Stoliki z telefonicznych szpul wyniosła do ogrodu i postawiła na nich doniczki z kwiatami. Pod wpływem nacisków Dede powiesiła nowe zasłonki i kupiła nowy telewizor, lecz pościeli się nie wyrzekła. Nie przeszkadzało jej, że zaprojektowano ją dla dzieci. Jeśli nie zasypiała na kanapie, szła do swojej małej sypialni, gdzie stało wąskie, twarde i samotne łóżko. Gdyby nie kolorowa pościel i wzorzysta narzuta, nadawałoby się na pryczę zakonnicy.

— Lubię wesołe kolory — oznajmiła, gdy Dede pokazała jej

reklamę pościeli w prążki. - Jestem dorosła, ale to wcale nie znaczy, że muszę sypiać na prześcieradłach w kratkę albo w prążki.

— Głupio wyglądają.

— A któż ogląda je oprócz mnie? Czy to nie ja jestem najważniejsza? Lubię ładną pościel, taką kolorową, wesołą, krzykliwą, pełną energii. Taka pościel nie szarzeje i nie muszę jej tak często prać. Poza tym na sznurku wygląda ładnie i radośnie.

Miała rację. Praniem zajmowała się Cissy, lecz pościeli Delii nie tykała, nawet nie wchodziła do jej pokoju. Delia lubiła prać swoją pościel sama i wywieszać ją na sznurku przeciągniętym od domu do zagraconego garażu, w którym trzymała ogrodnicze narzędzia. Prała w niedzielę. Wstawała późno, nastawiała bieliznę na zimne pranie, potem piła kawę, a jeszcze potem pełta w niedużym ogródku od strony kuchni. Później wywieszała pościel na słońcu i siadała na schodach, żeby popatrzeć, jak postacie z kreskówek wydymają się i powiewają na wietrze. Podciągała kolana pod brodę, przeczesywała palcami rozpuszczone włosy i cicho podśpiewywała, podczas gdy Dede i Cissy tłukły się po kuchni. Wyglądała jak młoda matka małych dzieci, a nie jak czterdziestoletnia kobieta, wciąż opłakująca to, co utraciła.

Jej łóżko wyglądało niepoważnie i aż się prosiło o komentarz.

— Mnie odpowiada — mawiała. - Nie zamierzam nikogo tam zapraszać.

— Jeszcze nie umarłaś - ganiła ją M.T.

— I jeszcze nie zwariowałam. Lubię swoje łóżko i lubię spać sama.

Po śmierci Clinta mężczyźni spoglądali na Delię tęsknym okiem, lecz mało który odważył się do niej podejść. Ona ledwie ich dostrzegała. Uważała, że sprawy męsko-damskie ma już za sobą. Owszem, wychodziła z Emmetem, ale na wychodzeniu się kończyło. Miała dość kłopotów w życiu — tak tłumaczyła się przed M.T., a kiedy dzwoniła Rosemary, żartobliwie rozważały, dla ilu mężczyzn można stracić głowę. Dla jednego? No, może dla dwóch, ale nigdy dla trzech.

— Ja już swoich dwóch miałam — zapewniała ją Delia. — Trzeciego bym nie zniosła.

Cała tajemnica polegała na tym, że Delia prawie nie wykorzystywała swojej pościeli. Jej kłopoty z bezsennością nasiliły się do tego stopnia, że zaczęła traktować sypialnię jak magazyn do przechowywania ubrań. Głównie drzemała, krótko i niespokojnie. Zamiast spać chodziła całymi nocami. Od strony kuchni i z boku garażu zawiesiła bożonarodzeniowe lampki i w mdłym świetle kolorowych żarówek pracowała w ogródku. Kiedy w ogrodzie nie zostało już nic do zrobienia, zaczęła odnawiać meble. Zeszlifowała papierem ściernym krzesła ogrodowe, które dostała od Steph, potem zaciągnęła je lakierem. Wzięła się do stołów i krzeseł w domu. Kupiła kilka używanych mebli w sklepie sieci „Goodwill”, odrestaurowała je i oddała: wielki stół do jadalni M.T., bujany fotel Amandzie, prześliczny stoliczek z wiśniowego drewna Emmetowi; to cacuszko miało nawet boczne szufladki.

Emmet uśmiechnął się, gdy mu go przywiozła.

— Zrobiłaś dla mnie stolik?

— Nie musisz go przyjmować — odrzekła. — Nieźle wyszło mi wykończenie i przypomniałam sobie, że masz wiśniowy kredens. Pomyślałam, że będzie ładny komplet.

— Owszem - zgodził się Emmet. Powiedział to ze spuszczoną głową, pieszcząc palcami blat stolika. Kiedy Amanda wyszła za Michaela, poprosił Delię o rękę. Popatrzyła na niego tak, że pomyślał, iż już nigdy nie zechce się z nim spotkać, ale na razie, dopóki udawał, że oświadczyzny były tylko żartem, ona udawała, że się ich nie wystraszyła. Umawiali się prawie co drugi tydzień. Jadali tłuste potrawy u Goobera i oglądali filmy w kinie dla zmotoryzowanych pod Mariettą.

— To nic wielkiego — powiedziała Delia. - Zdziwiłbyś się, widząc, jakie rzeczy ludzie wyrzucają. Ten skarb stał tuż przy drodze.

— Dziękuję. - Podniósł głowę.

— Och, nie ma za co. - Już spoglądała na samochód. — Może przyjedziesz do mnie w niedzielę i zobaczysz, co przygotuję na urodziny Steph?

— Chętnie - odrzekł, ściskając brzeg stolika.

— Niech ja skonam! — wykrzyknęła Steph, kiedy Delia i Emmet przywieźli jej urodzinowy prezent: antyczną toaletkę. - Dziewczyno, powinnaś założyć interes!

— Jeden już mam - odparła Delia. - Zresztą szlifowanie papierem ściernym przypomina trochę układanie włosów. To praca fizyczna, nie umysłowa. I sprawia mi przyjemność. Poza tym lubię wygląd dobrze oczyszczonego drewna.

— Bylebyś tylko nie zaczęła budować mieszkań ani kompostników jak ta wariatka z telewizji. Żeby cię czasem nie poniosło! - Steph puściła do Emmeta oko.

Bywały takie chwile, gdy Delia zastanawiała się, czy nie zrezygnować z fryzjerstwa i nie zabrać się do odnawiania mebli. Już nie musiałyby uśmiechać się do kobiet z głową obwiązaną ręcznikiem, co mogło być całkiem miłe. Ale tak naprawdę chodziło o to, że nie potrafiła usiedzieć w jednym miejscu. Biodra bolały ją bez względu na to, co robiła i gdzie spała: na łóżku, na kanapie, na macie w ogrodzie - wszystko ją gnioło.

George, nowy narzeczony M.T., ustawił jej wielką antenę radiową na ganku przy kuchni, dzięki czemu mogła teraz łapać stacje nawet tak odległe jak Phoenix. Po drugiej w nocy odzywały się też radiostacje z południowego zachodu i niemal wszystkie nadawały rozmowy ze słuchaczami oraz komentarze duszpasterzy o głębokich głosach. Nigdy takich audycji nie znosiła, a teraz nieoczekiwanie stały się jej pasją. Za domem urządziła warsztat, z kolorowymi lampkami i z radiem. Szlifowała drewno i nuciła country, zmieniając stacje w zależności od nastroju. I zawsze rozplanowywała pracę w taki sposób, żeby skończyć szlifowanie upatrzonej płamy czy spoiny, zanim rozpoczną się pogawędki ze słuchaczami, którymi bardzo się ekscytowała.

— Dostają przy nich furii — zwierzyła się Cissy. — Jestem wściekła albo oburzona. Czasami mam ochotę zetrzeć w proch to, nad czym pracuję, albo połupać drewno na kawałki.

— To po co tego słuchasz? - zdziwiła się Cissy.

Delia spojrzała na córkę, jakby rzecz była zupełnie oczywista.

— Bo czasem muszę się trochę powściekać. Albo porządnie wypłakać. Krzyknąć coś pełnym gardłem, przykopać w wiadro, żeby wylądowało po drugiej stronie ganku. Po prostu muszę coś zrobić. Przeżyć coś mocnego. Są takie chwile, kiedy kobieta musi się rozgorączkować jak wszyscy diabli.

Delia nawet się nie domyślała, do jakiego stopnia rytmy

rzządzające jej ciałem odpowiadają rytmom rządzącym ciałem Amandy. Nie wiedziała, że podczas gdy ona pociła się w świetle choinkowych lampek, mrużąc i przeklinając kaznodzieję w dalekim studiu radiowym, zajęta prasowaniem podkoszulków, Amanda sekundowała jej dzielnie z drugiego końca Cayro, śpiewnie odmawiając pacierze. Ilekroć Delia nazywała kaznodzieję głupcem, Amanda mówiła „amen”. Od czasu do czasu jak na komendę przerywały pracę. Serca były im tym samym rytmem, obie unosiły głowy i w tym samym momencie szeptały:

— Boże!

## 13

Czternastoletnia Cissy Byrd uwielbiała muzykę folk — zwłaszcza Gordona Lightfoota i stare płyty Delii z nagraniami Joan Baez, gimnazjalną drużynę pływacką, podłużne biszkopty, które Nolan przynosił jej z pierwszego wypieku w cukierni ojca, dżinsy o wąskich, prostych nogawkach — Dede powiedziała, że są fantastyczne — oraz książki *science fiction*, których bohaterkami były osierocone dziewczynki o zdumiewających nadprzyrodzonych mocach. Nie znosiła natomiast gumbo, orkiestry szkolnej, z której została wyrzucona za oplucie Mary Marthy Wynchester, Amandy oraz parafian Cayro Baptist Tabernacle, z którymi Amanda się nie rozstawała. No i Delii. Najzupełniej zwyczajnie, jakby nigdy nic, nienawidziła matki i robiła wszystko, żeby dać jej to do zrozumienia, jednak Delia nigdy nie przyjęła tego do wiadomości, tak że nawet sama Cissy czasami zapominała, że jej nienawidzi.

Wczesnym rankiem w pierwszą sobotę po jej piętnastych urodzinach przyszedł do niej Nolan.

— Jesteś wolna? — spytał, gdy pojawiła się w kuchennych drzwiach. Poprzedniego wieczoru też do nich zajrzał i spytał o to samo.

— Jak ptak - odrzekła. — Masz coś konkretnego na myśli?



— To niespodzianka. Urodzinowa. Mówiłaś mamie, że zabieram cię na cały dzień?

— Tak. - Cissy była w kapeluszu — dostała go od Dede — w słomkowym kapeluszu w kształcie czapeczki traktorzysty z czerwono-biało-zieloną wstążką wokół główki. — Powiedziała, idź w cholerę i niech cię szlag trafi.

— Naprawdę? — Nolan był zaszokowany.

— Nie! Boże, Nolan, to tylko taki żart. Pewnie powiedziałyby tak, gdyby mówiła, co myśli. Nie jesteśmy w najlepszych stosunkach.

Chyba go nie przekonała.

— Nieważne. Za dwadzieścia minut przyjedzie mój kuzyn Charles. Zabierze nas na przejażdżkę.

— Dokąd? - Cissy nie była pewna, czy podoba jej się ten władczy, rozkazujący Nolan.

— Tam, gdzie czeka niespodzianka. — Uśmiechnął się i potrząsnął ciemną czupryną. - Żadnych pytań. Poczekaj, niedługo sama zobaczysz.

Charlie się spóźnił, poza tym perspektywa wożenia ich do-  
kądkolwiek bynajmniej go nie cieszyła.

— Będziesz miał u mnie dług, kuzynie.

Nolan skinął głową, unikając wzroku Cissy. Najwyraźniej zawarli umowę na wymianę przysług, widziała to po nieszczęśliwej minie Nolana. Bez względu na to, o jaką niespodziankę chodziło, musiała przyznać, że natrudził się niemało. Wzięli ze sobą duży plecak, pełen rozmaitych rzeczy, którego pod żadnym pozorem nie pozwalał jej dotknąć, turystyczną lodówkę z kanapkami i coca-colą oraz koc „ochrzczony” — cokolwiek to miało znaczyć — przez kilka pokoleń męskich potomków rodziny Keenanów.

— Cholernie chuda, co nie? — rzucił Charlie, kiedy Cissy wdrapała się do furgonetki.

Przeszyła go wściekłym spojrzeniem. Nolan spiekł raka i spocił się ze wstydu.

— Nie mów tak o niej - powiedział.

— Nie tak nerwowo, nie chciałybym urazić twojej dziewczyny. — Charlie puścił do niej oko. - Brachu, jestem dumny, że w ogóle jakąś masz.

Przy Little Mouth Road zatrzymali się po lód do lodówki,

a kiedy Charlie wziął od Nolana pieniądze i poszedł zapłacić za benzynę i kupić papierosy, Nolan przeprosił Cissy za jego zachowanie.

— W przyszłym roku zrobię prawo jazdy - oznajmił. - Tata obiecał, że podpisze mi zgodę. Wtedy pojeździmy sobie, gdzie tylko zechcemy. Obejdzie się bez Charliego.

— Nie przejmuj się - uspokajała go Cissy. - To tylko twój kuzyn, nie brat. Nic nie poradzisz, że skończony z niego debil.

— Zaplanowałem całą wycieczkę — ciągnął Nolan. — Dojazd to najgorsza część wyprawy. Jak już dotrzemy na miejsce i Charlie się zmyje, wszystko będzie dobrze.

Ale kiedy tam dojechali, Charlie bynajmniej nie chciał się zmyć i podczas gdy Nolan przenosił do lasu lodówkę i resztę ekwipunku, zdążył wypić dwa piwa. Puszczając oko do Cissy, dogryzał kuzynowi i wyglądało na to, że ten dłużej już tego nie zniesie. Wreszcie Charlie poprosił go o jeszcze pięć dolarów. Powiedział, że przyjedzie po nich o zachodzie słońca, ale na pewno zabraknie mu paliwa, lepiej się więc zabezpieczyć, prawda? Nolan dał mu pieniądze i Charlie odjechał.

— Co za dupek! — mruknęła Cissy, kiedy spod kół furgonetki trysnęła ziemia i fontanna kamyków.

— Zawsze taki był — odrzekł Nolan. I uśmiechnął się pierwszy raz od godziny. — Chodź, chcę ci coś pokazać.

Pokazał jej dziurę w ziemi. Głęboką dziurę w ziemi. Nachyliła się i za jej krawędzią dostrzegła krętą ścieżkę. Musiałaby chwycić się korzeni i gałązek, ale mogłaby tam zejść. Nolan wskazał jej miejsca, gdzie w zboczu wykopano bądź usypano stopnie, które utworzyły coś w rodzaju stromych, trudno dostępnych schodów.

— Trudne schody — stwierdziła Cissy.

— I o to chodzi - odrzekł Nolan. — Inaczej nie opędzilibyśmy się od turystów. Ta jama nazywa się Paula's Lost. Kiedyś należała do mojej rodziny. Wujowie byli współwłaścicielami działki o powierzchni prawie dwustu akrów.

— Śmieszna nazwa.

— Zapomniano o niej na ponad dziesięć lat. Wuj Tynan mówił, że zapominano i przypominano sobie o niej kilkakrotnie. W latach pięćdziesiątych oddano ją państwu i dopiero wtedy trafiła na mapy. Teraz leży na terenie rezerwatu. Za

dużo tu skal i piachu, nic na tej ziemi nie wyrośnie. Wuj Tynan dobił targu i oddał działkę w ramach rozliczeń podatkowych, ale kuzyni od niepamiętnych czasów strzelają tutaj do celu. To słynne miejsce. Szeryf wciąż tu przyjeżdża i przegania obozowiczów, ale ten jar przy wejściu do jaskini doskonale nadaje się na strzelnicę. Zbłąkana kula nikogo tu nie zabije.

- Dlaczego ta jaskinia jest taka słynna?

- To cała opowieść. — Rozpromieniony Nolan otarł twarz. Otworzył lodówkę, podał Cissy butelkę coca-coli i kanapkę i znowu się uśmiechnął.

- Stała się słynna dzięki wujowi Brewsterowi. Rozrysował plan pierwszych trzech korytarzy i zaczął wydawać w nich przyjęcia. Obwiesił jar żarówkami na sznurku, wysłał zaproszenia z dokładnymi mapkami. Nazywał te przyjęcia Fantazjami Zagubionego Weekendu. Wstęp był wolny, a wuj Brewster częstował wszystkich piwem i marihuaną.

Cissy wbiła zęby w kanapkę z jajeczną sałatką i kawałkami marynowanych jarzyn. Nolan wiedział, że takie lubi. Naprawdę się postarał — pomyślała. Stłumiła uśmiech kęsem kanapki i patrzyła, z jaką przyjemnością opowiada jej historię Paula's Lost.

Brewster wrócił z Wietnamu zubożony o niemal cały garnitur zębów, trzy palce u nogi, połowę chrząstki w lewym kolanie i o kilkanaście kości w lewej stopie. Pragnąc podnieść go na duchu, koledzy podarowali mu na odjeźdźnym duży zapas marchy. Chcieli, żeby Brewster skosił na tym trochę grosza, ale on nie umiał robić interesów. Dzielił się tym, co miał, aż do wyczerpania zapasów, a kiedy się w końcu wyczerpały, nie narzekał, że znajomi niechętnie mu się rewanżowali.

- Do diabła, tak krawiec kraje, jak materii staje. Nie wolno tracić głowy — powiadał ze śmiechem. — Trzeba radzić sobie z tym, co jest. — Śmiał się jeszcze głośniejsze, kiedy podczas jednego z ostatnich przyjęć szeryf zrobił nalot na jaskinię i nie znalazł tam ani grama zabójczej trawki, chociaż wszyscy dookoła przysięgali, że na pewno tam będzie.

- Trzeba było wpaść miesiąc temu - powiedział Brewster Emmetowi Tylerowi, kiedy ten zapiął mu kajdanki. — Nie wyszedłbym z pudła do końca życia.

Emmet tylko mruknął coś pod nosem. Pracował w tym fachu

od niedawna i nie lubił zapuszczać się zbyt głęboko w las, poza tym Brewster był zbyt sympatyczny, żeby kogokolwiek rozżłóścić. Mieli prawie po tyle samo lat i Emmet nie potrafił patrzeć na niego bez uczucia wdzięczności wobec losu, bo to ostatecznie nie on wrócił z Wietnamu w takim stanie: po części kaleki, po części, i to nawet sporej, niespełna rozumu. Nalot okazał się kompletnym niewypałem. W przyjęciu nie uczestniczyli nieletni, dlatego szeryf mógł postawić Brewsterowi jedynie zarzut wandalizmu. Formalnie rzecz biorąc, jaskinia należała do okręgu, a on niszczył jej ściany, wbijając w nie trzymadła na pochodnie.

- Cholernie głęboka dziura, co, Emmet? — rzucił pogodnie Brewster, gdy ten pomagał mu wsiąść do zielono-beżowego radiowozu. - Jak to możliwe, że tyle razy o niej zapomniano, hę?

- Kraj schodzi na psy - odparł Emmet. — Moglibyśmy zapomnieć o wszystkim. - Otarł szyję, odpędził komara i spojrział w dół stromej stoku prowadzącego do wejścia do jaskini. - Była tu kupa drzew i gówna, śmieci, które ludzie wywozili do lasu, zanim otworzono wysypisko. Wszystko zarosło. — Kopnął nagą bryłę czerwonej ziemi i patrzył, jak się rozpada. W rażącym świetle reflektorów zaśniły czarne i srebrne odłamki metalu.

- Nikt by nie poznał, że coś tutaj jest. Nikt. Ziemia jest tak żyzna, że wystarczy splunąć i odbije zielenią.

Tajemnica związana z faktem, że zapomniano o tak wielkiej dziurze, przydała jej niesamowitości. W ciągu ostatnich lat padło tam parę drzew i wejście do jaskini jakby się obniżyło. Służba ochrony rezerwatu musiała postawić tablice ostrzegające ciekawskich amatorów grotolarzów o niebezpieczeństwach związanych z jej zwiedzaniem. Mógł zapaść się strop, na nieostrożnych czyhały szczeliny pełne kamieni i szlamu — ostrzeżenia te adresowano przede wszystkim do tych, którzy nasłuchawszy się o przyjęciach Brewstera, przychodzili to miejsce zwiedzać. Większość z nich przyjeżdżała jedynie z latarkami i sześciorakiem piwa, nie mając pojęcia, co ryzykują, schodząc w czeluść ciemnej, niebezpiecznej jamy. Ci, którzy z niej wychodzili, z radością wciągali świeże powietrze i pogwizdywali na wspomnienie błotnistej otchłani, którą za sobą zostawiali.

Cissy ponownie zairzała w głąb jamy.

— Daleko się ciągnie? — spytała.

— Nie wiadomo. — Nolan otwierał plecak. — Podobno bardzo. Powiadają, że aż do Little Mouth, ale nikt tam jeszcze nie dotarł. Little Mouth jest większa, bardziej znana. Do Paula's Lost wchodzi tylko wtajemniczeni. — Wyjął latarki z żabkami do mocowania u pasa. Przywiózł nawet zapasowy pas - na wszelki wypadek, dla Cissy - i dwie flanelowe koszule z długimi rękawami. — Na dole jest chłodno. Temperatura jest stała, czternaście i pół stopnia Celsjusza, jakby ktoś włączył tam wieczną klimatyzację. Po tym upale początkowo jest bardzo przyjemnie, ale po chwili robi się zimno i człowiek szybciej się męczy.

Popatrzył na nią z szerokim uśmiechem.

— Gotowa?

Kiedy schodzili w dół zbocza, spod nóg obsuwały im się obluźwane kamienie. Cissy dwa razy omal nie upadła, ale po kilku minutach opanowała umiejętność posługiwania się liną, którą Nolan przywiązał do jednego z dużych drzew na górze. Dobrze, że dużo pływam - pomyślała, gdy kazał jej trzymać się liny i czekać, aż dotrze do miejsca, gdzie znajdzie pewne oparcie dla nóg. Kiedy w końcu zeszli na dół, trochę bolały ją ramiona, mimo to uznała, że wspinaczka jest niezłą zabawą. Podobnie jak w pływaniu sukces zależał tylko od opanowania i wytrzymałości mięśni.

Powoli sunęła za Nolanem. To, co ujrzała, przeszło jej wszelkie wyobrażenia. Kiedyś widziała film, w którym grotołazi badali jaskinię, ale oni przestąpili jedynie kilka skał, a potem swobodnie weszli do środka. To miejsce wyglądało zupełnie inaczej. Znalazłszy się na dole jamy, stanęli u wejścia do jaskini, dużego, szerokiego otworu, który się szybko zwężał.

— Wuj Tynan mówił, że Brewster trochę tu tego odwalił. — Nolan kopnął nierówną ziemię. — Ale prawdziwe wejście do jaskini jest tam.

Była nim wąska szczelina w skale. Cissy odwróciła się bokiem, żeby w nią wejść, lecz już po chwili została zmuszona wykonać jeszcze jeden obrót. Sześć kroków dalej przesmyk skręcał i musieli się pochylić. Niebawem pełzali na czworakach,

trzymając latarki przed sobą. Tak, to jest jak pływanie — pomyślała, mocno pracując ramionami i biodrami i rozplaszczając się na ziemi, żeby nie zawadzić głową o sklepienie. Co jakiś czas korytarz się rozszerzał, by po chwili znowu się zwęzić. Nie, Cissy nigdy dotąd czegoś takiego nie widziała.

Oboje głośno sapali, gdy precyzyjnie się przez kolejne przewężenie, trafili do małej groty o skośnych ścianach i o podłożu przyprószonym czerwonym piaskiem. Nolan kazał Cissy ukucnąć tuż przy sobie, a gdy zetknęli się kolanami, wyjął manierkę.

- Napij się, a potem zgasimy latarki.

- Zgasimy? - Cissy pociągnęła łyk.

Nolan wodził po ścianach światłem latarki. Powierzchnia skośnie nachylonej skały była równie spękana i szorstka jak podłoże. To największy problem — pomyślała Cissy — te nierówności. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak ważne dla chodzenia jest gładkie podłoże. Oparła dłoń na skale obok kolana. Kamień był chłodny i gładki, lecz odniosła wrażenie, że gdyby weń stuknąć, rozpadłby się na kawałki. Wapień. Prawie wszędzie wapień. Miękki, woda łatwo go rzeźbi.

- Gotowa? - Nolan podświetlił sobie brodę, tak że wyglądał jak duch. Uszczęśliwiony, uśmiechał się szeroko. — Zgaś swoją.

Cissy pstryknęła wyłącznikiem. Nolan uśmiechnął się jeszcze szerzej i wziął ją za rękę. Usłyszała ciche kliknięcie i w grocie zapanowała absolutna ciemność.

Boże!

Jej źrenice rozszerzyły się, by pochwycić choćby iskierkę światła. Lecz ciemność była absolutna, wszędzie panowała doskonała czerń, od której dostała lodowatych dreszczy i która wypełniła załomki jej ciała kropelkami potu. Jednakże po chwili czerń rozbłysła czerwienią, punkcikami płonącymi na tle welwetowej nocy. Aksamitnymi. Wspaniałymi. Słyszała oddech Nolana. Poczwała na policzku muśnięcie powietrza i odwróciła głowę. Zobaczyła iskry, światło. Zakończenia nerwowe zaiskrzyły, rozgorzały i przestrzeń ponad nią natychmiast się rozszerzyła. Cissy zacisnęła zęby i ujrzała koralik wielobarwnego płomienia. Każdy dźwięk miał swoje odbicie w kolorze. Przesunął się pod nią piasek, a jego szmer był pasemkiem nieba, cieniutką wstążką błękitu. Mocniej podciągnęła nogi,

piasek głośno zaszemrał i ogarnęła ją fala lazuruwej niebieskości. Cissy znowu odwróciła głowę i jej oddech przybrał barwę ciemnokrwistego, rubinowego księżycy. Przystała oddychać i zza jej szyi wykwitł lodowato żółty kwiat o brylantowym połysku. Roześmiała się z narastającą radością.

— Fajnie, co? — Nolan ścisnął jej ramię. - Pamiętam, jak przyprowadził mnie tu wujek Tynan. To on nauczył mnie ciemności. Niektórzy jej nie znoszą, inni czują się w niej jak ryba w wodzie. Pomyślałem, że tobie się spodoba.

— Tak, podoba mi się — wyszeptała Cissy.

— Bać się ciemności to ludzka rzecz. - Głos miał lekko szorstki i Cissy usłyszała w nim nutkę strachu, strachu, nad którym Nolan panował, mimo to strachu. Był gorzki i zielony jak limonka.

— Ja się nie boję — odparła i znowu się roześmiała.

Jej słowa miały kolor zielonego jabłka i brzmiały fałszywie. Cissy bała się, lecz uczucie nie było jej obce. Potrafiła okiełznać lęk, potrafiła dać się mu ponieść, jak dawała się ponieść prądowi w rzece Bowle, gdzie chętnie pływała. Delia nie lubiła, gdy Cissy pływała po ciemku. A w jaskini było tak samo jak tam, w wodzie: strasznie, lecz upajająco. Czarne kropelki jej śmiechu przyskały na aksamitną czerń niczym hebanowe koraliki na kołnierz marynarki od smokingu.

— Widzisz... — Zawahała się. Czy Nolan nie pomyśli, że zwariowała?

— Co?

— Kolory. - Jak mu to wytłumaczyć? Gdy próbowała je dojrzeć, natychmiast pękały i blakły. Łatwiej można je było odczuć niż zobaczyć.

— Tak, to oczy płatają nam figle, coś w rodzaju halucynacji. Czasem te zwidy bywają bardzo intensywne. Musisz nauczyć się nie zwracać na nie uwagi. — Powiedział to z taką pewnością siebie, że Cissy zastanawiała się, ile razy tu był. Oblizwała wargi. Czy kiedykolwiek uda jej się nie zważać na te kolory? I właściwie po co? Poruszyła się lekko i odniosła wrażenie, że biodra ma z płynnej czekolady.

Sklepienie grotu wisiało tuż nad nimi. Pamiętała, że zanim Nolan wyłączył latarkę, piasek pod stopami był szaro-czerwony. Czy nadal taki jest — myślała — czy wypełnił się czernią jak jej

źrenice? Wyobraziła sobie ten piasek z perłowym połyskiem. Bolały ją oczy. Rozwierała je tak mocno, że wyschły i zmęczyły się. Uwolniła powieki, poczuła natychmiastową ulgę, a gdy znowu otworzyła oczy, musnął ją lekki powiew powietrza dochodzący z głębi korytarza.

Gdyby biel była wszystkimi kolorami naraz i gdyby czerń nie była żadnym, który z nich przesuwałby się teraz przed jej wysuszonymi, obolałymi źrenicami? Uśmiechnęła się i odprężyła. Tutaj nic nie mogło zrobić jej krzywdy.

— Posłuchaj — szepnął Nolan. — Posłuchaj.

Odchyliła głowę i wyciężyła słuch. Odnosiła wrażenie, że jej czaszka zamieniła się w bęben wyczulony na najdelikatniejsze uderzenia, gotowy przetworzyć je w najdelikatniejsze tony, a każdy ton rozjaśnić kolorem. Znowu zamknęła oczy i suchy ból wezbrał w niej czerwono-fioletowym pomrukiem. Chciała coś zanucić, ale była za bardzo speszona. Ale tak, z przyjemnością by zanuciła, nisko, dobywając głos z samego wnętrza piersi, tak samo jak to czasem robiła Delia, z przyjemnością wydałaby jakiś dźwięk, żeby zobaczyć, jaki kształt i jaką barwę przybierze w ciemności. Kark miała silny i otwarty niczym pudło rezonansowe gigantycznego instrumentu. Z palącego oka spłynęła łza. Cissy ją otarła. Słowa w jej głowie były bielą rzuconą na biel: jestem tu bezpieczna. Jeśli tego nie zechcę, nic mnie tu nie znajdzie. Jeśli się nie poruszę, wypełni mnie ciemność, a ciemność stworzy ze mnie inną istotę, nieustraszoną i pełną. Tak musi czuć się Amanda podczas gorliwych modłów: jakby tuliła się w rękę Pana. Cissy nie miała wątpliwości, że ta jaskinia jest krainą Boga.

I wtedy Nolan włączył latarkę. Cissy poczuła, że zalewa ją gorąca fala smutku. Oboje drgnęli, Cissy zakryła twarz. Światło było zbyt jasne, zbyt parzące i bolesne. Ciemność zniknęła, zniknęła ta wielka, piękna, kojąca czerń.

— Dobrze się czujesz? — Nolan gwałtownie zamrugał i przymknął powieki. — Wszystko w porządku?

— Tak. — Otarła łzy i z obojętną miną czekała, aż oczy odzyskają ostrość widzenia.

Latarki były na baterie i bił z nich wąski, jaskrawy snop światła. Światło odbijało się od ścian, rzucając wokoło rozmyte cienie. Już po chwili Cissy ze zdumieniem stwierdziła, że Nolan



widzi gorzej niż ona, że nie potrafi tak dobrze ocenić odległości. Ciemność i wąskie snopy jasności spłaszczają perspektywę. Nie sposób było się zorientować, czy mają przed sobą skalną szczelinę, czy tylko cień skały, i przekonywali się o tym dopiero wtedy, gdy podpełzli bliżej. Wszystko było dziwnie powiększone albo niewidzialne, czarno-białe i bezlitośnie zwodnicze. Ale Cissy nauczyła się oceniać odległość na podstawie subtelnych wskazówek, instynktownie wychwytywanych kontrastów, które potrafiła dostrzec i na ziemi, i pod ziemią. Równomiernym tempem posuwali się naprzód. Nolan znał ogólny rozkład jaskini i od czasu do czasu podpowiadał jej drogę, lecz głównie radziła sobie sama.

— Półka. — Wyciągnęła rękę.

— Zgadza się.

Tylko skinęła głową. To moje miejsce — pomyślała. Tego, czego w tej chwili pragnęła, nie potrafiłaby wyrazić słowami. Zaciśnęła dłoń na głazie i milczała. Ale coś ją zastanowiło. Kiedy powoli zbliżali się do wyjścia, myślała, jak by to było, gdyby kiedyś przyszła tu sama, gdyby zgasła latarkę i usiadła w kompletnej ciemności. Jak by się czuła, wystawiając się na wszystko to, co mogło nadejść.

— Byłaś wspaniała! — wykrzyknął Nolan, gdy stanęli na dnie jaru.

— Było kapitalnie! Co za prezent!

Nolan usiadł w plamie gasnącego słońca. Zamierzali chwilę odpocząć, a potem wspiąć się zboczem na górę. Czekali tam na nich kanapki i gazowane napoje, a także termos z gorącą herbatą. Rozradowany Nolan rozpostarł ramiona. Wszystko udało się tak, jak sobie umyślił. Wszystko z wyjątkiem Charliego. Co za drań — pomyślał i podparł się łokciami. Był wyczerpany.

— Rzeczywiście, to niezła harówka. — Cissy poruszała ramionami, aż ból nieco zelżał. Czy miała wciąż rozszerzone i pełne grozy wywołanej ciemnością. — Twój wujek ją znalazł?

— Znalazł, a potem o niej zapomniał. Przez jakiś czas należała do rodziny. — Nolan spojrzął w gasnące słońce. — Powinniśmy ruszać. Czekając na Charliego, opowiem ci o Brewsterze. —

Chciał jej pomóc, ale ona już wdrapywała się na zbocze. Podała mu koniec liny i zaczęła się wspinać. To jest dopiero dziewczyna — przemknęło mu przez myśl. — Zupełnie jak jej siostra.

Gdy usiedli z herbatą na poboczu drogi, Nolan wywiązał się z obietnicy.

— Brewster ożenił się z moją ciotką Maudy - powiedział. - Ale małżeństwo nie wypaliło, podobnie jak inne rzeczy, do których się zabierał. Z tym że po rozwodzie pozostali przyjaciółmi. — Maudy była siostrą ojca Nolana i aż do wyjazdu do Arizony przed dwoma laty całe swoje życie spędziła w Cayro.

— Brewster ożenił się z nią przed wyjazdem do Wietnamu czy już po powrocie? — Cissy sięgnęła do lodówki, wyjęła wilgotną puszkę coca-coli i przytknęła ją do czoła, żeby krople rosy zmyły pot, który zasechł jej pod grzywką.

— Przed, przed. Większość chłopaków jechała do Wietnamu prosto po szkole średniej. Kończyli osiemnaście lat, i już ich nie było. Raz, dwa, trzy. Tak właśnie wyjechał starszy brat Brewstera. Tylko że on miał pecha, bo trzy miesiące później był już martwy. Jako jedyny żyjący syn w rodzinie Brewster dostał papiery zwalniające go ze służby. Wszyscy mówili, że ma szczęście, ale on patrzył na to inaczej. Ożenił się z Maudy i poszedł do college'u, ale długo tam nie wytrwał. Nigdzie długo nie wytrwał, ani w małżeństwie, ani na studiach.

Zamilkł i przekrzywił głowę, nasłuchując warkotu silnika, ale gdy Charlie się nie pojawił, z radością podjął opowieść. Uwielbiał snuć rodzinne historie. Układały mu się w głowie niczym telewizyjne miniseriale, gdzie bohaterów łączą zawiłe powiązania rodzinne i gdzie na przykład występuje matka dziewczyny, która wychodzi za mąż za mężczyznę, którego dorosły syn zabija nie znanego mu rodzzonego brata.

— Wszyscy są z kimś spokrewnieni - powtarzał Cissy, lecz nie chodziło mu o to, że Cayro zamieszkują sami krewniacy, tylko o to, że każda z zasłyszanych historii jest podobna do tych, których się jeszcze nie słyszało, że jest bliższa im wszystkim, niż chciałoby się przyznać, że jest prawdziwą tragedią, jeśli tylko spojrzeć na nią pod właściwym kątem czy odpowiednio ją zreferować.

— Tata mówi, że Brewster osiągnął w życiu taki punkt,

w którym doszedł do wniosku, że nic mu się nie uda, dopóki nie zrobi tego, co powinien. Dlatego zgłosił się do wojska i pojechał na wojnę. Wszyscy twierdzili, że z niego szczęściarz nie lada. Że przynajmniej stamtąd wrócił. Wielu chłopaków z Cayro zostało w Wietnamie na zawsze.

— Byli za głupi, żeby nie wystawiać głowy. — Cissy pomyślała o Martym Parishu i o innych chłopcach z gimnazjum. Małym palcem wyłowiła z herbaty jakieś nasionko i dopiła resztkę naparu.

— Albo za bardzo napaleni. Lubili się popisywać. Dobre chłopaki. — Lekko skinął głową na znak, że wie, iż Cissy się z nim zgadza. - Tacy jak dzisiaj.

— Uhm. — Cissy odłamała kawałek styropianu z kubka. - Ale wtedy były inne czasy. Wszyscy tak mówią. W każdym razie Delia. Zawsze powtarza, że ludzie zapominają, jak było.

— I ma rację. Bez wątpienia. Powinnaś posłuchać, co mówi mój wujek. Ha! Albo mój tata. Przez jakiś czas nosił nawet dłuższe włosy. Puszczał płyty Allman Brothers i twierdził, że Brewster to głupiec, bo tylko głupiec zaciągnąłby się na ochotnika. Jakby sam nie miał na to ochoty. Ciotka Maudy mówi, że mojego ojca powstrzymało jedno: przepuklina, której nabawił się, pchając furgonetkę. - Nolan potoczył termos po udzie. Cissy wstała.

— A Clinta kolano. — Znowu poskubała styropianowy kubek i spojrzała na drogę. Musieli zabrać z sobą wszystkie bambetle, nie mogli ich tu zostawić. - Nie wzięli go do wojska, bo mu trzasnęło kolano. Miał wypadek na farmie ojca.

— Szczęściarze: kalecy i poszkodowani na zdrowiu. — Nolan błysnął zawadiackim uśmiechem. — Ciotka Maudy nazywa to ewolucją w toku. Zdrowo szurnięci, ci, którzy słabo główkowali, i pechowcy jechali pierwsi i już nie wracali. Szczęściarze i nieudacznicy zostawali, żeby płodzić kolejne pokolenia. Mój tata spłodził mnie i Steve'a, twój Amandę, Dede i ciebie. Gdyby historia potoczyła się inaczej, zamiast ciebie i twoich siostr po świecie mogliby teraz chodzić synowie Brewstera.

— Straszne, co? — Cissy uśmiechnęła się cierpko.

Postanowiła nie zawracać sobie głowy wyjaśnianiem, że owszem, Clint Windsor spłodził Amandę i Dede, ale przecież nie ją. W odróżnieniu od Nolana nie miała ochoty opowiadać

o swojej rodzinie. Randall uniknął wojska dzięki piosenkom i pełnej polotu interwencji pewnego producenta płyt, którego głównym powołaniem było zatrzymywanie w cywilu ludzi przynoszących mu dochody. Clint przypominał Brewstera. Pojechałby do Wietnamu, gdyby tylko mógł. Tak, to było zważane dziesięciolecie. Clint mówił o nim z namaszczeniem kaznodziei:

— Wszystko stanęło na głowie. Kobiety zakochiwały się w mężczyznach wyglądających bardziej kobieco niż one same. A prawdziwych mężczyzn traktowano jak psy.

Przy poboczu ubitego traktu stała jedna z tablic, które wierni z Baptist Tabernacle rozstawili w całym Cayro. Czerwono-białymi literami wymalowano na nich hasło: „Wszyscy jesteśmy miłymi gośćmi w domu Pana”. Cissy pomyślała o Clincie i przypomniała sobie, w jaki sposób mówił. „Prawdziwi mężczyźni”: było to jedno z powiedzeń, które upodobał sobie najbardziej. Ilekroć je powtarzał, a mógł mówić nawet najbardziej głuchym szeptem, zawsze brzmiało twardo i mocno. Prawdziwi mężczyźni. Dobre kobiety. Bóg i prawość. Cena grzechu. To, czego kobieta naprawdę pragnie — słowa te rozbrzmiewały jej w głowie niczym tekst pieśni śpiewanej wyłącznie przez ludzi prawych, niczym kościelne pienia zanoszone w takt muzyki kowbojów z rolniczego Kentucky. W wymęczonym tremolo Clinta słowa płynęły natarczywym staccato. Wiedział, jak brzmi jego głos, jak brzmi głos ojca czy któregośkolwiek z zarosniętych mężczyzn idących przez Cayro w głęboko nasuniętych czapkach, pod którymi kryli gniewne, przekłute przez Boga twarze. Czasami nawet śmiał się sam z siebie.

Miała wrażenie, że się rozszczępiał na dwoje. W połowie wciąż był człowiekiem sprzed choroby, w połowie zaś kimś, kogo dopiero tworzył. Twardo mówił to, co myślał, potem chrząkał i powtarzał wszystko raz jeszcze, tyle że z kpina w głosie. Kiedy przysłuchiwała się Amandzie, jej dosadnemu, mocnemu doborowi słów, zdawało się jej, że słyszy Clinta — Clinta, którym już nie chciał być.

— Moi wujowie przysięgają, że Brewster leży w jednej z tych jaskiń — mówił Nolan. - Albo w Little Mouth, albo tutaj. Ciotka Maudy wie, ale nie chce mi powiedzieć.

Brewster nieszczęśliwie upadł ledwie kilka dni po tym, jak Emmet Tyler zrobił nalot na jego przyjęcie i zerwał lampy ze ścian jaskini. Pijany i wściekły, uraził się w uszkodzoną kostkę i na leczenie pojechał do szpitala dla weteranów. Lekarze oświadczyli, że postawią go na nogi, jednak z każdym dniem jego stan się pogarszał. Kiedy Tynan, wuj Nolana, przyjechał go odwiedzić, okazało się, że zamiast ratować kostkę, lekarze obcięli Brewsterowi stopę. Tynan dostał szału i chciał zabrać go do domu, ale nic z tego nie wyszło.

— Zostaw mnie - powstrzymał go Brewster. — Ja się stąd nie ruszę.

Było wczesne popołudnie. Brewster miał zaczerwienione oczy, nie mógł skupić wzroku i trącił alkoholem.

— Pijesz? — Tynan był wściekły i zaszokowany.

— Tu można dostać wszystko - odparł Brewster scenicznym szeptem. — Wszystko! Czasami nawet za darmo. — Zerknął na sąsiednie łóżko, gdzie leżał półnagi mężczyzna, podrygując i tocząc ślinę z ust.

— O Boże! — Tynan odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Ilekróż odwiedzał go ktoś z rodziny, Brewster powtarzał to samo:

— Dajcie mi spokój. Ja się stąd nie ruszę.

Im dłużej to trwało, tym bardziej był skurczony i nieobecny. I zawsze albo na haju, albo pijany.

— Skąd bierzesz pieniądze, chłopcze? - pytał go Tynan.

— Mam przyjaciół — odpowiadał Brewster z uśmiechem. — Mam przyjaciół.

— Ładni mi przyjaciele!

Tynan kłął, lecz nic nie mógł na to poradzić. Nikt ze szpitalnego personelu nie chciał słuchać jego skarg.

Lekarze przysięgali, że kolejna operacja będzie już tą ostatnią, lecz gangrena wciąż powracała i co jakiś czas amputowano mu kawałek nogi. Kiedy w szpitalu zjawiła się Maudy, lekarze wyrzucili w górę ramiona i oświadczyli, że już nic więcej nie mogą zrobić. Maudy uniosła prześcieradło i w miejscu gdzie dawniej Brewster miał nogę, ujrzała ośmiocalowej długości kikut.

— Och, Brewster! — Jęknęła, lecz on prawie nie zauważał

jej obecności. Tak jak uprzedzał ją Tynan, Brewster był zalany, nie tyle odurzony lekami, co doszczętnie pijany, i to w środku dnia.

— Nie wrócę do domu — powtarzał bez końca. — Już nigdy nie wrócę do domu.

— Ty umierasz — powiedziała Maudy i dopiero wtedy skupił na niej wzrok.

— Tak — odrzekł. Oblizął wargi i uśmiechnął się do niej. — Och, Maudy — wyszeptał. — Ładnie wyglądasz.

— A ty okropnie.

— Nie zaprzeczam. - Rozejrzał się szybko po sali, jakby chciał się upewnić, czy nikt ich nie obserwuje, i chwycił Maudy za rękę. — Musisz mi pomóc. Proszę cię. Nie daj mnie tu pogrzebać. Zabierz mnie do domu. Do Cayro. Nie pozwól, żeby pochowali mnie pod tym trawnikiem, żeby chorzy po mnie deptali.

Ścisnął jej dłoń. On bredzi - pomyślała, ale rzeczywiście, za oknem zobaczyła nie ogrodzony cmentarz - zamiast nagrobków, w trawie tkwiły nieduże tabliczki. Między tabliczkami spacerowali ludzie. Spacerowali ze spuszczoneymi głowami, jakby czytali widniejące tam napisy, obojętnie przechodząc od jednej tabliczki do drugiej.

— Dobrze — obiecała.

Brewster zwolnił uścisk. Umarł w ciągu tygodnia. Możliwe, że wtedy bredził, mimo to Maudy przywiozła jego ciało do domu i pochowała na jaskiniowym pustkowiu.

— Myślisz, że gdzieś tutaj? — Cissy spojrzała na zbocze porośnięte sosnami i dereniem.

— Może. - Nolan miał smutne oczy. — Ciocia Maudy powiedziała, że Brewster przywiózł ją tu po ślubie, żeby pokazać jej nietoperze, ale zajęli się czymś innym i zapomnieli, że mają je oglądać o zachodzie słońca. - Uśmiechnął się. - To chyba jedyna pogodna opowieść o Brewsterze, jaką od niej słyszałem. Była z nim tutaj szczęśliwa. Zdaje się, że ta jaskinia należała do jego ulubionych miejsc, a przez jakiś czas może także do jej.

Cissy spoglądała w głąb jaru. Jaskinia poświstywała głucho, niema i tajemnicza. Groty nie potrafią ostrzegać, lecz Cissy wydawało się, że ta jest wyjątkiem. Wpatrywała się w jej

skalne usta, w jej ziemiste wargi rozdziawione w urywanym zawodzeniu. Ona oddycha — pomyślała. — Oddycha jak Clint albo jak staruszka z rozedmą. Zamknęła oczy i wyętyżyła słuch. Słońce chyliło się ku zachodowi.

- Tak, Brewster naprawdę kochał to miejsce - powiedział Nolan.

Cissy skinęła głową. Potrafiła sobie wyobrazić, że ten nieszczęsny człowiek obdarzył miłością dziurę w ziemi. Doskonale go rozumiała.

- Bo tu jest wspaniale. To najlepsze ze wszystkich zakichanych urodzin, jakie kiedykolwiek miałam.

Ludzie chodzą po grotach z nie zbadanych powodów. Wspinaczka po górach jest bardziej emocjonująca. Spadochroniarstwo gwarantuje lepsze widoki. Narciarstwo, szermierka, a nawet jazda konno też dają człowiekowi niezły wycisk. Speleologia nie jest sportem - jest wyzwaniem. Nie jest wycieczką, lecz próbą sił. Ciemna, głęboka, smolista jama jest idealnym miejscem dla sprawdzenia nerwów, mięśni oraz instynktu przetrwania, lecz ryzyko z tym związane jest straszne, a przerażenie jak pierwotny strach. Już od pierwszych chwil, gdy leżała na osypujących się łupkach Paula's Lost, Cissy wiedziała, że kocha tę jaskinię, tak jak kochał ją Brewster. Że kocha ciemność i bezpieczeństwo, ryzyko i nieznaną głębię.

- Możemy tu kiedyś wrócić? - zapytała. - Zorganizować sobie lepsze światło i wrócić?

Nolan usłyszał w jej głosie pragnienie i lęk.

- Jasne - odrzekł. - Kiedy tylko zechcesz.

- Niedługo. - Serce waliło jej jak młotem, w brzuchu czuła słodkie podniecenie. — Wróćmy niedługo.

- Dobrze. Porozmawiamy z moimi kuzynami i zdobędziemy lepsze lampy. Wrócimy, kiedy zechcesz. - Coś go zastanowiło i omal nie zmarszczył czoła. Myślał o tym, co o Brewsterze mówił ojciec, o smutku w jego głosie, ilekroć wspominał tego młodego człowieka, który zmarnował życie. Powinienem był się domyślić, że ma szmergla, kiedy zaczął łązić po tej jaskini — mówił pan Reitower. Wydawanie przyjęć to jedno, a samotne siedzenie w ciemnej jamie to całkiem co innego. Rozmawiał wtedy z ciotką Maudy, która skinęła głową i powiedziała coś, co utkwilo Nolanowi w pamięci.

- Pierwsze pytanie, jakie zadaje się chodzącym po jaskiniach, brzmi: „Dlaczego?” Ale przysięgam, że nigdy nie uwierzę w ich pierwszą odpowiedź.

## 14

Nolan Reitower miał dwie obsesje: swój klarnet i Dede Windsor. Pierwszej z nich uległ stosunkowo niedawno i wykazywał się nieoczekiwanym talentem muzycznym. Druga namiętność trwała latami, lecz w tej dziedzinie nie odnosił żadnych sukcesów. Od samego początku Dede nie chciała nań nawet spojrzeć.

- Z niego nigdy nie wyrośnie prawdziwy mężczyzna - mawiała.

Potrąfiła bez ogródek powiedzieć to, czego inni nie śmieli, lecz jak tylko to powiedziała, od razu wszyscy przyznawali, że myślą dokładnie tak samo. Co do Nolana, trafiła w dziesiątkę. Mimo że osiągnął wzrost mężczyzny, nadal miał twarz chłopca, by nie powiedzieć dzidziusia. Dede przeszkadzało nie tyle to, że był od niej ponad rok młodszy, ile to, iż w jego pojęciu adorowanie kobiety równało się robieniu maślanych oczu i wgapianiu się w nią w miejscach publicznych. Poza tym kiedy zaczął za nią chodzić, był chłopcem dość pulchnym i choć się rozrósł w ramionach, pulchny pozostał. Jediną miłą rzeczą, jaką o nim mówiono, było to, że jest dobrym i grzecznym synkiem, ale Dede twierdziła, że to kiepska rekomendacja — na grucznych synkach nie zawieszała oka.

— Jest za układny — mówiła. — Nie ma w nim nic dzikiego.

Rzeczywiście — myślała Cissy. Niczego takiego w nim nie ma. Jego dzikość sprowadzała się do namiętnego uczucia, jakim obdarzył Dede. Od czasu ich pierwszego spotkania, kiedy to zderzyli się na schodach i nazwała go pieszczoszką mamuni, Nolan wpadł jak śliwka w kompot. Na jego miejscu inny by się obraził, on natomiast zapłonął do niej żarliwą



miłością. Poza Dede Windsor nie istniała dla niego żadna inna kobieta.

Parę miesięcy po urodzinowej wyprawie do Paula's Lost Nolan zaczął pracować w „Biscuit World”, w cukierni ojca, który miał, jak powiadano, „niewielki ataczek serca”.

— To nic innego jak ostrzeżenie — uznała Nadine. — Ostrzeżenie, które mówi, żeby w tym domu nareszcie zapanował porządek, kochanie. Musisz lepiej jeść. I więcej odpoczywać. To palec Boży. Pan nakazuje ci zwolnić tempo.

Z powodów, których Nolan nie rozumiał, Nadine wcale się tym „ataczkiem” nie zmartwiła. Jakby zupełnie nie wyobrażała sobie, że temu, czym się dotąd cieszyła, czyli życiu toczącemu się gładko jak po porcelanowym talerzu, może zagrozić poważne niebezpieczeństwo.

Nolan przyjrzał się uważnie bladej twarzy ojca i natychmiast wymyślił własny sposób uporządkowania domu. Jak na dobrego syna przystało, bez zbędnego rozgłosu zreorganizował swój dzień tak, że co rano przez trzy godziny pomagał ojcu w zakładzie, potem zaś biegł do szkoły, by zdążyć przed drugim dzwonkiem. Wchodził do sali apelowej owiany zapachem proszku do pieczenia, masła i soli, a z torebki z podłużnymi biszkoptami, którą ścisnął w rękę, unosiła się jeszcze para. Niebawem jego oczy — wszyscy zgodnie twierdzili, że są ozdobą twarzy młodego Nolana — utonęły w rozdętych od biszkoptów policzkach, a przez drzwi musiał przeciskać się bokiem. Z punktu widzenia Cissy najgorsze było to, że przestał mieścić się w szczelinie wiodącej do jaskini.

- Przepraszam cię, ale nie mam czasu — powtarzał jej ciągle i wcale nie kłamał. Albo był w szkole, albo pracował w cukierni, albo grał na klarncie, tak że poza tym czasu nie starczało mu już praktycznie na nic.

Na pomysł klarnetu wpadła Nadine. To ona pchnęła syna do zapisania się do orkiestry szkolnej z nadzieją, że oderwie go to od książek. Zasugerowała klarnet, gdyż uznała, że to dla Nolana odpowiedni instrument: nie tak ciężki i nieruchawy jak tuba ani seksualnie podejrzany jak pikolo. I choć lubiła dźwięk eufonium, nie była pewna, jak by Nolan wyglądał, przytulając

je do piersi; odziedziczył budowę po ojcu i zapowiadał się na dużego, dość gamoniowatego mężczyznę. Zatem nie. Doszła do wniosku, że syn poradzi sobie z klarnetem i że będzie mu z nim do twarzy.

Nadine myślała, że klarnet okaże się chwilowym hobby — Nolan zawsze się wszystkim nudził. Muzyka miała być pożytecznym, lecz tylko chwilowym środkiem zaradczym na nieśmiałość związaną z okresem dojrzewania. Kupiła synowi niedrogi Vita Leblanca, przywoity model dla początkujących, plastikowy, z niklowanymi klapkami.

— Ma dobry rezonans — powtarzała. — Tak mówił sprzedawca. — Nie mogła jednak przypuszczać, że od tej chwili życie jej syna będzie pisane szesnastkami, bo nauczywszy się operować palcami, odkrył, że może przez klarnet oddychać, że może dzięki niemu ulecieć w świat nikomu innemu nie znany, świat pełen upojnej chwały obudzonej jego talentem.

Ćwiczył, gdy tylko nadarzała się po temu sposobność. Głównie po szkole, kiedy ojciec był w domu. Cukiernię zamykano codziennie o pierwszej po południu, a w dni najbardziej wzmożonego ruchu nawet wcześniej.

— Jak już pójdą, to ich nie ma — śmiał się pan Reitower i wycierając kontuar, myślał o łóżku. Ojciec Nolana sypiał każdego popołudnia, od powrotu z cukierni do kolacji. Martwił się, że Nolan tak wcześnie wstaje, aby mu pomagać, i że drzemkę uciąć sobie może dopiero po szkole i po próbie zespołu.

— Dorastający chłopcy muszą jeść, to oczywiste, ale muszą też spać — powtarzał Nolanowi co kilka dni.

— Marzenia — skarżył się Nadine. — Ten chłopak nie ma czasu na marzenia. Nie ma wolnej chwili na słodkie nieróbstwo, kiedy mógłby wyciągnąć się wygodnie i porozmyślać. Bez tego nie stanie się mężczyzną. Musi mieć czas, żeby wyobrazić sobie, kim będzie, gdy dorośnie.

Na ogół Nolan nie sypiał w ciągu dnia. Snuł się śpiący godzina po godzinie, do chwili gdy mógł wreszcie włożyć stroik do ust, a wówczas budził się natychmiast, tryskając radością. Ojciec nie rozumiał, że muzykowanie syna jest właśnie porą marzeń. Nolan nie po to grał na klarnecie, żeby udawać Benny'ego Goodmana czy skryć się za czarnym pla-

stikiem i lśniącymi klapkami. Muzykę lubił od zawsze. Codziennie wczesnym wieczorem Nadine łąpała w radiu stację z muzyką klasyczną, ojciec zaś co rano nastawiał jazz nadawany z Atlanty, którego słuchali we dwóch, krojąc herbatniki. Lecz ich nieśmiałe uznanie dla syna nie miało nic wspólnego z tym, co Nolan odczuł po pierwszym półroczu gry na klaryniecie.

jego nauczyciel, pan Clausen, martwił się o niego tak samo jak ojciec. Nadine wynalazła go, gdy dyrygent szkolnego zespołu muzycznego polecił jej znaleźć kogoś, kto się zna na rzeczy. Pan Clausen uczył w rejonowym college'u i prowadził nieduży zespół instrumentów dętych. Zespół dużo ćwiczył, lecz rzadko występował; Cayro nie należało do miejsc, w których ludzie by takich zespołów słuchali. Kiedy Nadine się do pana Clausena zwróciła, potraktował ją prawie niegrzecznie, lecz po dwóch spotkaniach z Nolanem stał się nad wyraz miły.

— To cud. Ten chłopak, jego gra... Nie sposób przewidzieć, na co go jeszcze stać. Słucham go i myślę, że zwariowałem. Słucham go i zaczynam wierzyć, że Bóg jednak istnieje.

— Panie Clausen! — zawołała Nadine z przerażeniem. — Chce pan mi powiedzieć, że nie wierzy pan w Boga?! — Nadine była gotowa znieść wiele, żeby zapewnić chłopcu dobrego nauczyciela, ale bluźnierstwa na pewno by nie zniosła. Wiedziała, że pod tym względem muzycy są niebezpieczni. Wolnomyśliciele, hipisi, ateści, odmieńcy, intelektualisci — wszyscy oni tworzyli dość szczególną grupę ludzi, a ona nie życzyłaby sobie, żeby Nolan utrzymywał z nimi bliższe kontakty. Kochała go, wiedziała, jak bardzo jej syn uwielbia muzykę, lecz zdawała sobie sprawę, że łatwo jest młodego chłopca sprowadzić na manowce. W końcu jednego syna już straciła. Gdyby Clausen okazał się zagrożeniem dla drugiego, zrobiłaby wszystko, żeby trzymać go od Nolana z daleka.

— Ależ tak, wierzę, absolutnie. — Wizja utraty najlepszego ucznia uwiarygodniła szczerą jego deklarację. — Któż inny zesłałby mi to cudowne dziecko, gdy już zaczynałem tracić wszelką nadzieję? Nie ma pani pojęcia, jak wielu rodziców wysyła mi swoje pociechy w ramach kary; głównie mojej zresztą. Ale gdyby pani syn więcej sypiał, mógłby zostać wirtuozem. — Clausen zawahał się, nie chcąc obrazić matki Nolana. — Myślę,

że powinniśmy zrobić wszystko, co tylko można, żeby go odpowiednio zachęcić.

Jego słowa pogłębiły zmarszczkę niepokoju na czole Nadine. Ona też martwiła się o swoje dziecko. Popełniła błąd wobec jego brata, Stephena. Nie chciała, żeby Nolan uciekł z domu tak samo jak on, żeby dzwonił do niej raz, najwyżej dwa razy na rok.

Tylko Nolan zachowywał spokój. Pomijając to, że ciągle rozpaczał z powodu Dede, był chłopcem pełnym cierpliwej pewności siebie. Spał, kiedy mógł, marzył, gdy marzyć nie powinien, i ożywiał się, grając na klarnecie — najpierw w szkolnym zespole muzycznym, potem w orkiestrze, wreszcie w ensemble'ach pana Clausena. Nie widział powodu, żeby znajdować sobie czas na marzenia, ponieważ ciągle żył w świecie marzeń. Opuszczał go tylko wtedy, gdy dobywał z klarnetu czystą i zdumiewającą muzykę, oraz wtedy, gdy ciemnymi oczyma psiaka wpatrywał się w Dede Windsor. Miał tylko dwie ambicje: wzniecić w słuchaczach uniesienie, jakiego doświadczał grając, i zdobyć miłość Dede.

Pan Reitower zmarł na rozległy zawał serca dwa tygodnie przed maturą Nolana. Odchodząc, bynajmniej nie pocił się nad blachą z herbatnikami — umarł w swoim własnym łóżku, podczas głębokiego, spokojnego snu. Jego śmierć ostatecznie zamknęła Nolanowi drogę na studia muzyczne. Stypendium pokryłoby pewnie wydatki chłopaka, ale nie zapewniłoby bytu matce. To, co ludzie zawsze o nim mówili, znalazło swoje potwierdzenie. Był dobrym synem. Takiego syna potrzebowała teraz Nadine.

Od śmierci męża matka Nolana popadła w pełne zdumienia i wściekłości milczenie. Niczym oślepione słońcem szczenię nie potrafiła zrozumieć, co się wydarzyło, i nie wiedziała, co w tej sytuacji należało robić. Jej dobry mąż, jej odpowiedzialny towarzysz życia miał najniższą polisę, jaką kiedykolwiek w ogóle wystawiono. W nędzę nie popadli, lecz w każdej chwili mogli, z czym nie potrafiła się pogodzić.

— Jak on mógł? — warknęła, łypiąc spode łba na Nolana i sąsiadów, którzy przyszli im pomóc. Możliwe, że miała na myśli śmierć męża lub tę żalną polisę, która nie wystarczała nawet na pokrycie kosztów najtańszego pochówku, jaki udało

jej się zorganizować. A może mówiła o Stephenie, który wprawdzie zadzwonił, lecz nie przyjechał i wysłał czek na kwotę tak małą, że właściwie żadną. A może oskarżała Boga? Nolan uznał, że matka jest tego bliska, że wkrótce zacznie otwarcie krytykować istotę boskości, której nigdy dotąd nie kwestionowała. W głębi ducha uważał jednak, że Nadine ma pretensję do niego. To przez niego ojciec umarł, to on ją zawiódł.

Kilka tygodni po pogrzebie Nadine wypadła jak burza na frontowy ganek i z furją pchnęła siatkowe drzwi, które zaprzężyły i grzmotnęły ją w czoło. Nadine zachwiała się i spadła ze schodków, łamiąc sobie rękę i co gorsza, również lewe biodro.

— Stara kobieta, stare kości — skwitował doktor.

Złamane biodro dobitnie wykazało, jak kruchą istotą się stała. Lekarz przypuszczał, że doszło też do niewielkiego udaru mózgu, lecz prócz wybuchów gniewu, gwałtownych i nieprzewidywalnych, nic tego domysłu nie potwierdzało. Nolan zaczął pracować w cukierni w pełnym wymiarze godzin. Znał się na tym i nikt nie mógł mu tej pracy odebrać, podobnie jak nikt nie mógł mu odebrać świadectwa dojrzałości, na które zdaniem wszystkich absolutnie zasłużył. Był zdecydowany i nie uznawał kompromisów. Postanowił, że da sobie radę. Utrzyma Nadine, zastanowi się, co robić dalej, tymczasem jednak usiądzie na werandzie, skąd rozciągał się widok na Terill Road, poobserwuje sklep samoobsługowy w oddali i zagra na klarncie. W sklepie tym pracowała Dede. Gdyby udało mu się zebrać na odwagę, mógłby tam pójść i poprosić o szklaneczkę zimnego napoju, którą Dede musiałyby mu podać.

Kiedy coraz częściej wydawało mu się, że za chwilę zwariuje, zaczął chodzić na popołudniowe kursy w szkole pomaturalnej i na przesłuchania muzyczne organizowane przez kierowników artystycznych rozmaitych orkiestr i zespołów, którzy przyjeżdżali do miasta i słuchali Nolana z rozdziawionymi ustami. Żaden z nich nie mógł uwierzyć, że chłopak, który potrafi tak grać, lekce sobie waży rady na temat jego muzycznej przyszłości.

— Boże, chłopcze, mógłbyś być kimś!

— Już jestem kimś — odpowiadał. Uśmiechał się, zamykał futerał i wychodził. Ten jego krzywy uśmieszek mówił Cissy

wszystko. Kilka razy wybrała się z Nolanem do Atlanty. Zazwyczaj biegała po sklepach muzycznych na południe od Peachtree, szukając pirackich nagrań Mud Dog, ale zdarzyło się jej także usiąść w kącie jakiejś zaciemnionej sali i przyglądać się występowi Nolana. Występując, grzeszył. Nie mogło być inaczej, sądząc po straszliwej satysfakcji, jaką odczuwał, gdy uśmiechając się od ucha do ucha, grał niczym złośliwy anioł, dopóki cała sekcja klarnetów nie posiniała i nie zbladła ze złości. Cissy wydawało się, że gniew Nolana przerasta nawet gwałtowne uczucia Nadine, że wypływa z niego w postaci szesnastek granych staccato na zmianę z czystymi, przenikliwymi tonami. Może właśnie na tym polega oddziaływanie muzyki — myślała. — Może talent jest jak ostrze tnące tych, którzy mają go mniej? Obserwując Nolana, widziała głęboko zranionego chłopca, którego los obdarował wielkim bogactwem, ten zaś skrywał to bogactwo przed światem. Jego uśmiech, rozpacz innych uczestników przesłuchania przyprawiły ją o lekki zawrót głowy.

Po wyjściu z sali Nolan znowu stawał się sobą, nieśmiałym chłopcem, ciekawym opinii Cissy. Zabierał ją na wystawny obiad i łagodnie naśmiewał się z frustracji dyrygenta orkiestry. Taki Nolan był jej przyjacielem i prawdziwie dobrą duszą. Prawie nie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądał podczas przesłuchania. Jego złość uwidaczniała się ponownie tylko wówczas, gdy mówił o innych muzykach.

— Zawsze myślą, że są Bóg wie kim, dopóki im nie pokażę, co potrafię. Brakuje im pokory, a przy mnie jej nabierają. — Uśmiechnął się szeroko i zaczął przeżuwać jedzenie z satysfakcją, która Cissy przeraziła i kazała jej przemówić.

— Powinieneś wyjechać — rzekła z poważną miną.

Nolan upił łyk wody i spojrzał na nią z zaciekawieniem. Cissy naprawdę się o niego troszczyła. Od zawsze. Od chwili, gdy Dede utarła mu nosa. Ale Cissy nie była muzykiem. Nie miała pojęcia, co się czuje, zasiadając w kilkusobowej grupie zarozumiałych facetów grających na instrumentach dętych. Nie potrafił jej tego wytłumaczyć. Próbował się uśmiechnąć i zbyć jej słowa lekceważącym machnięciem ręki, lecz ona chwyciła ją i przytrzymała.

— Mówię ci — dodała z żarliwym przekonaniem. — Powinieneś wyjechać do Atlanty, do Nowego Jorku, do Bostonu czy

gdziekolwiek indziej. Powinieneś dokądś wyjechać. Wyjedź. Zrób coś. Idź na przesłuchanie i tym razem potraktuj to poważnie. Zaczynj pracować w orkiestrze albo idź na studia. Musisz z tym skończyć, musisz się wynieść z Cayro.

Ale Nolan tylko się uśmiechnął i wrzucił ramionami, a Cissy omal nie ugięła się pod brzemieniem ogarniającej ją złości. Gdyby Nolan kiedykolwiek postanowił opuścić Cayro, bez trudu znalazłby sobie miejsce, gdzie przyjęliby go z otwartymi ramionami. Gdyby tylko zrozumiał, co się z nim dzieje, i odszedł od matki, bez trudu urządziłby się w życiu tak, że wkrótce powetowałyby sobie każdą złą decyzję, jaką przedtem podjął. Na nią nikt nigdzie nie czekał. Na widok uśmiechu Nolana czuła się czasami bardziej przygnębiona niż spoceni klarneckiści, których pograżył podczas przesłuchania.

Bo kimże była? Córka Delii Byrd. Nikim specjalnym i utalentowanym. Przypominała zastygłą w bursztynie muszkę uwięzioną w czasie. Nigdy się w nikim nie kochała. Nie była na ani jednej randce. Nie miała ani chłopaka, ani przyjaciół prócz Nolana i Dede, ale Dede się nie liczyła. Cóż zatem miała? Nic. Nic oprócz jaskiń.

Zanim Nolan ostatecznie zrezygnował z wypraw, była tam z nim sześć razy i dwa razy z Charliem, lecz gdy Charlie się upił i zaczął się z nią mocować w pierwszym korytarzu za wejściem, postanowiła to sobie odpuścić. Nie umiałaby wytłumaczyć, czym te jaskinie są dla niej. Nolana zajmowały teraz inne sprawy, Charlie chciał ją rozebrać, a Dede uważała, że włożenie do dziur w ziemi to głupi pomysł. Wiosną Cissy zdołała namówić trzy członkinie szkolnego koła pływackiego na wyprawę speleologiczną i razem ze strażnikiem leśnym w roli przewodnika wybrały się do Little Mouth; zrobiła na nim nielicze wrażenie. Nikomu o tym nie mówiła, bo wszyscy uznaliby ją za kompletną wariatkę, ale wykorzystywała każdą okazję, żeby pozwiedzać jaskinie samotnie. Najczęściej jeździła stopem. Schodziła w czeluść, docierała do pierwszego korytarza za wejściem, siadała w przytulnej ciemności i uszczęśliwiona, nuciła pod nosem. Jeszcze częściej po prostu zasypiała. Nigdzie nie spała tak świetnie jak właśnie tam - otulona starym kocem na piaszczystej podłodze pierwszej komory dawnych salonów

Brewstera. Lecz spanie, podobnie jak speleologia, nie było celem ani sposobem na życie, nie miało przyszłości.

Widząc pełen zadowolenia uśmiech Nolana, zaczynała być uszczypliwa i złośliwa tylko po to, żeby mu dokuczyć.

— Jedz potrawy bez sosu — mówiła.

Albo:

— Dede na pewno wyjdzie za tego Tuckera, zobaczysz.

Nolan przestawał się uśmiechać i patrzył na Cissy w taki sposób, jakby teraz z kolei on przeświecił ją na wylot i odkrył jej grzechy.

Milkła wtedy, porażona, że tak mocno potrafi go zranic. Straszne okazywało się to, że tak dobrze znali wszystkie swoje słabości. Nolan zawsze odnosił się do niej delikatnie, niezależnie od tego, jak wielka ogarniała ją złość i frustracja. Możliwe, że uodporniła go matka, jej ataki furii, a może czarny anioł, którego Cissy widziała na sali przesłuchań, nie był wcale tak grzeszny, jak się jej zdawało?

— Przynajmniej jesteś w czymś dobry — mawiała.

— Nie aż tak — odpowiadał ostrożnie, czekając, aż jej okrucieństwo przejdzie w zakłopotanie, czekając na powrót przyjaciółki. — Jeszcze nie. Kiedyś będę o wiele lepszy. — Potem parsknął lekceważącym śmiechem i potrząsał głową. — Pogadamy, kiedy będę na tyle dobry, że uda mi się ściągnąć na ganek twoją siostrę Dede.

Muzyka, w której Nolan odnajdywał tyle wdzięku, stanowiła dla Cissy tajemnicę, klarnet zaś jawił się jako coś równie władczego i obcego jak sam pomysł, że można utworzyć zespół instrumentów dętych czy combo jazzowe. Córka Delii Byrd i Randalla Pritcharda rozumiała mowę gitary i perkusji, mowę rock and rolla. Rozumiała piosenki. Słowa i muzykę. Na wyprzedazy towarzyszącej licytacji domu pan Clausen znalazł Buffeta i do spółki z członkami swojego zespołu kupił go dla Nolana, który niby się wzdragał, lecz w końcu go przyjął. To, co Nolan wygrywał na tym cacku z hebanu i srebra, pochodziło z innego świata, było językiem, którego Cissy nie pojmowała, ba! nie wiedziała nawet, czy go dobrze słyszy. Kiedy Nolan grał, czuła się jak mała baptystka na mszy katolickiej. Było pięknie i strasznie zarazem. Melodie kiedyś zasłyszane czy nawet znajome brzmiały zupełnie niezwykle i czasami raziły ją



niczym prąd. A jeszcze niezwyklejsze było to, że wygrywał je Nolan, chłopak o czerwonych policzkach i podpuchniętych oczach. Wraz z kaskadą tryli nachodziły Cissy obrazy pachnące proszkiem do pieczenia. Rozdziawiała wówczas usta, czuła się mała i głupia, jak prowincjuszka rodem z Cayro, tymczasem Nolan rósł, potężniał, przybierał postać Bachusa lub Orfeusza, stawał się mistycznym bogiem z miejsca niedostępnego zwykłym śmiertelnikom i odległego od Cayro jak Paryż czy Nowy Jork. Zamykając oczy, wyobrażała sobie wówczas wiotkie postacie baletnic na tle brylantowych gwiazd i aksamitnego nieba. Przy każdym trylu tancerki robiły podskok, ją zaś ogarniał coraz większy smutek.

Może Delia wiedziała, jak to jest? Może ona rozumiała tę wielką, ciemną moc zawartą w melodii, moc mogącą przyspieszyć lub zwolnić tętno, zdolną przenieść człowieka do innej rzeczywistości. Ona kiedyś w tej rzeczywistości żyła. Znała magię znaną jedynie muzykom, czary przemieniające wszystko i wszystkich, zaklęcia, które mogłyby odmienić życie Cissy. Ale Cissy zaklęć tych nie znała. Miała głos przyjemny, lecz przeciętny i zwyczajny, podobnie jak Dede. Ilekroć siadywała obok Nolana, wiedząc, że nie ma ani jego talentu, ani talentu swojej matki, przeżywała wyrafinowane tortury. A gdy kurczyła się przy nim i malała, na duchu podnosiło ją jedno: świadomość, że Nolan też pragnie czegoś, czego mieć nie może. Powinni tego tematu unikać, lecz było to niemożliwe, ponieważ Nolan ciągle o Dede wspominał. Była jedynym tematem, do którego uporczywie powracał, jedynym punktem odniesienia zrozumiałym dla nich obojga.

— Z kim się teraz spotyka? — spytał, gdy Cissy zjrzała na ganek podczas popołudniowej sesji gry na klawirze następnego dnia po ich ostatnim wypadzie do Atlanty. Ciałem jego miotła frustracja i nerwowa energia, której nie umiał opanować. Stroik trzymał w pobliżu ust, twarz pałała żądzą. — Chyba już nie biega za tym Tuckerem, co? — Wystawił język i polizał wilgotne włókna stroika. Próbował udawać, że nie przykłada do tego pytania szczególnej wagi.

— Och, Nolan... - W jej głowie wciąż pobrzmiwała melodia, którą przed chwilą grał. Z ulgą wróciła do rzeczywistości, do przyziemnych spraw świata pogmatwanych pragnień i seksual-

nych obsesji. Nawet muzycy podlegali tym samym prawom co inni, nawet oni miewali złamane serce. — Opuść ją sobie. Chryste, Dede nigdy się z tobą nie umówi. Nawet gdyby nie chodziła z Billym, i tak by na ciebie nie spojrzała.

Potaął kciukiem dolną wargę.

— Wiem, wiem... — Błądził wzrokiem bez celu, nieobecny, smutny, bez cienia uśmiechu na ustach. — Tak tylko pytałem. — Przekrzywił klarnet i przyjrzał mu się, jakby szukał w nim natchnienia.

Nie grał. Nie udawał. Jego smutek nie wygasł. Ilekroć Dede zrywała z kolejnym chłopakiem, nadzieja ożywała w Nolandzie na nowo. Zасыpywał Cissy pytaniami, załatwiał dla Delii sprawunki i wyszukiwał upominki, które nosił do samy — drobiazgi takie jak obszywane materiałem gumki do włosów czy rękawiczki bez palców dla rowerzystów, mające chronić dłonie Dede przy otwieraniu skrzynek z jajkami lub masłem albo przy rozcinaniu kartonów z konserwowanym mięsem.

— Miłość nie wybiera, Cissy - powiedział; mówił o Brewsterze, lecz myślał o sobie. — Niektórzy mają szczęście. Znajdują tę jedyną już za pierwszym razem. Inni nigdy nie trafiają na swoją drugą połowę. Tata zawsze powtarzał, że Brewster nie powinien był rozwodzić się z Maudy. Nawet jeśli przysięgał, że jej nie kocha prawdziwie. Tata mówił, że prawdziwa miłość jest zjawiskiem rzadkim, że większość z nas może mieć nadzieję co najwyżej na udane życie rodzinne. W każdym razie wtedy ciotka Maudy mogłaby nim lepiej pokierować. Zachorował na cukrzycę, pił, przez co zniszczył sobie zdrowie jeszcze bardziej. Zepsuł sobie krążenie. Jak się nad tym zastanowić, to prawie popełnił samobójstwo. Doszło do czegoś, do czego nie powinno było dojść. Przez zwykłą głupotę, przez to, że zupełnie mu na sobie nie zależało. Można by powiedzieć, że to u nas cecha rodzinna. — Zwiesił głowę.

— Ewolucja w toku? — zażartowała Cissy, lecz tylko zgromiła ją wzrokiem.

Nigdy nie można przewidzieć, kiedy się go urazi — pomyślała. Popatrzyła na jego palce spoczywające na klarnecie delikatnie i z bezbłędną precyzją. Szalenie kruche i niezwykle mocne zarazem, były siłą natury w jego nad wyraz ludzkim ciele.

Jeszcze przed ukończeniem szkoły średniej Dede miała kłopoty ze znalezieniem pracy, którą potrafiłaby utrzymać. Po maturze zaczęła szukać jej nieustannie i z desperacją. Jej problemy wynikały nie tylko z tego, że Cayro oferowało ograniczoną liczbę posad. Prawdziwą przeszkodą w znalezieniu pracy był jej temperament i nastawienie. Większość dziewcząt po szkole średniej szykowałą się do wyjazdu z miasta lub do przyjęcia posady w firmie elektronicznej, która zbudowała nową fabrykę od strony Marietty. Ale Dede nie chciała nigdzie wyjeżdżać — twierdziła, że za granicami Cayro zaczyna się świat chaosu i złych narkotyków — a już na pewno nie chciała zarabiać na okablowywaniu systemów naprowadzania pocisków raketowych i ściągać do tego włosów.

— Zresztą zarobki nie są znów takie rewelacyjne — utyskiwała. — Jak nakupisz sobie trawki, żeby się trochę przymulić przy taśmie, nie masz szans ani na fajne wakacje, ani na dobry samochód. Słowo daję, wolę już palić dla przyjemności, a nie po to, żeby dotrzeć do końca nudnego dnia pracy.

Delia skinęła głową i powściągnęła uśmiech. Jakkolwiek by na to patrzeć, nudny dzień pracy był akurat tym, czego większość ludzi spodziewała się w życiu.

Przez krótki czas Dede pomagała w „Cayro Dog Shop” u Benny’ego Davisa. Szczotkowała pudle i shih-tzu, podawała środki przeciw pchłom i kleszczom psom tak wielkim, że sam Benny bał się do nich podejść. Była to jednak praca dorywcza i mało popłatna, za to Benny pozwalał jej przychodzić, kiedy chciała, i nie miał wymagań co do jej stroju.

Kiedy grupka kobiet wytoczyła proces wydziałowi policji w Atlancie, Dede natychmiast zainteresowała się ich walką. A gdy ogłoszono nabór stróżów prawa i kontrolerów ruchu drogowego, postanowiła się zgłosić: chciała zostać policjantką. Kiedy weszła po formularz wpisowy, Emmet Tyler aż przysiadł na brzegu biurka i spojrzał na nią zdumiony.

- Chcesz być policjantką? Ty? Przecież tyle razy o mało nie wylądowałaś w areszcie.

Emmet Tyler dostał zaświadczenie o częściowym inwalidztwie. Ścigał dwójkę pijanych nastolatków i jego radiowóz dachował na drodze do Little Mouth. Od tamtej pory jedno ramię miał sztywne, lecz pędził od siebie lekarzy. Od wypadku

pracował w sądzie: eskortował więźniów i katalogował dokumenty dla sędziego rozpatrującego naruszenia kodeksu drogowego. W weekendy miał odpoczywać i poddawać się fizjoterapii, on jednak kręcił się w pobliżu sądu albo siedział w kawiarni niedaleko „Bee's Bonnet”.

— „O mało” się nie liczy — odparła Dede. - A wykroczenia drogowe w niczym nie przeszkadzają. Z prawnego punktu widzenia jestem czysta jak łąza. Mam maturę. I właściwe nastawienie.

— Dziewczyno, ty nie masz właściwego nastawienia — zauważył cicho Emmet. Choć kontakty z Dede miał dość trudne — odkąd rozpoczęła piętnasty rok życia, ciągle się z nią użerał — to przecież ją polubił. Wiedział, że jest krewka, za co ją podziwiał, żywiąc przy tym nadzieję, że nigdy w życiu nie padnie jej ofiarą. — Co byś zrobiła, gdybyś miała aresztować kolegę czy chłopaka, z którym chodziłaś na randki? He? Jak byś się wtedy czuła?

— Niektórych z tych chłopaków powinno się aresztować. — Roześmiała się, rozbawiona tym pomysłem. — Jeśli chodzi o innych, cóż, byłoby tak jak w przypadku sędziego Winklera: kiedy doszło do procesu jego kuzyna, poprosił o zastępstwo. Czy w określonym przypadku policjantki nie może zastąpić inna policjantka? - Popadła w zadumę, co pogłębiło małą zmarszczkę między jej brwiami.

Emmet odepchnął się na krześle i głęboko odetchnął.

— Skarbie, tych przypadków może być więcej, niż ci się teraz wydaje.

Widząc, że pochmurnieje jej twarz, podniósł rękę, żeby nie zdążyła zaprotestować, na co bez wątpienia się zanosilo.

— Jesteś bystra — dodał. — Jesteś jedną z najbystrzejszych dziewcząt, jakie spotkałem, i na pewno rozumiesz, jak ciężko by ci było prowadzić kolegów do paki albo nakładać kajdanki ludziom, których znasz całe życie. — Powstrzymywał ją spojrzeniem otwartym na jej gniew, lecz stanowczym. - Ja to robiłem. Ja wiem. - Uciekł wzrokiem w bok. — Traciłem w ten sposób przyjaciół. Traciłem tych, których kochałem. Nie chciałbym widzieć, jak spotyka to ciebie.

Zazgrzytała zębami. Wiedziała, że Emmet myśli o Delii, która choć zachowywała się wobec niego przyjacielsko, konsekwentnie

odrzucała jego zaproszenia na kolację czy do kina. Nigdy mu nie wypomniała, że dwukrotnie aresztował jej córkę — raz za przekroczenie dozwolonej prędkości, raz za posiadanie odrobiny marihuany — jednakże oboje wiedzieli, że właśnie dlatego przestała się z nim umawiać.

— Nie mogę spotykać się z mężczyzną, który nałożył kajdanki mojej córce - oznajmiła. - Żeby nawet złapał ją pijaną na środku ulicy.

Dede znowu zmarszczyła czoło i łypnęła na niego złowrogo, ale wychodząc, nie wzięła formularza.

Patrząc za nią, Emmet ciężko westchnął. Delia go odtrąciła... Usiłował nie brać sobie tego do serca i zajmować się pracą, lecz ilekroć o niej pomyślał, serce zaczynało walić mu tak mocno, że prawie się dusił. Jeszcze raz spocząć na jej ciele, jeszcze raz pchnąć ze wszystkich sił i lec na jej ramieniu — oddałby za to duszę, nawet wówczas, gdyby miała być ostatnią kobietą w jego życiu. Lecz Delia była daleko, zbyt daleko, żeby mógł jej kiedykolwiek dosięgnąć. Ponieważ ofiarowała mu przyjaźń i nie zamierzała ofiarować nic więcej, trzymał się tej przyjaźni ze wszystkich sił. Już od dawna nigdzie jej nie zapraszał, wynajdywał tylko preteksty, żeby wpaść bez zapowiedzenia i zjeść z nią lunch. Pracował, ile mógł, a kiedy potrzebował kobiety, jeździł do Panama City. Od czasu do czasu pomagał chłopakom pilnującym parku. Stawiali jakąś tablicę czy znak, a on opowiadał im historie, jakich nigdy dotąd nie słyszeli. Niektórzy uważali, że to właśnie przez jego gawędziarski talent w Paula's Lost co i raz gubił się jakiś głupiec.

— Bywa, że człowiek wchodzi w ciemność i już z niej nie wychodzi — odpowiadał młodzianom, którzy pytali go o przyjęcia, jakie niegdyś urządzano w jaskini. Głos miał ponury i kiwał przy tym głową, jakby ostrzeżenie to ostatecznie wyjaśniało sprawę wszystkim zdrowym na umyśle. Zdawało się, że nie dostrzega uśmiechów, jakie tamci między sobą wymieniali. Zapomniał już, co znaczy szaleństwo, młodość i żywiołowa ochota na skok w ciemność.

— Chodzi o to, że chciałabym pracować za kółkiem, a takiej pracy nie mogę dostać. Jestem świetnym kierowcą. Może mog-

łabym coś rozwozić? Tylko nic ciężkiego, nie jestem głupia. — Dede uniosła chude ręce i uśmiechając się do Cissy, strzeliła palcami. — Na pewno nie rozwoziłabym napojów. Żadnych konserw, żadnych puszek. Wyobrazasz mnie sobie przy pakach z zupą albo z psim jedzeniem?

Cissy uśmiechnęła się. Dede nigdy nie przekraczała pięćdziesięciu trzech kilogramów wagi, na ogół ważyła znacznie mniej. W złych okresach, kiedy brała środki stymulujące na przemian z B , spadła na wadze do czterdziestu pięciu.

— Jak szkielet — stwierdziła Amanda. — Ta dziewczyna wygląda jak szkielet.

Cissy przyznawała jej rację, lecz milczała. Rozmowa z Amandą o Dede nie miała sensu. Może z Delią, ale nie z Amandą, która przez cały bity rok prześladowała matkę, namawiając ją do umieszczenia Dede w chrześcijańskim ośrodku rehabilitacyjnym pod Savannah. Był taki czas, gdy niewiele brakowało i Delia uległaby jej namowom, lecz Dede musiała wyczuć, co się święci. Przystawiła się na coś, co nazwała rygiorem odnowy. Rzuciła ksanaks, syberyjski żeń-szeń oraz chelatowane wapno i przepisała sobie dietę złożoną z węglowodanów i świeżych warzyw liściastych. Szybko przytyła i nie posiadała się z zachwytu, jak to miło dla odmiany nic nie brać.

Uważała, że narkotyki należy zagryzać witaminami, jakby złe ciagotki mogły zostać zneutralizowane dobrymi intencjami, i Cissy czasami wmawiała sobie, że siostra wie, co robi. Nie licząc kilku skrętów wypalonych z Nolanem i kilku piw po wyprawie do jaskiń, nie miała na tym polu żadnych doświadczeń, dlatego nie potrafiła ocenić efektów takiego połączenia.

Dobrze jednak rozumiała, co Dede ma na myśli, mówiąc o braku możliwości pracy w Cayro. Jeśli dziewczyna nie chciała chesać głów w „Bee's Bonnet”, stanąć przy taśmie w zakładach „Frito-Lay” czy w fabryce, w której okablowywano rakiety, nie miała w czym wybierać, chyba że stała za nią rodzinna fortuna. Ostatnio otwarto w mieście warsztat motocyklowy i sklep „Crafts & Stuff w centrum handlowym „Stop'n'Go Mall”, lecz nie spełniły nadziei, jakie w nich pokładano.

Dede wciąż marzyła o prowadzeniu wielkiej ciężarówki wąskimi uliczkami miasta - marzyła o tym, zanim jeszcze zrobiła prawo jazdy. Uważała, że zawód ten jest seksowny, podobnie

jak uniform kierowcy, jego koszula i naszywane kieszenie. Pewnego dnia oświadczyła, że mogłaby rozwozić wyroby papierowe albo cukiernicze.

- Uhm. Na przykład bezy, co? — droczyła się z nią Cissy.

Dede wyszła z siebie, gdy odkryła, że nie ma szans, by zdobyć prawo jazdy na prowadzenie ciężarówki, którą mogłaby takie towary rozwozić. Wyroby papiernicze przyjeżdżały do „Piggly Wiggly” wielkimi tirami wraz z konserwami i jedzeniem dla zwierząt domowych; wypieki również. Kiedy Dede próbowała porozmawiać z kierowcą jednej z wielkich ciężarówek o swojej przyszłej pracy, ten po prostu ją wyśmiał.

To było złe lato. Dede zaszywała się w sypialni z dilaudidem i z potężnymi dawkami witaminy C. Pewnego popołudnia Cissy zastała ją w łóżku i musiała wysłuchać godzinnego wykładu na temat zbawiennych skutków działania witaminy C i tego, jak doskonale utrzymuje ją w formie.

- Jest lepsza niż piwo. - Dede dźwignęła głowę i zaśmiała się cicho. — Myślałam, że to Dan - szepnęła, myśląc o chłopcu, z którym chodziła poprzedniego miesiąca; Cissy nie widziała go już od paru tygodni. — Myślałam, że to Dan — powtórzyła. — Dan powinien brać dużo witaminy C. - Zamknęła oczy i odpłynęła w niebyt.

Zmartwiona Cissy siedziała przy niej jeszcze chwilę, zastanawiając się, czy nie nadeszła pora, żeby poinformować o wszystkim Delię. W końcu postanowiła trochę odczekać.

Przez pewien czas Dede fascynowało prowadzenie ciężarówki na długich trasach i uznawszy, że powinna się do tego zajęcia przygotować, zaczęła umawiać się z kierowcami jeżdżącymi na krótkich trasach. Jeden z nich miał własną ciężarówkę i Dede natychmiast uznała, że własna ciężarówka to najlepsze rozwiązanie, choć — jak wyznała Cissy — nie miała zbyt wielkich szans na tak dużą pożyczkę. Poza tym kto zechciałby powierzyć jej towar? Poznała kilka kobiet, które prowadziły, lecz te były na ogół żonami kierowców albo siadały za kółkiem tylko od czasu do czasu, wyłącznie po to, by nie dopuścić do przestojów.

- Cholera! — zaklęła, gdy jej marzenia zaczęły odpływać w siną dal.

Któregoś wieczoru opowiedziała Cissy swoją długą, pogmatwaną fantazję. Wybierała się w niej do Atlanty, żeby znaleźć

tam pracę taksówkarki, przespać się z kimś albo wypożyczyć smoking i zdobyć jedną z tych zmodyfikowanych dorożek na dwóch kołach. Skoro nie mogła przytulić silnika, gotowa była przywrzeć choćby i do konia. Oczy miała szkliste, skórę wokół nosa ściągniętą i szarą. Cissy przyglądała się jej coraz bardziej zmartwiona.

Pewnym późnym czwartkowym popołudniem Amanda zadzwoniła do „Bonnet” z wiadomością, że w samie przy Terill Road, niedaleko domu Nolana, doszło do strzelaniny. W zakładzie siedziały pod suszarkami dwie klientki z wielkimi różowo-niebieskimi wałkami, parującymi pod plastikowymi czepkami.

- Co się stało? - zapytała wystraszona M.T. — Co się stało?

- Jakiś głupiec użył niewłaściwych słów w rozmowie z niewłaściwą osobą.

Nie był to nawet napad, tylko awantura między chłopakiem a dziewczyną, a wszystko przez narkotyki. Chłopak był zbyt nawalony, żeby logicznie pomyśleć, dziewczyna miała zbyt wielki odlot, żeby się zastanawiać nad odczuciami chłopaka, a drugi zamieszany w to młodzieniec za mocno przymulił, żeby na cokolwiek zważać. Ktoś wyjął pistolet i doszło do rozróby, której nikt nie potrafił dokładnie opisać. Nikt nie umiał powiedzieć, co ją rozpętało, wiadomo było tylko tyle, że jeden z chłopaków zginął, że dziewczyna wyszła z tego zdrowo pokiereszowana, że wszędzie było mnóstwo krwi i że ktoś stracił pół palca. W ogólnym zamieszaniu wyparowały pieniądze ze sklepowej kasy, choć z tego, co ustaliła policja, wynikało, że nie ukradł ich nikt zamieszany w strzelaninę.

Dede siedziała w fotelu Steph i studiowała gazetę z nadzieją, że znajdzie firmę, w której jeszcze nie szukała pracy, albo że wpadnie na jakiś nowy pomysł.

- Mogłam to przewidzieć — oznajmiła, po czym wstała i wyszła z zakładu.

Kiedy zjawiła się w samie, nowy, tymczasowo mianowany kierownik ustawiał towar na półkach; poprzedni zrezygnował z pracy natychmiast po przyjeździe policji.

- Tu jest dla mnie za krwawo — oświadczył. — Za krew to ja bardzo dziękuję.

- Umieć wyczuwać kłopoty - powiedziała Dede.



Tymczasowy kierownik trzymał rozłupane pudło z małymi puszkami rumowej i czekoladowej polewy do lodów. Spojrzał na nią mało przytomnym wzrokiem.

— Umieć wybrnąć z każdej sytuacji — ciągnęła Dede.

Facet gapił się na nią i milczał.

— Nadawałabym się.

— Do czego?

— Do tego sklepu. Do pracy. Trochę się na tym znam.

— Bo co? Bo kręciłaś się nocami po „7-Eleven”? — Parsknął śmiechem i zajął się ustawianiem puszek.

— Powiedzmy. - Dede nie zachowywała się wojowniczo. Mówiła najszczerzą prawdę. Omiotła spojrzeniem półki, szklaną witrynę sklepu, stojak z gazetami i pismami, których okładki były w połowie przesłonięte brązowym papierem.

— Poradziłabym sobie.

Mężczyzna postawił pudło i odwrócił się do niej.

— Dziewczyno — odparł — jesteś niska i drobna. — Starał się być cierpliwy, lecz po jego głosie poznała, że już ją odprawiał. — Nie słyszałaś, że dziś wieczorem ktoś tu zginął? Że kogoś tu zastrzelono?

— Mnie nikt nie zastrzeli. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Umieć się pilnować, a jak się przy czymś uprę, nic mnie nie powstrzyma. Nie jestem głupim stukilowym osiłkiem, ale umieć sobie radzić. Poprowadziłabym ten sklep tak, jak się panu nawet nie śniło.

Wbrew sobie był zaintrygowany, lecz nie wiedział, co odpowiedzieć. Próbował opędzać się od niej jak od muchy, lecz w witrynie wisiało już ogłoszenie, a za ladą leżały formularze do wypełnienia. Ponieważ Dede nie ustępowała, sięgnął po regulamin kierownika sklepu, chcąc sprawdzić, w jaki sposób może dziewczynie odmówić. Nie znalazł żadnego haczyka. Regulamin nie zawierał żadnych wymagań co do wagi czy wzrostu pracownika. Owszem, wspominał o granicy wieku, lecz Dede się w niej mieściła — ledwie.

Wypełniła, co trzeba, i dwukrotnie wracała do sklepu, żeby się upewnić, czy jej formularz na pewno trafi do centrali.

Delia ostrzegała ją, że nic z tego nie wyjdzie, na co Dede odparła tylko:

— Dam sobie radę.

Zatrudnili ją na dzielone dni: miała przychodzić do pracy wczesnym rankiem i wczesnym wieczorem, kiedy w sklepie był największy ruch — trudno o gorszy harmonogram. Sprzedawca, który ją szkolił, uważał, że Dede nie wytrwa w sklepie nawet jednego tygodnia.

— Przychodzą tu bardzo niegrzeczne typy - uprzedził.

— Uhm — odparła z uśmiechem Dede.

Jej pomysł Delię niepokoił, Amandę zaś wręcz oburzał.

— Sprzedawczyni? Chcesz zostać sprzedawczynią? Dziewczyną z za lady?!

— Czemu nie - odrzekła Dede, nie dając się wciągnąć w kłótnię. Oczy miała jasne i błyszczące. Połykała wielkie pastylki żelaza i zapijała je czarną kawą.

Pyskaci chłopcy, nastolatki, młodzieńcy, którym niewiele brakowało do pełnoletności, małolaty z zamazanymi danymi w dowodach tożsamości i z wrogim nastawieniem do świata. Mężczyźni i kobiety pijani tanim winem. Wściekłe matki zostawiające przed sklepem wózki z drącymi się bachorami — nie przerażał jej nikt. Każdego potrafiła natychmiast ocenić i odgadnąć, czego szuka między półkami. Piwa i papierosów, mleka i białego pieczywa, herbatników z masłem orzechowym czy czteroipółlitrowego baniaka Rocky Road. Dzieciaki ze sfałszowanymi dowodami osobistymi, złodzieje sklepowi - tych umiała rozpoznać, zanim jeszcze zdążyli narozrabiać.

Znała wszystkie sztuczki, ponieważ swego czasu aż nadto często korzystała z nich sama. Wiedziała, która z nich może wypalić, a która nie, doskonale radziła sobie ze zmęczonymi i pełnymi nadziei dziećmi. Żeby rozładować ich gniew, opowiadała śmieszne historyjki albo dowcipy, a w razie potrzeby przeszywała smarkaczy bezwzględny spojrzeniem. Pewnego razu powstrzymała nawet dziewczynę, która chciała podwędzić garść ćwierćdolarówek spod plakatu przy chłodziarce z lodami informującego o zbiórce na ofiary porażenia mózgowego.

— Lepiej tego nie rób — powiedziała i na tym się skończyło.

Dede znała reguły tej gry i bardzo ją lubiła. Bardziej odpowiadałoby jej prowadzenie wielkiej ciężarówki, ale tymczasem, jak mówiła Delii i Cissy, praca w samie zupełnie ją zadowalała. Sklep stał się jej miejscem na ziemi i postanowiła dobrze go prowadzić.

Minęło pół roku, zanim jej zwierzchnicy wreszcie odkryli to, co Cissy zauważyła o wiele wcześniej. Ta drobna, nieduża dziewczyna miała talent: umiała panować nad ludźmi.

— Dziewczyna się na tym zna - powiedział Delii kierownik. - Jest najlepszą pracownicą, jaką kiedykolwiek miałem. I kto by to pomyślał, co?

- Jakoś sobie radzę - oświadczyła Dede. Oczy lśniły jej wiarą w siebie, witaminą E i betakarotenem.

I rzeczywiście, radziła sobie.

## 15

Po wyprawie ze strażnikiem leśnym Cissy przez dwa lata zbierała wszelkie monografie o jaskiniach. O Paula's Lost znalazła tylko kilka wzmianek, za to miała w kolekcji aż trzy artykuły o Little Mouth. Napisali je kompetentni grotolazi amatorzy pragnący uchodzić za ekspertów, dziarscy chłopcy widzący w ciemności i nie lękający się ciasnych, zamkniętych przestrzeni. Speleologia jest zajęciem mało lukratywnym, rozrywką dla byłych dżokejów i kościstych chudeuszy, którzy zamiast uprawiać gry zespołowe, wołą zaliczyć sto długości basenu czy wziąć udział w zawodach dla chodziarzy. W tej dyscyplinie nie wręcza się żadnych medali, a jedynym trofeum jest uznanie w oczach ekspertów. Monografie wydawane na tanim papierze, ręcznie zszywane lub spięte, tylko sporadycznie trafiające na łamy profesjonalnych pism, były utrzymane w tonie dość powściągliwym, a nawet lekceważącym, zawierały jednak mnóstwo bombastycznych aluzijek charakterystycznych dla przedstawicieli wszystkich utajnionych elit. Co robiłeś w ostatni weekend? Czołgałem się trzy mile przez błoto i drobne kamienie i naniosłem na mapę nowo odkryty korytarz. Aha, jeszcze coś. Zawadziłem nogą o mały stalagmit i pękła mi kość udowa. Cissy chciała napisać podobne sprawozdanie i zobaczyć minę Delii czy Dede, gdy odkryją jej drugie życie, gdy zobaczą tę inną Cissy, Cissy, która zanurza

się w czarną otchłań nieustraszona, pewna swych umiejętności, odrobinę zarozumiała i dumna.

Pięć mil na północ od Paula's Lost znajdowała się Little Mouth, pionowa jama o skośnie biegnących ścianach. Nie nadzwyczajnego, ot, zwykła wapienna jaskinia ze wzbierającym na wiosnę strumieniem, niedokładnie zbadana, mimo to dość głośna. Rozstawili ją przede wszystkim ci, którzy doszli nie dalej jak do pierwszej komory drugiego korytarza. Little Mouth pochłonęła tylko jedną ofiarę i nie było żadnego powodu, żeby o tej śmierci pamiętać. Gdyby nie nowoczesne pomiary geologiczne, o Little Mouth zapomniano by pewnie na wiele lat. Nie należała do dobrych jaskiń. Tak w każdym razie twierdzili eksperci. Różniła się od małych grot na północy czy wypełnionych wodą szybów na północnej Florydzie. Miała miękkie zejście, równie niewygodne jak Paula's Lost. Grunt osuwał się pod nogami, a czasem nawet zapadał. Krążyło o niej mnóstwo opowieści, a najwięcej z nich mówiło o cudownym ocaleniu od śmierci — rozgłaszali je chłopcy, którzy wychodzili stamtąd uwalani błotem i chwalili się, jak niewiele brakowało, żeby zostali w otchłani na zawsze. Strażnicy wyśmiewali się z tych relacji, do chwili gdy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku w Little Mouth zginął chłopiec. Od tego czasu zaczęli traktować jaskinię jak ciąg zdradzieckich zapadlisk. Dalej na południe woda stała wyżej, łatwiej tam można było zginąć, a zapadliska - mroczne, wypełnione wodą leje — mnożyły się niebezpiecznie jak w kamieniołomach na północnym wschodzie. Z korzeni cyprysów ściekał do stojącej pod ziemią wody kwas taninowy, od którego jaskiniowe jeziorka nabierały koloru mocnej herbaty, czasami nawet ciemnej czerwieni, a tak zabarwiona woda ograniczała widoczność penetrujących okolice nurków. Oczka te otaczano łańcuchami mocno przymocowanymi do betonowych słupów albo do grubych, starych drzew, a w ziemne nawisy wbijano proste, białe krzyże, po krzyżu dla każdego zaginionego nurka, co jednak nie odstraszało kolejnych śmiałków. Nadawali tym zapadliskom takie nazwy jak Diabelskie Oko, Czerwona Dama czy Nocna Otchłań i bez końca wspominali, jak to wynurzając się z wody, odnosili wrażenie, że poprzez pulsującą czerń wody patrzą w czerwone oko światła.

Jaskinie w północnej części Georgii mają zaledwie kilka takich krzyży. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku jeden z nich stał również u wejścia do Little Mouth, choć nikt już nie pamiętał nazwiska zaginionego chłopca. Młodzież uważała, że to lipa, że krzyż stoi tam tylko po to, żeby odstraszyć ludzi. Chłopcy przybijali do niego kondomy i puszki po piwie, wypisywali na nim świńskie słowa i przezwiska, co jakiś czas strzelali do niego jak do tarczy lub roznosili go w drzazgi. Ale strażnicy regularnie to miejsce odwiedzali, tak że ilekroć krzyż zniknął, przywozili następny i wbijali go w ziemię. Pewnego niedzielnego popołudnia Emmet skonstatował, że śmierć jest czymś, czego młodzież nie potrafi pojąć, że zbyt łatwo można ją znaleźć na dnie każdej dziury, jak choćby za na wpół zasypnym wejściem do Little Mouth. Spojrzenie, jakie posłała mu Cissy, obwieściło dobitnie, że o śmierci to ona wie więcej, niż mu się kiedykolwiek śniło.

Jean i Mim były ciemnowłose i szczupłe. Nolan poznał je w college'u. Gdy uraczył dziewczęta opowieściami o Brewsterze, z błyszczącymi oczyma jęły zadrećcać go pytaniami o szczegóły dotyczące jaskiń. Chętnie uległ ich prośbom, a jeszcze chętniej zapoznał je ze swoją przyjaciółką. Kiedy Cissy ujrzała je po raz pierwszy, natychmiast założyła, że żadna z nich nie pochodzi z Cayro. Wyglądały jak bohaterki książek *science fiction*, które czytała na spółkę z Nolanem. Gdy więc Jean na nią spojrzała, Cissy natychmiast spiekła raka, jakby sądziła, że nieznajoma potrafi czytać w jej myślach, i wpadła w taką panikę, że przystała na wszystko, o co ją tylko poprosiły.

Słyszały już od Nolana, że Cissy dużo chodzi po jaskiniach. Zamierzały założyć kobiecą sekcję speleologiczną i chciały, by do nich dołączyła. Wpatrywały się w nią i Cissy czuła, jak jej plecy i kark oblewa fala gorąca. Nie mogła w to uwierzyć: nie dość, że w ogóle z nią rozmawiały, to jeszcze rozmawiały o tym, co najbardziej sobie ukochała.

— Jeśli założymy taką sekcję, dostaniemy dodatkowe punkty z wuefu — wyjaśniła Jean.

- I nie będziemy musiały łązić z facetami. W ich sekcji roi się od neandertalskich dupków, którzy puszczają nas przodem

tylko po to, żeby pooglądać sobie nasze tyłki. — Mim mówiła południowym akcentem, w dodatku tak szybko, że jej słowa zlewały się w jedno. Cissy z trudem ją rozumiała.

— Sprawdziłyśmy ich — dorzuciła Jean. — Paskudne combo. I mają fatalny stary sprzęt, z którego są bardzo dumni. Nie pozwalali nam z niego skorzystać. Masz pojęcie?

— Uhm — mruknęła Cissy, nie bardzo wiedząc, który fragment tej wypowiedzi komentuje. Na litość boską, skoro chodziła do jaskini z Charliem, równie dobrze mogła pójść z nimi, bez względu na to, jak szybko mówiły.

Jeszcze zanim wybrały się na pierwszą wycieczkę, Jean i Mim zaczęły pożyczać Cissy książki i zapraszać ją do kina. Zachowywały się tak, jakby znały ją od pierwszej klasy podstawówki i rozstały się tylko na krótko, jakby łączyło je specyficzne porozumienie, jakie może łączyć tylko młode dziewczęta, znajdujące upodobanie w chodzeniu po jaskiniach i w noszeniu dżinsów. Dotykały się z równie dużą swobodą, z jaką rozmawiały. Mim pocałowała nawet Cissy w usta, kiedy ta pokazała jej mapę Paula's Lost, którą narysowała z Nolanem. Cissy była zaskoczona i ucieszona tą intymnością. Pragnęła być wolna, dorosła i swobodna w sprawach własnego ciała jak one, jak Jean i Mim. Chciała mieć ich kosmopolityczne poglądy, emanować taką samą egzotyką jak one, całować ludzi i przeklinać jak szewc.

— Skąd ona jest? — zapytała Delia po wyjściu Jean, która podrzuciła Cissy do domu i wstąpiła na szklanekę herbaty. - Chyba nie stąd.

— Nie wiem na pewno - odparła Cissy.

— Dla mnie to ona nawet nie wygląda na chrześcijankę - rzekła Amanda jako jedyna w tym towarzystwie ekspertka od wyglądu chrześcijan.

Amanda przyjechała do nich w odwiedziny. Przywiozła ze sobą obu synów: rocznego Michaela juniora i maleńkiego Gabriela w nosidełkach, który skupiał na sobie całą uwagę Delii. Cissy przeszła siostrę gniewnym spojrzeniem i pomaszzerowała do swego pokoju, żeby poczytać *Kolor purpury*; zdaniem Jean była to książka wystarczająco smutna, by po jej przeczytaniu każdy doszedł do wniosku, że dla samoobrony kobiety muszą chodzić uzbrojone.

Niechrześcijańskie, egzotyczne. Cissy wiedziała, co Amanda miała na myśli, choć nigdy by się do tego nie przyznała. Jean i Mim w niczym nie przypominały rdzennych mieszkanki Cayro, jasnowłosych dziewcząt o wydłużonych, ziemistych twarzach. Miały ciemne włosy, wysoko wysklepione kości policzkowe, czystą cerę i długie szyje. Gęste, delikatnie wywinęte rzęsy skupiały światło i przyciągały uwagę do błyszczących oczu. Wyglądały jak dziewczęta z czasopisma „Seventeen” i prawdą było, że Mim jest Żydówką. Jean Żydówką nie była. Pochodziła z okręgu Bartow, urodziła się na północ od Cayro na jednej z furgonowych farm słynących z orzeszków i szybko rosnących ziemniaków.

Gdyby włosy Jean zwisały jasnymi strąkami, gdyby Mim wyglądała jak Sally, siostra M.T., i gdyby miała szeroką, zadowoloną z siebie twarz, ani jedna, ani druga prawdopodobnie by Cissy nie zafascynowała. Ale Jean i Mim wyglądały jak mieszkanki Los Angeles czy Nowego Jorku. I rozmawiały jak dziewczyny stamtąd: o książkach, o filmach i odległych miejscach mówiły z taką samą swobodą, z jaką ścisnęły się na pożegnanie.

Zaczęły się spotykać we trójkę, choć Cissy nigdy nie czuła się z nimi równie swobodnie jak z Nolanem. Zawsze była trochę spięta. Jean i Mim wiedziały o tylu rzeczach, o których ona nie miała pojęcia, mimo to bardzo pragnęła, żeby ją akceptowały. Szalenie dziwiło ją to, że najwyraźniej tak właśnie było.

Wyprawa do jaskiń miała scementować ich przyjaźń - w każdym razie taką nadzieję żywiła Cissy, myśląc o chwili, gdy po wyjściu na powierzchnię usiądą w kółku i zaczną rozmawiać. Już niedługo znowu wejdzie w mrok! Myśl, że tym razem zawędruje dalej, że pokona pierwszy tunel Little Mouth, stanowiła niezwykłą pokusę. Nie mogąc się tam wybrać, tęskniła do jaskini całą duszą i śniła o niej podczas niespokojnego snu.

Jean i Mim nie potrafiły zwerbować dwóch brakujących uczestniczek wyprawy. Powszechnie uważano, że samotne chodzenie po grotach graniczy z samobójstwem, że względnie bezpieczna jest dopiero wyprawa pięcioosobowa. Trzy osoby to niebezpieczna granica. Bądź co bądź wypadki się zdarzają. Ludzie się męczą, popełniają głupie błędy, a wytaszczenie człowieka z głębokiej jaskini to zajęcie dla co najmniej czworga ludzi. Cissy zadzwoniła do koleżanki z sekcji pływackiej.

— Ty jeszcze tam chodzisz, Cissy. Lepiej znajdź sobie inne hobby.

— Do diabła! - rzuciła wreszcie Mim. - Ty pływasz, prawda? My od lat trenujemy dżudo, każda z nas potrafi wycisnąć sto dwadzieścia funtów. Damy radę. Nie chcę dłużej zwlekać i stracić szansy na wyrysowanie własnej mapy.

— Nie to, żebyśmy chciały zginąć — dodała ze śmiechem Jean — ale przecież ktoś tam przed nami już był. To są znane jaskinie, a tata zawsze mi powtarza, że życie nabiera smaku, jeśli od czasu do czasu przyprawić go szczyptą ryzyka.

To tak jak poflirtować z Bogiem - pomyślała Cissy. - Z Bogiem, z ryzykiem śmierci, a może z nadzieją na przemianę. Buddyści dążą do osiągnięcia nirwany, chrześcijanie chcą trafić do nieba. A dziewczyna, która w nic nie wierzy, która po prostu ukochała ciemność? Dokąd pójdzie po śmierci? Ta przyszłość była ryzykiem, które Cissy musiała podjąć.

Okazało się, że w jaskini jest dokładnie tak dobrze, jak to sobie wyobrażała. Spoglądając na skalny sufit Little Mouth, miała wrażenie, że słyszy kościelne hymny śpiewane w ciemności tuż za maleńkim kręgiem światła. Ilekroć tam wchodziła, zaczynała rozmyślać o Bogu, o Bogu, który stawiał kamień na kamieniu i strzegł osieroconych przez ojców dziewczynek.

Gdy była zmęczona, przemawiał do niej głosem Delii, tak miękkim i czystym, że omal wierzyła w jego prawdziwość. Był czymś, co się w niej nie mieściło, tym ogromnym pragnieniem, by rozpaść się na tysiące żywych kawałeczków i spłonąć. Był chwilą tuż po orgazmie, gdy wyczerpana leżała na brzuchu na swym własnym łóżku i zakrywała dłonią usta, nie chcąc, by o jej przeżyciu dowiedział się ktoś z rodziny.

Dawniej lubiła szokować Amandę swoim brakiem wiary, teraz jednak nie sprawiało jej to przyjemności. Święte oburzenie Amandy przygasało wraz z narodzinami jej synów i z chwilą gdy zaczęła pomagać mężowi w organizowaniu szkółki niedzielnej.

— Szkoda - zaliła się Dede. - Bardzo się uspokoiła, a tak fajnie jej kiedyś odbijało.



Cissy przyznawała jej rację. Ich fanatycznie religijna siostra ustatkowała się niemal tak samo jak M.T.

Założy się, że Bóg tęskni za dawną Amandą — myślała Cissy, uczepiona skośnie opadającej ściany w Little Mouth. Tak, na pewno Mu jej brakuje, brakuje Mu tej hałaśliwej, upartej i zadziornej Amandy. Każdy Bóg, którego Cissy potrafiła sobie wyobrazić, radowałby się z wiernego o takiej postawie życiowej. Na widok coraz bardziej wymizerowanej Amandy przypominała sobie, jak wiele animuszu miała w sobie siostra, kiedy sprowadziła się na Terrill Road. Energia rozgrzewała ją wtedy tak mocno, że wręcz bezbożnie. Amanda szalała jak ci okropni pustynni prorocy ze Starego Testamentu, prorocy, których Amanda cytowała, choć przecież ich nie lubiła, gdyż przeklinali Boga i przeklinając Go, umierali. Wiare połączoną z bluźnierstwem Cissy rozumiała całą swoją osobą. Nie istniało prawdziwe bluźnierstwo bez wiary, bez tego rodzaju wiary, jaką miała Amanda.

Jednym z ulubionych przez Amandę wersetów biblijnych był ten, który Dede nazwała imperatywem gorącej wody: objawienie św.Jana, rozdział III, wers 16.

— Jesteście letni, ani gorący, ani zimni - mawiała. — Piekło pełne jest takich letniaków.

Bóg gardził tymi, którzy nie byli ani zimni, ani gorący i chciał ich wyrzucać z ust. Gardził takimi jak Cissy, Dede i prawdopodobnie Delia. „Letni” — to słowo określało ich najlepiej, jednakże Cissy zdawała sobie sprawę, że objawienie św.Jana jest skoncentrowanym obrazem Boga ze Starego Testamentu, Boga, który nie wahał się rzucić córki Lota bestiom na ulicach Sodomy. Po litość i wyrozumiałość musiałyby pójść do Jezusa. Ostatnia rodzinna awantura rozegrała się, gdy Dede się upiła i zaczęła wymyślać obsadę telewizyjnej wersji Biblii.

— Jezusa zagrałby Alan Alda — mówiła. — Albo nie, on jest już za stary. Może lepiej Timothy Hutton albo Richard Gere, jeden z tych wrażliwców, co to mieli przejścia z własnymi tatusiami.

Amanda aż zsiniała.

— Nawet piekło będzie dla ciebie za małą karą! Diabeł będzie musiał wykopać dla ciebie specjalną dziurę, a potem napełnić ją rozżarzonymi węglami!

Nie, Amanda nawet ciężarna i umęczona, nie miała w sobie owej letniości. Jezus był dla niej kimś, kto wypędził lichwiarzy ze świątyni. W Babilonie Tabernacle jego postać wymalowano na szkle i podświetlano sześćdziesięciowatowymi żarówkami, które podczas ceremonii chrztu chowały się w suficie, a wówczas pastelowy Jordan nabierał barwy mrocznej zieleni, gdyż odbijała się w nim stojąca poniżej chrzcielnica. Podczas ślubu Amandy obraz został podciągnięty hen, wysoko, bliżej jasnego światła, toteż widziana z dołu twarz Jezusa zmieniła się w komiczną maskę o zbyt różowych policzkach i wyraźnie umalowanych oczach. Tam, pod sufitem, wyglądał jak gwiazda rocka w muzycznym wideoklipie: ręce miał szeroko rozłożone, oblicze złane potem. Kobieco — pomyślała Cissy, gdy ujrzała wizerunek na szkle. — Wygląda dziwnie kobieco. I omal nie zasugerowała, żeby w roli Chrystusa Dede obsadziła Sigourney Weaver. „Weź kobietę, jakąś ciemnowłosą, gorącooką kobietę” — miała to na końcu języka. Nie, mogłaby tym zdenerwować nie tylko Amandę, ale i Dede.

Kobieta — myślała Cissy, ilekroć odchyłała głowę w stronę chłodnych podmuchów hulających w zewnętrznych korytarzach Little Mouth. Ciemność była kobietą, a Bóg ciemnością. Bóg był niebezpieczny, duży, przerażający, tajemniczy. Był też kobietą. I był bluźnierczy. Czasami Cissy żałowała, że nie umie wytłumaczyć Amandzie tego, co myśli o boskości. Nie o boskości biblijnej, tylko o rodzinnej. Nie o Jahwe, tylko o Delii, o Delii, która odrzuca do tyłu głowę, otwiera usta i zanosi pod niebo surową pieśń. To właśnie była moc ducha, siła Najwyższego. Ale jakże Cissy mogłaby komuś o tym powiedzieć? Po tylu długich, gorzkich awanturach z Delią jakże mogłaby o tym mówić?

Bóg Amandy nie był Bogiem Cissy. Bóg Amandy zliczał grzechy i wymierzał pokutę, natomiast Bóg Cissy zionął prawością i ogniem. Bóg Amandy w nagrodę rozdawał tłuste dzieci i ganki przy kuchni. Bóg Cissy był ryzykiem niemożliwej ekspiacji — Jezusem na krzyżu lub ciałem u kresu wytrzymałości, szansą na wybawienie w strasznej ciemności. Jej Bóg był uśmiechem w mroku, bólem odzywającym się w barkach, gdy wypływała tak daleko, że mięśnie odmawiały posłuszeństwa, potężnym wstrząsem, jaki odczuła, gdy Dede rozbiła datsuna.

Ilekróć, szykując się na wyprawę do jaskiń, wkładała ciężkie od błota buty i stare ubranie, popadała w stan ekscytującego wyczekiwania na kolejne spotkanie z tajemnicą. Mówiła sobie wówczas, że w dzisiejszych czasach Bóg prawdopodobnie musi się chować po grotach.

W ciemnościach wszystko zdawało się możliwe. Wszystko się tam mogło narodzić. Jaskinia była zamgloną półkolistą sceną pełną niewidocznego ruchu. Tam, w mroku, Cissy nie należała ani do baptystów, ani do zielonoświątkowców, stawała się jedynie umiłowanym dzieckiem Boga. Skały pod stopami kazały jej myśleć o upadku, lecz upadku się nie bała. Wspinaczka po iłotłupkach wymagała pełnej koncentracji, wolnego tempa marszu i stawiania stóp w taki sposób, żeby się nie poślizgnąć. Takie panowanie nad własnym ciałem sprawiało, że miała chęć wyprostować plecy, rozłożyć ramiona i krzyknąć pełną piersią, natomiast to, że się przed tym powstrzymywała, dawało jej poczucie tłumionej mocy, wywoływało ciągłe wrażenie mrowienia na karku. W jaskini Cissy wiedziała, na co może sobie pozwolić i co się jej może przydarzyć: albo ona przytulała się do skalnych ścian, albo one twardo naciskały na jej kruche ciało, pchając ją w ramiona Boga, tajemnicy mroku i chwały. W katedralnej elegancji trzeciej komory Little Mouth Cissy uniosła głowę i poczuła szept wiatru łaskoczącego ją w policzek. Bóg to czy duch? Clint czy Randall? Niewinni zmarli cierpiący katusze czy rozpalony strach trwającego po grób pragnienia? Ktoś za nią szedł. Czuła zapach dymu i tequili swego taty. Ktoś nie z tego świata, ktoś urażony zakaszał głucho, wyszeptał imię Delii i tchnął jej w szyję oddechem. Sapnęły wszystkie obecne w jaskini echa, zadźwięczał basem każdy spadający kamień. Jezus, czary albo śmierć — w jaskini wszystko było możliwe.

Szła przez grotę jak we śnie, rozkoszując się ostrym smakiem lęku wywołanego ześlizgnięciem się liny po ścianie, dalekim odgłosem kapiącej wody, zagorzałością kłótni koleżanek. Ilekróć Jean krzyknęła na Mim, zaczynały drzeć skały. Cissy prostowała się wówczas, chcąc wchłonąć ten krzyk swoim brzuchem, pragnąc, żeby potrzęsnała jej trzewiami. Tak krzyczałyby ktoś ukochany przez Boga: bez wahania, bez strachu. Otworzyła usta i poczuła echa odbijające się od zębów.

Za te szczere, niezależnione krzyki pokochała Jean i Mim bezgranicznie. Miłość rozgrzała jej krew, przyspieszyła bicie serca. Po raz pierwszy w życiu czuła, że nie jest sama.

Rodzina tego nie rozumiała, że tę zazwyczaj powściągliwą Cissy może interesować coś poza książkami. Dede ledwie jej pasję dostrzegła, natomiast Amandę i Delię połączyła wspólna troska o odnowiony entuzjizm Cissy do jaskiń i jej zaskakującą przyjaźń z dziwnymi dziewczętami.

— Ostatnio wiesznie się dokądś wybierasz albo skądś wracasz — powiedziała Delia, marszcząc czoło.

— Co próbujesz tym udowodnić? — pytała Amanda. — Już w ogóle z nami nie rozmawiasz.

Tak jakbym przedtem rozmawiała - pomyślała Cissy milcząc.

Mim kopnęła zabłocone ubrania, które przed chwilą zrzuciła z siebie po trzeciej wyprawie do Little Mouth.

— Faj! Czerwone błocko i żółta glina. Spieranie tego będzie gorsze od kąpania psa taty.

Jean parsknęła śmiechem.

— Najlepiej włożmy je do beczki na podwórzu za domem i niech się tam moczy kilka dni. Jeśli włożymy je do pralki w takim stanie, spalimy silnik.

— A może potraktujemy je wężem do mycia samochodu?

— Uhm. Albo poprosimy strażaków, żeby pożyczyli nam sikawkę.

Cissy kiwała głową i śmiała się wraz z nimi. Rozmowy o praniu i o lepkiem błocie weszły już do rytuału zakończenia każdej ekspedycji. Te same, na okrągło powtarzane kawały i narzekania były wentylem bezpieczeństwa, przez który dziewczęta dawały upust skoncentrowanym emocjom i lękom, jakie towarzyszyły im pod ziemią. Śmiech, nerwowe drżenie mięśni, powolne tajanie, czyli to, co następowało po wyprawie, było przewidywalne w takim samym stopniu, w jakim nie dawało się przewidzieć przebiegu samej wyprawy. Nie rozprawiąły o klaustrofobicznym przerażeniu, o potwornym dźwięku wydawanym przez trąca o skały skórę, o wrzynającym się w brodę pasku przytrzymującym hełm, o zapachu wilgotnych skał przesycającym ubranie ani też o tym, jak śliskie, wąskie tunele,

które musiały pokonywać na czworakach, zaciskały się wokół ich ramion. Jakby popijanie gorącej kawy, pogryzanie tańszych, bo już w sklepie popękanych kruchych ciasteczek i utyskiwanie na mokry brud jaskini stanowiło bezpieczną formę przechwalania się przed samym sobą tym, czego przed chwilą dokonały.

— Spójrzcie na mnie! Jestem usmarowana gliną od stóp do głów!

— Boże, a ja mam grys we włosach!

— Cholera, jesteśmy po prostu nieludzko uświnione!

W mieszkanku, które wynajmowały Jean i Mim, panował wygodny bałagan. Książki walały się pośród ubrań, butów i pustych puszek po lemoniadzie. Wracając z jaskini, Mim i Jean przebierały się w sionce między gankiem na tyłach domu a kuchnią. Zabłocone ubranie trafiało do pustej wanny przy drzwiach, one zaś brały razem prysznic w maleńkiej łazience przy kuchni. Cissy obserwowała je z pełnym zażenowania podziwem. Próbując zachowywać się swobodnie, ona także zrzuciła w sionce zabłocone ubranie, lecz robiła to powoli, żeby nie stanąć przed dziewczętami nago. Jak tylko zniknęły w łazience, zaczynała się spieszyć i mocno wytarłszy się ręcznikiem, wkładała świeże ubranie, które przygotowywała tylko na drogę powrotną do domu. Potem siadała przy stole i popijając źródlaną wodę, wsłuchiwała się w śmiech Jean i Mim pod prysznicem. Sądziła, że z czasem przywyknie do dziewcząt w wystarczającym stopniu, by pewnego dnia dołączyć do nich w łazience. Po prostu wejdzie tam naga i gdy przyjdzie jej kolej, stanie pod strumieniem gorącej wody. Czuć się w swym ciele jak w domu, bez wahania pokazywać innym gołe pośladki i obnażone piersi — to musiało być wspaniałe uczucie. Swoboda, z jaką zachowywały się Jean i Mim, sprawiała, że Cissy uznała siebie za jeszcze większą dziwaczkę.

Cissy opracowała własny system prania rzeczy zabrudzonych podczas wyprawy. Kiedy Dede chodziła z chłopakiem odpowiedzialnym za zdjęcia do wydawanej co roku książki szkolnej, pralnia Delii została przebudowana na pracownię fotograficzną. Rozpółowali podwójny zlew, a nad nim zamontowali trzeci tak, żeby woda z niego przepływała przez dwa pozostałe. Choć Dede durzyła się w szkolnym fotografii dość krótko, Cissy stwierdziła, że zlewy doskonale nadają się do prania ręcznego.

Był nawet taki moment, kiedy chciała zaproponować Jean i Mim, że upierze ich ubrania, tak samo jak prała rzeczy Dede i Delii, a także Amandy przed jej wyprowadzką. W samą porę ugryzła się w język.

Nie, przy Jean i Mim nie chciała być dawną Cissy. Cissy opierająca całą rodzinę nie była tą, którą pragnęła być dla nich. Gdyby stała się osobą, którą widziały w niej Delia i siostry, nie mogłaby już śmiać się, jak się przy nich śmiała. Ani Mim, ani Jean nie wyśmiewały tego, że popadała w milczenie. Nie nabijały się z jej nawyku zasłaniania lewego oka kosmykiem włosów, z jej nieśmiałości i niepewnych odpowiedzi. Nie była dla nich Cissy dziwaczką, tylko zwyczajną Cissy. Traktowały ją tak, jakby niczym nie różniła się od nich, i Cissy zaczynała wierzyć, że tak właśnie jest. Jadąc do jaskini lub wracając do domu, rozmawiały o zwykłych codziennych sprawach: o tym, jak długo trwa jazda z Little Mouth do Cayro, o jakości i wadze lin dostępnych w okręgowych konsumach, o beznadziei wstawania z łóżka po dniu spędzonym pod ziemią. Dla Cissy rozmowa z Mim i Jean była jak przywdziewanie nowej skóry. Choć przez chwilę nie był to córka Delii — co za luksus!

Śmiała się razem z nimi ze swych ubłoconych dżinsów.

— Dotknij. Przybyło im z dwadzieścia funtów.

— Masz w kieszeniach kamienie czy co?

— Tak. Kiedy zjeżdżałam po skałę, między spodniami a tyłkiem zebrało się parę funtów rozkruszonej skały.

Jean i Mim wybuchnęły śmiechem, a Cissy pławiła się w poświęceniu ich aprobaty. Tak bardzo różniły się od jej siostr.

— Ty jesteś z innej planety - powtarzała jej Amanda. - Nie masz w sobie nic z normalnego człowieka.

Cissy z nią nie polemizowała. Uznała, że Amanda ma rację. Może Delia wcale nie jest moją matką — myślała. — Może jestem niczym ci odmieńcy z bajki, baśniowym stworzeniem, którego wymieniono za prawdziwą córkę Delii? Bo jak inaczej wytłumaczyć, że tak bardzo różnię się od wszystkich, których znam?

— Nie, tak bardzo inna to ty nie jesteś — powtarzał jej Nolan.

Ale Nolan? Jeśli istnieli na świecie odmieńcy, z całą pewnością do nich należał. Pary stworzeń bardziej przypominających istoty z innej planety nigdy w Cayro nie widziano.

Stara pralka Delii hurgotała i podskakiwała, gdy była przeładowana. Żeby nakłonić maszynę do prania pościeli, Cissy musiała usiąść na niej w roli balastu. Ręką zapierała się o ścianę ze sprasowanych bloków żużlu, nogą o metalowe półki przy drzwiach — tak zaklinowana pralka mruczała cicho i spokojnie, a drugą rękę Cissy miała wolną. Mogła trzymać w niej książkę, kręcić gałką radia lub docisnąć nią maszynę, gdy wsad przedstawiał wirować rytmicznie, co skłaniało pralkę do tańca pod jej udami.

Lubiła, gdy rozgrzana maszyna dudniła pod nią i dygotała. W zaparowanej pralni oddawała się marzeniom tak intensywnym, że nie umiałyby potem powiedzieć, o czym myślała. Wypełniała bęben ubraniami czy pościelą i jak tylko pralka zaczynała łomotać, siadała na niej i natychmiast przenosiła się w inną rzeczywistość. Była niczym derwisz, który po latach ćwiczeń osiąga taką wprawę, że bez wysiłku popada w medytację. Przesycone parą powietrze wprawiało ją w ekstazę. Gorąco sączyło tajemnicę.

- Siadasz na niej i robisz sobie dobrze, co? Masz pod tyłkiem gigantyczny wibrator, prawda? — rzuciła pewnego dnia Dede i pobiegła na skargę do Delii. Delia zlekceważyła ją z taką determinacją, że było całkowicie jasne, iż domyśla się, co Cissy robi w pralni. Cissy wiedziała, jak to musi wyglądać: jeździła na podskakującej pralce z zaróżowioną twarzą, z błędnym wzrokiem, z rozkraczonymi nogami ugiętymi w kolanach i stopami wspartymi na półkach. Jednakże to, co tam robiła, nie miało nic wspólnego z tak przyziemnymi sprawami. Nie wszystko kręciło się wokół seksu.

Pralnia, ta zbudowana z żużlowych bloków komora przesycona zapachem detergentów, chloru i wonią kwiatowego płynu do płukania, była jej azylem. Ostrzejsze zapachy dochodziły ją z plastikowych skrzynek na mleko, w których przechowywały płyny do czyszczenia, oraz ze starych butelek, puszek z amoniakiem, rozpuszczalnikami i naftą stojących w kącie.

- Nic z tych rzeczy nie może trafić do kosza na śmieci — ostrzegała Amanda. — Trzeba to wszystko wywieźć na wysypisko. Trzeba się tego pozbyć, zanim trafi tu któryś z chłopców.

- Cissy się tym zajmie — zapewniła Delia. — To ona pilnuje tych spraw.

Cissy wysprzątała pralnię dopiero wiosną, gdy Delia zaczęła odnawiać dom. Z pomocą Nolana odsunęła półki i pralkę od ściany, dokładnie wymyła całe pomieszczenie i żeby je wysuszyć, zostawiła na noc włączony wentylator. Odmalowała wszystko dwiema warstwami białej farby: na sufit położyła zwykłą, a ściany, dla zabezpieczenia przed pleśnią, pokryła olejną. Podłogi nie malowała, wyszorowała ją tylko roztworem chloru. Pralnia wyglądała jak świątynia, oczyszczona i niepokalana. Robaki nie miały tam nic do jedzenia, z kątów zniknęły rupiecie, na których zbierał się kurz i pajęczyny. Kiedy Dede czy Amanda zносиły do pralni pudła z niepotrzebnymi kłopotami czy torby ze starą odzieżą, Cissy natychmiast wywoziła je na wysypisko. Na dole nie mogło pozostać nic, co do tego miejsca nie przynależało. To, czego Cissy nie umiała wyrazić słowami, wyrażała dbałością o pralnię: kosztami nienagannie białych szortów i podkoszulków, delikatną bielizną powkładaną w siatki, nieskazitelnie czystą pościelą, ręcznikami złożonymi w taki sposób, żeby idealnie pasowały do bieliźniarki, džinsami wybielonymi do tego stopnia, że bawełna nabierała perłowego odcienia, mile pieścącego skórę. Czyste ubrania, koszulki, bluzki, majteczki, wyglądające po jej zabiegach jak nowe - wszystko to dyszało tęsknotą, do której Cissy nigdy by się głośno nie przyznała, było nią łączącą je wszystkie w rodzinę, nicią, która poza pralnią zdawała się bardzo cieniutka. Tylko tu Cissy wiedziała, gdzie co leży i skąd się tam wzięło.

Ale pralnia stanowiła część domu, część innej rzeczywistości, tej, w której nie mieściła się Mim i Jean ani swobodny śmiech z nimi. Tylko tu Cissy czuła, że jest grzeczną córeczką Delii, tylko wtedy, gdy prała. Tu toczyło się jej inne życie, tu tęskniła za odnalezieniem bezpiecznego miejsca dla małej dziewczynki. W życiu, którego pragnęła, nie obchodziło jej nic prócz rozciągliwości mięśni i elastyczności ścięgien. W jaskini zapierała się o ścianę biodrem, ugiwała kolana albo wyciągała ręce nad głowę, żeby dopełznąć do przodu i poczuć na sobie pełen podziwu wzrok Mim spoglądającej na nią ponad ramieniem Jean. Tam, na dole, nie była niczym dzidziusiem. Tam stawała się dorosłą kobietą, silną i znającą się na rzeczy. Bała się składać rozsypane kawałki życia w całość, bała się potępienia



Amandy, zagubienia Delii, skrupulatnej przyjaźni Nolana, złośliwych żartów Dede i spacerujących nago Jean i Mim. Kim między nimi była? Co mogła osiągnąć i kim zostać? Dumną Cissy, która wspinała się w ciemności po skałach, czy nieśmiałą dziewczynką ukrywającą się w pralni?

Po ostatniej wyprawie wyszły z Little Mouth tak utyłane błotem, że Jean nie pozwoliła im wsiąść do samochodu, póki się nie przebrały. Zdjęły z siebie ubrania przy bagażniku. Cissy skrywała rumieniec pod rozpuszczonymi włosami, ciesząc się, że zapadł już zmrok. Kiedy Mim oblała wodą jej obnażone ramiona, a Jean stanęła z boku z ręcznikiem, żeby wytrzeć jej plecy, Cissy zwróciła twarz ku niebu i poczuła, że powietrze ugniata jej skórę satynowym ciężarem, że pulsująca energią krew niesie do mózgu pieśń radości i pochwały życia.

Wpełzła w czeluść mroku i wypęzła na świat. Zaryzykowała wszystko i wyszła na światło gwiazd oblepiona błotem, piaskiem, usmarowana odchodami nietoperzy i wiekowym prochem. Zmywanie błota było chrztem. Rozpięta spodnie i ściągnęła brudne buty. Jak Mim. Jak Jean. Poruszała się z kontrolowaną swobodą, nie patrząc na swoją nagość. Odwróciła się, żeby wyszorować plecy Jean i wytrzeć je do sucha szorstkim ręcznikiem. Tak, mogła zaufać swoim mięśniom.

Wciągając czyste, suche dżinsy, pachnące płynem do płukania tkanin i słońcem, głośno się roześmiała. Ilekroć wychodziła z mroku jaskini, przypominały się jej programy telewizyjne, które oglądała niedzielnymi przedpołudniami zaraz po przyjeździe do Cayro. Między kazaniem pokazywano krótkie jednoaktówki, których moralne przesłanie akcentowano z brutalną skutecznością: bluźniący ojciec dostawał raka krtani, cudzołożnik tracił dziecko. Chodzenie po jaskiniach podlegało tym samym regułom. Źle postawiłeś nogę — spotykała cię kara. Nie zważałeś na pył — pełzłeś w mroku. Za luźno zasnurowałeś buty — mogłeś skrzywić nogę w kostce albo przemoczyć skarpetki. Zgrzeszyłeś przeciw skale i wzywała cię ciemność. Lecz jeśli byłeś wytrwały, zawsze powracałeś do światła. A wtedy wszystko się naprawiało. I już nie miałeś żadnych wątpliwości, kim ani czym jesteś.

W latach, które nadeszły po śmierci jej męża, Nadine Reitower trzy razy złamała sobie biodro. Od czasu gdy Nolan rozpoczął naukę w college'u, ani razu nie weszła na piętro swego domu.

— I już nigdy tam nie wejdzie — rzekł doktor Campbell Nolanowi. — Będzie jeździć na wózku aż do śmierci.

Mimo to Nadine była szczęśliwa. Podczas trzeciego upadku coś się z nią stało, coś strasznego i cudownego zarazem. Drobny wylew, przejaw łaski Pańskiej, jak to nazwał Nolan. I może rzeczywiście Bóg maczał w tym palce, ten sam Bóg, który tworzył bezokie ryby i dwugłowe cielęta.

Matka Nolana przestała oddychać na mniej więcej półtorej minuty. Sanitariusze podali jej w karetkce tlen, wówczas ocknęła się z otwartymi ustami i z wystawionym językiem.

— Jak maleńki ptaszek — opowiadał Cissy Nolan. — Jak szczęśliwe pisklątko.

Jak wygłodzone pisklątko.

Dla kobiety, która przez ostatnich trzydzieści lat nie zjadała w ciągu dnia więcej niż tysiąc kalorii, była to życiowa przemiana. Jej mąż i synowie byli tędzy, natomiast ona musiała być szczupłą, z czego uczyniła religię. Chuda jak szczapa, zamorzona głodem, popijała czyste zupki, pogryzała selery naciowe i całkiem się zaszuszyła. Dumna aż do bólu z kościstych bioder i wystających obojczyków, z pełnym zadowolenia potępieniem spoglądała na swoich rozłożystych, miękkich mężczyzn, którym podsuwała jedzenie, jakiego sama nigdy by nie tknęła. Uważała, że mężczyźni powinni być duzi, a kobiety małe, i mówiła to bez ogródek, dosadnie. Była dosadna i złośliwa z natury, toteż bez zająknięcia wygłaszała kąśliwe, czasami nawet okrutne uwagi, choć uważała się za osobę dobroduszną. Tyle że wiedziała, jak wszystko powinno wyglądać, a świat bardzo rzadko dopasowywał się do jej przekonań. Przygotowywała sos do mięsa, lecz nigdy go nie jadła, piekła ciasta, ale tylko skubała skórkę z zapiekanek i z puddingów na parze. Z karmienia swoich

mężczyzn uczyniła prawdziwą świętość, sama zaś świadomie się głodziła, aż jej kości stały się koronkowe, cieniutkie i pokryte delikatnymi jak pajęczyna żyłkami pęknięć.

— Powinienem był zapisać jej wapno i przez ostatnich dziesięć lat kazać jej więcej chodzić — burczał doktor Campbell. — Powinienem był dostrzec, do czego jej tryb życia może doprowadzić. — Wypadek Nadine bardzo go zmartwił, gdyż uważał ją za osobę cieszącą się fenomenalnym zdrowiem. Ilekroć ujrzał jej nazwisko na liście pacjentów, nie mógł się doczekać, kiedy ta drobna, eteryczna istota wejdzie do gabinetu — doktor Campbell niemalże ją wielbił. Była oddaną matką, szczęśliwą żoną, z tego, co słyszał, kobietą trochę apodyktyczną i trudną, wszakże nie bardziej, niż należałoby tego oczekiwać. Śmierć jej męża całkowicie to odmieniła i doktor Campbell po raz pierwszy spotkał Nadine Reitower, którą znali inni. Kobietę, którą uwielbiał, zastąpiło babsko, z którym ledwo wytrzymał do końca badania, osoba gwałtownie postarzała i krucha, kipiąca pogardą i oburzeniem, która prosto w nos nazwała go głupcem. A kiedy i ta Nadine przeszła metamorfozę, przestał mieć co do niej jakąkolwiek pewność. Badał tę pacjentkę, którą badał, i tyle. Nie potrafił przewidzieć, jaką Nadine przyjdzie mu oglądać następnym razem.

— Nolan — rzekła Nadine, budząc się po ostatniej przejażdżce karetką. — Nolan, jestem głodna.

I rzeczywiście była. Półtorej minuty bezdechu, wózek inwalidzki, rampy i dochodząca pielęgniarka zmieniły jej usposobienie. Rozchylone jak u ptaszka usta Nadine często się uśmiechały, często machała z ganku do przechodniów, wołając ich po imieniu.

Cissy. Dede. Amandę. Każdego, kto tamtędy przechodził. Nawet Delię. Teraz lubiła wszystkich, a im bardziej tyła, tym częściej dawała swej sympatii wyraz. W ciągu półtorej minuty życie Nolana uległo całkowitej odmianie.

Nadine Reitower stała się inną kobietą i wszyscy o tym wiedzieli. Tymczasem przemiana, jaka zaszła w Nolanie, uwiadczała się powoli. Chyba tylko Cissy ją zauważyła, pewnie dlatego, że regularnie się z nim spotykała. Podczas gdy Nadine rozrastała się w krzesło, Nolan odprężał się i weselał. Gwałtownie wystrzelił w górę. I zaczął systematycznie ćwiczyć

ciężarkami, które ojciec przechowywał w garażu. Zaklinał się, że nie ma to nic wspólnego z jego ostatnim przypadkowym spotkaniem z Dede, kiedy mu powiedziała, że nigdy nie umówi się z chłopakiem przypominającym biskopt na dwóch nogach.

— Po prostu mam na to ochotę - powtarzał uparcie.

— Ejże, czyżby? Ty po prostu chcesz schudnąć. Do licha, nareszcie zaczynasz mieć jakąś figurę! — Cissy bezlitośnie mu dogryzała i nie mogła się wprost nadziwić, że Nolan się nie obraża.

— Myślę praktycznie, to wszystko — odparł Nolan. — Muszę podnosić bezwładną kobietę, która nic, tylko ciągle tyje. Przenoszę ją z łóżka do łazienki, z łazienki na wózek i kręgosłup mi omal nie pęknie. Doktor Campbell mówi, że muszę się wzmocnić, inaczej dostanę przepukliny. Trzeba by zatrudnić pielęgniarkę na stałe, ale możemy sobie pozwolić tylko na dochodzącą.

— Uhm.

— Poza tym muszę to robić skutecznie i szybko. Przenoszenie mamy nie jest zajęciem, które chciałoby się celebrować. - Mocno się przy tym zarumienił.

— Jak to? — Cissy była zaintrygowana. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek czuł się tak nieswojo.

— Ona chichocze.

— Chichocze?

— Tak. O Boże! — Zarumienił się jeszcze bardziej, a na kościach policzkowych nawet poczerwieśniał. Zamknął oczy. — Podnosimy ją z pielęgniarką, wkładamy ją do wanny, a ona zasłania oczy i zaczyna chichotać. „Nie patrz, synu — mówi, nie patrz!” i cały czas chichocze. Jest naga, i w ogóle, a ja nigdy w życiu nie widziałem jej nagiej. Dawniej prędzej by umarła, niżby na to pozwoliła. A teraz droczy się ze mną i śmieje. Boże, gdyby była tym zakłopotana tak samo jak ja, chyba bym tego nie wytrzymał. Na szczęście cały czas się śmieje, bo inaczej bym tego nie zniósł. Mimo to, sama rozumiesz. — Umilkł, a Cissy nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Nie otwierał oczu. Były jeszcze inne sprawy, wiele innych spraw, ale o nich nie mógł Cissy opowiadać. Pracując nad swoimi mięśniami, usiłował nakłonić matkę do przejścia na

dietę. Pomysł był straszny dla nich obojga. Odmieniona Nadine nie cierpiała niskokalorycznych dań, nie cierpiała niczego, co nie było tłuste i smaczne. Natomiast Nolan wręcz uwielbiał nową wersję matki, przepadał za tą niezwykłą kobietą, która oblizywała palce, śmiała się w głos, kręciła się na wózku po kuchni, podśpiewywała pod nosem, gdy grał, mówiła mu, jaki z niego przystojniak, i zapewniała go, że jest z niego dumna, co zresztą powtarzała każdemu, kto akurat przystanął, żeby z nią porozmawiać.

Tymczasem doktor wciąż przypominał Nolanowi, że masa kości Nadine się nie zwiększyła. Że się już nigdy nie zwiększy, że kolejne złamanie może matkę zabić.

— Im jej będzie więcej, tym łatwiej trzasa jej kości — mówił stanowczo. — Synu, musisz zachować się jak mężczyzna.

Nolan rozumiał, o co mu chodzi. Ciało Nadine nie było przygotowane do dźwigania nieustannie wzrastającego ciężaru, czego nie mogły zmienić nawet jej łagodne, wciąż rozchylone, skóre do zucia i uśmiechu usta. Im bardziej tyła, tym bardziej ryzykowała. Nolan wiedział, że jeśli czegoś nie zrobi, straci matkę, istotę, którą teraz kochał chyba bardziej niż swoją muzykę i marzenia.

Dlatego postanowił coś zrobić. Stopniowo, coraz wydatniej wzmacniał mięśnie. Wymyślał przeróżne zabawy, przy których Nadine mogła bezpiecznie poćwiczyć, wprowadził różne zmiany w kuchni, podczas gdy matka poddawała się fizykoterapii z pielęgniarką: słodzik zamiast cukru, zamiast zwykłej soli sól bezsodowa, do tego świeże warzywa i zupy z niską zawartością tłuszczu. Kategorycznie odmawiał przynoszenia do domu biszkoptów, bez względu na to, jak bardzo przez to płakała. W końcu wykorzystał przeciwko niej matczyną miłość.

— Mamo — błagał. — Musisz mi pomóc. Jakże znajdę sobie żonę, jeśli nie pomożesz mi wyglądać jak człowiek?

Powoli, lecz systematycznie Nolan wyciągał się i chudł, podczas gdy cierpiąca Nadine opłakiwała pożegnanie z masłem, lodami i czekoladowymi ciasteczkami, podziwiając zarazem zmiany zachodzące w jej dużym, miękkim chłopcu. Obserwowała jego rozrastające się i nabierające mięśni ramiona, widziała, jak smukleją mu biodra, a nogi nabierają kształtu i siły. Wyglądał jak zawodnik drużyny futbolowej, jak kwar-

terbek. Krzepki i przystojny, z kruchym ciałem matki obchodził się równie uważnie i delikatnie jak ze swoim klarnetem.

— Mam takiego przystojnego syna — chwaliła się wszystkim, którzy przychodzili do niej w odwiedzin.

Ludzie potakiwali odruchowo, lecz spojrzawszy na Nolana, przyznawali jej rację. Duży, dziwny i nieśmiały Nolan stał się zupełnie innym młodzieńcem. Duży i silny Nolan dźwigał teraz matkę z wózka, karmił ją kawałkami pomarańczy i plasterkami jabłka, spuszczał oczy, gdy spoglądała na niego kobieta, i grał na klarnecie tak słodko, że pół Cayro wiedziało, iż cały świat stoi przed nim otworem.

Jedyną osobą, która na niego nie patrzyła, była Dede Windsor. Dede, dla której zrobiłby wszystko, dla której poszedłby na koniec świata, nigdy nawet nie zerknęła na ganek, gdzie na nią czekał.

— Och, kochany — westchnęła Nadine, widząc, jak syn spogląda na ulicę. Twarz miała czułą, oczy mądre. — Och, kochany — powtórzyła głosem, który łamał mu serce.

Przytrzymała go do siebie i przytuliła. Skoro mama mogła tak się zmienić — pomyślał — nie ma rzeczy niemożliwych. Nadejdzie taki dzień, kiedy stanie się to, czego pragnę.

— Nadejdzie taki dzień - powiedział na głos, a matka przytknęła usta do jego słonawo-słodkiej skóry.

Smakował jak szarlotka, jak jabłko w cieście rozpływające się na języku.

Urodziwszy dwóch synów, Amanda ponownie dostała obsesji na punkcie założenia Koalicji Chrześcijańskich Dziewcząt. Nowym źródłem jej utyskiwań stało się liceum, dziewczęta, które paliły przed samem i które na widok nadchodzącej z chłopcami Amandy śmiały się, zakrywając usta.

— Zachowują się tak, jakby nie bały się ani Boga, ani niczego — skarżyła się Amanda, wpadając do sklepu.

— No bo się nie boją. - Dede była jedyną osobą, której pozwalano palić w samie, lecz wyglądało na to, że korzystała z tego przywileju jedynie wtedy, gdy do sklepu przychodził ktoś, kogo nie lubiła. Jak tylko Amanda kładła rękę na metalowej ramie podtrzymującej znak firmowy Camel Red Pack,

Dede natychmiast wyciągała paczkę i zaczynała toczyć w palcach papierosa. — Nikogo oprócz mnie. Tak, trochę się mnie boją. A ciężko na to pracuję. Pracuję na to ze wszystkich sił.

— Powinny nauczyć się odrobiny szacunku.

— Uczą się, uczą. — Dede uśmiechnęła się leniwie, strzepnęła popiół w kierunku wielkiej donicy i nie odrywając wzroku od małego Michaela, dodała: - Gwarantuję ci, że się uczą.

Dede wiedziała, po co Amanda do niej przysłała: chciała zawiesić w sklepie jeden ze swoich małych plakatów. Pod pachą miała plik kartonowych odbitek przedstawiających Jezusa w cierniowej koronie, która kaleczyła mu czoło — Jezus unosił przed nosem palec i wskazywał nim niebo. Jeden z tych obrazków wisiał kiedyś w sklepie. Dede bawił wizerunek syna Bożego dłubiącego w nosie — takiego zbawiciela chyba by nawet polubiła. Lecz z czasem żart przestał ją bawić. Wyglądało też na to, że Amanda coraz bardziej traci dawny zapał i coraz częściej przychodzi do sklepu po puszkę mleka w proszku niż po to, żeby zrobić Dede wykład na temat ognia piekielnego i wiecznego potępienia. Bywały takie dni, kiedy Dede tęskniła za dawną Amandą, która przewróciła stojak z pismami dla dorosłych, kiedy pewien chłopak celowo zerwał z nich brązowy papier mający strzec chrześcijańskie oczy przed grzechem.

Zanim Nadine zjadła truskawki, które Nolan wydzielił jej na śniadanie, najpierw obtoczyła je w miękkim maśle, a potem w cukrze. Uśmiechając się w porannym słońcu błyszczącymi od masła ustami, uważała, żeby nie obudzić Tacey. Cynamonowe ramiona dziewczyny lśniły w promieniach wpadającego przez okno światła. Tacey mieszkała z Reitowerami od czasu, gdy zdzieliła w głowę motyką kochanka swojej matki, o czym chętnie wszystkim opowiadała. Pracowała wtedy w „Biscuit World” i czasem pomagała Nolanowi przy matce. Pewnego ranka przysłała do pracy umazana błotem i krwią. Trzęsa się tak mocno, że Nolan strawił co najmniej godzinę, żeby ją uspokoić i dowiedzieć się, co się stało: kochanek matki spalił jeden z jej dzienników, ona zaś chciała rozbić mu za to głowę.

Nolan poszedł porozmawiać z Altheą Brithouse, matką Ta-

cey, ale ta nie posiadała się z oburzenia. Cisnęła weń pudłem z ubraniami córki i kazała mu trzymać Tacey z daleka od domu, „dopóki dziewczyna nie zmięknie i nie przeprosi”. Od tamtej pory Tacey zajmowała się Nadine w zamian za mieszkanie i wikt. Zajęła dawny pokój Nadine, która teraz sypiała w szwalni na parterze. Jesienią dostała częściowe stypendium do Spelmana i trzymała pod łóżkiem stos nie dokończonych manuskryptów.

— Tylko poczekaj — zapowiedziała Nolanowi. — Pewnego dnia będziesz wszystkim mówił, że mnie kiedyś znałeś.

Nolan w to nie wątpił.

Przed wyjściem do szkoły Tacey musiała sprawdzać, czy Nadine zjadła dobre śniadanie, lecz ponieważ zazwyczaj kładła się późno — długo czytała i pisała coś w notatnikach — rano często podrzemywała, gdy Nadine podsypywała cukrem owoce lub obficie smarowała masłem grzankę. Nawet się lubiły, choć bywały takie chwile, kiedy Tacey nie mogła wprost uwierzyć w to, co leżało się w głowie tej starszej kobiety. Nadine podejrzewała na przykład, że Tacey sypia ze śmieciarzami, z listonoszem, z nauczycielami i z kaznodzieją z Little River Methodist.

— Czarne dziewczęta nie muszą długo czekać, w przeciwieństwie do białych — rzuciła pewnego ranka niedługo po wprowadzeniu się Tacey. — Mama mi mówiła. Macie to we krwi, tę afrykańską gorączkę.

— Naprawdę?

Nadine kiwnęła głową.

— Dobrze o tym wiesz. Czarne dziewczyny robią wszystko, ja nie robiłam nic. — Oblizała usta i westchnęła. — Gdybym urodziła się czarna, już od dwunastego roku życia mogłabym ssać męskie cycuszki.

— Ale po co?

Nadine wyraźnie się zdziwiła.

— Bo są smaczne. Smaczniejsze niż kobiece.

— Serio? Nie wiedziałam.

— Oczywiście, że wiedziałam. Mając do czynienia z tyloma mężczyznami...

— Pani Reitower, ja nie byłam jeszcze z mężczyzną.

— Och, nie rozśmieszaj mnie. Gdybym mogła wstać z tego



wózka, co rano siadywałabym nago na pojemniku na śmieci i czekałabym, aż jakiś chłopak da mi possać bark i pozwoli opleść się nogami. — I znowu westchnęła doskonale nieszczęśliwym westchnieniem.

Tacey prychnęła i pokręciła głową.

— Pani Reitower, zacznym się pani bać.

— Szkoda, że nie znałaś mnie wcześniej - odrzekła Nadine. — Niezłe było ze mnie ziółko, naprawdę.

Nadine lubiła słuchać opowieści Tacey, długich, romantycznych historii o czarnych kobietach, które walczyły o sławę i pieniądze i którym szczęście dopisało bardziej, niż mogły się tego spodziewać.

— Zupełnie jak ta kobieta, no, jakże się ona nazywa... — powiedziała kiedyś do Nolana. — Tacey też tak pisze. Wydaje ci się, że bierzesz w jej historii udział.

Tacey parsknęła śmiechem.

— Oto ja. Czarna Judith Krantz, Danielle Steel, Rosamunde czy jak jej tam. Boże, pani Reitower, będę musiała przeczytać pani fragmenty utworów naprawdę dobrych czarnych autorek! Będzie pani miała lepszy punkt odniesienia.

Przez wiele tygodni Tacey czytała na głos swoje ulubione książki, podczas gdy Nadine robiła ćwiczenia na wzmocnienie kostek u nóg i rozciągała mięśnie. Czasami przerywała gimnastykę i mówiła:

— Przeczytaj mi ten fragment jeszcze raz.

Niebawem zaczęła mieszać cytaty z Alice Walker i Glorii Naylor ze swymi ulubionymi wersetami z Biblii.

— Boże, synu, o tylu rzeczach nic nie wiedziałam! - powtarzała.

Nolan lubił leżeć na łóżku i przysłuchiwać się, jak razem czytają. W marzeniach to właśnie ich dwugłos kołysał go do snu, ich antyfona oraz śmiech Dede.

Bywało, że wracając ze szkoły, Tacey przynosiła Nadine małe smażone paszteciki, ta zaś wymykała się do łazienki i zjadała je za zamkniętymi drzwiami, żeby Nolan nie widział. Tacey zdawała sobie sprawę, że nie powinna tego robić, lecz nie mogła znieść wiecznego głodu w jej oczach.

— Tylko z dala od cukierniczki — upominała podopieczną.

— Och, ciebie, Tacey, kocham bardziej niż cukier.

— Oczywiście, złotko. A gdyby tak mogła pani obsmażyć mnie w maśle, kochałaby mnie pani jeszcze bardziej.

Dede bardzo lubiła swój nożyk do rozcinania pudeł. Był ostry jak brzytwa, dlatego nie należało go używać do otwierania kartonów papierosów czy słodyczy, rzeczy opakowanych w papier i plastik, które mógł przeciąć równie łatwo jak sam karton. Małe nacięcie na paczce papierosów oznaczało zwietrzały tytoń i pociągało za sobą wypisywanie formularzy zwrotów. Ale Dede owinęła nożyk w niebieską taśmę izolacyjną, którą pożyczyła z niewielkiej wystawy towarów żelaznych, i wypisała na rękojeści swoje inicjały. Używała go do wszystkiego, do rozpakowywania łatwo psujących się towarów jak i do rozcinania pudeł z konserwami.

— Potrzebny mi futerał, Cissy — powiedziała kiedyś. - Pochwa na broń. Podskoczy mi ktoś i pokroję go na plasterki.

Trzymała ten nóż w ręku, gdy rankiem pewnego wrześniowego czwartku w drzwiach samu stanął Billy Tucker. Dede klęczała na podłodze, podłożywszy sobie pod kolana oderwane wierzchy kartonowych pudeł. Od samego rana rozpakowywała towar i stemplowała ceny. Zajmowała się tym pierwszego każdego miesiąca i w czwartki około dziesiątej, wpół do jedenastej przed południem, po późnoporannej fali zwiększonego ruchu. Słodycze i papierosy rozkładała na półkach raz w tygodniu, wyjmując je z pudeł, które już rozpieczętowała i wstawiła do chłodziarki. Chleb przywożono dwa razy w tygodniu, wraz z mlekiem i piwem. Tampaxy, towary łatwo psujące się, prążyńki, krakersy oraz galanteria papierowa, czyli artykuły sprzedające się w drugiej kolejności, dostarczano do sklepu zgodnie z miesięcznym harmonogramem: w czwartkowe poranki i pierwszego każdego miesiąca. W te dni Dede nie wypuszczała nożyka z ręki.

— Billy! - Była zaskoczona, choć jego widok nie sprawił jej przykrości. Mimo że z sobą zerwali, nadal się jej podobał. — Co ty tu robisz?

Billy miał na sobie koszulę roboczą z napisem „Chevron” nad swoim nazwiskiem wypisanym na kieszeni. Uśmiechnął się i wyciągnął małą, srebrzystą trzydziestkę ósemkę.

— Zabiję cię, ty dupo - oświadczył i wymierzył dokładnie między jej oczy.

— Boże, Billy! — Dede zacisnęła dłoń na nożyku, ale od napastnika dzieliło ją ponad sześć stóp i broń była zupełnie nieprzydatna. Obserwowała, jak palce Billy'ego odbezpieczają rewolwer, jak mały metalowy kurek cofa się pod kciukiem, jak z cichym trzaskiem nieruchomieje. Przeniosła wzrok na twarz Billy'ego. — Nie wiedziałam, że jesteś taki wkurzony.

Jego oczy wypełniły się łzami, wargi się rozciągnęły.

— No jasne, że nie wiedziałas, suko. W ciągu kilku ostatnich miesięcy ani razu na mnie nie spojrzałaś. Mówiłaś, że zostaniemy przyjaciółmi. Mówiłaś, że zawsze będziemy dla siebie kimś wyjątkowym, a potem zadzwoniłaś do mnie tylko raz. I tylko po to, żeby kupić trochę trawki! I co mam o tym myśleć, powiedz! — Potrząsnął rewolwerem. — Co mam o tym myśleć?

Dede zaczęła podnosić się z klęczek, ale on potrząsnął bronią jeszcze gwałtowniej.

— Nie ruszaj się! Ani kroku! Spójrz na mnie, ty dziwko! Tylko na mnie patrz!

— Patrzę - odrzekła Dede. - Patrzę na ciebie, Billy. Powiedz, o co ci chodzi. Wysłucham wszystkiego, co chcesz mi powiedzieć. - Nożyk wbiła w kartony, na których klęczała, wbiła go tak głęboko, że ostrze oparło się o linoleum. Nie spuszczać wzroku z Billy'ego, starała się zachować jak najłagodniejszy wyraz twarzy. Musiała coś wymyślić, i to szybko, ale pierwszy raz w życiu nic nie przychodziło jej do głowy.

W ten sam czwartek, parę minut po dziesiątej rano, przed „Biscuit World” zatrzymała się Althea Brithouse. Przyjechała zobaczyć się z Nolanem. Była u niego w domu, i to dwa razy, ale go nie zastała, a z Tacey rozmawiać nie miała zamiaru. Kiedy przeszła jej złość, gdy minęło wzburzenie, zaczęła martwić się o swoją najmłodszą. Przy Tacey jej chłopcy wydawali się tacy nieskomplikowani - mieli dobre charaktery i byli łatwi w codziennym współżyciu. Przypominali swojego ojca i podobnie jak on doskonale potrafili ją oczarować, by dostać to, na czym im zależało. Jamal chciał jej zgody na wczesny zaciąg do

marynarki, David pozwolenia na wyjazd do Atlanty, gdzie mógłby podjąć pracę w centrum ogrodniczym jej brata.

Dzięki Bogu, że David nie chciał przy tym zrezygnować ze szkoły. Sidney nie miał żadnego wykształcenia i gdyby nie był takim dobrym mężem i niezwykle pracowitym człowiekiem, Bóg jeden wie, jak by im się żyło. To po nim David miał smykałkę do ogrodnictwa, tę odziedziczoną po przodkach umiejętność oceniania smaku ziemi, co pozwalało mu określić, jakiego składnika jej brakuje. Dziesięć lat po wypadku, w którym zginął Sidney, jego ogród kwitł jak dawniej, chociaż Althea nie robiła w nim praktycznie nic prócz tego, że od czasu do czasu włączała spryskiwacz.

Szkoda, że Tacey tak mało przejęła po ojcu. Wdała się w matkę, z tym że była inteligentniejsza. Była najzdolniejsza z nich wszystkich i tak uparta, że doprowadzała swoją rodzicielkę do szału.

— Nieporozumienia między matką a córką - zagaіła Althea. - Sprawa skomplikowana, stara jak świat i przewidywalna jak to, że jutro wszędzie słońce. Nie odzywałam się do swojej matki przez piętnaście lat, od chwili gdy skończyłam szkołę, do tygodnia, w którym zginął ojciec Tacey. Co wcale nie znaczy, że się nie kochamy. Kocham swoją córkę równie mocno, jak nie mogę jej teraz znieść, ale przecież nie chciałabym, żeby popadła w tarapaty, i zabiłabym każdego, kto by ją skrzywdził. - Przeszyła Nolana ostrym spojrzeniem.

Skinał głową, niepewny, czy kobieta mu grozi, czy tylko go uspokaja.

— Tacey nie jest kłopotliwa, proszę pani - odrzekł. - Szczerze mówiąc, ratuje mi życie. Pomaga przy mojej mamie i ręczę, że nie opuściła ani jednego dnia szkoły.

— Wiem. — Althea ściągnęła usta i rozejrzała się. — Sprawdziłam. — A jak już zabrała się do sprawdzania, przy okazji zainteresowała się również Nolanem. Z tego, co słyszała, nie był typem, który zawróciłby jej dziecku w głowie. Mówiono, że kocha się w jakiejś dziewczynie, sprzedawczyni z minimarketu. Dowiedziała się też, że jest dobrym chrześcijaninem i odpowiedzialnym człowiekiem, któremu nic nie można zarzucić. Ale ludzie różnie gadają, chciała go zatem obejrzeć.

— Słyszałam, że już tu nie pracuje, że zatrudnia ją pan w domu.

Tacey podjęła pracę w cukierni Reitowera, by zarobić na college, i choć Althea wiedziała, że córka jest wystarczająco bystra, aby zdobyć stypendium, zdawała sobie sprawę, iż samym stypendium wszystkiego nie opłaci. Tacey wyłożyła jej starannie opracowany plan: chciała założyć konto, na które Althea obiecała regularnie wpłacać. Pieniądze były jedną ze spraw, o które się kłóciły, pieniądze oraz to, co Althea rozumiała, a czego nie. Czasami Tacey traktowała ją tak, jakby matka była głupia jak but i jeszcze mniej godna zaufania.

— Pracując u mnie, zarabia tyle samo co tu. — Nolan myślał o braciach Tacey. Tacey zaklinała się, że są ogromni. Ogromni jak futboliści i bardzo szybcy. Nolan nie chciał, żeby Althea mylnie zrozumiała łączący ich układ. — A nawet trochę więcej. I dobrze radzi sobie z mamą, co, muszę dodać, jest prawdziwym cudem. Mama... hmm, po ostatnim wylewie mama bardzo się zmieniła.

Czuł, że na twarz wpełza mu rumieniec, ale nic nie mógł na to poradzić. „Zmieniła się” nie było najtrafniejszym określeniem. Przemiany, jakie w niej nastąpiły, nie oddałoby nic poza powieścią. Nadine to doprowadzała ich do szaleństwa, to znów rozczulała. Była pochłonięta córką Althei, co jednak nie przeszkadzało jej wprawiać ich od czasu do czasu w przerażenie niewiarygodnie niegrzecznymi uwagami pod adresem dziewczyny, które wypowiadała głosem tak słodkim, jakby wyznawała miłość.

— Wylewy są okropne. — Althea udała, że nie dostrzega rumieńca na jego twarzy. Chłopak wstydził się za swoją matkę i nie widział w tym nic dziwnego. — Mój dziadek wiele się po wylewie nacierpiał. Pańska mama bardzo unieruchomiona?

— Owszem. Złamała biodro. Po śmierci mojego ojca przeżywała ciężki okres.

Nolan zaczynał się odprężyć. Na podstawie tego, co mówiła Tacey, wyobrażał sobie, że jej matka jest wcieloną diablicą, tymczasem ta otwarta kobieta przypominała mu matkę Dede. Tak samo jak Delia, była pełna czujnej rezerwy i najwyraźniej bardzo się córką przejmowała.

— Tacey wspaniale się z mamą dogaduje. Jak już mówiłem, po prostu ratuje mi życie.

— No tak. — Althea przytuliła do brzucha książkę w miękkiej

okładce. — Chciałam się tylko upewnić, czy u niej wszystko w porządku. Uciekła z domu tak szybko, że nie byłam pewna, gdzie wylądaje. Tacey ma charakter. Pewnie wzięła go po mnie — dodała z uśmiechem.

— Tak, proszę pani. Niewątpliwie wie, kim jest. I czego chce.

— O tak, z pewnością. — Althea znów się uśmiechnęła. — Niech pan jej nie mówi, że przyszedłam z panem porozmawiać. Lepiej niczego nie zmieniać. Wróci, kiedy będzie na to miała ochotę. Pewnie dopiero wtedy, gdy zechce mi pokazać, że coś osiągnęła, pochwalić się, jak dobrze jej poszło. Jak tylko dostanie ten wielki czek ze stypendium, wpadnie mi go pokazać.

— Tak, proszę pani.

Był wyczerpany. Kiedy matka Tacey wyszła, przeżył największy w swojej karierze natłok klientów i sprzedał wszystko szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Nawet jego tata nigdy tak wcześniej nie zamykał. Aż dwukrotnie spojrzął na zegarek i aż dwukrotnie potwierdził swój rekordowy wyczyn. Była dopiero jedenasta, a on mógł już iść do domu.

— O kurczę! - westchnął radośnie.

Dla odmiany mógł nawet uciąć sobie drzemkę. Na rogu Starrett i Terrill na chwilę przystanął. Zawsze zaglądał w czwartki do samy, zamieniał kilka słów z Dede, a potem brał puszkę lemoniady i kilka ulotek. Nadine i Tacey lubiły przeglądać reklamy. Zapowiadały, że jak tylko Nadine się wzmocni, wybiorą się na pchli targ. Niewiele za tym przemawiało, ale Nadine uwielbiała czytać listy rzeczy wystawianych na sprzedaż.

— Pełna wyprawka dla niemowlęcia — czytała. — Oho, w tamtym domu nie będzie już więcej dzieci. — Wyrafinowany sprzęt stereofoniczny, stoły do bilarda oraz „jak nowe” przyrządy do gimnastyki skłaniały ją do rozważań, kto też w dzisiejszych czasach sprowadza się do Cayro. — Tacy, co to kupują rzeczy, których nigdy nie będą używać. Ludzie z Atlanty i Nashville, oto, kogo dostajemy. Jeszcze kilka lat i nikt tego miasta nie pozna.

Nolan otarł kark i przekrzywił głowę w prawo i w lewo, wsłuchując się w potrzaskiwanie mięśni. Mama miała rację. Wszystko tak szybko się zmienia. Bywały takie dni, kiedy

ziemia uciekała mu spod stóp. Powinien pójść do domu, pocwiczyć, wziąć gorącą kąpiel i chwilę poleżeć. Trochę odpocząć. Do sklepu wpadnie później, kiedy nie będzie już taki zmęczony. A jeśli uda mu się porządnie wyspać, spróbuje zagrać tę pościelowe, którą przysłała z Kalifornii Rosemary, przyjaciółka Delii - Tone Kwas, duet na klarnety. Jeśli znajdzie czas, zagra najpierw jedną, potem drugą partię. Zerknął na parking przy samie i zobaczył tam tylko jedną furgonetkę. Miała znak Chevronu na drzwiach.

— Billy Tucker. Eee tam, innym razem. — Już prawie mijał sklep, gdy przypomniał sobie, jak zajęta bywała Dede w czwartkowe popołudnia. Znów poruszył głową. — No dobra — rzucił furgonetce Tuckera i wjechał na parking. Wsiadł z wozu i ruszając do sklepu, ujrzał zieloną koszulę stojącego przy drzwiach Billy'ego.

Zdażył zrobić trzy kroki, gdy zauważył rewolwer. Przystanął. Billy Tucker stał w sklepie Dede z rewolwerem w ręku.

- O Boże! - szepnął Nolan.

Rozejrzał się szybko. Zerknął na ulicę i w stronę domu Delii. Nie zobaczył nikogo, w pobliżu nie było ani jednego samochodu. Popatrzył na sklep. Billy zrobił krok do przodu. Luźną rewolweru kierował pod kątem w dół. Nolan podszedł nieco bliżej i na podłodze ujrzał Dede. Z twarzą bez wyrazu, wpatrywała się w Tuckera.

Ktoś krzyknął i Nolan aż drgnął. To wrzeszczał Billy. Rewolwer w jego dłoni trząsał się i chwiał, tak samo jak głowa Billy'ego. Zza szklanej fasady sklepu dochodziły bełkotliwe, niezrozumiałe słowa. Przekleństwa. Tucker kłął, głosem martwym i monotonnym. On zwariował — pomyślał Nolan. - Billy Tucker zwariował i chce zabić Dede.

— Powiedziałem, nie ruszaj się, zdiro! — Słowa były dziwnie stłumione, rozciągnięte jak guma i pobrzmiwające echem, jakby dochodziły z końca tunelu.

Nolan podszedł do drzwi ostrożnie i cicho. Na rosnącym przy krańcu parkingu drzewie śpiewał ptak. Dede z nieruchomą twarzą patrzyła na Tuckera. Ten opuścił broń i trzymał ją teraz przed brzuchem, lecz wciąż mierzył w Dede.

- W ogóle ci na mnie nie zależy! — wrzasnął. — Jak zawsze myślisz tylko o własnym tyłku!

Nolan oparł dłoń na prawym skrzydle drzwi. Poczł nagły zawrót głowy. Spojrzył w dół i zobaczył swój cień, nieduży, przygarbiony, ledwie widoczny w słonecznej smudze przecinającej szklane drzwi. Nie miał pojęcia, co zrobić. Zginę — przemknęło mu przez myśl.

Otworzył drzwi.

Billy nie widział nic i nikogo prócz Dede. Czekał z nadzieją, że zmieni jej się twarz, że zognomnieją jej oczy i wypełnią się łzami, że Dede wykrzywi usta. Że jakoś zareaguje. Chciał zostawić na niej swoje piętno, zanim ją zabije. Chciał wiedzieć na pewno, że dziewczyna się boi i zdaje sobie sprawę, kto ją tak dręczy. Przedtem myślał, że w przyszłym życiu będzie ostrożniejsza, teraz uznał, że to bez sensu. Nie, Bóg wtrąci ją do piekła i już nie wypuści jej stamtąd.

Od trzech tygodni łykał metadrynę. Od tygodnia nie spał dłużej niż dwie godziny dziennie. Wiedział, że szef wyrzuci go z roboty, że ojciec uważa go za skończonego głupca. Margaret Grimsley powiedziała mu, że jest chory na umyśle i brzydki. Matka proponowała, żeby porozmawiał z pastorem, ale tego ranka Billy spojrzył w lustro i z kryształową przejrzystością ujrział w nim rozwiązanie wszelkich swoich problemów. Zastrzeli ją. No jasne. A potem siebie. Wtedy sobie pośpi. Zaśnie na wieki. Chcę zasnąć - pomyślał. — Boże, tak bardzo chcę zasnąć. Na plecach poczuł podmuch powietrza — ktoś otwierał drzwi.

— Musisz się zdecydować, co w życiu cenisz najbardziej — powiedział ojciec Nolanowi o czwartej rano na kilka miesięcy przed śmiercią. Byli w cukierni, a tuż przedtem piece zadudniły głucho na znak, że gaz już płynie i za chwilę zaczną rozgrzewać ruszty.

- Musisz się zastanowić, dopóki masz jeszcze czas, ponieważ bywa i tak, że życie gwałtownie przyspiesza, a wtedy nie zdążysz nawet pomyśleć. Tak było z twoją mamą i ze mną. — Pan Reitower pochylił się nad przyprószonym mąką kontuarem i patrząc na syna, powoli skinął głową. - Wiedziałem, jaka jest. Wiedziałem, że ma charakter. Wiedziałem, że nasze małżeństwo nie będzie usłane różami, mimo to poświęciłem



sporo czasu, żeby uważnie się jej przyjrzeć. Poznałem ją. Rozumiesz, co mówię? - Skinął głową raz, acz dobitnie, jakby wszystko to, co przed chwilą powiedział, było całkiem jasne. — Wiedziałem, że zawładnie mną bez reszty i byłem na to przygotowany. Znać ukochaną równie dobrze jak siebie samego — to wspaniałe uczucie. Ale żeby ją dogłębnie poznać, najpierw trzeba poznać siebie. Musisz wiedzieć, czego potrzebujesz. Mnie potrzebny był ktoś taki jak twoja mama. — Uśmiechnął się szeroko. — Ktoś, kto przykopie mi w tyłek i popchnie do przodu. A ona robiła to cały czas. Bóg mi świadkiem, że to robiła.

Nolan skinął głową, choć trochę niepewnie. Czy znał siebie dogłębnie? Czy wiedział, czego mu trzeba? Nie miał co do tego pewności, ponieważ to, czego pragnął, zawsze leżało poza jego zasięgiem. Czy Dede była kobietą dla niego? Związku usłanego różami na pewno by nie stworzyli, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie, Dede byłaby twarda i wymagająca. Wyglądała na taką, co to kopałaby go w tyłek i popychała do przodu, to pewne. Czy tego potrzebował? Nieważne, czego chciał, ważne, czy tego potrzebował?

Tuż przed wejściem do sklepu, zanim stanął za Billym Tuckerem, w jego głowie odegrała się tamta rozmowa z ojcem. Pogodny ton jego fatalistycznej oceny, nieuchronna pewność i smutek wypływający ze znajomości siebie — wszystko to przewinęło się przed oczyma jego duszy i uległo zmianie. Właśnie wtedy po raz pierwszy poczuł, co warte jest jego życie i za co gotów je oddać. Możliwe, że Dede Windsor nigdy nie pokochałaby go tak bardzo, jak on kochał ją, lecz miłość do niej wydobywała z niego to co najlepsze. Kształtowała go, nadawała sens jego życiu. Miłość do Dede uprawomocniała decyzje, jakie podjął co do swojej muzyki, co do matki i Cayro. Dede była jego miarą, celem i standardem, jaki sobie narzucił. Jego głęboką wiedzą. Najcenniejszym skarbem. Gdyby Billy Tucker go zabił, warto byłoby zginąć, żeby ją uratować.

— Wiara we własne siły — mówił później Emmet. — Nie wahałeś się, co, synu?

— Nie, proszę pana. — Nolan cały się trząsł, choć próbował to ukryć. Zaczął się trząść, gdy wszystko się skończyło, gdy Billy upadł na podłogę, przyciskając ręce do ust, z których

płynęła krew. Broczył krwią również z podudzia, gdzie zranił go podczas szamotaniny nożyk Dede.

— Otóż to, właśnie tak się to robi. — Emmet pisał coś w notesie i mówiąc, potrzasał głową. — Trzeba działać szybko, bez wahania, powalić ich błyskawicznie i podstępnie. I nic nie może ci wtedy przeszkodzić. Według mnie zrobiłeś dokładnie to, co trzeba. Choć z drugiej strony wchodzenie do sklepu było czystym szaleństwem. Rewolwer był nabity, wyglądało na to, że Billy jest gotów go użyć. Nic bardziej zwariowanego nie mogłeś wymyślić, ale skoro już się zdecydowałeś, cóż, zrobiłeś to, jak trzeba.

Zatrzasnął notes na otwartej dłoni.

— Rozumiesz, co mówię?

Nolan kiwnął głową. Myślał o tacie, o tym, że ojciec zadał mu to samo pytanie. „Rozumiesz, co mówię?” Tak, jasne, że rozumiał. Spojrzał na swój samochód. Siedziała w nim Dede. Paliła papierosa za papierosem i drżała tak gwałtownie, jakby demonstrowała swoją wersję tańca shake. Boże — pomyślał. — Co by się stało, gdybym tam nie wszedł? Co by się stało, gdybym pojechał do domu? Przeszył go dreszcz.

Emmet uśmiechnął się wyrozumiale.

— Wszystko w porządku, synu. Nie ma się czego wstydzić. Na twoim miejscu też miałbym dreszcze. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem wycelowaną w siebie broń, zwróciłem cały lunch. Jedź do domu. Wszystko będzie dobrze. Zaopiekujemy się naszym małym Billym. Nie będzie już wymachiwał tą pukawką. Miał taką minę, jakby czegoś się dziś nauczył, a jak wnieśli go do karetki, od razu zemdłał. Wyglądał tak, jakby od roku nie spał.

Dede siedziała w samochodzie Nolana i paliła marlboro. Spoglądała na korony drzew, a na kolanach czuła ciepło słońca. Już dwukrotnie rozmawiała z Emmetem i powoli zaczynała tajać. Nolan, niech mu Bóg wynagrodzi, przyniósł jej coca-colę i odszedł. Potem, kiedy w sklepie pojawił się zmiennik, żeby zastąpić ją za ladą, przyniósł jej nawet wydruk kasowy do podpisania. Mądry chłopak — pomyślała. Jeśli chodzi o wydruki, nigdy nikomu nie ufała. Patrzyła za oddalającym się

Nolanem. Wydawało się jej, że wygląda jakoś inaczej. Czy dawniej nie był trochę niższy? Kiedy wrócił, zaproponowała mu łyk coli.

— Już w porządku? — spytał.

— Nie. — Sięgnęła po kolejnego papierosa i odpaliła go od niedopałka starego. — Omal nie umarłam.

— Wiem. — Kiwnął głową.

Pociągnęła colę i skrzywiła się. Pijała jedynie dietetyczną, musiała mu to powiedzieć na przyszłość. Znowu na niego spojrzała. Siedział i przyglądał się jej bez słowa... bynajmniej nie cielecymi oczyma. Wprost przeciwnie, oczy miał dorosłe, spokojne i uważne.

— Nie bałeś się, że ciebie zabije? — spytała.

— Za bardzo się przejmowałem, że może zabić ciebie. — Popatrzył na ulicę. — Dzwoniłem do domu. Nadine powiedziała, żebym przywiózł cię do nas. Mówi, że ma piwo. Jeśli chcesz.

— Piwo. — Obserwowała jego twarz. Jego usta. Przedtem zawsze były miękkie, wargi zawsze miał mokre i wydęte, a skórę nad nimi wilgotną. I te oczy. Spojrzała mu w oczy. Ciemnobursztynowe i głębokie jak noc, przypatrywały się jej badawczo. Usta miał nieruchome, zamknięte i zdecydowane. Boże — pomyślała. — O kurczę.

— Chcę czegoś więcej niż piwo.

— Mógłbym ci to załatwić.

— Mógłbyś?

— Wszystko, czego byś tylko zechciała.

— Na pewno. — Spojrzała na jego ręce. Duże i silne, miały długie palce i spoczywały swobodnie na wystrzępionej gumie pokrowca okrywającego kierownicę. Pamiętała, w jaki sposób trzymał nimi Billy'ego, jak mówił mu do ucha. „Mogę cię zabić - powiedział. - Nie zmuszaj mnie do tego”.

— Cieszę się, że go nie zabiłeś — szepnęła.

— Nic mu nie będzie. — Wyprostował palce i przycisnął dłonie do kierownicy. — Odbiło mu. Z czasem wróci do siebie.

— Uhm, pewnie tak. Albo nie. W każdym razie żyje.

— Tak. — Nolan głęboko odetchnął i rozluźnił ramiona. Poprawił się w fotelu i potrząsnął głową. — Tak, i on, i my. — Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się. Odpowiedziała mu uśmiechem.

— Nolan? — Dziwnie to zabrzmiało, ale dobrze. Tak, dobrze się to imię wymawiało. — Nolan, czy ty się kiedykolwiek upijasz?

Zawahał się.

— Na ogół nie — odparł. - Ale teraz mógłbym.

— Ja też. Z radością urzęnąłabym się jak świnia.

— A chcesz?

— Chcę.

Powiedziała to tak, że przeszedł go dreszcz, że poczuł, jak coś zawibrowało mu pod sercem. Patrzyła na niego oczami ciemnymi i badawczymi. Tak, nareszcie go zobaczyła. Zobaczyła go jak nigdy dotąd. W tej chwili nie miało dla niej znaczenia, że jest od niego starsza, a on jest sąsiadem z ulicy, z którego naśmiewała się od pierwszego spotkania. Nareszcie widziała go wyraźnie.

Bez uśmiechu popatrzył na nią tak samo, jak ona patrzyła na niego, i jego otwarta twarz pojaśniała.

— Dobrze - odrzekł. - Dobrze. Upijmy się.

Kiedy Tacey była małą dziewczynką, zanim jej bracia wyszli z domu i zanim przestała odzywać się do matki, Brithousowie trzymali psy. Althea hodowała je i sprzedawała. Głównie psy myśliwskie, beagle i mieszańce cenione za wierność, wielkość i łatwość układowania. W tamtych czasach po podwórku ciągle pętał się psi drobiazg i Tacey czasem marzyła, żeby znowu stać się pięcio- czy sześćioletnią dziewczynką i turlać się po trawie z piszczącymi maleństwami w ramionach.

W tygodniach, które nastąpiły po próbie zabicia Dede Windsor przez Billy'ego Tuckera, ona i Nolan zachowywali się jak szczenięta małej Tacey: wzrok mieli rozmarzony, lecz zawsze wyczekujący, jedno aż podskakiwało ze szczęścia na widok drugiego. Dostrojeni do siebie, wibrowali w tym samym rytmie i nie ulegało wątpliwości, że nastąpiła ich pora. Przywodzili Tacey na myśl psy i dzieci latem. Te ich wiecznie wywieszone języki, te włosy, z których bił zapach słodki i drażniący zarazem, niczym cukier, siuski i miłość. Czując ich zapach, Tacey mimowolnie wybuchała śmiechem, lecz czasami, gdy natykała się na wtuloną w siebie parę, coś gwałtownie kłuło ją w serce, a wów-

czas traciła całą energię i odnosiła wrażenie, że jej życie jest bezużyteczne i niepewne. Nigdy dotąd nikt tak na nią nie oddziaływał, nikt nie przyspieszał bicia serca ani nie wpływał na rytm jej oddechu. Nikt nie natchnął jej nigdy myślą, żeby wszystko zmienić. Obserwacja tych dwojga, którzy w jednej chwili przeszli całkowitą przemianę, sprawiła, że wszystko, czego dotąd nauczyła się w życiu, stało się pod znakiem zapytania. Wyciągnęła kilka swoich opowiadań i jeszcze raz je przejrzała. W domu przesiąkniętym fizycznym pragnieniem wydały jej się płytkie i bez życia. Przewracając się na materacu, usiłowała sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy człowiek ulega przyprawiającej o zawrót głowy namiętności, takiej jak ta, która ogarnęła Nolana. Świadomość, że na świecie są takie rzeczy, którym nie potrafi jeszcze sprostać, przytłaczała ją, odbierała pewność siebie i napawała lękiem.

Co gorsza, Tacey zupełnie nie wiedziała, co myśleć o Dede, o tej trochę zwariowanej białej dziewczynie, która bez reszty zawładnęła sercem Nolana. Dede nie przypominała romantycznych heroin, o których Tacey czytała. Chuda, bez makijażu, prawie zawsze spocona, ubrana w dżinsy i biały podkoszulek, była bezwstydna, uszczypliwa i najwyraźniej równie zaskoczona tym, co się działo, jak Tacey. Ku radości Nadine nie wymykała się z domu po kryjomu ani nie udawała, że nic się nie stało. Wprost przeciwnie, wręcz chełpiła się nowym związkiem, wychodząc z pokoju Nolana ze zmierzwionymi włosami i z butami w rękę wprost na przygotowującą śniadanie Tacey. Pachniała delikatną wilgocią i dojrzałym owocem. Oczy miała senne, rysy wygładzone zadowoleniem. Chichotała na widok matki Nolana, a kiedy Tacey marszczyła czoło, tylko wzruszała ramionami, wciągała spłowiała dżinsową kurtkę i podskakując w jednym buciu, wychodziła z domu.

- Bezwstydna hołota - mówiła Tacey, a Nadine radośnie kiwała głową.

- O, tak - potakiwała. - Hołota.

Tacey zaczęła nazywać Dede „dzikuską” i wymawiała to słowo, ordynarnie przeciągając sylaby. Wróciwszy po południu ze szkoły, wchodziła do łazienki, podnosiła z podłogi wilgotne szorty Nolana, sznurowała usta i głośno pociągała nosem.

- Oho, zajeżdża tu dzikuską - mówiła.

Nadine chichotała, a Nolan czerwieniał. W przeciwieństwie do Dede nie był pewien, czy powinien przyznawać się do tego, co się między nimi dzieje. Wciąż uważał, że lepiej by było zachować dyskrecję, ale gdy tylko czuł zapach Dede, mąciły mu się myśli, a mózg tonął w obłoku szczęśliwości. Wówczas nachylał się ku niej i natychmiast tracił swoje przekonania. Byli zakochani. Wszystko miała załatwić miłość.

Dede odcisnęła swe piętno w całym domu. W koszu na śmieci pojawiły się puszki po piwie razem z wilgotnymi paczkami po papierosach i zużytymi prezerwatywami. W łazience na górze stał zestaw do makijażu. Był tam również komplet grzebieni, nowa szczoteczka do zębów, trzy kolory żelu do włosów i małe pudełko nabojów do pistoletu, które podesał jej Craig Petrie, jak tylko usłyszał o incydencie w sklepie. Dede przebywała u Nolana bez przerwy: w porze lunchu, po pracy, wczesnym wieczorem, późną nocą. Przychodziła po północy, żeby przespać się po nocnej zmianie, wstawała rano o czwartej, żeby wypić z Nolanem kawę przed jego wyjazdem do cukierni, a potem wracała do łóżka, gdzie leżała, dopóki Tacey nie zaczęła kręcić się po domu. Dom przesiąkł zapachem gorąca, potu i wilgotnego ubrania. Nolan zmieniał się z dnia na dzień. Twarz pęczniała mu od zmysłowej rozkoszy, brzuch i uda szczuplały, bo wciąż zapominał o jedzeniu, spaniu i o ustalonym harmonogramie zajęć. Bywały dni, gdy zapominał nawet o grze na klarncie i aż dwa razy spóźnił się z matką na badanie.

— Przepraszam - mówił z zaczerwienionymi koniuszkami uszu i z ledwie o ton jaśniejszymi od uszu policzkami. Robił wrażenie osoby w stanie wiecznego szoku, wargi miał pogryzione i spuchnięte, oczy zażawione, źrenice ogromne. Każde zdanie zaczynał od „przepraszam”, choć nie było w tym słowie odrobiny żalu. Pływał w oceanie, który sobie sam stworzył, unosił się na falach pragnienia i rozkoszy, składał matce radosne obietnice i płonał ze wstydu pod każdym spojrzeniem ciemnych oczu Tacey.

— Przepraszam, zaraz się do tego wezmę. Przepraszam, zapomniałem. Przepraszam, byłem zajęty.

Bywał w domu tylko wtedy, gdy była tam Dede. Jeśli nie harował w cukierni ani nie spał, przesiadywał u Delii, jedząc wybrane przez Dede warzywa, pomagał jej w samie rozłado-

wywać towar albo ukrywał się w maleńkiej, srebrzystej przy-  
czepie mieszkalnej — Dede wynajęła ją na parkingu - gdzie  
zawsze spędzali parę godzin. Gdziekolwiek się ruszył, ciągnął  
za sobą zapach fizycznego pożądania.

— Do licha, mamó - szepnął pewnego wieczoru do Nadine  
z oczami pełnymi łez. — Nie wiedziałem, że może tak być. —  
Patrzył na nią, dopóki nie poklepała go po głowie.

— To siła życiowa - odrzekła. - Dzięki niej tu jesteśmy.

Tacey spojrzała na nich ze złością. Siła życiowa. I dlatego  
musiała tak ciężko harować? Żadna siła życiowa nie była wy-  
starczającym uzasadnieniem dodatkowej pracy, jaka na nią  
spadła, bo przecież samego prania zbierało się tyle, że musiała  
robić je aż dwa razy w tygodniu, inaczej cały dom by prze-  
śmierdł. Nie śmiała zatrzymywać się dłużej w szkole, żeby  
porozmawiać z nauczycielami bądź z kolegami, ani też wracać  
do domu spacerkiem, układając w myślach różne historie. Nie  
było żadnej gwarancji, że Nadine nie siedzi sama, usmarowana  
od stóp do głowy słodkim tłuszczem.

— Rozumiem — poskarżyła się kiedyś Nolanowi — przeżywasz  
jedną z największych miłości pod słońcem i zaraz znowu pad-  
niesz na łóżko ze swoją królową niebios. Ale czy mógłbyś  
przedtem załatwić sprawunki w spożywczym?

Spiekł raka i obiecał poprawę, ale szybko zapomniał o przy-  
rzeczeniu — wystarczyło, że Dede poprosiła, by wybrał się z nią  
do Goobera na talerz smażonych warzyw.

Wróciwszy ze szkoły pewnego popołudnia, Tacey zastała  
rozpromienioną Nadine na podłodze z kawałkiem suszonej  
wołowiny w ustach.

— Dede mi dała — poinformowała ją Nadine,

Tacey wciągnęła ją z powrotem na wózek. Nadine zamlaskała  
i uśmiechnęła się do rozgniewanej opiekunki.

— A Nolan pewnie powiedział, że wołowina pani nie za-  
szkodzi — prychnęła Tacey.

— Powiedział, że jest lepsza od smażonych pasztecików. —  
Nadine była na tyle przyzwoita, że chociaż się zawstydziła.

— Czyżby? — spytała Tacey z nieprzeniknioną twarzą. —  
Czyżby?

Oczy zaszyły jej łzami i Nadine wyciągnęła do niej rękę  
z kawałkiem wołowiny.

— Nie złość się - poprosiła, opierając głowę na brzuchu dziewczyny.

— Och, niech pani nie płacze. - Tacey poklepała ją po głowie. - Nie gniewam się. Wcale się nie gniewam.

Przytuliła ją mocno i poczuła zapach solonego mięsa i jabłkowego szamponu. Jestem zazdrosna — uświadomiła sobie. — Jestem zazdrosna o coś, czego nawet nie chcę. Pewnie tak ludzie tracą zmysły. Po raz pierwszy od wielu miesięcy stanął jej przed oczami obraz matki, gdy ona, wzburzona Tacey, wrzucała do torby ubrania. Pod maską gniewu na matczynej twarzy widniała niewyobrażalna cierpliwość. Ta cierpliwość pobudziła ją wtedy do jeszcze większej wściekłości, lecz przecież mama kochała co najmniej dwa razy: na pewno tatę i jeszcze tego głupka, z którym teraz mieszkała. Ciekawe, co by powiedziała o tym, co się tutaj dzieje - zastanowiła się.

Nadine pociągnęła nosem i oplotła ramionami jej biodra.

— On już o nas w ogóle nie myśli - wymamrotała w jej sukienkę.

— O pani myśli na pewno — zaprotestowała Tacey, gładząc splecione włosy kobiety. — Miłość do mamy jest wieczna. Tylko inna.

Nadine spojrzała na nią z poważną twarzą.

— To prawda — odrzekła. - To prawda. — I uroczyście włożyła sobie do ust nadzuty pasek suszonego mięsa.

Tacey uśmiechnęła się wbrew sobie. Nadine odpowiedziała jej po chwili psotnym i szczerym uśmiechem. Jak mała dziewczynka.

## 17

Ziemna kołyska, kraina Boga i kuchenne podwórko diabła. Cicho nucąc te słowa, Cissy wciągnęła do płuc chłodne, wilgotne powietrze podziemi. Od czterech godzin schodziły w głąb Little Mouth. Była szczęśliwa i swobodna w swoim ciele. Nad jej głową, miast kopuły nieba, wisała



kopuła ziemi, tabernakulum z błota, ze skały i startego na proch kamienia, bezpiecznego i uspokajająco znajomego. Uwielbiam to — pomyślała. — Tu, na dole, wiem, kim jestem i na co mnie stać. To najlepsza kryjówka, tajemna melina nad melinami. Tu jest moje miejsce.

— Chyba jestem jaskiniową — stwierdziła. I ciężko stukniętym dzieckiem Boga - dodała w duchu, śmiejąc się w głos.

Mim zmarszczyła czoło.

— Cieszę się, że znowu tu przyszedłam — powiedziała Cissy, nie kryjąc upajającego szczęścia.

Mim uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Ona tego nie kocha tak jak ja - pomyślała Cissy. — Ona robi to dla przygody. Gdyby były tu góry, uprawiałaby z Jean wspinaczkę, ale ponieważ żadnych gór tu nie ma, chodzą ze mną po jaskiniach. Z ich trzech tylko ona, Cissy, stanęłaby na głowie, żeby znaleźć jakąś dziurę w ziemi.

— Faj! - Jean strząsnęła z rękawiczki papkę z gęstych, miękkich glonów. - Jakieś świństwo.

— Odchody nietoperzy - domyśliła się Mim.

— Albo szczurów. - Cissy wskazała porwane i rozrzucone szczątki papierowych toreb w zagłębieniu korytarza. Małe zwierzęta żyjące tuż pod powierzchnią urządziły w jaskini swoją kryjówkę. Ściągały do niej śmieci, żeby się w nich ogrzać, i zostawiały ślady na miękkim podłożu. Wszędzie tam, gdzie robiło się odrobinę cieplej, rosły glony i grzyby. Jaskinia była siedliskiem rozkładu. Pozostawiony na skale pot obrastał warstwą bakterii, które się rozmnażały, nie zważając na ziąb. Pod ziemią wszystko ulegało przemianie, tak samo jak na powierzchni. Bez słońca i osuszającego ciepła skały zaczynały fosforyzować, dlatego pozostawione na nich ślady dłoni i miejsca, gdzie zaciskały się palce, jaśniały świecącym blaskiem. W niżej położonych korytarzach bakterie żywiły się kawałkami kanapek, marynat i masła. Ich pozostałości świeciły i rozrastały się jeszcze przez wiele lat po odejściu grotolarzy. Cissy uważała, że to czarujące. Czasami unosiła ręce i na skalnym stropie zostawiała ślad spoconych dłoni z nadzieją, że zachowa się tam długo po jej wyjściu.

— Nie cierpię tego świństwa — utyskiwała Jean. Zeskrobała guano, pocierając butem o ścianę.

— Gówienka. - Mim nazywała to gówienkami. - To tylko gackowe gówienka.

Ale to nie gówienka Cissy widziała w jaskini. Dopełnienie, powolną przemianę tego, co ludziom zdawało się znajome - to na dole widziała. Pod ziemią wszystko dojrzewało. W ciemności zachodziły powolne, lecz głębokie zmiany. Mocno zgnieciona papierowa torba tworzyła wór, w którym blade jabłka nabierały aromatycznej czerwieni. Niezwykle gorąco jej ciała wysuszało błoto na dżinsach, tak że kruszyło się i odpadało płatkami od bioder i ud, znacząc na skałach trasę, którą przeszła.

Im głębiej wchodziły, tym bardziej niefrasobliwa się stawała. Zsuwając się po skałach i kalecząc sobie łokcie i kolana, nie czuła się ranna, tylko jeszcze potężniejsza. Rany nie powstrzymywały jej przed dalszym marszem, wprost przeciwnie. Była silniejsza od skał, bardziej uparta niż ruchomy piasek i zwały drobnych kamieni przemieszczających się podziemnymi strumieniami. Wypełzając z niżej położonych szybów, drżąc z pełnego satysfakcji wyczerpania, wiedziała, że dokonała czegoś niezwykłego. Ilekroć wyczołgiwała się na światło, była inna, odmieniona. Jakby przejście przez ciemność ofiarowywało jej to, czego zawsze pragnęła: konfrontację z Bogiem w ciele kobiety, jądro matkowania, stłuczone serce ziemi.

Jaskinia Little Mouth nie uchodziła za nic szczególnego. Wszyscy mówili tylko o Paula's Lost.

— No tak, te przyjęcia — rzekła Jean, kiedy Cissy opowiadała im o rodzinie Nolana.

Nie ulegało wątpliwości, że w przyjęciach Brewstera uczestniczyli tylko nieliczni z tych, którzy tak głośno o nich rozprawiali — byli na jednym, może na dwóch, ale na pewno nie na tak wielu, jak twierdzili. Kiedy dziewczęta minęły znane Cissy korytarze, okazało się, że Little Mouth jest bardziej imponująca, niż mówiono.

— Spójrz, Cissy — powtarzała Mim, gdy obchodziły końcowe fragmenty Little Mouth. — Popatrz tylko na to!

I Cissy patrzyła. Zadzieriała głowę i odginała się w stronę smugi światła, tak żeby obmyła ją jasność dobywająca z mroku wapienne krawędzie nakładających się na siebie skalnych

warstw. Wysokie, migotliwe, ostro nachylone zbocze górowało nad nimi, lśniąć płatkami miki, niczym rozbite lustro na kamiennej posadzce. Oglądanie skał przypominało patrzenie w niebo. Widziały tam twarze, miski i kielichy, anielskie skrzydła i smocze zęby.

- Ktoś mógłby tu zbić niezły szmal - powtarzała Jean.

- Gdyby potrafił ją otworzyć i okiełznać. Urządzić tu podziemny Disneyland, jak przy wodospadzie Ruby, z tymi wszystkimi kolorowymi lampkami i betonowymi ścieżkami.

Cissy obserwowała, jak pulsujący snop światła wydobywa z mroku groszkowate ziarenka żwiru, ił i muł. Powietrze było przesycone ostrym zapachem gorzkiej wody. Na górnej wardze Cissy osiadła warstwa białego jak kość pyłu. Dziewczyna musiała wciąż ocierać usta i popijać z przytroczonej do biodra manierki. Mim też skarżyła się na pył. Jean pożyczyła od Cissy manierkę. W końcu musiały zatrzymać się na odpoczynek. W tchnących świeżością cieniach między skałami wędrowała dziwna, drżąca poświata. Cissy nie miała pojęcia, co to jest. Na tej głębokości nie było przecież robaków, motyli ani ptaków, nie było też żmij czy innych niebezpiecznych stworzeń. Niebezpieczne mogły okazać się jedynie mikroorganizmy, pradawne wirusy czekające na ciepłą krew i ludzką głupotę.

- Niech to diabli! — zakląła Jean. — Obtłukam sobie wszystkie mięśnie bioder i barków.

- To nie objajaj się po ścianach — zażartowała Mim.

Jej łagodny kontrakt najpierw zawibrował, potem odbił się echem w muszli brzucha Cissy. Było to uczucie ledwie wyczuwalne, lecz cudowne i tajemne. Sprawilo, że Cissy miała ochotę się uśmiechnąć, lecz miast tego, cichutkim, cichuteńkim szepciem powtórzyła za Jean:

- Niech to diabli.

- Spójrzcie tam, w górę. — Mim wsunęła rękę w snop światła i wskazała migotliwą ścianę z kamienia i krystalicznego boru. - Wygląda jak katedra. Do licha, jak prawdziwa katedra.

Cissy skinęła głową i uświadomiła sobie, że latarka jest skierowana w inną stronę i że Mim nie mogła tego skinienia zobaczyć.

- Jak kościół — szepnęła. - Jak sekretna świątynia.

Najbardziej ze wszystkich jaskiń Cissy kochała Little Mouth.

Na starych mapach była tylko małą, wąską pieczarą, lecz w ciągu ostatniego dziesięciolecia przebito się z niej do wielkiej groty. Mała pieczara prowadziła do większej, do głębokiego zapadliska za płytką bruzdą, zapadlisko zaś rozwidłało się na szereg korytarzy, z których każdy kończył się pieczarą. Powstał w ten sposób labirynt grot i przełazów, który kusił dziewczęta ciągiem dziwacznych podejść i zejść.

— Moim zdaniem ona musi łączyć się z Paula's Lost — powtarzała uparcie Mim. — A przynajmniej któraś z jej części. Wszędzie jest woda. Płynie po równym do miejsca, gdzie może wreszcie spaść, a wtedy wszystko rozpycha na boki. Oglądałam mapy topograficzne. Woda musi spływać w dół, nie ma siły; przedrze się przez wapień i rozpruje go jak nic. Uważam, że te pieczary łączą się gdzieś na odcinku między południową grota Paula's Lost a górnymi obrzeżami Little Mouth. Może nie da się tamtędy przecisnąć, ale kto wie? Mogłybyśmy przynajmniej spróbować. Wejść tam i wyrysować mapę aż do starych korytarzy Paula's Lost.

— Bo ja wiem. — Cissy zamknęła oczy, wyobrażając sobie korytarze, którymi tak często wędrowała. Obie jaskinie były wapienne, lecz widziała tam również łożupki, granit oraz inne rodzaje skał. Paula's Lost leżała nieco wyżej niż Little Mouth, lecz tylko o kilka stopni. — Może się i łączą. A może nie. Pamiętasz, ilu ludzi szukało przejścia łączącego jaskinie w Kentucky? Czy to nie dzięki temu Floyd Collins trafił na pierwsze strony gazet? Chciał pokazać światu, na co go stać, był przekonany, że zna przejście. Zszedł pod ziemię na początku stycznia, a znaleźli go dopiero szesnastego lutego. W książkach pisał, że chcąc go wyciągnąć, musieli obciąć mu stopę.

— Ja tam nie wetknę stopy w żadną szczelinę — obruszyła się Mim. — My jesteśmy ostrożne. A co, może nie uważamy?

— Uważanie nie ma tu nic do rzeczy. Wypadki po prostu się zdarzają. — Cissy myślała o głębokich korytarzach Paula's Lost. Leżał w nich czerwonoszary piasek, wyjątkowy dla tego obszaru. Czy zaobserwowała coś podobnego w Little Mouth? Jeśli tak, oznaczałoby to, że woda przenosi piasek z jednej groty do drugiej. Musiałaby płynąć z południa, z terenów położonych wyżej na niższe, zatem z Little Mouth nie trafiłby do Paula's Lost nawet najmniejszy kamyczek.

— A ten drobny żwirek? — zasugerowała Jean, gdy odpoczywały, siedząc przy herbacie i kanapkach z pieprzowym serem. — Jest syпки, łatwo przemieszcza się z wodą strumienia. W górnych korytarzach Paula's Lost, w świetle lamp łukowych nabiera srebrzystoperłowego blasku. Gdyby spłynął z wodą, powinien się tu pokazać.

Cissy zamyśliła się z kanapką w ręku. Po chwili kiwnęła głową.

— Tak - powiedziała. — Widziałam tu taki żwirek. Jest go niewiele, ale trochę jest. Na końcu tych północnych korytarzy, które tak gwałtownie skręcają. — Spojrzała niepewnie na Mim. — Te jaskinie rzeczywiście mogą się łączyć.

— W takim razie mogłybyśmy nanieść to przejście na mapę — rzuciła podekscytowana Mim. — Gdybyśmy udowodniły, że naprawdę się łączą, trafiłybyśmy do księgi rekordów. Zostałybyśmy najśłynniejszymi speolożkami na południowym wschodzie kraju!

— Tak czy inaczej, spróbować nie zaszkodzi. Mogłybyśmy zacząć rozrysowywać mapę i zobaczyć, co z tego wyniknie. — Jean nie emocjonowała się tak bardzo jak Mim.

Cissy ugryzła kęs kanapki z serem i skinęła głową. Czemu nie, o ile tylko zachowają ostrożność.

Badanie południowych zakamarków Little Mouth okazało się torturą i wyzwaniem zarazem. Wydawało się im, że ciągle coś na nie czyha, tuż obok, tuż za następnym skrótem, za piaszczystą łachą - skalna śmierć albo chodnik opadający gwałtownie w otwartą otchłań.

— To wiedźma — oświadczyła Mim. — Ciągnie mnie, ciągnie, aż zapominam, jak długo tu pełnę. Zaczynam tracić czucie w palcach u rąk i nóg. Mam coraz większą ochotę położyć się i zasnąć.

— Niezły pomysł. - Jean parsknęła śmiechem.

— Czemu nie? — odezwała się Cissy. — Mogłybyśmy przynieść tu śpiwory i gorącą kawę. Doszłybyśmy najdalej, jak się da, uderzyłybyśmy w kimono, a rano wstałybyśmy rozgrzane i wypoczęte i poszłybyśmy dalej.

— A potem jeszcze dalej — dodała ze śmiechem Mim. — Żebyśmy nie wiem jak daleko zaszły, zawsze znajdziemy tam następny korytarz i nowy powód, żeby pójść jeszcze kawałek

przed siebie. Czasami wydaje mi się, że wystarczy tylko upór, ale jak zgubisz koce i termos, zapomnisz, którądy masz wracać, albo zagapisz się i stracisz rachubę czasu, to po tobie. Zgłupiejesz i zgubisz się na amen. Dlatego ekspedycje ustalają ściśle określone limity i penetrują teren w zorganizowanych grupach.

- A co, my nie uważamy? - spytała Jean, powtarzająca swoje credo.

Spojrzały po sobie.

Pierwszy raz wybrały się już w najbliższy weekend, ze śpiworami, z jedzeniem i małym prymusem do gotowania herbaty. Sposobność do tak długiego przebywania pod ziemią była dla Cissy objawieniem. Dopiero zwinąwszy się w śpiworze, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest szczęśliwa w bliskiej, bezpiecznej ciemności. Tak, przedtem, podczas samotnych wypraw, kilka razy kładła się i podrzemywała, ale teraz było zupełnie inaczej. Mrok otulał ją niczym pled. Wsunęła się weń z westchnieniem. Oto jej chleb i woda. Oto, czego zawsze potrzebowała i czym nigdy nie mogła się w pełni nasycić.

Przez całe życie miała kłopoty ze spaniem. Leżała, nie śpiąc jeszcze długo potem, gdy oddechy jej sióstr stawały się miarowe, spokojne i ciche. Wierciła się, kręciła po łóżku, przewracała się z boku na bok i bębniła palcami w biodra. Mocno zaciskała oczy, żeby zobaczyć gwiazdy rozbłyskujące pod powiekami. Patrzyła na zalany księżycowym blaskiem parapet. Na światło przeciskające się szczelinami przy framudze zamkniętych drzwi do łazienki. Kiedy jeszcze dzieliła sypialnię z siostrami, uspokajała ją zielona poświata cyfrowego budzika Amandy, maleńkie czerwone światło diody tranzystorowego radia, które Dede zawsze trzymała przy poduszce, kabel słuchawki poruszający się w rytmie oddechu śpiącej, to odsłaniający, to znów przysłaniający rubinowe oczko.

Czy można żyć prawie bez snu? Czy to w ogóle możliwe? Cissy nie wiedziała. Kiedy siostry spały, opowiadała sobie różne historie i segregowała fazy nocy: powolną zmianę światła towarzyszącą upływowi czasu, dźwięki, które stawały się dziwnie długie i niskie, gdy noc wkraczała w swe najgłębsze stadium. Szczekanie psów, coraz bardziej leniwe po zejściu księżyca, ich wycie, jakby subtelniejsze i rozpaczliwsze. Powietrze nocy przesycał smutek, który wyostrzał zmysły. Cissy mogła tylko

cierpliwie leżeć, choć bywały noce, gdy jej niepokój nasilał się do tego stopnia, że musiała wstać, poczytać książkę albo posłuchać zepsutego telewizora, wystawionego na boczny ganek, tego, który nie przekazywał już obrazu, choć transmitował głosy późnonocnych programów. To nigdy nie pomagało. Lepiej było, gdy zostawała w łóżku i pozwalała ciału odpocząć, podczas gdy mózg odmierzał czas niczym stary zegar, licząc minuty, lata lub oddechy. Częściej, niżby to mogła zliczyć, oglądała narodziny brzasku nad ramieniem Dede. Posegregowała wszystkie odcienie jasności wstającego dnia, od pierwszej różowości poczynając, na niespiesznym rozwidnieniu i aksamiacie porannej bieli kończąc. Kiedy Amanda wyszła za mąż i Dede przeniosła się do swego pokoju, ich dawna wspólna sypialnia stała się bardzo cicha i samotna. Ale nawet wówczas Cissy częściej czuwała, niż spała.

Kiedy Mim i Jean omawiały przyszłoweekendową wyprawę, Cissy martwiła się, czy zaśnie obok nich. One przyniosły śpiwory i termosy, Cissy postarała się o liny, dodatkowe światło i o talię kart. Patrząc na karty, uśmiechnęła się żałośnie, zakładając, że gdy koleżanki zasną, ona będzie układała pasjansa. Gdyby nie nadmierne obciążenie, jakie się z tym wiązało, zabrałaby ze sobą magnetofon, żeby zabić czas, tymczasem jednak posłusznie rozwinęła śpiwór i weszła do środka. Udawaj, że śpisz - powiedziała sobie. — Odpoczywaj. Mim zgasiła światło i odwróciła się na bok. Ogarnęła je ciemność, a wraz z nią cisza. Gdzieś w oddali spadła kropla wody, a potem coś głucho stuknęło, raz i drugi. Spływająca nieopodal woda zaszemrała leniwie i ucichła. Przez ciemność dźwięki dochodziły powoli lub wcale: ciepłe oddechy dziewcząt, wilgoć skraplająca się na skałach pod wpływem ich oddechów. Nietoperze — ostrzegła Cissy swój własny mózg, lecz mrok zapulsował kolorem. Po siatkówce oka przepływały obrazy. Ślepe ryby. Czarne motyle. Larwy. Delia, Dede. Amanda. Wciągnij powietrze, wypuść skroploną parę. Pustka.

Mim oparła dłoń na jej ramieniu. Patrzyła na nią ogromnymi, błyszczącymi oczami. Celowo osłonięte światło skierowała w bok.

— Dziewczyno! Ależ ty mocno śpisz!

Sen. Cztery godziny. Jak z bicia strzelił. Cztery godziny jak

cztery minuty. Dajcie mi jeszcze pospać - pomyślała. Potrząsnęła głową i podparła się łokciami. Rozejrzała się wokoło jak niewidoma ryba, której nagle wyrosły oczy, otworzyła usta i zdusiła śmiech. Żadnych snów, żadnej przerwy, jeden wdech i już, po prostu nieświadomość. Cztery godziny odpoczynku — jej ciało odżyło. Raj musiał znajdować się po drugiej stronie długiej groty.

Nikomu o tym nie mówiła, ale wiedziała. Gdyby zamieszkała w jaskini, już nigdy nie miałyby kłopotów z zaśnięciem, już nigdy nie straciłyby ani minuty snu.

Po pierwszej wyprawie z noclegiem w Little Mouth Cissy dużo myślała o podstawie ostatniej skały, którą minęły w północnym korytarzu. Widziała tam drobny żwir i niemal czerwony piasek. Coś tam było, co ją przyzywało. Trochę więcej wytrwałości, trochę więcej starań i odkryłyby, jak daleko sięga korytarz. Właśnie w ten sposób ludzie gubią się w wielkich jaskiniach — ganiła się w myślach. — Zaczęłaś wierzyć, że za chwilę znajdziesz przejście, które musi tam być, północno-zachodnie połączenie albo pasaż do Mammoth Cave.

W Mammoth Cave była z Delią na swoje siedemnaste urodziny. Wynajęły pokój, przenocowały, a następnego dnia zrobiły całą trasę. Było widowiskowo, lecz bez niespodzianek. Zobaczyła okiełznaną grootę, którą przeszła spacerkiem wśród kolorowych lampek i wykładanych deskami ścieżek. Jaskinia była większa niż te, które Cissy dotychczas widziała, ale mniej interesująca od małych i dzikich. Szły z grupą turystów wyznaczonymi korytarzami. Wokół panował półmrok rozjaśniony odbitym blaskiem lamp. Cissy nakłoniła przewodnika, żeby zgasił duże latarnie i pozwolił im postać chwilę w miejscu, gdzie swego czasu na pewno leżał ktoś zziębnięty, wyczerpany i podniecony swoim odkryciem. Mrok, który na nie spłynął, był prowokujący, lecz nazbyt krótki.

Światło określają jego brzegi, z czego Cissy zdała sobie sprawę już podczas pierwszych wypraw do Little Mouth. Snop światła jest ostry jak brzytwa, przebija skałę na wylot, tak że trzeba nauczyć się ją w ogóle dostrzegać. Tak łatwo jest ujrzeć coś, czego w jaskini nie ma, i nie zauważyć czegoś, co tkwi



w niej od zawsze. Miękkie, rozproszone światło dnia jest światłem dobrym. Pomaga oczom. Światło pod ziemią jaskini rzuca wyzwanie zmysłom i wywołuje halucynacje. W jaskiniach dzikich i nie zbadanych zachowuje się dziwnie i zwodniczo. Oszukuje oczy, uwodzi strach, wywołuje przerażenie. Człowiek czuje się w nim skrajnie śmiertelny i zagrożony. Cissy to uwielbiała.

Kiedy już Nolan pokazał jej Paula's Lost, a Dede przeprowadziła się do dawnej sypialni Amandy, Cissy zawiesiła w oknach podwójne kotary, uszczelniła framugę drzwi, a same drzwi wyłożyła tkaniną tłumiącą hałas.

— Przerobiłaś ten pokój na namiot — stwierdziła Dede, ale nie była to prawda. Cissy zamieniła go raczej w jaskinię, miejsce, gdzie mrok był chętnie widziany, lecz nigdy dość głęboki. Głęboki mrok — tego właśnie pragnęła. Głęboki mrok znajdowała pod ziemią, zawsze tam na nią czekał, tak samo jak krajobraz czerni, bieli i szarości. Niczym księżyc oglądany na wideo, ciemność w jaskini sprawiała, że kolor przestawał się liczyć. Kiedy się tam pojawiał, zaskakiwał Cissy tak bardzo, że na chwilę traciła wzrok. To, co widziała, paliło źrenice: żółta skorupa na skalnym nawisie, zaróżowione krawędzie okrągłej i zapadniętej łachy piasku, szarozielone cienie przechodzące w perłowy, lśniący błękit. To, co zauważała w głębokich załomkach, było zbyt subtelne, by dało się dostrzec na powierzchni. Na dole wszystko tworzyło scenę, na której coś się miało wydarzyć. Mrok czekał na światło, lecz go nie potrzebował. Mrok był prądawny, samowystarczalny, cierpliwy. Gdyby nie przyszła Cissy, zaczekałby na kogoś innego, na jakieś inne oczy, gotowe docenić chwałę jego piękna. Tam, w ciemności, wszystko czekało cały czas przez cały czas.

— Chcę być tu pochowana — powiedziała Cissy, kiedy przysiadłszy latarki, siedziały pośród bliskich, przytulnych cieni.

— Samotnie tu — odrzekła Mim.

- Nie. Spokojnie.

- I bezpiecznie - wtrąciła Jean. - Nikt by ci nie przeszkadzał.

- Może - odparła Cissy. - A może nie. Ale byłabym sama i miałabym spokój. Podoba mi się ten pomysł. I to bardzo.

M.T. utyla tak bardzo, że górne fragmenty jej ramion здаwały się wyrastać z biustu, tworząc dwa wielkie, poruszające się razem zwały miękkiego ciała. Twarz miała szeroką, lecz rysy drobne i delikatne, tak że wyglądała jak Dobra Czarownica Glenda — Glenda, którą trapią kłopoty z gruczołami, Glenda emanująca ciepłem, Glenda o usteczkach jak paczek róży, niemal zawsze gotowych do uśmiechu lub śmiechu. Mimo swych ogromnych gabarytów bynajmniej nie straciła na atrakcyjności. Mężczyźni usługiwali jej jak księżniczce. Zawsze była z kimś, chociaż zaklinała się, że nigdy nie wyjdzie za mąż.

— Już raz to zrobiłam - powiedziała Delii. — Całkiem na serio. Nie tak jak te dzisiejsze dzieciaki. Wyszłam za Paula i chciałam z nim być całe życie. Teraz jestem inna. Nie traktowałabym ślubu poważnie. W każdym razie nie tak jak wtedy, a nie potrafiłabym wyjść za mąż na wół serio. Niechaj więc wszyscy będą ostrzeżeni.

Ale jej ostrzeżenia nikogo nie powstrzymywały. Ciągłe się z kimś umawiała, choć nigdy nie traktowała swoich związków zbyt poważnie. Zaskakiwała wszystkich głównie tym, że umiała się ślicznie zarumienić, strzelić okiem i usidlić, kogo chciała. Drugą niespodzianką było to, że umiała z wdziękiem odprawić mężczyznę z łóżka. Odchodzili oczarowani doznany przeżyciem. „Tak, to było naprawdę coś” - mówili. Rozpromieniali się na samo wspomnienie tych przeżyć, potrząsali głową, a na ich twarzach wykwitał smutny uśmiech, wyraźnie świadczący, że nie mają zielonego pojęcia, jakim cudem wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło. Nie mówili o M.T. źle, choć należało tego oczekiwać. Większość nazywała ją „zacną kobietą”, jakby to był jej przydomek.

— Zaczna kobieta — mruzcili, a wówczas ona uśmiechała się i wyciągała do nich rękę w delikatnym geście, który akceptował okazaną serdeczność, nie żądając niczego więcej.

— Ta to ma talent, cholera — burczała Stephanie. — Powinna mieć własny program w telewizji i nauczyć nas, jak to się robi.

Przyparci do muru, jej dawni kochankowie przyznawali, że wciąż o niej myślą, że chętnie by do niej wrócili. Jakby wyzbyli się przy niej całej nachalności i niecierpliwości, zachowując poczucie głębokiego zadowolenia. Wezwani, zjawiali się ohocho, żeby wybawić ją z opresji lub wykonać jakąś robotę.

Jackson Melridge czyścił jej ryny i co jesień sprawdzał dach. Garret Sultan przyjeżdżał swoją kosiarką i kosił łąkę za domem M.T., z troską dopytując się o jej alergię. Charlie Peachhill wpadał na filiżankę kawy i przy okazji zaglądał do silnika jej leciwego chevroleta, a gdy postanowiła kupić nowy samochód, przyszedł do niej i oznajmił:

— Nie pozwolę, żeby wykiwał cię jakiś stary kanciarz. — Ubił w jej imieniu dobry interes, czego wszyscy mu gratulowali. — Muszę troszczyć się o naszą M.T. — odpowiadał droczącym się z nim kolegą. — Muszę dopilnować, żeby nikt nie zrobił jej krzywdy.

Heleń szła ulicą, wołali ją różni mężczyźni, głównie mężczyźni w określonym wieku, jej rówieśnicy albo trochę starsi, tacy, którzy mieli wystarczająco dużo lat, żeby pamiętać powolne tańce z kobietą słodko pachnącą, miękką i krągłą jak ona. Młodzi, ci, którzy ćwiczili ponurą bierność na stacjach benzynowych, nie mogli się temu nadziwić. Co też takiego jest w tej podstarzałej, otyłej pani? Ale kiedy mijali ją na targu, kiedy poczuli zapach jej perfum, znowu popadali w zadumę. Była taka miękka, taka swobodna. I miała oczy jaśniejące wiarą we własne siły, i usta, które się znały na rzeczy. Gdy podeszli do niej zbyt blisko, śmiała się głębokim, nieco chrapliwym śmiechem, który nie miał w sobie ani odrobiny okrucieństwa, lecz brzmiał jak rozmowa, płynna i niezależna.

— Uważaj, chłopcze — mówili wówczas starsi. — Za wiele w niej kobiety jak dla ciebie.

W ten sposób M.T. zdobyła kolejne pokolenia adoratorów, lecz nikt nie miał wątpliwości, że nie pójdzie z nimi do łóżka.

— Ta kobieta potrzebuje prawdziwego mężczyzny — powiadali starzy, dobrzy chłopcy.

Ale M.T. tylko się uśmiechała. Młodzi grabili jej podwórko, pokazywali nowe tańce, opowiadali historie, których pierwotną wersję dawno już zapomniała. Może i z nimi nie spała, lecz dawała im do zrozumienia, że tego nie wyklucza. Władowała mocą szczególnego rodzaju, mocą, którą odgadywała intuicyjnie.

— Jak leci, M.T.? — słyszała, idąc ulicą do „Bonnet”.

— Nie najgorzej — odpowiadała, nie odwracając głowy. — Ciężko mi, bo jestem już stara, mimo to nie najgorzej.

— Ależ, M.T., wcale nie jesteś stara. Wchodzisz w swój najlepszy okres.

Śmiała się wtedy i muskała dłonią opalone ramię rozmówcy. Było w tym geście coś, co przywodziło na myśl starszą siostrę, której można zaufać. Natychmiast stawała się członkiem rodziny. Seksownym jak wszyscy diabli.

Cissy doszła do wniosku, że M.T. prowadzi odrębnemu szczeniowi mężczyzn, mężczyzn, którzy należeli do niej przez jeden sezon, a potem odfruwali niczym motyle o poranku, unosząc na skrzydłach jej zapach. W pewnym sensie na zawsze przynależeli do niej. Nawet ci, którzy się poženili. A może przede wszystkim właśnie oni? Nie mogli flirtować z nią otwarcie, więc pozostały im jedynie tęskne spojrzenia i wspomnienia niebiańskiego uścisku pulchnych ramion.

— Co ty takiego w sobie masz, M.T.? Jak ty to robisz? — Dede pytała żartobliwie, chociaż Cissy nie miała najmniejszych wątpliwości, że jej siostra - podobnie jak wszyscy inni — sądziła, iż M.T. zna jakąś tajemnicę, magiczną sztuczkę czy tajemną technikę, której i tak nikomu nie zdradzi.

Z biegiem lat pytanie to powracało coraz natrętniej, gdyż bez względu na to, jak bardzo swobodna i łatwa stawała się M.T., mężczyźni z Cayro nadal się za nią uganiali.

— Posiadłaś jakąś szczególną umiejętność, którą może wykorzystać tylko kobieta słusznej tuszy? Przyduszasz ich sobą czy co?

— Dede! Jak ty się odzywasz? — obruszyła się Steph, zerkając na M.T.

— Och, dajże jej spokój. — M.T. otarła pot ze skroni i machnęła ręką. — Pewnego dnia i tak musi poznać prawdę.

M.T. usiadła na pneumatycznym krześle, które aż pod nią jęknęło. Dwa razy kopnęła w podnośnik, żeby ustawić je w wygodniejszej pozycji, i spojrzawszy w lustro, uważnie odgarnęła włosy z czoła. Nim odpowiedziała na pytanie Dede, bez trudu skupiła na sobie uwagę wszystkich w zakładzie.

— Może - zaczęła — chodzi o to, że wiem, czego mężczyźni chcą? — Uśmiechnęła się, gdy Steph prychnęła i potrząsnęła głową. — A może osiągnęłam już w życiu taki etap, w którym to, na czym im zależy, zbliżyło się do moich własnych potrzeb? Dlatego bez większego oporu daję im to, czego tak bardzo

pragną. Kto wie, czy jedną z tych rzeczy nie jest czasem marzenie, żeby życie stało się trochę lepsze?

Umilkła, uśmiechnęła się przelotnie i puściła oko do Dede.

— Oczywiście, nie wykluczam i tego, że lecą na moją puszystość, wiedząc, że przy mnie nie zrobią sobie krzywdy. To nie to samo co z tymi kościstymi szkieletami, których tutaj pełno. Albo zrobią krzywdę im, albo samym sobie. Jakkolwiek by na to spojrzeć, zawsze ktoś ucierpi.

— To fakt. — Steph energicznie skinęła głową na znak słusznego poparcia. — Bez dwóch zdań. Tu zawsze ktoś cierpi. — Spojrzała na Delię, oczekując, że ta poprze z kolei ją, lecz Delia patrzyła w okno z nieodgadnionym wyrazem na opalonej twarzy. Jeśli nawet cierpiała, niczym tego po sobie nie okazywała.

Na skale lub w innym twardym miejscu. Wiedziała, gdzie wylądowała. Z dłońmi pod bieżącą wodą, z mocno zaciśniętymi ustami, ze wzrokiem wbitym we włosy Gillian, skupiała uwagę na rozmowie w zakładzie.

— Emmet mówi, że u Goobera był kolejny fotoreporter i wypytywał o panią. Chciał się dowiedzieć, czy mieszka tu jeszcze ktoś z rodziny Clinta.

- Uhm. — Delia łagodnie masowała jej głowę, wiedząc, że jeśli nie odpowie, Gillian będzie mówiła dalej.

- Oczywiście nikt nie chciał z nim rozmawiać. Facet był jeszcze bardziej skąpy od tego sprzed dwóch lat. Nawet nie próbował nikomu postawić kolacji. Nie brzęczał forszą ani nie opowiadał plotek. Był mały, chuderlawy, miał rzadkie włosy i żółtosny wąsik.

Gillian na chwilę umilkła, gdyż Delia nachyliła się, żeby zakręcić kran i wycisnąć wodę z jej mokrych włosów, która spłynęła strugami po bokach małej porcelanowej umywalki. Dopiero kiedy Delia przyciągnęła krzesło do siebie, Gillian wróciła do swej opowieści.

- Nie cierpię mężczyzn z wąsami, a pani?- spytała. - Wąsy zawsze smakują tym, co facet ostatnio jadł, cuchną kurzem i żeby nie wiem jak je podcinać, wciąż wyglądają paskudnie. Swego czasu mój Richard też nosił wąsy. Całe wieki trwało,

zanim go namówiłam, żeby je wreszcie zgolił! Uważał, że musi je nosić, bo nie ma podbródka, wyobraża pani sobie? I ta rzadziżna pod nosem miała to ukryć? Boże drogi, czegoż ci mężczyźni nie wymyślą. Przyszłoby pani coś takiego do głowy?

Delia owinęła rącznikiem jej wilgotne włosy. Podprowadziła ją do pneumatycznego fotela i spostrzegła, że M.T. obserwuje ją w lustrze. „Wszystko w porządku?” - pytała niemo przyjaciółka. W odpowiedzi Delia wzruszyła ramionami i skupiła uwagę na Gillian.

- Chce pani zrobić z włosami porządek, czy chodzi pani o coś szczególnego? - Stojąc bez ruchu za pochyloną głową Gillian, patrzyła na jej odbicie w lustrze. Spokojnie, bez jednego mrugnięcia, z obojętną twarzą.

- Och, niech mi pani znowu coś wyczaruje. — Gillian poklepała się po mokrej skroni i uśmiechnęła się do lustra. — Pani sama zawsze wie najlepiej, co tej starej głowie trzeba.

Na twarzy Delii pojawił się uśmiech i na moment zamknęła oczy. Tutaj — pomyślała. — Jestem tutaj, nigdzie indziej. I tutaj zostanę.

- Podetniemy je — powiedziała, unosząc powieki. — Wycienujemy na bokach. - Jej palce delikatnie popieściły skroń, której Gillian dopiero co dotykała. - Jeśli skrócę je w tym miejscu, powinny opaść na ucho. Tak je pani kiedyś nosiła, prawda? Kiedy zaczynała pani spotykać się z Richardem.

Gillian westchnęła, skinęła głową i zamknęła oczy, dzięki czemu Delia mogła znowu obejrzeć w lustrze swoją twarz, zobaczyć ślady, jakie odcisnęły na niej setki sytuacji, kiedy to zamykała usta, nie śmiąc powiedzieć tego, co się na nie cisnęło, ślady życia, od którego odeszła, nigdy go nie żałując. Randall nosił wąsy. Zawsze smakowały słodko.

Delia uważała, że jedynym czystym przeżyciem, jakiego zaznała w życiu, było to, co czuła w samym środku ogłuszającego dźwięku - podczas występu Mud Dog, kiedy zamroczony wibracjami jej głosu Randall uśmiechał się jak pijany. Dźwięczne, basowe staccato na cztery czwarte, dłonie Boogera na klawiaturze, potem ona, jej głos, który stawał się nagle osobnym bytem, niczym seks. Ta muzyka była seksem. Albo może

to seks wydawał się czymś mniej istotnym od niej. Tak, muzyka była jedyną duchową gorączką, jaką kiedykolwiek czuła. Przeistaczanie się w muzykę, chwała wyśpiewywania drapieżnego akordu pragnienia i egzaltacji sprawiała, że Delia wychodziła z siebie, zapominała o swym małym smutku i nieugiętym wstydzie. Jej głos przemieniał się w instrument, dusza falowała w rytm akordów i melodii. Śpiewając, zapominała o tym, co zrobiła, zapominała o swoich porzuconych dziewczynkach. Przystawała słyszeć pieśń ich oddechów, dźwięcząca bez przerwy w zakamarkach jej mózgu. To życie nie miało związku z tamtym. Nie mogła mieć obu. Bóg jej świadkiem, że wybrała jedyne, które mogła znieść. Ale nigdy nie zapomniała o tym drugim. Nie chodziło jej o Randalla i całą resztę, nie — nigdy nie zapomniała o muzyce. I nigdy nie przestała jej ołtakiwać.

Po przyjeździe do Cayro zbyt wiele bezsennych nocy spędziła na kanapie, ze słuchawkami na uszach. Puszczała płyty i wydawało jej się, że dzięki sile swego głosu potrafi przebrnąć przez rozpacz, ale nic z tego. W muzyce tkwiła jakaś ciemność, która przyzywała jej imię. Chropawa i pałaca niczym dwie uncje miodu w czterech uncjach whisky. W pierwszej chwili nazbyt słodka, spływała do gardła tak gładko i czysto, że Delię ogarniała fala gorąca od ramion aż po same kciuki. Ilekroć zadudniły rytmiczne basy Randalla, odchyłała głowę na podłokietnik kanapy, od nowa zdumiona siłą muzyki, jaką grali, czymś znacznie wspanialszym niż zwykła melodia zapisana na winylowym krążku. Ilekroć płyta się kończyła, przybita przybierającą na sile rozpaczą Delia zapadała się coraz głębiej w siebie, wreszcie mogła już tylko wcisnąć twarz między poduszki i płakać.

Nie to, żeby Mud Dog był takim dobrym zespołem, nie. Rzecz polegała na tym, że tworzyli tę muzykę, czerpiąc ze swego wnętrza. Gitary wygrywały obnażony gniew Randalla i krnąbrną udrękę Boogera. Bębny były błagalną prośbą Małego Jimmy'ego, który chciał wysunąć się z nimi na przód sceny, a tremolo Rosemary brzmiało tak czysto, że miast rozdzierać serce, mrukliwa piosenka Delii szybowała ku transcendencji. Brzmienie Mud Dog nie było brzmieniem głosu Delii, lecz intymnym krzykiem z krtani Boga. Gdy słuchała tej muzyki, znowu zamierało jej serce, jakby ktoś wyjął z jej duszy całą

kw. Znów czuła atmosferę tamtych lat, przeżywała chwile, kiedy układały z Rosemary piosenkę ze słów spisanych na torbach z brązowego papieru, zmiany, które wprowadzali w akordach Randall z Boogerem, równie dźwięcznych jak sama piosenka powstała z jej smutku wypełnionego niepokojem i gniewem.

„Urodzony na rogu Nazaretu i Kalwarii” — śpiewał Randall falsetem w piosence rozpoczynającej album *Diamonds and Dirt*. Potem wchodziła Delia, zaczynając o oktawę niżej, podczas gdy bębny biły niczym serce zwalniające ku śmierci. Nie była to pieśń o ukrzyżowaniu, lecz o winie i ekspiacji. Pieśń Delii. Pokuta i rock and roll. Jezus i Duch Święty w skórzanych marynarkach z frędzlami i w kowbojskich butach. To był ich znak rozpoznawczy. Tłum podejmował melodię i zawodził niczym zgromadzenie zielonoświątkowców odpowiadających na pytanie kaznodziei podczas niedzielnego kazania. Śpiewaj, mamó. Śpiewaj, Delio.

Pijana smutkiem, skurczona i zapłakana, siedziała na kanapie i słuchała koncertowej wersji pieśni, w której jej głos przeplatał się z głosem Randalla, a nachodzące ją wspomnienia były czarniejsze niż salonik w nocy. Oczekiwała pokuty, była pewna kary i niemalże pławiła się w swoim potępieniu. To, że nie kładła się spać, tylko szlochała dopóty, dopóki zabrakło jej łez, przynależało do magii, jaką emanowała ich muzyka. Powstrzymała ją Cissy. Pewnego razu Delia uniosła głowę i ujrzała ją w drzwiach salonu. Przygryzając dolną wargę, stała tam z oczami wielkimi jak spodki. Kiedy Delia zerwała z uszu słuchawki, Cissy uciekła do łóżka. Lecz Delia widziała jej oczy. Zdjęła płytę z talerza gramofonu, wyniosła ją przed dom i rozbiła kamieniem. Potem usiadła na wilgotnej trawie i czekała na wschód słońca, z całego serca pragnąc, żeby odeszła ją muzyka, żeby odeszła ją tęsknota.

Jak to jest? - pytały ją kobiety w zakładzie. Jak to jest, kiedy należy się do zespołu, kiedy kocha się gwiazdora rocka i wyjeżdża w trasy? Jak jest? Delia tylko na nie patrzyła, wzruszała ramionami i milczała. Nie potrafiła im tego wytłumaczyć. To było jak sen. Życie jak sen. Dzień niezauważenie przechodził w dzień następny, w nocy była na haju lub pijana. Seks na otwartym tarasie przy światłach Los Angeles łągodnie



lśniących ponad niskim murkiem. Gęste, lepkie od potu powietrze, niczym zbyt szczelnie owinięty koc. Biodro stłuczone o krawędź kamiennej płyty i kurz, którym zaproszyła prawe oko, aż zaczęło łzawić. Muzyka płynąca z wnętrza bungalowu. Kobięcy głos porażający pomrukiem niskim i niezamierzenie ustępliwym. Janis i jej *Ball and Chain* z pirackiej taśmy o tak fatalnej jakości, że prawie nie słychać było kapeli. Ale dzięki temu piosenka brzmiała chyba nawet lepiej. Głos emanował smutkiem i odwagą kobiety szybującej w nieznaną paroksyzmem nerwów. Delia też tak szybowała, gdy miała dobry dzień. Ale nigdy nie śpiewała na scenie *Ball and Chain*. „To jest hymn Janis” — mawiała, choć równie dobrze utwór ten mógł być jej hymnem. Miała odpowiedni głos, zwłaszcza po kielichu. Ale wolała piosenki łagodniejsze, nie wymagające takiego wysiłku, nie aż tak rozdzierające, piosenki, które publiczność mogła śpiewać wraz z nią. Wszyscy je lubili. Z Janis śpiewali pijacy. Pijacy i porażeni smutkiem. Z Delią śpiewały dzieciaki przechodzące posłuchać Randalla. Zbierały wszystkie siły i ryczały pełnym głosem. Właśnie tego pragnęła: grupowej świadomości, niewidzialności wynikającej z tego, że stawała się tworem wyobraźni kilku tysięcy ludzi. Tylko ryk i światła - ani jednej twarzy, którą można by rozróżnić, ani jednej myśli. Pragnęła zniknąć, zatopić się w tłumie, w fetorze, hałasie i usprawiedliwieniu.

— Myślę, że Kalifornijczycy są zdrowi na umyśle, czego, Bóg świadkiem, nie da się powiedzieć o mieszkańcach Georgii — rzekła Delia zaraz po przyjeździe do Cayro. — Tutaj przyszedłem na świat, dlatego jestem szurnięta. I tutaj chcę umrzeć. Umrzeć z rękami pełnymi roboty. Nie znoszę beczynninie rozłożonych rąk. Rozłożonych i pustych.

— Ale mogłaś być bogata — odparła Cissy.

— Mogłam umrzeć. Jak Randall i połowa kapeli. Zabiłaby mnie heroina, speed, szybkie samochody albo mokra jezdnia. Umrzeć. Takie to łatwe. Takie łatwe. Bogata? Byłam bogata. Przez mniej więcej półtora dnia byłam tak bogata, że nie potrafiłam nawet objąć tego umysłem, tak bogata, że bogactwo przestało mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Ale pragnęłam czegoś innego: tłumy, hałasu, jak na nabożeństwie. — Zamknęła usta, w ostatniej chwili powstrzymując się od powiedzenia

czegoś, co mogłoby wszystko wyjaśnić. „Moja mama zostawiła mnie, a ja zostawiłam swoje dzieci. A tego nie naprawi już nic”.

Co rozwiewa smutek? Co leczy serce? Nie wiedziała. Próbowała wyleczyć się z cierpienia, lecz tylko je odroczyła. Jak długo można odraczać cierpienie?

— Całe życie — odpowiedziała sobie z nadzieją. — Jeśli dobrze się do tego zabrac, można je odraczać w nieskończoność.

— Gillian, wyglądasz jak nowo narodzona. — M.T. sączyła lodową herbatę o brzoskwińowym aromacie i uśmiechała się do lustra ponad ramieniem Delii.

— Ładnie, prawda? - Gillian uniosła dłoń do łagodnie podwinętej fali, zakręcającej w stronę ucha. Z włosami przyciętymi tuż nad linią policzków, jej twarz wydawała się szczuplejsza, a wyraziście zarysowane i szlachetnie wysklepione skronie przyciągały wzrok do wielkich ciemnych oczu. — Delia zawsze wie, czego mi trzeba.

— Och, każdy by to potrafił — odparła Delia, strzepując pelerynkę, którą ściągnęła z ramion Gillian. — Trzeba tylko strzyc zgodnie z linią twarzy, żeby wyglądała tak, jak Bóg tego chciał. Nic wymyślnego, po prostu przystojna kobieta o długiej szyi. — Nie patrzyła w lustro. Nie odrywała oczu od swoich dłoni, długich, kwadratowo zakończonych palców i starannie spiłowanych, nie lakierowanych paznokci. Nic wymyślnego. Nic, tylko jej własne ręce.

Trawertyn osiada w tempie mniej więcej dwóch Call na rok - tak pisano w podręcznikach dla grotołazów. Występuje w odcieniach od czystej bieli, poprzez wapienną żółć aż do żyłkowanej czerwieni. Po pierwszej wyprawie do Little Mouth Cissy śniła o trawertynie, o wolno poruszającej się skale pod warstwą ziemi. W jej snach trawertyn wcale nie był twardy, tylko gruby i miękki, jak stara beza. Jak biały kłajster ze szkolnych bibliotek, gęsta, sycąca masa, powoli twardniejąca na skórze. Cissy kładła się na niej, a masa odwzorowywała kształt i ciepło jej ciała. Uginała się pod nią, łagodnie wpełzała między palce u rąk i nóg, unosiła się, by objąć biodra. Ściśnięta.

Złośliwa. Żywa. Rosnąca powoli, ale nieprzerwanie. Trawertyn szumiał jej w głowie, intymnie i bezpiecznie. Czekwała, aż z wolna się wokół niej owinie, aż ją w sobie zamknie i zahartuje jej duszę.

Jest taki sam jak ja - myślała Cissy we śnie. Trawertyn był taki jak ona: mocno zwarty w sobie, przez nikogo nie ceniony i lekceważony. Można go było kopnąć, a on nic. Kruszył się, rozpadał na kawałki, ale przyjmował wszystko, co zgotował mu los. Osiadał na kamieniu w swoim własnym tempie, dwa cale na rok albo wcale.

Kiedy wśniła się w jaskinię, czuła go w duszy. Kamień, twardą skałę zniewagi. Wiedziała, gdzie przynależy, wiedziała, kim jest, wiedziała, ile warte są jej kości. Znała rytm swego serca. „To jej miejsce” - mawiała Dede.

To moja kraina — myślała Cissy i w snach jaskinia otulała ją tak samo szczelnie, jak błoto otula obcas buta. W trzewiach Little Mouth wtykała rękę w stary jak świat piasek, rozprostowywała palce i wcale się nie bała. Wiedziała, że na pewno znajdzie to, czego potrzebuje. Bez względu na to, gdzie powinna być, zawsze była tam, gdzie trzeba.

To, że koleżanki ciężko szurały nogami, sapały, przepychały się, wydzierały na kolanach każdą piędź ziemi, to, że krzyczały ze strachu, nie robiło na niej najmniejszego wrażenia. Chciała im powiedzieć, żeby się zamknęły, lecz milczała.

— Słyszycie? — pytała za to czasem. — Słyszycie?

Skonsternowane Jean i Mim rozglądały się wówczas, głuche na to, co słyszała Cissy: na pulsowanie skał, na bicie kamiennego serca, na echo nieznanego i tajemniczego. Widziało się tam bardzo niewiele, a potem ciemność zawłaszczała wszystko, wielka ciemność, w której mogło czyhać dosłownie wszystko. I każdy. Ktoś taki sam jak ona albo ktoś tak od niej różny, że nawet nie umiała sobie tego wyobrazić.

Chodzenie po jaskiniach było dla niej tym, czym dla innych seks. Choć właściwie nie rozumiała, czym ten seks tak naprawdę jest. Za to w ciemności po raz pierwszy w życiu stała się w pełni świadoma swego ciała, świadoma i dziwnie nieświadoma zarazem. Niewidoczna dla ludzi, poruszała się swobodnie, precyzyjnie i pewnie. Stopy bezbłędnie znajdowały oparcie, biodra kołysały się luźno na udach pracujących niczym tłoki.

Czy właśnie tym była dla Delii Kalifornia? Obcą krainą, gdzie nikt na nią nie patrzył i nikt jej nie znał? Krainą, w której mogła stać się, kim chciała, i robić to, na co miała ochotę, nie dbając o zdanie innych?

Sen o podróży z Kalifornii do Cayro był koszmarem z wyjąłymi na pustyni kojotami i z wiatrem, który wpadając przez wybite okno datsuna, ciskał jej piaskiem w oczy i smrodem w usta.

— Nie chciało ci się nawet o mnie pomyśleć, co? — zarzucała we śnie Delii.

— Myślałam o tobie. — Delia z pustynnego koszmaru wyła z okien samochodu niczym oszalałe zwierzę. Delia prawdziwa nigdy o podróży nie wspominała. — Jedziemy do domu — oznajmiła beznamiętnym, upartym głosem, którego Cissy tak nie znosiła. — Jadę do domu, a ty pojedziesz ze mną wszędzie tam, dokąd cię zabiorę.

— Dreptuś - powiedziała Jean na pierwszej wspólnej wyprawie. - Dreptuś jest zwierzęciem, którego nogi są po jednej stronie ciała krótsze niż po drugiej. Wyobraź to sobie. Może chodzić po stromnych zboczach, nie przechylając się na bok. Po płaskim chodzi kiepsko, ale po stromiźnie zasuwa jak się patrzy. - Puściła oko do Mim. - Naturalnie, nie ma plusa bez minusa: dreptuś może poruszać się tylko w jednym kierunku. — Jean mówiła zwyczajnie, nie uśmiechając się i nie modulując głosu. — Nie może wrócić po swoich śladach, żeby nie wiem, jak bardzo chciał.

— Uhm — mruknęła Cissy. — Tak samo jak Delia.

## 18

Lada dzień Amanda trzaśnie jak przepompowany balon - powiedziała Dede. - Zrobi wielkie bum i rozprysnie się po całym Cayro. Za bardzo ją ta świątobliwość rozdyma.

Cissy ze smutkiem pokiwała głową.

— A kiedy już pęknie, jedyną osobą, którą to zdarzenie

zaskoczy, okaże się sam Michael. Będzie sobie stał obryzgany Amandą i nawet się nie domyśli, że to dla niego tak się hamowała.

— Może wpadnie na to, jak nasza siostrunia w końcu wybuchnie - warknęła Dede. W czasach, kiedy Amanda wzdychała do Michaela, Dede nawet go lubiła, ale po ich ślubie, coraz częściej krytykowała i jego, i jego otwartą twarz, i sympatyczny sposób bycia. - Czy on nie widzi, co się dzieje? Amanda jest jak czarna dziura. Kurczy się, kurczy i z dnia na dzień robi się coraz twardsza.

— On ją kocha — powiedziała Cissy.

— Aha, i zobacz tylko, co ona z tego ma — odparła z niesmakiem Dede. — Miłość wszystkiego nie załatwia. — Pociągnęła za jeden z małych srebrnych kolczyków, które dostała od Nolana. — Nie znoszę kobiet, które oddają się tak bez reszty. Pozostałym jest przez to jeszcze ciężiej.

Amanda nie zważała na docinki sióstr ani na ich żartobliwe uwagi, że wychowuje zwykłych chłopców miast żołnierzy Pana. One nic nie rozumieją - myślała. Ona była armią Pana. Spierając się z nimi, nie zauważyła nawet, jak bardzo zaczęła przypominać swoją babkę. Babcia Windsor odcisnęła piętno na jej duszy. Ponieważ nie przyszła na ślub, co kilka miesięcy Amanda usiłowała ją odwiedzić. Starzejąca się Louise Windsor traktowała ją tak samo jak niegdyś Delię: ilekroć wnuczka zjawiała na farmie, zamykała jej przed nosem drzwi.

Kiedy mały Michael skończył pół roku, Amanda zabrała go do babki, jednakże odprawiła ją niejaką Paterson, kobietą, którą Louise najęła do pomocy.

— Babcia kazała powiedzieć, że leży i odpoczywa. Kazała powiedzieć, że nie czuje się za dobrze.

Amanda zaczerwieniła się na te słowa, usłyszała bowiem głos dobrej chrześcijanki, zdecydowanej mówić tylko prawdę. Panna Paterson nie powiedziała przecież, że babcia Windsor leży i niedomaga. To byłoby kłamstwo. Przekazała jedynie to, co kazała jej przekazać babka, i w słowach tych pobrzmiwało echo jej gniewu wobec Delii. Zapakowała więc Michaela do samochodu i odjechała z silnym postanowieniem, że już nigdy nie będzie szukała ze starą kontaktu. Ale na Boże Narodzenie przesłała jej gwiazdę betlejemską i pudełko ciasteczek, które babka lubiła. Być może był to dobry chrześcijański uczynek,

lecz w trzewiach Amandy uczynek ów zamieniał się w staromodne poczucie winy: powinna była znaleźć jakiś sposób, powinna była do starej dotrzeć.

Żeby trochę zarobić i pomóc w rodzinnym budżecie, Amanda piekła torty dla wiernych z kościoła Michaela. Torty z okazji urodzin, obchodów świąt rodzinnych i przyjęć, torty nader wymyślnych kształtów. W jej rękach przybierały postać choinki, walentynkowego serca albo drabiny Jakuba z białej bezy przekładanej ciemnym biszkoptem. Były wspaniałe i przez pewien czas bardzo modne, ale ponieważ w „Piggly Wiggly” oferowano tańsze, zlecenia dla Amandy napływały tylko sporadycznie, zazwyczaj w okolicach świąt lub uroczystości kościelnych. Nie skarżyła się jednak na los. Po prostu uważniej układała listę zakupów i robiła ostrożniejsze plany.

Czasami, w trakcie sprawdzania tych list, zginał ją wpół ból brzucha tak wielki jak trzęsienie w samym sercu ziemi. Nie potrafiła go powstrzymać ani mu się oprzeć, a gdy po pewnym czasie mijał na tyle, że mogła się wyprostować, modliła się chrapliwie żarliwym szeptem:

— Boże, Boże, oszczędź moją rodzinę.

Od narodzin Gabriela ból stawał się stopniowo coraz silniejszy. Nie wątpiła, że to rak. Pewna śmierć. Brzuch miała na pewno w połowie już wyżarty. Ale nie, postanowiła nie błagać Boga o uzdrowienie. Niecierpliwie wyglądała tego, co jej zdaniem było nieuniknione: zemsty równie pewnej jak to, że kiedy chwytał ją ból, nie mogła się wyprostować. Czasami, po bardzo bolesnym ataku, zaglądała do „Bonnet”, żeby popatrzeć na twarz Delii. Bywało, że podjeżdżała pod mini-market i kupowała zupełnie niepotrzebny drobiazg tylko po to, żeby zobaczyć, jak Dede przypala papierosa i przeszywa ją gniewnym wzrokiem. Kilka razy wypuszczała się nawet na starą autostradę i jadąc w kierunku Little Mouth, szukała po drodze zawzięcie pochylonej głowy Cissy. Wiedziała, że jej śmierć nauczyłaby je wszystkie tego, czego sama nie potrafiła nauczyć ich za życia.

Delia zaczęła biegać, kiedy na świat przyszedł jej pierwszy wnuk. Nie sądziła jednak, że zdoła ten zwyczaj utrzymać.

Biegała tylko po to, żeby pobyć sama i zwalczyć ciągotki do alkoholu, które powróciły i nasiliły się po ślubie Amandy i jej wyprowadzce z domu. Myślała, że pewnego dnia po prostu zarzuci bieganie, ponieważ jednak uporczywa ochota na tequile nie chciała jej opuścić, po kilku miesiącach zwyczaj ten wszedł na stałe do jej rozkładu dnia. Ilekroć czuła potrzebę wypicia, zmieniała buty i wybiegała z domu. Bywało, że zamiast biegać, spacerowała ze spuszczoną głową i pogrążona w myślach, nie zwracała na nic uwagi. Bywało jednak i tak, że jej mięśnie napinały się tak mocno, iż bieganie było dla niej jedynym ratunkiem. Biegała wtedy do chwili, gdy ból stawał się doznaniem czysto fizycznym, kwestią zmęczonych mięśni, więzadeł i potu.

Najbardziej lubiła biegać o zachodzie słońca. O tej porze dnia myśli miała już tak splątane, że tylko ćwiczenie fizyczne mogło uwolnić je z chaosu. Psy to uwielbiały. Delia przebiegała obok akurat wtedy, gdy potrzebowały czegoś, co zajęłoby ich uwagę, krótkiego poobiedniego treningu. Zabierała ze sobą kij, którym się od nich opędzała, w końcu jednak zaczęła biegać o poranku i psy zgubiły jej zapach. Okazało się, że lubi świtanie, a nawet przepuszczając blask słońca ciemność, która je poprzedza. Opowiadała Dede, jak odurza ją samotny bieg po Terrill Road, kiedy słyszy tylko swój oddech i czuje zapach potu.

— Zdrowo — powiedziała. — Pachnę zdrowo. Z każdym dniem coraz zdrowiej.

Dede zamrugała tylko, niepewna, czy Delia się z nią aby nie droczy.

Delia była szybka. Jeden z licealistów zmierzył jej kiedyś czas. Liczył na to, że będzie mógł ponabijać się z tej dorosłej kobiety w szortach, która miała się za Bóg wie kogo. Żart spalił na panewce: Delia biegała równie szybko jak on, a może nawet szybciej.

— Kiedyś byłam sprinterką — wyznała córce. Biegała dawno temu, jeszcze w szkole i nigdy nie traktowała tego poważnie. Wznowiwszy treningi, w pewnym momencie poczuła, że teraz ma w sobie więcej pary niż wówczas, gdy była dziewczyną.

— W tamtych czasach wszystko wyglądało inaczej. Biegali tylko lekkoatleci. Dziewczyny w ogóle nie wychodziły na

bieżnię. Nawet chłopcy nie trenowali regularnie. Cayro zawsze było żalną dziurą.

Otarła kark, dumna ze swych młodzieńczych wyczynów.

— W gimnazjum kazali nam ganiać dokoła boiska. Biegałam dla samej przyjemności. A później odkryłam, że w olimpiadach biorą udział sprinterki. Trochę o tym myślałam. Bardzo by mnie to bawiło, lecz cóż mogłam zrobić?

Dede skinęła głową. Cóż mogłaś zrobić?

— Ale tak, lubiłam być szybka. — Delia uśmiechnęła się cierpko, puściła do niej oko i zakłopotana, zwiesiła głowę. — Nigdy nie wiadomo — dodała. — Już nie biegam tak szybko jak kiedyś. Ale wciąż to lubię, po prostu lubię to uczucie. — Rozpostarła ramiona. Twarz miała zarumienioną z zadowolenia, że wytrzymała narzucone sobie tempo, że pokonała trzy miłe, ani razu nie myśląc o Dede, Amandzie bądź Cissy.

— Nigdy nie wiadomo — powtórzyła.

Dede uśmiechnęła się ostrożnie, jakby rozważając, co wiadomo na pewno. W ciągu tych wszystkich lat spędzonych z babcią Windsor stara nigdy nie chodziła szybciej niż powolnym krokiem spacerowym, miarowym, ostrożnym krokiem kobiety dotkniętej artretyzmem. Biodra miała usztywnione bólem, zęby zaciśnięte, lekceważąco i zawzięcie. Powłócząca nogami babka i gotowa do biegu Delia, same mięśnie i ścięgna — to tak, jakby przeskoczyć z drabiniastego wozu na pociąg. Dede stwierdziła, że widzi swoje ciało inaczej, że długie kości jej nóg wyglądają jak kości nóg Delii w ruchu, że jej drobne, jędrne piersi przypominają kształtem biust Delii, że mają tę samą wielkość, tyle że piersi matki zmiękły od karmienia dzieci i twardego życia.

Amanda patrzyła spode łba, kiedy Delia wybiegała z domu w obciętych džinsach lub w bawełnianych szortach.

— Jesteś za stara, żeby się tak pokazywać — powiedziała.

Natomiast Dede obserwowała ją z podziwem i tęsknotą. Choć trudno to sobie wyobrazić, ta kobieta była jej matką. Krew z krwi, kość z kości. Mój Boże. Mój Boże.

Po urodzeniu Gabe'a Amanda zaczęła pracować codziennie, a zdarzało się, że prała nawet i dwa razy w ciągu dnia. Co rano



zbierała brudne ubrania, ściągała pościel z materaców i macała pod łózkami. O dziewiątej, jak tylko wszyscy opłukali się pod prysznicem, włączała pralkę. Bielizna nie miała prawa leżeć w koszu. Czasem rozbierała chłopców przy pralce, toteż ich małe koszulki i skarpetki szły prosto do bębna z mydlinami. Dwa prania kolorowe, co drugi dzień jedno białe. Zdarzało się, że późną nocą urządzała pranie dodatkowe.

— Lubię robić wszystko, jak należy - odparła, gdy Delia zwróciła jej uwagę, że wydaje się zmęczona, ale sprawa miała głębszy podtekst. Wszystko trzeba było zrobić należycie i jak najdokładniej. W niedobre dni, kiedy ból w brzuchu nasilał się tak bardzo, że pulsowały nim zęby, wyciągała z szafy grube pledy i prała je w zimnej wodzie. W dni najgorsze, gdy mięśnie karku przyginały jej szyję i ściągały w dół głowę, nie potrafiła lec płasko na łóżku i gdy tylko Michael zaczynał miarowo oddychać, szła do pralni mieszczącej się obok kuchni. Włączała żelazko, strząsała chłopięce podkoszulki, nastawiała radio na talk-show z Phoenix, które prowadził pastor układający kazania na podstawie pytań słuchaczy, i podczas gdy mięśnie karku paliły ją żywym ogniem, wodziła żelazkiem tam i z powrotem. Bawełna, bawełna z domieszką innych włókien, len, sztuczny jedwab - pastor mówił, a wszystko wygładzało się pod delikatną mgiełką z destylowanej wody. Aluminiowy półksiężyc żelazka przepychał gorąco przez włókna i nasączał parą to, czego metalowej stopce nie udało się spłaszczyć czy odsunąć na bok.

Bywało, że kiedy wszyscy posnęli, jechała do czynnego całą dobę minimarketu przy autostradzie do Cayro. Na szafkach z zapasami podoczepiała karteczki ze spisem tego, co znajdowało się w środku. Żarówki, po cztery z każdego rodzaju: sześćdziesięcio-, siedemdziesięciopięcio- i stuwatowe. Papier toaletowy: dokładnie dwanaście rolek. Zapasów było zawsze więcej niż na listach, ponieważ wyszczególnione na nich liczby traktowała jako niezbędne minimum. Jeśli zużyła jedną żarówkę z opakowania zawierającego cztery sztuki, kupowała w nocy cały czteropak, następną paczkę mydła do prania i jeszcze kilka pudełek chusteczek higienicznych. Chodziła między regałami z listą w rękę i wodziła wzrokiem po plastrach z opatrunkiem, po zbożowych dodatkach do mleka, po konserwowanych szynkach. Zawsze chciała mieć pod ręką to, co mogłoby przydać

się rodzinie. Nieważne, że Michael nie zarabiał aż tyle, żeby zaopatrywać dom w nadmierne zapasy. Mus to mus, i kropka. Zbierała kupony, biegła na wyprzedaże. Prowadziła notatki, robiła listy zakupów, mimo to czasami wstawiała w nocy, żeby dokupić coś, czego aktualnie nie miała w szafkach, coś, czego nie znalazła na domowej półce, coś, o czym zapomniała.

Wkrótce odejdę - mówiła sobie. - Muszę zrobić, co się tylko da, póki z nimi jestem. Pomóż mi, Boże, pomóż mi zwalczyć strach. Odsuń go ode mnie i spraw, żebym była gotowa. Modliła się bez przerwy, nigdy nie prosząc Boga o to, co najistotniejsze, o tę rzecz najważniejszą: o życie, które traciła. Kiedy już mnie zabraknie — myślała pochylona nad otwartymi drzwiczkami szafki - przekonają się, kim byłam. Bogu niech będzie chwała, wtedy przekonają się na pewno.

Była niedziela. Amanda słyszała paplaninę chłopców i śmiech męża. Zza ściany dochodził trzask plastikowych filiżanek i miśeczek, chichot i głos Michaela.

— Spokojnie, chłopcy, mamusia odpoczywa — mówił mąż z udawaną powagą.

O tak — myślała. Otarła pot z czoła i mocno przyciągnęła kolana do piersi. Leżała na plecach, luźno owinięta ręcznikiem; zgięte kolana podskakiwały nad nią, gdy usiłowała zwinąć się w jeszcze ciaśniejszy kłębek. Dwa razy brała prysznic, ale ból w brzuchu nie zelżał ani na jotę. Wiedziała, że gdy zdoła głębiej odetchnąć i wstanie, upiorna kosa przetnie ją w pół jeszcze raz.

— Zabierz mnie, Jezu — błagała. Do uszu ściekał jej strumyczek łez. Boże, jak ona nie cierpiała płakać. Otarła twarz i jeszcze raz spróbowała rozluźnić mięśnie i zaczerpnąć powietrza. Nie potrafiła głębiej odetchnąć. Po prostu nie potrafiła.

— Nie poddam się — syknęła, akcentując każde słowo. Zaciśnęła zęby i odwróciła się na bok. Powoli rozprostowała nogi, usiadła i spuściła stopy na podłogę. Zrobiła krótką przerwę, żeby kilka razy odetchnąć, odepchnęła się i dźwignęła z łóżka. Przygarbiona na płasko ustawionych stopach, zdołała nawet zrobić dwa głębokie wdechy. — Nie. Nie poddam się.

Stała pewnie. Oddychała. Myśl o Jezusie. Myśl o Jezusie.

Upuściła ręcznik. Jeśli się mocno wierzy, wszystko jest możliwe. Wyprostowała się z trudem i naciągnęła biustonosz. Nie poddam się. Nie poddam się. Zaczęła się ubierać. Powoli, powolutku. Jeśli Bóg zamierzał powołać ją do siebie, mógł to uczynić już teraz. Ubrana i gotowa do wyjścia, zaczerpnęła duży haust powietrza. Z modlitwą zawziętej miłości na ustach, odwróciła głowę i ponownie otarła twarz. Nie podda się. Nie. Na pewno nie. Zaczesała włosy i spojrzała do lustra. Wiedziała, że jest brzydka. Miała to gdzieś. Bóg znał jej serce. Kiedy trafi do nieba, Jezus uniesie ją niczym miecz, jakim była na ziemi.

— Chwała Ci, Panie — wyszeptała, prostując się jeszcze bardziej. Ponownie odgarnęła włosy do tyłu, głęboko westchnęła i przywołała na twarz srogi uśmiech. — Chwała Ci, Panie.

Nie przestając się uśmiechać, otworzyła drzwi. Michael i chłopcy spojrzeli na nią wyczekująco. Obrzuciła ich wzrokiem pełnym dumy: potarganych, zaróżowionych i roześmianych chłopców oraz Michaela, który właśnie usiłował zetrzeć rozlane mleko i jednocześnie wyglądać tak, jakby w pełni panował nad sytuacją.

- Co tu się dzieje?

Wciąż uśmiechnięta, zrobiła krok przed siebie i straciła przytomność.

- Kamienie żółciowe - powiedział z naciskiem doktor Brown. - Nie takie to znów zaskakujące u młodych matek, zwłaszcza u matek rodzących w krótkich odstępach czasu. - Cały czas podrzucał głową, w górę i w dół, w górę i w dół. — Nie wiem, jak mogła tak długo wytrzymać. Spore te kamyki.

Michael oparł się o zieloną ścianę szpitalnego korytarza. Twarz miał bladą i wymizerowaną. Przeżył prawdziwy horror. Był przekonany, że Amanda umiera. Początkowo nie wiedział, co robić: modlić się za nią, odciągnąć od niej chłopców czy wzywać pomocy. Nawet teraz nie wiedział, co zrobić najpierw, ale jakoś sobie poradził. Cudem dotarli bezpiecznie do szpitala, a tam Amandą zajął się lekarz. Wyzdrowieje — obiecywał. Mówił dużo, powiedział nawet, że kamienie żółciowe to wcale niegroźna przypadłość. Tylko okropnie bolesna. Oczywiście nikt nie wiedział, jak interpretowała ją Amanda, lecz Michael

instynktownie wyczuwał, co myślała. Szykowała się na śmierć, na spotkanie ze Stwórcą. Była na nie w pełni przygotowana.

- Ona jest bardzo uparta — przypomniał.

- Jak muł. — Delia uścisnęła Michaela i spojrzała na lekarza. — Na pewno postawi ją pan na nogi?

- O, tak. — Z wysiłkiem kiwnął głową. — Na pewno.

— Operacja? — Michael zdenerwował się jeszcze bardziej. — Amanda nie znosi operacji.

- Na szczęście w jej przypadku operacja nie jest konieczna. Możemy zastosować nową metodę. Ultradźwięki. Rozbijają kamienie na proszek. Powrót do zdrowia następuje błyskawicznie. Lepszej metody nie ma. Podpisze pan zgodę i rano weźmiemy się do roboty.

- Ja? Nie ona? — spytał niepewnie Michael. - Na pewno chciałaby zrobić to osobiście. Nie możemy z nią najpierw porozmawiać?

- Michael. — Lekarz oparł dłoń na jego ramieniu. - Twoja żona cierpiała straszliwe bóle, sam Pan Bóg wie, jak długo. Uwolniłem ją od nich i nie chcę robić niczego, przez co musiałaby znowu je znosić. Podpiszesz za nią zgodę teraz, a ona podpisze ją jutro wieczorem.

Michael skinął głową, lecz zerknął na Delię. Musi mieć przy sobie kobietę, która podpowie mu, co robić — pomyślała Delia i w tym momencie poznała zięcia lepiej — niżby sobie tego życzyła.

- Będzie dobrze - powiedziała. - Wszystko będzie dobrze. Michael uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

- Dobrze - odrzekł. - Podpiszę, co trzeba, ale przed zabiegiem chciałbym zmówić z Amandą modlitwę. Nawet jeśli ona mnie nie usłyszy, usłyszy Pan Bóg. Wiem, że Amanda by tego pragnęła. — Zaczął podrzucać głową, podświadomie naśladując lekarza.

O Boże — jęknęła w duchu Delia, obserwując, jak sobie potakują. W co się ta dziewczyna wpakowała?

Amanda unosiła się w powietrzu. Jej ręce spoczywały na grubym bandażu niczym na poduszce, a nad jej głową huśtał się metalowy stojak z torebką przejrzystego roztworu soli

fizjologicznej i morfiny. Wiedziała, że torebka tam jest, wiedziała też, że ona, Amanda, leży w łóżku i że przez wbitą w żyłę igłę wchłania przynoszący ulgę płyn. Jednocześnie wiedziała, że jest zupełnie gdzie indziej, w miejscu tak bezpiecznym i cudownie szczęśliwym, że nie potrafiła tego wyrazić. Było to dobre miejsce, na pewno przedsiemek raj. Poruszyła się na tym, na czym leżała, i podziękowała Bogu, że ją tutaj przywiódł.

Jej biodra spoczywały na ziarnistych perełkach słodkiego masła, które wynosiły ją nad powierzchnię. Pod nią płynęła rtęć, srebrzysta słodycz i chłód. To się jej podobało. I to bardzo. Chłód i srebro przepływały miarowo między jej udami, a tworząca się tam rzeka była rzeką miłości Boga do wiernej, ukochanej córki. Wokół niej wirowały kuleczki masła. Odwróciła głowę. Każda kuleczka była rzeźbiona, mocno schłodzona i lśniąca. Chwyciła ich całą garść i przyjrzała się im z bliska. Były doskonałe. Uwielbiała maślane kulki. Melonowe też. Melonowe kulki w kantalupie i sosie Crenshaw, bladioróżowe i zielone. Jakie chłodne — rozmyślała. — Słodkie i chłodne.

Zamknęła dłonie i poczuła, że między palcami przeciska się owocowa pulpa. Jak miło. Bardzo miło. Zagwizdała przeciągle i poczuła, że wzbiera w niej chichot. Czy to masło ma w dłoniach czy melony? Co za różnica. Niczym zwinna jaszczurka smyrnęła głębiej w ciekły metal i znowu zacisnęła dłonie. Kulki wyskakiwały z nich z zabawnym poświstem. Spodobał jej się ten dźwięk. Odwróciła głowę, żeby wsłuchać się weń uważniej i nagle... Coś było nie tak, dobiegł ją dziwny, monotony pomruk. Z tyłu, zza głowy. Znajomy odgłos.

Och! - pomyślała. — To Michael się modli. O Boże. Westchnęła. Może powinna do niego dołączyć? Gdy otworzyła usta, wysypała się z nich długa strużka szarych pereł pieśni. Perfekcyjnie rzeźbionych maślanych koralii modlitwy. Koralik dla Boga, cenna kuleczka wiary. Głos Michaela rozmył się w oddali. Przypomniała sobie dotyk jego skóry. Miał takie piękne ciało. Niech go Bóg błogosławi — powiedziała, a słowa zmieniły się w perły, gdy Michael nakrył jej usta swoimi.

Chwała Ci, Boże — kontynuowała. — Chwalmy Pana. — Zaczęła poruszać biodrami w rytm słów męża - Och, dzięki Ci,

Panie. Przychodzę do Ciebie z rękoma pełnymi i otwartymi. - Nie miało to sensu, mimo to sens miało i radowała się każdym słowem przepływającym przez jej ciało. — Chwalmy Pana. Chwalmy Pana. Już umarłam i jestem bardzo szczęśliwa.

Rano zabrali ją na dół, nie wyciągając z ramienia rurki, przez którą wraz z magicznym sokiem sączyło się do jej ciała to słodkie, maślane uczucie.

— Czy ja umarłam? - spytała, z trudem poruszając suchym, opuchniętym językiem.

Pielęgniarka podała jej łyżeczek wody.

— Nie, kochanie, nic ci nie jest. Niebawem postawimy cię na nogi.

— Na nogi - powtórzyła Amanda. Rozejrzała się po sali. Wszystko było białe i jaskrawe. Pochylił się nad nią doktor Brown. Znała go. I nigdy go nie lubiła. - O Boże - wyszeptała.

— Pani Graham. Amando.

Ma gruby język - pomyślała. — I kołtuński wyraz twarzy. Uważa, że pozjadał wszystkie rozumy.

— Zajmiemy się tymi kamieniami żółciowymi, Amando.

Kamieniami żółciowymi? O czym on mówi? Przecież ona ma raka. Przecież ona umiera. To takie oczywiste. Jak łatwo jest umierać, kiedy się wierzy.

Doktor znowu się nad nią nachylił.

— Za chwilę coś pani poczuje. Ale to tylko fale dźwiękowe. Nie sprawią pani bólu, lecz poczuje je pani. Rozbiją kamienie i wróci pani do zdrowia.

Poruszyło się coś metalowego. Jakieś maszyny. Amanda chciała usiąść, lecz przytrzymały ją pasy. Brzuch, uda, ramiona — była mocno przypięta do stołu. Boże, zniszcz je - błagała - zniszcz je. Zbełtało się powietrze, drgnęło w nim coś wielkiego i osobliwego, naładowując wszystko elektrycznością.

W jej ciele zapulsował jakiś dźwięk, niepodobny do żadnego innego znanego jej dźwięku. Poruszył molekułami jej kości. Wzbudził prąd w jej mózgu. Był niczym morfina, gładki jak masło, porażający i magiczny, straszny jak oddech Boga. Przeniknął przez nią wielką falą i poruszył duszę.

Proszę Cię, Panie, tylko nie maszyna.

Wydała z siebie cichy pomruk, modlitwy i pieśni. Pulsowanie powróciło. W brzuchu poczuła dreszcz, głęboki, gładki jak alabaster. To Bóg. To Bóg do niej przemówił. W trzewiach słyszała Jego głos. Jak wówczas, gdy płodzili z Michaelem synów. To nie był seks, to była modlitwa: jego wargi na jej piersi, jego zęby na jej skórze, krótki oddech, którym ją karmił, jej imię niczym inwokacja w jego ustach. Aż nadeszła chwila, gdy stęzał każdy mięsień jej ciała, gdy każdy mięsień zdrzął w wielkim psalmie radości. Załkała, przywarła do Michaela, wiedząc ponad wszelką wątpliwość, że właśnie stworzyli dziecko. To było coś więcej niż zwykły orgazm: ta chwila była zaklęciem miłości. Uczucie, jakiego doświadczała teraz, ta rozdrzana czułość i wyzwolona z namiętności satysfakcja, bardzo tę chwilę przypominało, lecz tym razem nie był to akt tworzenia dziecka, tylko dziwnie niepokojące przeżycie. Doktor Brown mruzczał nad jej głową. Przez chwilę Amanda gniewała się na swoje ciało za to, że tak ją zdradza. Zwarła mięśnie do walki, lecz w tym momencie jej brzuch ogarnęła kolejna fala, porzmiewając echem tak silnym, że doszło aż do jej serca.

Odwróciła głowę. Mogła poruszać tylko głową. To nie maszyna - pomyślała. — To coś więcej.

- Dobrze — odezwał się doktor Brown i przestała walczyć. Znowu objęła ją fala pulsowania. Toczyła się przez nią, dudniła w niej, rozmawiała z jej kośćmi. Jezus — pomyślała Amanda. - To Jezus rozmawia z moim sercem.

Tak, Boże. Tak. Drgania powtarzały się, dźwięcząc w najmniejszych cząstkach jej ciała. To był głos Pana. Amanda skinęła głową. Rozumiała. Wiedziała, co powinna zrobić. Tak, Boże. Tak — szepnęła.

Obudziła ją cicha modlitwa Michaela. Pochylał się nad nią z dłońmi wspartymi o ramę łóżka. Spojrzała na jego głowę. Zawsze strzygł się tylko wtedy, gdy stała obok i mówiła fryzjerowi, co ma robić. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w siebie. Ból zniknął. Nie było nic. Ani pulsowania. Ani pieśni. Ani pereł. Zwilgotniały jej oczy.

Kamienie żółciowe.

Wybacz mi, Boże, moje zadufanie.

Otworzyła oczy. Michael spojrzał na nią i zamilkł, widząc, że się ocknęła.

— Och, moja ukochana — rzekł z uczuciem.

Skinęła głową. Zastanawiała się, czego Bóg oczekiwał od niej teraz. Zacisnęła powieki. Czegokolwiek od niej chciał, pomyśli o tym później. W tej chwili pragnęła jedynie leżeć bez ruchu i wsłuchiwać się w ciszę wypełniającą jej ciało.

Kiedy Amanda przechodziła w szpitalu okres rekonwalescencji, Cissy mieszkała w jej domu z Michaelem. Robiła to, nie ukrywając przykrości. Jean i Mim chciały znowu spędzić noc w jaskini, żeby nanieść na mapę ostro skracający korytarz i poszukać odcinka, który zdaniem Cissy mógł łączyć kilka jaskiń.

— No to kiedy ta twoja siostra wraca do domu? — spytała zniecierpliwiona Mim.

— Powinna już tu być — odparła Cissy. — Mieli ją dziś wypisać, ale podobno jest bardzo wycieńczona. Gdybym jej nie znała, pomyślałabym, że szuka pretekstu do dłuższych wakacji, ale to nie w jej stylu. Moim zdaniem Amanda potrzebuje snu.

— Jak już wróci, pojedziemy do Little Mouth — oświadczyła Jean, wymownie wzruszając ramionami. — Może poczekać. Jaskinia jest tam od początku świata i jak na razie nigdzie się nie wybiera.

Mieszkając w domu siostry, Cissy codziennie odkrywała coraz to nowe rzeczy. Kiedy gotowała płatki dla chłopców, czytała fiszki ze spisem artykułów żywnościowych przyklejone do szafek przez Amandę. Wrzucając do pralki ich dzinsy, na półkach w pralni odnajdowała kolejne karteczki. Na wszystkich widniało niewyraźne pismo Amandy, daty i liczby.

— Boże, ona wszystko zapisuje — szepnęła. Fiszki ze starannymi adnotacjami były w całym domu, widziała je na szafkach, półkach i szafkach.

— Wasza mama jest stuknięta — powiedziała małemu Gabbe'owi. — Kompletnie stuknięta.

Patrząc na nią z uśmiechem, zabulgotał w mleku. Obaj chłopcy, Michale i Gabriel, byli równie słodcy, jak ich matka zgorzkniała i kaśliwa.



— Tylko Amanda mogła nazwać synów imionami archaniołów — szydziła Dede, gdy się urodzili. Ani ona, ani Cissy nie spędzały z nimi wiele czasu.

Amanda nieczęsto spuszczała swe pociechy z oka i nie chciała, żeby ktokolwiek poza nią się nimi opiekował.

— Teraz już rozumiem - zwierzyła się kiedyś Cissy matce. - Nie chciała, żebyśmy odkryły, jacy naprawdę są. — Nie miała też wątpliwości, że malcy są też najbardziej męczącymi stworzeniami na świecie.

— Ani na chwilę nie można zostawić ich samych — narzekała.

— Jak każdego malucha, a dzieci, które dopiero co zaczęły chodzić, są niewiele mądrzejsze od niemowląt — pouczyła ją Delia. — Chłopcy Amandy są tacy sami jak wszystkie inne brzdące, tyle że trochę od innych ładniejsi.

Cissy nie miała siły z nią polemizować, uważała jednak, że Delia się myli. Nikt nie mógł być tak męczący jak Gabriel i Michael. Mały Michael skończył trzy i pół roku i natychmiast po przebudzeniu, gdy tylko otwierał oczy, zaczynał snuć opowieści, w których występowali na zmianę aniołowie i kierowcy ciężarówek. Radosnym sopranem recytował fragmenty Biblii, a kiedy już nic innego nie przychodziło mu do głowy, śpiewał *Jezus mnie kocha*. Mały Gabe, raptem czternastomiesięczny, ledwie zaczynał mówić, a już wyraźnie ubóstwiał starszego brata i otwierał usta niczym mały gupik, bezdźwięcznie naśladując nie kończący się potok słów, który wypływał z ust Michaela.

— Założę się, że Gabe nie nauczy się mówić, dopóki nie wyjdzie z domu.

— Nauczy się, nauczy. Ale rzeczywiście, póki tutaj siedzi, brat nie pozwoli mu nic powiedzieć.

Delia przychodziła do nich codziennie w południe, żeby sprawdzić, czy Cissy jeszcze nie zwariowała. Córka występująca w roli zastępczej matki wydała jej się przezabawnym zrzędzeniem losu, a to, że sama też robiła za opiekunkę, stwarzało cudowną okazję do nacieszenia się wnukami. Cissy nie miała zamiaru marnować żadnej sposobności uwolnienia się od chłopców choćby na minutę. Babcia i wnukowie szybko wypracowali własny język, tylko sobie znane gry i zabawy oraz zwyczaje, którymi malcy cieszyli się nie mniej niż ona sama.

— Na wszystko im pozwalasz, co? - zarzucała jej Cissy.

— Na wszystko — odparła Delia. — Na co tylko pozwalają wnukom babcie.

Gdy Delia przychodziła rano, Gabe zaczynał do niej gruchać i wymachiwać rączkami. Pochylała się nad nim, lizała go między brwiami i chłopczyk zaczynał perliście chichotać. W taki sposób się witali, a Delia uwielbiała patrzeć, jak po jej pocałunku twarzyczka malca marszczy się i rozjaśnia. Gabe szybko stał się jej ulubieńcem. Nie umiał jeszcze dobrze chodzić, więc podążanie za starszym bratem sprawiało mu sporą trudność. Mimo to nie zniechęcał się i czepiając się wszystkiego, czego tylko mógł się ucześcić — mebli, obrusów, ludzi czy psa - uparcie parł naprzód. Każdy metr pokonanego terenu okupywał upadkiem lub zejściem z obranego kursu. Zadziwiające zaś było to, że upadłszy, nie płakał. Natychmiast podnosił się z podłogi i ruszał przed siebie w pogoni za ignorującym go bratem. Gdyby Cissy w porę go nie podtrzymywała, kilka razy rozciąłby sobie głowę na schodach lub na kłęcznikach strategicznie rozstawionych przez Amandę po całym salonie.

— Nic dziwnego, że wyładowała w szpitalu — rzekła Cissy. — Dziwię się, że jeszcze nigdy nie przyprawiła płatków śniadaniowych pigułkami nasennymi.

Delia parsknęła śmiechem.

— Mówiłam ci, że nie masz pojęcia, jak wygląda życie twojej siostry. Wychowywanie dzieci jest sprawdzianem, jakiemu poddaje nas Pan Bóg. Przetrwac mogą tylko najsilniejsze. Słabe wzywają na pomoc matkę.

— No to ja jestem słaba. — Cissy starła z drzwi ostatnią smugę zaschłej ryżowej kaszki i opadła na krzesło. — Masz rację. Jestem tak słaba, jak tylko można to sobie wyobrazić i kompletnie szurnięta, że zgodziłam się zamieszkać w tym domu.

— Wszystkie maluchy to anioły — spointowała Delia i nachyliła się nad wnukiem, żeby jeszcze raz polizać go w czoło. Gabe zaśmiał się i objął ją ramionkami tak czule, że ponownie potarła policzkiem o różowy łuk jego maleńkiej stopy. - Niemowlęca skórka - westchnęła. - Tak cudownie pachnie...

— Chryste! - Cissy patrzyła na nią tak, jakby matka po-

stradała rozum. — Wychodzisz z siebie, co? Gadasz, jak na haju.

— Zaczekaj, aż będziesz miała własne dzieci. - Delia delikatnie rozplatała zmierzwione loczki dziecka.

— O tym od razu zapomnij. W tej sprawie w pełni zgadzam się z Dede. Jeśli chodzi o wnuki, możesz liczyć wyłącznie na Amandę. Z tego, co widzę, dzieci to fabryki kup, małe wysypiska odpadów produkcyjnych. Wiecznie wyciekają z nich płatki śniadaniowe, ryż i kaka. Poza tym uważam, że Michael z premedytacją załatwia się po kątach i próbuje to potem ukryć.

— Właśnie uczył się, do czego służy nocnik, gdy jego mama poszła do szpitala. Trzy i pół roku to właściwy wiek. Wcale mnie nie dziwi, że zachowuje się tak, kiedy Amandy zabrakło.

— Trzy i pół roku to o wiele za późno. Myślałam, że dzieci siadają na nocniku, gdy mają dwa lata.

— Naczytałaś się, co? — Delia bawiła się jak nigdy.

— Doszkałam się w czasie pracy. I powiem ci jedno: Michael wyrośnie na przebiegłego faceta. Schował brudne majtki w skrzyni na ziemniaki. Nawet nie wiem, jak długo tam leżały, kiedy je znalazłam. Musiałam wyrzucić wszystkie ziemniaki, wychlorować skrzynię i wystawić ją na słońce.

Delia uśmiechnęła się i nabrała w dłonie ciepłej wody, po czym ostrożnie oblała nią rozbawionego i chlapiącego się Gabe'a. Siedział w waniencie ustawionej na kuchennej ladzie. Cissy spisywała się doskonale, doglądając domu, ale panicznie bała się kąpienia chłopców. Raz omal nie upuściła Gabe'a, a Michael nasiusił jej na twarz, gdy szorowała go gąbką.

— I zaczął się śmiać — opowiadała potem Delii. — Dobrze wiedział, co robi.

W rewanżu Delia opowiedziała jej, jak robiła to ona, Cissy: stała na golasa przy krawędzi wanny i siusiała najdalej, jak umiała.

— U dzieci to normalne — wyjaśniła. — To objaw temperamentu, a nie złośliwości.

Cissy nie była o tym przekonana. Czekać na kąpiel, mały Michael oglądał zaaprobowane przez Amandę kreskówki nadawane w ewangelicznym programie kablowym. Przenikliwy sopran dzieciaka wyraźnie odcinał się od basu spikera.

— Uważaj! Uważaj! - Brzmiało to tak, jakby mały ostrzegał

Daniela przed wkładaniem rąk do paszczy lwa. Cissy przysiadła na piętach i przekrzywiła głowę.

— Czy któraś z nas mówiła tyle co on? Amanda?

— Amanda? Nie. — Amanda i Dede były bardzo małowówne. Wcześniej zaczęły chodzić, lecz mówiły niewiele. — Ty trochę mówiłaś, ale myślę, że głównie przez Randalla. Często przysuwał twarz do twojej twarzy i namawiał cię, żebyś się odezwała.

— Boże, po co?

— Ojcowie tak lubią.

— Czyste wariactwo. Ja tam lubię, jak ci dwaj śpią. Są najlepší, kiedy tracą świadomość. Jak są przytomni, każdy nabawi się przez nich kamieni żółciowych. Kamieni, przepukliny i wysokiego ciśnienia. To cud, że tak niewiele matek mdleje. Czytałaś te broszury, które Michael przyniósł ze szpitala? Stres i żółć, właśnie to załatwiło Amandę. Kobiety w ciąży, cukrzycy i ludzie o wysokim stężeniu cholesterolu we krwi są najczęstszymi ofiarami kamieni żółciowych. Założę się, że od urodzenia Michaela Amanda zjadała resztki po dzieciach, przecier jabłkowy i maślany sos. A żółć? Przyszła na świat z tonami żółci. Myślę, że to dzieciaki wykańczają człowieka. Chowanie dzieci to przedsięwzięcie bardzo niebezpieczne dla życia.

Delia przytuliła owiniętego we frotowy ręcznik Gabe'a. Słuchając Cissy, potrząsała głową, lecz milczała. Przypomniała sobie malutką Amandę z roziskrzonymi oczyma i miękkimi, rozwartymi usteczkami. Jej twarooka córka była najśłodszym maluchem pod słońcem. To Cissy przyszła na świat jako mal-kontentka, jako małe, gniewne stworzenie o zawziętym wyrazie twarzy. Ponura i wiecznie obrażona, w każdym calu przypominała Randalla. Jako sześciotygodniowe niemowlę cierpiała na kolkę jelitową, dwukrotnie przechodziła krup. Była jej najtrudniejszym dzieckiem, lecz Delia miała dość rozumu, żeby zachować tę informację dla siebie. Patrzyła, jak Cissy wylewa do zlewu wodę z kąpieli Gabe'a. Nie, nigdy jej tego nie powie. Gabe potarł buzią o jej szyję, a ona zacmokała cicho w jego włoski.

— Och, mój ty przystojniaczku — szepnęła, obserwując, jak córka wyciera brudną wodę przy zlewie. - Skarbie ty mój jedyny, jesteś najwspanialszym chłopczykiem na świecie. Tak, tak, naprawdę. — Cissy wywróciła oczami z przesadną pogardą,

a Delia tylko uśmiechnęła się pod nosem. Zabawne. To, że czasami tak łatwo dawała się rozgryźć, było najlepszym darem, jaki mogła ofiarować córce. Cóż, skoro tego jej trzeba... Wzruszyła ramionami.

— Jesteś najcudowniejszy z cudownych.

Gabe znowu zagaworzył i wszyscy troje byli najszczęśliwsi ludźmi pod słońcem.

Delia dała Cissy trochę wolnego. Niedługo wracała Amanda i zależało jej na każdej spędzonej z chłopcami godzinie. Cissy szybko podziękowała i wybiegła z domu. Delia posadziła Gabe'a w wysokim krzeselku, przysunęła miseczkę z przecierem jabłkowym i uszczęśliwiona, zabrała się do karmienia. Nieźle się sprawdzam jako babcia - pomyślała radośnie. — Naprawdę nieźle. Lepsza ze mnie babka niż matka. Wyjrzała przez drzwi, ale Cissy już nie było.

Jako matka wywoływała zaciętrzewienie i gniew. Nigdy nie potrafiła o tym rozmawiać, ale czasem odnosiła wrażenie, że to, co zdarzyło się w jej życiu, ma sens. Czytała Betty Friedan. Widziała *Up the Sandbox*. Ale najczęściej słuchała muzyki: Janis, Arethy, niekiedy nawet Loretty Lynn. Grzech był monetą, którą grali chłopcy, wstyd ich grą. Samotna kobieta nie mogła pozwolić sobie na takie zagubienie. Delia przeanalizowała całe swoje życie i wypracowała pewne odpowiedzi. Nie — powiedziała bezgłośnie, karmiąc Gabe'a pełnymi łyżkami jego ulubionego przecieru. Nie popełniła błędu, odchodząc od Clinta, wiążąc się z Randallem ani rzucając ich obu. Urodziła Cissy i wróciła po swoje dziewczynki. Wszystkie decyzje podjęła z określonego powodu, lecz dobijała ją cena, jaką przyszło jej za nie płacić w przeszłości i teraz: sposób, w jaki patrzył na nią Emmet Tyler, i jej pewność, że nie powinna tego spojrzenia odwzajemniać, to, że Amanda i Cissy nie chciały z nią rozmawiać, twarz spoglądającej w dal Dede, gdy dziewczyna myślała, że nikt jej nie widzi.

Czasami odnosiła wrażenie, że gdzieś z tyłu jej głowy siedzi babka Windsor, w każdym razie ktoś używający wielkich i przykrych słów bożych, ktoś mówiący o Bogu baptystów i o grzechu zielonoświątkowców. Mogła się z tego wrażenia otrząsnąć,

ale tylko częściowo. Wiedziała o tym już wtedy, gdy Cissy pierwszy raz krzyknęła, że jej nienawidzi, kiedy pierwszy raz spojrzała Amandzie w oczy, gdy zobaczyła Dede zagryzającą dolną wargę i obgryzającą paznokcie. Wszystko miało jakąś cenę. Wszystko. Delia płaciła całe życie. Patrząc na córki, myślała tylko o jednym: niech one nie płacą aż tyle. A spoglądając na wnuki, zaczyna wierzyć, że wszystko jakoś się ułoży.

## 19

Dziadek Byrd umarł na siedząco, paląc papierosa.

- Wyglądał tak samo jak zawsze. Siedział na ganku, a ja zajmowałam się domem — opowiadała pani Stone w „Bonnet”. — Nie to, żebym sprawdzała, jak często się ruszał. Ostatnimi laty spędzał na ganku czternaście godzin na dobę, ale zawsze do niego zaglądałam.

Delia i dziewczynki znały panią Stone tak słabo, że ledwie ją rozpoznawały. Zamieszkała w domu dziadka na stałe mniej więcej wtedy, kiedy Amanda wychodziła za mąż, ale nikt nie wiedział, jak zdołała nakłonić starego, żeby zgodził się ją przyjąć.

- Myślisz, że oni to robią? - spytała kiedyś Dede.

- Nie - odparła Delia. - Ona potrzebuje dachu nad głową, a on kogokolwiek do towarzystwa. Cieszę się, że nie musiałam jeździć tam i sprawdzać, czy nie wrzeszczy na przejeżdżające autostradą samochody.

- Stuknięty z niego staruszek.

- A z niej twarda sztuka. - Delia nie chciała rozmawiać o dziadku. Nigdy o nim nie mówiła. - Nic lepszego nie mogło się mu przytrafić. W każdym razie oszczędza mi to kłopotu.

Kiedy pani Stone przyszła do Delii z wiadomością o śmierci dziadka, była zdenerwowana, lecz uważająca i grzeczna. M.T. powiedziała, że to ładnie z jej strony, iż pofatygowała się osobiście, na co pani Stone wyraziła przekonanie, że nikt nie powinien dowiadywać się o śmierci bliskiego przez telefon.

Kiedy Delia przysiadła się do niej na sofie przy drzwiach, pani Stone założyła rzadkie włosy za uszy i krótko zaciągnęła się salemem. Była wciąż dużą kobietą, choć skóra zwisająca na starczej szyi i ramionach wskazywała, że swego czasu musiała być jeszcze większą. Przycupnęła na sofie, jakby nie chciała obciążyć jej całym ciężarem ciała. Tak — pomyślała M.T. — na pewno kiedyś była znacznie grubsza.

- Miał dobrą śmierć — rzekła pani Stone. - Dobrą śmierć.

Delia skinęła głową i pociągnęła łyk wody z niedużej butelki, którą wyjęła z lodówki na zapleczu. Od zapachu dymu salemas zaschło jej w ustach. Nie paliła już od pół roku, ale wciąż miała wielką ochotę na papierosa. Po co rzucałam palenie? - zastanawiała się, usiłując skupić uwagę na tym, co mówi siedząca obok kobieta.

- Jak już wspominałam, siedział na ganku w starym bujaku, który mu tam wystawiłam. Ile to ja się nagadałam, żeby wreszcie usiadł w fotelu, zamiast kucać na schodkach! Przez gwoździe w tych schodkach miał na siedzeniu portek same dziury. A jak tylko usiadł w fotelu, od razu zrobiło się inaczej. Myślę, że i kolana przestały mu tak dokuczać, choć nigdy o tym nie mówił. Sama pani wie, jaki był. - Rozejrzała się za popielniczką i uśmiechnęła się z wdzięcznością, gdy M.T. podała jej pamiątkowy talerzyk ze Stone Mountain. - Byłam tam — ciągnęła pani Stone, kładąc papierosa w miejscu, w którym szczyt góry dotykał brzegu talerza. Uśmiechnęła się jeszcze raz, popadła w krótką zadumę i ponownie odgarnawszy włosy do tyłu, spojrzała na Delię.

- No więc tak. Od długiego czasu pani dziadek nie przypalał nowego papierosa. Trzepałam obok niego chodniki, a on nic, choć zwykle się wtedy skarżył, i właśnie to mnie zaniepokoiło. Przywykłam do tego, że wciąż pochrząkuje i spluwa na boki, bo kurz doprowadzał go do szału. Ale tym razem ani drgnął. Nawet byłam mu za to wdzięczna, gdy wtem zauważyłam, że spadł mu popiół z papierosa, a palce ma poparzone. Umarł biedaczyna między jednym sztachem a drugim. A papieros spalił się do końca.

Pani Stone uśmiechnęła się łagodnie.

- Umarł, jak trzeba — dodała, z emfazą kiwając głową. - Spokojnie. Jak trzeba.

Cissy zerknęła przez ramię na twarz matki, na jej wessane policzki i mocno zaciśnięte zęby. Zaraz się rozplącze — pomyślała. Ale Delia tylko potrząsnęła głową i poprawiła spinki w spiralnie skręconym koczkę. Jej wargi poruszały się, powtarzając nieme przekleństwo.

- Do diabła - powiedziała w końcu. - W takim razie to chyba jedyna rzecz, jaką zrobił w życiu właściwie. - Odwróciła się i sięgnęła po torebkę.

Cissy pojechała z Delią do domu dziadka Byrda. Dede dołączyła do nich na skrzyżowaniu z międzystanówką numer osiemdziesiąt cztery. Prowadziła małego volkswagena, którego kupiła od Malcolma, siostrzeńca Marcii Pearlman, i ochrzciła przydomkiem „rzepka”. Samochód był pomalowany na czerwono, fioletowo i biało, a tylny zderzak miał pokryty skorupą zaschniętego błota, gdyż Dede wiecznie uderzała tyłem wozu w ziemny nasyp przy parkingu dla przyczep.

— Dzwoniła do mnie M.T. — rzuciła do Cissy, wysiadłszy z samochodu. Miała na sobie obcięte džinsy i jeden z biało-czarnych podkoszulków od Goobera z napisem „Sama sobie potrzynam” oraz z rysunkiem dłoni obejmujących biust jego właścicielki. Skinęła głową pani Stone. - Naprawdę umarł?

— Tak — odparła z uśmiechem pani Stone. — Naprawdę. Spokojniej odejść nie mógł. Nigdy dotąd nie widziałam tak dobrej śmierci. — Zerknęła na widniejący na koszulce napis, spiekła raka, mimo to nie przestając się uśmiechać, wprowadziła je do domu.

Cissy była tu pierwszy raz, od chwili gdy zawiąły do dziadka zaraz po przyjeździe do Cayro. Wydało jej się, że nic się tu nie zmieniło, choć pani Stone musiała podlewać krzaki po obu stronach ganku. Były pełniejsze, nie tak brązowe i suche. Natomiast sam budynek wyglądał jak przedtem, z tym że zerwano schodki wiodące na ganek i zastąpiono je nowymi, przez co reszta domu zdawała się jeszcze bardziej zniszczona i srebrzysta. Sosnowy szalunek miejscami sprawiał wrażenie miękkiego jak gąbka, na drzwiach widniały tłuste plamy od rąk, a na różowej tapecie w korytarzu ciągnęły się smugi pleśni.

- Nie mogłam tego doczyścić — wyjaśniła pani Stone, idąc



za spojrzeniem Cissy. — Pan Byrd twierdził, że zostawił je Luke, wracając do domu po całonocnym pijaństwie. Możliwe. Są tłuste, dlatego nie chcą zejść. — Obecność trzech rozglądających się po domu kobiet wprawiała ją w zdenerwowanie.

— Jest tam. Nie zrobiłam przy nim za wiele. Umyłam go tylko i przykryłam. Jasper, ten z Texaco, pomógł mi wnieść go do środka. — Machnęła ręką w stronę sypialni, do której wchodziło się z salonu przez drzwi obok łukowatego kominka.

Za drzwiami widać było jedynie wezgiłowie łóżka — duże, ciemne wezgiłowie, od którego odpiłowano słupki baldachimu, tak że w oczy rzucał się jaśniejszy, choć zakurzony miąższ drewna. Ponieważ z łóżka zdjęto poduszki, dziadek leżał z lekko odchylną głową i sterczącą do góry brodą.

— To niesamowite, jaki jest ciężki. No, ale martwi zawsze są ciężcy. Pamiętam, jaki ciężki był mój mąż Howart.

Cissy i Dede gapiły się na nią wbrew swojej woli, natomiast Delia zignorowała ją i patrzyła w stronę otwartego pokoju i leżącego w nim ciała.

— Pani wie, że ten dom należy teraz do pani. — Pani Stone próbowała zwrócić na siebie jej uwagę. Podeszła bliżej, zasłaniając Delii widok na sypialnię. — Rodzice go pani zapisali - dodała. - Pani tatuś sporządził przed śmiercią akt własności. I nie zostawił testamentu. Kiedy pomagałam panu Byrdowi złożyć podanie o zapomogę z ubezpieczalni, przejrzałam wszystkie dokumenty, ale testamentu nie znalazłam. Dlatego wszystko należy teraz do pani. Zawsze należało.

Delia milczała. Ominęła panią Stone i ruszyła do sypialni. Cissy zawahała się, nie wiedząc, czy za nią iść, ale Dede podeszła już do kominka, na którym stało mnóstwo różnych przedmiotów.

— Oporządziłam go najlepiej, jak umiałam - ciągnęła pani Stone.

Cissy myślała, że chodzi jej o ostatnią posługę, lecz wkrótce przekonała się, że pani Stone mówi o czymś innym.

— Nie był kłopotliwy, kiedy już się do niego przywykło. Zależało mu tylko na spokoju i ciszy. Mówił, że nie chce słyszeć babskiego trajkotania. Ale nie, jak się pani domyśla, nie położyłam uszu po sobie. Powiedziałam mu, że nie zamierzam chodzić koło niego na palcach. Co to, to nie.

Delia wreszcie na nią spojrzała.

- Zawsze zależało mu na spokoju.

- Cóż, stary był. Starcy tego potrzebują. — Pani Stone znowu skinęła głową.

- Ile miał lat? - W głosie Dede zabrzmiała nutka szczerzej ciekawości. — Nigdy nie chciał powiedzieć.

— Och, na pewno koło setki. Kiedy zaczęłam załatwiać mu zasiłek, ci z opieki bardzo się dziwili, że do nich przychodzę. Pewnie uznali go za zmarłego. Niewielu dziewięćdziesięciolatków ubiega się o świadczenia.

Delia spojrzała w stronę sypialni. Podeszła do drzwi i przystanęła.

Cissy zerknęła na siostrę.

— Byłaś tu kiedyś? — spytała.

- Parę razy. - Dede miała czujną twarz i wykrzywione usta, jakby gnębiły ją gorzkie myśli. - Kilka razy przyjechałam go odwiedzić. Nigdy za wiele nie mówił.

Patrzyły na siebie w milczeniu. Pani Stone opowiadała o swoich osiągnięciach, o tym, jak zmusiła starego do wypełnienia papierów dla ubezpieczalni. Delia spojrzała na nią przelotnie pociemniałymi z gniewu oczami. Skórę przy powiekach miała mocno napiętą. Cissy poczuła, że ogarnia ją złość. Delia i Dede o czymś wiedziały — poznała to po ich oczach.

- Cóż, wypłacali nam tylko sto pięćdziesiąt cztery dolary miesięcznie - ciągnęła pani Stone. - Marne to pieniądze, ale dzięki jajkom i jarzynom z ogródka, które sprzedawaliśmy z ganku, dawałam sobie radę. I to całkiem nie najgorzej. — Była z siebie zadowolona, promieniała poczuciem sukcesu.

— To dobrze, że umarł w domu — dodała. — Należała mu się dobra śmierć.

Wszystkie na nią spojrzały. Pani Stone poczerwieniała i spieszenie przeniosła wzrok z Cissy na Dede.

— Pomyśleć tylko o tragedii, jaka go spotkała. Stracił synów. Luke przesiedział w więzieniu prawie całe życie. No i pani tatuś... — Zrobiła nieokreślony ruch ręką i posmutniała. — Takie nieszczęście - rzekła. — Takie nieszczęście.

— Chciałabym go zobaczyć. — Delia weszła do sypialni, uciekając od nagle zbolącej pani Stone. Spojrzała na nią tylko raz, już zza progu, i zamknęła za sobą drzwi.

Pani Stone kiwnęła głową, wyjęła chusteczkę do nosa, otarła oczy i popatrzyła na Dede i Cissy.

— Takie nieszczęście — powtórzyła.

Cissy nie dostrzegła łez, lecz smutek starej robił wrażenie autentycznego.

Pani Stone wydmuchała nos i ze współczuciem pokręciła głową.

— Nie pozostał jej nikt z rodziny. Poza wami, prawda? - Najwyraźniej nie zamierzała umilknąć, jakby lata opieki nad dziadkiem Byrdem zachęcały ją teraz do gadulstwa. A może po prostu nie wiedziała, jak zachować się przy ludziach, którzy miast pograżyć się w smutku i bóleści, odczuwali zwykłą ciekawość? — Och, dużo o was słyszałam. - Pani Stone machnęła chusteczką w stronę dziewcząt. — Córki Delii. Mój Boże. Biedaczki.

Cissy zmrużyła oczy. Jeśli stary naprawdę to powiedział, na pewno myślał o Amandzie i Dede. Dawała głowę, że o niej nigdy nie wspomniał.

Dede podeszła do pani Stone i położyła dłoń na jej ramieniu.

— Chciałybyśmy pobyć chwilę same. Wiem, że ma pani mnóstwo pracy. Na pewno trzeba tu co nieco ogarnąć. Nie będziemy pani zatrzymywać.

Pani Stone niemo rozwarła usta.

— Właśnie zamierzałam porozmawiać z waszą mamą — wybąkała. - Są sprawy... Są pewne sprawy, które musimy omówić.

Chce tu zamieszkać — pomyślała Dede. — Pewnie nie ma dokąd pójść. Kiwnęła głową, poklepując ją po ramieniu.

— Tak — odparła — ale będzie na to mnóstwo czasu później. Jestem pewna, że ma pani teraz co robić.

Pani Stone stanowczo pokiwała głową.

— O tak. Tak, tak - odrzekła i ruszyła do kuchni.

Dziewczęta odprowadziły ją wzrokiem, a kiedy zamknęły się za nią drzwi, jednogłośnie westchnęły.

— Wielki, solidny tyłek — skonstatowała Dede. — Ile ona może mieć lat?

— Wystarczająco dużo, żeby przestać pleść bzdury - odparła z goryczą Cissy.

Zamyślona Dede kiwnęła głową.

— Boże, nie dopuść, żebym kiedykolwiek była tak zdespe-

rowana — mruknęła, przeciągając rękę od karku do podbródka. — Nie ma nic smutniejszego. — Popatrzyła na siostrę. — Nie uważasz?

Cissy wzruszyła ramionami.

— Naprawdę przyjeżdżałaś tu sama? — zapytała. Obserwowała, jak Dede lustruje pokój, omiatając spojrzeniem starocie, narzędzia i bibeloty. Na półce nad kominkiem siedziały porcelanowe lalki ustawione według wielkości. Wszystkie były w czerwonych fartuszkach, wszystkie miały identyczne twarze — czarne, o przesadnie wyrazistych rysach - i czerwone usta.

— Założysz się, że to lalki pani Stone? — Dede machnęła ręką w stronę kominka.

Cissy parsknęła śmiechem.

— Ani mi się śni.

— Tak — przyznała po chwili Dede. - Zajrzałam tutaj, kiedy wróciłyście do Cayro. Zanim Delia przyjechała do babki i zabrała nas do siebie. — Rozejrzała się po pokoju. — Jedno trzeba starej przyznać: jest tu teraz zdecydowanie czystiej. Było okropnie.

Cissy czuła w ustach smak kurzu, ale pokój rzeczywiście wyglądał znośnie. Zamieciona podłoga, wyrównany chodnik, wyszorowane blaty - dużo różnych gratów, ale czysto. Mimo to powietrze miało gorzki smak starości, smak drewna, jakby z sosnowych ścian sypała się miazga pyłu.

— Przyjechałaś tu sama? — Cissy obserwowała jej oczy. Poruszały się, patrzyły to tu, to tam. Coś tu nie grało. Coś ją niepokoiło. Wyglądała tak, jakby wypita za dużo kawy albo zbyt długo coś w sobie tłumiła. Drgały jej mięśnie karku.

— Tak. Przyjechałam tu sama. — Odwróciła się do kominka. — Ty nie wiesz. Babcia Windsor nigdy nic nam nie mówiła. Wykrzykiwała tylko imię Delii i kłęła. Mówiła, że jestem taka sama jak moja matka. Że jestem grzeszna i mam serce z kamienia. Obrzucała mnie takimi wyzwiskami, jakich byś się po niej nie spodziewała, ale przy nas nie wzdragała się przed najgorszymi słowami. Przed najgorszymi. — Umilkła. — Poza tym niejednego się nasłuchiłam. Ludzie uwielbiają mówić straszne rzeczy. Wiedziałam, że stary tu mieszka. Przyjechałam okazją, żeby na własne oczy zobaczyć, kto to jest.

— I powiedział ci coś? Nie do wiary. Był twardy jak skała.

Szkoda, że nie widziałaś, jak potraktował Delię. — Cissy skrzywiła się na wspomnienie pierwszego ranka spędzonego w Cayro, kanapki z przegotowanym jajkiem na kolację i starca o szponiastych dłoniach i złych oczach. - Chrrrum.

Dede uśmiechnęła się szeroko.

— Wyobrażam sobie — rzekła. — Wyobrażam sobie.

Po obu stronach półki nad kominkiem wisały biało-czarne zdjęcia w malowanych metalowych ramach. Na większości z nich widać było samochody i stojących obok nich ludzi. Na każdej fotografii stali inaczej, lecz zawsze byli to ci sami ludzie: dzieci, kobieta, mężczyzna i — dziwne, jak mało się zmienił — sam dziadek Byrd. Dede wskazała palcem jedno ze zdjęć.

— To wujek Luke, ten, o którym mówiła. Przez jakiś czas ścigał się ciężarówkami do przewożenia bydła. To właśnie jego zawsze chciałam poznać, ale siedzi w więzieniu, odkąd się urodziłam.

Cissy podeszła bliżej i przyjrzała się nieznanemu mężczyźnie.

— Zabił kogoś? — spytała.

— Coś w tym stylu. - Dede wzruszyła ramionami. - Stary nie chciał powiedzieć.

— A co powiedział?

Dede obróciła się do Cissy z dziwnie ściągniętą twarzą, na której malowało się uczucie zbliżone do grozy.

— Mówił o Delii. Mówił o niej jak o siódmym cudzie świata.

— Przecież jej nienawidził.

— Możliwe. — Dede znowu wzruszyła ramionami. - Jeśli nawet, to napawała go również i dumą. Dziwny był z niego staruch.

Cissy popatrzyła na zdjęcia. Pośrodku stała fotografia ze smugą na dole. Tapeta pod ramką była osmalona, jakby ktoś za blisko przysunął świeczkę. Było to zdjęcie rodzinne, na którym zebrani wspierali się o karoserię jednego z dawnych aut grubasów o zaokrąglonych zderzakach. Kobieta trzymała w ramionach niemowlę, a w jej spódnicę wtulali się dwaj mali chłopcy. Obok kobiety stał przystojny mężczyzna z małą dziewczynką na barana; kolanka małej sterczały na wysokości jego podbródka. Tuż obok nich stała uśmiechnięta karykatura

dziadka Byrda, na tyle do niego podobna, że Cissy zdołała rozpoznać jego twarz.

— Rozmawiał z tobą — szepnęła.

— Trochę. Musiałam być cierpliwa. Nie mogłam zadawać mu żadnych pytań, bo od razu robił się złośliwy i zamykał się w sobie. Ale mnie to nie przeszkadzało. Wychowałam się u boku babci Windsor. — Roześmiała się chrapliwie. — Dziadek Byrd nawet się do niej nie umywał.

Cissy pokręciła głową. Usiłowała sobie wyobrazić dziadka Byrda siedzącego na ganku i rozmawiającego ze swoją wnuczką jak normalny człowiek. To ją przerastało. Znowu spojrzała na zdjęcie. Kiedy pstryknęła migawka, stary albo dopiero co się uśmiechnął, albo też właśnie miał zamiar to zrobić. Poznała to po kształcie jego ust.

Powiodła wzrokiem po innych ludziach z fotografii. Kobieta się śmiała. Włosy miała w odcieniu, jakiego nabrały włosy Cissy zeszłego lata, jasne, prawie blond, ale jej twarz bardzo przypominała twarz Delii. Cissy zerknęła na Dede.

— Jest podobna do ciebie — powiedziała.

Dede podeszła bliżej.

— Może. - Zmarszczyła czoło. - Chyba bardziej do Delii.

— Nie. — Cissy potrząsnęła głową. — Do ciebie.

Dede ściągnęła usta i wruszyła ramionami.

— To właśnie oni. Utracona rodzina. — Sunęła palcem po zdjęciu, postukując w każdą postać. - Mama Delii, czyli nasza babcia. Tatuś Delii, ukochany syn dziadka Byrda. I chłopcy. No i Delia we własnej osobie. - Palec zatrzymał się na małej dziewczynce. — Są tu wszyscy.

Cissy wpatrywała się w kobietę i chłopców.

- Umarli?

— Uhm. Co do jednego.

— Cholera.

— Przecież wiedziałaś. — W stwierdzeniu tym zawierało się oskarżenie i pytanie zarazem.

Cissy zmarszczyła czoło. Co wiedziała? Znowu popatrzyła na małą dziewczynkę, na Delię. Na spokojną, beztroską buzię dziecka zadowolonego ze swego miejsca na ziemi. Na jej otwarte, gotowe do uśmiechu usta, które musiały często się śmiać. Na drobną, szczupłą twarzyczkę o dużych oczach. Mogła

liczyć sobie nie więcej jak siedem, osiem lat. Chłopcy mieli poobijane kolana, kanciaste łokcie i szczyrzyli się szeroko. Niemowlę wtulało się w szyję matki. Każdy się na kimś wspierał. Tworzyli szczęśliwą rodzinę. Rodzinę Delii.

Delię wychował dziadek Byrd - tyle Cissy wiedziała na pewno. Wiedziała również i to, że reszta rodziny zginęła. Co nieco obiło jej się o uszy, szeptano o tym po kątach, przebąkiwano. Pamiętała surową twarz Delii, twarz pełną smutku i bólu. Nie, nie w porze płaczu. Wcześniej. Opowiadano jakąś straszną historię i szybko ją pogrzebano. A może nic nie opowiadano? Jak oni zginęli? W wypadku samochodowym? Cissy przebiegła wzrokiem utrwalone na zdjęciach samochody i powróciła spojrzeniem do niemal uśmiechniętego dziadka Byrda.

Drzwi do sypialni otworzyły się na oścież i weszła Delia. Oczy i policzki miała zupełnie suche. Cissy aż drgnęła, rozpoznając w jej pociągłej twarzy twarz małej dziewczynki ze zdjęcia.

— Będę musiała porozmawiać z wielebnym Hillmanem — oznajmiła. - A może z Michaeliem? Może Amanda wolałaby, żebym poprosiła Michaela? — Przeczesała włosy ręką i spojrzała na kuchenne drzwi. - I z panią Stone. Trzeba się z nią dogadać.

Ruszyła do drzwi z pochylonymi ramionami. Starzeje się — pomyślała Cissy. Znowu popatrzyła na zdjęcie i na małą dziewczynkę. Jak dawno temu je zrobiono? Przed trzydziestu pięciu, przed czterdziestu laty? Pomyślała o starcu na łożku, o swoim pradziadku, i o mężczyźnie z fotografii. Mężczyzna z fotografii miał drobne zmarszczki śmiechu wokół ust i kurze łapki wokół oczu. Był członkiem szczęśliwej rodziny. Stojący za nim uśmiechnięty ciemnowłosy wujek opierał nogę o zderzak. On także się śmiał. Rodzina, której Cissy nie знаła. Nie znała nikogo z nich. Przeszedł ją dreszcz.

— Wszyscy umarli — wyszeptwała.

U jej boku stanęła Dede.

— Zdarza się — powiedziała. — Straszne rzeczy zdarzają się codziennie. — Skrzyżowała ręce i chwyciła się za ramiona. — Wyjdźmy. Muszę zapalić.

Cissy zerknęła w stronę kuchni, ale Delia zniknęła już za

drzwiami. Odwróciła się i ruszyła za siostrą, nie przestając rozmyślać o fotografiach. Teraz należały do Delii, wraz z domem i całą resztą. Cissy przeciągnęła ręką po smudze na tapecie w korytarzu. To wszystko należało do rodziców Delii. Do rodziny.

Dede przysiadła na schodkach i wytrząsnęła z paczki camela. Przypaliła go jednorazową zapalniczką, jedną z tych, które zmieniają barwę pod wpływem ciepła; trzymała je w sklepie, przy kasie. Jaskrawoniebieska zapalniczka zaczęła opalizować błękitem, potem drżącym szafirem. Dede wiecznie zmieniała zapalniczki. Kupowała je, potem gubiła gdzie popadnie. Tę przerzucała chwilę z ręki do ręki, w końcu położyła ją na stopniu.

Cissy usiadła obok siostry. Zdawało się, że wymiary podwórka uległy jakiejś zmianie. Niebo pociemniało, wiatr przybrał na sile.

— Będzie deszcz — zauważyła.

— Może. — Dede zerknęła na nią, potem znowu popatrzyła na podwórze. - Nolan chce, żebym za niego wyszła.

Cissy obróciła się do niej.

— Co?

— Chce, żebym za niego wyszła. — Dede miała ściągniętą twarz. Robiła wrażenie zagniewanej.

— A ty go nie chcesz?

— W ogóle nie chcę wychodzić za męż. - Dede mocno kopnęła w stopień schodów. — Ani za Nolana, ani nikogo innego. — Zaczęła kiwać się do przodu i do tyłu, podczas gdy palce jej ręki wykonywały skomplikowaną sztuczkę z papierosem. Zaciągnęła się i wypuściła dym długą strużką. - Cholera jasna.

— Nie kochasz go? — Cissy zadała to pytanie bardzo ostrożnie, lecz to nie wystarczyło.

Dede zerwała się na równe nogi.

— Do diabła! Pewnie, że go Kocham. - Zaczęła chodzić tam i z powrotem, wymachując papierosem niczym wskaźnikiem. - Ale małżeństwo? Małżeństwo wszystko schrzania. Pomyśl tylko. Czy znamy kogoś, kto jest szczęśliwy w małżeństwie?

— Amandę?

— Amandę! Amanda nie jest szczęśliwa.



Cissy patrzyła, jak niebieska zapalniczka drży na krawędzi stopnia.

— Dede, ty kochasz Nolana.

— Miłość nie ma tu nic do rzeczy. To nie miłość, tylko małżeństwo jest do bani. Wolałabym już wytatuować sobie imię Nolana na tyłku niż wyjść za niego za mąż. — Dede przerwała gniewny marsz i na jej twarzy wykwitł uśmiech, jakim nigdy się dotąd nie uśmiechała, po części radosny, po części gniewny. — Naprawdę. Tatuaż wygląda o wiele lepiej niż ślubna obrączka.

Cissy skinęła głową. Dede była gotowa na wszystko, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Może to z powodu śmierci dziadka, ale dopiero teraz uświadomiła sobie, że Dede jest ostatnio coraz bardziej spięta. Myślała, że to przez Emmeta, który znowu zaczął kręcić się przy Delii. M.T. mówiła, że Delia chodzi z nim na długie lunche, na co mniej więcej tydzień wcześniej uskarżała się Dede. Śmieszne w tym wszystkim było to, że Cissy dobrze wiedziała, iż Dede Emmeta lubi. Z równowagi wyprowadzała ją tylko myśl, że Delia mogłaby wyjść za niego za mąż. Ale co z Nolanem? Dede go kochała, a on z całą pewnością kochał ją. W takim razie gdzie tkwił problem?

— Wszystko się rozpieprzy — powiedziała Dede.

Cissy spojrzała na nią. Siostra stała z odrzuconą do tyłu głową, patrząc na burzowe chmury kłębiące się na niebie. Oczy miała zaczerwienione i wilgotne. Strzeliła papierosem w trawę.

— Wszystko się dokumentnie rozpieprzy — powtórzyła monotonnie głosem człowieka smutnego i pokonanego.

Boże - pomyślała Cissy. - Nie pozwól jej popełnić głupstwa. Proszę cię, Boże. Proszę. Niech Nolan powie jej, że nie chce się żenić. Że tylko żartował. Nakryła uszy dłońmi i mocno je przycisnęła, wsłuchując się w zgrzyt własnych zębów. Ostatnio Nolan taki był szczęśliwy. Taki szczęśliwy. Pojechał do Atlanty na przesłuchanie, a kiedy Cissy spytała go, jak poszło, uśmiechnął się szeroko.

— Poczekamy, zobaczymy — odrzekł. — Sama się przekonasz. Nigdy nie wiadomo, co z Dede wykręcimy.

On nie rozumie — myślała Cissy, niepewna, czy sama coś

z tego pojmuję. Dede nie mogła mieć bardziej nieszczęśliwej miny. To Cissy rozumiała. Siostra cierpiała. Bała się i bardzo cierpiała.

Pogrzeb dziadka Byrda odbył się na cmentarzu Holy Redeemer. Michael przyprowadził Amandę, która jakby nie uświadamiała sobie, co się wokół niej dzieje. Nie zadała sobie nawet trudu, żeby pobiec za małym Michaeliem, który popędził do Dede i Nolana. Jean i Mim stały razem z Cissy. Pani Stone przyniosła im starą, białą Biblię z domu dziadka, ale Delia udała, że w ogóle jej nie dostrzega. Michael wetknął zatem Biblię pod pachę i na czas modlitwy posadził sobie chłopców na kolanach. Kiedy żałobnicy odeszli od grobu, przy stercie przykrywających go kwiatów została tylko Delia. Na Terrill Road zjawiła się, gdy wszyscy już dobrą godzinę temu rozsiedli się na podwórzu w cieniu leszczyny. Michael zaprowadził do niej synów. Nic nie mówiąc, kiwnął głową i usiadł na krześle, które Delia zamierzała odnowić. Wziął Gabe'a na kolana, tymczasem mały Michael wciąż biegał tam i z powrotem, od ojca do najdalszego drzewa na podwórzu. Gabe wymachiwał ramionkami i mruczał „mmm-mmm”. Po chwili Delia kiwnęła do niego ręką. Uszczęśliwiony, próbował chwycić ją za dłoń. Udało mu się za trzecim razem, a wtedy ojciec zdjął go z kolan i oddał w ramiona babci. Wtuliła twarz we włoski wnuka i mocno go ucisnęła. Michael wstał i podszedł do drzewa, pod którym jego starszy syn układał orzechy w stos. Odwrócił się dopiero wówczas, gdy usłyszał chichot Gabe'a, któremu zawtórował śmiech Delii.

## 20

Największym plusem tymczasowego gospodarowania u Amandy było to, że Cissy musiała zrezygnować z pracy w agencji. Z początkiem roku zatrudniono ją do spisywania

danych dla okręgowej agencji pośrednictwa sprzedaży nieruchomości i spędzała tam trzy popołudnia w tygodniu. Jednakże z biegiem czasu coraz częściej się spóźniała i wślizgiwała do biura dopiero wówczas, gdy pozostali pracownicy już dawno poszli do domu. Wkrótce też uznała, że nie ma na świecie nic gorszego od przepisywania na maszynie długich stron pełnych skrótów, wymiarów i nie kończących się powtórzeń tych samych utartych zwrotów. Na okrągło pisała na przykład to: „Zacisznie usyt., 2 syp., 2 łaz., kominek, odnow., wspan. widok, n. dach, parkiet, n. sanit., uroczy, do pilnej sprzedaży”. Ceny ulegały zmianie, pośrednicy obejmowali kolejne działki, na listy trafiały nowe domy i nigdy nie brakowało irytujących uwag od rozmaitych agentów. A bo to Cissy zapomniała napisać o budynkach gospodarczych, a bo to nie wspomniała o komórce, która liczyła się jako pokój gościnny, a bo to nie wymieniła ozdobnych okiennic lub innych atutów posesji, takich jak choćby ogród w angielskim stylu, czyli — zdaniem Cissy — zwyczajna zarośnięta działka, która oparła się zapędem południowców znanych z tego, że wszędzie zakładali trawniki i klomby. Zawsze popełniała błędy: pisała nieortograficznie, pomijała wymiary, nie umieszczała „specjalnego” domu na „specjalnej” liście. Interesy w okręgu kulały. Handel nieruchomościami leżał. Trzeba to było jakoś wytłumaczyć i z uwag adresowanych do Cissy wynikało niezbicie, że winę za ten stan rzeczy ponosi ona, ponieważ niedbale wpisywała dane.

Cissy zastanawiała się, czy nie byłoby jej lżej, gdyby pracowała jako kelnerka. Nie znosiła wślizgiwania się na zaplecze biura, unikania personelu i zasiadania do stosu upstrzonych uwagami formularzy oraz doklejonych kolorowych fiszek z danymi uzupełniającymi. „Zapomniałaś”. „Nie wpisałaś”. „Pamiętaj o...” Miała to być łatwa praca, przysługa wyświadczona córce Delii, dziewczynie, która mieszkała z matką i potrzebowała skromnego dochodu, żeby utrzymać się w miejskim college'u, okazało się jednak, że w okręgu sprzedawano więcej budynków, niż Cissy mogła to sobie wyobrazić, jeszcze więcej działek, farm i opuszczonych chat. A ona musiała je wszystkie opisywać — i to na maszynie — ustalać ich notowania i umieszczać na ciągle aktualizowanych listach. O wiele, o wiele lepiej było jej wtedy, gdy oddawszy chłopców pod opiekę Michaela,

siedziała na ganku u Nolana, popijała wodę sodową z plasterkami pomarańczy, słuchała muzyki klarnetu i rodzinnych opowieści.

Nolan trzymał na kolanach swój cenny instrument: Buffet R13 z ustnikiem Selmera. Pocierał jego czarną powierzchnię miękką szmatką i uśmiechał się z zadowoleniem, patrząc, jak drewno granatu nabiera blasku.

— Afrykańska czerń — powiedział pan Clausen, wręczając mu klarnet. — Granat i srebro najwyższej próby. Czyść go i poleruj, a będzie ci służył przez wieki.

Kiedy Nolan zagrał na buffecie pierwszy raz, Nadine uśmiechnęła się doń z taką radością, że obraz ten wrył mu się w pamięć na zawsze. Pamiętał jej uśmiech nawet wtedy, gdy musiał liczyć każdą ćwierćdolarówkę, żeby zapłacić rachunki — wystarczyło, że zerknął na swój nowy klarnet. Stary sprzedał; był to Vito Leblanc z czarnego plastiku — „Dźwięcznie, Nolan, dźwięcznie!” — co wzbogaciło domowy budżet o dwieście dolarów, których bardzo w minionym roku potrzebował. Dowiedział się, że używany buffeet kosztował pana Clausena i grupę jego muzyków około tysiąca dolarów, ale choć z trudem wiązał koniec z końcem, tylko raz przemknęło mu przez myśl, że może powinien go sprzedać. To, że nie został do tego zmuszony, zaliczał do niewielu rzeczy, za które był losowi nieskończenie wdzięczny.

— Mama dobrze się czuje? — zapytał. — Na pogrzebie wyglądała trochę dziwnie.

— Dobrze — odrzekła Cissy. — Ona się nie zmienia. Mogłaby zwalić się na nią góra, a ona podniosłaby się i poszła do zakładu.

Nolan skinął głową.

— W przyszłym tygodniu mam przesłuchanie. Jadę do Atlanty na cały dzień i spotykam się w Emory z kierownikiem orkiestry.

Spojrzała na niego. Mówił bardzo ostrożnie i patrzył na swój klarnet. Dlaczego wspomniał o przesłuchaniu? Ciągle na nie jeździł, a ona nie towarzyszyła mu tak często jak dawniej.

— Chcesz, żebym z tobą pojechała? — Zmarszczyła czoło. Umówiła się z dziewczętami, że w przyszłym tygodniu jeszcze raz zjedzą do Little Mouth, żeby znaleźć przejście do Paula's Lost.

— Nie, nie. - Potrząsnął głową. — Ja tylko tak. Chciałem ci powiedzieć, że jadę. - Umilkł, polerując instrument. - Ale tym razem będzie inaczej - dodał nieoczekiwanie. - Jeśli zaproponują mi pracę, zastanowię się, czy jej nie przyjąć.

Choć tylekroć sama go do tego zachęcała, była skonsternowana, nawet przerażona, że mógłby ją zostawić.

— Wyjechałbyś z Cayro?!

Nolan poczuł się nieswojo.

— Możliwe. Kto wie. — Obrócił klarnet w palcach. - Gdyby mi się udało, znalazłbym tam sobie jakieś mieszkanie i urządził mamę. Oczywiście wszystko zależy od Dede, od tego, czy spodoba jej się ten pomysł. Ostatnio jest bardzo niespokojna. Ciągłe ćwiczy strzelanie z pistoletu, który dostała od Craiga. Zaczęła wozic go pod przednim siedzeniem samochodu.

Nolan ucichł. Rozpoczął długi proces rozkręcania i czyszczenia klarnetu przed włożeniem go do futerału. Wkładając stroik do pochewki, dodał:

— Jest jakaś przybita. Albo przestraszona. Jesteśmy szczęśliwi, ale... — Urwał. — Myślę, że męczy ją sklep i ta monotonna praca. Czasami wspomina, że chciałaby robić coś innego. Chce uczyć się o silnikach samochodowych, tak mówi. I trochę pojeździć. Mogłaby robić wiele rzeczy. Chciałbym, żeby spróbowała, a ja w Atlancie nieźle bym zarobił. Załatwiłbym dla nas jakieś fajne mieszkanie i grałbym swoją muzykę.

— Zupełnie postradałeś swój maleńki rozumek - odparła Cissy. - Dede nie wyjedzie do Atlanty, poza tym nie wiesz, czy dostaniesz tam pracę.

— Dostanę. Jeśli nie tę, to inną. Jestem dobry, a będę jeszcze lepszy. I umiem pracować, jeśli mi na tym zależy. — Był zamyślony, lecz minę miał stanowczą. - Chcę, żeby Dede była tak szczęśliwa, jak na to zasługuje.

Westchnął i przymknął powieki. Kiedy je otworzył, spojrzął Cissy w oczy.

— Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Chciałem ci tylko powiedzieć, nad czym się zastanawiam. Chciałem, żebyś wiedziała. Nie to, żebym wyjeżdżał już jutro. Na razie do niczego jeszcze nie doszło. Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

Spojrzała na cienie na schodkach, potem na szczera, pełną nadziei twarz Nolana.

— Masz rację, jeszcze nie wyjeżdżasz. A jak już będziesz wyjeżdżał, jakoś sobie wszystko ułożymy. — Wstała i odrzuciła do tyłu włosy. — Nolan, jesteś moim przyjacielem i nie zmieni tego fakt, że chcesz robić coś innego niż dotychczas. Ale uważaj na Dede, powiedz jej o tym bardzo ostrożnie. Ona nie lubi niespodzianek. Trudno przewidzieć, jak zareaguje. A jak nie zechce wyjechać? Co wtedy?

— Zostanę w Cayro — odparł z uśmiechem. — Dla Dede gotów jestem zostać w Cayro i piec herbatniki, aż ciało odpadnie mi od kości. — W jego ustach zabrzmiało to jak radosna perspektywa. Zabrzmiało to tak, jakby była to najszcześniejsza rzecz, jaką mógł sobie wyobrazić.

Cissy spędziła całe popołudnie, sprząając po małym Michaelu i Gabe i martwiąc się o Amandę. Wciąż nie mogła przywyknąć do zmian, jakie dostrzegła w siostrze po jej powrocie ze szpitala. Prosząc ją, żeby została u nich dłużej i pomogła przy chłopcach - Amanda „jeszcze nie doszła do siebie”, mówił — Michael czerwienił się i jąkał.

— Jesteś pewien, że ona by tego chciała? — Cissy nie mogła w to uwierzyć.

— Ależ tak. Jeszcze ma ci jej się w głowie, ale jestem pewien, że jak tylko to wszystko odeśpi, od razu wróci do formy. Gdybyś mogła wpaść na chwilę w ciągu dnia, bardzo byś jej pomogła. - Był szalenie zmartwiony. — Lekarz mówi, że Amandzie potrzeba trochę czasu, żeby mogła wypocząć i wyzdrowieć.

— Sam sen jej nie wystarczy - mruknęła Cissy, lecz Michael miał zbyt niepewną minę, żeby chciała z nim polemizować. — Naturalnie, że pomogę — dodała. — Przynajmniej mam teraz pretekst, żeby wziąć sobie urlop od stukania na maszynie w agencji nieruchomości.

Rankiem w ostatnią sobotę przed pójściem Amandy do szpitala wpadły na siebie u Delii i Amanda natychmiast wygłosiła cierpką uwagę na temat wypraw Cissy do jaskiń z tymi, jak je nazwała, dziwnymi dziewczętami.

— Nie chodzimy tam dla rozpusty, tylko po to, żeby te jaskinie zbadać. Chcemy nanieść na mapę przejście z Little Mouth do Paula's Lost.

- Uhm. — Amanda zrobiła minę świętoszki. - I niby jaki z tego będzie pożytek?

- Dowiemy się, że takie przejście istnieje.

— No i? — dopytywała się Amanda. — Co zrobisz, jak już się dowiecie?

- Zasięję nasiona między palcami u stóp i wyhoduję nagietki! Pilnij swojego własnego zasmarkanego interesu! — krzyknęła Cissy i głośno tupiąc, wymaszerowała z kuchni.

Jak się potem okazało, była to ich ostatnia kłótnia przed pójściem Amandy do szpitala i śmiercią dziadka Byrda. Cissy obawiała się, że siostra podejmie temat przy pierwszej lepszej okazji, lecz wyglądało na to, że ta Amanda, która wróciła ze szpitala, nie ma siły na kłótnie. Rano ledwo dała się namówić na wstanie z łóżka. Ożywiła się trochę, kiedy Michael wszedł jej na kolana, żądając, aby opowiedziała mu bajkę. Zaczęła mu nawet opowiadać o Danielu w jaskini lwa, lecz kiedy podekscytowany synek kilka razy podskoczył, urwała i przytuliła go tak mocno, że głośno krzyknął. Wypuściła go ze szczerem, z głębi serca płynącym: „O Boże!”

— Nic ci nie jest? - zapytała Cissy. Twarz Amandy nabrała dziwnych kolorów; na blade policzki wystąpiły okrągłe, jaskrawoczerwone plamy. Siostra wpatrywała się w synka wielkimi, wytrzeszczonymi oczyma, na jej obliczu malowało się przerażenie.

Potrząsnęła głową.

— Przejadę się trochę — oświadczyła i wyszła, nim Cissy zdążyła spytać ją, kiedy wróci.

Rozdarta między oburzeniem spowodowanym tym, że Amanda zostawiła ją nagle z dwójką absorbujących dzieci, a ulgą wynikającą z faktu, iż siostra nie dąży do kłótni, Cissy spędziła cały dzień na sprzątaniu już i tak nieskazitelnie czystego domu i przygotowywaniu odpowiedzi na pytania dotyczące jej przyszłości. Opuściła sobie wszystkie plany przyczepione do drzwi lodówki w formie dziennego harmonogramu, zrezygnowała z odwiedzin w domu i z pieczenia, żeby skupić się na malcach, mimo to, jak się wkrótce okazało, wzięła na siebie za dużo. Późnym popołudniem dotarło do niej, że przegapiła trening dżudo małego Michaela. Zaczął trenować przed dwoma miesiącami, kiedy to nauczyciel ze szkoły niedzielnej zasuge-

rował, że byłby to dobry sposób na wyżycie się malca, z czym chłopczyk miał drobne problemy.

- Skopać komuś tyłek! - Dede parsknęła śmiechem, gdy zadzwoniła, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. — Synuś Amandy musi komuś dokopać, żeby się wyżyć. Jest w tym trochę sensu.

Amanda zjawiła się w domu na krótko przed Michaeliem seniorem, by natychmiast wrócić do łóżka i naciągnąć prześcieradło na głowę,

— Czy ona dobrze się czuje? — zapytał Michael.

— O ile wiem, to tak — odparła Cissy.

Następnego ranka trochę się spóźniła i zastała Amandę ubraną do wyjścia. Siostra siedziała przy kuchennym stole, a chłopcy płakali w pokoju.

- Wychodzę - oznajmiła Amanda na widok otwierającej drzwi Cissy. I wyszła z domu, zanim ta zdążyła ją powstrzymać.

- Kiedy wrócisz? - zawołała.

Amanda nawet się nie odwróciła.

- Wychodzi, jak tylko staję w progu — poskarżyła się Cissy Delii.

Delia tylko skinęła głową.

— Nie zatrzymuj jej — odrzekła. — Amanda nigdy nie pozwalała sobie na chwilę wytchnienia. Niechże ma trochę czasu dla siebie.

— A jeśli już jej tak zostanie? — zapytała Cissy. - Przecież nie mogę wiecznie opiekować się jej dziećmi.

- Ale w przyszłym tygodniu możesz - odparła Delia. - Zrób to dla swojej siostry. W końcu co innego masz do roboty?

Cissy mruzczała i burczała, choć bez większego przekonania. Miała czas. Mim i Jean nalegały w sprawie wyprawy do Little Mouth, ale je spławiła.

— Za tydzień - obiecała. — Powiedziałam Delii, że popilnuję chłopców jeszcze jeden tydzień.

Tak naprawdę jednak to myślała nie o przyszłym tygodniu, lecz przyszłym roku. Tacey przechwalała się tym, co będzie robić u Spelmana, natomiast Cissy stwierdzała w duchu, że zajęcia w college'u są bezcelowe. Przyszłość była dla niej równie nieznaną jak podziemny korytarz łączący Little Mouth z Paula's Lost. Gdy psycholog z poradnictwa zapytał ją



o plany zawodowe, spjrzała na niego tępym wzrokiem. Nie miała żadnego życiowego celu. Pasjonowało ją tylko chodzenie po jaskiniach, czego nikt nie traktował poważnie, nawet ona sama. Nie mogła przecież budować życia na pełzaniu pod ziemią.

- Powinnaś zaciągnąć się do wojska — powiedziała Dede pewnego czwartkowego wieczoru u Goobera. Przez kilka ostatnich miesięcy Dede i Nolan chodzili do Goobera co najmniej dwa razy w tygodniu. Zamawiali dzbanek piwa i duży koszyk warzyw w cieście. A kiedy kelnerka nie patrzyła, pociągali ukradkiem whisky z butelki, którą Dede trzymała w torbie. Dede twierdziła, że barowa whisky nie budzi jej zaufania, lecz w gruncie rzeczy odrzucała ją nie jakoś trunku z nie oznakowanych butelek, lecz jego cena. Było z tym to trochę tak jak z warzywami w cieście: nikt nie potrafił odgadnąć, z czego powstały te bezkształtne, chrupkie przedmioty, usmażone na oleju i zalane gorącym sosem.

- Zejdź na ziemię, Dede. Nigdzie się nie zaciągnę. - Cissy była zmęczona, poirytowana i jak nigdy przekonana, że nie chce mieć dzieci.

- Ja bym się zaciągnęła - odparła Dede. - Skończysz szkołę, masz czyste konto — na twoim miejscu zaciągnęłabym się w try miga.

- No, nie! - Nolan był zatrwożony. - Wysłaliby cię nie wiadomo dokąd.

- Nie pojechałbyś za mną? - Dede pociągnęła łyk piwa. - Chcesz powiedzieć, że nie pojechałbyś za mną, dokądkolwiek by mnie wysłali?

- Oczywiście, że bym pojechał. - Nolan dziobnął palcem w stojący między nimi dzban. — Pojechałbym choćby i do piekła, po prostu nie podoba mi się twój pomysł. Chłopcy odbywający służbę opowiadali mi potworne historie o tym, co spotyka w wojsku dziewczyny.

- I co, twoim zdaniem, mogłoby mi się stać, powiedz! — Dede miała zaczerwienioną twarz i była bardzo wojownicza. Cissy zastanawiała się, ile łyków pociągnęła ukradkiem ze schowanej w torebce butelki. — Pewnie myślisz, że zakochałabym się w jakiejś wielkiej starej lesbie od musztry, co?

Nolan rozdziawił usta.

- Nie, nie - zaprotestował. - Chodziło mi o to, że nie cierpiałybyś tego.

- Mogłoby mi się tam spodobać, skąd wiesz? — Nagle wstała. Zachwiała się na miękkich nogach. - I to bardziej niż plątanie się do śmierci po Cayro.

Nolan milczał, więc ruszyła do łazienki, o mało nie wpadając na Sheilę, nową kelnerkę, która niosła następny koszyk warzyw w cieście.

- Oho, chyba ma trochę w czubie. - Sheila zaśmiała się, stawiając koszyk przed Nolanem.

- Chyba tak. - Spojrzał ponuro na Cissy. - Jeśli chcesz znać moje zdanie, to twoje siostry przechodzą teraz przemianę.

- Dede rozumiem — odrzekła. Nabiła na widelec smażony grzyb, włożyła go do ust i przeżuła w zamyśleniu. — Ale Amanda? Sądziłam, że ona nigdy się nie zmieni.

Nolan przebierał w koszyku.

- Wszystko się zmienia. - Zerknął w stronę łazienki, — Wszystko i wszyscy. Oprócz mnie, oczywiście. Dede chciałyby, żebym się zmienił i pokazał jej wreszcie, na co mnie stać. A ja się już przecież zmieniłem, tylko że ona tego nie zauważyła. Taki właśnie jestem: ciężko pracuję, opiekuję się tymi, których kocham, trochę gram i nie mam żadnych odbić. Tyle wiem. — Westchnął. - Oświadczałem się jej trzy razy, a ona ani nie daje mi kosza, ani nie mówi „tak”. Powtarza tylko, że mam fioła, a potem pieprzy się ze mną tak, że mało ducha nie wyzionę.

Zażenowana Cissy poruszyła się na krześle.

- Kocha cię — powiedziała.

- O tak, wiem, że mnie kocha. — Nolan upił łyk piwa. — Chciałbym tylko, żeby wiedziała, co to znaczy, na czym polega miłość. Są takie dni, kiedy mam wrażenie, że miłość to dla niej seks albo szaleństwo. Że musi być czymś wielkim i zdumiewającym, a nie zwykłym, codziennym przeżyciem od teraz na zawsze i na jeszcze trochę, czym jest dla mnie.

Skubnął okruszek smażonego ciasta.

- Myślę, że miłość jest jak ta cukinia. Dzięki niej Goober nie splajtował. Wszyscy myślą, że wiedzą, czym jest cukinia. Niektórzy ją ubóstwiają, inni nienawidzą. A tak naprawdę wcale jej nie znają. Po przyrządzeniu jest nie do rozpoznania.

Tak, tak, wrzucają do niej parę grzybów, ale ponieważ grzyby są od niej droższe, nie dają ich zbyt wiele. Do jarzynki czasami wrzucają zieloną paprykę albo marchew, na ogół jednak w cukinii jest sama cukinia. Idealne, tanie barowe jedzenie, nieokreślone i zwykłe. Połowa ludzi, którzy je jedli, nie potrafi opisać jego smaku. Zawsze myślą, że jedzą coś innego.

- No właśnie. - Obok Nolana usiadła Dede. — Ja tam jem cukinię dla tłuszczu. Dzięki tłuszczowi mogę więcej wypić. Okrywa żołądek powłóczką. Jeśli zamierzasz strzelić kilka piw i parę lufek whisky, potrzeba ci sporo tłuszczu. - Otoczyła Nolana ramieniem i połaskotała go nosem w ucho. — A może byśmy tak pojechali już do domu?

Nolan otarł usta, posłał Cissy ostrzegawcze spojrzenie i wstał.

- Do zobaczenia — rzucił, gdy wychodzili.

— No właśnie. — Dede pomachała siostrze na pożegnanie.

Kiedy zniknęli, Cissy spojrzała na pobojowisko na stole, na pusty dzbanek i resztki tłustego jedzenia. Na dnie koszyka wymoszczonego słonym pergaminem leżały gąbczaste kawałki cukinii. Dede zjadła tylko ciasto zeskubane z warzyw. Gdziekolwiek mogła, wszędzie posilała się mięsem i smażonymi produktami mącznymi. Jej głównym pożywieniem były hamburgery, kanapki z ciasta naleśnikowego i witaminy, które łykała w dużych ilościach.

— Teraz jest chuda, ale tylko poczekaj — prorokowała kiedyś M.T. — Jak tak będzie jadła, pewnego pięknego dnia rozedmie się do rozmiarów morsa.

— O ile przedtem nie umrze na atak serca — powiedziała na głos Cissy.

- Podać coś? - Sheila zaczęła sprzątać ze stolika.

- Zbawienie - zażartowała Cissy. Myślała o tym, co mówił Nolan. Myślała o tym, że Dede nie wie, czym naprawdę jest miłość.

~ Niestety, tego nie serwujemy - odparła Sheila i wytarła do czysta blat stołu.

Następnego ranka Cissy przyszła do Amandy wcześniej. Kiedy domownicy wstali, czekała już na nich z jajecznicą na pomidorach. Michael zachwycił się widokiem jedzenia i nałożył

jajecznice do plastikowych miseczek dzieci. Amanda szybko mrugała i przyglądała się swemu talerzowi z taką miną, jakby leżała na nim coś dziwnego i nieznanego. Przed chorobą jadała tylko jarzyny, owoce i jajka. Gdy miała przyływ energii, piekła także chleb — głównie jajeczny i serowy — korzystając z przepisów książki kucharskiej, opublikowanej przez kobiety wspólnoty religijnej z Nashville. Dla niej wszystko musiało mieć odniesienie do Biblii, w przeciwnym razie nie trafiało na listę akceptowanych przez nią dań. Wraz z nasilaniem się choroby coraz częściej przestawiała się na jajecznicę i chleb — chleb łamany na pół przy modlitwie i błogosławieństwie i niemal płynną jajecznicę. Jajecznica usmażona przez Cissy była miękka, lecz ścięta i leżała na talerzach obok kremowych kromek białego chleba bez masła i soli.

— Czy to nie cudowne? - rzucił Michael, lecz Amanda tylko sączyła mleko i obserwowała, jak chłopcy wsmarowują sobie jajko we włosy.

Dawna Amanda musiała w jakiś sposób łączyć jajka z Jezusem, choć Cissy nie mogła wykoncypować, w jaki. Sądziła, że może mieć to coś wspólnego z Wielkanocą. Poprzedniego wieczoru poruszyła ten temat z Dede.

— Tego nie da się rozgryźć — powiedziała Dede. — Ona nie myśli racjonalnie, jak ty czy ja. Gdybym to ja we wszystkim widziała Jezusa, szlachtowałabym owce. Albo prowadziła grupkę kobiet na czuwania przy „Piggly Wiggly”. Ale w przypadku Amandy trudno cokolwiek przewidzieć. Co ona teraz robi?

— Nic - odrzekła Cissy. - Dosłownie nic. Wstaje rano i wychodzi z domu. Wraca późnym popołudniem i natychmiast się kładzie. Nie rozmawia ze mną. Nawet nie narzeka. To mnie denerwuje. Od razu zaczynam myśleć o tych szajbusach, którzy idą postrzelać na pocztę czy podłożyć bombę w klinice. Nie mogę zrozumieć, co się, do diabła, dzieje.

Dede miała przez chwilę obojętny wyraz twarzy, potem roześmiała się gorzko.

— Może Amanda nareszcie zaczyna żyć w świecie, w którym my żyjemy? — zasugerowała. — Może nareszcie zaczyna widzieć rzeczy, jakimi są?

Przyglądając się Amandzie, która piła mleko, nie tykając jajecznicy, Cissy przypomniała sobie twarz Dede z baru i nagle

stwierdziła, że jej starsze siostry coraz bardziej się do siebie upodabniają. Poprzedniego wieczoru Dede miała twarz tak napiętą i wyteżoną, że przypominała bardziej Amandę niż samą siebie, tymczasem Amanda o pustym obliczu, Amanda, która popijając mleko, obojętnie patrzyła na synów, wydała jej się młodsza i przywodziła na myśl dziewczynę, która marzyła kiedyś o rodzinie, a teraz nie wie, co z nią począć.

Zanim Michael zdążył wyjść na copiątkowe wizyty domowe, Amanda chwyciła torebkę, wybiegła z domu i zniknęła.

— Dokąd ona chodzi? — spytał Michael. Rękaw ramienia, którym podtrzymywał małego Gabe'a, miał usmarowany jajkiem.

— A skąd ja mam wiedzieć? — Cissy rzuciła mu ściereczkę. — Zostajesz sam. Muszę wziąć dzień wolnego, inaczej potopię twoich synów.

Cissy przyzwyczała się do tego, że widuje Amandę niemal wszędzie: u krawcowej przy Main Street, w sklepie z czerstwym jednodniowym pieczywem przy Weed Road lub w „Quick Stop” obok liceum. Kobieta, która była nie tylko żoną pastora, ale i matką dwóch chłopców, musiała wypracować sobie jakiś system. Opiekowanie się dziećmi, kółko modlitewne, wakacyjna szkółka biblijna, szkółka niedzielna, lekcje muzyki... Mając tyle na głowie, nigdy nie mogła z niczym zdążyć i nigdy nie była tam, gdzie się jej spodziewano. Zakupy spożywcze planowała na koniec tygodnia, ale w ostatniej chwili zawsze coś jej wyskakiwało. Biednym i opuszczonym woziła rondle z zapiekankami. Objazdy ubraniowe oznaczały stopy odzieży, którą trzeba było uprać, ładnie wyprasować i złożyć. Dla kobiecego komitetu rodzinnego musiała kserować dane statystyczne na temat aborcji i gruboziarniste zdjęcia zmietoszonych fetusów w porcelanowych nerkach. Kościelny zastęp dziewcząt miał swój zespół muzyczny, dla którego Amanda skomponowała oryginalny utwór. Śpiewany głosem usuniętego ludzkiego zarodka, nosił tytuł *Ja ci wybaczam, ale Pan Bóg to zapamięta*.

Kursowała swoją biurobrązową hondą tam i z powrotem między Christian Academy i „Kmartem”, między „A & P” i „Little People’s Music Emporium”. Widywano ją w całym

mieście, bo wiecznie dokądś szła: popołudniami zaglądała do „Bonnet”, a nawet do gimnazjum, gdzie musiała przepychać się przez tłum uczniów. Skąd ona ma na to czas? — jęczała Cissy, usiłując nadażyć za jej rozkładem zajęć. — Gdzież ona, u licha, znajduje tyle czasu?

Pewnego piątkowego popołudnia, gdy wraz z M.T. jechały przez Cayro, Cissy zobaczyła samochód Amandy w miejscu, w którym nigdy by się go nie spodziewała.

— Zatrzymaj się! — wrzasnęła.

— Po co? - spytała niecierpliwie M.T. Nieczęsto woziła Cissy i robiła to niechętnie. No bo niby dlaczego Cissy nie zrobiła jeszcze prawa jazdy i sama nie siadła za kierownicą? „Jedno oko masz dobre — powtarzała nieustannie. - O niektórych kierowcach z Cayro nie da się powiedzieć nawet tego”.

— Czy to nie samochód Amandy?

— A skąd ja mam wiedzieć? Ta szara honda? Każdy może jeździć szarą hondą. Chcesz, żebym zawiozła cię do tych twoich koleżanek, czy nie? Zdawało mi się, że jesteś umówiona na pierwszą. — M.T. wierciła się w fotelu. Wiosna była gorąca, a ona nienawidziła jazdy w upale, tym bardziej że nie mogła sobie pozwolić na ciągłe używanie klimatyzacji. Klimatyzacja zżerała dużo benzyny. Poza tym ludzie by zauważyli. Zaraz by gadali, że musi włączać klimatyzację, bo jest taka gruba. Tusza M.T. nie przeszkadzała. Przeszkadzało jej ludzkie gadanie.

— Muszę wiedzieć, czy Amanda spędza popołudnia u Goobera.

— Nie mam czasu na śledzenie Amandy i wożenie ciebie na drugi koniec miasta.

— To mnie tutaj wysadź.

— Dede, Dede, Dede... — Wymruczał Nolan w kark ukochanej. Przesunął dłońmi po jej ciele i splótł je na brzuchu dziewczyny. — Jesteś moim sercem. Całym moim sercem. — Westchnął uszczęśliwiony i ułożywszy się „na łyżeczkę”, z rozkoszy podkurczył palce stóp.

— Na litość boską! — Dede gwałtownie zgięła nogi i rozłączyła jego dłonie. - Puść mnie. — Kopnęła go. — Powiedziałam,

żebyś mnie puścił! — Omal nie spadła z łóżka, z trudem stanęła na nogach.

Nolan usiadł skonsternowany.

— Co się stało?

— Nic się nie stało, do diabła! A co? Nie mogę wstać, kiedy mam na to ochotę? - Ze złością zapaliła papierosa i kopnęła w stos rozrzuconych na podłodze ubrań. — Chryste! Czasami po prostu działasz mi na nerwy.

Odgarnęła włosy i spojrzała na niego rozwścieczonym wzrokiem. W świetle słońca przeciskającego się przez szparę w ciemniutkich niebieskich zasłonkach jej ciało lśniło i jaśniało. Nolan spuścił nogi z łóżka i uśmiechnął się niepewnie.

— Czasem lubisz, jak nie mogę się od ciebie odczepić.

— A czasami nie. - Wyłowiła bieliznę ze stosu porozrzucanych części garderoby. Ubierała się nerwowo i niecierpliwie. — Czasami bywa tak, że kobieta musi znaleźć chwilę dla siebie i zapomnieć, że u tyłka wisi jej ciągle jakiś facet. — Nie wracając sobie głowy nakładaniem stanika, naciągnęła na siebie bawełnianą koszulę w żółtą kratę. Koszula była zapinana na zatrzaski i miała obcięte rękawy. Dede stała z papierosem w ustach i strzelając zatrzaskami, krzywiła się od dymu.

— Jeśli potrzebujesz chwili dla siebie, zawsze możesz ją mieć — odparł Nolan.

Obserwował, jak Dede szuka butów. Jeden adidas leżał pod ławą przy oknie, drugi przy toaletce. Dede znalazła je w końcu, po czym opadła na ławę i nie wkładając skarpetek, wcisnęła je na bose stopy.

— A może wybierzemy się do Nag's Head? — zaproponował Nolan. - Tam, gdzie kiedyś byłaś. Zrobimy sobie kilkudniowe wakacje. — Wstał i pozbierał ubranie. Nie spuszczać wzroku z Dede, włożył slipki i dzinsy. — W tym roku nie miałaś jeszcze wolnego, prawda?

Dede wydmuchnęła dym i zwiesiła głowę.

— Nigdy w życiu nie miałam wolnego — powiedziała i sięgnęła za siebie, żeby zgasić papierosa na parapecie. — Ale nie chcę jechać do Nag's Head. — Usta miała ściągnięte i twarde.

Nolan włożył podkoszulek.

— Ciągle jesteś na mnie wściekła?

— Nie zaczynaj.

- Dede, przecież już ci mówiłem. Czuję do ciebie to, co czuję, i chcę, żebyś za mnie wyszła. Wiesz, że zawsze możesz odmówić i kazać mi iść do diabła.

Dede uniosła ręce do twarzy.

- Posłuchaj, kochanie. Mówiłem ci, że jeśli nie masz ochoty na małżeństwo, ja to zrozumieję. Jeśli chcesz, żeby było tak jak do tej pory, nie mam nic przeciwko temu. - Chwytał ją za ręce. — Niczego to między nami nie zmieni. A jeśli chcesz, postaram ci się tak nie narzucać. - Uśmiechnął się żałośnie.

Potrząsnęła głową.

- Nolan...

Pochylił się nad nią i wtulił twarz w jej zmierzwione włosy. Wziął głęboki oddech.

- Tak cudownie pachniesz - wyszeptał.

- Szlag by to. — Prawie szłochała. Odepchnęła go.

- Co? Co się stało?

- Nic. — Otarła oczy.

- Dede?

- Nic nie mów. Tylko nic nie mów. Po prostu zostaw mnie na trochę w spokoju. — Znowu otarła oczy, przeczeswała palcami włosy i zbadała wzrokiem twarz zakłopotanego Nolana. Nagle pochyliła się do przodu i mocno przywarła ustami do jego ust. Z całej siły objąwszy go za kark, całowała gwałtownie. — Niech cię szlag trafi — wyszeptała mu w usta i pocałowała go jeszcze raz.

- Och, kochanie — odszepnął w odpowiedzi. - Serce moje. — Otoczył ją ramionami, uciskając ściągnięte mięśnie jej karku, rozmasowując plecy, sunąc rękami ku jej biodrom. Przywarła do niego rozpaczliwie, boleśnie gniotąc mu wargi.

- O Boże! - jęknął. Na wpół dźwignął ją z ławy i pociągnął w stronę łóżka.

- Nie. - Odepchnęła go tak mocno, że stracił równowagę, i zachwiała się, gdy padał na pościel.

- Muszę iść - oznajmiła.

- Boże, Dede! — wykrzyknął drżącym głosem z zaciśniętymi pięściami na kolanach. - Nie traktuj mnie tak. Powiedz, co się dzieje.

Wygładziła koszulę i wetknęła poły w spodnie.

- Później ci powiem. Porozmawiamy wieczorem.



Siedział na łóżku, próbując złapać oddech. Słyszał, jak przeciąwszy kuchnię, zatupała na schodkach.

— Nie rozumiem — powiedział na głos. — Po prostu nie rozumiem.

Gdy trzasnęły drzwi samochodu, wyobraził sobie, jak Dede siada w kubełkowym fotelu czerwono-fioletowego volkswagena na „rzepki”, jak na tle zakurzonej tapicerki jaśnieją jej włosy. Przypomniał sobie, jak zachowywała się u Goobera. Ostatnio coraz częściej popadała w ekstremalnie zmienne nastroje, choć twierdziła, że nic nie bierze. Podejrzewał, że wie, co się dzieje, lecz nie ośmielał się o tym wspominać. Postanowił zaczekać. Niech mu powie sama. Otarł twarz i westchnął. Spodnie wydały mu się zbyt ciasne i lepkie od potu. Dzięki Bogu, że Tacey wzięła Nadine do miasta. Pojechały kupić koszule nocne furgonetką dla niepełnosprawnych, która w piątki jeździła do Beckmana. Ze wszystkich sił pragnął przytulić Dede, kochać się z nią i czuć, że ona pragnie go równie mocno jak on ją. To bolesne pożądanie nigdy go nie opuszczało, jednak ostatnio wydawało mu się, że pragną się wzajemnie aż do rozpacz.

— Możliwe — szepnęła. — To całkiem możliwe... — Otarł pot z oczu. Postanowił o tym nie myśleć. I tak nie mógł zrobić nic, dopóki Dede nie zdecyduje się z nim porozmawiać.

Zgarnął z podłogi wilgotne prześcieradła i brudne ubrania. Postanowił zrobić pranie i ogarnąć dom. Było dopiero wczesne popołudnie i nie czuł się zmęczony. Zanim Nadine i Tacey wrócą z miasta, trochę tu posprząta. Może nawet pojedzie do tej knajpki przy Yarnell Road i przywiezie im na kolację smażonego kurczaka, którego Nadine tak bardzo lubiła? Tacey gotowała non stop, należał jej się wolny wieczór.

Kiedy na podjazd wjechał pickup Sheili, Nolan puszczał gorącą wodę na brudne naczynia. Zmywarka pracowała, wszystkie okna były otwarte na oścież.

— Sam zmywasz i sprzątasz? — zapytała Sheila ze śmiechem. — Jesteś niesamowity, Nolan, wiesz? — Pchnęła siatkowe drzwi i posłała mu najszerszy ze swoich uśmiechów. — Przywiozłam ci nuty, zostawiłam je u Goobera. Pomyślałam, że mogą ci być potrzebne.

Podziękował jej skinieniem głowy. Na dłoniach i przedramionach miał pianę z płynu do mycia naczyń. Po nosie spływała mu strużka potu.

— Jestem ci bardzo wdzięczny.

Położyła nuty na stole i rozejrzała się po kuchni.

— Pracuś z ciebie, słowo daję.

— Czasem trzeba trochę posprzątać — odparł. — Inaczej robi się bałagan.

— A ty jesteś do tego stworzony, co? Widzisz, że coś trzeba zrobić, więc niewiele myśląc, od razu się do tego zabierasz, prawda? — Ładnie zmarszczyła nos. — No, no, pracuś nad pracusie... - Podeszła bliżej, spojrzała na Nolana spod mocno wytuszowanych rzęs i wspięła się na palce, żeby pocałować go w usta.

Nolan sapnął ze zdumienia i zastygł bez ruchu z uniesionymi rękami, z których ściekały mydliny.

— O rany! Patrzenie, państwo! - Sheila zachichotała. — Przecież cię nie ugryzę. Wiem, że jesteś zajęty. Cały świat o tym wie. — Pocałowała go jeszcze raz, niezwykle rozbawiona tym, że tak bardzo drży i się czerwieni.

Gdy odwróciła się, żeby wyjść, zobaczyła w progu Dede, która ich obserwowała. Przyciskała do piersi torbę z zakupami, a twarz miała bladą jak księżyc na nocnym niebie.

— Ty skurwysynu — powiedziała. — Ty cholerny skurwysynu!

Nic, co Cissy do tej pory przeżyła, nie przygotowało jej na widok Amandy siedzącej przy barze u Goobera. Na twarzy miała wypieki, oczy jej błyszczały — czyżby była pijana? Amanda się upiła? I to w środku dnia? Stała przed nią duża, wysoka szklanka, jedna z tych, w których podawano tu słynne owocowo-alkoholowe drinki. Wysoka, spocona szklanka, a w niej wódka, cointreau, mleko kokosowe, sok i plasterki ananasa.

Cissy przysiadła się do siostry.

— I co ty tu robisz? — Zaskoczyło ją, że mówi głosem tak bardzo podobnym do głosu Delii. Głos mamy - pomyślała. - Siedzę tu i mówię jak mama.

Amanda powoli obróciła głowę.

— Dlaczego nie pilnujesz chłopców? — zapytała.

— Michael się nimi zajmuje. - Cissy wzięła głęboki oddech. Poczowała zapach cointreau.

Amanda wzruszyła ramionami.

— No to w porządku.

— Co robisz u Goobera?

— Jeszcze trochę i zostanę stałą klientką. — Amanda upiła łyk drinka i wywróciła oczami. — Masz zaszokowaną minę.

— Bo jestem zaszokowana. Co cię napadło? Codziennie dokądś wybiegasz, nigdy nie ma cię w domu, a kiedy wracasz, ledwie spojrzysz na chłopców. Właśnie to cały czas robiłaś? Siedziałaś na tyłku u Goobera i popijałaś?

— Nie. — Amanda potrząsnęła głową. — Jestem tu dopiero drugi raz. Byłam w pasażu handlowym. Byłam na polu do minigolfa i w centrum gier wideo w Marietcie. Poszłam zrobić manicure, a pewnego dnia pojechałam do Chattanooga, żeby popatrzeć na most.

— Ale po co?

— Bo nigdy go nie widziałam. Pomyślałam sobie, ilu to rzeczy nie widziałam, i po prostu postanowiłam pojechać. — Umilkła i pociągnęła ze szklanki. — A w środę zostałam aresztowana — dodała, wymawiając każdą sylabę dokładnie i wyraźnie.

— Aresztowana?

— I zwolniona. Zastępca szeryfa nie chciał mnie zatrzymać bez względu na to, co mówiłam. A mówiłam, i to dużo, ale oni obwieźli mnie tylko po mieście, i nic. Wyszli przy moim samochodzie. Kazali wracać do domu i więcej rozmawiać z Bogiem.

Pochyliła się lekko w przód i possała różową słomkę, która przebijała plasterek ananasa.

— Nie znam tego człowieka. W życiu go nie widziałam. Ale on mnie zna. Powiedział, że o mnie słyszał. — Spojrzała na Cissy. - Kiedy nie chciałam wysiąść z radiowozu, po prostu mnie wypchnął. Usiadł koło mnie, zaśmiał się złośliwie, naparł na mnie biodrem i popchnął w stronę drzwi, tak że grzmotnęłam tyłkiem w chodnik. — Dla większego efektu zabujała szklanką. — Źle wychowany. Ten facet był źle wychowany.

Cissy poruszyła się niespokojnie na stołku.

— Nie rozumiem — rzekła. — Gdzie cię zgarnęli?

— W Centrum Planowania Rodziny. — Upiła łyk i westchnęła. — Chciałam rozwalić im maszynę do pisania, ale nic z tego. Byli na to przygotowani. Tak myślę. - Chwilę milczała, wpatrując się w szklankę, po czym cicho dodała: — Czułam się jak idiotka.

Cissy zauważyła w jej oczach łzy. Amanda nie pozwoliła sobie na płacz, ale oczy miała wilgotne, była spocona i oklapła. Jakby przed chwilą się z kimś mocowała. Jakby pierwszy raz w życiu piła alkohol.

— Wiesz? Nigdy przedtem nie czułam się jak idiotka — powiedziała spokojnie i cicho. Najwyraźniej dopiero teraz zaczęła rozwiązywać zagadkę tego przeżycia. - Robiłam różne głupstwa i rzeczy, które w oczach innych uchodzą za głupie. Ale nigdy nie odnosiłam wrażenia, że miało to cokolwiek wspólnego ze mną. Z tym, co naprawdę robię. Zawsze mi się zdawało, że wiem, jak postępować. Tak jakby Bóg się mną opiekował, stawiał mnie we właściwych miejscach i pokazywał, czym się trzeba zająć.

— Dobrze się czujesz? — spytała Cissy, zdenerwowana widokiem Amandy rozmawiającej nad drinkiem przy barze.

— Dobrze. - Znowu pociągnęła ze szklanki. — Bardzo dobrze. — Prawą ręką delikatnie poklepała się po brzuchu. — Kamienie żółciowe zamieniły się w proch i poczucie winy.

Uśmiechnęła się, jakby nie chciała tego powiedzieć, potem upiła łyk, rozejrzała się po barze i zmarszczyła czoło na widok wiszących na ścianach oprawionych w ramki fotografii, przedstawiających miejscowe panienki w kostiumach plażowych.

— Wiesz, Bóg specjalnie rzuca nam kłody pod nogi. - Na jej twarzy pojawił się wyraz skupienia i smutku. — Życie ma być ciężkie. Gdyby było łatwe, na czym polegałaby trudność? Zawsze myślałam, że wiem, co znaczy trud. — Znowu zmarszczyła czoło i zacisnęła usta. — Zawsze sądziłam, że trud przypomina modlitwę i wspinaczkę na szczyt wzgórza. Trzeba mieć cel przed oczyma, przeciw naprzód i prosić Boga o pomoc, lecz nie ustawać w wysiłku. O takim trudzie myślałam.

Tym razem pociągnęła zdrowy łyk, potem odsunęła szklankę na drugą stronę lady. Gdy się odezwała, jej głos przepełniała żalność.

— Kiedy sądziłam, że umieram, uznałam, że to też część boskiego planu. Musiałam tylko odejść, jak należy. Myślałam, że Bóg chce zrobić ze mnie żywy przykład dla innych. Że mam raka, jak Clint, raka albo coś jeszcze gorszego, co zjada mnie od środka. Byłam z tego dumna i z uporem cierpiałam. - Roześmiała się z goryczą. - No i okazało się, że to tylko kamienie. Załamalam się na sam dźwięk tych słów. Kamienie zółciowe!

Oblizła wargi i cichutko zagwizdała.

— Myślisz, że Bóg ma poczucie humoru? — zapytała. Dwoma palcami otarła pot z czoła i znowu parsknęła śmiechem. — Długo się nad tym zastanawiałam.

— Myślę, że powinnaś pójść do lekarza. — Głos Cissy załamał się, choć usiłowała nad nim zapanować. To było szaleństwo. Największe szaleństwo w długim zwariowanym życiu Amandy.

— Tak czy inaczej, właśnie tak to sobie wyobrażałam — ciągnęła Amanda, puszczając tę uwagę mimo uszu. — Ale teraz wydaje mi się, że trud życia to zupełnie coś innego. Że ciężko jest wtedy, gdy nie wiesz, co robisz, gdy nie wiesz, co powinnaś zrobić, kiedy nie masz żadnej pewności, że nie zachowujesz się jak ostatnia kretynka. Nie miałam o tym pojęcia. I nigdy mieć nie chciałam.

Cissy siedziała bez słowa, wpatrując się w profil siostry.

— Myślę, że muszę się tego nauczyć — oświadczyła Amanda. Wzięła z lady chusteczkę, otarła nią czoło i spojrzała na Cissy z wyrazem wielkiego spokoju na twarzy. — Chyba muszę się tego nauczyć — powtórzyła.

Barman nachylił się nad prawie pustą szklanką.

— Jesteście córkami Delii Byrd, prawda?

Cissy przeniosła na niego wzrok. Czuła się tak, jakby to ona opróżniła szklankę Amandy, jakby w jej krwi płynął alkohol i płynne skonfundowanie. Zdołała tylko skinąć głową i już odwracała się do Amandy, gdy barman położył rękę na ladzie.

— Z przykrością wam o tym mówię, ale aresztowano waszą siostrę. Strzelała do Sheili, jednej z moich kelnerek. Dzięki Bogu, spudłowała, za to postrzeliła chłopaka, który prowadzi „Biscuit World”. Podobno wpakowała w niego dwie czy trzy kule.

Cissy rozdziawiła usta. Dede postrzeliła Nolana?

— Postrzeliła go? - zapytała Amanda. Była tuż obok Cissy, jej usta znajdowały się w pobliżu ust siostry.

— Chciała go zabić — odparł barman. — Przed chwilą przewieźli ją do aresztu. Dzwoniła do mnie matka Sheili. Podobno Dede zupełnie oszalała, podziurawiła Nolanowi cały dom.

— Zabiła go?

— No... jeszcze nie, ale z tego, co wiem, to chłopak może już nie żyć.

— Poprowadzę — oświadczyła Amanda. Jakby nagle otrzeźwiała. — Chodź. — Zabrała z baru torebkę i kluczyki. - Chodź — powtórzyła. Ujęła Cissy pod ramię i wyprowadziła ją z baru.

## 21

Delia spłaciła Marcie Pearlman honorarium za składanki Mud Dog wydane na taśmach w rok po ślubie Amandy, mimo to w każdy piątek układała jej włosy, podczas gdy M.T. i Steph otwierały zakład. Tego piątku trochę się spóźniła, ale Marcii to nie przeszkadzało. Uśmiechnęła się radośnie na jej widok, ściszyła telewizor i narzuciła ręcznik na ramiona, czekając, aż Delia wyjmie z torby szampon i odżywkę.

Marcia była chuda jak gnat i coraz bardziej niedołączna. Chodziła zgięta wpool, niepewnie i z najwyższym trudem. Czasami na długie miesiące zupełnie traciła apetyt i musiała nastawiać budzik, żeby pamiętać o jedzeniu. A jadła i piła ciągle to samo: makaron z serem, gotowaną na parze marchew i koktajle owocowe.

— W moim wieku to wystarczy, choć czasem mam ochotę na świeże ogórki i na wieprzowy szaszłyk z grilla.

— Przyniosę pani szaszłyk, kiedy tylko pani zechce — obiecała Delia.

— Och, kiedy zabieram się do szaszłyka, wszyscy ode mnie uciekają. Zresztą i tak prawie nie mam już smaku. A doktor Campbell twierdzi, że nie powinnam używać soli ani jeść

pikantnych sosów, a bez tego nie ma już w szaszłyku żadnej przyjemności. Bez soli wszystko traci smak.

Na pocieszenie Delia przyniosła jej chlebowy pudding z kawiarni w centrum miasta, gdzie podawali do niego sos cytrynowy tak mocny, że czuło się go na ulicy.

— Nikt inny nie daje rady go zjeść — powiedziała ze śmiechem.

Marcia wzięła do ust kawałek puddingu i rozpromieniła się.

— A mnie smakuje i wygląda na to, że nawet odcedzili pestki!

Zjadła część poczęstunku, podczas gdy Delia przygotowywała warsztat pracy na kuchennym zlewie. Wypracowały sobie wygodny rytuał, którego obie przez tydzień z radością oczekiwały. Na czas wizyty Delii Marcia wyłączała nawet telewizor, czego praktycznie nie robiła nigdy. Jej siostrzeniec Malcolm, mechanik w zakładach Firestone'a, który zamieszkał z nią po wylewie, zafundował jej dekodery, dzięki którym miała dostęp do mnóstwa kanałów. Od tamtej pory nałogowo po nich skakała, oglądając fragment programu tu, fragment programu tam, choć najbardziej lubiła stare filmy, reportaże przyrodnicze, a przede wszystkim programy muzyczne.

— Te dzieciaki wyglądają tak młodo — powtarzała niemal co tydzień. — Nie mają pojęcia, co je w życiu czeka.

— Tak — przyznawała Delia. — I chyba na szczęście, nie uważa pani?

— Bo ja wiem. Czasami myślę, że każdy niemowlak powinien rodzic się z wielką tablicą ostrzegawczą.

Tamtego piątkowego ranka, kiedy Delia mydliła Marcii głowę, ta nagle wyciągnęła ręce i chwyciła ją za dłonie. Oczy miała jaśniejące, skórę świetlistą.

— Miałam w nocy sen - zaczęła. Skóra jej poróżnowiała, usta wygięły się lekko do góry.

— Jeden z tych wiadomo jakich, co? — zapytała Delia z uśmiechem.

— Nie, nie. Nie taki, jak myślisz — odrzekła Marcia. — Takie też miewam, ale ten był inny. Śnił mi się mój dziadziuś.

— Dziadziuś? - Delia zamarła. O ile wiedziała, Marcia i jej mąż nigdy nie mieli dzieci.

Staruszka skinęła głową i zamknęła oczy. Po brodzie płynęła jej strużka wody. Delia starła ją ręcznikiem.

- Urodziłam dziecko, gdy byłam bardzo młodą dziewczyną — rzekła Marcia. — Miałam czternaście lat i byłam głupia, jak to czternastolatka. Przez pół roku nie wychodziłam z domu, a potem urodziłam. Mój tatuś wywiózł dziecko do St. Louis i oddał je pewnej kobiecie, która trudniła się wynajdowaniem dobrych domów dla dzieci takich jak moje. Nigdy o tym nie mówiliśmy. Nawet mój mąż nic o tym nie wiedział.

Puściła jej dłońe.

- Czternaście lat... - powtórzyła Delia. - Bardzo młodo.

- Tak - przyznała Marcia. Otworzyła oczy. Wyblakłe tęczęwki miały kolor pochmurnego nieba, ale nie było w nich smutku. - Nigdy nie próbowałam go odnaleźć. Nigdy do niego nie napisałam. Nie zadzwoniłam. Próbowałam udawać, że nic się nie stało, zwłaszcza że nie miałam już potem innych dzieci.

- Rozumiem. — Delia nacisnęła rozpylacz, żeby spłukać mydliny z rzadkich włosów Marcii. Ciepła woda obmywała, jej palce. Ostrożnie podtrzymała od tyłu głowę staruszki.

- Mój chłopiec miał niebieskie oczy - ciągnęła Marcia. - W moim śnie miał najczarniejsze włosy na świecie i te śliczne oczy. Wszedł na ganek, potem do domu, jakby wiedział, gdzie co jest, na koniec podszedł do mnie i pocałował mnie w usta. Wcale się na mnie nie gniewał. Cieszył się, że mnie widzi. To było najdziwniejsze. A ja się nie bałam. Cieszyłam się, że jest przy mnie.

- To dobry sen. — Delia owinęła jej głowę ciepłym ręcznikiem.

- Dobry. - Staruszka odsunęła ręcznik znad oczu, żeby spojrzeć jej w twarz. — Chciałam, żebyś wiedziała. Za każdym razem, gdy patrzę na ciebie i przypominam sobie, co zrobiłaś ze swoimi dziewczynkami, myślę o moim synu. Wyobrażam go sobie z kochającą rodziną. Wyobrażam sobie jego dzieci, których nigdy nie zobaczę.

- O, moja kochana, tak mi przykro...

- Nie, nie - zaprotestowała Marcia, gwałtownie potrząsając głową. - Nie rozumiesz. Mnie nie jest przykro. To już przeszłość. Kiedyś wyobrażałam sobie same potworności. Ludzi, którzy go podle traktują. Myślałam o tym, że jest głodny, zmarznięty i samotny. Same straszne rzeczy... Ale od kilku lat



narasta we mnie poczucie, że nie dzieje mu się żadna krzywda, że nie padł między kamienie, jak mówi Biblia, że trafił w czułe ręce. Wiem, że go kochają i że on nie czuje do mnie nie-nawiści.

Delia obserwowała ruszającą się na szyi Marcii skórę i maleńkie piegi, które nakrapiały jej gardło. Ta kobieta potraktowała ją dobrze. Ta kobieta była jej przyjaciółką.

- To dobry sen - powtórzyła Delia. Czuła ucisk w piersi, gardło też miała ściśnięte i obolałe.

- Tak - zgodziła się Marcia, szarpiąc kołnierzyk i wypychając pod ręcznik wilgotne włosy, które się spod niego wymknęły. — Myślisz, że powinnyśmy je w tym tygodniu podciąć? — zapytała. — Wygląda na to, że prawie przestały rosnać, a tak naprawdę to zależy mi jedynie na tym, żeby jako tako wyglądać w kościele. O nic więcej teraz już nie proszę.

Delia znów przytknęła dłonie do jej głowy. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Wszystko będzie dobrze. Wiedziała, jak się zabrać do włosów Marcii. Głośno zadzwonił telefon na ścianie przy drzwiach do salonu.

Marcia z niezadowoleniem spojrzała na aparat.

- Lepiej odbierzmy. Nigdy nie wiadomo, kto dzwoni.

Patrząc na Dede poprzez porysowany blat stołu w pokoju widzeń w areszcie, Cissy nie po raz pierwszy pomyślała, jak bardzo jej siostra przypomina Delię. Otaczający ją szum energii był niczym chóralny pomruk wokół ich matki i ładował powietrze elektrycznością, od której swędziała skóra i jeżyły się włoski na karku. Obie, Delia i Dede, wytwarzały atmosferę zapowiadającą, że coś się za chwilę stanie, kiedy zaś to coś działo się naprawdę, ludzie reagowali nie tylko bez zdziwienia, ale wręcz z ulgą.

Takie właśnie wrażenia zawładnęły siedzącą w pokoju widzeń Cissy — doznawała ulgi. Cieszyła się, że nikt nie zginął i że burza minęła, przynajmniej chwilowo. Po drżących palcach Dede poznała jednak, że napięcie znów się odbudowuje, że siostra ponownie zaczyna wibrować pełną wściekłości energią.

- Cieszę się, że do niego strzeliłam. — Dede wymachiwała w powietrzu papierosem i patrzyła wilkiem na przerażoną Cissy. — Głupi skurwysyn. Myślał, że dam się w ten sposób traktować. Głupi skurwiel. - Nie podnosiła głosu, lecz mówiła donośnie, aż zbyt donośnie i za bardzo gestykulowała. Cissy widziała, że strażniczka przy drzwiach podryguje, ilekroć Dede zaczyna mówić.

- Mam wrażenie, że Nolan ciągnie się za mną całe moje życie. Całe życie wpatruje się we mnie tymi swoimi wyłupiastymi oczami. Zawsze go traktowałam jak psa przy budzie, ale on tym bardziej na mnie napierał. Przysięgał, że będzie mnie kochał aż po grób, ale ja swoje wiedziałam. Gdy tylko zaczęliśmy ze sobą chodzić, od razu wiedziałam, że to się musi źle skończyć. Jeśli mężczyzna ugania się za kobietą, tak jak Nolan za mną, to prędzej czy później się na niej odegra. Nadejdzie taki czas, kiedy będzie musiała za to płacić.

Strzepnęła popiół w stronę małej aluminiowej popielniczki i rozejrzała się, jakby oczekiwała, że ktoś jej przytaknie, że ktoś ją poprze.

- No więc czekałam, kiedy to nadejdzie. Wiedziałam, że od tego nie ucieknę, że on mnie jakoś załatwi. — Uniosła ramiona i zaraz je opuściła. - Tak właśnie jest. Nie jestem idiotką. Wiem, jak to wygląda.

Opadła bezwładnie na oparcie krzesła i Cissy zapragnęła wziąć ją za rękę. Uprzedzono ją jednak, że pod żadnym pozorem nie może wstawać od stołu i dotykać siostry. Przystała na to ochoczo, nawet nie wyobrażając sobie, jak trudno jej będzie patrzeć na zdruzgotaną Dede i nie móc wyciągnąć do niej ręki. To pragnienie i żal musiały odbić się na jej twarzy, gdyż Dede odwróciła się i zagryzła zęby.

- Cholera! To przekraczało moje siły! — Przechyliła głowę i niezdarnie potarła policzkiem o rękaw. — No wiesz, ta mała dziwka! Ta Sheila! Żadna z niej piękność, do tego jeszcze głupia. Że też właśnie ją musiał przeciwko mnie wykorzystać! Pieprzoną kelnerkę, która podawała mi w barze piwo i talarki cebuli w cieście. I żeby ją potem tak całował!

Cissy pochyliła się nad stołem.

- Dede, on nie...

— Akurat! - Dede z hukiem oparła łokcie na stole. - Na pewno tak, do cholery! Myślisz, że tego nie wiem?

— Dede, mówisz od rzeczy. Nolan nigdy nie zwrócił na nią uwagi. Do Goobera chodził tylko na jedzenie, a ona flirtowała z nim tak samo jak z każdym. Nic nie robili. Ona tylko się z nim droczyła.

— Nie wstawiaj mi kitu. Nie kłam. Wiem, jak to się odbywa. Mógł kazać jej się wynosić, i już. Najpierw mówi mi, że mnie kocha, a potem całuje tę dzirę! Widziałam ją w Biscuit World, płałała się przy jego furgonetce. Kręciła tyłkiem i głośno się śmiała. Ja tam swoje wiem. - Ręce jej drżały. Wciąż energicznie wysuwała głowę do przodu, a potem bezwładnie opadała na krzesło.

— To się nie wzięło z niczego! - krzyczała. — Jeśli chciał mnie zostawić, mógł mi to powiedzieć prosto w twarz, a nie traktować mnie w ten sposób! Nie musiał kłamać! Najpierw prosił, żebym za niego wyszła, a potem kłamał!

— Prosił cię, żebyś za niego wyszła?

— Żebyś wiedziała!

— Boże! A więc o to poszło? Do diabła, Dede, jeśli już tyle wiesz, jak to możliwe, że nie zauważyłaś, że Nolan cię kocha?

— Że mnie kocha?

— Tak, że cię kocha.

— Gdyby mnie kochał, nigdy by się to nie zdarzyło. Gdyby mnie kochał naprawdę, niczego by nie chciał zmieniać. Mówiłam mu, żeby dał sobie spokój. Jak myślisz, jak się czułam? Ufałam mu, wierzyłam, pozwoliłam sobie na to, żeby go pokochać, a on tak mnie załatwił. Ufałam mu. Ja mu ufałam! — Dede była biała jak ściana.

Cissy patrzyła na nią przez stół z potworną świadomością tego, co się stało. Dede, córka Delii Byrd, zrobiła tę jedną, jedyną rzecz, której poprzysięgła sobie nigdy nie robić: oddała się we władanie mężczyzny, a to, że Nolan ją kochał, nie stanowiło dla niej różnicy.

Do diabła z regulaminem - pomyślała Cissy i wyciągnęła rękę, żeby dotknąć dłoni siostry.

— On cię kocha — powtórzyła, nie zważając na krzywiącą się Dede. — Leży w szpitalu i choć go podziurawiłaś kulami,

próbuję cię stąd wyciągnąć. Mówi, że nie wniesie oskarżenia. Że to jego wina. Gdyby mógł postawić na swoim, sam siedziałby tutaj zamiast ciebie.

— I powinien. — Dede uwolniła dłoń i zerknęła na strażniczkę, która ani drgnęła. — Powinien — powtórzyła szeptem.

- Och, Dede... — Cissy złożyła ręce, żeby nie sięgać już więcej przez stół. — Trzymasz się? — spytała, żeby coś powiedzieć. — Potrzebujesz czegoś? — Co i raz odruchowo spoglądała na strażniczkę. Kobieta miała surową twarz i z uwagą patrzyła na przeciwległą ścianę, lecz policzki miała zarumienione i nachylała głowę, żeby słyszeć każde słowo padające w pokoju odwiedzin.

- Nie, niczego mi nie trzeba. - Dede podniosła paczkę papierosów i upuściła ją na blat stołu. - Delia przyniosła mi trochę drobiazgów. Nie mogłyśmy pogadać, ale dostałam od niej cały karton długich marlboro. Biorąc pod uwagę, po ile tutaj chodzą, jestem prawdziwą bogaczką. Nie pozwolili mi jej zobaczyć, bo jeszcze nie skończyli mnie wtedy rejestrować. Szkoda, żeś nie słyszała, jak się wtedy rozdarła!

Potała policzkiem o ramię i zdjęła okruszek tytoniu z dolnej wargi. Cissy cieszyła się, że Dede zdjęto kajdanki, jak tylko weszła do pokoju odwiedzin. Widok siostry w kajdankach przypiętych do pasa robił bardzo przykre wrażenie.

Dede zerknęła na drzwi.

— Jak on się czuje? — zapytała tak cicho, jakby nie była pewna, czy rzeczywiście chce wiedzieć.

Kiedy strażniczka przesunęła się odrobinę, Dede wyprostowała się na krześle i pełnym głosem dodała:

— Jeszcze nie umarł?

Cissy wykrzywiła twarz.

- Nic mu nie będzie. Delia przy nim siedzi, do ciebie wpadnie później. Kazał ci powiedzieć, żebyś się nie martwiła, że na pewno nie umrze. — Wsłuchiwała się w swój głos, był piskliwy i spięty. To przez ten mały pokój. Jak można o takich sprawach rozmawiać w podobnych warunkach? - Załatwiłaś go, a przynajmniej załatwiłaś mu nogę. Kula zahaczyła o kość. Emmet zawiezie go do Atlanty, do ortopedy. Amanda i Tacey opiekują się Nadine. — Zawahała się. - Do diabła, Dede. Po co do niego strzelałaś? Nie jesteś wariatką. Nigdy w to nie uwierzę. Musiałaś wiedzieć, co robisz. Dlaczego do niego strzelałaś?

Dede wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa, wetknęła go do ust, lecz nie przypaliła.

— Mogłam albo do niego strzelić, albo poderżnąć mu gardło. Sama nie wiem. — Ściszyła głos. — Po prostu wpakowałam w niego cały magazynek. To nie czterdziestka czwórka, to tylko mała dwudziestka dwójka. Użądlenie pszczoły. Jak użądlenie pszczoły. — Uciekła wzrokiem w bok. — I wcale nie celowałam. Cud, że w ogóle go trafiłam.

— Ale mogłaś go zabić. I mówimy teraz o Nolanie, na litość boską. Mogłaś zabić Nolana!

— Nie, chciałam go tylko zranić. Chciałam, żeby zwrócił na mnie uwagę. Gdyby mnie kochał naprawdę, do niczego takiego by nie doszło.

— Och, Dede...

— Cóż. — Dede zapaliła papierosa. — Mówiłaś, że nic mu nie będzie.

— Tak. — Czekala, aż siostra powie coś więcej, lecz ta milczała.

Strażniczka przy drzwiach poruszyła się niecierpliwie.

— Nic mu nie będzie - powtórzyła Cissy.

Dede podniosła papierosa do ust i kiwnęła głową. Lekko drżały jej palce, błyszczały oczy, lecz Cissy widziała, że upór znowu bierze w niej górę.

— No jasne. Cholerny skurwysyn. Lepiej niech się z tego wylize. — Dede mocno przycisnęła oczy nasadą dłoni, potem obróciła się na krześle, żeby łypnąć spode łba na strażniczkę. — Lepiej niech się z tego wylize.

— Podałem adres parkingu przyczep jako miejsce zamieszkania Dede i Amandę jako osobę, z którą należy kontaktować się w drugiej kolejności po tobie. — Emmet wręczył Delii papierowy kubek z wodą i usiadł przed nią w biurowym fotelu. Delia zamrugała nieprzytomnie. — Chodzi o to, że był tu już jakiś reporter.

Połknęła dwie aspiryny i potrzęsęła głową.

— Czego chciał? Gdzie jest moja córka?

— A czego zwykle chcą reporterzy? — Emmet zignorował drugie pytanie. Kipiał złością. — Chcą sensacji, skandalu. Dziej-

czyna strzela do kochanka, a ten w drodze do szpitala krzyczy: „Nie róbcie jej krzywdy, ona tego nie chciała!” To ich ulubiony temat. Proste wiejskie dziewczyny i lekkomyślni chłopcy. Taka historia to dla nich łąkowy kąsek.

— Mam to gdzieś. Chcę się zobaczyć z córką.

— Niesłusznie, Delio. Jeśli rozdmuchają tę sprawę, mogą być kłopoty. — Emmet złożył ręce. Nachylił się do Delii. — Tak dobrze radziłaś sobie z córkami — dodał cicho.

— Dobrze! — Zareagowała odruchowo i z goryczą.

— Tak, dobrze. — Z emfazą kiwnął głową. — Miałas je dla siebie przez tyle lat. Pokazałaś im, jak bardzo je kochasz. Odkąd wróciłaś do Cayro, reporterzy przyjeżdżają tu raz po raz, chcąc napisać o tobie coś sensacyjnego, ale M.T., ja i inni trzymaliśmy ich od ciebie z daleka. Daliśmy ci czas.

— Nie można postępować z ludźmi w ten sposób. — Delia patrzyła na Emmeta sceptycznie.

— Można, można. Z pomocą innych można. Masz tu sporo znajomych, którzy z przyjemnością zajmą się każdym pisnikiem, którzy postawią mu drinka albo wypiją na jego koszt. Potrafią gadać z nim godzinami i nic mu nie powiedzą. Z ich punktu widzenia jesteś zwyczajnie nudna. Nikogo nie zabiłaś, nigdy ci nie odbiło, nie zrobiłaś nic szczególniego. To wydarzenie może wszystko zmienić. To zbyt dobry materiał.

— Nie dasz rady ich powstrzymać.

— Nie — zgodził się Emmet. — Pisano o tobie parę razy w „National Enquirer”, odkąd wydali kompakt Mud Dog, często wspominają cię w „Rolling Stone”, ale ten facet, ten dziennikarz, zakochał się w M.T. i nie zdradził nikomu, gdzie mieszkasz. — Umilkł na chwilę i dodał: — Byłaś tutaj bezpieczna, Delio.

— Wcale się tak nie czułam.

— Złotko, ty nigdzie nie czułaś się bezpieczna, prawda? — Uśmiechał się łągodnie. — Taka już jesteś.

— Och, na litość boską! — Delia wstała i podeszła do drzwi. — Emmet, chcę ją zobaczyć. Przyrowadź ją. — Odwróciła się i spojrzała na niego oskarżycielsko. — Nic innego mnie nie obchodzi. Przyrowadź mi moją córkę.

— Dobrze, dobrze. — Emmet powoli podniósł się z fotela. —

Mówię ci tylko to, co moim zdaniem powinnaś wiedzieć. Zależy mi na tobie, Delio. Dobrze o tym wiesz. Wiesz, że dla ciebie gotów byłbym czołgać się po błocie.

— Nie chcę, żebyś się czołgał po błocie. Chcę, żebyś przyprowadził tu Dede. Tu, do gabinetu. — Patrzyła mu prosto w oczy. — Tylko bez kajdanek. Dobrze wiesz, że nikomu nie zrobi krzywdy.

Delia myślała, że łatwiej im będzie, gdy usiądą razem jak normalni ludzie, jak matka z córką, kiedy jednak Emmet ją przyprowadził, fakt, że Dede nie była skuta, że zamiast krat i strażniczek w gabinecie znajdowały się biurka i maszyny do pisania, prawie nie miał znaczenia. Od chwili, gdy otworzyły się drzwi, serce Delii dudniło jak tłok silnika rozpedzonego parowozu.

Dede wyglądała koszmarnie. Nie chciała się myć, a nawet czesać, ręce trzymała przed sobą, jakby wciąż skuwały je kajdanki, których Delia bała się zobaczyć.

— Mama — powiedziała. Widząc jej minę, szybko dodała: — Delia — ale było już za późno.

Padła w ramiona matki.

— Przepraszam — rzekła.

Delia mocno ją przytuliła, przywarła do niej całym ciałem.

— Wszystko będzie dobrze. — Pogłaskała ją po głowie.

— Co z Nolanem? Cissy mówiła, że z tego wyjdzie. — Chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz Delia ją powstrzymała.

— Nic mu nie jest. W każdym razie nie będzie. Przyjedzie do ciebie, jak tylko zdoła przekonać lekarza, żeby go wypuścił.

— Zraniłam go. Boże, mogłam go zabić! Nie chciałam go zabić! — Dede dygotała w ramionach Delii.

— Oczywiście, że nie. Wiem, kochanie, wiem. Wszystko będzie dobrze. Nolan wyzdrowieje. Myśl tylko o tym: Nolan wyzdrowieje, a ty się nim opiekujesz. Będzie dobrze, skarbie. Obiecuję. Wszystko będzie dobrze.

— Nie mogę się nim opiekować! — Dede była przerażona. — Postrzeliłam go. Nie mogę się nim opiekować.

Delia znowu ją przytuliła, potem odsunęła od siebie na długość ramienia.

— Tak, postrzeliłaś go. Właśnie dlatego teraz się nim zajmiesz. Mówisz, że nie chciałaś go zranić. Nie kochasz go?

— Nie wiem. Nie wiem. Wydaje mi się, że Nolan powinien trzymać się ode mnie z daleka. Cholera, wszyscy powinni trzymać się ode mnie z daleka. Mam nie po kolei pod sufitem. Jestem stuknięta.

— Nieprawda. Ale być może chwilowo ci odbiło. Chyba byłoby dobrze, gdybyś zrozumiała, co dzieje się w twojej głowie. - Delia mówiła chrapliwym szeptem, a jej skupiona twarz pokryła się zmarszczkami. Wzięła Dede za rękę. — Posłuchaj. Bardzo przeżyłaś śmierć dziadka Byrda. Widziałam to. Wszyscy to widzieli. Ale nie wiedzieliśmy, co robić. Im byliście z sobą bliżej, ty i Nolan, tym bardziej się wszystko gmatwało. Moim zdaniem nie masz pojęcia, jak go kochać. Sama myśl, że go kochasz, przeraziła cię tak bardzo, że na chwilę uległaś szaleństwu, szaleństwu, które kazało ci walczyć o życie jedynym znanym ci sposobem.

Dede spuściła głowę i pokręciła nią ze znużeniem. Delia nachyliła się i ujęła ją za podbródek.

- Widziałaś kogoś zakochanego i szczęśliwego? Wzrastałaś przy Clincie, przy jego szaleństwie. I przy mnie, prawda? Masz wszelkie powody, żeby się bać miłości. — Patrzyła jej w oczy.

- Nie wiem - jęknęła Dede. - Chyba kocham Nolana. Kocham go, ale kiedy o nim myślę, serce mi pęka. Mówi mi coś miłego, a ja wmawiam sobie, że mnie oszukuje. I nagle zobaczyłam go z Sheilą. Od razu wiedziałam, że mnie przedtem nabierał. - Przeszył ją dreszcz. - Boże, pomyślałam, że to kolejny chłopak, który chce nosić moje serce jak odznakę na marynarce. Pod siedzeniem w samochodzie woziałam pistolet, ten, który dostałam, kiedy Billy Tucker tak mnie przestraszył w sklepie. Nawet nie pamiętam, kiedy po niego poszłam. Wydawało mi się, że widzę, jak Nolan całuje Sheilę, i od razu zaczęłam strzelać. Spytałam tylko: „Chcesz się ze mną ożenić, co?” On krzyknął, a ja pociągnęłam za spust.

— Nolan chce się z tobą ożenić? - Delia głąskała Dede po ramieniu, jak ktoś, kto pragnie obłąskawić dzikie zwierzątko. — Nigdy dotąd o tym nie wspominałaś.

- Nie mogłam. Miałam wrażenie, że Nolan jest kimś obcym, kimś, kogo nigdy nie znałam. Czułam, że muszę od niego



uciec, ale nie mogłam bez niego żyć nawet jednej minuty. Zaczęłam wozić broń w samochodzie, bo nie potrafiłam poradzić sobie z tym, co czułam. Myślałam, że lepiej mi będzie, jak umrę. Boże, sama już nie wiem, co myślałam, ale nie chciałam zabić Nolana!

— Ciii. Ciii... — Delia przytuliła ją i rytmicznie gładziła ją po głowie. - Wyrzuć to z siebie - szeptała. - Wypłacz się. Jakoś to naprawimy, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Dojdiesz do siebie, zobaczysz.

Równie dobrze mogłaby mówić o pogodzie, Dede i tak nie zauważyłaby różnicy. Słyszała tylko uspokajający głos, który był niczym balsam matczynej miłości. Mama obiecywała, że Nolan będzie zdrowy, że wszystko się ułoży. Dede padła jej w ramiona i przestała się powstrzymywać od płaczu. Po raz pierwszy od wielu tygodni dała upust swojemu strachowi.

Emmet dwukrotnie stawał przy drzwiach i słysząc szloch, odchodził. Raz wyraźnie usłyszał głos Dede: „Nie chciałam zrobić mu krzywdy”. Dzięki Bogu - pomyślał. - Skoro dziewczyna rozumie, co zrobiła, tym razem wszystko może się jeszcze ułożyć. Nie można pomóc tylko tym, którzy nie przyznają się do swojego postętku.

Tuląc córkę, Delia myślała o tym samym. Pamiętała, jak szlochała w ramionach Randalla, dawno, bardzo dawno temu, podczas tego nie kończącego się roku wypełnionego rozdzierającym bólem po porzuceniu dziewczynki. „Dobrze, już wszystko dobrze” — powtarzał jej wtedy raz po raz, a ona mu uwierzyła. I dopiero gdy zginął, zrozumiała wreszcie, że miast uciekać i zapijać się do utraty świadomości, mogła zrobić coś innego. Mogę jej pomóc - myślała, tuląc Dede. - Mogę jej pokazać, jak przez to wszystko przebrnąć.

Po dłuższej chwili Dede ucichła, wciąż jednak przyciskała policzek do matczynej bluzki.

— Kochanie — odezwała się Delia — Nolan cię stąd wyciągnie. Dede spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— Nie może.

— Może. — Delia spokojnie skinęła głową. - Może. I na pewno to zrobi. Gdyby wszystko ułożyło się inaczej, mogłabym zabrać cię do domu, ale wyjaśnianie tych spraw zabierze trochę

czasu. Myślę jednak, że wkrótce zechcesz się z nim zobaczyć. Musisz się przekonać, że z tego wyjdzie.

— Chyba nie zdołam — odrzekła cichutko Dede.

— Zdołasz. Wiem, że zdołasz. — Delia uściśniła ją jeszcze raz. — Posłuchaj, kochanie. Jutro przyjeżdża Rosemary i jeśli chcesz, możesz z nią przez jakiś czas pomieszkać. — Przerwała na chwilę. — Ale od razu cię uprzedzam, że moim zdaniem nie to powinnaś zrobić. Myślę, że gdybyś z nim rozmawiała, do niczego by nie doszło. Porozmawiaj z nim teraz, kochanie.

— Sama nie wiem... — Dede odsunęła się i otarła twarz rękawem. — Chyba nie potrafię.

Delia sięgnęła po torebkę i wyjęła z niej paczkę papierosów.

— Masz — powiedziała i zapaliła jednego dla córki.

— Znowu palisz? - spytała zdziwiona Dede.

— Nie, kupiłam je dla ciebie. Pomyślałam, że tamte zdążyłaś już wypalić.

Dede spróbowała się uśmiechnąć.

Opadła na fotel Emmeta i łapczywie zaciągnęła się dymem. Delia usiadła obok i obserwowała, jak córka pali. Po prostu czekała, tymczasem Dede paliła i rozglądała się po gabinecie.

— Nigdy ze sobą nie rozmawiamy, prawda? — rzuciła, gdy papieros prawie się dopalił.

Delia potrząsnęła głową.

— Takie już jesteśmy — odrzekła.

Dede wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa.

— Dużo o tobie myślałam - zwierzyła się. — O tobie i Clincie.

Delia czekała.

— Nigdy nie mogłam zrozumieć, jakim cudem na siebie trafiliście. — Zapaliła zapałkę i obserwowała, jak się spala. — Jak to się stało, że się w nim zakochałaś. Przecież musiałaś wiedzieć, jaki był.

Dobrze — powiedziała sobie Delia. — Porozmawiaj z nią. Wzięła głęboki oddech.

— Tak, powinnam była wiedzieć, ale nie wiedziałam. Tak długo byłam taka samotna. Kiedy go poznałam, myślałam, że los skrzywdził go tak samo jak mnie. Myślałam, że Clint wie to, co ja. Że będzie umiał wyleczyć moje serce, a ja wyleczę jego, ale Clint to nie Nolan, kochanie. W niczym go nie przypominał.

— To wiem. — Dede usiadła wygodniej obok Delii.

— Nie, myślę, że nie wiesz. Bo czego cię nauczyłam? Tylko tego, że miłość jest niebezpieczna. — Spuściła oczy. — Nigdy nie chciałam o tym z tobą rozmawiać, nie chciałam mówić źle o twoim ojcu, ale nie mówiąc o nim, nie mogłam ci też opowiedzieć o czymś innym. O tym, jak bardzo byliśmy w sobie zakochani. Ile radości czerpaliśmy z ciebie i Amandy. Jak się czułam, gdy go kochałam, gdy mu ufałam. Jego szaleństwo i podłość nie mogą wymazać tego, co było w nim dobre. Gdyby nie to, nigdy bym ciebie nie miała. Clint zwrócił mi córki. Choć zniszczony chorobą i rozdarty, zrobił, co mógł. Oddał mi ciebie.

— Omal cię nie zabił — powiedziała Dede cicho i wyraźnie. — Widziałam, jak traktował babcię Windsor, a nawet własnego ojca. Jak zachowywał się wobec nas. Nie miał pojęcia o miłości. Ilekroć wyobrażałam sobie, jak się między wami układało, dochodziłam do wniosku, że oboje musieliście być nieźle szurnięci.

— Och, kochanie. — Delia wykrzywiła usta. — Właśnie o tym mówię. Widziałaś tylko jedną stronę medalu: matkę, która was porzuciła, i Clinta, którego najgorsze cechy przysłoniły to, co w sobie miał najlepszego. Ale kiedyś go kochałam, a on kochał mnie i stając się tym, kim byliśmy wówczas, pokazaliśmy, co w nas najlepsze.

— Nigdy dotąd nie mówiłaś, że go kochałaś.

— Miałam dużo czasu, żeby nauczyć się go nienawidzić. Kiedy wróciłam do Cayro, czułam tylko nienawiść, jednak nie brakowało mi czasu, żeby się jej oduczyć.

Dotknęła palcem policzka córki. Ostatnio Dede bardzo schudła. Skóra na jej policzkach była tak napięta, jakby zaraz miała pęknąć. Delia sięgnęła po papierosa, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała.

— Mówiłam Rosemary, że małżeństwo z Clintem przypominało księżyc. Po jednej stronie samotność, po drugiej buroblond włosy zawijające się na kołnierzyku jego koszuli. Uwielbiałam dotyk jego włosów, gdy kładłam mu rękę na karku. Były takie miękkie, zawsze pachniały sianem i słońcem. — Zaczerwieniła się. — I jeszcze ten jego uśmiech... Taki leniwy, który obiecywał, że już nigdy nie będę samotna ani znudzona. Ten uśmiech go

rozświetlał. — Wpatrzyła się w maleńkie okno gabinetu, jakby widziała w nim przeszłość. — Ale jeśli chcesz poznać serce swojego mężczyzny, przyjrzyj się jego matce. Patrz w jej oczy, nie w jego. To one powiedzą ci, czego masz oczekiwać. Przyjrzyj się Nadine. Ona naprawdę kochała ojca Nolana i była dla niego dobra. Ja powinnam była patrzeć w oczy babci Windsor, ale zbyt żarliwie wyczekiwałam uśmiechu Clint, żeby widzieć twarz jego matki nawet wówczas, gdy przysunęła ją blisko mojej twarzy i powiedziała mi prosto w nos, że mnie nienawidzi, że nienawidzi we mnie wszystkiego. — Jej dłoń podpełzła do paczki papierosów. — Tak mnie nie znosiła, tak nienawidziła tego, co kochał jej syn. Powinnam była przyjrzeć się im uważniej, ale pewnie właśnie w taki sposób powstaje większość rodzin: stęskniona kobieta spotyka uśmiechniętego mężczyznę albo odwrotnie. Odrobina wdzięku i wielka tęsknota, tak to się zwykle zaczyna.

— Musiałaś być stuknięta, żeby za niego wychodzić — powiedziała Dede, ale Delia mówiła dalej, jakby tego nie usłyszała.

— Pobraliśmy się w Holy Redeemer — ciągnęła. — Wielebny Call był chyba najbardziej zgryźliwym duchownym, jaki kiedykolwiek stawał przed ołtarzem podczas niedzielnego nabożeństwa. Clint chciał, żebym włożyła koronkowy welon, w którym ślub brała jego matka. Chciałam uszyć sobie suknię i nie miałam ochoty wkładać żadnej rzeczy należącej do jego matki, poza tym kiedy podniosłam ten welon pod światło, zobaczyłam, jak fatalnie jest zrobiony. Ale Clint mówił, że jest stary, że ma szczególną wartość. — Westchnęła — Obiecałam więc, że go nałożę. To powinno było mnie ostrzec, powinnam była wiedzieć, że popełniam błąd, godząc się na coś, czemu jestem tak bardzo przeciwna. Ale mogłam widzieć wokół siebie mnóstwo najrozmaitszych znaków i cudów, rzędy gorejących krzaków, które przemawiając ludzkim głosem, wrzeszczałyby: „Nie rób tego”, a i tak nie zwróciłabym na nie uwagi.

Dede nie odrywała oczu od matki.

— Przyglądałam się tobie, jak go pielęgnowałaś, kiedy umierał. Patrzyłyśmy z Amandą, jak karmisz go i obmywasz, jak

bardzo się o niego troszczysz. Po zastrzyku morfiny tracił świadomość, mimo to nie wychodziłaś z sypialni. Stałaś tam i przyglądałaś mu się z dziwnym wyrazem twarzy. Zastanawiałam się wtedy, o czym tak rozmyślasz. Pamiętasz jeszcze?

Delia przymknęła oczy.

— Czasami nienawidziłam go tak mocno, że nie myślałam o nim, tylko o tobie czy Amandzie. Układałam plany albo rozmyślałam o innych sprawach, które chodziły mi po głowie. Czasami przypomiinałam sobie, jak uśmiechając się, unosił kącik ust, wspominałam zapach jego szyi i ciężar dłoni na moich ramionach. — Uniosła ręce i przyjrzała się im, jakby spoczywało w nich coś cennego. — Kiedyś bywało tak, że gdy nabierał powietrza, drżała mi przepona. Gdy się rumienił, ja płonęłam. Gdy dotykał mojej skóry językiem, mogłabym przysiąc, że czuję smak soli. Boże, jak on całował mnie w szyję, jak wkładał ręce pod bluzkę. Za każdym razem oblewał mnie żar i traciłam rozum. Och, kochanie, te fale gorąca i ogłupienie naniszczyły w życiu więcej, niż ludzie skłonni są przyznać.

Dede trzasnęła zapałką i przypaliła papierosa.

— Uhm — mruknęła — właśnie tego się boję.

Delia przeszyła ją wzrokiem.

— Byłam inna niż ty. Zupełnie inna - rzekła stanowczo.

— Kochałaś go - powiedziała Dede. Z papierosem między palcami, patrzyła w dół. Nie mogła spojrzeć na matkę.

— Kochałam człowieka, którego sobie wyobrażałam, a może mężczyznę, jakim starał się być. — Urwała. Kiedy odezwała się ponownie, mówiła ciszej, jakby chciała zdradzić jej jakąś tajemnicę. — Mogło być całkiem inaczej, ale okazał się nieodrodnym synem swego ojca i miał w sobie mściwość swojej matki. I jego, i siebie samą poznałam dopiero wtedy, kiedy już było za późno. A uciekając, ratowałam swoje życie.

Delia spuściła oczy, jakby wspomnienia za bardzo ją bolały. Dede nie odrywała oczu od matki. Delia wyciągnęła rękę i z czułością dotknęła jej policzka.

— Człowiek poznaje siebie dopiero wtedy, gdy stwierdza, że robi coś, czego dawniej nawet nie mógł sobie wyobrazić. — Zabrała rękę i wyprostowała się. — Masz siłę babki Windsor,

Dede. Musisz ją tylko dobrze wykorzystać. Czasami patrzyłam na nią i drżałam, widząc to, co widziałam. Tyle lat obrywała po grzbiecie, że w końcu przypominała miękkie ciasto ugniecione na obraz i podobieństwo skały. Myślę, że chciała, żebym ugięła się tak samo jak ona, bo wtedy uzyskaby potwierdzenie, że dobrze pokierowała swoim życiem.

— Była taka twarda. Amanda ma to po niej. Tę twardość, ten upór — odrzekła gniewnie Dede.

— Nie wiem. Może wszystkie takie jesteśmy? — Delia uśmiechnęła się lekko na widok zdumionej miny Dede. — Przecież gdybyśmy nie miały tej siły, jak inaczej byśmy przetrwały? Babcia Windsor była wystarczająco silna, żeby przetrwać to, co przetrwała. Sama zobaczysz. Pożyjesz i zobaczysz.

Dede wzruszyła ramionami.

— Dość już widziałam.

— Posłuchaj mnie, Dede. W życiu ciągle coś się dzieje, a my się ciągle zmieniamy. Dojrzewamy. Zbieramy cięgi. Stajemy się innymi ludźmi. Gdy zakochałam się w twoim ojcu, byłam inną kobietą. Właśnie to próbuję ci teraz powiedzieć.

— Ludzie się zmieniają — wyszeptwała Dede.

Delia skinęła głową.

— Tak, zmieniają się.

Dede miała otwarte usta i poważną twarz. Delia się zawstydziała, lecz szybko nad sobą zapanowała.

— Ciągle słyszałyśmy tylko to, że jesteś niedobra — powiedziała Dede. — Że uciekłaś i zostawiłaś nas bez żadnego powodu. Ale ja ten powód widziałam. Ludzie mówili, że pojechałaś za Randallem Pritchardem dla pieniędzy, że uciekłaś, żeby zdobyć bogactwo i sławę, że nie chciałaś wychowywać dzieci Clinta Windsora. Widziałam, że to nie takie proste.

— Nie, kochanie, to nie było tak proste. — Delia otarła oczy. — To jak z tym księżycem. Nie chodziło ani o seks, ani pieniądze, ani o sławę Randalla. — Uśmiechnęła się. — Tak naprawdę to Randall stał się sławny dopiero po śmierci, ale wcześniej przygarnął mnie i próbował mi pomóc. Po prostu nie wiedział, co czyni.

— Zrobiłaś to, co musiałaś.

Delia wzięła ją za rękę.

— Gdybym wtedy myślała rozsądniej, poszłabym po szeryfa i wróciła po was, po ciebie i Amandę. Clint i babcia Windsor na pewno by się stawiali, bo później stawiali się na każdym kroku. Ale kiedy wreszcie trafiłam do adwokata w Los Angeles, okazało się, że jest po wszystkim. Wciąż miałam sińce na twarzy, ale byłam już przestępczynią, zbiegłą żoną. Nie pozwolono mi nawet zbliżyć się do was. Myślałam, że umrę, ale gdy ogarnął mnie najgorszy smutek, miałam przy sobie Randalla, on pomógł mi przez wszystko przejść.

— Dbał o ciebie. - Dede zaciągnęła się dymem.

— Kochał mnie. Kochanie przychodziło mu bez trudu. Nie trwało wiecznie, ale było dla niego proste i łatwe. I nigdy nie bywał okrutny. Kochał mnie. Kochał Cissy. Tylko że... - Wzruszyła ramionami. - Co chcesz wiedzieć, Dede? Starałam się was nie okłamywać, ale jest wiele spraw, o których wolałam wam nie mówić. Clint był człowiekiem dobrym, tylko zagubionym. Randall też miał paskudne cechy, ale pomógł mi znieść najgorszy smutek, a miłość, która tak koi, nie może być zła.

— Jego też zostawiłaś. - Dede spokojnie zgasiła papierosa. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie jest wściekła, tylko zacięka-wiona. — Właściwie dlaczego wróciłaś do Cayro?

— Będąc w Kalifornii, cały czas śniłam i marzyłam o tobie i o Amandzie. Opłakiwałam was każdym nerwem, każdą kroplą krwi. Było mi tak smutno, że mogłam tylko pić. I piłam, żeby nie oszaleć, ale i tak byłam bliska szaleństwa. — Nachyliła się ku niej. — Cały czas nasłuchiwałam waszych głosów. W jaki sposób mogłam z tego wybrnąć? W jaki sposób mogłam naprawić to, co zrobiłam? Zostawiłam wszystko, co miałam, żeby was odzyskać, a teraz, kiedy na ciebie patrzę, zastanawiam się, czy nie zrobiłam tego na próżno. Może mój powrót nie pomógł żadnej z was? — Urwała i zaczęła rozcierać sobie ramiona, jakby jej mięśnie przysnęły, jakby czuła w nich mrowienie.

— Nie powinnaś była wracać — odparła Dede. — Słyszałam nagrania Mud Dog. Śpiewasz jak nikt na świecie. Czytałam o tobie. Mogłaś osiągnąć wszystko.

— Nie, nie mogłam. — Delia zacisnęła dłonie na swoich bicepsach. — Uwielbiałam śpiewać, ale w Kalifornii zawsze śpiewałam pijana. Pijana na nagraniach, pijana na scenie. Na trzeźwo zaśpiewałam najwyżej dla czterech osób.

— Byłaś niezwykłą.

— Kochanie, w pijaczce nie ma nic niezwykłego. Prawdą jest, że kochałam ojca Cissy. Uratował mnie, kiedy was straciłam, ale tak naprawdę to uratował kogoś innego. Bo ja nigdy nie chciałam być sławna ani mieszkać w mieście, które zjadało mnie żywcem. Ja, ta prawdziwa ja, chciałam śpiewać tylko dla ciebie, Amandy i dla siebie. Ta prawdziwa Delia zawsze chciała być tutaj, z wami.

Dede wstała i podeszła do drzwi.

— Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć? — spytała Delia nagle i natarczywie.

Dede odwróciła się do niej.

— Częściowo — odparła. — Całe życie mówisz nam różne rzeczy.

— Chcę, żebyś zrozumiała, że nie możesz rezygnować z życia dlatego, że mnie się nie udało. — Rozcierała ramiona, unikając spojrzenia córki. — Nie musisz wychodzić za Nolana, ale nie wypieraj się tego, co czujesz. Kochasz go, złościsz się na niego, boisz się. Nie okłamuj ani siebie, ani jego. Nie uciekaj.

— Jak ty?

Delia otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Wstała i podeszła do córki. Objęła ją i przytknęła usta do jej czoła.

— Jak ja — wyszeptwała. — Jak ja.

Na dole, w sądzie, czekała na nią Amanda. Delia podeszła do córki na ołowianych nogach. Zauważyła, że Amanda zmieniła się na twarzy, że ma pełniejsze policzki, że już nie zaciska ust, że jej spojrzenie nabrało miękkości.

— Nie pozwól, żeby wsadzili ją do szpitala — rzekła spiesźnie Amanda. — Wiem, że Emmet o tym wspominał, ale to kiepski pomysł. W takim stanie mogliby zrobić z niej wariatkę i miałybyśmy dużo kłopotów, żeby ją stamtąd wyciągnąć.

Delia zmarszczyła czoło.



- Ona potrzebuje pomocy — stwierdziła zmęczonym głosem.  
- Tak. - Amanda skinęła głową. - Ale nie pakujmy jej w większe kłopoty niż te, których sama sobie nawarzyła. — Otworzyła notes i przerzuciła kilka kartek. — Już zadzwoniłam do George'a Creightona ze wspólnoty baptystów. To dobry prawnik i zna się na takich sprawach. Powiedział, że każda godzina przynosi nam korzyść. Dede wyznała, że żałuje tego, co zrobiła, a Nolan urządził Emmetowi awanturę. Jeśli dobrze to rozegramy, Dede wróci do domu przed upływem tygodnia.

Delia miała co do tego wątpliwości.

- No nie wiem. Przecież go postrzeliła.

Amanda wygładziła kartkę notesu.

- To prawda i wszyscy się zgadzamy, że potrzebuje pomocy, ale pobyt w szpitalu w niczym jej nie pomoże. Co najwyżej nafaszerują ją tam prochami i tylko się jej pogorszy. Musimy myśleć trzeźwo. Dla niej.

Delia ponownie przyjrzała się córce.

- Masz rację.

- Poza tym myślę, że Dede jest w ciąży — dodała rzeczowo Amanda.

- Co?

- To jedyne wytłumaczenie.

- Nic o tym nie wspomniała.

- No pewnie, że nie, i nie mam jej tego za złe. Ale popatrz tylko na Nolana. Przekonasz się, że on też tak uważa. Czułam to, kiedy z nim rozmawiałam. Czekaj, aż Dede mu to powie.

- Nolan powiedział ci, że Dede jest w ciąży? — Delia miała ochotę usiąść i ukryć głowę między kolanami.

- Nie, ale wyczułam, że tak uważa. — Amanda zaczynała tracić cierpliwość. — Prędzej czy później musiało do tego dojść, przecież wiesz.

- Nie powiedziała ani słowa.

- Delio. — Amanda zamknęła notes. — Przypuszczam, że Dede nie chce teraz o tym myśleć. Dobrze wiesz, co sądzi o małżeństwie. Z życia w grzechu uczyniła świętą zasadę.

- O mój Boże. Nic dziwnego, że do niego strzelała.

Amanda uśmiechnęła się.

— To prawie logiczne, no nie? Kiedy się ją zna.

Delia spojrzała na córkę.

— Może tego dziecka nie chceć.

Amanda spuściła oczy i głęboko odetchnęła.

— Wiem, ale na razie nie będę się nad tym zastanawiać. Dede jest trudna, ale nie zła. Jeśli jej pomożemy, podejmiemy właściwą decyzję.

— Amando... - Kiedy Delia wymawiała imię córki, załamała jej się głos. — Amando, nie przestajesz mnie zadziwiać. — Objęła ją za sztywne ramiona i tuliła do siebie dopóty, dopóki córka się nie rozluźniła.

— Mamy parę spraw do załatwienia — rzuciła szorstko i uwolniła się z matczynych objęć. - Dużo spraw.

Siedząc w celi, Dede przypomniała sobie zdjęcie Mud Dog, które wycięła ze starego egzemplarza „Rolling Stone”; znalazła go u Crane'a, kiedy miała dziewięć czy dziesięć lat. Nie spojrzała na nie od czasu, gdy zamieszkała z Delią przy Terrill Road. Była to fotografia zrobiona w autobusie. Członkowie zespołu, z tyłu sterta instrumentów i sprzętu, połowa pokrowców na bębnach opatrzona napisem „Diamonds and Dirt”. Booger i Little Jimmy palili na spótkę skręta, opierając się o tylną ścianę autobusu. Randall stał z przodu w zamszowej marynarce z frędzlami. Oczy skrywał za okrągłymi, ciemnymi okularkami, ale uśmiechał się szeroko, odsłaniając zęby. Delia stała obok Rosemary. Miała długie, rozpuszczone włosy i brzuch sterczący spod spódnicy z łąt, wykończony aksamitnym paskiem. Na zdjęciu rzucała się w oczy przede wszystkim faktura materiałów, poczucie zaćpanej pewności siebie, meszek aksamitu i chybotliwy ruch frędzli nad kłamrą u paska Randalla. Zdjęcie to stało się stereotypem, jeszcze zanim trafiło do gazet - mimo sukcesu albumu *Diamonds and Dirt* Mud Dog był tylko drugorzędny zespół, a legendą rocka okrzyknięto go dopiero wtedy, gdy się rozpadł — i pamiętało się z niego jedynie efekt kapsuły czasu, zastygłą chwilę z bajki. Dede wpatrywała się

w nie godzinami: matka z tym mężczyzną, księżę hipisów i zbiegła żona. I Cissy w wyraźnie zarysowanej wypukłości brzucha Delii. Kiedyś pokazała tę fotografię Cissy, ale siostra nie okazała żadnego zainteresowania.

Dede żałowała, że nie ma zdjęcia Delii z Clintem sprzed narodzin jej i Amandy — zdjęcia rodziców choćby w jednej chwili szczęścia. Cissy tego nie rozumiała. W widoku Delii u boku Randalla i w zapowiedzi już istniejącej, choć jeszcze nie narodzonej Cissy Dede odnajdowała coś bardzo istotnego. Jakby widziała tam siebie, jakby tuż przy brzuchu Delii widziała swojego ducha.

To zdjęcie było piosenką. Fragmentem bluesa Delii, historią ich wszystkich i tym, co razem tworzyli. Dede patrzyła na nie oczyma duszy i widziała w nim przeszłość i przyszłość: nie zespół w trasie, lecz rozbitą rodzinę, którą scalał na nowo zawzięty upór jednej kobiety. Nie jestem Delią — myślała — nie jestem taka silna, i wtedy usłyszała głos Nolana. — Jesteś — mówił — jesteś. Silniejszej od ciebie nie zniósłby żaden człowiek.

„Jesteś moim sercem” - powiedział, zanim do niego strzeliła. Siedząc w celi, zrozumiała, że miał rację. Była jego sercem, a on, niech jej Bóg dopomoże, był sercem jej.

## 22

Wiesz, co mawiał mój tata? - zagadnęła ją Tacey tamtego o wieczoru, gdy wreszcie zapakowały Nadine do łóżka. — Mawiał, że biali mają kompletnego fioła.

Siedziały przy stole kuchennym. Cissy wyjęła z górnej szafki butelkę wina, o której wspomniała jej Nadine. Wypiły już po jednym kieliszku i zaczęły drugi.

— Uhm — zgodziła się Cissy. — Sam Pan Bóg wie, że moja rodzina jest szurnięta. Dede pewnie dostanie wariackie papiery, bo inaczej by się z tego nie wygrzebała, a Amanda ma fioła na sto procent.

Amanda pojawiła się w korytarzu prowadzącym do sypialni Nolana.

— Doprawdy? — Nalała sobie sporą porcję wina do szklanki na wodę.

— Jak on się czuje? — Tacey postanowiła zachować się dyplomatycznie. — Śpi?

— Odurzony prochami. — Amanda pokręciła głową i pyknęły jej mięśnie szyi. — Ale poza tym wszystko dobrze. Dzięki Bogu Dede nie miała dużego pistoletu. Jak na taki postrzał, Nolan świetnie się spisuje. Wydaje mi się, że opuchlizna na nodze się zmniejsza. Będzie nam bardzo trudno utrzymać go jutro w łóżku. — Pochyliła się nad szklanką i zmarszczyła czoło. — Czy to wino jest dobre? Ma tak smakować?

Cissy wzruszyła ramionami.

— Nadine mówiła, ile ono ma lat? — Spojrzała na Tacey.

— Nie. Pewnie myślała, że wypiję całą butelkę i dla niepoznaki naleję do niej wody. — Tacey pociągnęła łyk wina. — Może skwaśniało. Jest trochę gorzkie, ale co ja mogę o tym wiedzieć? Przecież ja nie piję. — Zwróciła się do Amandy. — Myślałam, że ty też nie.

— Zaczynam — odparła Amanda. — Wczoraj piłam z Cissy. Od tej pory będę piła regularnie. Rozpocznam studia nad grzechem. Muszę się dowiedzieć, jak to jest.

— Przerażasz mnie — powiedziała Tacey.

— Wiem. Czasem przerażam sama siebie, ale ufam Bogu. Doszłam do wniosku, że jestem tylko ułomnym człowiekiem i potrzebuję pomocy Najwyższego. Dopiero uczę się życia. — Upiła duży łyk wina. — Cissy, dzwoniły do ciebie te twoje dziewczyny. Dzwoniły dwa razy i pytały, co się z tobą dzieje. Podobno umówiłaś się z nimi na wieczór.

— O Boże! Zapomniałam do nich zatelefonować! Miałyśmy dzisiaj badać Little Mouth i zostać tam na całą noc.

Amanda potrząsnęła głową.

— Nigdy cię nie zrozumiem. Co ty, u licha, robisz? Pchasz się w miejsce, które może okazać się pierwszą bramą piekieł? A Mary Martha Wynchester powiedziała, że rzuciłaś pracę w agencji nieruchomości.

Cissy skinęła głową.

— To prawda. Nie cierpię pośredników. I tej roboty.

Amanda usiadła przy stole.

— No i co teraz będziesz robić?

— Pomyślę. - Cissy spojrzała na Tacey, potem na siostrę. - Przed tym wszystkim Nolan mówił mi, że Dede jest nieszczęśliwa, że chciałaby robić coś innego. Wyglądało na to, że on też. Wspominał, że rozgląda się za pracą w Atlancie.

— Tak - potwierdziła Tacey. - Mnie też o tym napomknął. Powiedziałam, żeby odszukał mnie w Spelmanie.

— Hm, to mną wstrząsnęło. — Cissy bawiła się pustym kieliszkiem. - To śmieszne, jak z biegiem czasu człowiek przywyka do pewnego stanu rzeczy i myśli, że nic się nigdy nie zmieni. A potem zdarzył się ten wypadek i zrozumiałam, że czy chcę tego, czy nie, wszystko i tak się zmieni. — Uniosła kieliszek w stronę Amandy. — Myślę. Badam różne rzeczy, jak ty. Nadzedł czas, żebym porobiła plany na przyszłość.

— Bylebyś tylko przestała się włóczyć z tymi dziewczynami — odrzekła Amanda z twarzą po dawnemu ściągniętą. — Jest w nich coś nienormalnego.

— Są takie jak wszyscy inni — odparła Cissy. — Nie są wcale bardziej szurnięte od ciebie czy ode mnie.

— Naprawdę? No to powiem ci, że widziałam je w furgonetce, kiedy ostatni raz jechałyście do jaskiń. Siedziały blisko siebie, a potem ta wysoka objęła tę drugą, nachyliła się i pocałowała ją w usta. Jak na mój gust, są zdecydowanie bardziej stuknięte od ciebie.

Cissy patrzyła, jak siostra napełnia szklankę winem. Całowały się? Mim i Jean się całowały?

— Myślę, że to lesbijki - oznajmiła autorytatywnie Amanda.

— Lesbijki? — Tacey aż prychnęła. — Na litość boską, tylko nie mówcie nic Nadine, bo od razu je tutaj zaprosi i będzie chciała o tym porozmawiać. Wystarczy, że jest przekonana, że spiam ze śmieciarzami. Za chwilę powie, że z lesbijkami również.

— Nic o nich nie wiesz, Amando. - Cissy zrobiło się niedobrze. Miała ochotę pochylić się nad stołem i przylać jej w twarz.

— Wiem, co widziałam, i idę o zakład, że i ty wiesz swoje. Spędzasz z nimi dużo czasu. To ty nam powiedz. Nie mieszkają razem? Nie ściskają się i nie całują cały czas? Nie prosiły cię

czasem, żebyś założyła z nimi klub grotolazek, po to, by nie musiały zapisywać się tam gdzie chłopcy? Może powiesz mi, że się mylę, co?

— Nie muszę ci nic mówić. — Cissy wstała i gwałtownie odsunęła krzesło. — Powinnaś siedzieć teraz w domu z chłopcami zamiast opowiadać te bzdury.

— Michael się nimi zajmuje. Niczego im nie trzeba. Nie pouczaj mnie w sprawie moich dzieci.

— A ty nie pouczaj mnie, jak mam żyć.

— Nie mówię o tobie. Mówię o tych dziewczynach.

— To nie mów. Porozmawiajmy o mnie. — Cissy miała uczucie, że wino Nadine zamieniło się w jej brzuchu w truciznę. — Może ja też jestem lesbijką?

— Może i jesteś — odparła beznamyślnie Amanda. — Zawsze wiedziałam, że coś w tobie nie gra. Pomyślałam, że prędzej czy później sama nam o tym powiesz i że zrobisz to najpewniej w najgorszym z możliwych momentów, kiedy twoja siostra siedzi w areszcie, a my lecimy z nóg.

Amanda oparła łokcie na stole i objęła dłońmi szklanekę z winem. Naprawdę powinnam jej przyłożyć — pomyślała Cissy, lecz nie mogła się ruszyć.

— Myślę, że powinnyśmy trochę odpocząć. — Tacey odepchnęła się od blatu rozpląszczonymi dłońmi. — Nie musimy skakać sobie do oczu i bez tego czeka nas jutro ciężki dzień.

— Nie wiem, kim jestem, Amando - syknęła Cissy przez zaciśnięte zęby. — Nie mam za sobą Boga, który kazałby mi popijać wino i rozstawiać siostrę po kątach. Nie mam w kieszeni pistoletu. Nie mam nic, nie mam nawet jednego pomysłu na życie, ale jeśli jeszcze raz się do mnie przyczepisz, to tak ci przyłożę, że sam Pan Bóg będzie zbierał cię z ziemi. Przyłożę ci tak mocno, że to na pewno poczujesz.

— Wynajęłam samochód. — Cichy kobiecy głos zaskoczył je wszystkie.

Odwróciły się do drzwi. W progu stała Rosemary. W jednej ręce trzymała podróży neseser, drugą opierała na klamce.

— Zaprosicie mnie do środka czy jeszcze trochę powrzeszczycie?

— Boże święty!

— Tacey, prawda? — Rosemary weszła do kuchni i upuściła nesesor na podłogę. — Jestem Rosemary. Delia mówiła ci, że przyjeżdżam?

Tacey zamknęła usta i skinęła głową. Przyjaciółka Delii. Przyjaciółka Delii z Los Angeles!

Rosemary westchnęła głęboko i przysunęła sobie krzesło.

— Myślę, że powinnaś usiąść — zwróciła się do Cissy. — I może któraś z was powie mi, gdzie jest Delia. Pojechałam do niej do domu, ale tam jej nie ma. Doszłam do wniosku, że pewnie siedzicie tutaj.

— Delia jest u sędziego Walmore'a — wyjąkała Amanda. — Chce wyciągnąć Dede z aresztu.

— A więc niedługo powinna tu być. Jest dość późno. — Rosemary otworzyła torebkę i wyjęła z niej zapalniczkę i papierosnicę. — Mogę tu zapalić?

— Tak — odparła Tacey, która nie znosiła dymu.

— Dziękuję. - Rosemary zapaliła papierosa i spojrzała na Amandę i Cissy. - Dalej się kłóćcie — zauważyła. — Cóż, dobrze jest wiedzieć, że pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają, prawda? - Wydmuchała dym. - Chcesz ze mną wrócić, Cissy? Może powinnyśmy poczekać na mamę w domu.

Cissy uniosła głowę. Tacey wpatrywała się w Rosemary z rozanieloną fascynacją. Od śmierci Clinta Rosemary nie postarzała się nawet o jeden dzień. Włosy miała pięknie ułożone, skórę jaśniejącą, paznokcie idealnie zadbane. Jej szyję oplatał złoty łańcuch, ten sam co wtedy, szeroki i lśniący w świetle lampy pod sufitem.

— Tak — odrzekła Cissy. — Wracajmy.

Przemierzając krótki odcinek Terrill Road dzielący dom Nolana od domu Delii, obie milczały. Kiedy doszły na miejsce, Cissy podbiegła, żeby włączyć lampę na ganku, i potknęła się o najniższy stopień schodów.

— Cholera jasna! - zakląła.

— Zaczekaj. - Rosemary miała małą latarkę w torebce. Kiedy ją włączyła, na podjazd wjechał samochód i zalał je snop światła reflektorów.

— Co się stało? — zawołała Delia.

— Cissy się przewróciła.

— Rosemary! — Nie gasząc reflektorów, Delia ruszyła na pomoc.

— Cześć, skarbie. — Przyjaciółka cmoknęła ją w policzek, po czym postawiły Cissy na nogi.

— Nic jej się nie stało - powiedziała Rosemary. - Piła kiepskie wino.

- Kiepskie wino?

- Z Amandą i tą milutką dziewczyną u Nolana. Kiedy tam weszłam, były na wpół pijane i obrzucały się błotem. — Rosemary otoczyła Delię ramieniem. — Skarbie, co się tu działo, odkąd wyjechałam?

Dede nie mogła zasnąć. Wciąż myślała o Nolanie i o tym, co powiedziała jej Delia. Kiedy na chwilę przysnęła, śniło jej się, że jest przy niej Nolan, że wyciąga do niej ramiona i nie spuszcza z niej wzroku. „Chcesz do mnie strzelić? — spytała. - Strzel mi w tyłek, dobra? Czuję się lepiej, a tobie to nie zaszkodzi”. „Jestem twój” — odparł Nolan. — Ja jestem twój, a ty moja”. Jego słowa wprawiły ją w histerię. Krzyczała, że do nikogo nie należy, a potem obudziła się w pustej celi.

Emmet mówił, że Nolan odwiedzi ją, jak tylko doktor mu na to pozwoli. Dede zacisnęła zęby. Nie chciała, żeby zmuszano ją do spojrzenia mu w twarz. Pragnęła znaleźć jakiś powód, żeby go znienawidzić. Byłoby jej znacznie łatwiej. To właśnie kochanie Nolana było niebezpieczne, całe to gadanie o rodzinie, o wspólnym zamieszkaniu, o przeprowadzce do Atlanty, o tym, żeby mogła robić, co tylko zechce. Czy naprawdę istnieli ludzie, którzy mogli robić, co chcieli, zamiast brać to, co wpadnie im w ręce i starać się z tym żyć możliwie najwygodniej? Nolan rozmawiał z nią tak, jakby wszystko było możliwe. Tak kiedyś powiedział: „Przy tobie wszystko jest możliwe!” — i po jego oczach poznała, że głęboko w to wierzy. Tak właśnie ją kochał. Ona też go kochała, ale czy kochała go tak samo jak on ją? Czy kochała go tak, że cały świat mógłby zwalić się jej na głowę, a ona nawet by tego nie zauważyła, ponieważ był przy niej Nolan? Tacy jak on należeli do wybryków natury: kochali tak absolutnie, że miłość zaspokajała ich wszystkie potrzeby.

Jest lepszy niż ja — myślała. Grał na klawirze tak, że mógłby



zrobić w Atlancie prawdziwą karierę, a przecież powiedział, że jego ewentualny wyjazd z Cayro zależy tylko od niej. Gdyby zaproponowano jej brykę za dwieście tysięcy i przejażdżkę z Georgii do Arizony i z powrotem, nie namyślałaby się ani chwili. Nie miałoby to dla niej znaczenia, że Nolan nie może pojechać. Diabła tam, nie obejrzałaby się na niego nawet wówczas, gdyby leżał w poprzek na ulicy i musiałaby po nim przejechać! Zmieniłaby tylko biegi i zmiażdżyłaby mu kręgosłup.

Do niczego mogłoby nie dojść, gdyby nie miała przy sobie pistoletu, a to, że go miała, było winą Billy'ego Tuckera. Ale gdyby nie Billy Tucker, czy zaczęłaby chodzić z Nolanem? Może wszystko było do przewidzenia? Ta głupia kelnerka od Goobera w ogóle się nie liczyła. Była nikim. Nolan nie zwracał na nią uwagi i Dede o tym wiedziała. A kiedy patrzył, jak stała przed nim z pistoletem w ręku, jego twarz mówiła: „Dobra, strzelaj, jeśli musisz, zabij mnie, jeżeli tego pragniesz”. Co za mężczyzna stoi przed kobietą i pozwala, żeby doń strzelała?

- On ma fioła — powiedziała Emmetowi.

- Tak — przyznał Emmet. - Kocha cię.

Dwie strony księżycy. Jedna to samotność, a druga? Buro blond włosy albo uśmiech ukochanego, uśmiech leżącego na niej Nolana z podbródkiem wetkniętym między jej piersi.

Słyszała w nocy płacz kobiet w areszcie. Emmet zamknął ją w pojedynczej celi, co nie uchroniło jej przed szlochem siedzącej gdzieś dalej kobiety, która rozpacziała z tęsknoty za swoim jedynym. Dzieckiem? Mężczyzną? Słyszała też głos innej aresztantki, która obrzucała tamtą przekleństwami. Cokolwiek zrobiły, nie mogły być tak stuknięte jak ona. Były jak Delia. Należały do gatunku kobiet, które potrafią spieprzyć sobie życie za miłość mężczyzny. Ale też Delia siedziała przy stole i opowiadała o Clincie, tak jakby nie był Clintem, którego znała Dede — złym człowiekiem, zasługującym na potępienie.

- Żyj inaczej niż ja - radziła jej Delia. - Nie odtrącaj miłości. Nie zakopuj serca w norze.

Dede leżała na pryczy, wsłuchując się w głosy współaresztantek. Moje serce jest norą - myślała. - Nigdy nie pozwoliłam

sobie na to, żeby użyć go do miłości, jak Nolan. Nigdy nie postawiłam wszystkiego na jedną kartę ze świadomością, że wiem, co robię. Zwinęła się w kłębek, wcisnęła twarz w poduszkę i zapłakała za ukochanym z kobietą, której nigdy w życiu nie widziała.

Kiedy Cissy wstała, Rosemary przechadzała się po ogrodzie za kuchnią, oglądała warsztat Delii, podziwiała ławę z doniczkami oraz grządkę warzywną. Cissy nalała sobie filiżankę kawy i wyszła na dwór.

— Nie spałaś? - zapytała.

— Spałam dużo, w samolocie i tutaj. — Skinęła głową w stronę domu. — Świetnie się czuję. Spójrz tylko na dzieło twojej matki. - Wyjęła papierosa. — Ona chyba w ogóle nie sypia.

— Nie. A w każdym razie nie za dużo. — Cissy usiadła, na schodku i wypła łyk kawy. — Jeśli nie ma jej w zakładzie, zawsze siedzi tutaj. Kopie, coś sadi albo odnawia meble. Nigdy nie próżnuje, oto cała Delia.

— Szczęściara. - Rosemary popatrzyła na drzewa orzechowe.

— Myślisz? — Cissy obserwowała, jak Rosemary uważnie stąpa po mokrej trawie. — Ciągłe się czymś zajmuje. Wiecznie coś robi.

— A ty? - Rosemary podeszła do schodków i usiadła przy niej. — Ty też jesteś wiecznie zajęta?

— Wystarczająco. Zdaje się, że słyszałaś, co mówiła Amanda.

— Nie wszystko, ale widziałam, że jak zwykle skakałyście sobie do oczu. Uważam, że jesteście już na to za dorosłe, ale to nie moja sprawa. — Uniosła brwi. — Delia mówiła, że chodzisz do college'u, trochę dorabiasz i że jak tylko masz okazję, czołgasz się po jaskiniach. To prawda?

— Prawda. — Cissy zakołysała się na piętach. — Ale pracę już rzuciłam, a szkoła jest głupia. Zapiisałam się na dwa kursy. Bez żadnego konkretnego celu. Nie wiem, po co w ogóle zawracam tym sobie głowę.

— Mogłabyś robić coś innego.

— Na przykład? — zapytała obojętnie Cissy, lecz spojrzała na Rosemary z nadzieją.

- Mogłabyś wrócić ze mną do Los Angeles. Zacząć studio-  
wać na Uniwersytecie Kalifornijskim, o ile by cię przyjęli. -  
Rosemary postąpiła jej znaczące spojrzenie. — Ale bezsensem jest  
o tym rozmawiać, jeżeli nie masz na to prawdziwej ochoty.  
Musisz wiedzieć, co chcesz robić w życiu na serio, na czym ci  
zależy. Musisz to sobie przemyśleć.

Cissy postawiła filiżankę na stopniu i spuściła głowę.

- Nie wiem, na czym mi zależy. Gdybym wiedziała, wie-  
działabym też, co robić.

Rosemary szturchnęła ją w ramię.

- Delia twierdzi, że łązisz po tych jaskiniach od dawna,  
od lat. Że zaczęłaś na długo przedtem, zanim dołączyły do  
ciebie dziewczyny, o których wspominała Amanda. Co zna-  
czy, że zależy ci na tych grotach czy jak im tam. Więc jak?  
Speleologia? A może archeologia czy geologia, minerały i te  
rzeczy, co? Mogłabyś to sprawdzić i zobaczyć, co cię inte-  
resuje.

Cissy siedziała z rozdziawionymi ustami i wpatrywała się  
w nieporuszoną twarz Rosemary niczym sroka w gnat.

- Mówisz poważnie?

- Zupełnie poważnie.

- A jak byśmy za to zapłacili? - spytała, próbując ukryć  
podniecenie.

- Coś byśmy wymyśliły. W końcu jesteś córką Randalla  
Pritcharda. - Rosemary potarła skroń. - Musimy się tylko  
upewnić, czy Delia da sobie radę, a potem czekałoby nas  
mnóstwo papierkowej roboty i przygotowań. Nie można tak  
po prostu porzucić jednego życia, żeby rozpocząć drugie.  
Sprawa jest bardziej skomplikowana.

- To pomysł Delii? - Cissy usiadła wygodniej. — Prosiła cię,  
żebyś ze mną pogadała?

- Tak, przyznaję, mówiłyśmy o tobie — odparła tym samym  
tonem Rosemary. — Ona cię kocha. Może o tym nie wiesz.  
Pamiętam, jak wyglądałaś po śmierci Randalla. Pamiętam, jak  
wyglądałaś, kiedy cię tu przywlokła. Przypominałaś na wpół  
utopione kocię, a ona, niczym matka—kocica, trzymała cię za  
kark i potrząsała tobą na wszystkie strony, dopóki nie wy-  
schłaś.

Wstała i weszła po schodkach na ganek.

- Przemyśl to sobie. Delia mówi, że upłyną jeszcze dwa, trzy dni, zanim uda się wyciągnąć Dede z aresztu. Chciałaby, żeby Dede porozmawiała z Nolanem, tymczasem lekarz nie pozwala mu się podnieść z łóżka. Jedź na tę wyprawę z przyjaciółkami i jak już wejdiesz do jaskini, przemyśl to, o czym mówiłam. Kiedy podejmiesz decyzję, uzgodnimy, jak ją urzeczywistnić.

- Zagrasz rolę dobrej wróżki? — rzuciła Cissy za znikającą za drzwiami Rosemary.

- Bądź dobra dla mamy — odparła Rosemary. - Dla odmiany zacznij coś zauważać.

Do domu Nolana dotarła na drżących nogach.

- Jak on się czuje? - spytała.

- Lepiej niż ja — odparła Tacey. - Lepiej niż ja. Idę do sklepu. Posiedź z nim chwilę. I jeśli możesz, nie obudź Nadine. Po waszym wyjściu nie zmrużyła oka. To kładła się, to wstawała, i tak aż do rana.

Cissy przystanęła niepewnie w progu sypialni Nolana, zauważyła jednak jego stopy ruszające się pod prześcieradłem.

- Nie śpisz? - spytała, a on od razu odpowiedział, że nie.

Zdenerwowana, weszła do środka, nie wiedząc, czego oczekiwać. Poprzedniego wieczoru spał na okrągło i ilekroć do niego zaglądała, sprawiał przygnębiające wrażenie. Miał bladą twarz i początek ciemnego zarostu na brodzie. Ruch jego oczu przypominał coś, czego nie potrafiła określić. Uczucie było na tyle nieprzyjemne, że miała ochotę natychmiast stamtąd wyjść.

- Nie odchodź - poprosił błagalnie. - Na litość boską, Cissy, pomóż mi się ubrać. Jeśli mi pomożesz, dojadę do miasta, zanim ktokolwiek wróci do domu.

- Do miasta?

- Żeby zobaczyć się z Dede. - Usiłował spuścić nogę poza krawędź łóżka, ale gruba warstwa bandażu nad kolanem krępowała jego ruchy. — Jeśli dotrę do miasta, porozmawiam z Emmetem. Może nawet zobaczę się z kimś z sądu i dowiem się, jak ją stamtąd wyciągnąć. Nie powinna siedzieć w areszcie. To jedna wielka pomyłka. — Spuścił nogę z łóżka.

Cissy zobaczyła, że Nolan ma na sobie jedynie bieliznę, a na lewym boku brzydkie zadrapanie. Widziała też, że za chwilę upadnie na twarz.

— Do licha, Nolan! - Skoczyła do przodu, podtrzymała go i pchnęła z powrotem na łóżko.

Nolan głośno sapnął.

— Nie - błagał. - Nie rób tego. Musisz mi pomóc.

— Ja ci pomagam. Czyś ty oszalał? — Pchnęła go na poduszki i okryła prześcieradłem. - Zastanów się tylko. Kto cię zechce wysłuchać, jeśli wparujesz do miasta jak wariat? Jeżeli chcesz uwolnić Dede, musisz zachowywać się jak człowiek rozważny i zdrowy na umyśle. Musisz przekonać ludzi, że nie jesteście rąbnięci, ani ty, ani ona.

Patrzył na nią z rozdziawionymi ustami.

— Tak uważasz?

— Tak. — Jest strasznie blady — pomyślała. — I tak żałośnie wygląda. — Chcesz jej pomóc, to zacznij rozumować jak prawnik.

Zasłonił usta dłonią. Omiótł wzrokiem pokój.

— Może — odparł. — Może masz rację. — I nagle wybuchnął brzydkim, chrapliwym szlochem. — Boże, może masz rację.

Cissy sztywno poklepała go po ramieniu.

— Wiesz, że tak. Chyba nie chcesz wpędzić jej w jeszcze większe kłopoty. Wykorzystaliście cały zapas szczęścia. Oboje.

— Wszystko schrzaniłem. To ja ją do tego pchnąłem. To ja ją sprowokowałem. Ty wiesz, że nie chciała zrobić mi krzywdy.

— Wiem. Rozmawiałam z nią.

— Dobrze się czuje?

— Najzupełniej. Jest wściekła, zagubiona, przestraszona i nie wie, co ci powiedzieć. Myślę, że boi się z tobą spotkać.

— Nie powinna.

— Nie, nie powinna. - Cissy przysiadła na brzegu łóżka.

Nolan otarł oczy prześcieradłem.

— Poprosiłem ją o rękę.

— Wiem. Mówiła mi.

— Powiedziała ci, że dlatego do mnie strzelała?

— Domyśliłam się, że jedno ma dużo wspólnego z drugim.

Nolan z trudem przełknął ślinę i wziął Cissy za rękę.

— Kiedy już wszystko rozpracujesz, opowiedz mi o tym. Przyjmę to na wiarę, ale muszę przyznać, że na razie nic z tego nie rozumiem.

Patrzyła mu prosto w oczy.

— Ona się boi. Rozumiesz? Uważa, że małżeństwo jest końcem miłości, że ślub odbierze jej duszę i nauczy nienawiści do ciebie. Myśli, że jeśli będzie cię tak bardzo kochać, wchłoniesz ją, a wtedy stanie się kimś, kim będzie pogardzać. Myśli, że przeobrazisz się w jej ojca i będziesz ją bił albo że ona się w niego przeobrazi i zacznie bić ciebie. Uważa, że jest przeklęta, przeciwko czemu wciąż próbowała się buntować. Raj utracony, szatan opierający się Bogu.

Nolan potrząsnął głową.

— Wszystko naraz?

— I jeszcze więcej.

— W takim razie nic dziwnego, że do mnie strzelała. - Przy-  
mknęła oczy.

Wyglądziła prześcieradło na jego biodrach. Chciała pocałować go w czoło, tak samo jak Delia całowała ją w chorobie. Stłumiła ten odruch i szybko wstała.

— Odczekaj chwilę — poradziła. — Pozwól, żeby przez parę dni zajmowali się tym inni. Zdziwisz się, ile potrafią osiągnąć, jeśli tylko dać im szansę.

Zamknęła za sobą drzwi i zadzwoniła do Jean.

— Dziewczyny, chcecie jechać dzisiaj po południu?

— Dzisiaj? Dasz radę się wyrwać?

— Muszę. Muszę znaleźć się w jakimś chłodnym, cichym i ciemnym miejscu. A wy?

— O rany, jasne! — Jean roześmiała się w słuchawkę. — Porozmawiam z Mim i oddzwonię. Jeśli nie musi jechać do matki, możemy ruszać choćby zaraz. Na jak długo byś się wyrwała?

— Podobno nic się tu w najbliższym czasie nie będzie działo, więc mogłybyśmy przenocować na dole.

— Tak jest! — krzyknęła Jean. - Zbieraj manele, a ja skontaktuję się z Mim i przekręcę do ciebie do domu.

Cissy skinęła głową. Lesbijka — pomyślała. — Lesbijka. Jedna z dwóch lesbijek. Znam dwie lesbijki — i co ten fakt mówi o mnie? Odwróciła się i spojrzała na drzwi do sypialni Nolana.

— Mam to w nosie — powiedziała na głos. - Mam w nosie, kim one są. Mam w nosie, kim jestem ja. Jesienią pojadę do Los Angeles. Mogę być wszystkim.

W książkach, ilekroć coś dzieje się źle, autorzy zawsze odnotowują, co doprowadziło do nieszczęścia, wskazują znaki zapowiadające katastrofę, błędy, przeczucia, ostrzeżenia. Na liście tychże pojawia się nie sprawdzony sprzęt, zwinięta na mokro lina, nie wymienione baterie, ludzie, którzy zeszli pod ziemię pijani lub bardzo zmęczeni, i wiele innych przyziemnych, niepomysłnych zbiegów okoliczności, takich jak mapy zalane oranżadą czy zapaćkane błotem w taki sposób, że pod plamą nie widać tego jednego, jedyne i najważniejszego dla wyprawy korytarza. Po pięciu godzinach spędzonych w Little Mouth dziewczęta wiedziały, że zdarzyło się coś niedobrego, lecz nie potrafiły powiedzieć, co.

Dede — pomyślała Cissy. — Nie powinnam była pakować się pod ziemię, nie teraz, kiedy tyle się dzieje.

— Nie rozumiem — powiedziała Mim.— Przechodziłyśmy tędy. Znam to miejsce, naniósłymi je na listę, ale teraz wszystko wygląda inaczej. Nie przypominam sobie, żeby było tu tyle piasku, a już na pewno nie pamiętam tej skały.

O takiej skale trudno byłoby zapomnieć: przypominała hot doga w podłużnej bułce albo penisa wtulonego łagodnie między piersi.

— Fiutek — nazwała ją Jean. — Fiutek z przekrzywioną głową.

Tak charakterystyczna skała powinna była znaleźć się w ich zapiskach albo na którejś z map, ale się nie znalazła. W którymś z początkowych korytarzy musiały skrócić w niewłaściwą stronę. Szły przejściem, które istniało tylko w ich wyobraźni.

— Gdzie my jesteśmy? — szepnęła Mim. Jej słowa odbijały się głuchym echem od nagich skał stropu.

— W jakimś nowym miejscu - odrzekła Jean. - Gdzie nigdy dotąd nie byliśmy. Musimy zawrócić, pójść dokładnie tą samą drogą, tylko że w przeciwną stronę, i poszukać miejsca, w którym pobłądziłyśmy.

— Albo czegoś, co już znamy — dodała Cissy. — Jakiegoś charakterystycznego punktu orientacyjnego.

— Ta jaskinia nie jest aż tak wielka. — Mim bardzo się starała, żeby jej słowa zabrzmiały uspokajająco. — Ile razy tu byliśmy, powiedzcie same! Cofniemy się o sto stóp i na pewno coś znajdziemy. Zobaczycie.

Skała na skale, iłółupek, zagłębienia w szaroczarnym kamieniu, zakończone ostrymi krawędziami zbrocza, pokryte drobnymi kamyczkami, które ocierały kolana jak tarka — przecież powinny te miejsca rozpoznawać, powtarzały bez końca. Podczas jednej z wcześniejszych wypraw zauważyły strzały i koła nasprejowane odblaskową farbą na ścianach początkowych korytarzy. Mim skrytykowała chłopców, którzy to zrobili.

— Muszą zostawić po sobie jakiś ślad. Muszą coś złamać, coś zniszczyć, nabrudzić w miejscu, które przez miliony lat było czyste i puste.

Cissy się z nią zgodziła. Znaki wyglądały szpetnie i paliły w oczy długo, gdy odwróciła wzrok. Ale teraz, czołgając się godzina za godziną korytarzem, którego nie rozpoznawała, zaczęła wyobrażać sobie te szkaradne plamy i niemal łkała, gdy okazywało się, że żadna z nich nie jest prawdziwa. Ja tutaj umrę — pomyślała i na znak protestu z uporem pokręciła głową.

Godzinę później Jean oznajmiła, że musi odpocząć.

— Możemy tu umrzeć — szepnęła.

Cissy drgnęła. Mim głośno zachichotała.

- Nie, nie możemy. — Kopnęła piasek w ich stronę. - Mam za dużo do zrobienia. Nie byłam w Nowym Jorku. Nie widziałam Pacyfiku. I nie przeżyłam jeszcze tylu orgazmów, żeby nie mieć ochoty na następny.

Jean uśmiechnęła się. W rozproszonym świetle latarki jej zęby wyglądały jak perły.

- Ja też nie — odrzekła. — Z wyjątkiem tego ostatniego. To już zaliczyłam.

Uśmiechnęły się. Mim wyciągnęła czekoladowy baton. Jean — słone krakersy z masłem orzechowym. Cissy wyjęła ser i plasterki salami. Jadły w skupieniu, z rzadka popijały wodą. Wszystkie zdawały sobie sprawę, że wody zostało im niewiele.

- Coś znajdziemy - powtórzyła Mim. - Trzymajmy się tego korytarza, a prędzej czy później musimy znaleźć wyjście.



— Kolana mnie dobijają — poskarżyła się Jean. — Jeszcze trochę i załatwię je dokumentnie.

— Lepiej iść w górę niż w dół — rzekła Cissy, choć nie była co do tego przekonana.

Czterdzieści stóp dalej korytarz ostro skręcał w przeciwną stronę. Zaczęły pełznąć bokiem, buty ślizgały się na żwirze i rozkruszonych iłołupkach.

— Niedobrze - oświadczyła Jean, wpadając na plecak Cissy. W ciągu ostatnich sześciu minut powtórzyła to dokładnie sześć razy.

Tak - pomyślała Cissy. - Jest bardzo, ale to bardzo niedobrze. Mim zaszlochała króciutko, ale Jean kazała jej się zamknąć.

Kiedy zatrzymały się na kolejny odpoczynek, Jean poprosiła Mim o wyłączenie światła.

— Będzie nam potrzebne. Powinnyśmy palić tylko jedną lampę naraz.

Jej głos brzmiał w uszach Cissy dziwnie, był chrapliwy i drżący. W mdłym świetle lampy zdawało się, że w ciągu wielu godzin czołgania się po błotnistych zagłębieniach wychudła jej twarz. Cissy wyglądała trochę lepiej, choć martwiło ją drapanie w gardle i drzenie w łydkach. Chciała się położyć, przysypać ziemią, zwinąć się w kłębek, zasnąć i spać dopóty, dopóki Bóg nie ześle jej pomocy.

— Zimno mi — odezwała się.

Cissy zamknęła oczy. Nie miała siły odwrócić głowy.

— Nic ci nie będzie.

Jean przysunęła się do Mim i w kamiennej niecce głośno zazgrzytały ziarenka piasku trące o jej wilgotne spodnie.

Cissy wyobrażała sobie, jak zasiada przy piecu w domu Mim i Jean, jak ich zmęczone ciała zaleje fala ciepła, jak będą sączyły wino i opowiadały sobie w kółko te same opowieści. Mim utrzymywała, że kobiety są doskonałymi speleologami. Dzięki grubszej tkance tłuszczowej i wytrzymałości. Mięśnie górnych partii ciała też były ważne, ale te można było rozwinąć. Znakomitymi grotołazkami byłyby kobiety dźwigające ciężary, dobrze umięśnione, giętkie i pewne siebie. Tu, pod ziemią, potrzeba tylko tego i determinacji.

Cissy zaśmiała się do siebie. Łatwo jest rozprawiać o deter-

minacji i dyscyplinie, sącąc wino i pogryzając kawałki kurczaka i sera. Słyszała o grotołazach, którzy z premedytacją głodzili się po to, żeby łatwiej im było przeciskać się przez wąskie szczeliny. Wychudzeni, wpełzali w korytarze, w które nikt inny wpełznąć nie potrafił. Cissy drgnęła nerwowo i pod jej butem pękł kawałek wapiennej skały. Korytarz odpowiedział głębokim echem.

— To Floyd Collins — szepnęła Jean.

Mim zachichotała.

Cissy wetknęła dłonie pod pachy i uśmiechnęła się w ciemności. Znalazła dwie książki opisujące historię Floyda Collinsa, choć obie mówiły mniej o biednym Collinsie niż o cyrku nad jaskinią, w której umarł. On trzął się z zimna i konał z głodu w ciemności, tymczasem ratownicy pili, urządzali pikniki i sprzedawali pamiątki. Kiedy pierwszy raz zeszły pod ziemię jako trzyosobowy zespół, Mim żartowała, że „odstawią Floyda Collinsa”.

— Uważaj na nogi. Nie ryzykuj niepotrzebnie.

Znowu pękł jakiś kamień, w korytarzu znów zabrzmiało echo. Cissy objęła się mocniej. Wyobrażała sobie tego żałosnego ducha, snującego się po wsze czasy skalnymi przełazami od Kentucky i Tennessee przez całą Georgię. Legenda starych grotołazów, opowieść, którą straszono słuchaczy o czułych sercach. Słyszeliście o starym Floydzie? O słynnym Floydzie Collinsie? A słyszycie to echo kuśtykające za waszym lewym uchem? To on, bo teraz, kiedy stracił lewą stopę, trudniej mu chodzić, ale gdy wytężycie słuch, na pewno dojdzie was odgłos chromego stapania. Chce was pociągnąć za ramię, opowiedzieć wam swoją historię, szepnąć słówko o reporterach, którzy spuszczali mu pod ziemię karteczki z zapewnieniami, że czeka go wspaniały nagrobek, a jego ojca wielka fortuna. Chce wam przekazać choć drobną część tego, co czuł, umierając w podziemnej norze, podczas gdy świat urządzał festyn nad jego zwłokami.

— Jestem sławny — szeptał, choć w świetle dnia już nikt nigdy nie wymawiał jego imienia. - Jestem sławny, wy też możecie zdobyć sławę.

Cissy oglądała wykwitające pod powiekami kolory. Floyd. Wyobrażała sobie, jak bardzo się zmienił, jak wygląda to

wychudłe ciało snujące się ponad skałą i piachem. Została z niego pewnie sama gibkość i sama esencja. Nie powstrzymałby go żaden zakręt ani stok. Nie potrzebował dynamitu, czekanu ani lin. Tak, dla starego Floyda lita skała nie była już lita. Ciemność nie była już ciemnością. Potrafił tą skałą oddychać, potrafił przepływać przez błoto i ziemię. Przebijał się przez to wszystko głową naprzód, wysuwając przed siebie usta i fosforyzujące psie zęby. Umarł, ale nie odszedł — Floyd Collins żył w wietrze. Chuchał z wnętrza skał, tkwił w smrodzie kości i odchodów nietoperzy, w wolno opadającym pyłe. Był legendą. Uosobieniem zagrożenia. Żartem, który nie rozśmieszał. Ludzie musieli wymawiać jego nazwisko, żeby nie skończyć jak on. Ludzie, którzy mieli dość rozumu, żeby nie wchodzić tam, skąd nie umieliby wyjść.

Jak Floyd - myślała Cissy.- Jeśli wystarczająco schudnę, prześlizgnę się przez każdą szczelinę. Ile kalorii spala człowiek ogarnięty strachem? Boję się tak bardzo, że zaraz wycopę z siebie wszystko, czym kiedykolwiek byłam. A gdybym porządnie się spociła, czy nie łatwiej by mi było iść? Czy mogłabym prześlizgnąć się między skałami i wypełznąć na słońce, wiotka i eteryczna jak Floyd? Jak pamięć czy nadzieja? Czy mogłabym to zrobić?

— Cissy? Cissy! Dobrze się czujesz?

— Tak, dobrze.

— Coś do siebie mamrotałaś.

Cissy potrząsnęła głową.

— Nie, nie, po prostu myślałam.

Spojrzała w stronę Mim. W mdłym świetle pojedynczej lampy ledwie ją widziała. Naprawdę są kochankami? Boże, jakaś ty głupia. Sapanie Jean odbijało się zduszonym echem od pochyłej skały. Tuż nad jej twarzą sterczały wystrzępione krawędzie łupka. Ściana zakrzywiła się między nimi i wgłębiała, tak że Cissy miała nad głową więcej miejsca; mogła prawie wyprostować ręce. Odwróciła głowę i powiodła wzrokiem w dół zbocza, które rozpląszczało się w ciemności i opadało, przechodząc w coś, co wyglądało jak piasek. Natomiast skalny strop uciekał hen, wysoko i ginął w ciemności. Tam było więcej miejsca, tam mogłyby stanąć.

Lampa Jean znowu przygasła i cienie podeszły bliżej. Słyszały

tylko swoje zmęczone oddechy i stłumiony pogłos wody kapiejącej w oddali. Cissy wstrzymała oddech, pragnąc, żeby Jean zgasiła lampę i pozwoliła im odpocząć w ciemności. Leżąc bez ruchu, czuła się w mroku zupełnie bezpiecznie, wiedziała jednak, że Jean i Mim potrzebują światła, że ciemność ich nie koi. Światło przeszkadzało tylko jej. Wydobywało z nicości chropowaty strop nad głową, strop, który zdawał się poruszać wraz z całą skorupą ziemi.

— Halucynacje. — Wypowiedziała to słowo bardzo ostrożnie i poczuła, że Mim przysunęła się do niej na tyle blisko, iż zetknęły się biodrami.

— Jak oaza na pustyni. — Zabrzmiało to tak, jakby Mim czytała w jej myślach.

Wypryski na skale ponad głową Cissy miały biało- i ciemnoszarą barwę. W niewyraźnym blasku lśniły wilgocią, niczym bańki powietrza w bezie. Z niektórych sterczały pośrodku małe wzgórki, co upodabniało je do sutek. Oślepionej światłem Cissy bańki te wydały się ciepłymi pierściami pocącymi się w chłodnym, wilgotnym powietrzu. Kusiło ją, żeby podpełznąć jak najwyżej w górę zbocza, bo stamtąd mogłaby sięgnąć stropu i przytknąć usta do jednego z szarych wyrzuseń. Wpatrywała się w błyszczący od wilgoci środek największego sutka. Wyobrażała sobie ziarnisty syrop wypełniający jej usta. Słodki. Jak skalny cukier.

— Nie byłby smaczny — szepnęła Mim.

— Nie. — Cissy roześmiała się. — Znowu mówiłam na głos?

— Od paru minut. Tymczasem to jest tylko wapienne błotko. — Mim podciągnęła się na skale. — Wapień jest słony i kwaśny. O cukrze możesz zapomnieć. Pomyśl raczej, jak się stąd wydostać, jak przebrnąć przez ten i przez następny korytarz. Jak trafić do wyjścia. Co zrobić, żeby nie zmarznąć.

Cissy odwróciła się i przysunęła usta do jej ucha.

— Mimo wszystko pięknie tu. — Jej słowa zabrzmiały zaskakująco głośno. — Prawda, że pięknie? — Mówiła niewyraźnie. Każdej sylabie towarzyszył pomruk, lekka wibracja, która odbijała się echem od stromych skał. — Popatrz tylko, jak światło skacze po kamieniach, jak błyszczą krople wody.

— Narodziny lodu. — Głos Jean, chrapliwy ze zmęczenia,

brzmiał jak chrzęst żwiru pod pulchną ziemią. — Lodowe dzieciątka szukają lodowych cycuszków. To nie cukier. To szron.

— Tak ci zimno, Jean? — spytała przestraszona Mim.

— Lodowato. Jakbym, cholera, zamarzała. Nie mogę opłynać drżenia rąk. Nawet pachy mam zimne. — Znowu zaklęła i nagle głos jej złagodniał na tyle, że niewiele brakowało i wybuchnęłaby śmiechem. — Gdybym mogła pluć, plułabym gradem.

— Och, kochanie. — Mim podczołgała się do przyjaciółki, żeby rozetrzeć jej ramiona.

— Cholera! — Jean zaczęła chichotać. — Przestań!

Cissy usłyszała odgłos szorowania mokrego materiału po lepkiej skórze. Podpełzła w tamtą stronę. Mim rozpięła Jean kurtkę, rozchyliła warstwy ubrania i rozcierała obnażone miejsca. Jean już tak nie chichotała, lecz wciąż cicho protestowała.

— Och, kochanie — zażartowała — nie rozgrzewaj mnie za bardzo...

— Musisz ściągnąć tę mokrą koszulę — odparła posępnie Mim.

Cissy ani drgnęła. Nie chciała, by okazało się, że musi coś zrobić. Wystarczyło, że tkwiła bez ruchu, wsłuchując się w odgłosy szarpaniny, w głuchoe echo odbijające się od otaczających je ścian, w głośnie bicie swojego serca.

— Cholerny świat — klęła Jean. — Ja tu umieram z zimna, a ty mnie rozbierasz.

— Cissy, chodź tu! — zawołała Mim. — Pomóż mi.

Cissy westchnęła. Nie wiedziała, co Mim ma na myśli, ale to przecież ona była z nich trzech najbardziej przytomna, poza tym Mim wołała głosem nie znoszącym sprzeciwu. Chcąc, nie chcąc, zsunęła się po zboczu. Kiedy dotknęła ramienia Jean, dziewczyna odwróciła się do niej ze śmiechem. Mim nerwowo szarpała spletanym, ubłoconym i mokrym ubraniem przyjaciółki.

— Pomóż mi, Cissy — powiedziała. — Rusz się. Pomóż.

— Jest za zimno! — Wyczerpana Jean zaczęła bełkotać.

Hipotermia — pomyślała Cissy. Mim boi się hipotermii. W zimnej, mokrej grocie hipotermia może zabić. Odepchnęła lodowate ręce Jean i uważnie zaczęła rozpinać flanelową koszulę pod zewnętrzną warstwą drelichu.

— Musimy to zdjąć! — Mim wpadała w histerię.

Lampa Jean zgasła i nagle osaczyła je nieprzenikniona ciemność. Cissy nie wahała się ani chwili. Włączyła latarkę i wetknęła ją w skalną szczelinę. Stercząca pod kątem latarka doskonale je oświetlała, ale dopiero fosforyzujące lśnienie nagiego ramienia Mim wyrwało Cissy z bezruchu. Na wpół rozebrana Mim rozcierała ciało przyjaciółki swoim podkoszulkiem. Spod podciągniętej pod szyję koszuli Jean wystawało jedno ramię, lecz drugie wciąż było skrępowane. Mim zaczęła ściągać jej mokre spodnie i Jean chciała pomóc, lecz palce miała sztywne i nieporadne. Cissy podczołgała się bliżej i usiadła na niej okrakiem. Rozpięta guziki dżinsów, kilka z nich urywając, bo utknęły w dziurkach w mokrym, grubym materiale.

- Ja to zrobię. Sama potrafię. — Jean usiłowała chwycić flanelową koszulę, gdy przyjaciółki ściągały ją z niej przez głowę.

- Trzeba zdjąć wszystko. Wszystko. - Mim wytężyła siły, żeby nie szczerkać zębami.

- Dobra.

Cissy zdjęła z niej ostatnią warstwę odzieży, szaroniebieską koszulę, kłęb mokrego, zmiętoszonego materiału. W nienaturalnym świetle latarki na sinobladej skórze Jean pojawiła się gęsia skórka. Cissy przeszył lodowaty dreszcz współczucia. Mim przepełzła na lewą stronę, napierając plecami na jej uda, i zaczęła wściekle rozcierać obnażone ciało Jean. Jean zamrugnęła sennie, stawiając słaby opór.

- Przestań — powstrzymała ją Mim. - Leż spokojnie.

- Powiedz mi, co robić — szepnęła Jean głosem potulnego, wyczerpanego dziecka.

- Pomóż mi.

Dreszcze się nasilały i Mim popadała w coraz większą rozpacz. Cissy usiłowała rozcierać Jean plecy i jednocześnie rozglądać się po jaskini. Niewielkie zbocze, na którym odpoczywały, łagodnie opadało i przechodziło w następną warstwę skał. Ale tuż za tą skalną półką błyszczała jakaś jasna, odbijająca światło powierzchnia. Piasek. Widziała go już wcześniej. To coś wyglądało jak piasek. Cissy dźwignęła się gwałtownie z wstrząsanego dreszczami ciała Jean i chwyciła latarkę.

— To piasek! — Pociągnęła za sobą Jean, zanim Mim zdążyła zorientować się, o co chodzi.

— Powiedz mi, co mam robić - powtarzała Jean. - Powiedzcie mi, co mam robić. Nie mogę myśleć. Mówcie.

— Chodź, chodź.

Cissy wlokła Jean przy ścianie, ciągnąc za sobą zwinięty kłęb mokrej odzieży. Mim padała i szlochała, lecz szła za nimi, nie puszczać ramienia Jean, jakby nie mogła znieść myśli, że mogłaby stracić z nią kontakt. Cissy pchnęła Jean na piasek, nie zważając na jej popiskiwanie, gdy szorstkie ziarenka zadrapały delikatną skórę jej podbrzusza i ud. Potem pchnęła Mim, a gdy Jean znalazła się między nimi, zaczęła rozcierać jej lodowatą skórę brudnymi, mokrymi ubraniami. Gdy dołączyła do niej Mim, Jean się rozszlochała.

— Wszystko w porządku, kochanie — zawodziła śpiewnie Mim. — To ci pomoże. Rozgrzejemy cię. Musimy cię ogrzać.

Cissy tarła ze wszystkich sił, kołyszac się całym ciałem nad leżącą bez ruchu przyjaciółką. Po chwili wysiłek zaczął rozgrzewać i ją, ale było to tylko ciepło pozorne, gdyż jeszcze bardziej się przy tym pociła. Wiedziała, że z czasem pot się ochłodzi, że będzie jej jeszcze zimniej. Z rozmysłem zagarnęła garść piasku i wspanała go sobie pod koszulę, tworząc w ten sposób dodatkową warstwę izolacyjną. Poczua się tak, jakby ważyła tonę, jednocześnie, wydawało się jej, że ciało ma cieniutkie jak pajęczyna, że z każdą sekundą go ubywa.

— Nacieraj! — krzyknęła, nie bardzo wiedząc, czy krzyczy do Mim czy do samej siebie. — Mocniej! Szybciej!

Mim zaczęła nacierać mocniej, energicznie masując Jean, tymczasem Cissy wróciła po plecaki. Miały jeszcze jeden komplet suchego ubrania. I mapy w plastikowych woreczkach. Właśnie tego potrzebowały: papieru, który stworzyłby dodatkową warstwę izolacyjną. Wykorzystała pokrowiec na mapy i kilka mniejszych plastikowych torebek. Rozerwała je i rozprostowała. Dzięki temu Jean zyskała suchą warstwę pod mokrym ubraniem. Mapy darła z żalem, lecz nie miały innego wyjścia. Potrzebowały każdej odrobiny ciepła, potrzebowały każdego materiału, jakim mogłyby ogrzać zziębniętą.

Jean bardzo osłabła, dlatego miały teraz znacznie mniej

czasu. Musiały czołgać się i wspinać bez odpoczynku. Gdyby się zatrzymały, czekałaby je śmierć. Umarłyby w tej zimnicy i ciemności. Zostawiłabym je, gdybym musiała? — myślała Cissy. — Potrafiłabym to zrobić? Gdyby do tego doszło, czy potrafiłabym zostawić Jean w objęciach Mim i wyjść stąd sama? Tak, chyba tak. Gdybym musiała. Chcę żyć. Chcę się stąd wydostać.

— Będzie dobrze - wyszeptła Mim w zmierzwione włosy Jean. — Nic ci nie będzie, zobaczysz.

Cissy pchnęła ją lekko.

— Musimy iść.

— Ona powinna odpocząć. — Mim powiedziała to tak, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

— Posłuchaj. — Cissy zbliżyła usta do policzka Mim i wbiła palce w jej ramię. — To tak jak w śnieżnej zadymce. Jak drzemka w śnieżnej zaspie. Nie wolno jej zasnąć. Nie możemy położyć się i odpocząć. Musimy cały czas iść naprzód.

— Proszę cię, Mim — zaskomlała Jean. — Pozwól mi się trochę rozgrzać.

— Nie rozgrzejesz się. — Cissy czuła, że ramiona twardnieją jej niczym żelazne słupy. Czuła, że wnika w nią metalowy pręt usztywniający kręgosłup od kości ogonowej po mózg. Nie było już Cissy — był lód, metal i zimna determinacja. — Umrzesz — dodała i w swoim głosie usłyszała głos Delii. Tak właśnie mówiła Delia, wlokąc ją przez cały kraj. Popychała ją, szturchała i zmuszała do robienia czegoś, co zdawało się czystym szaleństwem. To, że Cissy jej nienawidziła, nie miało dla Delii żadnego znaczenia. Nie liczyło się nawet to, że nie było powodu, by wierzyć, iż tam, dokąd jada, będą bezpieczne.

— Ona ma rację - przyznała Mim, szarpiąc Jean za rękę. — Kochanie, ona ma rację. — Dźwignęła się na kolana i pociągnęła ją za sobą.

Cissy chwyciła Jean za pasek.

— Wstawaj! Rusz się! Wstawaj! — wrzeszczała.

Płacząc, Jean uklękła przy Mim.

— Nienawidzę cię — powiedziała.

Równie dobrze mogła zwracać się do jednej jak i do drugiej, lecz słysząc te słowa, Cissy poczuła nagłą lekkość. Uśmiechnęła się, czując, że pękają jej wargi.



— A ja ciebie — odparła. — Nienawidzę tej skały i tego piasku, Boga i Georgii, i ducha zasranego Floyda Collinsa, ale nie zamierzam tutaj umierać. I póki mogę zmusić cię do pełzania, ty też tutaj nie umrzesz.

Odwróciła się, żeby łatwiej jej było dosięgnąć Jean i przeciągnęła koniec liny, którą wciąż była przewiązana, przez pasek Jean. Potem obróciła się na drugi bok i na czworakach ruszyła przed siebie. Gdy lina napięła się i szarpnęła, usłyszała za sobą jęk Mim i krzyk Jean. Ciężko jej było pełznąć, jeszcze ciężiej niż przedtem, gdyż teraz musiała wlec za sobą opierającą się i płaczącą Jean. Mim czołgała się za nimi i klęła głośno, ilekroć uderzała głową w nogi przyjaciółki.

Cissy nie zwracała na nie uwagi. Reagowała tylko wówczas - i to kopniakiem — gdy się zatrzymywały. Umysł miała czysty i jasny. Dokładnie wiedziała, co robić, jak daleko muszą dopełznąć, ile razy trzeba będzie przewrócić się na grzbiet i zjechać w dół na plecach. Ten korytarz jaśniał w jej pamięci. Ten korytarz prowadził do wyjścia.

— Ruszajcie się! — krzyknęła przez ramię. — To jest to. Wiem, że to droga do wyjścia.

— Nic nie wiesz.

— Właśnie, że wiem. — Cissy zeskrobała brud z szyi w miejscu, gdzie kołnierz boleśnie ocierał jej skórę. - Znam ten fragment. Wiem, gdzie trzeba iść. Jeśli za mną nie pójdziecie, zostawię was i gnijcie tu sobie.

Jedna z dziewcząt załkała, druga zaklęła. Cissy nawet nie odwróciła głowy, żeby sprawdzić, która co zrobiła, nawet się nie odezwała. Lina, którą byk przepasana, napięła się i poluzowała: szły za nią. To było najważniejsze. Jeśli tylko nie przystaną, nie będą musiały umierać.

— Nienawidzę cię — powiedziała któraś głosem chrapliwym i zmienionym, lecz Cissy roześmiała się tylko, wciąż prac przed siebie.

— Jasne — odrzekła. — Jasne. — Rozradowana, czując, że kręci jej się w głowie, chichotała pod nosem i uparcie czołgała się w górę. Piaskowa glinka, po której pełzła, przybrała kolor maślanki. Iłółpek był zakurzony jak skrzydło kruka. Krew pulsowała w niej miarowo, oddech błękitniał niebem. Gdzieś ponad swoim prawym ramieniem słyszała śpiewającego Ran-

dalia: „Urodziłem się na rogu Kalwarii i Nazaretu, lecz nie zlegnę, by umrzeć”. Nie, tatusiu — obiecywała Cissy. — Jeśli Delia mogła zawlec mnie aż tak daleko, na pewno i mnie się uda wyciągnąć te suki z podziemnej nory.

Kiedy trzy godziny później znalazły wreszcie kolorowe koła i strzałki na ścianach, Cissy dygotała z wyczerpania, mimo to umysł wciąż miała jasny, a jej myśli toczyły się gładko niczym łożysko kulkowe po nasmarowanej powierzchni. Venice Beach — myślała. — Los Angeles. Santa Monica. Uniwersytet Kalifornijski. Wszystkie miejsca, których już nawet nie pamiętam. Mogę tam pojechać, jeśli zechcę.

— Tatusiu — wyszeptwała, gdy promienie porannego słońca padły na jej twarz. — Wracam, tatusiu. Nie umrę tam na dole. Dowiem się, na co mnie stać.

— O, Boże - szlochała za nią Mim. Twarz miała posiniaczoną i uwalaną błotem. Wyczołgała się na słońce. — To ostatni raz. To ostatni raz robię coś takiego w tym życiu.

— Nie wiesz, co będziesz musiała kiedyś zrobić. — Cissy potykała się ze zmęczenia, mimo to tryskała radosnym ożywieniem. — Nikt z nas tego nie wie.

Spojrzała za siebie ponad mokrym, oblepionym błotem ciałem Jean. Rozwarte usta Paula's Lost były do połowy zarośnięte zwisającymi pędami krzewów.

— Chyba nie uda mi się nanieść tego przejścia na mapę — powiedziała. — Znalazłyśmy je, ale nie umiałabym nikogo tamtędy przeprowadzić. Niezły kawał, co?

## 23

Delia czekała na Emmeta w kawiarni. Klientów obsługiwała nowa kelnerka. Miała pociągłą twarz, a na głowie źle ułożoną perukę. Delia wciągnęła <sup>431</sup>na tę perukę zerknęła, widząc jak zsuwa się kobiecie na czoło i jak ta wciąż ją

poprawia drobnymi ruchami ręki. Mogłabym jej pomóc — pomyślała i uświadomiła sobie, że od pewnego czasu po-

równuje perukę kelnerki z tą, którą przed laty modelowała dla Amy.

— Boże — szepnęła. Wypiła za dużo kawy. Nie byłaby w stanie wlać w siebie następnej.

— Miałaś jakieś wiadomości od Emmeta? — Cissy wślizgnęła się za przepierzenie boksu i usiadła naprzeciwko Delii. Zadrapania na jej twarzy były świeże i różowe, kostki prawej dłoni ginęły pod warstwą bandaża, lecz wzrok miała jasny i czysty.

— Jeszcze go tu nie było - odparła Delia.

Cissy skinęła głową.

— Jean nadal jest u matki. Mim mówi, że nic jej nie będzie, ale wciąż czuje się bardzo rozbita. Zamierza przespać resztę semestru.

Twarz Delii skurczyła się.

— Boże, Cissy, mogłam cię stracić. Mogłaś tam umrzeć.

— Tak — odrzekła Cissy z uśmiechem. — Wiem, ale nie umarłam, i chyba o to chodzi.

Delia z trudem wzięła się w garść. Splotła palce. Przeknęła ślinę i potrząsnęła głową, czując, jak sztywnieją jej mięśnie szyi.

— Miło jest widzieć, że się uśmiechasz - wykrztusiła.

— Ostatecznie zrobiliśmy coś, czego nikt inny nie dokonał, coś, na czym nam zależało najbardziej. Odkryliśmy przejście z Little Mouth do Paula's Lost. Tylko nie nanieśliśmy go na mapę i nie możemy go nikomu pokazać. Pewnie nikt nam nie uwierzy, a ponieważ Jean i Mim zaklinają się, że już tam nie wrócą, możliwe, że nigdy nie zdołam nanieść go na mapę.

— Czy to aż takie ważne?

— To ironia losu - odparła Cissy. — Jakby Bóg z nas zakpił. — Odwróciła się i spojrzała w stronę drzwi. — Emmet miał przyjść tutaj, tak?

— Gdyby udało mu się wszystko załatwić. Jeśli nie zjawi się w ciągu najbliższej półgodziny, mamy przyjść do sądu. — Delia odepchnęła filiżankę. - Boże — powiedziała drżącym głosem. — Ciebie o mało co nie straciłam, Dede postrzeliła Nolana, Amanda pije i sama już nie wiem, co jeszcze. Próbowałam być dobrą matką. Nie piłam, dbałam o was, ale musiałam popełnić jakiś

straszny błąd. Żadna z was nie wie, kim jest ani jak bardzo was kocham.

Cissy rozpląszczyła dłonie na blacie stolika.

— Nie — zaprotestowała. — Żadna z nas nie wie, kim ty jesteś. W każdym razie ja na pewno nie. Na dobrą sprawę zupełnie cię nie znam. Wszystko trzymasz w tajemnicy. Clint opowiedział mi o tobie więcej niż ty sama, a jak byłyśmy w domu dziadka Byrda, Dede pokazała mi zdjęcia twojej rodziny. A ty co? Ani razu o nich nie wspomniałaś.

— Mówiłam ci, że umarli. Wychował mnie dziadek Byrd.

— To tyle co nic. To mniej niż nic. Jak umarli? Kiedy? Co się stało? Miałaś matkę i ojca. Miałaś braci. Widziałam ich na fotografii. Nigdy o nich nie opowiadałaś. Obnosisz tę swoją wielką ciszę i mówisz, że trzeba być szczerym i w ogóle.

Delia rozejrzała się po kawiarni. Kilkoro klientów przy barze, kelnerka w źle dobranej peruce w głębi sali, jakiś mężczyzna za przepierzeniem. Boże, dopomóż — pomyślała. Miała wrażenie, jakby ktoś wykręcał jej z wolna kręgosłup i odrywał go od kości miednicy.

— Chcę zapalić.

Cissy była zdumiona.

— Chcę zapalić tak bardzo, że zaraz odgryzę sobie język. — Odwróciła się i skinęła na kelnerkę. - Przepraszam panią. Czy mogłaby pani poczęstować mnie papierosem? - Odgarnęła włosy. — Skonam, jeśli zaraz nie zapalę.

Kelnerka zmarszczyła czoło, potem uśmiechnęła się posępnie, podeszła do stolika i z kieszeni pod fartuszką wyjęła kool lighty.

— Wiem, jak to jest - powiedziała, wolno przeciągając sylaby. - Jak tylko zrobią z tej knajpy przybytek dla niepalących, natychmiast stąd zmiatam. — Wytrząsnęła z paczki papierosa dla niej, potem dla siebie. Z tej samej kieszeni wyjęła zapalniczkę i najpierw przypaliła papierosa Delii, potem sobie. Spojrzała na jej drżące dłonie, dostrzegła wyraz konsternacji na twarzy Cissy i uśmiechnęła się łagodnie.

— Koszmar, co? Tak ulegać nałogowi. — Schowała papierosy i zapalniczkę i wskazała filiżankę. — Może coś jeszcze?

— Tak, coś występnego. — Delia machnęła papierosem. — Coś, co by pasowało. Może jakiś koktajl?

— Czekoladowy czy waniliowy? Zdaje się, że mamy jeszcze kawę mrożoną z lodami. — Kobieta odruchowo poprawiła perukę.

— Za kawę dziękuję. Czekolada? Chętnie. Czekolada będzie doskonała. — Delia z radością zaciągnęła się dymem. Minęło tyle czasu i nawet nie zakaszłała. Cholera — pomyślała. To najgorszy narkotyk na świecie. Obróciła się, żeby znowu przywołać kelnerkę. — Hej! — krzyknęła. — Zna pani zakład „Bonnet”? Niedaleko stąd. Ten salon piękności.

— Ten z włochatą trzykrotką w oknie?

— Jestem właścicielką. Proszę tam kiedyś zajrzeć. Mam fryzurę w sam raz dla pani.

Kobieta skinęła głową.

— Dzięki, wpadnę na pewno.

— Ona potrzebuje pomocy — zauważyła uszczypliwie Cissy, kiedy kelnerka zniknęła w kuchni.

— Wszyscy potrzebujemy pomocy — stwierdziła Delia. — Jeszcze raz zaciągnęła się dymem i zgasiła papierosa na spodeczku od filizanki. Potem spojrzała Cissy prosto w oczy.

— A więc dobrze. Chcę cię o coś zapytać. Ilu ludziom opowiadasz o swoim oku?

Cissy aż się cofnęła. Gwałtownie poczerwieniała i rozdziawiła usta.

— Niewielu, co? — Delia potrząsnęła głową. — Większość niczego się nie domyśla, prawda? Nie wspominasz o tym w codziennych rozmowach, co? Nie mówisz: „A wiecie, mój tata mało mnie nie zabił, bo ćpał i nie przejmował się tym, że siedzimy z mamą w samochodzie”? — Miała surową minę. — Czy tłumaczysz im, dlaczego mimo wszystko bardzo go kochałaś? Dlaczego nie zależy ci na prawie jazdy, którego nie możesz mieć?

— Po co to robisz? — Cissy wyglądała tak, jakby na siłę powstrzymywała płacz, żeby nie dać Delii satysfakcji.

— Chcę ci coś wyjaśnić. — Kelnerka postawiła na stoliku wysoką szklanekę czekoladowego koktajlu. Delia uśmiechnęła się słabo i zdarła bibułkę ze słomki. — Dziękuję.

— Bardzo proszę — odparła kelnerka z papierosem w kąciку ust.

Cissy przesunęła się na ławie, jakby chciała stamtąd uciec. Delia wyciągnęła rękę i chwyciła ją za ramię.

— Nie - powiedziała. - Siedź. Nie chcę cię zranić. Próbuję z tobą rozmawiać o tym, co boli.

Cissy wyszarpnęła się.

— Nic nie mówisz.

— Nie. — Delia oblizała wargi. - Masz rację. Nigdy nie opowiadałam o swojej rodzinie. Mówiłam, że nie żyją, a i to przychodziło mi z dużym trudem. Ale są takie historie, których nikt opowiedzieć nie potrafi. Są takie rzeczy, o których nie mówi się dzieciom. Gdyby to zależało ode mnie, nigdy byś się o tej sprawie nie dowiedziała. Zdaje się, że dziadek Byrd powiedział Dede. Ktoś inny Amandzie. Przynajmniej po części. To jedna z takich historii, których ludzie nie potrafią zachować dla siebie, a której ja nie umiałam opowiedzieć. Nie umiałam nawet o niej myśleć. - Oplotła palcami szklanę z koktajlem. - Na pewno chcesz ją usłyszeć?

— Mów. — Cissy miała minę równie surową jak matka i równie zacięte usta. - Po prostu mów.

— Kończył się lipiec. Miałam jedenaście lat. Był rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty. Szykowaliśmy się do wyjazdu, z którego w ostatniej chwili zrezygnowałam. Od tego się wszystko zaczęło.

Wybierali się do Fort Jackson, całą rodziną: Delia, mama, tata i trzech bracia. Mieli przywieźć Luke'a, brata ojca Delii, który właśnie kończył unitarkę. Dojazd do Fortu Jackson zajmował cały dzień, drugi dzień droga powrotna. Panował upał i na godzinę przed wyjazdem Delia zrezygnowała. Wolała zostać z Julią, swoją koleżanką, jeść piankowe rożki i bawić się z nowo narodzonymi szczeniakami, które dziadek Byrd odkrył pod traktorem.

— Chodziło mi o ten upał i o szczeniaki — wyjaśniła Delia.

Ten wykańczający żar spiekłby i czworo dzieci podróżujących przez dwa stany w rozklekotanym fordzie, i brązowe, aksamitne noski sześciorga ślepych, rdzawobrunatnych i rozjeżdżających się na łapach szceniąt. Stając według wzrostu, jej bracia przypominali trzystopniowe schodki. Wszyscy jasno-

włosi, opaleni na ciemny brąz, droczyli się z nią, że straci parady wojskową i nocleg w klimatyzowanym motelu. Tatusz podniósł ją przed wyjazdem i mocno przytulił, potem pochwalił za to, że zrezygnowała z wycieczki, dzięki czemu jej bracia mogli podróżować wygodniej, teraz bowiem na plastikowych siedzeniach forda miało się wałkować tylko trzech niespokojnych chłopców. Mama pocałowała ją w czoło i przytuliła jej głowę do ciężarnego brzucha. W październiku spodziewali się kolejnego dziecka, następnego braciszka lub maleńkiej dziewczynki, miniaturki Delii, która na podobieństwo szczeniaczka mrugałaby z zagięcia matczynej ramienia.

Zakładali, że wrócą za cztery dni, dopuszczali jednakże możliwość, że przyjadą później ze względu na złą pogodę lub dłuższy odpoczynek mamy przed podróżą do domu. Delia miała spędzić noc, może dwie noce u Julii, a potem pojechać na weekend do dziadka.

- Pocałuj mnie jeszcze raz! - krzyknął tata i Delia wetknęła głowę do samochodu przez otwarte okno. Potarła policzkiem o gładko wygoloną skórę ojca, wciągnęła w nozdrza zmieszana z talkiem woń potu mamy, uśmiechnęła się do Toma, a Maxa uszczypnęła w ramię.

- Wybierz mi najsłabszego szczeniaka! - wrzasnął Leroy.

Ford ruszył, wzniesając chmurę kurzu na podjeździe.

- Jadłaś śniadanie? — krzyknęła do niej mama Julii.

Delia wzruszyła ramionami i obejrzała się za odjeżdżającym autem. Nad dachem bladobłękitnego samochodu ujrziała czyjaś rękę. To jeden z braci czy mama? Nie wiedziała. Nie wiedziała nic. Ford i jej rodzina rozmyli się w obłoku kurzu i powietrza drżącego od nasilającego się skwaru. Potem zniknęli zupełnie. Ich nieobecność była nagła, straszna i całkowita. Nie padło ani jedno słowo. Już nie wrócili. Świat zamknął się nad nimi i z całej rodziny została tylko ona, Delia, dziewczynka stojąca samotnie ze szczeniakiem w ramionach. Tydzień później dziadek Byrd pojechał do Fort Jackson pomóc Luke'owi w poszukiwaniach. Gdy wrócił, twarz miał zasnutą mgłą, był zły jak Delia i nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Nikt nic nie wiedział. Niczego nie znaleziono.

Delia bez końca odtwarzała w pamięci tę białą rękę machającą nad dachem forda, zapach rozgrzanych siedzeń, woń ukocha-

nych ciał, tworzyła obraz małego braciszka albo siostrzyczki. Jej życie uległo całkowitej zmianie. Kiedy płakała, płakała nad nie narodzonym dzieckiem, nad utraconą szansą i tajemnicą. Dziadek Byrd nie płakał wcale. Otaczająca go cisza stawała się coraz głębsza i twardsza, wreszcie Delia poczuła jej ucisk na swych własnych kościach. Podchodziła wówczas do niego, dotykała jego ramienia i czuła, że odsuwa się od niej niczym wschodzący księżyc. Za każdym razem zostawiał ją na ziemi, samą. Dziadek Byrd potopił szczenięta. Podnosił każdego z osobna wielkimi, kościstymi dłońmi, otwierał im pyszczki pod pianistą wodą w starej wannie w ogródku przy kuchni, a potem wyciągał je ciche i wiotkie. Leżały później szeregiem po drugiej stronie wanny, czarne i lśniące w popołudniowym słońcu. Obserwowała to suchymi oczyma i żeby nie krzyczeć, nagryzała od środka policzki.

Kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem u jednego z handlarzy w Savannahn znaleziono niebieskiego forda, wujek Luke przyjechał na trzy dni do domu. Poczowała wtedy, że budzi się w niej nadzieja - nie przez wzgląd na braci, matkę czy ojca, lecz przez wzgląd na samą siebie. Liczyła na jakieś słowo, na to, że ktoś wreszcie powie: „Oto, co się zdarzyło, oto, co się stało”. Luke niczego takiego nie powiedział. Był taki sam jak dziadek. Smutny i niepewny, nie miał w sobie nic z jej ojca. Zerkał na nią niecierpliwie, posępnie, jakby zastanawiał się, dlaczego ona wciąż tam jest, dlaczego nadal oddycha i żąda od niego czegoś, czego nie mógł jej dać. Odsunął talerz makaronu z serem, który dla niego odgrzała, i siedział przy stole, popijając dziadkowego jacka danielsa. Delia uciekła do zimnego łóżka. Rankiem w pierwszy dzień świąt znalazła Luke'a spitego do nieprzytomności na kwiecistej kanapie w bawialni. Stanęła nad nim i przypatrzwszy się sińcom pod jego oczami, zajrzała w otwarte usta. I wtedy ją poczuła, tę kamienną, otaczającą dziadka ciszę, ciszę, która wytworzyła się na nowo w wujku, a która chciała zapanować i nad nią. Była jak coś żywego i niebezpiecznego, jak zwierzę chcące pożreć ją żywcem.

Jedenastoletnia Delia zrobiła jedyną rzecz, która mogła jej przyjść do głowy. Ścisnęła dłonie w małe wprawne pięści i natarła na wujka. Okładała go pięściami, kopała jego pokryty



szczecina podbródek, guzowate ucho, biła otwartymi dłońmi bezwładne, pijane ciało, przez cały czas kwiląc jak noworodek. Wreszcie otworzyła usta i jęknęła. Jęk przeszedł w krzyk, w zbawczy piskliwy wrzask, z każdą chwilą głośniejszy i straszliwszy. To właśnie ów potworny krzyk wyciągnął dziadka Byrda z kamiennego łoża i zrzucił wuja Luke'a na podłogę. Dziadek wszedł do pokoju z wyciągniętymi rękami i otwartymi ustami. Jego zimne dłonie nie mogły powstrzymać wycia Delii. Uniósł ją w górę równie łatwo jak szczenięta, lecz kopała go tak mocno, że wreszcie postawił ją na podłogę i cofnął się. I obydwaj, dziadek i wujek, ulegli wibracjom jej sztywnego, rozkrzyczanego ciała. Mała, drobna dziewczynka trzymała ich w szachu.

To skradziony świat opłakiwała tak głośno i desperacko. Ten świat żył w niej zawsze, bez względu na to, jak głęboko spychała go w niepamięć. W jej spojrzeniu płonął smutek, smutek drżał na spierzchniętych, pogryzionych wargach, roztaczał się wokół niej niczym krąg cienia. Nieprzerwanym, pełnym udręki zawodzeniem opłakiwała utracone życie i kochanych ludzi. Kiedy lata później stanęła na scenie i otworzyła usta, żeby śpiewać, dobył się z nich taki sam żałobny jęk.

„Delia Byrd śpiewa jak anioł apokalipsy - napisał recenzent. Śpiewa tak, jakby odbiwszy się od dna rzeki życia, wypłynęła na powierzchnię z całą wiedzą o śmierci”. Śmiała się z tych słów. Uznawszy, że ma do tego prawo, upiła się wówczas i długo nie trzeźwiała.

— Rzeka życia — powiedziała, wpełzając w ramiona Randalla. — Kapałam się w rzece życia.

— Słodki Boże — jęknęła Cissy.

— Przekląłam ich. Wujka Luke'a i dziadka, ale także mamę, tatę i tego, kto ich mi skradł. Przekląłabym też samego Pana Boga, gdyby stanął mi na drodze. — Uśmiechnęła się z goryczą. - Przeklinałam ich cały czas. Śpiewałam, mruczałam, szemrałam w głębi gardła. Nie potrafię być cicho. Sama wiesz.

Cissy z trudem przełknęła ślinę. Twarze z fotografii, cała szczęśliwa rodzina zawisła nagle w małym, przegrzanym barze. Tamta mama nachyliła się nad nią i dotknęła jej policzka. Tamci

chłopcy, pogwizdując i wiercąc się, przepłynęli przed pobladałą Delią. Zaginiony dziadek łagodnie objął ramiona jej matki. A potem rozplynęli się w powietrzu jak duchy, którymi przecież byli, i przy stoliku została tylko Delia ze słomką w palcach.

Matka pociągnęła łyk koktajlu.

— Dobry — stwierdziła. — Już zapomniałam, jak dobrze może smakować.

Niedługo po dniu św. Walentego Luke Byrd trafił do więzienia pod zarzutem zabójstwa. Aż nadto zasłużył sobie na wyrok — powiedziała córce Delia.

— Tego człowieka należałoby trzymać w więzieniu do końca życia, żeby nikogo nie mógł już skrzywdzić.

Luke pił. Podobno dużo pił od czasu, gdy po zniknięciu rodziny wyprowadził się z domu dziadka. Pijany i głupi, miał czołowe zderzenie z samochodem tuż za granicami Atlanty — zabił obcego człowieka, który nic o jego gniewie nie wiedział. Od początku do końca procesu był odrętwiały i cichy i mrugał nieprzytomnie, patrząc na sędziego, który od chwili gdy obrońca Luke'a napomknął o tragedii w rodzinie Byrdów, okazywał mu dużo współczucia. Za to nie współczuli mu ani najbliżsi zabitego, ani Delia.

— Bez powodu kazał cierpieć kolejnym ludziom — oświadczyła. — Zabił człowieka z nierozważnego smutku i wyglądało na to, że zupełnie się tym nie przejął.

Kilka lat później zabił po raz drugi, dwóch mężczyzn w tawernie w Memphis. Właśnie za tę równie bezsensowną zbrodnię wciąż jeszcze odsiadywał wyrok.

— Prawdopodobnie myślał, że wywinie się także i z tego — mówiła Delia. — Pamiętaj, że ludzi jego pokroju jest pełno, szaleńców gotowych odebrać ci życie z powodów, które z tobą nie mają nic wspólnego. Może tak właśnie było ze mną. Może ten, kto ograbił mnie z dawnego życia, z tego, które na mnie czekało, i kazał mi żyć tym, którym dzisiaj żyję, uznał, że ma do tego prawo? Ktoś skrzywdził jego, on zrobił krzywdę komuś innemu.

Delia odwróciła się. W jej gardle zabrzmiał krótki pomruk.

— Zdarzają się różne rzeczy, nie mające nic wspólnego z tym,

czego pragniemy lub czego się spodziewamy. Luke nie spodziewał się, że kogoś zabije, tak samo jak moja mama nie brała pod uwagę tego, że przepadnie bez wieści. I co, nadal uważasz, że powinnam była opowiedzieć ci o tym wszystkim, kiedy miałaś zaledwie kilka lat? A może wówczas, gdy wróciliśmy do Cayro? Albo kiedy umierał Clint? Myślisz, że tak powinna postępować matka? Że powinna przekazywać dzieciom wizję tego spotworniałego świata?

Cissy milczała, milczała tak długo, że Delia zaczęła się denerwować. Wzięła ją za rękę.

- Już dobrze, kochanie. To wszystko działo się bardzo dawno temu.

Nie — pomyślała Cissy. — To dzieje się nadal i ma swój dalszy ciąg. Pomyślała o Dede, o tym, jak siostra wyłamywała sobie ręce i prorokowała: „Stanie się coś strasznego. Wszystko się dokumentnie spieprzy”. Ciągłe groziły im kolejne tragedie, echa tych, do których doszło wcześniej.

- Nigdy nie przyszło mi to do głowy - odrzekła w końcu. - Myślałam, że zginęli w wypadku samochodowym albo w pożarze. Że stało się coś...

- Potwornego — dokończyła za nią Delia. Przez chwilę patrzyła jej w oczy, potem spojrzała w stronę drzwi. — Emmet chyba się nie wyrobi. Jeśli zamierzamy wprowadzić nasz plan w życie, lepiej chodźmy do sądu. Nie chcę, żeby Dede spędziła jeszcze jedną noc w areszcie.

Cissy skinęła głową, lecz chwilę trwało, nim zdołała wstać od stołu. Patrzyła, jak Delia otwiera torebkę i odlicza pieniądze za kawę i koktajl, jak macha kelnerce, która też jej pomachała.

Z trudem przesunęła się na koniec ławy. Spojrzała na znużoną twarz Delii, na jej smutne brązowe oczy.

- Kocham cię - powiedziała.

Wzrok Delii złagodniał, kąciaki oczu zmarszczyły się, choć się nie uśmiechnęła.

- Wiem - szepnęła i wzięła ją za rękę.

Nolan podskakiwał na wózku inwalidzkim. Gdyby nie zablokował kół, czekając, aż Emmet wyjdzie z sądu, żeby z nim

porozmawiać, już dawno znalazłby się w połowie drogi do Atlanty.

— Co z Dede? Wszystko dobrze? - To było pierwsze pytanie, jakie zadał. — Dobrze się czuje? — powtórzył, kiedy Emmet popchnął go głębiej na wózek i zawiózł do poczekalni przy gabinecie sędziego. — Niech pan powie, że wszystko z nią dobrze.

— Nie. Nie wszystko. — Emmet stracił cierpliwość. — I tak powinno być, chłopcze. Już zapomniałeś, że cię postrzeliła? Ma szczęście, że niektórzy ludzie chcą się za nią wstawić. Wciąż mam wątpliwości, czy nie powinna zostać w areszcie.

— To nie miejsce dla niej. — Nolan drżał, lecz mówił stanowczo i z determinacją. — To nie powinno się było zdarzyć.

— Słusznie, sęk w tym, że nie jestem pewien, czy ona w ogóle ma swoje miejsce. A ty, chłopcze, powinienesz zadać sobie kilka pytań, póki masz jeszcze czas. — Emmet odgarnął włosy. — Kochasz ją, co do tego wszyscy jesteśmy zgodni. Wszyscy twierdzą, że ona kocha ciebie, ale przecież człowiek, który strzela do ukochanej osoby, nie może być przy zdrowych zmysłach. Chcesz ją stąd wyciągnąć, prawie to rozumiem. Ale byłbym skończonym idiotą, gdybym ci nie powiedział, że jesteś równie stuknięty jak ona. Wiesz, co powinniście zrobić? I to natychmiast? Poszukać fachowej pomocy. — Nachylił się ku jego twarzy. - Rozumiesz mnie?

— Rozumiem. - Nolan podrzucił głową. — Pan po prostu nas nie rozumie, ani mnie, ani Dede. Do niczego takiego już nigdy więcej nie dojdzie.

— Mam nadzieję, chłopcze. — Emmet wyprostował się niezadarnie. — Mam nadzieję, ale posłuchaj mojej rady i przemyśl sobie kilka spraw. Zaraz ją przyprowadzę.

Kiedy weszła do poczekalni, Nolan odniósł wrażenie, że uchodzi z niego powietrze. Wydało mu się, że Dede się skurczyła. Twarz miała węższą, a ciemne sińce pod oczami dodawały jej lat. Najbardziej go uderzyło, że złagodniały jej usta i podbródek.

— Nolan - szepnęła, a jemu serce omal nie pękło. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak zastraszona. — Przepraszam.

— Nie, nie — prosił błagalnie. - To moja wina, to ja...

— Przestań. Na litość boską, przestań. — Skrzywiła usta,

zadrzał jej podbródek. - Nie wytrzymam, jak będziesz tak się zachowywał.

- Jak? - Z trudem oderwał od niej wzrok. — Tak, żebyś wiedziała, że cię kocham? Że nadal cię kocham?

Umilkli. Dede przestąpiła z nogi na nogę, potem przysunęła krzesło do wózka.

- Nie powinniśmy zaczynać od początku — rzekła, siadając naprzeciwko niego. - Powinieneś trzymać się ode mnie z daleka, dopóki nie nabierzesz pewności, że wiesz, co robisz.

- Wiem, co robię — odparł. Nie odrywał spojrzenia od jej zaciśniętych na udach dłoni. Na grzbiecie prawej ręki widniał siniec, mały niebieski cień. Chciał przykryć go swoją dłonią i pocieszyć Dede, ale miał dość rozumu, by wiedzieć, że nie powinien jej teraz dotykać. Zaciśnął ręce na oparciach wózka.

- Ja się nie zmienię, Dede. Nigdy się nie zmienię. Kocham cię, i tyle.

Potrząsnęła głową.

- Och, Nolan... - szepnęła.

Mimowolnie wyciągnął do niej rękę. Ręka zastygła w powietrzu, a Dede cofnęła się jak przed ciosem. Podkurczył palce i zamknął dłoń.

- To wszystko, co mogę powiedzieć, kochanie. Gdybyś miała strzelić do mnie jeszcze raz, powiedziałbym to samo, ale sądzę, że łatwiej by nam było, gdybyś już więcej tego nie robiła.

Patrzył, jak podnosi głowę i spogląda mu w oczy.

- Myślę, że moglibyśmy spróbować więcej ze sobą rozmawiać — dodał. — Może powiedziałaś mi, co cię tak bardzo ubodło.

Sondowała go wzrokiem. Wciąż drżał jej podbródek, do oczu napłynęły łzy. Uniosła rękę do zastygłej w powietrzu ręki. Splotła palce z jego palcami.

- Och, Nolan — powtórzyła. — Nie wiem, jakim cudem cię znalazłam. Nie wiem, ale skoro jesteś tego pewien, spróbuję. Spróbuję sobie wybaczyć.

- Tak — powiedział. Przyciągnął jej rękę do piersi i przycisnął ją do miejsca nad sercem. - Tak, tak.

Nachyliła się i przytknęła wargi do jego warg. Delikatnie go

pocałowała. Ze stłumionym szlochem przyciągnął ją do siebie i posadził sobie na kolanach.

— Och, Dede — westchnął.— Nie musisz tego robić. Nie musimy nic robić. Możemy po prostu wrócić do domu i trzymać się w ramionach, aż cały świat zapomni, co się stało.

— Nie, nie. - Całowała jego powieki, skronie. — Sędzia mnie nie lubi. Chciałby zatrzymać mnie w areszcie, ale ja muszę stąd wyjść. - Odsunęła się od niego i wykrzywiła twarz. — Jeszcze o jednym musisz wiedzieć. Jestem w ciąży. To początek czwartego miesiąca i wygląda na to, że ciąża się utrzyma.

Nolan rozdziawił usta.

— Och — westchnął. — Dede, to cudownie!

Pocałował ją, lecz Dede badawczo go obserwowała.

— Jesteś pewien?

— Najzupełniej - odparł. — Nasze dziecko... - wyszeptał. - Nic lepszego nie mogło się nam przydarzyć.

— Nie wyjdę za ciebie, Nolanie — oznajmiła. — Kocham cię. To prawda, i będę z tobą żyła. Ale nie wyjdę za ciebie. Nie wyjdę za nikogo.

W odpowiedzi nakrył jej usta swoimi, gładząc jej ramiona i plecy.

— Dede Windsor, jesteś najtrudniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałem. Trudniejszą nawet od mojej własnej matki. I dobrze wiesz, że wolę żyć z tobą w grzechu niż trafić do nieba z jakąkolwiek inną kobietą na ziemi. Musisz też wiedzieć o jednym: chcę być prawdziwym ojcem.

Wzruszyła ramionami.

— Dobra, ale pieluchami zajmiesz się ty. Nienawidzę smrodu. Będziesz zmieniał pieluchy i podcierał mu tyłek. A kiedy dzieciak zacznie ciągnąć z butelki, a ja będę miała czyste konto, chcę pójść na kurs dla kierowców ciężarówek w Chattanooga.

Westchnął uszczęśliwiony.

— Umowa stoi. - Wsunął rękę pod jej bluzkę.

Przytrzymała jego dłoń.

— Zastanawiałam się, czy tego nie usunąć — rzekła, kładąc rękę na brzuchu.

Nolan przykrył ją swoją. Przez chwilę siedzieli bez słowa, przyglądając się jej brzuchowi.

- Do diabła - powiedziała wreszcie. - Poradzimy sobie nie gorzej niż inni, co?

— Jasne — zapewnił ją Nolan. — Jasne.

## 24

Pamiętasz ten dzień, kiedy zginął Randall?

Zrobiło się już prawie całkiem ciemno i Delia siedziała przy szpulowym stoliku za domem, pod łańcuszkiem kolorowych lampek. Miała w ręku szklankę wody z plasterkami cytryny. Z ulicy płynęło solo na klarnecie, z głębi domu dobiegały ją głosy kłócących się Amandy i Cissy, perlisty śmiech M.T. i małego Michaela, który uczył Gabe'a pieśni *Jesus Loves Me*.

— O, tak — rzekła Rosemary. Uśmiechnęła się i przeciągnęła palcami po wypełnionej do połowy szklance whisky, o którą zadbał Nolan. Nie miała ochoty na drinka. Chciała posiedzieć z Delią w ciszy i spokoju. Powietrze wciąż było nagrzane, powiew wiatru znad drzew orzechowych niósł ze sobą kojący zapach dymu.

— Zachowywałam się wtedy jak wariatka.

Rosemary skinęła głową.

— Powiedzmy — przyznała.

— Chyba nie wiedziałam, co robię, gdy pakowałam Cissy, żeby ją tu przywieźć.

— Myślałaś o Amandzie i Dede.

Delia nachyliła się nad stołem. Twarz miała bardzo skupioną, oczy wpatrzone w dal.

— Próbowалам nie oszaleć, mimo to oszalałam. Co za kobieta ciągnie małe dziecko przez cały kraj tuż po stracie ojca?

— Dobrze o nie zadbałaś.

Delia potrząsnęła głową.

— Ledwie udało mi się naprawić coś, czego kiedyś się dopuściłam. A nawet tego nie jestem pewna.

— Kochają cię.

Delia otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Postawiła szklanke na stole.

— Chciałabym, żeby Dede wyszła za Nolana.

— Nie wyjdzie za nikogo, ale chyba z nim zostanie.

— Czuję się taka stara.

— Nie jesteś stara.

— Jestem, jestem. Jestem stara jak świat. - Delia usiadła wygodniej i wepchnęła dłonie do kieszeni dżinsów. — Stracę je. Wszystkie. Cissy pojedzie z tobą. Kiedy minie okres dozoru sądowego, Dede przeprowadzi się do Nolana i pan Bóg raczy wiedzieć, gdzie w końcu wylądują. Dom będzie pusty.

Rosemary uśmiechnęła się szeroko.

— Dorastają i wyfruwają z gniazda, a mama zostaje sama. Prawdziwa tragedia, rzeczywiście.

Siatkowe drzwi otworzyły się gwałtownie i zamknęły z głośnym trzaskiem. W wylewającym się z kuchni świetle stał mały Michael. Za nim opierał się o drzwi Gabe, wpychając palce w *oczka* siatki.

Rosemary wskazała chłopców ruchem głowy.

— Ale zawsze pojawia się coś nowego.

Delia popatrzyła na chłopców i jej twarz złagodniała.

— Paskudne chłopaczyska - wyszeptła. Uśmiechnęła się, gdy wnukowie ruszyli w dół schodków.

— Powinniśmy napisać kilka nowych piosenek - powiedziała Rosemary.

Uniosła szklanke i wylała jej zawartość na trawę. Patrzyła, jak mały Michael wpada w ramiona Delii. Odwróciła szklanke do góry dnem i postawiła ją na stole. Popatrzyła w górę i ruchem głowy wskazała bogactwo liści łagodnie kołyszących się na wietrze.

— Tak, nadeszła pora na nowe piosenki.

KONIEC